



PIOTR JARGUSZ

VIA TORIS

Między Wschodem a Zachodem

Opowiadania miały siłę sprawczą. Dzięki nim urodziłem się znacznie wcześniej. Stały się skrzydłami i garbem. Winne były podróżom. Dalej. Tam, gdzie sprawdzałem swoją zdolność wtapiania się. Empatii. Jestem Zeligiem? A może przepowiadaczem szukającym duszy? A może usiłowałem sobie opowiedzieć, co jest istotą mojej kultury? W moim domu między Wschodem i Zachodem. To pytanie o tożsamość domową. O jej moje prywatne rozdanie.

Tworzywo. Las rzeczy i cudze opowieści zawsze mnie fascynowały. I malarz wobec nich ze swoją ciszą. Kim jest? Jest przepowiadaczem ludzkich dziejów. Jest obraznikiem do przenoszenia Obrazów.

Piotr Jargusz

PIOTR JARGUSZ

VIATORIS

Między Wschodem a Zachodem

Kraków 2014

Piotr Jargusz
VIATORIS. Między Wschodem a Zachodem

Kraków 2014

Teksty: Piotr Jargusz, Rafał Solewski
Fotografie: Iwona Meus-Jargusz, Helena Nowakowska, Piotr Jargusz,
Opracowanie graficzne: Rafał Sosin

Projekt został sfinansowany ze środków Narodowego Centrum Nauki przyznanych
na podstawie decyzji numer DEC -2011/01/B/HS2/01840"

© Piotr Jargusz

Druk: Drukarnia Pasaż, Kraków

Egzemplarze sygnowanych:

..... / 300

Wydawca:
Uniwersytet Pedagogiczny
im Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie
ul. Podchorążych 2
30-084 Kraków, Polska
tel. informacja: (+48 12) 662 60 14
fax: (+48 12) 637 22 43

www.up.krakow.pl
info@up.krakow.pl

ISBN 978-83-7271-910-2

SPIS ROZDZIAŁÓW

- I **Narodziny Viatorisa** 5
- II **Viatoris patrzy w gwiazdy** 13
- III **Modlitwa Viatorisa** 51
- IV **Uczta Viatorisa** 65
- V **Viatoris szuka Domu** 91
- VI **Viatoris gotuje się na śmierć** 185
- VII **Miłość Viatorisa** 187
- VIII **Viatoris powraca** 279

I WARODZINY VIATORISA

Viatoris szuka Domu i oczekuje ważnych dla siebie odpowiedzi. Ma w swoim ręku ważny atut. Posiada własny uniwersalny źródłowy język. Jest malarzem. Viatoris jest formułą pytania, nieskończoną liczbą pytań bez odpowiedzi. Szuka Domu, a właściwie Domów. Przyznaje się do posiadania licznych. Domem Viatorisa jest też on sam, jego doświadczenie, jego pamięć. Jego Domem są wartości, które wyznaje; chciałby być sumieniem swoich wyborów. Zamieszkuje w Domu swojego języka. Domem Viatorisa jest też Polska. Wierzący, ufa Bogu, a czasem nawet za Nim tęskni.

Polska, ojczyzna Viatorisa, leży między Wschodem a Zachodem. Zachód i Wschód są dla niego niesłuchanie ważne. Dwa lustra, bez których nie pojmie istoty swojej tożsamości. Nie pojmie istoty swojej duchowości. Viatoris myśli na sposób zachodni, ale czuje na sposób wschodni.

Wie, że kultura wynikająca z doświadczenia jest bezcenna. Pragnie chronić to swoje dziedzictwo, ocalić siebie przed komercjalizacją i przed polityczną poprawnością. Viatoris w drodze do nowej rzeczywistości woli dzielić niepokój Odysa niż Reise-feber konsumenta. Pamięć i tożsamość woli postrzegać jako skrzydła niż garb.

Viatoris stoi wobec groźby nowego barbarzyństwa. Zadaje sobie pytania, na ile określa go jego własna kultura, jak bardzo definiuje się w obecnej kulturze ofert.

Stoi przed wyborem, jakie wartości uznać za swoje, za warte przeniesienia. Jakim pozostanie wierny. Jakie wartości domowej, narodowej i europejskiej kultury uznać za warte jutra. Jaką duchowość wybrać dla siebie i swoich dzieci. Jaki przyjmie próg odpowiedzialności i wrażliwości na drugiego człowieka. Czy zachowa zainteresowanie pojedynczym losem innego człowieka, ważną zdolność wysłuchania cudzej opowieści. Jaką wizję wspólnoty wybierze. Czy stereotypy i schematy zastąpią jego refleks-

sje. Jest idealistą. Szuka prawdy. Czy znajdzie w sobie siłę, by dążyć do niezrelatywizowanej prawdy jako podstawowego dobra. Wie, że musi szybko ze spuścizny narodowej i europejskiej wybrać i zachować to, co najlepsze, aby zachować ciągłość dialogu przeszłości z przyszłością. Za jego życia obalono mur berliński, lecz szybko zbudowano kolejne. Wolność jest jego obsesją. Conradowska wierność – jego wyborem.

Maluje obrazy, mury, parawany. Malowidła na zdartych afiszach i plakatach. Odpowiedzią na polityczny zgiełk są piszczalki i rogi zrobione z plakatów wyborczych. Imitacje, atrapy, destrukty zaledwie przypominają Trąby Jerychońskie zdolne obalać mury. Maluje Chleby, Znaki i konstrukcje Domów. Oko Opatrzności przykleja na słupie ogłoszeniowym.

Czas i zdarzenie.

Wątek i osnowa.

Wyprawa po błękit oka. Po ciszę. By ocaleć. Dać się opowiadać życiu.

Mały chłopiec patrzył na reprodukcję obrazu. Co przedstawia? NIC.

Zielono-czarny z żółtym. Szukał. Może konik polny nocą na łądździe, a w tle zachodzące słońce? Nie. A więc co? Właściwie nigdy się nie dowiedział, co przedstawiał jego najważniejszy obraz. Obraz tajemniczy, który irytował i kusił. Najważniejszy jego pierwszy zachwyt obrazem. Próba. Rekonstrukcja, a może tworzenie legendy? Co wtedy widział? Za obrazem.

Kraków. Szesnaście lat po wojnie. Rynek z kocimi łbami, na których Matka wykreśla obcasy szpilek. Fontanna z pomalowaną na zielono metalową żabką. Po drodze za piekarnią, na kościele ojców Karmelitów ślad odbitej stópki królowej Jadwigi w zakratowanym okienku. Intryguje. Na podwórku Polacy i Niemcy. Dobrzy i źli bawią się w wojnę.

Urodziłem się w klinice na Kopernika. Skrzypek grał *Złoty pierścionek na szczęście*, a Matka straciła dużo krwi. Rudy i brzydki nie podobałem się jednej z pielęgniarek: „Takiego jeszcze nie widziałam”. Marylka i wujek Ziutek, brat Mamy, zostali chrzestnymi. Dali mi na imię Piotr i dołożyli Mikołaj. Ochrzcił mnie kapelan w szpitalu Świętego Ludwika, bo miałem wkrótce umrzeć.

W domu na Szymanowskiego czekają ojciec i dziadkowie. Spokojna ulica w dobrej dzielnicy. Prawie bez samochodów. Jesienią węglarze zrzucają do piwnic węgiel z drewnianych pak. Wiosną przechodzą tędy jeże. Pożydowska kamienica. Co sobotę Zajęcowa pastuje schody i myje okna. Bramę otwiera o szóstej, a o dziesiątej zamyka. Na klucz. Przedwojenna dozorczyń.

Strych ze sznurami na bieliznę i gołębnikiem. Piwnica, pralnia, schron. W pralni służące gotują w kotłach prześcieradła i poszwy: Smoleniów, Małeckich, Woźniaków.

Niezależna. Mówią, że piękna.
Moja Matka.



Nad drzwiami na strych czernieje krzyż, od świecy. Zakłęcie babci Zofii Jarguszowej strzeże przed duchem strychowego wisielca.

12 przez 8. Trzy pokoje, dwa przedpokoje, kuchnia, alkowa, dwa balkony, na jednym żołnierski płaszcz dziadka spod Monte Cassino, a na drugim kaktusy.

Na Czarnej Wsi. Za miastem. Na moczarach. Naprzeciwko parku ze żwirowymi alejkami, gdzie pół wieku temu dziadek łapał żaby i pływał na łódkach. Tam ułan – narzeczony ciotki Anieli – pozwalał Antkowi wsiąść na konia. Nie wiedział, że zginie w trzydziestym dziewiątym. Tam grzebaliśmy nasze psy, a tuż przy murku Babcia zbierała pieczarki. I smażyła z masłem na patelni. Stamtąd przylatują ptaki. Tam podrapię sobie całą twarz na jednym z ostatnich spacerów z moim dziadkiem.

Na podwórku jest ogród, a za nim baraki. Pełzną ślimaki, rosną irysy, stoją trzepaki, wrzeszczą dzikie koty i dzieci. Pod balkonem tandeciarki, tam gdzie wiszą motyle kokony, poniewierają się resztki kolorowego plastiku, z którego robi torby i sprzedaje. Na tandecie. Czasami jeździ do Gdańska i kupuje towar od marynarzy. Jej córka udaje Rodowicz i tleni sobie włosy. Podnoszę i wącham te kawałki kolorowych kratek – mają fascynujący zapach. W łopianach u Klocka wieczorami cykają świerszcze i pachną spadłe śliwki.

Kamienica żyła. Stała na balkonach, patrzyła, jak jadący na wakacje tachają przez park ciężkie walizy do tramwaju. Sadziła pelargonie w paczkach na oknach, podlewała je ostrożnie. Wietrzyła. Nosiła pranie na strych, gdzie każdy miał swoje sznury. Pachniało kurzem i krochmalem. Rozciągałem tam z matką firanki. Na krzyż. W kącie strychu był stary gołębnik.

Kamienica plotkowała. Codziennie rano spotykała się z wiaderkami w piwnicy. Po-
tępiała, gdy ktoś nie wycierał butów albo trzaskał drzwiami. W piwnicznych komórkach
leżały ziemniaki i weki. Tam węglarze znosili na plecach w drewnianych pakach węgiel.

Ptaki przylatywały z parku. Odkąd pamiętam, karmiliśmy je na parapecie okna
i była w tym jakaś szczególna przyjemność.

Kamienica żyła. W soboty zamieniała się w wielką wysprzątaną i wypastowaną
twierdzą. W niedziele w twierdzą cichą.

Ściany w pokoju dziadków są zielone z delikatnym złotym wzorkiem. Podobają
mi się. Przechowują kolorowe warstwy klejowej farby. Dębowe podłogi mają odciski
szpilek i czarne cętki po rozżarzonym węglu. Patrzę, jak Babcia chwytając palcami taki
czerwony kamień i wrzuca do pieca. Później będę robił tak samo. Kiedyś dwóch zdu-
nów, stojąc na stole, będzie przestawiało piec, a ja będę patrzył, leżąc chory w łóżku.
Od tamtego czasu polubię na zawsze zapach gliny. Piec z ocalałych po wybuchu bomb
kafla, które złożą się w jeden – kremowy.

„Patrz, jak wesoło się pali. Aleś napalił, będzie jak w bani”. Babcia grzeje dłonie,
kładzie je na kaflach obok siebie, jak chleby, i przytula do pieca policzek. Raz jeden, raz
drugi. Na zmianę. Na wciśniętych w szczeliny między kaflami szpilek wiszą chus-
tecзки i rękawiczki. Kiedyś upieczemy w popielniku ziemniaki. Siedzę na kanapie pod
piecem. Zmarznięty. Nie potrafię wypowiedzieć słowa. To Rysiek, mój brat, wiozł mnie
najpierw na sankach po Czarnowiejskiej, a potem na sam kopiec Kościuszki. I zmarłem.

Tam pod poduszkami w garnkach wyrasta ciasto, a przykryte ścierką – też pod
poduszką – będą czekać na Mamę, jak wróci z pracy, gorące ziemniaki. Całymi nocami
pieką się na blasze i w szabaśniku placki na Boże Narodzenie.

Dla Babci ważne są okna.

– Znowu stoisz w oknie. Czego tam wypatrujesz?

– Czekam na was.

Czeka, aż wytrze biały lakier parapetu swoim niebieskim lajbikiem. Stoi, pa-
trzy wieczorem na ciemny park i się modli. Całymi latami uszczelnia okna, w szpary
wpychając watę i rulony szmat, żeby nie wiało. Wiosną wypadają z nich biedronki...
„Biedroneczko, leć do nieba, przynieś mi kawałek chleba...”, powtarzam w myślach.
A szyby myje wodą z denaturatem lub octem i wyciera kulami zmiętej gazety. Karmi
gołębie i stawia na parapecie doniczkę z lwimi paszczkami, i kładzie papryki, żeby
dojrzały do czerwoności. Przez okno w pokoju ojca lubię patrzeć na białe, pocztowe
gołębie. Zataczają kręgi na granatowym niebie, nad barakami. Stare kasztany niedłu-
go zaczną zakwitać. Mama patrzy w stronę kopca, czy idzie chmura. Jeśli tak, będzie
deszcz. Jeśli nie, burza przejdzie bokiem.

Ukształtuje mnie dzieciństwo w domu rodziców i jednocześnie w domu dziad-
ków: Heleny i Józefa. Dom dziadków był ich którymś z kolei domem w życiu. Trwały
w nim echa poprzednich. Był jasny. Kupili poniemieckie meble i nie dbali o resztę.

Mają wstręt do kolejnego meblowania, po którym tracą wszystko. Nad okrą-
głym stołem, który jest miarą mojego wzrostu, wisi na lampie wisi lepiec na muchy.
Pod serwetą leżą odcinki rent, listy i stare żyletki. Listy przychodzą najczęściej od
syna z Wałbrzycha, od Marylki z Cieszyna i od Staszka Rokity z Dębicy. Gdy przycho-
dzą goście na imieniny dziadka, kładzie się na nim deski i przysuwa go do tapczanu.
Każdy zna swoje miejsce. Goście przychodzą zawsze w sobotę.

Na szafie stoi pudełko z cukrem. Szare, metalowe, z pokrywką. Przysłane jesz-
cze z Anglii. Z wojny. W szafie trzymają sterty pościeli z wyhaftowanym białym L,
wykrochmalone i wyprasowane, złoto Mamy, czyli kolie, kolczyki i sygnet z rubinami,
fotografie ojca na polowaniu, drewniany krucyfiks z cynowym Chrystusem, jeszcze
z Syberii, zrobiony przez pradziadka, pudełko z kamieniami do sygnetów, naszyw-
kami Poland, dwiema chińskimi monetami, emaliowanym, srebrnym medalionem,
z fotografiami braci i odznaką zasłużonego spółdzielca. Są tam jeszcze andersowski
wojskowy beret, porcelanowy bażant od Pani Władzi i Pana Piotrusia i przydział na
mieszkanie.

Na drzwiach wiszą torba, zapas gumek, a od wewnątrz kominiarski kalendarz.
Na gwoździu.

W kredensie, w pudle po landrynkach, leżą lekarstwa od doktora Jankiewicza.
W tyle stoją dwie karafki z imbirówką. Gdzieś upchana jest srebrna chochla z maho-
niową rączką, jeszcze z Rosji – prezent na chrzciny. Są tam stare modlitewniki – opra-
wione w czarną skórę – prababc: Antoniny i Wiktorii, kieszonkowe zegarki z dewizką
dziadka Balukiewicza, pozłacany kluczyk, granatowa szklanka, imbir w torebeczkach
i niebieski kalendarzyk. Gdzie kiedyś Babcia zapisze w nim: „Zmarł... VI. 1966”. I... i...
i... A wszystko w zapachu wanilii.

W tapczanie w czarno-zieloną jodełkę trzymają pudło z dokumentami (medale
z trzech ostatnich wojen) i szare mydło Białe Jeleń. „Dawali w pracy”, mówią.

Pod tapczanem turkusowym stoi biały nocnik z niebieską pokrywką. Obitý
w jednym miejscu z emalii.

Obrazek z wilkiem dziadek kupił przed wojną w Istebnej. Wilk patrzy na Jasno-
wice, na dwie chałupki z żółtym światłem w oknach, całe dzieciństwo patrzył też
na moją Matkę, a teraz patrzy na telewizor i w stronę toaletki. Dziadek lubił kupować
obrazy i malować ich ramy pozłotką od Brody czy Migdała.

Chowałem się pod starą singerowską maszyną do szycia. Po prababci. Matka
szyła. Po nocach, kiedy wszyscy spali albo byli w parku. W kącie, żeby nikt jej nie wi-
dział. Sukienki, koszule, spodnie. W czterdziestym piątym za pieniądze z szycia urzą-
dzi babci Antoninie pogrzeb.

Telefonu nie mamy. Trzeba iść do sąsiadów. Najlepiej do Danusi. Jako jedyni od-
dadzą aparaty telefoniczne polskim żołnierzom idącym na Berlin, kiedy ci sprawdzają,
czy Niemcy w piecach nie zostawili min.

Jest radio. Dwa. W drewnianych pudłach. To poniemieckie i to na talony.

Pachnie papierosami, dziadkowie oboje palą, i gotowanymi obiadami (śmietanowe zupy), pastą do podłogi i nie pamiętam czym jeszcze.

Ulubione ich miejsca są przy stole, w fotelach przy piecu, na kanapie, na balkonie od kuchni i w oknie. Na fotelu przy piecu pytałem dziadka, ilu zabił Niemców. Powiedział: „Nie szedłem na wojnę, żeby zabijać”.

Mówili miękko i po krakowsku. On całując w rękę kobiety, winszował wszystkiego najlepszego, na powitanie rzucał legionowe czołem, serwus albo cześć, na pożegnanie – zostań z Bogiem. Kiedy mieli czarne myśli, zbierali na czarną godzinę. Była ręka na zgodę i było słowo honoru.

Majówki z Pietrykami i wódeczką. Herbata pita w garnkach i szklankach. Imbirówka domowej roboty: trzy łyżki cukru pudru, jedna łyżka imbiru, zalać wódką i odstawić. Później zlać do karafki. Na królewskie obiady: pielmieni z octem, pieprzem i odrobiną wody. Na wigilię siano pod serwetą, zupa grzybowa z uszkami, karp, kutia, śliżyki, kompot ze śliwek i dodatkowe nakrycie. Wierzą, że jaka Wigilia, taki cały rok. Całują chleb, który spadnie na ziemię. Nie podają sobie ręki przez próg i na krzyż. Siedzą przed drogą. Wierzą w prorocze sny i komety wróżące wojny. Włosy wrzucają do pieca i palą, żeby nie bolała głowa. Nie pamiętają, że to z lęku przed czarną magią. Nie sprzątają, jak ktoś wyjedzie – mógłby nie wrócić. Dziadek przywiózł to przekonanie z wojny. Stawiają pasjansa i wróżą z ręki. Przybijają na pieniądze i wierzą w słowo wypowiedziane w złą godzinę. Wiedzą, że gdy ktoś umiera, zasłania się lustro i zatrzymuje zegar, że puszczyk wróży śmierć, a rozbite lustro siedem lat nieszczęścia, że kwiaty szczerze dane trzymają się długo. Unikają przeciągów, kłamią w prima aprilis i leją wodą perfumowaną w śmigus-dyngus. Chodzą na Emaus, a o jego powrót z wojny ona będzie się modlić do świętego Ekspedyty u ojców reformatów. Nie używają już balsamu kapucyńskiego jego matki Wiktorii i nie chodzą na pielgrzymki do Mogiły i Częstochowy, nie odmawiają zdrowasiek na różańcu i nie wierzą przepowiedniom królowej Saby. On chodzi do Świętej Barbary lub do Karmelitów. Ona w kościele mdleje. Jedwabny szalik, irchowe kremowe rękawiczki, nożyczki do strzyżenia wąsów, elegancki etos prawdziwego przedwojennego mężczyzny. Z upodobaniem oboje karmią gołębie. Do przeszłości nie wracają. Palą świeczki Zielińskiemu i legionistom na Rakowicach. Nie lubią w domu broni. On marzy, żeby na starość mieć ratlerka i kiosk z gazetami w agencji. W akwarium pływają rybki. On lubi chodzić do teatru i dużo czyta. Ona zawsze przynosi z targu kwiaty. Razem chodzą na spacer, pod rękę. Mówią o sobie dobrze. A z jędrzeniem czekają na siebie.

Moja Matka i mój Ojciec. Okupacyjna miłość i powojenny ślub. Kościół Świętej Anny w deszczu. Ona nie znosi gladioli, które dostanie. Prezenty. Aluminiowe wiadro, srebrne sztucze, obraz... Lubią przesiadywać w kawiarniach. Żyją teraźniejszością, pracą. Zaczynają od podstaw. Ona pracuje. On studiuje. Ona wierzy w magiczną dla siebie

szczęśliwą-nieszczęśliwą trzynastkę. On czasami żegna chleb nożem. Ją kiedyś będą budzić opiekuńcze duszki, a święty Antoni pomoże coś znaleźć. Czasami woli odpukać w stół i nie lubi piątek, odkąd w piątek umrze jej ojciec. On z przyzwyczajenia chodzi do kościoła, na precle mówi bajgle i powtarza historię o wschodnim pochodzeniu. Pamięta też, że jak ktoś lub coś puka nocą w okno, może to wróżyć czyjąś śmierć. Jak spadnie łyżka, mówi się „głodny idzie”. Ona jest serdeczna i gościnna. W dzieciństwie śpiewa swoim synom na dobranoc kołysanki: „Hej tam z góry jadą Mazury” albo „Dzyń, dzyń, dzyń dzwoneczki grają, hejże po łodzie konie parskają...”. I czyta.

Jej szafa pachnie pudrem. Sukienki, buty, czarne strusie pióra i święte obrazki. W pudełku leżą opłaty na odbudowę Warszawy, za pracownię krawiecką, którą musi zlikwidować. Lubi zachody słońca, ale nie lubi gotować. Na ścianie nad szafą cienie gałęzi rysują sylwetki zwierząt. Oglądam je z łóżka. Nad łóżkiem wisi ceramiczna bozia. W kredensie jest przebranie Ryśka, jej starszego syna. Za Śnieżkę, z białej bibuły. Kiedyś ustawi w nim zielony kawowy serwis. Jest jeszcze klucz z ładnym uszkiem w esy-floresy. Obrazy były ślubnymi prezentami.

Ryśka namalują później siostra ojca – Maria i Andrzej Pronaszko. Siedzi na fotelu u dziadków Jarguszów, bez pantofli.

Telewizor mają pierwsi w kamienicy. Wszyscy przychodzą popatrzeć w czarno-białego neptuna w srebrzystym drewnianym pudle. A tam wojna w Wietnamie. Samochód jest ojca. Dziadek na Syberii służył w Auto-Cadrze, ale z wojny wracał okrętem, pociągiem i dorożką. Pierwszy samochód w rodzinie, nie licząc rowerów, na których z Petelenzami jeździli do Ojcowa i na Zarabie do Myślenic, oraz motoru z demobilu. To jest kremowo-bordowe BMW z lat trzydziestych. Koty uwielbiają spać na jego skórzanych fotelach. Ma odsuwany dach. Bez korby ani rusz.

W pokoju ojca jest chłodno, na czerwonym dywanie (bardzo tę czerwień kochają) stoi antyczny stół, nad nim na ścianie wisi obraz młodzieńca w wieńcu laurowym. Na bibliotece lampa Tiffaniego i dyskobol. Na ogromnym biurku zdjęcie dziadka Stanisława Jargusza z szablą.

Dom był „zezwierzęcony”: psy, koty, ptaki, ryby, myszy, różne robaki, jastrząb i pół-wilk. Ich starszy syn Rysiek marzy o polowaniach, z pierwszego przynosi matce lisa na kołnier. Na kolejne nie chodzi. Kocha zwierzęta.

Ulubione miejsca ojca to kawiarnia i wnętrze samochodu. Matki może na balkonie od kuchni, może w pokoju rodziców. Nie wiem.

Kiedyś jego dom zastąpi dom jej. Będzie ciepły i rozedrgany. Z bukietami polnych kwiatów przynoszonych naręczami z wycieczek. Ze szczawiem zbieranym na wałach Rudawy, z którego gotowała zupę. Jest domem pełnym radości: z lnianych serwet, szkła, wersalki, kuchenki, nowego dywanu, firanek (żeby kupić, skromniej je), nowego stołu (stary wyrzuciła), turystycznych mebli, krzeseł, lampy, słomianych macek, gramofonowych płyt i adapteru, ale przede wszystkim radości z wolności. Tak

ją cieszyła, że nie znalazła sobie nikogo. Woli chodzić o własnych siłach. Ale do pracy jeździ pociągiem i pekaesem. Latem bierze mnie na dworzec, wchodzimy bez peronówki, by pokazać mi zachód słońca.

Telewizor zdobyła. Nieśliśmy go w rękach, oszczędzając na taksówce. Spóźnialiśmy się na poranki do kina, ale wchodziliśmy. Mówiła, że jesteśmy spoza Krakowa. Na religię prowadziła mnie po pracy. Jeszcze rysuje różaniec i przykleja Matkę Boską w zeszytach do religii. Jest niezależna. Mówi, że piękna. Wyprawy do fotoplastikonu i na strzelnicę. Gościńce i pierogi, które wynosi żebrakom. Muzea i wystawy malarstwa, na które zabiera mnie w niedziele. U Czartoryskich znajoma bileterka wpuszcza nas bez biletów. Wiewiórki karmię w parku Jordana i na cmentarzu, gdy idę do dziadka. Czasami z farbą, żeby pomalować krzyż, czasami bez, żeby wyrwać chwasty. Matka myje podłogę w kuchni i śpiewa: „Rozkwitają pęki białych róż, wróć Jasieńku z tej wojenki wróć...”. Zapamiętam ten moment. Klęczy i śpiewa. Akurat jest pod spiżarnią. Taka polskość domowa. Kuchenna.

Ja, gdy w telewizji słyszałem hymn, wiedziałem, że mam stać na baczność. Piosenki wojskowe śpiewało się razem z kolędami. Jedne i drugie były święte.

Ostatkiem sił Babcia Helena schodzi z łóżka i idzie głosować na Wałęsę. Ona nauczy mnie zawijać bandaż na kolanie. W końcu jest żoną żołnierza.

Będą ogromne choinki do sufitu z prawdziwymi świeczkami oraz z zabawkami i łańcuchami. Mama sama je robi wieczorami: kominiarze, królowny, krasnoludki z głowami z wydmuszek. Będę je oglądał z łóżka, a Święty Mikołaj przyjdzie do dziadków Jarguszów. Za ścianę.

Już idę. Jeszcze tylko założyć ten biało-granatowy sweterek z inicjałami i ze skrzyżowanymi kijami basketbolowymi kupiony na tandecie. W wiejskim domku przy Czarnowiejskiej kobieta sprzedaje warzywa. Mama mówi: „Zaczekaj, to domek Baby Jagi”. Dalej, między kamieniczkami, jest małe poletko. Kobiety sadzą tam ziemniaki. Za murem piekarni – garaż i cygańskie pola (Cyganów jest już coraz mniej). Rosną żółte zbóje i dzikie słoneczniki. Ja na rowerku. Przez kałuże. Przy polnej drodze na tyłach Kawiorów. Niebieska zagroda Raźnego. Kryta strzechą. To z nim Rysiek poszedł na pierwsze polowanie na psy i zające.

Na wszystkich drzwiach w naszej kamienicy narysowane kredą K + M + B, a na balkonach pelargonie. Fotoplastikon przy Szczepańskiej i fotograf Bielec... Lustro, siedzę. „Patrz w lewo, wyżej, nie ruszaj się”. Wielkie pudło za szmatą i błysk. „Koniecznie weź grzebień”. Z tamtego czasu zostało mi rozcieranie w palcach macierzanki i mięty, wachanie i pchanie do kieszeni. Chodzenie przed siebie i patrzenie w oczy.

Rosłem. Nie przekraczano mnie, kiedy leżałem na podłodze i nie zamiatano, kiedy stałem obok, „pod nogami”. Chodziłem w kapuzie i urzędowałem. Otwierałem drzwiczki pieca i patrzyłem w ogień. Na pytanie: Czy ty jesteś? Odpowiadałem: Swój.

II VIATORIS PATRZY W GWIAZDY

Nagrodą za odwagę jest bycie odważnym, za dobro – bycie dobrym, za uczciwość – bycie uczciwym. Takie motto wymyśliłem na drogę, na wyprawę po imię, po ciszę, by ocaleć. To wszystko, co mógłbym napisać o malowaniu, zamiast malować.

Prowadzę notatki z codzienności, dziennik z życia. Taki zwyczajny zapis ważniejszy niż monolityczne wyznanie wiary. Opowieść o postrzeganiu. Viatoris wyrusza w Drogę.

Napisałem kiedyś, że moje malarstwo jest śladem podróży moich oczu i myśli, śladem moich nóg, rąk, serca, oczu gapiących się z czułością na przedmioty, na nagrzane słońcem polne kamienie, mury, pola i drogi. Na stare, ciężkie stoły pocięte scyzorykami. Na zawijasy rudych liter.

Dokumenty, obrazy nieba i ziemi, figury, młyńskie kamienie, mapy drogi, cienie, moi ludzie są śladami oniemień bez radości, bez smutku. Ten zachwyt zbliża je do absolutu. Twarze zmieniają się w ponadczasowe wizerunki, pejzaże w puste glinianoziemiste przestrzenie, ludzie w rosochate figury, figury w czarne pale, kobiety w torsy, sutki i brzuchy. Mimo surowości są ciepłe, mimo monumentalności pozostają zwykłe. Zawierają jakiś ludzki wymiar, starają się wyrazić to, co nieuchwytnie.

Dziennik z podróży. Podróż nietypowej o tyle, o ile brak w niej jasno sprecyzowanych, podstawowych elementów w postaci czytelnej przyczyny, miejsc postojów, a nawet celu, nie wspominając o środkach przenoszenia się z miejsca na miejsce, popularnie nazywanych środkami lokomocji, a nawet tak zwanym prowiancie czy

innymi słowy wałówce na drogę. Niezabezpieczona i niejasna jest Towarzyska Strona naszej podróży, nikt nie gwarantuje nam, że nie będziemy persona non grata ani tej satysfakcji w postaci tzw. dobrego czy choćby tylko odpowiedniego towarzystwa. Najmniejszego ubezpieczenia na okoliczność nieszczęśliwych wypadków. Nikt nie wspomina o cenie, jaką przyjdzie nam zapłacić.

Jednym słowem zdarzyć może się wszystko, i nic. Żadnych gwarancji. Wyjątkowa Podróż. I wyjątkowo podłe Biuro Podróży. Rzecz ma dotyczyć malarstwa. Diariusz peregrynacji po widzeniu malarza o określonym typie wrażliwości. W części skazany na niespełnienie, bo wobec dylematu pisania o rzeczach ogólnie wiadomych i niechęcią do publicznego striptizu. Malarza wierzącego w wartość sztuki, próbującego mówić o sprawach dla niego ważnych, o życiu. Słów kilka o obrazach potrzebnych i zostawianiu śladu. Każdy malarz wie, co znaczy obraz potrzebny, ten, który chce się malować, o którym się myśli i który w myślach powraca. Namalowany – nieważne czy od razu, czy po latach, w całości lub w części, nieraz słaby, jest spełnieniem tego potrzebnego obrazu. Przynosi satysfakcję, ukojenie. A nim się obejrzymy, znowu jesteśmy pod urokiem potrzeby kolejnego. Malarz postawiony pod murem wewnętrznej potrzeby, wewnątrznie daleki od obrazów zniewolonych, będących staranną prezentacją obranej konwencji. Wierzący, że dotąd będzie miało sens malowanie, pokazywanie i oglądanie obiektów sztuki, dopóki istnieć będzie poczucie – zarówno u malującego, jak i oglądającego – że pomimo i niezależnie od konwencji za tymi obiektami jest drugi człowiek. Zdarzenie, niezafałszowany fakt, jego prawda, prawda o człowieku. Malarz, który nie chce rezygnować z tego, by obraz był potrzebą pytania i potrzebą znalezienia odpowiedzi na podstawowe zagadnienia dotyczące egzystencji człowieka. Maluję, usiłując przeniknąć tajemnicę życia, trwania, wzajemnych ludzkich relacji. Człowiek. Pejzaż. Przedmiot. Dom. Białe obrazy. Miasto. Rodzina. Dom. Pieta. My. Epitafium. Labirynt. Ślad. Kobieta. Tytuły obrazów lapidarne, pozornie proste i mało skomplikowane.

Ślady faktów. Odciski rzeczywistości. Pieczęcie. Ślady łączącego usiłowania uchwycenia wszystkiego, co otacza człowieka, co otacza malarza. Próba ogarnięcia. Zostaje ślad. Wypowiedź do najbliższych i przypadkowych. Zostaje ślad po monologu, czasem dialogu. Nie wszystek umrę. Ślad mniej lub bardziej czytelny. Po myśli, uczuciu, przecuciu, czymś, co nas wzruszyło czy dotknęło. Obraz. Rzeźba. Rysunek. Obiekt. Jeden z nieskończonej ilości nas otaczających. Ślad. Podobny innym. Synteza odbieranego wrażenia, wiedzy i doświadczenia, synteza formy i koloru. Skróć, oszczędne, wyciszone, takie szeptane do ucha, skromne obrazy, takich potrzebuję.

I obraz, który jest narzucaniem swojej wizji świata, przeżywaniem własnych doświadczeń. Pytanie samotnika o jego kondycję, o ludzki wymiar człowieczeństwa. Obraz potrzebny do życia, do myślenia, ślad trwania. Czasem trwania wobec szaleństwa.

Malowanie jest ciągłym uświadamianiem sobie, odnajdywaniem tego obrazu powstającego wewnątrz, wobec tego, co widzimy, co przeczuwamy, Obraz dla mnie:

zarówno przedmiot, jak i narzędzie w dotykaniu świata. W afirmacji życia. I nie interesuje mnie, czy ściśle pasują do określonej konwencji. Są częściowo wynikiem konwencji swojego czasu. Ale również są wynikiem mojego wewnętrznego przekonania o konieczności tworzenia zapisu, swojej ciekawości świata. Malowanie, praca, prawie zwykła, gdyby nie zbliżanie się, często przypadkowe i nieoczekiwane, do tajemnicy. Tajemnicy stwarzania przedmiotu szczególnego, mającego aspekt mistyczny, bywającego towarem, ale przedmiotu wywyższonego, prawie duchowego. Malowanie. Dostrzeganie sygnału, zapach przygody, szczególna próba refleksu.

Przygody z sobą w praktycznym półzwierzęcym dotykaniu świata. W zabiegu zamieniającym materię duchową w farbę. Farbę, która znowu udaje coś, czym nie jest. Jakieś wielkie malowanie, jakiś sztafaż, jakaś zabawa w malowanie, w magicznym, prośalnym rytuale o szczyptę jakiejś nadświadomości, o swoją szczyptę balsamu.

Skąd materialna kruchość ostatnich moich obrazów? Uczucie kruchości świata? Byle czym malowane, na byle czym, z wewnętrznym swoim zegarem, gipsowo-gliniano-pigmentowym zegarem tanich farb. Starzeją się, sypią, kruszeją szybciej. Brak wewnętrznego sprzeciwu: jeśli my to, c z e m u nie one?

Są może w jakimś stopniu sprzeciwem wobec cudacznej, powoli wszechobowiązującej estetyki subkultury nowego. Ale gdzieś wewnętrzne moje przekonanie o trwałości materii duchowej nad materialną. Chwilowy maksymalizm i niepraktyczność. Stałe powroty. Stałe motywy. Ciągłe napięcie. Czarny, mroczny, smutny termometr obrazu, budowany z okruszków. Najwięcej serca, swojskie i bliskie patrzenie. Maluję cień rzucony przez przedmiot. Mrok i stula światła. Czy jednocześnie jakieś umowne drugie dno, jakby już nie wystarczał sam obraz, tworzone zwierciadło mojego świata i wiara w to, że nigdy nie będzie się miało wystarczająco dużo czasu i spokojnej głowy. Wewnętrzne napięcie. Pośpiech.

Napisałem i od tamtego czasu nic się nie zmieniło...

Pytasz mnie, dlaczego niektórzy ludzie są źli. Jak to się ma do obrazu, że się o ciebie martwię. Jakie to niemalarskie.

Kiedyś napisałem o swoich obrazach, że są to obrazy podróżne. Powstają z wędrówki w głąb siebie, w czasie, przestrzeni i z tajemnicy. Napisałem, że balansowanie na granicy odkrytego i zakrytego jest dla mnie najważniejsze. Z tego wyznaczenia granic mojego świata, z tych śladów, znaków, zapisów przygotowuję prywatny pamiętnik mojego czasu, moich wzruszeń, moich obsesji, mojego szczęścia. Z nich lepiej moje obrazy, oczyszczam się.

To są moje obrazy z drogi. Tyle dróg widzianych, ważnych i bliskich. Ta nad rzeką – ważna, ta na kopiec – serdeczna, ta do miasta – nasza, ta obok kapliczki – znacząca,

ta za Jurgowem – letnia, te w miastach – znajome, te z kocimi łbami – z samego dna pamięci, świecące nocą autostrady i biała droga przez żółte pola, którą widzieliśmy pod Paryżem i którą usiłowałem namalować. Tyle dróg pozornie nieznaczących, banalnych: do łazienki, do kuchni, do sklepu, do parku, do lekarza, do Carrefoura, na Krzemionki. Po drodze po panoramie *Mons Calvariae* Brauna z 1617 roku, kiedy siedzę przy stole w kuchni i patrzę na zamek w Lanckoronie ze zwodzonym mostem, na wielki stary las, drogę, psa pijącego wodę ze strumienia, pielgrzymów i biczowników w spiczastych kapturach, z chorągwiami i wielki kwiat na ogromnej łodydze w centrum pierwszego planu. I ta ostatnia droga. Efektowna, prywatna mapa dojścia do Afryki.

Wychodzę, idę do głównej ulicy wśród trzciny, po lewej mam fikusa i kaktusy, po prawej trzciny i osiedle. Potem skręcam za sklepem w prawo na miasteczko wodne Privilege, przechodzę koło piekarni Hindusa (psy) i dalej obok przejechanego borsuka i jaszczurki pod autostradę i wiadukt. A potem obok skrzyżowania na Modi drogą do Palio Gerani i na Kirtomádhos. Za kapliczką w bok. I Afryka. I stary autobus zarośnięty, a za nim oliwki, i czerwona ziemia. A potem znów Palio Gerani i kawa gliki, i kobieta z rybą i świnia..., i droga w bok, i dalej... Rzeczywistość dotykalna, gęsta i fizycznie ciężka.

Tamtego lata rankiem w rogu zamkniętego sklepu zobaczyłem łuk. Kawałek patyka i sznurka. I przypomniało mi się coś, co przeczytałem piętnaście lat temu, że cała sztuka tkwi w metodzie, w drodze, a nie w samym trafieniu do celu. Kupiłem łuk i powiesiłem na ścianie, na wszelki wypadek.

1981. Zapisuję: białe, ugier, czerwone, drzewa chlebowca. Ciemna czerń, szarość, jasny brąz. Czerwień, błękit, biel. Ugier jasny, ultramaryna. Narodziny malarza.

Szliśmy Kościuszki w stronę Jubilat. Jesienny wieczór siedemdziesiąty szósty rok.

– Będziesz potrafił? A jak ci się nie będzie chciało malować? – zapytała z obawą Matka.

– To co?

Liceum Plastyczne. Egzamin. Martwa natura z czajnikiem. Stukałem oficerkami i gapiłem się na pejzaż z kopcem. Widok na Salwator i Wzgórze Świętej Bronisławy. W sztruksowej marynarce i w krawacie ojca z lat sześćdziesiątych wracałem do domu Wałami Wisły. Nie mogłem sobie z sobą dać rady. Nie umiałem żyć. Nie wiedziałem, że to we mnie było najcenniejsze.

1982. Lato. Białka Tatrzańska. List do Ewy Mańkowskiej. Siedząc na kamieniu nad rzeką, napisałem: „Ewa, ta rzeka bierze początek w Morskim Oku. Ładne okre-

ślenie «brać początek». My też bierzemy gdzieś swój początek. Lato ma teraz swoją kulminację... Śniła mi się pracownia Nowosielskiego. Przez cały rok, jeżeli będę u Nowosielskiego, będę malował Ciebie: portrety, kompozycje, interpretacje. Będzie mi to coraz lepiej szło. Wszystkiego trzeba się nauczyć, ale wolę Ciebie od martwych natur. Widziałem dzisiaj osiedle Cyganów. Te ich domy jakby miały się za chwilę rozlecieć. Zrobione z blachy, beczek na smołę. Jak przyjedziesz, zabiorę Cię nad Białkę”.

5 czerwca 2001 będziemy z Iwoną w Wilnie na mojej wystawie. Pretekst, bo nie o nią naprawdę chodzi. Pewnie uklękniemy pod Ostrobramską. Może damy na mszę za dusze wujka Stefana, Józefa i za prapradziadka powstańca, co go zimą z polamanymi żebrami Kozacy wlekli siedemdziesiąt kilometrów do naczelnika, który spytał: „A czemu on jeszcze żyje?”. A ja wiem, że stanę, popatrzę, wciągnę powietrze. Będziemy w Wilnie. Bliżej Uciany, Gajdymancy, Wiłkomierza, pielmieni z octem i pieprzem, chleba z cukrem. Za księcia Radziwiłła Panie Kochanku wypijemy w hotelu litewską wódkę, a może i za Borejkę w kapliczce. Dałbym też na mszę za nasze i ich legawce z trzema włoskami na brodawce pod pyskiem. Do polowań.

Właściwie to podróż do opowiadań z dzieciństwa, a może podróż z tęsknoty za nimi. Przecież nie ma tam ani domu nad jeziorem, ani orzecha, ani ciotki Frąckiewiczowej, właściwie nic mnie tam nie powinno ciągnąć, to nie był mój świat, ani tamta ich Litwa, ani tamta ich Syberia. Nie moja. A jednak. Myślę, że magnetyzm tych opowiadań i dym popularnych, który im towarzyszył, i szafirowa kanapa sprawiły, że pojedziemy. Napijemy się herbaty w szklankach, pójdziemy do kościoła patrzeć na nasze herby i stare, cudze babcie, na miejsca po oderwanych drzazgach w ławkach popisanych długopisem. Wdychać zapach pasty, wody święconej i kurzu, i tych wszystkich unoszących się w świetle cząsteczek do niczego niepotrzebnych, jedynie do tego, by być.

Chronię to swoje prawo do niewiedzenia wszystkiego, tę moją drogę do tajemnicy. I kiedy leży przede mną nagi człowiek w całej swej bezbronności, a ja maluję, czy częściej chodzę i robię korekty, czy gdy leży kilka przedmiotów, tak zwana martwa natura, to czasem czuję, że dotykam kruchej tajemnicy i że jednocześnie spada jakaś niewidzialna zasłona. Jest to jakieś sensualne przeżywanie świata, wzbogaconego o tych kilka przedmiotów, o tego człowieka, o rysunek domu. Więcej. Więcej o jedno spotkanie.

I w tym chęć rozumienia wszystkiego, by mi przeszkadzała. W tym przeżywaniu i poszerzaniu mojego świata o światy innych. Bliskich i obcych.

Obraz: Wilno. Czerwiec, ale północne zimno, wietrznie. Jedziemy autobusem do Malatów, a stamtąd do Owanty. Z emocji nie mogę spać. Od trzeciej rano już na nogach. Moło w Malatach jak u Antoniego Czechowa. Na samym końcu moła żołnierz i dziewczyna odbijają się w wodzie... Plaża. Olga grzebie w piasku, obok stoją parawany. Pusto. Cicho. Uparłem się mówić wszędzie po polsku. Rozumieją.

W Malatach w kościele piękna Matka Boska z wilgotnymi oczami jak u sarny. Niedaleko na górze cmentarz stary z kurhanikami. Kościół. Patrzą. W przedsionku – za zamkniętymi głównymi drzwiami – stoi plastikowa, niebieska beczka z wodą święconą, leżą kubek i lejek. Zatrzymuję je w głębokiej pamięci. Patrzą na stary klawikord. Krząta się chłopiec w wojskowych butach. Głanach? Owanta. Malaty.

Olga je banana na stopniach kościoła, gdzie brali ślub jej prapradziadkowie. „Nie siedź na kamieniach, bo od kamieni ciągnie”. Nasze powiedzenie. Stare, domowe. Chmury, zielone pola. Białe drogi. Szukamy Gajdymancy. Dawnego, szlacheckiego zaścianka. Mercedes taxi hamuje, kurz na drodze opada, nim odsunę obiektyw. Polne kwiaty, łąty rudej i czarnej ziemi na horyzoncie pod lasem... Nad jeziorem... „Górki babki” mineliśmy, skacząc na nich z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Olga Piszczak. Piszczki: Iiiiiii. Taksówkarz: „Mój ojciec dostał ziemię za to, że bił Polaków”.

Pustka. Ani żywego ducha. Nie ma kogo zapytać. Wjechaliśmy w pola obok jeziora. Mijamy brzozy lasek, wjeżdżamy na asfalt. Jest mały domek. Starsza kobieta stoi w ogródku.

– Gdzie jest Gajdymanca?

– Gajdymanca? Tutaj.

Córka jej pojedzie z nami i pokaże. W zaroślach – tam gdzie dworki Droncejków stały, gdzie teraz wchodzi z Olgą na barana w zarośla drzew i pokrzywy, w resztki po mikroskopijnych ścianach – urodził się w 1874 roku Zaleski. Poeta. Gdyby wnuczka pani Droncejkowej nie pokazała nam tego miejsca, nigdy byśmy nie trafili...

– Ja Droncejkowa z domu. Herbu Bort, Topór. Jest w domu gdzieś ten dokument.

Pokazuję jej metrykę ślubu pradiadków. Droncejko Konstanty był świadkiem.

Czyta.

– A tu mieszkał Droncejko Witas. On dziwak był, samotny.

Podnoszę zardzewiałą kłódkę, pamiątkę po Witasie (Witoldzie?) Droncejko.

– A tam wieże przodków – pokazuje palcem za drogę. – Zbudowali je, żeby wyjść na górę i patrzeć, jak z Kowna przyjadą. Patrzeć na ziemię dziadów.

Wokoło jeziora puste pola. Ani żywego ducha. W Wilnie u Świętej Teresy ksiądz Algis Bajskunas zesłał nam Ducha Świętego. Mimo biegania Olgi, ulatywał ogniście w formie i w treści. Zrozumiałem fenomen *Wielkiej Improwizacji*. Tak improwizował

Adam Mickiewicz. Nigdy nie słyszałem takiego kazania. Algis poświęcił nam mały medalion z Matką Boską Ostrobramską.

W Celi Konrada uczeń szkoły muzycznej gra na saksofonie. Pusto. Tylko portierka i on. Genowefa Marcinkiewicz, u której mieszkamy, na osiedlu.

– Nie przekraczaj – mówi, gdy niosę krzesło nad Olgą, zagradzającą drzwi. – Nie trzeba – przykładą palec do ust – bo nie będzie rosła.

Znam z domu. Też mnie nie było wolno przekraczać. Ładne. Nie zagadywać. Cisza. Myszki, jak mówi Olga.

Studium przedmiotu. Kula. Symbol doskonałości i nieskończoności. Już siódma moja, ale niedoskonała. Kula armatnia. Tęsknota?

Studium wnętrza. Maluję na papierach pakunkowych, niektórzy mówią: pakowych. Maluję kredens w kuchni, okno w ryży, kuchenkę gazową, drzwiczki do pieca, starą maszynę do szycia. Kąty. Siedzę przy stole i patrzę na drzewa i okno, na koc, na którym na spodeczku leży pokrojone mięso dla kota. Patrzą z czułością. Jakby je zapamiętała na zawsze? Moja otulina. Dom. I. + P.

Studium nieba i ziemi. Imbramowice. Na górze stoi kapliczka pochylona w stronę klasztoru. Stoi od dwustu lat, a może od czterystu, a może od siedmiuset, od czasu Iwo Odrowąża. Ciągłość trwania. Stara kultura pamięci i nowa kultura zapomnienia. Nie moja. W klasztorze w Czernej krucha siostra zakonna upina na klęczniku kwiatki. Robi to szybko i sprawnie. Czy docenią jej subtelność staranność? Ważność pozornie nieważnego. Nad bramą napis: „Silencium”. Czyż malarstwo nie jest ważną ciszą?

W Bardejowie czeka na mnie Paweł z Lewoczy, z Bożym Narodzeniem w ołtarzu katedry, bym zdążył uwierzyć w cuda. Pokoik: stare krzesła, spęczniały kurdyban, w głębi piec, biała szafka, stół nakryty ceratą, a na nim szklany dzbanek z kompotem. I dwie szklanki. Czyżby wszystko było takie proste?

– Czy ty jesteś?! – krzyczy ktoś za mną. Idę przez pola pod Młynczyńskami trzydzieści lat temu. – Czy ty jesteś? – pyta dentystka. Mam osiem lat. Odpowiadam: Swój.

Studium postaci. Cztery kromki chleba, jedną wyciągam z kosza na śmieci w kuchni. Piętka czarnego leży na piecu. Biorę ją do ręki. Sprawdzam. Twarda. Niosę do przedpokoju, kładę na rogu komody. Potem wyniosę ptakom. Staję się podobny do Matki.

Od zawsze patrzyłem na ogień. Otwierałem drzwiczki pieca i patrzyłem w ogień. Codziennie, kiedy palę albo wybieram łopatką popiół z popielnika, patrzy na mnie ze ściany Tadeusz Rejtan.

Pod BWA Iwona czyta o Toskanii. Patrę na nią łakomie. Z miłością. Olga owija stare koło rowerowe w kolorowy papier. Mówi, że to mandala.

Podróż pierwsza. Piąta rano. Macham Iwonce. Przechodzę przez Aleje. Pusto. Zrywa się jakiś ptak, jego skrzydła wydają kilka szeleszczących uderzeń. Dworzec. Patrę, szukam pustego przedziału. Pod Pruszkowem napis: „Ogrzewasz? Uszczelniasz?”. Tak, ogrzewam i uszczelniam. Śpieszę się. Jestem w tym dobry, za dobry. A jeśli zdążę, to o czym zapomnę?

Patrę. W mroku, za odbiciem Aqua Minerale, ludzie w świecących okienkach. Przeczuwam. Jestem dla nich rzędem szybko znikających żółto-niebieskich kwadracików. Oto ludzie wędrują, aby podziwiać szczyty gór, fale, szeroko rozlane rzeki, ocean, obroty gwiazd, a obok siebie samych przechodzą obojętnie.

Podróż druga. Drzewa we mgle. Tam gdzieś język świętego Antoniego i jego struny głosowe, tam święta Katarzyna zabalsamowana na siedząco. Gdzieś wątroby trzystu Rzymian użyte przez Etrusków do wróżb. A tu stacja benzynowa i dziewczyna w samochodzie, dotykająca bosymi stopami szyby, tuż przy lusterku. Fikirincja, ulewa i tamten świat. Ambrogio Lorenzetti i Simone Martini, Taddeo Gaddi i Giotto. Silencium. Nie zagadywać, nie zakłamywać, nie ściemniać. Być. Patrzeć.

O czym tu pisać? Czasami rysuję ludzi. Ewoluuja. Raz się prężą, patrzą w niebo na gwiazdy. Czarne plamy farb. Raz kurczą się i garbią. Za każdym razem to ja się garbię, to ja się z nimi prężę. Ja. Swój.

Południe. Florencja, Sienna, Piza, Lukka, San Gimignano, Pistoia. Morawski zajązdz z orientalnym zapachem i cykadą. Jedziemy przez Wiedeń obok Klagenfurtu. Alpy Wschodnie. Tunele. Wydrążone przez góry. Dziury. Rejon Veneto. Wenecja za mgłą. Apeniny, klasztor pod Bolonią. Tam obraz Matki Boskiej namalowany według legendy przez świętego Łukasza. Mediolan. Zapach gotowanego mięsa z korzeniami imbiru. Dziwny anioł, jakby uciekający. Katedra w Pizie. Maestro del Trionfo della Morte. Campo santo. Nagrobne płyty. Zieleń. Prostokątny plac. Absolutne porażenie. Rysuję siedzącą figurę w baptysterium, plac w Pizie, kolumnę dziękczynną w Lukce, kościół Świętego Marcina, gdzie leży święta Zyta, wiszący ukosem krucyfiks, wewnątrz u Świętego Michała...

Toskania. San Gimignano. W katedrze rysuję Chrystusa Ukrzyżowanego, bez rąk.

Siena. Siedzimy na wielkim rynku. Bawię się rudym piaskiem. Przesypuję go z dłoni do dłoni.

Drogi przez pola. Cyprysy, pinie, winnice. Cały czas z Olgą na plecach. Chardin, El Greco, Dürer, Giorgione, Velasquez, Rembrandt, Botticelli, Uccello, Michelangelo, Van der Goes, Masaccio, Cimabue, Giotto, Batory i Stanisław Zamojski. Na korytarzu. Wisi. Patrzą z obrazu... Zegar ze słońcem. Iwonka, lody i mały skaczący szybko wróblek.

Południe dla profesora Włodzimierza Kunza było tym, czym dla mnie Wschód.

Zdzisław Tohl: „Profesor Kunz mówił, że poderwałeś najładniejszą dziewczynę z telewizji. Wyraźnie mu tym zaimponowałaś. To Tatar, mówił, ma coś z Czingis-Chana. Jest ekspansywny. Wiesz, co profesor mówił do tego Łemka? Najważniejsza jest miłość. On do profesora z obrazami po korektę, a profesor: Najważniejsza jest miłość. Każdy ma swojego Kunza. Profesor był guru od salami, godzinę je wybierał, trzeba było to widzieć. Próbował, wąchał. Sprawdzał, czy roznosi się zapach. Sprzedawca czuł się doceniony. To salami kupował profesor, podkreślał. Kunz tu wszystkich znał. A w tym sklepie gadał z właścicielem, ja czekałem w samochodzie. A potem biegł, jakby to coś mogło zmienić. Ten właściciel teraz nie wstaje, jest chory na nogi, ale wtedy przynosił zielony peperment, nalewał do kieliszeczków. Płakał, gdy profesor umarł. Kunz miał przyjazną aurę. Ciszę”.

W zgiełku to rzadkość. Moja Matka mówiła o nim: Kunz. „Był Kunz?” Olga też. „Mamo, Kunz przyniósł ci kwiatki”.

„Gdybym jeszcze raz się urodził, chciałbym być drzewem, panie Piotrze”. Siedział u nas, przy stole, ostatni raz. Był długo. Olga spała. Iwonka w telewizji. „Ten obraz, powinien być w muzeum”, mówił. Patrzył na moją *Bitwę sarmacką* nad łóżkiem.

Następnym razem:

– Panie Piotrze, opowiem panu, co usłyszeli na Morzu Śródziemnym żeglarze greccy w czwartym wieku.

- Co usłyszeli, panie profesorze? – pytam, gdy Kunz jest już na schodach.
- Wołanie Boga – odpowiada.

Malował w swoich gipsowo-białych obrazach tęsknotę za słońcem i tamaryszkiem. W średniowieczu byli różni mistrzowie. Mistrzowie od Świętej Rodziny i mistrzowie pięknych Madonn. Dla mnie Kunz pozostanie skromnym, delikatnym człowiekiem. Mistrzem Ciszy Południa albo Mistrzem Tajemnicy Godziny Dwunastej.

Południe. Kreta. Wracam. Mijam autostradę na Kirtomádhos. Zarośla nie do przejścia. Dalej nie przejdę. Muszę wracać koło piekarza, od którego wczoraj wziąłem na słowo chleb i suchary z migdałami. Nachodzić się. Nagrzać. Napatrzeć czerwonej ziemi. Cerkiewka, bunkier wśród rododendronów. Wchodzę. Patrzę na kapliczki dla kierowców, którzy się pozabijali. Lubię ten żar. Przepala mi czaszkę. Na drodze w pyłe znajduję komboloi. Stare. Jeden z koralików, turkusowy, ma kształt penisa.

Obrazy podróże zrobione w Polsce. Obrazy drogi. Chciałbym, żeby było o szukaniu współrzędnych, o stawianiu pytań o tożsamość, o przestrzeń kultury, o miejsce spotkania, o afirmacji tej przestrzeni, o przesuwaniu granic zrozumienia, o procesie. Interesują mnie struktury i faktury, ale bardziej interesuje mnie tajemnica ludzkiego spojrzenia. Co się dzieje i jak się dzieje. Interesuje mnie też duchowość z jej dostępną mi polską odmianą.

Viatoris opowiada historię szukania, by móc opowiedzieć o fascynacji atrakcyjnością kultury polskiej, móc opowiedzieć o szukaniu obrazu i szukaniu obrazem. O szukaniu polskiego tropu w sztuce, o nazywaniu. Bo obrazy są formą nazywania, domalowywaniem konturów do ważnych i nieważnych myśli i zdarzeń, są moim kluczem do świata, ale i efektem mojej niezgody na ucieczkę z polskości.

W Kijowie, schodząc na Padół, myślałem przez chwilę Bułhakowem. O jego *Białej gwardii*. Potem patrzyłem na opatulonych w zrudziałe bandażę patriarchów z Ławry Peczerskiej. Kamienie milowe. Pielgrzymi. Mijali mnie w ciemnych, wydrążonych tunelach. Odbijali się w świetle świec w małych szybkach. Wpatrzeni, rozmodleni znikali w mroku. Niby bliscy, ale czułem, że duchowo niedostępni. Dlaczego? Patrzę. Zatrzymuję ich w pamięci. Noszę w głowie, wklejam do prywatnego albumu. Są na tej mojej ma-

pie domy i przedmioty potrzebne do myślenia. Skrzynie i stępy z Łapszanki. Są leżenia z gapieniem się w niebo. Są ważni ludzie. Słowa. Zdarzenia. Są wędrówki kilometrami dalekie i pozornie bliskie. Są rysunki cudze, obrazy wielkich i całkiem maluczkich.

O ważnej krainie dzieciństwa mojemu profesorowi Włodzimierzowi Kunzowi mówił zasięg tamaryszku, a moją mapę co określa? Macierzanka, którą wacham i pakuję do kieszeni? Moja mapa jest bardzo precyzyjna i ostatnio niepokojąco przesuwając się na Wschód, ale Zachód nie ma w niej stałego miejsca. Jak bardzo można przesunąć granice zrozumienia? Jak dalece można rozwijać zdolność prywatyzowania cudzych obrazów, miejsc, myśli? Swoją genealogię krakowsko-litewskiego „idę na pole” – znam. Teraz przyszedł czas na genealogię myśli.

Obraz: Kijów. Jesień, wiosna, lato. Wszystko w pomarańczowej rewolucji. Podwozi mnie z parkingu terenowym jeepem młoda Ukrainka, ładna. W bocznej kieszeni drzwi plastikowa kaseta z filmem. Patrzę na okładkę: porno. Jedziemy. Ten hotel? Chyba ten. Dawaj. Idziemy. Rezerwacji nie ma. Problem. Ukrainka, mówi, by dzwonić. Mam problem z komórką.

– Ja mam – mówi – padzwanim.

Eli nie ma, pracownica mówi, że wyjechała na Rodos.

– Dawaj, padzwanim na Rodos.

Pierwsze spotkanie z Kijowem. Kreszczatik. Głębiniaste metro. W ciągu kilku dni oswoję. Będą moje Andriejewski Uwoz ze straganami pamiątek i chudą kobietą sprzedającą połtawskie ręczniki, Rastrelli i muzeum Bułhakowa z przewodniczką fascynującą budującą gestem i słowem tajemniczy nastrój z czasów *Białej gwardii*. Jest w tym mistrzynią, a rosyjski nadaje się do snucia opowieści. Oswoję. Jest basturma i czurczchela z rynku, ogromne, krymskie arbuzy i ryby.

W drodze na uniwersytet kupuję w Ławrze ikony dla Świętej Heleny i Świętej Olgi. Wiadomo.

Mam swój barek. Za Sofijską. Z wódką w plastikowych kieliszkach i z kawiozem. Lubię cerkiew Świętego Włodzimierza za uniwersytetem za jej szmaragdową zielenią i mrok.

Objawienie. Nie zapomnę, jak stałem za piękną dziewczyną w maleńkiej asce-tyczno-kamiennej cerkiewce, oświetlonej tylko płomieniem świeczuszek, pod Andriejewskim Uwozem. Dziewczyna, zanim pocałowała ikonę, długo przytulała głowę do świętego obrazu, potem wsiadła do czerwonego, sportowego ferrari.

Kijów drugi. Z Iwonką, Olgą i moimi studentami. Olga biega z pokoju do pokoju studentek na dziewiątym piętrze akademika przy Darnicy. W białej, bezowej krynolinie, którą kupiłem rano na sąsiednim targu. Patrzymy na sztuce i talerze, które leżą w brodziku kitajskich studentek. Gdy uchylają się drzwi, bije w oczy bajeczna, różowa, tiulowa rzeczywistość. Nijak się ma do tych brudnych talerzy.

Noc spędzamy w Ławrze Peczerskiej na nocnym czuwaniu. Są Ewa Kuraś i Beata Pałach. Olga śpi na śpiworze pod nogami modlących się ludzi. Nadchodzi świt. Już wiszą i kolebią się mnisi na rozhuśtanych dzwonach. Jak winogrona na gałęzi. Podskakują. Pop leje święconą wodą po koszach, z których wystają szyjki butelek, chleb i jajka. Dostojnie. Czarno. Ale zaraz nad Dniestrem pojawi się smużka różowości. Chrystos Woskries. Zaiste Chrystus zmartwychwstał na Rusi. Warto było stać całą noc.

Leżymy na wyspie nad Dniestrem. Potem idziemy do wesołej siłowni. Wszystko stalowo-betonowe. Skala tytanów. Trzymetrowe huśtawki na łańcuchach. Masażysta pracuje na wolnym powietrzu. Kobiety leżą z rozpiętymi haftkami staników. Na stołach Peczary w Ławrze. Święci mnisi. Sześćdziesięciu? Leżą w małych niszach w wydrążonych w miękkiej glinie tunelach, w oszklonych trumnach, opatuleni w uroczyste szaty.

Kobieta pod cerkwią przebiera się w czerwony przebrzydany strój. Caryca Zofia Fiodorowna czy wariatka? Mnisi nerwowi, nawiedzeni. Czarni. Rozbiegani. Złocą się kopuły Ławry. Pięknie.

Patrzę na Sobór Sofijski i Sobór Michajłowski. Błękitno-złoty odlot? Mimo że jeden stał nieprzerwanie ponad dziesięć wieków, a drugi – po tym jak wysadził go Stalin - odbudowano trzy lata temu, to między nimi nie ma żadnej stylistycznej różnicy. Obydwa wydają się równie stare. Historia zatoczyła koło, wróciła w to samo miejsce.

Chcę namalować ludzi w metrze. Na czerwono? Na gorąco? Raz po raz ktoś, słysząc polską mowę, mówi do mnie: „Mój brat zginął w Polsce, mój dziadek, mój ojciec zginęli w Polsce”. Życzliwie, zupełnie zwyczajnie, jakby tłumaczyli swoją śmiałość podjęcia rozmowy. To dla nich święta ziemia. Z drzwi szafy uśmiecha się z naklejki Juszczenko. Szkoda, że nie Julia Timoszenko.

Kijów trzeci. Sam w wielkim mieszkaniu. Tuż przy Złotej Bramie. Moja wystawa u Andrzeja Triliskiego. Jego dziadek zginął w Polsce „wo wriemja wajny”. Armine Bożko. Sztuka ormiańsko-ukraińska. Bardzo ładna. Znowu te same niezliczone włóczędzy od świtu do nocy.

Pewnego dnia, wracając w deszczu z pielmieni, zobaczyłem nad Dniestrem Ptasiego Króla – tak nazwałem sobie człowieka siedzącego pod samotnym drzewem w ulewie, którego obsiadły gołębie. To nie była przyjaźń. To była miłość.

Lubię przejścia pod Niezależności. Pełne żuli. To granie, śpiewanie, cyrk pełen cudów. W Kijowie dobrze się czuję. Podoba mi się witalność miasta. Podobają mi się rzeka i plaża. Podoba mi się tłum na ulicy. Patrzyłem na pomnik Matki Ojczyzny, a niedaleko od niego, na inny, nieduży, przedstawiający ślaniającego się, trafionego w piersi, umierającego żołnierza. Skala pierwszego sięga Bizancjum, drugi próbuje wyrazić wymiar cichego, ludzkiego cierpienia. Wstrząsający w swojej zwyczajności. Pomyślałem, że jest w nim zawarte cierpienie ludzi, którzy wiele doświadczyli.

Rzeźba czy obraz rzadko są lekarstwem, czasem są nauką, najczęściej są śladem współprzeżywania, współodczuwania. Są różne szkoły: kontynentalne, lokalne, mistrzów i ich uczniów, szkoły rozkładania akcentów w zależności od światła i koloru, i szkoły doświadczenia wielości prywatnych światów, prób ich opisanie. Próba opisu doświadczenia ludów i narodów, historii świata. Dlatego można pytać artystę, skąd i z czym przychodzi, co przeżył on, jego bliscy i jego kraj. Ale jaka jest narodowość zachwyty? Jakiego pochodzenia fascynacji?

Myślę, że każdy ma szansę na swój świat odnaleziony. Świat wartości, emocji, doświadczeń. Na swoje miejsce na Ziemi. Polska też była światem odnalezionym. Syn szwedzkiego ślusarza był autorem pierwszego polskiego słownika, Niemiec z Równego badał obyczaje dawnej Polski, Jan Matejko stworzył malowane dzieje, a zakochany w Ukrainie Wincenty Poll von Pollenburg zmitologizował Kresy. Każdy mój pobyt na Ukrainie daje mi wiele do myślenia. Przeżywam część tego świata.

Pociąg do Lwowa. Dziewczyna w różowym płaszczyku wsiada do pociągu w stronę Mołdawii. Ma pomalowane na różowo paznokcie. W przedziale babcia z wnuczką jadą na wakacje do Użhorodu. Odprowadzeni przez mężczyznę. – Polak? – Polak. – Moja żona Polka.

Częstują wódką. Strzeżniennego i jeszcze. Odjeżdżamy. Kulę się na moim wysokim łóżku. Wysokim Zamku.

Po dniu w deszczu rankiem widzę słoneczny Lwów.

Jakub do Lei, którą wziął za Rachele: „Bóg to rozróżnianie”. „Serdeczne pozdrowienia od nas dla całego domu”. Mann Tomasz skończył list. Ładnie.

Wczoraj kupiłem Kościuszkę Antoniego Oleszyńskiego. 1829. Staloryt. Spogląda na mnie jasnym spojrzeniem. Przeszliśmy z Jolką Tokarską przez trzy antykwariaty. W pierwszym Stefan Czarniecki na łożu śmierci, Walterowe Krakowy, pejzaże z wiejskimi chłopskimi sadybami, sklejonymi jak wielkie bobrze żeremia. I Maria Antonina, i Ludwik XVI w wytwornych granatach. W drugim: brzeg morza z muszlami, a w górze błyskawica, warsztat kapelusznika. Ale też miasto na górze, jakiś dźwig, sznur, niebo, kępy traw po horyzont, ptaki tęczowe i lodygi. Aż nazbyt realistyczne.

W trzecim antykwariacie *Ostatnia Wieczera*. Demoniczna. Z psem w prawym dolnym rogu, który przekrzywia łeb, gryzie kość. Zza świeczników księżyc wygląda przez małe okienko przedzielone wspornikiem. Można się bać. I Dahlbergh z dzieła Pufendorfa, 1696. Sam miód. Pierwsze w dziejach nowoczesne widoki polskiego krajobrazu I Kiełsiński, i typy spod Lwowa Norblinowskie.

Czym są dla mnie te cudze grafiki? Są moją chęcią zdefiniowania ciekawości, szkołą pokory, dowodem pokornego przyglądania się światu, ufnością w znaczenie precyzji.

„Przyjdźcie, weźcie tylko zdrowie i uśmiech”. Lwów. Wugowskiego. Patrzymy na supermarket Piwdienny. Siedzimy w kuchni u Strzelców, Strilcivów. Do wyboru, taki czas. Irena, profesor „od szkła” na ASP we Lwowie, matka ze Skalskich. Jurek fizyk. On uroczy, ukraińska inteligencja z dziada pradziada. Syn Marian, kiedy idziemy po chałwę, mówi: „Jestem dumny z moich rodziców”. Kiedyś na piechotę przejdzie cały Kaukaz i Iran. Będzie korespondentem i fotografem prasowym.

Ranek. Wymykam się. Świt. Patrzę łakomie na Ukrainki w czarnych kabaletkach w Piwdiennym. Idę na osiedle. Kozy, którą wyprowadza staruszka na skwer, jeszcze nie ma. Żółto-niebieskie chorągwie powiewają na wietrze. Rocznicą Czarnobyla.

Irena: „Piotr, jesteś człowiekiem świata. Kaukaz będzie do ciebie mówił. Musisz tam pojechać”.

Olga najchętniej przesiedziałyby nasz pobyt w kuchni.

Na tyłach teatru hrabiego Skarbka kupuję trzy kule. Dwie kamienne, podobno z Żółkwi, i jedną żelazną. Patrzę na mój wzór nieskończoności.

Irenę Strzelec spotkał się w autobusie, jadąc po mojej wystawie z Przemyśla do Gorlic na rocznicę tamtejszej galerii. Siedzieliśmy razem przy śniadaniu w dworcu w Symbarku.

– Nigdy nie widziałam, żeby mężczyzna tak patrzył na kobietę – mówi i uśmiecha się do Iwonki. My do niej też. – Jedźcie na Ukrainę, będą kury, gęsi, zła droga, ale wrócisz lepszy. Będziesz bardziej kochał swoją rodzinę.

Jedziemy. Olesko w jasnej zieleni. Tu w czasie bitwy Chmieleckiego z Tatarami urodził się Jan III Sobieski. Po drodze z Krechowa, na stacji benzynowej, kupuję suszoną ośmiornicę. Odtąd wiosna na Ukrainie i kwitnące na białą sady staną się naszą coroczną codziennością. Podhorcie. Za pałacem znajduję w trawie małą, drewnianą fujarkę. Biorę.

Podkamień. Mój. Nasz. Największy klasztor dominikanów Pierwszej Rzeczypospolitej. Jadę pod bramę po zielonych muldach. Robotnicy kończą robotę.

Ojciec Metody Kościuk, przeor: – A nie lepiej wam do Poczajowa?

– My wolimy u was.

– U unitów? Dobrze.

Daje mi cegłę z odciskiem łapy psa. Ja wolę koty. Nocą schodzimy z góry do pustego miasteczka po wielkich głazach starej, osiemnastowiecznej drogi. Stare, opuszczone chaty z glinianymi ścianami. Ptaki i gwiazdy na niebie.

Śpimy w celi. Lodowato. Do toalety labiryntem z czterysta metrów. Nad nami uschnięte zioła. Jeszcze z lata. Rano widok na podwórko w zielonożółtej poświacie. Tu był szpital dla psychicznie chorych kobiet.

Przeor: „Ja widziałem wiele, pracowałem siedemnaście lat w szpitalach w Rosji, ale czegoś takiego... Kobiety jadły ze śmietników razem z psami i szczurami”.

Modlimy się w podziemnej cerkwi. Klasztor i tylko trzech mnichów. Czwarty odchodzi. Nie wytrzymuje. Jesteśmy tego przypadkowymi świadkami. Machają mu.

Ogromna kuchnia i zapach jajecznicy. Dla nas.

Kościół jest cały w dziurach po pociskach, tu w czasie wojny Ukraińcy zamordowali trzystu Polaków. Bez drzwi, framug, okien, posadzki... Niczego, jakby wojna skończyła się przed chwilą. Podnoszę cegłę z odbiciem ludzkich palców i psiej łapy.

– Weź, tylko nie zgub. – Ja wolę koty.

– Nie boi się ojciec, sam w tej ruinie? Jak ją odbudować, jak utrzymać?

– Nie boję się, wszystko w ręku Boga.

Biorę starą emaliowaną miskę. Z takich jadły wariatki. Nigdy nie wniosę jej do domu.

Małuję. Na podwórku złoci się figura Matki Boskiej. W rogu utracony herb Piława Potockich. Idziemy z Igorem Monasterskim do skały. Po polsku opowiada o Rożanicy. Nauczył się języka z polskiej telewizji, bez liczebników, bo smerfy nie używały liczebników.

Podkamień. Część dawnych Kresów Rzeczypospolitej. Istnieje pojęcie pogranicza, ale pojęcie Kresów stworzyła kultura polska i tylko dla siebie tak je nazwała. Kraina mitów i herosów, ale i kraina krańca. Końca swojskości, za którym zaczyna się świat obcy, inny. Czy obcy?

Tym razem ja korzystam z najstarszego prawa wyobraźni. Przywoływania zmarłych. Rozmawiania z duchami. Szukam klucza do świata i w tym błędzeniu bez celu wyznaczam granice swojej tożsamości. Zaczynam się, a kończę... No właśnie, gdzie? Co jeszcze jestem w stanie zrozumieć. O ile i gdzie przesunę niewidzialne granice siebie samego. Moje Kresy. Uwarunkowane, ale i elastyczne.

Góra Różańcowa w Podkamieniu. W kościele nocą latają białe sowy. – Problem? – pytam. Nie, przecież wszystko jest w rękach Boga. Zmierzch. Na dziedzińcu znów złoci się figura.

Dla Heideggera język jest domem bytu. Dla mnie polski to język smerfów. „W dzieciństwie myślałem, że smerfy rozmawiają po polsku”, mówi O. Igor Monastyrski. Spotykamy się rano. W podziemnej cerkwi jest ciepło.

Olesko. Niewidzialne zza drzew. Upodobane przez dziewiętnastowiecznych ilustratorów polskich starożytności. Odbite w ukradkowych spojrzeniach kobiet, w żelaznych błyskach w oku mężczyzn. W martwych naturach z końca osiemnastego wieku i w półcieniach świętej Anny rzeźbionej przez Pinzla.

– Palili nim?

– A jakże, był akademik, było zimno, piłowali i palili. Aż ktoś przyszedł i schował. W Podkamieniu też palili. Ocalał tylko krucyfiks przerzucony przez mur.

Kres barbarzyństwa?

„Czarnobyl ludzie pamiętają, ale o głodzie na Ukrainie zapomnieli. O tym się nie mówi. Dzieci jadły dzieci. Dlaczego tak jest? Może ludzkość odpoczywa – mówi Irena. – Jedź dalej – tam są inni ludzie, szerocy jak step”.

Podnoszę czarne piórko. Gdzieś tuż za ścianą Stanisław Żółkiewski – sumienie Polaków – z uciętą pod Cecorą głową. Gdzieś rozwleczone szczątki Iwana Mazepy. A jednak odczuwam spokój, uczucie, że wszystko jest na swoim miejscu.

To samo uczucie w Podkamieniu. Same tragedie. Szpital psychiatryczny dla kobiet. „Takiego nie widziałem – mówi przeor Metody Kościuk. – Kobiety, psy i szczury szukały jedzenia na śmietniku, w kościele był garaż”. A jednak miejsce emanuje spokojem. A jednak ufność, że jutro będzie lepiej.

Pocajów. Prawosławna ruska Częstochowa. Tuż przy ołtarzu skulona kobieta kłębi się w mroku, czegoś niezgrabnie szuka. Zgięta. Wyciąga coś z głębi czarnej szafki. W ręku trzyma cebulę. Obok mnie trzy starowinki z plastikowymi reklamówkami w rękach zaczynają śpiewać głosem aniołów. Inne. Ślad innej duchowości. Innej tęsknoty. Przejmującej.

Ile czasu musi minąć, by nie zakłamywać słowem, czynem, by być. W światełku prawdy. Choć troszkę... „Jeśli umiłowales prawdę, zachowaj milczenie, uchroni cię od grzechu ignorancji”, głosił Izaak z Niniwy.

Kiedy Matka wyrusza ze słoikami w foliowej torbie do Ryśka, kołyszę się, odprowadzam ją wzrokiem.

Nasze znajome kąty. Z czułością patrzę na dom. Znajome. Jak je zapamiętać na zawsze? Patrzeć uważnie. Zacząć nieśmiertelność już tu, na ziemi.

Ostatni przegląd. Moi studenci lepsi ode mnie? Czasami.

Zakochuję się w uśmiechu i spojrzeniu Olgi. Ładnie się do mnie uśmiecha, czule.

Telefon do wujka do Wałbrzycha. Już skończyła się jesień. „Wszystko się kończy. Co ma początek, ma i koniec”, mówi mi. Myślimy o wujku.

Jadę do Wrocławia, potem przesiadam się do Wałbrzycha. „Pamiętasz, jak chodziliśmy nad Rudawę? Na Wawel, do Lasku Wolskiego? Na nogach? Pamiętasz?”, pyta.

Szpital w Wałbrzychu. Idziemy korytarzem. Tam i назад. Długa 2, mieszkania 8. Ostatni raz. Patrzę na regały z książkami i klaserami, ławę, stół przy telewizorze. Z kuchni biorę na pamiątkę komplet sztućców, otwieracz do kapsli. Fajkę. Daje mi ją Iwona. „Masz”, rzuca przez ramię, idąc do kuchni.

Zostajemy z Barbarą sami. Wszyscy wyszli. Jestem tu ostatni raz. Umarł mój wzór mężczyzny. Pamiętam, jak stawał przed naszymi drzwiami w Krakowie. W kaszkiecie i w ortalionowej kurtce, z teczką w ręce. Uśmiechał się filuternie, delikatnie, jakby z zakłopotaniem. Potem siadał przy stole, nieczuły na pytania Babci, milczący. Wychodził do miasta. Pytał: „Piotruś znowu chory?”. Mówił: „Irka, chodź, kupimy Piotrusiowi sweter”.

Szliśmy do Rynku. Ja ciągnę go pod witrynę antykwariatu, gdzie stoi moja zbroja, licząc, że stanie się cud, a on patrzy obojętnie i w Sukiennicach kupuje mi golf ze sportowym wzorem.

Mieszkamy w języku, w obrazach, w micie. Mit jest stopniem realności i marzenia, język objaśnia i opisuje. Obraz stanowi ostoję trwałości i porządku. Malowanie pomaga mi zachować dystans, opowiedzieć o radości, o strachu, ale i o patrzeniu w stronę świętości. Chroni mnie przed zakłamaniami.

Obraz: lecimy do Turcji. Zobaczyć, pomyśleć. Dziewczynki się pakują. Ja jutro jeszcze do Warszawy, do Helenki.

Mama: „Całą noc siedziała koło mnie babcia Helena. Rozmawiała z Lucynką. Myślałam, że pierwsza umrę. Nie chcę, żeby mi obcięli nogę. Rana straszna. Iwonki zastrzyki w brzuch i opatrunki niewiele dają”.

Katowice, ulica. Iwonka: „Można odpuszczać w sferze słabości, ale nie można odpuszczać w sferze siły”.

Maluję. Sto papierów za pięćdziesiąt złotych. Szare na czarnym. Moimi pierwszymi widzami, krytykami są portierki i portierzy.

Jesteśmy. Dostrzegam dobrodziejstwa powiększania i dobrodziejstwo cienia rzucanego przez drzewa. Jedziemy przez góry Taurus spalone słońcem. Bez śladu zwierząt i ludzi. Płyniemy. Białe, plastikowe fotele zagarniają dwie młode Ukrainki z Donbasu. Iwonka nie ma gdzie usiąść, oddaje jej swoje krzesło. Ukraińska młodość jest nieugięta.

Lubię tę turecką rodzinność. Kilka pokoleń razem, nawet na plaży. Tym bardziej na plaży.

Mistrz akrobacji, sprzedawca lodów. Genialny w swoim pachnącym, śpiewającym świetle, zajmuje jedno z głównych miejsc na wieczornej promenadzie, piękność obgryza paznokcie. W kawiarni gwar, wszyscy grają w trik traka. Wszyscy, czyli sami mężczyźni. Na deptaku w Fethiye na murku siedzi chłopiec. Patrzy na tłum turystów, obywateli innej rzeczywistości. Ziewa.

– Ugotujesz zupę szczawiową, jak pozbierasz szczaw?

– Ugotuję, jak uniesiesz garnek, bo ja nie przeniosę...

Mama w szpitalu Rydygiera od tygodnia. Dziesiąte piętro. Ranę oczyścili. Został szkielecik.

Obraz: Sofia. Pada śnieg, wyjeżdżamy z Krakowa. Wolno mijamy nasz park. U Mamy się świeci. W trójkę siedzimy w autobusie do Sofii. Śnieg, mało co widać. Kupuję draże na przejściu granicznym. Przede mną siedzą dziewczyna i chłopak. Pół-Serbka i pół-Serb. Gdy mówi jej, że ma polskie oczy, ona odpowiada: „Jedno oko mam polskie, drugie serbskie”.

Ładnie powiedziane. Oboje kochają Bałkany. Ona wyraźnie chce, żeby ją pocałował. Noc mija. Nic z tego.

17 lutego. Sofia. Patrę na moje targowe zbiory. Zostaną po mnie obrazy, blaszki i tkaniny. Witosza jaśnieje w nocy. W oknie naprzeciw pali się światło.

„Pan pierwszy mówi, że mu się Sofia podoba”, mówi kierowca z ambasady.

Meczet. Kładę buty w przegródce numer 13.

Święta. Niedziela. Sofia. Mądrość Boża.

Znajome sklepy. Kupuję krzesiwo i stare, zaśnieżone pierścionki, i krzyżyki u handlarzy pod Soborem Aleksandra Newskiego. Czy odkłada się w nas światło Bałkanów? Drobiazgi z greckiego, rzymskiego świata. Znowu anioły, świece, zapachy.

Miło. Iwonka. Olga: „Lubisz jeździć po dużych miastach?”. Lubię. Olga dostała złote, tureckie pantofelki, olejek różany, lalkę i serduszko. Żeby pamiętać Sofię, żeby wiedziała, że ją kochamy.

Moja wystawa. Dwie Cyganki. Pozapinana na ostatni guzik. Pytam:

– Który obraz się pani podoba?

– Ten.

– Dlaczego?

– Bo ja właściwie szukam domu – odpowiada. – A tu są drzwi, schody...

Daje mi kalendarzyk z marynarzem. Ucieszył mnie. Dlaczego dom na moich obrazach nie ma okna? Sam obraz jest oknem. Wierzę w moc nienazwanego.

Marteniczki na drzewach. Maleńka cerkiewka w górach. Tu urodziła się historia Bułgarii. Na tych kilku metrach... Grający na fujarce mężczyzna obok łaźni. Psy.

Wyjechałem z Sofii, zabierając wspomnienie światła zamkniętego w ikonach, w szeroko otwartych oczach aniołów od świętego Grzegorza, w proporcji cegły i betonu do nieba.

Mój mrok jest dowodem na istnienie jasności. Świeci się mi Bułgaria. Podoba mi się Sofia. Jej żywotność, naturalność, ruch. Ludzie, ulica bez makijażu. W niej zawarta jest mądrość, może nie boska, ale ludzka, z prawem do błędu i z siłą trwania.

Nie lubię zagadywać obrazów, ani swoich, ani cudzych. Wierzę w przeznaczone spotkania. Wierzę w moc sprawczą kilku obrazów. Obrazy z cyklu Dom to kolekcja bardzo prywatna. Przepowiadanie swoich myśli, emocji, przesuwanie kadrów swojego filmu. Kobieta z miednicą to moja Matka. Baletnica to Olga. Ja to ten... ta czarna góra. Tu klęcząca kobieta... To fakty, nie tylko konwencja. I pośpiech, żeby zdążyć opisać swoją tęsknotę za tajemnicą. Nim się w niej sam zanurzę.

Malowanie jako stan zwykły i stan metafizyczny. Komunikat od i komunikat do wewnątrz. Coraz częściej pytam o wymiar i ważność piękna. Przeświadczony, że istota piękna tkwi w proporcjach.

Patrzę na Sofię, na jej proporcje betonu i cegły do nieba. Wracamy przez Serbię. Po wojnie. Zły czas.

Zupełnie przypadkiem Sankt Petersburg. Załatwiam wizy. Maluję na podłodze w domu, czego nie znoszę. Chlap, chlap, chlap. Telenowela w tle.

Obraz: znowu Białoruś. Szeregi ładnych bloków mieszkalnych i las garaży tuż obok. Patrzę na małe, schludne domki, białe, żwirowe drogi obok nich, po których jadą cysterny, ciężarówki z napisem: „Małako”. Patrzę z okna pociągu, jak ktoś gdzieś, o szóstej rano, pali ognisko pod lasem...

Bereza Kartuska. Iwonka z Olgą przytulone, śpią. Miło. Widzę te puste równiny z brzoźkami i cieszę się. Niebieskie okna w wiejskich domach. Czyżbyśmy stamtąd pochodzili? Polesie. Tu są Pińskie Błota, na których wujek Stefan Balukiewicz „złapał” gruzlicę.

Mińsk przecież nie straszny. „Kto nie był w Mińsku, ten świata nie widział”, mawiała babcia Kai Wierzbowskiej-Wrońskiej do swojej koleżanki.

Pociąg ruszył, na peryferiach miasteczko samochodowych garaży z wystającymi spod dachu rurami. Dokąd czarne ptaki lecicie? Za Mińskiem wioska. Dwie kobiety pod oknem rozmawiają. Jedna w czarnej chustce na głowie, druga w zielonej. Pomniki bohatera wojny.

Cieszę się, że tu jestem. Z Iwoną. Z Olgą. Patrzę całym sobą. Wiosna. Świat świętuje odejście zimy. Piaskowe drogi przez wsie. Chłopcy nad rzeczką. Jeden ucieka, drugi go goni, a trzeci jedzie za nimi na rowerze. Człowiek za drzewem odczepił butelkę, do której ściekał sok z brzozy. Beriozowyj sok.

Kim jestem? Teraz jestem patrzyeniem.

Tu niebo jest bliższe ziemi. Minęliśmy Witebsk. Miły poznany Pan Straszący rzuca: „Dwieście tysięcy ludzi ginie rocznie w Rosji w niewiadomych okolicznościach”. Stoimy na korytarzu i patrzymy na pola za oknem. Katastrofista. Pewnie zginie.

Pierwszy maja. Sankt Petersburg. Pięknie. Na plaży, dotykającej osiedla przy Korablestroitielej, ptaki siadają na kawałach betonu, z którego wystają pręty zbrojenia, resztkach cegieł i zerwanego asfaltu. Na rozjeżdżonym przez samochody placu zakochani. Przyjeżdżają tu przed zachodem słońca, nad morze. Atawizm. Ja idę pod pomnik marynarzy z krążownika Kirow. Stoczył ponad dwieście potyczek. Mijam boisko i stoję na tyłach naszego akademika. Pływają łabędzie. Wieje wiatr. Patrzę na resztki śniegu, na boisko, na którym grają w piłkę chłopcy, na graffiti, ogromne mrówkowce i gdzieś śpiące Iwonkę i Olgę na piątym piętrze 20/3 przy Korablestroitielej. Na naszej plaży, na tych betonach nad Zatoką Fińską, palą ogniska, robią sobie zdjęcia, piją szampana, piją wódkę i w zaparkowanych samochodach czekają na zmierzch. Na miłość. Na seks.

Obietnica. „Pokłoń się ode mnie Damie z łasiczką, daję ci, Piotr, takie zadanie”, pani Anżela Bondarienko z Ermitażu, dzięki której tam weszliśmy, za darmo. Bezkosztownie.

Zagubiona tożsamość. Patrzę na człowieka, idącego wzdłuż garaży. Potem przez boisko. Długi cień. Na ludzi z psami na osiedlu. Jak kobiety rozmawiają... Znowu jestem patrzyeniem. Dziesiąta godzina, jeszcze jasno. Zbliżają się białe noce. Codziennie rano, gdy jeszcze wszyscy śpią, idę na plażę. Czasem z riażenką, czasem z piwem. Patrzę... Człowiek nad brzegiem morza to dla mnie człowiek stojący na krawędzi, ale i wobec nieskończoności. To sytuacja. Siedzę. Patrzę. Od horyzontu zza mgły dudnią dźwięki kafarów albo defilady. Jedno i drugie. Dzień zwycięstwa.

– Olga, zobacz...

Już połowa dnia, idę po plażę z Olgą i jej niedźwiadkiem. Patrzę na popisane cegły. Po zobaczeniu wielkiej legendy: Rembrandta, Vermeera van Delft, patrzę na skalę wielkiej sztuki. Na jej żywą skórę. Człowiek ma być lepszy, bo ma zdolność tworzenia świata. Jeżeli może coś zrobić, żeby świat był lepszy, to powinien.

Siedzieliśmy przy Twierdzy Pietropawłowskiej. Porozbierane do staników i majtek leżące kobiety foki. Opalanie. Olga grzebiąca w piasku, Ciepło i chłód zięjący z głębin murów. Straszne uczucie... Ciemnica. Kazamaty, gdzie więzili konfederatów. Dekabrystów. Patrzę, jak odbijają się w wodzie Newy rozświetlone okna Marmurowego Pałacu, marli w zimnie. Kot wślizguje się do sarkofagów carów. Patrzymy na przeciwną stronę Newy, gdzie w Pałacu Marmurowym dożywał ostatnich dni, nim nie spoczął u Świętej Katarzyny Aleksandryjskiej, ostatni polski król. W pierwszych dniach maja w Pitrze budzą się muchy i komary.

Godzina jedenasta. Połowa okien się świeci. Nie śpią. Lubią białe noce. 23.40. Na boisku jeszcze grają w piłkę.

Ranek. Nad morzem. Mężczyzna w spodniach moro ciągnie po kamieniach ponton. Obok niego biegnie pies. Kundel. Rozgląda się, szuka cegły jako obciążnika. Znalazł. Odpływa. Aż po samą linię horyzontu. Cisza. Mgła. Absolutna Harmonia.

Ale mi się podoba ten świat. Z zachwyty nad gęstością nie mogę się zamknąć. Napisać o podróży do Rosji, o miłości, o siedzeniu nad morzem, o czułości patrzenia na brzoźki. O żarliwości patrzenia na czarny las. Zmieniają się miejsca, nie zmienia się to moje siedzenie.

Wróciliśmy do domu.

Armine Bożko. Córka ukraińskiego polityka, pół-Ormianka. Ładna. Miła. Siedzimy na Kazimierzu w Alchemii. Mówi: „Malarz nie ma prawa wpuszczać wszystkich do swojego świata, tylko wybranych, bo jak dwór będzie otwarty, to wszystko wyniosą i dwór będzie pusty”. Ładnie opowiada. Wymawia „ptań”, z długim, głuchym ukraińskim „h”. Ładne. Dzikie.

Mądra Olga: „Ten dom nasz podoba mi się nawet, gdyby w nim nic nie było. Nawet drzwi i okien...”.

Myśląc o Fiodorze Dostojewskim. „Łatwo można zostać złym człowiekiem”, mówi Marek Olszyński, malarz idealista. Siedzę u niego w pracowni w Przeworsku. Daje mi dwa obrazy. Dobrze.

Obraz: Ukraina. Lato. Piąty dzień w Kamieńcu Podolskim. Moja kraina. Nieuczesana. Kraina lulek, ruczników, dziurawych ulic i starych zamków. Wczoraj stróż z budowy obok mówi, że jest pół-Polakiem, matka Sofija Dobrowolska spod Kamieńca Podolskiego, a ojciec Ormianin z Karabachu. On uciekł tutaj, gdy wymordowali mu rodzinę.

– Muzułmanie przyszli i zabili mi żonę, ojca i dwójkę dzieci... Pokazuje mi wartość swoich wielkich dłoni. Dwie fajki, lulki i dwie kamienne siekiery z neolitu... Idę do niego.

– Coś ci pokażę – mówi. Idziemy w stronę baszty Batorego, schodzimy po kamiennych stopniach. Otwiera żelazną bramę, uspakaja psy. Dwa rottweilery. Mieszka pod skałą w resztkach rozpadającej się drewnianej chałupy, z klepiskiem zamiast podłogi, gdzie ustawiona jest kuchenka gazowa. Psy wchodzą do domu podkopem pod belkę, on też omija drzwi. Idziemy pod skałę. Wyciąga zawiniątko. Długi pakunek zawinięty w folię i okręcony sznurkiem. Odwijają, rozsypując wolno węzły. Wyciąga dwie kozackie szable.

– Czarnej sotni – mówi – tasak, kindżał. Chcę ci sprzedać. Tobie. Nie komunistom... Wracam.

29 czerwca. Święto. Procesja na zamek. Jak z guberni kurskiej. Mówi biskup Leon, szybko przechodząc przez nasze podwórko: „Idźcie na zaułki i sprostcie ludzi na obiad, niech wszyscy przyjdą”. A na ulicach księżniczki. Krasunie.

Znowu Chocim, Żwaniec, Bakota. Tam w ziemi pod cerkwią, która spadła do Dniestru, znaleziono miecze wojujących mnichów. Centrum tych ziem. Święte źródła. Święta góra, święte miejsce. Tam szczipy, duchy, które wodzą... Pachnie. Lubię tam wracać.

A jak przyszli czekici do ormiańskiej katedry po srebrne i złote wota, to mnisi Ormianie ich zabili. Potem zabito wszystkich mnichów, ale oni w międzyczasie zdążyli ukryć cały swój skarb. Dopiero parę lat temu kilku robotników wykopało złote nausznice z siedemnastego wieku i rozdało swoim żonom. Milicja zainteresowała się, skąd mają – i zabrała, i teraz są w Kijowie w muzeum.

Opuszczenie przez Boga. Tak to tłumaczę studentom. Natalia Ursu. Czarny kwadrat na białym polu. Malewicz namalował w 1913 roku. Natalia trochę zmyśla... Ale sugestywnie. Borys opowiada o cerkwi koło Bakoty. Gdy podnosili wodę na Dniestrze, to zalali cerkiew... Ludzie nie śmieli rozebrać. Z wody wystawały tylko banie. Jeden komsomolec łódką podpłynął do cerkwi, zajrzał przez okienko w bani i zobaczył słońce i anioły. Uciekł. Cerkiew jakiś czas stała w tym miejscu, a potem odpłynęła w stronę Mołdawii. Budował ją mołdawski budowniczy. A potem wróciła z powrotem pod swoją wieś, stała tam jakiś czas, pływając, a potem się rozpadła. Opowiadał też, jak mu zapłacili za malowanie całej ciężarówką cukru, który musiał sprzedać.

Wracamy przez Medzilaborce. Mam tam obrazy do odebrania w Muzeum Andy'ego Warhola. Znowu Cyganie będą pchali wózki z dziećmi, a nocą będą się bili i wrzeszczeli na ulicy. Lubię na nich patrzeć, jak siedzą na środku drogi pod drzewem.

M.: „Idź w swoją drogę, ja pójdę w swoją”.

Obraz: Rzym. Jedziemy. Noc. Księżyc we mgłach nad Alpami. Myślę, jakim były koszmarem dla żołnierzy napoleońskich i wszystkich innych, którym dane było je przejść. Dziadkowi Witka Krawczyka śniły się po nocach. Zrywał się z krzykiem jeszcze wiele lat po pierwszej wojnie...

Umbria, Toskania, Orvieto. Katedra pasiasta... Historia niewierzącego kapłana i eucharystii, z której polała się krew... Miasto na górze. Na skale. Gorąco. Śpiąco. Przyzwyczaiłem się już do tego żaru. Mieszkamy we Fiuggi za Rzymem. Naprzeciw sklep, w którym kupuję wino. Za kwaśne... Za drugim razem kupię to stojące obok. Słodsze. Bazylika Świętego Piotra. Wzruszenie. Mijamy płytę Jana Pawła II.

Rok ostatni sprawił, że zrozumiałem, że doskonałość polega na tym, aby w porę zrozumieć, że nie ma spraw zaczętych i zupełnie w życiu człowieka skończonych. Im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej... Autobusy. Tiry. Cysterny. W drodze. We wszystkie strony. Dwie koncepcje. Byle szybciej i byle wolniej... Tłum w Muzeach Watykańskich. Istnieje w języku polskim określenie używane do opisu „kozackiej czerni i Tatarów”: wylewają się. Nie mam lepszego słowa, patrząc, jak wpływają do sal z Perugino, mali, skończony, czarni i szybcy. Czy o czymś jeszcze malarstwo nie zapomniało? Wątpię. Przebiegamy. Jakiś kalejdoskop. Ale jaki? Wierzę w objawienia. W moc objawienia. W kalejdoskop też.

Polska. Lato. Byliśmy pod Krojantami. To tylko sześćdziesiąt siedem lat temu. Ja, pogrobowiec tej heroicznej koncepcji, urodziłem się dwadzieścia lat po ostatniej ułańskiej szarży. Jedziemy przez Polskę. Wolno, z namysłem. Wypatruję grzybów, saren, zajęcy i żurawi. Patrząc na ślady okopów i tarło dzików. Morze jakby z boku. Ważny las. Pachnie. Kurki i wypatrywanie czerwonych kozaków. Podziw, z jakim patrzę na zwierzęta. Ogromny. Zjawisko. Wynurzają się majestatycznie z traw sarny. Kruche i piękne w swojej nieśmiałości, z jaką rozglądają się, czy nic im nie zagraża. Kołują bociany. Język zachował zachwyt człowieka nad tym spotkaniem. Podziw... Bocian kroczy, zając przycupnął... Kiedyś człowiek spotykał się ze zwierzęciem w walce na śmierć i życie. By pokonać zwierzę, musiał być szybki, silny i odważny. Kiedy z oszczepem w rękach osaczał niedźwiedzia czy strzelał z łuku.

W zielonej budzie na plaży Olga uczy się tabliczki mnożenia. Sztorm. Człowiek nad brzegiem morza to... Wiatr przegina plastikowe palmy. Wilgoć. Siedzimy i patrzymy.

Zmarł Piotr Jarża. Mój nauczyciel malarstwa. Drzewa, które widzę, są drapieżne. To sosny. Wiatr od morza niesie resztki nadmorskich traw. Powykręcane konary starej sosny, jak sam Piotr. Wiatr i piach. Jarża mnie wyraźnie lubił. Miał w sobie rys arystokratyczności. Wyraźny Jakiś ważny dystans do bylejakości, fajności i równości. „Nie śpiesz się – mówił, siedząc na parapecie – wypalisz się za szybko”. Cały jego dom ascetyczny – z Grażyną i córką piękną Julią, z której był tak zawsze dumny – miał jakiś rybacki wymiar. W ubeckiej celi śmierci siedział czy stał w wodzie. Może dlatego tak wyglądały jego ręce? Pokryte pergaminową skórą, zsunięte w trójkąt palce, w które niewiele co mógł wziąć. Sypał do farby piach. Pomagałem wieszać mu nasze wystawy na białych planszach. On trzymał szpilki, ja wbijałem tam, gdzie kazał.

Olga zachwycająco tańczy. Jest w tym wielka. Pada śnieg.

Patrząc z okna pracowni, jak kilka bloków zmienia się w strzeżone, otoczone płótem getto. Na moich oczach runął mur berliński, ale szybko pojawiły się niewidzialne mury ekonomiczne i osiedlowe anonimowe getta. Choroba.

Pani Agnieszka Nowakowska ucałowała nasze ikony, wysypała na stół mandarynki, rozpakowała chleb bananowy, który sama upiekła. Jest w niej absolutnie jasny płomień, którym się pali. Ostrzyżona na wygoloną w pasy zapałkę z francuskim akcentem. Piękny człowiek. Świetlisty. Olga zadowolona z koleżanki.

Maluję na podłodze z moskiewskich i medzilaboreckich szkiców. Lubię gęstość takich najmniejszych. Bywają wyostrzone.

Sen Viatorisa. Jestem na leśnej polanie z Matką. Polana to wyrąbany okrąg. Pnie drzew i paprocie pomiędzy. Poręba. Idziemy przytuleni, pod ramię. Świeci słońce. Lato? – Kocham cię, Mamo – mówię. – Ja cię też kocham. Idziemy dalej. Nagle zatrzymuje się i patrząc na mnie, kategorycznie, właściwie nieprzyjemnie, ze złością badawczo pyta: – Powiedz, a gdzie my właściwie jesteśmy? Czy idziemy po moim brzuchu?

Od tamtego snu, ziemia, a nie niebo, jest dla mnie mieszkaniem duszy, mieszkaniem.

Sen drugi. Idę do Marylki. W Cieszynie na Bielskiej. Stoi w drzwiach. Na piętrze. Brakuje tylko drewnianych schodów.

Sen trzeci. Spotykam na Plantach ojca. Mówię: – Usiądźmy. Kiedy siada na ławce obok, odchodzę.

Obraz: czwarta rano, Lwów. Zbieram. Ptaki nad parkiem Stryjskim zataczają kręgi. Jadę. W Truskawcu w kącie domu zdrojowego śpiewają staruszkowie zbici w gromadę. Śpiewają. O polityce? O bożej łasce? Nie. O miłości. Piję wodę. Truskawiec mój. Mój Żydaczów i mój rosół na plebani w Haliczu. Wyrównuję proporcje między daniem. Biorę. Nikt nie wie, nie przypuszcza, jak cieszy mnie, że przejeżdżam mały Dniestr. Chleb, rano chałwa w bloku.

Zapamiętuję kolory przypraw, zapach listopada. Dźwięk tramwaju pod wołoską cerkwią, wilgoć wody święconej. Kolor posadzki. Taki mój Wschód, za mojej młodości, chciałbym pokazać Helence. Mnie za czeburakiem, pielmienie w maśle, ściekającym mi po brodzie, żółte błyski w oczach od mamałgi. Moje wielkie kroki. Moją miłość.

To jak wyciągam bilet i na granicy wpisuję cel podróży. Cel? Turystyczny? Naukowy? Inny? Chyba ten czwarty.

Trzy dni Mama jest w domu. Lustra zasłonięte. Jadę z Ryśkiem do zakładu pogrzebowego. Potem wybieramy trumnę. Patrzę na jego ortalionowe buty z niedopiętymi rzepami. Najładniejszą. Łzy mu kapią...

Obraz: Białoruś. Jedziemy. Już ruszyliśmy. Z dworca Warszawa Centralna. Muzyczka. Rosyjskie disco polo. Telefon od Piotra Kozakiewicza, że Białorusini zatrzymali moją wystawę. Na granicy. Jadę dalej. Noc. Rozlewa się wolno świt. Mokradła. Domki w Baranowiczach, wysiada opalona sąsiadka. Ładna, w czarnej bieliźnie...

– Cześć mamó, co u ciebie? Dobrze, a co u was? Wszystko dobrze. O nic się nie martw. Odpoczywajcie. No to cześć, Piotrusiu, kończę.

A jednak naprzód. Jesteśmy w Mińsku. Nie cofnąłem się, jak Piotr powiedział, żeby wrócić i przenocować w Białej Podlaskiej.

W cerkwi Świętego Mikołaja znowu czułość przed...

Wcześniej kościół inny, potem ładne miasto. Bliskie człowieka. Hotel Białoruś z widokiem na Świsłocz i kasyno Europa. Wchodzę schodami awaryjno-pożarowymi.

Nieśwież. Mir. Nowogródek. Zaosie. Jedziemy. Rozmawiam z lekarką o Chinach. O Szanghaju. Pyta o wystawę. Zapraszam.

Nieśwież malują na białą i niebiesko. Nawet kamienie przed szkołą. Swojsko. Na sposób tutejszy. Staruszka trochę się droczy, ale nas wpuszcza do Radziwiłłów. W kryptach trumny. Sierotka za kratą, za filarem Panie Kochanku 160 kilogramów, na końcu. Sprzątający klucznik Horeszko i garnek, w którym pomieszczono Radziwiłła, którego na polowaniu rozszarpał niedźwiedź, zrobiły na nas wrażenie.

Mir. Siedzimy nad jeziorem zakochanych pod zamkiem. Wiatr. Siedzimy na wyspie. Dobrze nam. Ale odlot. Miasteczko przerezione. Kasjerka z dworca autobusowego sprzedaje bilety, nie przerywając rozmowy przez komórkę, ze stojącej na parkingu, sto metrów od dworca, łady. Patrzemy na cerkiewkę – okręt. Przeczekujemy w barze sklepie. Po drodze, chcąc zobaczyć album, zrzucaam w księgarni gipsowe, błękitne gołąbki zawinięte w folię. O. poprawia czapkę z daszkiem. Patrzę.

Nowogródczynna. Biorę taksówkę i proszę taksówkarza, Tatara: – Pod zamek, a potem pod kościół. – To tam monaszki – mówi. – Wasze mniszki...

Tak. Mieszkamy pod farnym kościołem, pachną fiołki. To tu Jagiełło, Halszka, Mickiewicz.

Nowogródek. Nazaretanki, siostra Faustyna to nie ja... Śpimy w dużej sali. Przez okno widać ogród, domki drewniane i zamkowe wzgórze, rocznik przed 1939.

Wstaję... Patrzę w okno. Czwarta rano. Za oknem na niebie same gwiazdy. Jestem. Na śniadanie chleb biały, pieczeń ze śliwką, ser, maliny, mus, biały ser.

– Nigdy nie będzie tu dobrze. Pracy nie ma – mówi.

– To co zrobić? To przynajmniej trzeba się uśmiechać – mówię po rosyjsku.

Rozchodzimy się. Patrzę na miniaturowe domki pamiętające Polskę. Idę budzić dziewczynki.

Wracamy do Mińska. Dwieście pięćdziesiąt czy trzysta osiemdziesiąt obrazów, nigdy nie liczę, zarekwirowali mi. Spełniły swoją ważną dla mnie rolę. Ale niech oddadzą.

Kobieta obok, z którą wsiedliśmy do autobusu, opowiada, że gdy była dzieckiem, wchodziła tu z innymi dziećmi do lochów, którymi można było dojść do zamku w Mirze. Gdzie dojść? Tam kareta i trojką koni by przejechał. (Ładne z tą kareta). Będę się modlić o wasze obrazy. Będzie dobrze. W mojej rodzinie mieli dar leczenia trawami i dar jasnowidzenia. Mamusia Marysia Czarnkowska-Zienkiewicz była z Nowogródka. Byłam tu na cmentarzu. Chcę naprawić grób. Żeby był na dziewiątego maja. Na święto.

Zasław. Muzeum. Dwie kobiety życzliwie radzą: – Idźcie do chirurga.

Dzieci słuchają, jak nauczycielka opowiada o kniaziu czarodzieju, zamieniającym się w wilka albo w niedźwiedzia, jego synu książnym kniaziu i świętej...

– Będziecie o tym uczyć się w szkole. I uczcie się języków – dodaje.

Pod otwartą cerkwią starsza kobieta obmacuje mi nogę. – Uderzyć trzy razy w ziemię – wyrokuje. – Pięta! Przejdzie ból... Uderzam. Żegnamy się serdecznie. Na pożegnanie całuje mnie w rękę. Oddaje. Natychmiast. I kuśtykam dalej. Ładny słoneczny dzień...

Wracamy. Dzwoni Piotr. Akurat jesteśmy w cyrku. – Napisz list do władz Białorusi, żebym coś takiego miał. Coś bredzę. – Wiesz, Piotr, jak tu niedźwiedzie tańczą...

Piszę list: „Do Władz Białorusi. Od zawsze Wschód – czuję że i Polska również – jest bardziej nieprzewidywalny i niepoliczalny od Zachodu, bardziej doświadczony losem, bogatszy duchowo – jest mi duchowo bliski. Jest miejscem, gdzie odnajduję

ważne postrzeganie człowieka. Ważne dla mnie, ważne dla świata. Patrę na Białoruś z czułością, na jej delikatne piękno». To fragment tekstu z katalogu do mojej wystawy, która się nie odbyła. U podstaw filozofii malowania leży komunikat, ale i głęboka ludzka wiara, że obraz jest pytaniem o wymiar ludzkiego, człowieczego piękna, ale za tym pytaniem jest coś znacznie ważniejszego: jest pytanie o wymiar, ważność dobra. Temu tylko służy sztuka. Celowo używam słowa «służy», mimo że teoretycy sztuki modnej, brzydząc się słowa «służy», mówią, że forma służy formie. Nieprawda... Malarze ofiarowali światu zarówno lustro prozy, jak i lustro sacrum. Obraz służy, bo coś, co nikomu i niczemu nie służy, jest bezużyteczne. Wynikiem mojej głębokiej wiary, że człowiek zawsze ma wiele do powiedzenia drugiemu człowiekowi jest moja wystawa, dedykowana pamięci mojej zmarłej Matki. Składająca się z ponad trzystu pięćdziesięciu prac wybranych z różnych cykli, z okresu prawie dwudziestu pięciu lat, o której organizację w Mińsku zabiegałem od lat trzech. Wynikiem mojej głębokiej ufności, że opowiadając o swoich emocjach, szczerze i najlepiej jak potrafię, wychodzę samotny na drogę, ale nie idę po niej sam, że będzie szansą na ważne spotkanie... człowieka z człowiekiem. Tego spotkania byłem ciekaw i na nie się cieszyłem, że pokażę swoje obrazy w Mińsku. W rękach Państwa znalazło się ponad trzysta pięćdziesiąt prac. Napisałem kiedyś, że są to moje obrazy z drogi życia. Ale przede wszystkim są to moje obrazy domowe: schody w domu wujka, wiaderko z węglem, drzwiczki od pieca, portret Matki na kilka dni przed śmiercią i jej pusty pokój. Ich miejsce jest w Domu. To nie są obrazy na sprzedaż, to nie są obrazy na zatracenie. Jadąc autobusem z Nowogródka do Mińska, zaprosiłem na wystawę starszą kobietę. Zapytała: – Kiedy? Powiedziałem: – Nie wiem... Obrazy są na granicy. Powiedziała: – Będzie dobrze, będę się o to modlić. Prosząc o ten akt dobrej woli, jakim będzie zwrot obrazów, wierzę, że jej modlitwa zostanie wysłuchana. Z wyrazami szacunku, Piotr Jargusz”.

Napisałem. Leżę ze złamaną nogą. W hotelu. Pod Białą Bramą kupiłem Ryśkowi nóż. Piękny. Czekałem na odpowiedź na mój list trzy dni. Nie oddadzą.

Przetłumaczyli mój tekst do katalogu wystawy, wydali. Czytam: „Malowanie to dla mnie ważna samotność. Malarze podobni do mnie rzadko opowiadają dowcipy samym sobie. Czasem błędzą i trwonią czas, ale rzadko rozśmieszają. Maluję, by pytać. Jest czas pytania i czas wiedzenia. To, co i jak maluję jest efektem obydwu. Moje obrazy są zapisem rozbierania i ubierania.

Moja Matka szyła. Pięknie. Pamiętam szcęk nożyczek, dwóch kawałków stali, mijających się ze sobą. Kroiła na miarę człowieka, a potem szyła według formy. Miara i Piękno. Zasłanianie i Odkrywanie... Od miesiąca maluję pusty pokój. Z łóżkiem nakry-

tym różową kołdrą. Z odcisniętym jeszcze śladem Matki. Pokój, w którym od czasu wojny i czasu dzieciństwa mojego i moich córek mało się zmieniło. Jestem jak archeolog, specjalista od lekarstw, orzeszków upychanych do pudełek po cukierkach i woreczków foliowych z wkładami do tanich długopisów. Wielki inkwizytor i penetrator. Odczuwam wagę i niezbędność spinacza, guzika, plastikowej gwiazdki choinkowej, pogryzionej przez psa. Maluję świat ułożony ostatkiem sił. Wątlą barykadę z pudełek po lekach, latarki, pocztówki, cukierka... Świat poupychany i popakowany w foliowe reklamówki. Szukam dla tego precyzyjnego konturu. Przecież wychowałem się w kulcie dawności, w domu, gdzie mało co wyrzucano, mówiąc: «Może się jeszcze kiedyś przydać». Wybierając obrazy do Mińska, chciałem opowiedzieć o losie człowieka... O potędze i kruchości. O Duchu. Od zawsze Wschód jest mi bliski duchowo. Jest mieszkaniem mojej duszy. Miejscem, gdzie odnajduję ważne postrzeganie człowieka. Ważną afirmację świata, z którego wracam zawsze bogatszy i zawsze cieplejszy... Myślę, że tym, co porywa ludzi, są dzieła, w których toczy się walka o wartości. Dobra ze złem, piękna z brzydotą, chaosu z harmonią”...

Nie wiedziałem jeszcze, że czeka mnie siedem białoruskich przegranych procesów.

Dalszy ciąg rozmowy z Matką. – Pamiętasz? – Pamiętam. – Miło mi, że pamiętasz. – Zleciało. – Umarłam? – Nie, żyjesz. – Jakoś tak dziwnie... – Chcesz coś? – Nie, dziękuję. Nic.

Tak odpowiedziałas, to było ostatnie twoje zdanie. Normalnie. Teraz jesteś ze mną wszędzie. Prawie wszędzie.

Pamięć. Była Jola Antecka. Opowiadała: „Nie wiem, czy pamięć jest dobrą rzeczą. Ja dużo bym dała, żeby pewne rzeczy zapomnieć. Nie chciałabym pamiętać, jak moja ciotka zabrała mnie z domu i szłyśmy do niej. I nagle pod jej dom, pod Nosalem w Zakopanem, zajechało wojsko, to był 1947 rok, a w domu byli chłopcy od «Ognia» i zaczęli się ostrzeliwać... A jak im zabrakło amunicji, a dom już się palił, zaczęli śpiewać żałobną góralską pieśń... Nie chciałabym pamiętać zapachu płonącego domu i zapachu palących się w nim ludzi. I nie mogłam się nadziwić, ile z dużego, silnego mężczyzny – mojego ojca przestrelonego przez pół – może ujść krwi. Przez trzy dni... Kiedy zabrali hale i zakazali wypasać owce, mój dziadek Gąsienica brał mnie, psa i szliśmy opatrywać szałas. Co roku. Nie zapomnę smutku, jaki temu towarzyszył. A ja każdego psa, który z nim siedł na te hale, całowałam. To było potwornie smutne”.

Znowu swój. Odmienne stany świadomości, tanim kosztem, dzięki farbie... Maluję. Wielkanoc... Opowieść przepowiadaną sobie, aż dziw jak czytelną, w każ-

dym momencie mającą swój czytelny, ludzki wymiar. Gdziekolwiek by zacząć – początek. Gdziekolwiek słuszny koniec... Ale ta opowieść nie ma końca. Nie wiemy, co stało się na Golgocie. Dowiemy się przy końcu dni. Na końcu świata. Ten i tamten świat, określenie ze słownika mojego dzieciństwa. Gdziekolwiek spotykam cząstkę wielkiej całości.

Używanie nocy. Bez szczegółów.

Maluję. Moja Matka na obrazie myje nogi... – Wiem, każdy myje nogi... – mówi Eugenia zgięta nad miednicą, jak spinacz. Granatowo-różowe ścięgno na wierzchu. Tragedia. Pomódl się. Przeszła Rubikon cierpienia. Prognostyk na jutro. Powieszę kiedyś przy wejściu do naszego parku. Przy schodkach.

Jestem u Bujnowskich w Bronowicach, telefonuje Iwonka: – Ktoś ukradł twój obraz na Karmelickiej... Jest puste miejsce na rysunku Mamy, ktoś dokleił małą karteczkę: „Wynajmę pokój miłej osobie”. Ktoś ją potem zerwał. Piotr Paradowski?

Obraz: scena przy stole. O samotności. *Ostatnia Wieczerza*... Wypełnia się przeznaczenie... Miska z Podkamienia, ze szpitala dla opętanych kobiet. Upadek... Kolejne. Znacznie więcej niż te trzy... W kilku człowiek czołga się jak pies, w jednym jakby całował ziemię, przyrośnięty do niej, jak figurki ludzi leżące w Ławrze Peczerskiej. W mroku błagające o łaskę... Leżąca, leżący. Jednakowo bezbronni. Bezpliciowi w swojej bezbronności. Człowiek, który siedzi, jest zmęczony sobą, wszystkim... Ale człowiek, który leży, jest bezbronny. Skazany na nicłość. Człowiek, który wstaje, jest potęgą. Podobny ptakom zrywającym się do lotu. Wojownikiem. I koniem wojownika. I sokołem... Kim jesteś? – pytano słowiańskie nowo narodzone dziecko I odpowiadano za nie: Jestem rysiem, wilkiem i zającem.

Kobieta Siedząca. Mężczyzna Siedzący. Stosunek 2:1. Ona kobieca. Z profilem ciężkich, pełnych piersi. On konus, podparty... Powieszę pod Jubilatem. A tę jedną na Świętego Filipa. Noc. Po drugiej stronie siedzi na murze młoda, ładna prostytutka w czarnych okularach... Patrzy. Przycupnęła na krawędzi murku. Mini, nogi w czarnych pończochach. Zmienia ich układ, wolno... Delikatnie, mimo woli, jakby ocierała o siebie. Wie, co robi... Wie dobrze, że działa na wyobraźnię... Gdy wracaliśmy, już jej nie było.

Nie potrafię namalować Ukrzyżowania. Nie chcę potrafić. Zostawiam zacieki farby... Dematerializacja.

Czekałem trzy dni i nocę przy łóżku umierającej Mamy, wsłuchując się w jej chrapliwy oddech. Siedziałem, kiedy umarła i powolutku ziębła. Czekałem ranka. Błękitniało niebo... Za stówkę wnieśli trumnę do przedpokoju. Myślę, że nieśli Ją w rękach. Kiedy wypatrywałem z okna samochodu, nadleciały białe rybitwy. Zatoczyły łuk i zniknęły w parku. Nauczyła mnie kochać ludzi, zwierzęta i las.

A więc Ukrzyżowanie. Powieszę najlepsze z nich pod dworcem w tym smutnym miejscu. Umiera się w samotności. Nie na pokaz. Z dala od cudzych oczu...

Maluję lamet. Lament. Jak się dom spali, gdy ktoś umrze. Lament przynależny kobietom. Mężczyzna nie podnosi ramion do góry. Wrzeszczy: „Kurwa, ja pierdolę...”. Tłum. Jęczący. Groźny. Żałosny. Ktoś lamentuje? Ukrzyżowanie. Dematerializuje się wszystko fizyczne. Zastyga, gęstnieje. Samotność. Umieram? Dobranoc, przyjacielu.

Kotwica z Piasków kupiona od rybaka. Symbol odkupienia człowieka... Wieszam na oknie. Smutno?

Matka z trupem dziecka na rękach. Pieta. Mój Bóg jest Polakiem.

Maluję górę... Góra jest o pyle. O tureckich polach spalonych żarem. O mnie po nich idącym. O szarej godzinie, słońcu w zenicie, nocy. Góra spowita nocą i czarną chmurą. O słońcu. Pół jasne, pół czarne. Słońce i cień. Nierozzerwalne. Świętość to cel. Świat świeci się światłem człowieka. Ale cień człowieka kładzie się cieniem na świat. Stół z miską i chmura. Metafizyczna natura zjawiska, które nazywamy oczekiwaniem. Siedzący – starożytna poza – w kucki. Patrzę, więc jestem... Myślę, więc jestem... Frasobliwy Pan Jezusek. Tragedia trwa. To, co się wydarzyło, trwa. Dramat trwa. Końca nie ma. Czekamy.

Wieszam wystawę życia. Brak ostrości widzenia, dlatego chcę napisać o zapachu, smaku. O dotyku. Powinno być o schylaniu się i zbieraniu. Dotyk mnie rozczula, kiedy gładzę, czuję pod dłonią delikatną skórę czy nitki włosów. Kiedy dotykam kobiety. Kiedy dotykam wody, czuję, że oczyszcza, czasem gasi, mój wewnętrzny gorąc. Dotyk rzeki. Moje siedzenie na brzegu wiedzy i niewiedzy.

Jestem od odczytywania minionego. Zapach. Z pamięcią do zapachu się urodziłem. Z zapachem naszej piwnicy, do której schodziłem po swój dziecięcy rower, posadzki i kościelnej święconej wody, domowego kredensu, spiżarni, Matki... Jej zapach pomieszany z perfumami i zapachem różowego pudru. Rozsypanego na dnie szafy. Cała kolekcja. Zapach lasu, macierzanki i mięty, zapach ziemi, zapach miasta – wczesnie rano, kiedy jeżdżą polewaczki i późną nocą. Gorący. Znużony. Zapach prostacki kiełbasy i wysublimowany kobiety. Słodko-kwaśny. I zapach potu. Dowód istnienia. Czasem wchodzę w strumień powietrza, w ślad po mijającej mnie kobiecie... Uzurpator ciepła pomieszanego z zapachem jej perfum i ulicy. Ukradkiem kradnę zapach. Przechowuję zapachy odeszłe. Wyschniętego, zesztyniałego, wiszącego na sznurach na strychu prania. Zapach rozgrzanych od ognia drzwiczek naszego pieca. Ten jeszcze trwa... A ciężar, waga lekka nie w cenie? Ciężka, trwała tak. Człowiek żyje na brzegu nieskończonej tajemnicy. Pojęcie czasu jest też określone subiektywnie. Czas inny.

„Nie spiesz się tak, za szybko się wypalisz”, mówi Piotr Jarża do mnie. Siedzimy na parapecie okna w liceum plastycznym. Nie słucham. Inaczej nie potrafię. Muszę biec...

Mistycyzm spraw powszednich. Szarych dni. Jest o niepokoju. Człowiek nad brzegiem morza to letni spacerowicz, ale i sytuacja. Człowiek patrzy. Usiłuję na kra-
wędzi przeniknąć tajemnicę nieskończoności... Człowiek leżący, klęczący, stojący to też
sytuacja. Przyzwyczailem się do pracowni Jacka. Powiesilem. Ile? Męka. Patrzę. Bałem
się tego patrzenia. Udało się.

Stoimy obok Reformatów. Tam obchodzili swoje złote gody moi pradiadkowie...
Jak napisano w gazecie: „Członkowie starej krakowskiej rodziny mieszczańskiej”.

Moje dziewczyny... Ładnie wyglądają. Iwonka w czarnej, skórzanej kurtce, Olga w czer-
wonym płaszczku. Pod Bunkrem Sztuki, Chrystus według Piotra Jargusza siedzi i myśli.

W jakim napięciu malowałem te obrazy. W stężeniu rozgrzanego rozcieńczalni-
ka nie potrafiłem mówić, wypowiedzieć... Motyl... Mo... I koniec... Spacer przez Planty
pomógł... Jest Iwona. Przyszedł Staszek Rodziński, wyszedł wyraźnie przejęty. Przyszli
Piotr Paradowski, Jola Antecka, Krzysztof Jeżowski z żoną, Joasia Lewińska, Olga – po
balecie – siedzi na kanapie i uczy się na jutro hiszpańskiego... Jacek Węclawowicz za-
mawia wielką pizzę. Chrystus zmartwychwstał.

Helenka zmartwiona moimi oczami, czuła dla mnie. Troskliwa.

Wielkanoc. Wielka Moc. Miło.

Kilka obrazów ktoś wczoraj w nocy wyciął ze słupów. Ukradł i uratował.

Na Świętego Tomasza mija mnie grupa punków. Jeden z nich mówi z wyższo-
ścią do reszty: – Ja jem tylko ciepłe resztki.

Obserwuję uważnie swój oddech. Nie lubię duszności. Miałbym je po pradziad-
ku Balukiewicz? Czy po farbach?

W naszym parku kwitną na białe drzewa. Wiosna. Zaczynam malować Ukrainę,
od jutra. Patrzyłem z roweru na Siedzącą pod Jubilatem, przy wyjściu z przejścia pod-
ziemnego. Znajome ślady, znajome proporcje. Jeszcze nie zakleili.

Zawszę myślę o odpowiedzialności za drugiego człowieka. To ważny wątek mojego
myślenia. O odpowiedzialności. O stwarzaniu światów, małych, ważnych piekieł i małych,
ważnych rajów. Wierzę, że te światy są przenoszalne przez nasze dzieci. Że przetrwają.

Napisał Rusłan Samulewicz. Wzrusza mnie. Przysłał życzenia, rycinę starego
Kamieńca Podolskiego, pokolorowaną z jednej strony herbata, i ksero tekstu o wyko-

paliskach z czasów „trypolia” pod cerkwią na... Tam obok antykwariusza. Trzeba po-
myśleć o prezentach dla nich. Bez tego ani rusz. Za dwa tygodnie jedziemy.

Patrzę na pozaklejane obrazy. Bez sprzeciwu. Malarz nie należy do nadludzi.
Skąd to przekonanie o swojej nadzwyczajności? Muszą go dotyczyć prawa wszystkich,
z prawem do zaklejenia. Wybór. Sprawa wyboru. Artysta w randze produktu. Ale
wolno mu powiedzieć: Nie... Nie musi być medialny. Wolno mu nie pokazywać nic.
Ryzykuje nieistnienie? A sam obraz? Obraz – niemy ból. Czy trzeba więcej? Kryzys?
Przecież istotą wszechświata jest wieczna ewolucja. Wieczne perpetuum mobile. I tak
ja wierzę tylko w wagę czynu. Jedynie czynu. Z całym szacunkiem dla wagi wypo-
wiedzanego słowa, na którym zbudowano zręby naszej cywilizacji. Na początku było
Słowo. Ale liczy się czyn.

Gęsto. Tyle się dzieje. Dzieje się.

Janek Bujnowski przyniósł mi płytki ze zdjęciami Wielkanocy. Mojej. Szanuję
głęboko tego człowieka za kulturę i delikatność. Za prawość. Pamiętam Jana z pleneru
w Wiśniczu. Autora najpiękniejszych zdjęć Helenki. Potem Oleńki. Obiecałem, że przy-
wieziemy im do ogrodu młodą brzoźkę.

Kompletujemy wyjazdowy dobytek. Iwona: „Ale czy Olga ma mieć paszport, czy
wystarczy wpis do naszych paszportów?”. Tego do poniedziałku nie wiemy...

Jedziemy. Jutro o siódmej.

Ukraina. Wjechaliśmy w magiczne Karpaty. Najdalsze góry w Europie. Śladem
ryciny, na której wędrowny kuglarz, Cygan, otoczony na jarmarku tłumem górali,
prowadzi na łańcuchu niedźwiedzia... Znam tę rycinę. Od dawna. Od dawna lubię. Jest
u Ryśka. Wracam do niej. Tym bardziej tutaj. Mukaczewo. Piję w pustym barku swoje
białe piwo, rano idę po chleb.

Patrzę na Cyganki, idące sprzątać ulice. Fotografuję. „Amelia, nie ciągnij”.
I + O w łóżku. Przeznaczenie.

Słone jeziora. Jedziemy wiejską drogą. Myślę o moich zimowych oponach. Dziu-
ry. Budowa? Nie, taka droga.

Iwonka do mnie: „Naprawdę jesteś alternatywą”.

Helenka telefonuje. Pisze maturę. „Chciałam dowiedzieć się, czy żyjesz. Czy się
samochód nie rozleciał”.

Zaprężona w konie furmanka wywija. Starsze małżeństwo, siedzące na koźle,
jedzie teraz przed nami. Huculszczyzna. Jedziemy przez samo serce... Na targu w B.

kupuję czosnek i cebule związane w warkocz. Kawałek słonego sera. Ruch. Zatrzymujemy się na pielmieni, barszcz ukraiński i zapieczone mięso z serem. Dobrze. Z widokiem na rzekę. Na domki na górze. Widać śnieg. Wysoko, wysoko. Worochta, Werchowyňa, Krzyworównia, Kutu.

1 maja. Kamieniec. Kamieniec Podolski, który tonął w tumanach pyłu, który wiatr porywał z nieistniejącego rynku. Powoli odchodzi. Mój Kamieniec. Czy ten – ze stu dwudziestoma nowo zbudowanymi domami – będzie mój? Nie wiem. Z wałęsającymi się watahami bezpańskich psów. Kundli. Miłych. Z pyłem, który tak kocham, ze swoimi kałużami, z ruiną opanowaną przez chwasty i żółto kwitnące kwiaty.

Kamieniec, przez który idę, idziemy, z syfonem z mineralną, persykowym sikiem czy lodami arbutowymi. Z Iwonką i Olgą. Z Helenką. Tamci studenci i tamci my widzieliśmy jeszcze dzikość, ludzkość, chwast kwitnący w raju. Domki bez kątów prostych i logicznych. A jednak śliczne. Ogródki pełne białych lilii i kwiatuszków lichych, a jednak ślicznych. Miejsca do pływania liche, a jednak wyborne. Miejsca do leżenia w trawie zwykłe, a jednak wymarzone. Balustradę mostu dziurawą i zwykłą, a jednak chwytną i przyjazną. Wyślizganą i wdzięczną. W tym Iwona śliczna i diamentowa, Olga roziskrzona, Helenka niezwykajna. Czuła i delikatna. I wszyscy wspinają się, mówiło się: spindrają, u mnie w domu, po tych schodach koszar Jana de Witte...

Myśl o pojechaniu do Kamieńca Podolskiego. Jesteśmy stuknięci... Ale to wyższa mądrość, a my najszczęśliwsi, siedzący u Borysa w ogrodzie. Goszczą nas Natalia i Borys, Ina i Wołodja z Olchą... Olga kwitnie... W przerwach kwitnienia znajduje antyczne broszki w dziurach baszty króla Batorego i czyta Tolkiena. Powiesiłem. Pięć sal w Muzeum Obrazów przy ormiańskim rynku. Pomógł Borys. Pięknie.

Rano u Samulewicza. Idę od serów i miodów, widzę, że stoi. Słyszę, mówi:

– Profesor... Witamy się. – Co u ciebie? Co tam? Co taka mina? Wyjmuję miód dla niego, on z kieszeni moro – dwie lulkę. Najpierw jedną z jednej kieszeni, potem drugą... – Dla ciebie, padarok. Studenci przynieśli.

Myślę o tym spotkaniu na ulicy... – Co się tak patrzysz? Ja bym ciebie zabił – mówi chłopiec. Wracam z serami i słojem śmietany. Poprosiłem tę moją, ulubioną żeby mi pokazała, gdzie jest dobra, i wracam z plastrem miodu dla Iwonki i Olgi.

Wybieram obrazy. Podpisuję. Papiery moje leżą wyciągnięte na łózkach w ośmioosobowej sali. Z krzyżem, widokiem na twierdzę i polskie folwarki.

Dam trzydzieści do muzeum. Resztę rozdám ludziom.

W muzeum wiszą. To dzisiaj. Kto będzie tłumaczył? O czym powiedzieć? O przyjaciółach, o ważności Ukrainy w polskim malarstwie, literaturze, o obecności w muzyce. O wielkim Karolu Szymanowskim i o Sumieniu Polaków – Stanisławie Żółkiewskim, i wspólnych wielkich wodzach. O tym samym odczuwaniu świata.

Stoję w kolejce w zakrystii do biskupa Leona Dubrawskiego... Słucha kobiety w chustce. Ta opowiada, skarży się, prosi o radę. On kiwa się, mały, czarny, podpira ręką twarz. Egzorcysta. Mówi, że postara się przyjść.

Jemy barszcz. Za chwilę otwarcie. Wystawa. Tłum. Mówię długo. Przemawiają Borys, Łaszko, Łaszkowa, Ina Bieriezina.

Borys Negoda z różami, Samulewicz z różami. Delikatny... Pierwszy przyszedł. Siedzi na ławce. Naburmuszony. Kobuz. Witamy się.

Nowy dzień. Kamieniec się obudził.

Marszrutki przystają. Siostry Julia i Teresa idą do kościoła. Eugenia pojechała do Doniecka. Biskup egzorcysta kończy odprawiać mszę. Drewniany proboszcz słucha petentów. Mały piesek na podwórku biega. Kierowca grzebie w samochodzie. Chmury płyną. Obrazy w muzeum spadają. Samulewicz jest już na targu. Baby sprzedają sery, a chłopci miody. Znachorki maści – z borsuka, z niedźwiedzia. I zioła. Chrystus mój i Tarasa Szewczenki patrzy. Na Słowian.

Ścieli moją morwę pod drukarnią. – Dlaczego? Kto zrzekał? – Borys stanowczo pyta... – Nie wiemy... – Głos spod samochodu. – Mówią, że ścieli, bo niedobre miała owoce... Ścieli.

Spacer. Amelia zmordowana. Kamień w tylnej kieszeni. Ja w roli ochroniarza. Inne psy...

Samulewicz wyjechał do Kijowa. Wróci jutro. Dima z targu daje mi swój komórkowy telefon. Pokazuje figurkę grecką, którą ktoś, żołnierz w zdobytym Berlinie, zabrał z muzeum. Patrzę na bizantyjski medalion. Ładny. Cóż...

W czasie wojny były w szpitalach specjalne psy, które lizały rannym rany. Goiły się...

Znowu Borysowa weranda. Cisz. RAJ. Ptaki w dole śpiewają, żaby nadymają swoje pęcherzyki, słychać majowy rechot.

Na peryferiach Kamieńca tankuję benzynę. Pełny bak. Mężczyzna, który nalewa, ma polską rodzinę. – Ma pan polskie nazwisko... – Mój pradziadek był Polakiem – potwierdza.

Rumuńskie przejście graniczne. Kolejka. Kupuję dwadzieścia euro i trochę lei. Rumuni w kolejce pokazują, żebyśmy jechali przejściem granicznym dla samochodów

korpusu dyplomatycznego. Patrzę na stary, huculski krzyżyk. Dziki. Sama dzikość. Ty-
siąc procent. Czego w nim potrzebuję? Praobrazu. Pierwszego widu.

Dlaczego Polacy nie pamiętają, że Rumunia jedyna w Europie w obliczu naszej trage-
dii, wojny z Niemcami i Rosją, przyjęła w 1939 nasze uciekające wojska i uciekający rząd?

Za Suczawą. Tutora. Cecora. Samotność Stanisława Żółkiewskiego... Wielka
samotność, w której stracił głowę... Zawsze siedząc na brzegu Dniestru w Chocimiu,
patrzę na drugą stronę rzeki i myślę o tym. Zawsze chciałem zobaczyć Cecorę. Pola
Cecory. Jestem blisko. Czarny las też. Bukowinę, przekleństwo wojsk Rzeczypospolitej.
Widać przez cmentarz kopuły Voroneżu. Przewodniki kłamią. Wszystko trzeba same-
mu zobaczyć.

Monastypy, marzyłem o nich, odkąd usłyszałem o nich od Serge'a. Odkąd wysła-
łem do nich Agnieszkę i Agnę – Dobrą Karmę. Wiedziałem, że są mi, nam przeznaczo-
ne. Że muszę do nich wrócić.

Putna, Moldovița, Sucevița, Voroneț, Humorului, Câmpulung, Arbore z ławą na
jedzenie dla zmarłych i śladami szabli na kamieniach. Jeden jakby od stóp do głów
wymalowany w opowieści biblijnej. Absolutnie zwyczajne i absolutnie nierzeczywiste.
Malachitowy. Szmaragdowy. Różany. Dowód na istnienie aniołów. Dowód istnienia
demonów. Nadrealne. Piekło i Lewiatan. Miasta i góry, aniołowie i Najważniejszy.
Wielki Reżyser. Monastypy ze swoimi dachami dla władców, malowanymi ścianami
dla chłopów i żołnierzy, z płytami na grobach nieznanych nam władców odbijają się
w mnichach i mniszkach. W ich spokoju, cieplej surowości. Młoda mniszka z Humoru-
lui, mówi mi w bramie monastypy, uśmiechając się delikatnie: „Chrystus zmartwych-
wstał... Chrystus zmartwychwstał...”. Zaiste. Absolutne doznanie. Olśnienie opowieścią
z dzieciństwa świata.

Tu w Arbore stał z wojskiem Jan III Sobieski. Teraz jeździ tu tylko jeden auto-
bus dziennie. Tam i z powrotem.

Kaczyca za Solcem. Na schodach restauracji siedzi Eliasz Wiśniewski. Młody,
trzydzieści siedem lat. Mówi piękną, wytworną polszczyzną, pije z metalowego kubka.
Pokazuje na pola. „Tu stali Rosjanie, tu Niemcy. Jak Rosjanie popili, to z tego domu
strzelali do kościoła”. Pokazuje ślady. Dziury na ceglach.

Jedziemy, mijamy wiejskie drewniane warownie. Za bramami. Do baru na her-
batę nim wjedziemy w góry. Z powrotem. Iwonka na rumuńską kawę...

Kirlibaba przed nami. Tu mój szesnastoletni dziadek walczył z Kozakami
w 1914 roku. Trzech mężczyzn w kapeluszach siedzi i pije w barze.

W S. kupuję pisanekę. Jest dzika i czerwona. Sucevița wśród gór. Pies pije z rze-
ki... Środkiem alei idzie mniszka w czerni...

Moldovița. Sceny i scena. Ktoś w 1889 roku... Amelia Graboski precyzyjnie wy-
drapała szwabachą swoje imię i nazwisko. Obok oboje Kochanowscy. I jeszcze ktoś.
Tron dla króla i królowej. To było sto osiemdziesiąt lat temu. Już ich nie ma, napis jak
nowy. Jak z wczoraj.

Moldovița. Nie do uwierzenia. Znowu tysiąc procent planu na życie. Chcę to zo-
baczyć. Chcę to moim pokazać. Nim umrę. Voroneț. Chłodna cisza, spokój. Humorului.
Chrystus z martwych wstał. Istotnie. Co wobec tego zrobić? Ja.

Arbore. Kobieta w czerni z nicią, pod ścianą. Ława dla zmarłych. Głębokie rowy
po szablach. Sobieski. Czy modlił się do tej kolorowej biblii na ścianie dla ptaków i bie-
daków? Czy był ortodoksyjnie katolicki? Mimo że z pogranicza Zachodu i Wschodu.

Kraków. Tej jesieni Moje 166...

Iwona: „Jakbyś urodził się w siedemnastym wieku. Nic się nie zmieniasz”.

Na te dwa wypatroszone z ognia, umarłe piece nie mogę patrzeć. I smród
z grzałek. Maluję Boże Narodzenie i to, co chciałbym o nim wiedzieć. Wiedzieć. Pada
śnieg. Przyleciały sikorki. Skąd?

Gorlice. Przechodzę przez bramę do muzeum, szczekając zębami.

Śpię w ubraniu. Dreszcze. Budzą mnie dzwony. Najładniejszy pokój.

Patrzę na resztkę śniegu pod dębem przy kościele. Widok z okna, ktoś od rana
już przystanął i pije. Mam ukraińską wódkę na półce w łazience. Obok inhalatora na
kaszel i katar. Komplet lekarstw. Wieszam od rana. Są moi studenci. Greta Agneza,
Wojtek Haberek, Marco Milianowicz, Beata Pałach, Danusia Rapacz, Marzena Rost-
kowska, Marcin Siwy, Ilona Siemczuk, Joanna Smajek, Marysia Szczepkowska, Kasia
Widmańska, Kasia Zalewska, Sylwia Zasowska. Moi i bliscy. Ważni.

Opowieść Tohla o żołnierzu, któremu kazano rozstrzelać tabun koni. To było na
Krymie. Do końca życia nie mógł tego zapomnieć. Nocą budziły go konie.

Patrzenie. Wielka przyjemność. Podobnie dotykanie. Patrzę. Moje zabawki.
Kamienne topory. Ten czarny z meteorytu, ze startymi krawędziami ostrza, pęknięty
przez pół. Lubię trzymać go w dłoniach. Biała, gładzona siekiera o pięknym profilu.
Trzy małe toporki o porowatej powierzchni. Połamane w bitwie albo bardziej proza-
icznie – przez jadący przez pole traktor. Lubię wkładać rękę na precyzyjne wgłębienie
na kamiennej kuli do żarna. Pasuje idealnie. Wzruszenie. Lubię te moje kule. Idealny,
filozoficzny i geometryczny zapis nieskończoności. Brak początku i końca. Lubię na nie
patrzeć. Ważyć w dłoniach. Są groty strzał spod Kijowa i z Podola. Jest grot włócznie
i bojowy topór. Są skorupki trypoliskich, słowiańskich garnków. Jakieś żelastwo ze
Świtezi i cząstki ceramiki z Dniestru. Są różne kawałki cegieł, też. Od tej z Podkamie-
nia ze śladem ręki człowieka i z odbiciem łapy psa. Wszystko do macania i gapienia.
Dobrytek hedonisty.

Obrzydowski. Zaprasza. Gaduła. Kolorowy świat. Wiesiu łagodny. Delikatny. Nie wygląda na swoje lata. Pokazuje mi na komórcie azjatycki seks. – Muszę – mówi...

Pomalowane ściany, pomalowane deski podłogi. Po lewej stronie od jego łóżka wagina według Courbeta. Właścicielka z głową z plakatu. – Szczęście jest ważne...

Trzeba mieć mocną psychikę. Ludzie marnują swój talent – mówi.

Patrzę, wychodząc, na nowe drzwi do ustępu.

– Te ktoś chce kupić. Te wymalowane w warszawską poetkę. Przynieś krosno, najlepiej zagruntowane na czerwono... Ode mnie nikt nie wychodzi bez obrazu. Kiedy przyjdiesz?

– O pierwszej. Teraz idę do pracowni.

Wychodzę lepszy, niż przyszedłem. Idę malować rude, czarne, rude.

Znowu u Obrzydowskiego. Maluje mnie na desce, na której Babcia zabijała na wigilię ryby. Kroiła je w plastry. Drugi obraz jest mały, na drewnianym odwrocie lustra do golenia mojego dziadka. W porządku. Siedzę, patrzę. Wiesiu maluje. Ładna wagina za nim. Namalował. Na ścianie. Rysunki, rysunki...

Wiesiu opowiada. Jestem w obrazie.

Maluję Święta Polskie. Wracam do ważnych wątków z dzieciństwa świata. Do opowieści biblijnych. Wracam z ciekawością. Tajemnica nieśmiertelności, mistyka wielkanocnego Cudu Zmartwychwstania Chrystusa, wpisana w cykl przyrody, w pierwsze dni wiosny, której ślady w postaci obrazów pasywnych przechowują kapliczki i kościoły Polski i Europy. Wpisana w zakupy i pośpiech.

Inny Czas. Wielkanoc. Wielka Moc. Świętujemy? Tak.

Obrazy na słupach obok reklamy i ogłoszeń różnych, kuszące. Ale czy mi wolno zawłaszczać cudzą przestrzeń bez ważnego ku temu powodu? Gdyby nie święta, które są dla mnie zarówno przyzwoleniem, jak i jedynym warunkiem na zajęcie przestrzeni wspólnej, nie zrobiłbym tego. Artysta wolny... Wolność realna. Wieszając trzydzieści obrazów na trzydziestu słupach, będę wolny przynajmniej od jednego miejsca, pozostanę nawet swojej wolności sponsorem. To kusi. Wolność to pierwsza barykada zdobyta przez artystę. Pierwszy i ostatni warunek. Podstawowy. Wolność do... Wolność dla... Wolność to sytuacja. Do wyboru.

III MODLITWA VIATORISA

Zawsze goniłem świętość. Nie sacrum niedościgłe. Nie transcendencję. Odczuwanie jej jest mi dane. Świętość zawsze mi uciekała, mimo że czasem byłem już blisko. Tak mi się przynajmniej wydawało. Goniłem, gonię świętość jako człowiek, nie jako malarz. A przecież świętość nie ucieka.

Dlatego te obrazy nie są przypadkowe. To wątki malowane od dwudziestu kilku lat. Świadomie i nieświadomie powracałem do nich. Wracali: Człowiek, Frasnoblwy, Mędrcy, Pieta, Leżący, Ukrzyżowanie, Góra. Wracał stół nakryty do wieczery, a może jednak do kolacji, szklanki puste i pełne miski, a za nimi chmury. Powracały całuny i trumny.

Oczekiwanie. To nie przypadek. Tak myślę. Myślenie obrazem jest dla mnie codziennością. Myślenie o obrazie też. Myślenie o transcendencji wobec tych wszystkich bytów, odnajdywanych przeze mnie od lat w ikonach, w setkach ikon, w ważnych tekstach i w całej sztuce widzialnej i słyszalnej, również podczas podróży na Wschód, jest naturalną tego konsekwencją. Ale nie o nazwy czy tytuły obrazów tu idzie. Bardziej o napięcie. O próbę wyrażenia ważnego napięcia. O przestrzeń. O sytuację. O człowieka wobec. I o obrazy wobec. Świętość – w przeciwieństwie do piękności – jest mniej fotogeniczna. Mniej medialna. Jestem człowiekiem wierzącym w wagę bytów odczuwalnych, bez potrzeby ich natychmiastowego definiowania i werbalizowania. Człowiek potrzebuje ciszy. Człowiek potrzebuje precyzji. Swojej precyzji. Ważna precyzja potrzebuje czasu. Dlatego maluję.

Maluję tam, gdzie stoję. Wchodzę do pracowni Jacka i w godzinę Jacka pracownia jest moja. Wiem: moi Trzej Królowie będą jak dzygici pędzili na koniach, jak kazachscy jeźdźcy, przytuleni, przyspawani. Biorę obrazy i książki po tatarsku, ich istotę. Nie zajmuję się galanterią. Czekam. Nie na zrozumienie. Czekam na natchnienie.

Zajęcia. Bank. Wysyłam Helence pieniądze na truskawki czekoladzie u Murzynki w Muzeum Guggenheima. „Musisz iść, nim wyjedziesz z Nowego Jorku”.

Darcie papierów. I pytanie: po co? Uczciwie. Nie potrafię narysować formy. Ona ma się wypełnić sama. Od środka, od środka mnie. Też. Zachwyt. Podarty papier. Przystań. Cień. Jest coś w formie aniołów niosących krzyż z Chrystusem z kościoła Franciszkanów, zachwycającego dla mnie, stoję i nie mogę się napatrzeć.

Czerwień. Biologiczna. Nie dla formy, dla treści.

Piszę do Ługańska o duchowości. Nie chcę im odmówić, ich spuścić. Tłumaczenie na rosyjski daje zupełnie inne doświadczenie... Mamy pieśń. Potem opowieść. Jest Angela Kajumowa. Młoda. Czarna i surowo oszczędna... „Ormiańskie kobiety szybko zostają matkami”, mówi mi. To ładne. Ona też.

Oślepnę, pisząc. Cemu moja mądrość mnie nie chroni? Jest jak benzyna do ognia. Co za mądrość, co nie broni. Na wypadek śmierci wiem już wszystko. Żal tylko szkoły i naszego domu.

Elżbieta, żona Zachariasza. Tamta jest już brzemienna. Maluję czerwono, cuchnie, gwiazda betlejemka. Pali się. Gdy pokrywam czerwień czernią, coś immanentnego się traci, czerwień jest lekka, płomienna. Czerń to ziemia, kamień. Czekanie. Patrzenie w niebo. Ja lubię. Tak. Prosto w słońce. Żadnych okularów i zegarków. Mam swój czas. Otulam się tymi czerwonymi, pochłapanymi, mokrymi papierami. Gdzieś śmieję, gdzieś maluję. Sypię piaskiem. Robię pustynię. Farba drukarska źle schodzi z podłogi. I maluję spotkanie Marii z żoną Zachariasza. Obejmują się. Jedna młoda, druga stara. Ona młoda. Tamta stara.

Ptak. Namalować. Malować czerwone w czerwonym, inaczej zabijam tę żywotność, płomienistość. Żar. Komentuję. Odkłamuję. Te podróże. Zwyczajne. Rosja rano na osiedlu. Ukraina rankiem na osiedlu. Białoruś rano na osiedlu. Litwa rano na osiedlu. Słowacja rankiem na osiedlu. Bułgaria rano na osiedlu. Blisko mi. Zdolność do... Wielka zdolność do odnalezienia się i wtopienia. Asymilacji. Poczucie samotności i lęku też.

Plamy, to tylko czerwone plamy. Ta scena, kiedy przychodzi anioł i mówi... Maluję kobietę. Siedzi. Odwrócona plecami. Otwarta na siebie, zamknięta dla mężczyzny. Wycofana. Czeka. Co będzie...

O dotknięcie mi chodzi przecież. Czerwony kokon, gwiazdy. Myślałam także o papierach. Wracam do Kobiety z dzieckiem na rękach. Wracam do Derwiszy. Do pokładających się w pokłonach proroków. Niepokój.

Maluję z przerwami. Rosną warstwy. Była warstwa Kobiety z pełnymi nabrzmiałymi piersiami, która przykryła warstwę Trzech Króli, pod którą leżała warstwa Pokłonu. Piersi. Potem warstwa z Matką tulącą dziecko. Potem warstwa z Idącą z dzieckiem na rękach. Wszystko w czerwieni. Gęsto. Niespokojnie. Upiornie.

– Serge, z czym ci się kojarzy Boże Narodzenie?

– Ze złotem i błękitem.

– A mnie z czerwienią. To magiczny kolor mojej Matki. Kochała czerwień. Ja mniej... kochałem.

Matka Boska. Obrazy święte zajmują dużą część dziejów malowania. Dotknięcie Boga. Tęsknota człowieka. Tajemnice. Właściciel sklepu ze starożytnościami z Bardejowa: „Widziałem twoje obrazy. Na słupach. Poznałem, że twoje”.

O mijaniu i zostawianiu dobrych śladów. O przeniesieniu.

Dopadam tych obrazów, jak pies dopada sukę. Leżą na podłodze. Nowe rozdanie. Pomarańczowe. Syf. Wilgotno. Piwnicznie. Los? Wybór? Fatalizm? Pokrętne odpowiedzi. Skaza. Może skaza. Dlaczego nienormalnie. A Francis Bacon nie malował w gnoju? Jestem w opowieści...

Malowałem wczoraj kobiecie tors. Małe brodawki sutek i duże brodawki sutek. Z przypomnienia. Malowałem rodzącą. W przykucu. Malowałem dzisiaj ryby leżące i placki. Takie okrągłe. Zamiast chleba. Chleb, a potem placki. Jeden. Niedużo. Ryby. Wpierw jedną, potem dużo. Siano, skrzydła, trawę. Ważne. Dlaczego, nie wiem. Malowałem też po czerwonych kobietach czarną warstwę. I malowałem kopę siana, i powtórzyłem wóz. Wóz z czerwonym sianem. Płonący. Leżałem nad Białką, kiedy w świetle popołudniowego słońca przejeżdżał ciągnięty przez konia, na ukos, przez rzekę. Moją rzekę. Zabrakło już podłogi. Skończyła się benzyna. Na Rynku. Była prawie druga. Zadzwoń do Iwonki.

Biblia powstawała trzynastą albo piętnastą wiek. Ma około siedemdziesięciu autorów. Jest przesłaniem. Odbiją się w niej pokłady, głębiny spełnień i niespełnień całych cywilizacji. Mógłbym być malarzem biblijnym. Nieskończony katalog możliwości.

Maluję tam, gdzie stoję. Jest podłoga, wystarczy. Maluję w warunkach, w jakich nie maluje żaden z moich kolegów. Maluję u Jacka, w obcym miejscu i w ciągu godziny ta przestrzeń jest moja. Doszedłem do absolutnie wielkiej formy, niczego się nie boję. Nawet siebie się nie boję. Boję się skrzywdzić drugiego człowieka – tak, ale w kategorii „pędzlem na papierze” niczego się nie boję. Ani tego nie sprzedaję, ani nikt tego

nie ogląda. Żadnych ograniczeń. Ja tego nie robię dla ulicy, ja tak walczę, pięćdziesięcioletni człowiek. To już nie czas na popisy. To ma być moja prawda. Sama prawda. Prawda przeżycia. Żaden roztańczony, śliczny rysunek. Czas na walkę. I na to, żeby się we mnie ta historia rozegrała. Ale nie ma ceny na moje udomowienie. Pozostanę swój. Nie po to stałem się wolny, żeby z tą wolnością pobiec do sklepiku i wymienić na „szmaty i gazety”. Nawet jeśli istnieją tylko dwie ważne zdobycze, wynikające z mojego malowania. Sprywatyzowałem opowieść. Jednego z moich obrazów, skacząc po obrazach u Jacka w pracowni, nie depczę, dla mnie bowiem jest święty. Jest moją ikoną. Przykleję? Tak.

Powiesiłem Bóg się rodzi. Na słupach w Krakowie. Obraz nie zatracił niczego ze swojej aktualności. Dokument, świadectwo wyznanie. Obraz, będąc bytem, jest zarazem przedmiotem. Wędruje z nami przez dzieje, jak wędrują oswojone wilki. Maluję, żeby przepowiedzieć sobie tę historię. Sprywatyzować. Zawłaszczyć. Zrozumieć. Udomowić. Udowodniłem, że można pokazywać obrazy bez udziału urzędników. Nigdy nie dam się oswoić. Udomowić. Pozostanę na wpół oswojonym wilkiem.

Wiem. To, że popatrzyłem na swoje obrazy, sprawiło, że na nowo uwierzyłem w ważność i konieczność ich malowania. Długo czas myślałem, że można żyć bez malowania obrazów. Teraz będę żył, malując. Tylko z tego choćby powodu, że jestem zwierzęciem do malowania obrazów. Że to lubię. Lubie patrzeć. Jak z miłości do zapachu powstały perfumy, z miłości do dźwięku pieśni, tak z miłości do patrzenia powstał obraz. Nacieszyć się do końca życiem. Wracam do korzeni. Zawsze mnie malowanie tyle męczyło, ile radowało. Odnalazłem swoje malowanie. Odnalazły mnie moje obrazy. Już ich nie zostawię samopas.

Przyszły pieniądze. Słucham Ukraińców na YouTube. Genialnie śpiewają. Święto jest po to, żeby świętować. Po chłopsku.

Obrazów już o nic nie pytamy. Nauczyliśmy się nie pytać. Nie pytamy: Powiedz, Giotto, co myślisz o tych aniołach? Powiedz, Sandro Botticelli, są takie muszle? Są. A takie kobiety? Kobiety? A jakże. Czekają na ciebie. Nagusienkie i bielusienkie jak śnieg...

My obraz uczyniliśmy niemym. Wiś tu sobie, kochany, dwadzieścia lat, a ja w tym czasie w drugim pokoju pooglądałam sobie telewizję.

Produkujemy artystyczne przedmioty do niczego. Do niczego niepotrzebne, do niczego niesłużące. Postmodernizm, który zrelatywizował wartość i rzeczywistość, trwa od sześćdziesięciu lat. Ale historia obrazu – od świtu dziejów. Myślimy o re-

alizmie fotografii, a nie myślimy o precyzji realizmu obrazu. Ważności tej precyzji. My już za obraz mówimy. Nie słuchamy, co nam ma do powiedzenia. Obraz. Droga do obrazu... Tworzymy artystyczną galanterię, a w niej swój dopracowany wizerunek. Nie szukamy obrazem mądrości. Preparujemy. Moja historia na ulicy nie całkiem spreparowana. Intuicyjna opowieść, w którą można wejść i wyjść z niej ze swoim doświadczeniem w dowolnym momencie. Nie nauczam. Zapraszam. Do współprzeżywania. Siadaj. Nie nauczam, nie chcę cię oczarować, kokietować. Siadaj. Popatrzmy razem. Daję ci swoje obrazy, na zniszczenie. W świecie kopii, klonów i imitacji.

Moje podróże na Wschód. Do świata policzalnego inaczej. Innej traumy. Innej szczęśliwości. Innej duchowości. Do domu pewnej wrażliwości. Za latopisem ruskim, piszącym o Scytach. Nikt nie wie, skąd przyszli. Kto pamięta, skąd przyszła nasza wrażliwość i dokąd może pójść?

Turystycznie podróżując, historycznie zaczynamy bać się nieznanego, a w nim obcego... Histeria postmodernizmu. Obcy nie pasuje nam do świata, którym chcemy władać. Manipulacja. Wolimy preparować, zamiast szukać prawdy. Uwierzyliśmy, że prawda nie istnieje. Nawet tego nie uczymy. Odrabiamy zajęcia z plastyki. A może, jak w prawosławiu, żeby polecieć do nieba, człowiek musi najpierw sięgnąć samego dna. Samego bagna. W zagadonym, zilustrowanym świecie brak nam i ciszy, i ufności w drugiego człowieka. Tęsknimy za nimi.

Iwona będzie miała swoich dziesięć filmów o Papieżu. Dobrych. O przyzwoitości. O tym, co w życiu ważne. Jest heroiczna.

Olga Tokarczuk mówi Iwonce, że skończyła psychologię z wiarą w ludzką zdolność przemiany pozytywnej. Jej syn skończył ten sam kierunek w poczuciu kompletnego absolutnego determinizmu, że od człowieka już nic nie zależy, bo żyje w świecie, w którym jest tylko skazańcem. Manipulacja?

Iwonka z Olgą wraca z baletu. Napaliłem w dużym pokoju deskami z czyjejś opuszczonej piwnicy. Po drodze wymiana dzień dobry z naszym dzikim lokatorem. Zadomowił się. Urządził w naszej dawnej pralni. Świętujemy piątek. Jeszcze stoi choinka.

W poniedziałek załatwiam wystawy Wędrowca/Viatorisa. Spróbuję z nim podróżować. Na koniec świata. Tak ładnie to brzmi, jak ptaki przylatujące z ciepłych krajów. Jeszcze ktoś tak mówi? Jeszcze ktoś tak myśli? Rumunia, Mołdawia, Białoruś, Rosja, Litwa, Ukraina. Zaczynam w maju w Toruniu.

W Muzeum Szołajskich. Sarmatyzm. Patrę na wiszący na wystawie Stanisława Sucheckiego portret z siedemnastego wieku. Kasztelana rozpierskiego, krewnego Helenki.

A może mamy zadany kiedyś, każdy z osobna, każdy kiedy indziej, bardzo indywidualny powrót do Domu. Motyw już od Odysa...

Ja się kurczowo trzymam tej swojej polskości. Co to jest? To jest klej. To miłość troskliwie pielęgnowana. Klucz do zrozumienia siebie i innych. Czasem chodzenie na groby, nim nie przyjdzie szara godzina. W końcu czasu. Tak jak z obrazem. Wypełniam go nie tylko od krawędzi do środka, ale i od środka do krawędzi. Futerał z bebechami. Mam prawo do swojego szaleństwa. Jak każdy.

W moim sklepiu z kurdyjskimi i irańskimi dywanami przy Świętego Józefa patrzyliśmy na afgański dywan z wzorami w samoloty, czołgi i amunicję do moździerza i rakiety... Ten dywan zamknął moje rozważania o abstrakcji w sztuce. Kurdyjskie torby na sól i sakwy na ramię. Wzruszenie.

Zrywam się do wiosennego lotu na Ukrainę. Zbieram siły. Na razie nie mam czym malować Idącego, do Torunia... Viatoris/Wędrowiec.

Profesor klejący swoje obrazy na ulicznych słupach i parkanach jest dla nich za dziwny... Żaden z dwunastu Instytutów Polskich, oprócz Wilna i Bukaresztu, nie odpowiedział na moją propozycję wystawy ulicznej.

Maluję. Piętnaście już mam. Warstwa po warstwie. Ale sporadycznie. Nie mam gdzie. Skorzystałem z wolnych pracowni u siebie na Mazowieckiej. Napisałem w komentarzu do Torunia: „Viator po łacinie znaczy wędrowiec. Bohater obrazów jest czytelny, odbiorca nie ma problemu, by się w nim rozpoznać. Idący albo siedzący. Zdobywca, Wygnaniec, Uciekinier, najczęściej Przechodzień, człowiek w drodze. Widok zwyczajny, a jednak odnoszący się do mitów, w których nie znajdziemy ani prostych rozwiązań, ani samych szczęśliwych zakończeń. Między tymi wyobrażeniami rozpięta jest moja potrzeba opowieści. I malowania tego, co nieopowiadalne. Kiedy maluję, opowiadam. Kiedy opowiadam, maluję. Potrzebę obrazu poświęconemu człowiekowi mijanemu i przemijającemu. Tęsknotę za wyruszeniem w drogę, którą odczuwam każ-

dej wiosny, a która jest ciekawością. Jest też umieraniem w jednym miejscu, żeby urodzić się w innym. W ciągłym ruchu, w pełnej gotowości wędrują ciało, zmysły, myśli. Człowiek, który idzie, ma swój szczególny wymiar. Inni jesteśmy – idąc, inni – wstając. Pokusa. Zatrzymać się. Stać się śladem. Obrazem. Chłapięciem. Śladem. Zostawić ślad i ruszyć dalej. Wielokrotnie napisano w dziejach o nomadach: nikt nie wie, skąd przyszli i dokąd poszli.

Obraz jako ślad. Obraz jako znak. Zakłęcie. Drogowskaz. Jak krzyż Tuarega, który dorastający syn dostaje od swego ojca jako talizman na drogę, znak czterech stron świata i prognostyk przyszłego spotkania”.

Viatoris szukający domu to symboliczna historia ludzkości, która zaczęła się w momencie wygnania Adama i Ewy z raju. Wtedy człowiek poznał, co to śmierć i ból. Czyli wygnanie jako stan dany, prawie permanentny. Podróż zaczyna się od rodzinnej sagi.

Przystanąć. Zamierając w bezruchu, udać nieśmiertelność. Wieczność. Odpocząć. Stać się.

Obraz jest oczywistością. Zwyczajnością. Codziennością. I w tym jest i przedmiotem, i bytem duchowym. Obraz na ulicy wśród ogłoszeń różnych. Sytuacja kusząca. Nie przeszkadza mi, że je ktoś zaklei i popisie. Największe kontemplacyjne martwe matury malarze malowali, słuchając kwiku podrzynanych na jarmarku kogutów. Do Matek Boskich pozowały im służebne dziewczyny, a świętymi bywali kościelni żebracy. Oni też byli ich pierwszymi oglądającymi, widzami swojej transformacji. Przemiany. Obraz jest oczywistością, zwyczajnością, codziennością. Jednocześnie i w tym jest przedmiotem i bytem duchowym.

Po Toruniu będą Białoruś, Rumunia, Ukraina, Mołdawia. Człowiek na ulicy, dworcu, lotnisku. Adresat tej wędrowki – tłum... To droga nas tworzy. To, do czego zmierzamy. Tym jesteśmy. Nie jesteśmy prochem. Jesteśmy drogą.

Maluję od dwóch dni u siebie na Mazowieckiej. Szybko. Lakier czarny rozpuszczam benzyną, po dłuższym czasie mnie dusi. Dlatego maluję naraz po dziesięć papierów, daję im przeschnąć, tak jak leżą – na podłodze, w szesnastce albo trzynastce. Wracam po kilku godzinach. Dla pań sprzątających jestem zmorem. Ale staram się uważać. Wśród nich jest miła kobieta bez palców u jednej dłoni, zawsze uśmiechnięta. Myślę, że mnie lubi. Żal mi jej pracy. Nitro tak łatwo nie schodzi. Dominika pozowała do kobiety, w roli mena występuję sam. Jak zwykle rozkraczony. Tak lubię. Po ojcu? Dwie sale pełne leżących na podłodze papierów.

Toruń. Kleję moje obrazy na słupach. Mam problemy. Nie te słupy. Problemy z Anią Jackowską. Śpię w hotelu Pod Trzema Koronami. Czarne korytarze. Sam. Gangsterzy. Jeden za mną idzie. Udaję, że do kogoś mówię. Stoi pod drzwiami. Szarpie klamkę. Odchodzi.

Chodzę do Świętych Janów. Serce Jana Olbrachta. I czarna wstążka. Ślad zarazy. Dzwonię do Helenki: – Przyjedź. – Nie chce mi się.

Starego antykwariatu przy murze już nie ma. Włączę się do nocy. Kupuję tutejsze piwa.

Przykleiłem obrazy. Na słupach. Wracam. Ranek. Prezent. Pokój numer 103. Przy schodach. Drzwi. Kobieta szczytuje. Stoję metr od orgazmu.

Piekarnia. Toruń. Mickiewicza 22. Pani Zpsuty-Jabłońska. – Poczęstuję pana na spróbowanie. Myślę: kromeczka. – Pokroić czy w całości? Patrząc, dostaję cały.

Wracam. Mijam drzwi 103. Cisza. Szkoda. Miałem rację, jak ważne w opisywaniu świata są zapach i dźwięk.

Do dziennikarki Magdaleny J.: „Obraz i tak istnieje. Ma swój byt. Prawda o Polakach. Matejko tak. Maciejowski nie. Taka jest prawda. Spalić muzea. Nie. Ale sztuką się manipuluje. Artysta jest towarem. Rewolucję się kupuje. Co warta jest sprzedana rewolucja? Rewolucjonista sponsorowany. Dlatego na ulicy... Powinnością muzeów jest dokumentacja, nie manipulacja. Józef Czapski – ten dezenter inteligent, pedał, najgorszy z kapistów – kochał obrazy. Malował do końca. Obrazy z poczekalni szpitala. Doczekał, że obraz go pokochał... A odpowiedzialność za drugiego człowieka? Nigdy nie chciałem być dobrym malarzem. Zawsze chciałem zostać dobrym człowiekiem”. Udało się?

Iwona: „Mamy inne poczucie piękna. Ty jesteś ze świata żelazno-drewniano-kamienno-glinianego, a ja z takiego... Mój jest kruchy. Ty jesteś wolny, dziki, z tej swojej dzikości uczyniłeś talizman. Chlubisz się nią. A to jest barbarzyństwo. Zawsze zgnasz całą pulę. Dla innych nic nie zostaje”.

Ukraina. Na granicy haracz. Kolejne ubezpieczenie. Nie dam, nie pojedziemy. Pięćset hrywien. Noc, mającą armatnie pomniki. Jesteśmy. Igor czeka. Natalia poszła. Ranek. U Borysa piję wodę z wiaderka pod drzwiami. Kamień jak w nim leżał, tak leży. Nic się nie zmieniło. Dobrze.

Jedziemy do Bakoty. Naszej. Tolik Drugi z sympatią. Nie marudzi. W Kamieńcu leje. Jamy. Pieczary. Klękam. Ważne.

– Dobry ranok – mówię uczującym przy drewnianej ławie. Zadowoleni odpo-

wiadają z uważaniem. Myślą: „O Polak, a mówi...”. Patrzą, tak trzeba. Woda w Dniestrze po deszczach szara.

Żwaniec. Mój. Bunkier. Koza strażniczka, rzeka. Samotna baszta. Olga patrzy na rzekę. W dole łódki rybaków. Tu stał kiedyś Spytko z Melsztyna. Tu Władysław IV walił z armaty do Tatarów. Tu de Witt, albo właściwie Wit, odkupił od Lasopolskiego późniejszą Zofię Bitynkę, wiezioną Stanisławowi Augustowi do zabawy. Tu Marcin Bogusz...

Staszek Sobolewski z krową. Sympatyczny. Prawy. Pełen dobrych chęci. Okopy Świętej Trójcy. W kościele rycerskim siano. Dalej. Kudryńce. Sasza wyciąga bułeczki, które piekła jego mama. Dobrze. Jemy. Mówi: – Ja jestem za UPA.

Żar. Leje się z nas. Olga trzyma na kolanach kotka.

Moje imieniny. Idę do katedry. Na pacierz. Olga jeszcze śpi. Czekam na telefon od Iwonki i Helenki. Jedziemy marszrutką na rynek. Moje kobiety od serów. Gadamy. Robią herbatę. Gruba jest z Borysowego siola... Mniejsza, starsza i tatarska, nie.

– Jak w Unii?

– Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma – mówię.

– Nam nie trzeba Unii i eura, żeby człowiek z człowiekiem się spotkał. Na co porobili granice? Po co dzielić?

Jemy sery. – Olga paprobuje... A żenka gdzie?

Idziemy przez kamienie z Morza Czarnego albo i nie, przez koty, wędzone ryby i zioła. Kupuję sadło z niedźwiedzia i borsuka. Dobrze na oparzenia. Spotykamy się ze Staszkiem. Łazimy razem, w trójkę. Pijemy berezowyj sik w sklepie. Nalewany do plastiku z szklanego dzbanka. Potem szukamy tytoniu. Na ulicy, między pocztą a sklepem spożywczym, Staszek mówi: – Ty, Piotrze, masz dzisiaj imieniny.

Ruslan leje ulubione chmielnicke piwo. Schodzą się studenci.

Lwów. Muzeum Pinsla. Znów ten sam strażnik: – Przyjdźcie. Puszczę was.

Rok... Z widokiem na park.

O przestrzeni ciszy ukrytej w obrazach. O roli spotkania z niewypowiedzianym. O ciszy niewypowiedzianego, która zawsze splata się z inną ciszą, ciszą tego, co niewypowiedziane. Niewypowiedzianego nie można dopowiedzieć. Wobec niewypowiedzianego stoimy samotnie. Każdy obraz zaprasza do ujawnienia tego, czego na nim nie ujrzymy, pomaga dotrzeć do rzeczy, które ukrywają się pod nim. Czy obraz to pogoń za niewidocznym?

„Zmartwienia to służy tajemniczy, zniechęcenia, z którymi walczymy, których władzy ulegamy... Służy okrutni, niezastąpieni, wiodący nas podziemnymi drogami do prawdy i śmierci”, pisał Marcel Proust w *Czasie odnalezionym*.

Obraz to też decyzja malarza o tym, co odsłania, a co podświadomie ukrywa. O odsłanianiu i zasłanianiu się obrazem i proporcjach między tą wiedzą-świadomością a niewiedzą-nieświadomością. Jaka jest rola obydwu? Co ukrywam?

Irena Strilciv: „Ty, Jargusz, żyjesz trzema żywotami. Chciałbyś żyć, jakbyś miał trzy życia. Rodzina, wolny malarz, profesor. Jak ty to godzisz? Męczysz się? Chcesz żyć? Uda się? Zobaczmy. Coś za coś. Nie można mieć wszystkiego. Ty jesteś w swoim malarstwie rozpoznawalny. Ty chciałbyś być rozumiany. Pytasz mnie, co ja na to. Już trzeci raz. Nie jest ci to obojętne. A ty masz swój prywatny alfabet i chciałbyś, żeby ludzie go przeczytali. Ty myślisz romantycznie, ale twoje obrazy nie są romantyczne. Obraz ma swoją aurę. Ja byłam na wystawie ikon, tak były rzędem poukładane, ale tylko przed jedną było mnóstwo odcisków butów. Taka kałuża była i te odciski. Ja też tam przystanęłam. A przed innymi nie. I dziękuję, że w waszym domu stałam się dla samej siebie starą kobietą. I przyszło to tak naturalnie”.

Jesień krakowska. Nawet jeszcze na ptaki kołujące nad Plantami, które tak lubię, nie popatrzyłem... I tylko dwa podniesione tej jesieni kasztany.

Przez ostatnie tygodnie przemożne poczucie milczenia i ciszy. Składałam się do walki.

Pokazuję to, co namalowałem ze świadomością, że to ma dla mnie znaczenie. Co się we mnie odcisnęło. Celowo nic nie pisałem do tej części. Musi być przestrzeń ciszy.

Na szczęście człowiek niewiele o sobie wie. Jest tajemnicą. To dobrze. Inaczej dawno już by wszystko spierdolił. Gdyby wiedział... Co do moich obrazów na ulicy: ja nie potrzebuję klakierni, ja potrzebuję cudzych oczu. Obrazom wystarczą oczy.

Danusia R. pisze do mnie: „Dzięki za umarłych. Kolejna wielka akcja za Tobą. Ciekawa jestem oddźwięku. Jak Umarli zostali przyjęci przez miasto? Wymowne są te «puste» płaszcze i krzesła. Bo chyba to są krzesła? Ja najbardziej «zawiesiłam» się na zdjęciu 125 itp. Mimo iż nie do końca chwytam, co chcesz nam, odbiorcom przekazać, coraz bardziej podobają mi się Twoje papierowe obrazy. Nie wiem, czy słowo «podobają» jest tutaj właściwie użyte... Twoja Monstrancja wisi w moim pokoju na głównej ścianie i jest najciekawszym elementem tego mojego przybytku. Dobrze się czuję w jej towarzystwie. Ja żyję i mam się całkiem przyzwyczaić”.

Iwona: „Jesteś jak przyroda afrykańska. Wszystko pochłaniasz. Nie zostawiasz drugiemu człowiekowi żadnego miejsca. Ty jesteś z tego dumny. Mnie to przeraża”.

Pisze Konstanty Szewerdin z Ługańska: „Życzę Ci dostojnego ludzkiego życia. Dziękuję, że pomagasz mi w myślach”.

Każde wydarzenie miało swoje miejsce. Znamy widok na śmierć. Jedynie. Jest umieranie biedne i jest umieranie bogate. O ile bylibyśmy ubożsi, gdyby nie świat z drugiej ręki. Jego doświadczenie i jego doświadczana obecność.

Sprawiam sobie przyjemność tym rozklejaniem po Krakowie obrazów, poczułem: to moje miasto.

Na przekór wszystkiemu umarli wstaną. A może to prawda.

Długopis Mamy. Biały z niebieską kulką. Zostawiłem.

Dziennik. Preparat?

Chciałem odcisnąć Mamy bluzkę. Taką w tureckie wzory. W małej kieszonce znalazłem kawałek zwiniętego w kulkę papieru toaletowego. Do nosa... Ślad po Matce.

Jestem dybukiem? Nie.

Iwona: „Ty nie godzisz się ze śmiercią, z odchodzeniem. Chciałbyś wszystko za-trzymać. Ja tego nie mam. Nie wszyscy muszą zostawić ślad. Dla mnie jest ważne Być, a potem ważne Nie Być”.

Dzieci za ścianą krzyczą. To ewenement. Słysząc je.

Zawsze byłem desperatem. Z natury. Nic sobie nie zostawiałem?

Hiob. Mądrość podpowiada mi, żeby nie kusić losu. Za dużo maluję rozdarcia, za mało spokojnej afirmacji. Może moja spokojna afirmacja ma tak właśnie wyglądać, jednym okiem płacząc, a drugim się śmiejąc. Jeśli w obrazie dotykamy ostrzegawczej czerwonej linii, należy mieć tego ryzyka świadomość. Świadomość wywoływania wilka z lasu... Wilk sam przyjdzie, kiedy nadejdzie czas. Czas wilka. Zdażyć z uniesieniem wagi własnego szczęścia. Patrzyłem na powolne odchodzenie Babci i Matki w niebyt. Do innego świata, ale przez ból. Cierpienie. Dwie najmocniejsze osoby, jakie znałem, skurczyły się w tym cierpieniu. Zmalały, skarłały. Moja Babcia umarła w letargu, w nieświadomości. W najpiękniejszym miesiącu roku. Moja Matka umierała, wyliczając tych, których kochała. „Kocham was... Ciebie i ciebie... I tego skurwysyna kochałam” – to właściwie były ostatnie słowa. W poczuciu spełnienia i poczuciu przegranej. Niewypowiedzianego nieszczęścia.

Maluję. Leżąc czy leżący wszystko jedno. Rekonstruuje to, co mając w oczach, noszę w sobie. Obraz człowieka leżącego. Obraz przyjętej pozycji albo stanu bezbronności. Kim innym jesteśmy, leżąc, kim innym – stojąc, kim innym stajemy się – idąc, kim innym – biegnąc. Biegnąc wznosimy się prawie do lotu, leżąc – do

oddania. Do przyzwolenia. Do powiedzenia: Dajcie mi chwilę, niech odpocznę. Zapomnijcie o mnie, proszę.

Te obrazy, które teraz maluję, zapamiętałem z Kijowskiej Ławry. Z monastynu. Z mroku tufowych korytarzy, ze światła lampek oliwnych nad trumnami patriarchów. Z zapatrzenia na leżących w mroku pod ołtarzami, skulonych w najbardziej błagalnej z póz. Modlących się o zdrowie tych, którzy są w szpitalu. O wszystko po kolei. Jestem tu w pokornym skuleniu. Zobacz mnie. Usłysz mnie. Tu jestem. Mam wielką potrzebę właśnie tej formy powierzenia się Bożej Opatrzności, właśnie w ten sposób. Bez polemiki i bez protekcyjnej czułości. W cerkwi ja Polak i ja katolik stoję przed wyrokiem. Stoję przed wyrokiem, który przybiera formę łaski. Stoję przed grozą i światem nieprzeniknionym dla człowieka. Dostępnym jedynie nielicznym Wybrańcom. Łaska. Żadnej demokracji. To lubię. Taką jasność sytuacji.

Kotwica... Kupiłem w porcie od rybaka w Piaskach. Obrośnięta muszelkami. Jakaś ludzka. Od lat wracam do malowania ryb. Symbolicznie. Pierwowzorem wyrzeźbionej na desce wielkiej ryby ze srebrnymi łuskami było godło małej, podmiejskiej dwupiętrowej kamieniczki przy ulicy Księcia Józefa, którą mijałem, idąc nad Wisłę, za azyl.

Wracam do ryb. Kotwica na obrazie u Świętej Katarzyny na Skałecznej jest wrzucona w otchłań, na ratunek. Maluję kilka. Na wszelki wypadek. Chwycę się najmocniejszej czy najładniejszej?

– Przyszedłeś do Krakowa? – pyta stara kobieta obszarpanego mężczyznę.

– Tak.

Kiedy moi przyszli do Krakowa? Sto, dwieście, trzysta lat temu. Przyszli. Bo przecież nie przyjechali.

„Moja droga nie jest taka piękna i prosta, ale jest moja”, piszę do Danusi. Maluję w małym, pustym mieszkaniu w domku za uczelnią. Dwa plus kuchnia i łazienka. Wędrowiec. Nigdy nie pasowało mi to bardziej.

Patrzę na liche jeszcze listki w parku. Któregoś ranka patrzyłem na światło w naszym domu. Światło i dźwięk, echo, pula dźwięków, które można wydobyć tylko tu. Tu tak dzwoni łyżka o ścianki zielonej cukierniczki, tu tak, a nie inaczej, szeleści Iwonka folią w kuchni.

Twarze Chrystusa malowałem kilkakrotnie. Odkładałem, żeby wyschły. W kącie. Nawet nie patrzę. Szybko. Żeby wyjść. Lakier śmierdzi za bardzo. Za duża cena za pomalowanie kilku papierów. Mam wstręt do malowania twarzy jako obrazu duszy. Poza wstrętem kilka takich namalowanych dusz twarzy mam w przenośnej pamięci.

Patrzę, jak woda zlewa się z lakierem. Zastygnie po moim wyjściu. Wyschnie. Ulubiona technologia. Na obraz tracony i obraz zyskany. Wybieram najsurowsze. Jurodliwe. Natchnione. Odkładałem efebówate. Ta najsurowsza jest prawie taka sama, jak ta, którą na marginesie notatek narysował Taras Szewczenko.

Przykleję na słupach. Na placu Szczepańskim obok miejskiego szaletu. Bokiem do meneli, frontem do przechodzących i do samochodów.

Modlitwa. Ukrzyżowanie. Prawie gniją w wodzie i farbie. Sklejone do siebie. Zostawione na sam koniec. Obrazy. Nie chcę być drugim Staszkiem Rodzińskim. Bywa sugestywny. W moich – sama czerń. Delikatnie coś w kilku ledwo majaczy. Ubrania, kawałek dłoni, twarzy, kolana... Nie byłem tam. Nie widziałem. Nie umierałem. Nie wiem. Delikatnie rekonstruuje. I o tę próbę rekonstrukcji z mozołem walczę. Jestem, patrzę, co się tutaj wyprawia. Ciąg dalszy nastąpi. Czekam. Co robić?

Jestem beneficjentem zarówno ofiary, jak i obojętności.

Upadek namalowałem w roku 1986, mroczna, z latawcem, sylwetka człowieka na kolanach i łokciach. Wobec dylematów. Ta czy nie ta kobieta? Wtedy mówił o braku umiejętności podjęcia decyzji. Cierpienie z powodu braku charakteru, z którego zdałem sobie sprawę. Rzecz dotyczyła kobiet. Dwóch naraz. To był pierwszy namalowany widok na upadek. Mój. Koniec końców... upadek. Na przyzwoitość.

Te są zwierzęce. Ludzko-zwierzęce w swoim czołganiu. Skradaniu. Włczeniu. Czołgamy się razem. Zawsze robię to, co myślę. Siedzę przy siedzącym, leżę przy leżącym. Kłęczę przy kłęczącym. Rozkleję je przy Starym Kleparzu, przy Prądnickiej, pod wiaduktem, pod mostem na Grzegórkach i pod dworcem. Na dwóch targowiskach i na dwóch rozstajach dróg.

Targowisk, oprócz moich z dzieciństwa i ukraińskich, nie lubię. Rozstaje dróg – niebezpieczne miejsce podjęcia decyzji. Doceniam ich wagę... Nie bez powodu stawiano tam figury z Chrystusem, dla ochrony przed czyhającym złym.

Malowałem kilka. Na jednym głowa przechylona, jakby pytał: „No jak, podoba się? Ładnie się czołgam? Miło wam?”. Na innym krzepnie. Kwadratowieje. Nie ma mnie już. Odchodzę. Obojętny... Na obojętnych i na nieobojętnych. Obcy, ale jeszcze żywy.

W tych rudych szkicach do Bachorowcy próbowałem przedstawić sobie sugestywnie to pęknięcie świata. Tę szparę pomiędzy Tu a Tam. W pełzającym i wiszącym na słupie krzyżu starałem się wyrazić reakcję nie na to, co widzę, ale na to, co słyszę. Wycie.

Wracam do tych małych rysunków. Przydały się.

Pod Upadającym Chrystusem, przyklejonym na słupie przy Kleparzu, fotografuję człowieka z wielkanocnymi palmami i wiązkami brzoźowych gałęzi. Wygląda dobrze. Gruby oprawca z wystającym brzuchem i różgi.

Kłęcząca, kłęczący, kłęczące. Nie jestem teologiem. Kłęczącą namalowałem w 1982 albo 1983 roku. Staruszka z garbem przyjmująca komunię. Tuż przy wejściu

do kościoła Dominikanów. Całą sobą. Tak, dla mnie to ważne. Wyrażała zastygnięcie. Wyczekiwanie... W całej swojej poskręcanej gościeniem czy artretyzmem lichej, starczej powłoce. Niemal ekstatyczne, miłosne oddanie... Jak mały ptaszek, który wyciąga główkę karmiony przez matkę... Nie chciałem jej nigdy zapomnieć. Człowiek klęczący to sytuacja. Dla mnie ważna. Hołd ludzkiej wielkości wobec boskiego bezmiaru mocy, pozostającej poza ludzkim zasięgiem. Pokora. Punkt zwrotny. Sprawczy. Zdaj sobie sprawę, kim jesteś, dalszy ciąg jeszcze należy do ciebie... Tak ci się wydaje...

Zafascynowany też epitafijnymi szeregami z jednej strony rosnących figurek kobiet, z drugiej malejących, klęczących mężczyzn wracałem do tego przedstawienia w trudnych dla mnie życiowo sytuacjach. Nie wiem, czy pomagało, czy miało pomagać. Było moim wyznaniem wiary. Hołdem złożonym przeze mnie innemu, niepojętemu światu... Moją modlitwą.

IV UCZTA VIATORISA

„Drogi Piotrek, pozostało parę dni do waszego przyjazdu, a Ty milczysz. Nie rozumiem, co się dzieje. Napisz, kiedy przyjeżdżacie, o której godzinie... Chwała Bogu, że się odezwał. Pozdrowienia dla Iwony i Oli. Czekamy, Natalia”.

Ukraina. Jedziemy. Olesko na górze. Zatrzymuję się pod. Lubię te wszystkie miejsca. Podhorce. Idę brzegiem wału w stronę pałacu. Kij bejsbolowy kupiłem na straganie. Dobry. Daję kierowcy, zadowolony. Za godzinę, wjeżdżając na górę w Podkamieniu, zawadzi i zerwie sieć telefoniczną, ale to za chwilę, teraz idziemy pod lipę. Ogrom. Olbrzymka... Podkamień. Jak w czeskim filmie. Do przodu – zrywamy. Cofamy do tyłu – też zrywamy. No, to na jedno wychodzi, jedziemy... Ważne miejsce. Patrzą na bramę z ikoną Chrystusa i rowerzystą, z dwoma robotnikami. Na skały. Wzruszenie. Brak mi Iwony i Oli. Tego wtedy. I Poczajów się nie świeci.

Nowy dzień. Idziemy do muzeum, ale już mam autobus czekający z Tolikiem Numer 1, ojcem Saszy i Tolikiem Numer 2 (kierowcą autobusu). Wpadamy i wypadamy. Jedziemy do Bakoty. Jesteśmy. Ja szczęśliwy, że jadę z tymi swoimi studentami prostymi, ukraińskimi drogami. Trajanow Wał... Gdzie? Żar. Trzepie. Wchodzimy do cerkwi. Zawsze klęczę. Potem do wody. Piję. Biorę do butelki po wodzie gruszkowej. Wiem. Święta. Piję ze Świętego Źródła.

Idziemy za zamek. Żar. Wieczorem wyleję cały kefir na spaloną słońcem twarz. Borys. Bogdanka wnuczka. Moi. Dla młodych znów nic nie mam. Żadnej z siedmiu butelek wódki... A oni ujmujący. Siedzę z Borysem i jego kolegą. Naprawiają kran czy coś

takiego... Lubi mnie najwyraźniej, służył na łodzi rakietowej na Bałtyku z trzystoma pięćdziesięcioma stojącymi chujami. Komuniści nie puszczała.

Mówi: – W latach 1918-1980 zabili sto osiemdziesiąt milionów ludzi, dziesięć milionów umarło w czasie wielkiego głodu, 1931, 1932, dwanaście milionów w czasie wojny, a czterysta pięćdziesiąt tysięcy utopił Stalin, każąc w rocznicę rewolucji zdobyć Kijów. Rzeka była aż do Turcji czerwona od krwi. Chłopcy ze stepów uzbrojeni w pałki, często bez broni, nie umieli pływać.

Opowiada dalej: – Bez miłości to nic. Nie ma na co pracować... Kochankę miałem. Polkę z uniwersytetu. Piękna. Kobieta musi być piękna. Pływaliśmy nago w Dniestrze. Miała takie piękne piersi.

– Męża miała?

– Miała. A co to przeszkadza. Kobieta musi być piękna i na swój sposób mądra. Ale... piękna musi być. Daję ci jeszcze dwadzieścia lat. Normalnego życia...

Zaproszenie od biskupa Leona Dubrawskiego na niedzielną kolację. I na poniedziałek do Borysa Negody.

U Dimy Bojarskiego na targu dostaję kulę i dwie łulki. Dzwonimy do Rusłana Samulewicza. Pojechał. Jutro będzie. Idę rano.

Natalia przynosi butelkę gorzałki w kształcie obrazu z reprodukcją Kozaków, piszących list do sułtana. „Wiedziałam, że to dla ciebie będzie, jak dostałam...”

Nowy dzień. Chocim. Parują łąki. Pachnie miodem. Duszno. Żar. Wchodzę na moje miejsce za zamkiem. Oni schodzą, ja zostaję. Spokój. Na nic nie czekam. Dobrze mi. Wszystko na swoim miejscu. Znalazłem. Po to tu jestem. Wracam do siebie spokojnego.

Jedziemy do... Ukraińskie wsie. Trzepie na wszystkie strony. Dwadzieścia kilometrów na godzinę. Nowy autobus Tolika więcej by nie zmógł. Ludzie, konie na łąkach, kozy, krowy, kury, gęsi, indyki przechodzące w poprzek drogi. Kobieta z krową, kobieta z kozą na sznurku, staruszka z gęsiami i patykiem. Okopy Świętej Trójcy. Wieś Pana Darcy. Kozuch zieleni na rzece. Zbrycz. Światowidowa rzeka. Wszędzie stały. Po górach. O czernichowskie, scytyjskie, słowiańskie bogi... Patrzę.

Potem siano zamiast ołtarza w rycerskim kościele. Ciele patrzy przez dziurę w nawie kościoła. Tylman Gamerski i Marcin Kącki. Wielcy kreatorzy... Fota z człowiekiem bez koszuli, którego ojciec tu woził ze Lwowa furmanką na wakacje. Tu była Polska?

Zjeżdżamy po wybojach do Kudryńców, widać zamek. Ważny. Polski. Starożytny. Chmielowski malował? Pewnie... Bywał tu u brata na wakacjach. Idzie chmura. Będzie burza. Kwiaty coraz bardziej pachnące, coraz bardziej fioletowe. Kudryńce przed deszczem... Różowo-fioletowe. Pachnące. Elegant w słomkowym kapeluszu spotyka na moście kobietę. Rozmawiają... Leje. Jedziemy. Goni nas chmura. Błyskawice na hory-

zoncie. Długie. Żwaniec. To ja tu zjem obiad. Zupeł z frykadelkami i pielmieni. Zjadam podwójne porcje. W porządku...

Leżę na bunkrze. Bez Oli. Ale szczęśliwy. W dole rzeka. Przestrzeń, zieleń, cisza. Żuraw czy czapla siwa? Ilu naszych Polaków jeszcze pokocha tę ziemię, tak jak ja? A może bardziej. Bez tej wiedzy nieczytelne jest dwadzieścia procent dawnego malarstwa.

Sobota. Leje. Leczę czoło. Skutecznie. Piję bakały piwa z Samulewiczem i panią Darią. W barze na jego targu. Nalewa z piersiówki koniak. Pijemy za drużbę. Darii mówi, że wierzy w dawnych bogów, w Peruna, bo Chrystus był Żydem... Coś go...

– Przyjdę jutro.

– Przyjedź do Krakowa – mówię.

Dima stoi przy swoim straganie. Jutro pokaże mi scytyjski skarb: pięć siekier z brązu. Całe w zielonej patynie. Kruszą się, patrzę, dotykam. Jestem szczęśliwy... Patrzę na łulki Dimy i armatnią kulę. Chodzę do marketu. Kłapię w mokrych trampkach.

Pojechać do Czarnokozińców. Zobaczyć zamek. Do Wróblowic, Jarugi. Zobaczyć Dniestr. Codziennie budzę się o czwartej rano.

Patrzę na siekiery. Idziemy do baru. Siedzimy. Pijemy piwo, zamawiamy – jak tłumaczy Dima, który akurat przyszedł – serca faszerowane... Popijam, bo mi staje w gardle... Dima smakuje. Dobrze. Wkusne.

Biskup egzorcysta leje do pełna spod stołu. Filmy Iwony się podobały. Robimy sobie foty. Natalia U. robi z nas krasnoludki. Ja poprawiam. Mimo takiej ilości wypitej z biskupem wódki, czuję się świetnie. Szczęśliwy patrzę na różki. Za oknem szczekają psy. I gwiazdy. Szczęśliwy. Tak. Chodzimy po Czarnokozińcach... Wieje.

Dalej Czerce. Za Zalesiem czekają. Ludwik, Marcyniszyn syn, weterynarz, prowadzi. Siedzimy w altanie, jemy barszcz, ziemniaki z mlekiem, pijemy sok jabłkowy i wodę z miodem. Czekali na nas.

Studenci ujęci. Pokazują swój kościół, który kupili, żeby już nikt im nie zabrał. Pokazują papiery. Serdeczni. Starsza pani matka opowiada, jak wszystkich Polaków wywieźli na Sybir. Nikt nie wrócił. „Ty polski ryj – powiedzieli mi i zostawili”. Zbiera jej się na łzy. Na rękach jej ojca zmarł zamordowany ksiądz.

Groty. „Tam nie trzeba iść, tam ludzie umierali. Tam są kości ludzkie. Tam nie trzeba, nie wiadomo, co się może stać. Zobaczyć z daleka i dość”, staruszka protestuje.

28 czerwca 2011. Wróblowce. Leje. Trzęsie. Gęsi, kozy, kaczki, wiatr, deszcz, słońce, gęsto. Zapach miodu, gnoju, gliny. Warto. Dalej nie jedzie. Idziemy przez pola. Wypatruję cmentarza. Jest w dole. Ten z wódką na grobach i z nazwiskami kończącymi się na -ski. Cały w złoto-białym łanie zboża. Wychodzi słońce. Leżę i patrzę ze skały, jak wije się Dniestr. Pięknie.

Po południu patrzę na zamek. Patrzę na groty tatarskiej i ruskiej strzały, znalezione pod zamkiem przez chłopców. Ruska jest skrzywiana, trafiła w mur.

Leje. Idę w deszczu. Będzie czym oddychać.

Studenci zapraszają mnie na dół na pielmieni, piwo, koniak imieninowy, znoszę ten od Iny Bierieziny... Wzruszony. Patrzę na nich z zachwytem i rodzajem miłości. Ale nie piję. Nie chcę... Wybaczcie.

Kupuję od człowieka z sabotami i mundurami gruziński rożek. Gruzini nosili i pili.

– Pięćdziesiąt hrywien. – Czterdzieści pięć. – Dobrze.

Był tam na wojnie. Wrócił w 1980 roku. Przywiózł wiele. Mógł. Rożek też.

Myślę, będzie kompletem do tamtego okutego w czernione srebro. Cieszę się. To mój kolejny imieninowy prezent. Obiecuję mu bursztynowy różaniec. Dotrzymam. Kupuję w supermarkecie piwa.

Dima prowadzi mnie do swego magazynu. Pełen po sufit wszystkiego. Piękny bukłak, cały drutowany, czarny.

Mówię Rusłanowi, żeby przyszedł do Borysa w pół do dziewiątej. Na imieniny. Przychodzi z dwoma flaszkami, butelką swojego domowego wina, butelką wódki czy bimbru i kawałem sadła. Jest w dresie i ze złotym łańcuchem na szyi. Siedzimy już od godziny. Najpierw ja z Danusią i Stanisławem przynieśliśmy do Borysa torbę dwulitrowych piw, dwa rano z Darią ukryłem w ogrodzie w krzakach. Siedzimy, czekamy na studentów, wchodzi. Pan Grzegorz pierwszy. Rozglądają się z zachwytem po pracowni Borysa. Patrzą na krzemienie w wiadrze z wodą, na topór na drzwiach, na koło i rysunki, gniazdo szerszeni, łosią łopatę i stół z dłutami, na scytyjską księżniczkę na papierze i wyrośniętą, odchowaną cytrynę w doniczce na oknie. Dzwonię do biskupa. Prosił. Niech będzie Jezus Chrystus. Zaprasza ze studentami. – Będziemy o... – Bądźcie nawet o dziesiątej. – Będziemy... Wpada Laszko. Jak się ucieszyłem, za nim Natalia, żona. Serdeczni, porywający w tej serdeczności. Idziemy do stołu. Piwa stoją. Władimir kroi pęta kiełbasy, dwa różne, Danusia chleb. Stawiam wielką butelkę wódki i koniak ukraiński, który dostałem od nich. Pijemy za drużbę. Sadło od Iny Bierieziny... Kroję kawałek, częstuję. Studentki ostrożne... Toasty. Borys: „Mój dom to twój dom”.

Idziemy do pracowni Natalii. Siergieja Klapetury już nie ma. Potem lody u biskupa. Przedstawiam. Częstuje lodami, polewa. A teraz torty. Wielki nauczyciel powinien być wielkim prowokatorem. Niewidocznym. Dlatego tu jesteśmy.

Jak cudne są języki wschodnie. Nie recytacja. To śpiew. Wracamy. Rano ujadają psy. Słońce wschodzi na ruskich folwarkach. Jadę na targ. Nie lubię zostawiać Olgi, śpi. Jan śpi. Mój Wschód. Mieszkanie duszy. Jak szkło powiększające, przez któ-

re patrzę. Daje mi serce i naukę. Precyzję, której ostrość za każdym razem na nowo ustawiam. Mój Ruski Mir. Precyzję zawartą też w czytaniu zapachu, koloru, smaku. W prostym pięknie. I w pięknie złożonym. Urok prostego piękna znam. Złożonego jeszcze się uczę.

Jeszcze inne rozdanie. Inaczej o miłości, o pracy, o życiu, o ojczyźnie. Dużo więcej pomiędzy. Inaczej, analitycznie. Wszystko bardziej efemeryczne, niepoliczalne, nie zawsze dotykalne. Stąd bliżej do transcendencji. Do metafizyki. Wolę, bo tu cieplej. Pięknie o kochaniu. Fascynujące piękno kobiet. Esencja kobiecości.

Moje przeszkody są wysokie. Może dlatego czasem nie mogę zaczerpnąć oddechu. Ale mam dobre geny. Dlatego się rozpędzam i pokonuję. Walczę. Tak jak w górach. Im wyżej jesteś, tym wyżej chcesz wejść. Odnajdywanie się na nowo. Od nowa. Mój zachwyt i moje zakochiwanie się. Ciągłe na nowo.

Idę do Samulewicza. Szybko przez Smotrycz. Nim się Olga nie obudzi. Z ciupagą w prezencie. Jest w ogródku. Róże herbaciane, garnki na kołkach, wino i ogórki pną się po altanie. Siadamy na ławeczce.

– Czaj? Zielonyj, ciornyj? – pyta. Serdeczny. Ciepły.

– Wsio charaszo?

– Da – odpukuję. – Znajesz...

Z cerkwi dobiegają śpiewy. Rusłan wiedział, że ja byłem na targu. Tu się nic nie ukryje. Cekał wczoraj. Coś markotny. Może cukrzyca żony.

Akerman? Był tam. Limany Dniestru? On był. Mnie nada.

Czytam na pomniku nazwiska poległych. Znajduję czterech Dobrowolskich, trzech Berezowskich, tak jak w Medzilaborcach wyczytałem na tablicy, idąc rano do sklepu po bułki. Poległych ojca z dwoma synami. Nazywali się Cukier. Żołnierze jednej z tych niezliczonych dywizji pancernych, gwardyjskich i jeszcze jakichś. Ślady wielkiej wędrówki.

Rozmawiam z AZ. Pokazuje bojowy topór. – Skąd Scytowie przyszli? – pytam. Nikt nie wie, skąd przyszli i dokąd poszli. To część prawdy on nas.

Mój Wschód jest tyle w genach, ile odnaleziony. Jestem bogobojnym człowiekiem. Boję się Boga nieprzeniknionego. Jestem spragniony takiej transcendencji, w której maluje się obrazy, żeby być lepszym człowiekiem.

Malować to dla mnie być wobec prawd subiektywnych ze świadomością tej jednej podstawowej: nieprzeniknionej. To tęsknota do niej ponad rozstrzygnięciami formalnymi. By dojść do potrzebnej używalnej, mądrości.

Śpiewa Borys. Śpiewa Natalia. Śpiewa Ina. Ale jak... „Kochamy cię, Piotr”, wyznanie Natalii.

W ogrodzie lilie pomarańczowe, stary snop skoszonej trawy. Pachnie lipa, pod którą siedzę i patrzę na drewnianą, oszkloną werandę z zawijaszem rozpadających się schodów. I drugą bramkę, metalową, którą Borys zamyka na pętlę z kabla. Spaceruje rudy kot. Jest Olga, jest Jan. W bramie w Kamieńcu Podolskim stare żebraczki. Tej grubej dają pieniądze. Mówią: „Sława Boohhu”. Akcentują to głuche „oohhu”. Inne naznaczenie. Upodobałem tę dużą, która na nogę narzuciła szmatę, spod której wystaje liść babki. Daję jej hrywnę, drugą, gdy wracam ze sklepu. Dobry jestem czy zły? Ostatecznie... Idę. Czuję kostkę bruku pod podeszwami moich czarnych tramppek. Lubię.

Buty i pantofle były jakimś ostatnim, wielkim pragnieniem mojej Matki. Każde były złe. Każde za ciasne. Śnić stare buty było w mojej rodzinie snem złym. Gorsze mogły być tylko zęby i brudna woda. Buty Olgi miały na podeszwie narysowane przez nią długopisem serduszko. I+P+O. Żebraczki w bramie, znowu. Jedna zła, że nic nie dostaje. Wyraźnie preferuję tę grubą. Wielką. Sława Bohu...

Tolik, drugi też Tolik.

– Ty słuszaj, Piotr, budiem tak... – ojciec Saszy Łopatina. – U was oczeń choro-szyj syn ciełowiek... Jego żena tożę... I krasawica...

– On nie chce wrócić.

– Wróci. No kuszaj.

Wódka, damaszniaja kiełbasa, truskawki. Żar leje się z nieba. Siedzimy na skale, nad studentami. Oni w dole moczą nogi w Dniestrze. Obok nich na kocu wąsaty nastojaszczij Kozak... w kąpielówkach. Agnieszka pływa. W małej uliczce pod twierdzą mijamy całe zgromadzenie. Rodzina, sąsiedzi. Na piernatach pod drzewem, na ławie, on i ona. Starzy. Król i królowa. W szmatach. Rozchełstani, starzy, ale dostojni. Piękni. Dalej, nad rzeką za drzewami, ktoś gra na gitarze, a oni tańczą. Kobieta wybija rytm plastikową butelką, uderzając ją miarowo w swoje udo. Aż idzie echo. Zachwyt. Olga znajduje kotka. Wahanie. Mijamy drugą morwę przed Borysem, przy drukarni. Człowiek na krzeselku przed drukarnią siedzi i patrzy. Bruk. Stary? Nowy. Kraniki z wodą przy domkach biedniutkich i lilie białe. Arystokratyczne. Z innego świata? Świat bez żadnych kątów prostych. Ale pachnie. Ale ptaki.

Czwartek. Jaruga w dali. Dniestr jak okiem sięgnąć. Rzeka majestatyczna. Maki... Całe pola maków. Fioletowe czosnki. Skowronki. Mijamy cmentarz w samych polach. Wódka przy krzyżach. Ukraina, moja miłość. Ofiarowywana im... Cieszę się.

Łaszko wyłożył na skale ser, domową kiełbasę, pomidory, ogórki, majonezy, brzoskwinie. Dźwigał całe dwie torby. Pola pachną jak dawniej. Nawet Tolik Drugi narwał gałęzi czereśni jako gościniec dla studentów. Pokazuje, że dla nich. Rozdać. Idziemy przez pola do Wróblowców.

Tam, gdzie pokazał mu stary rybak. Łaszko. Jego dziadek dostał od cara Order Świętego Grzegorza. Babka Orzechowska z Lublina, druga Czycz. Od Połtawy. Pokazuje na Wał Trajana... Idziemy przez dąbrowę. Chłodniej. Prowadzi w dół, nad Dniestr. Łatają szybkie, wielkie gzy.

Co myślisz o Mazepie? Dla nas on bohater. Wioseczka. Kobieta oparta na kosie. Monumentalna. Godna. Pięknie tutaj. Sama krasata. Siadamy na skale. Wyciąga kiełbasę. Jemy wszyscy. Błękit nad nami, a pod nami znowu Dniestr.

Wracamy obok małego cmentarza w polach. Wódka w szklankach – postawionych na grobach – dawno wyschła. Pod portretem kombajnisty pusta szklanka.

Polskie Wróblowce. Przez wieś. Obok poidel czy wiejskiej pralni. Stoją kobiety i piorą... Dwie rozmawiają. Nadchodzi stado krów... Trzy kobiety z patykami w rękach... Jedna gada do krów. Słuchają. Nadchodzi ze zbocza kuternoga. Wrogi kuternoga. Z tą samą gęstością zaczyna mówić do niego. Dużo, ostro, źle... „Tacy jak ty Chrysta sprzedał”, rzuca gdzieś mistrzyni skutecznej retoryki. „Ty sprzedawco Chrysta...”

Idziemy do wsi. Fioletowy autobusik stoi obok baru, a przy barze coś. Samochodzik damaszniej raboty. Z minibaru wychodzi olbrzym. „Ja dziełał”. Ja zachwycony. Jak zwykle... Ja to Karwasarski. Polak. „Moja matka była Wojciechowska z domu”. Wychodzi drugi. Mały, miły. „To który zrobił?” Fakt, samochód sam zrobiony. Szaleństwo. Żegnamy się czule. Serdecznie.

Władimir wysiada przy targu. Gna do marszrutki, do zakładu na przedmieścia. Do pracy. W rękę trzyma bukietik kwiatów od studentki. Mnie głupio, że nie poprosiłem Tolika z synem, że nie poszedł z nami na skałę. On – słuchający swoich duchowych poczajowskich pieśni. I jego syn – w kolorowych bermudach. Impreza ze studentami. Urodziny pani Ekielskiej. Z tych Ekielskich. Ekielski „wypromował” Stanisława Wyspiańskiego.

Chocim. Droga, ta sama co kiedyś, przejechana z Olgą i Helenką... Dwóch chłopów pokazuje, że nie ma przejścia. Składają ręce na krzyż. Że zamknięte. Nauczyłem się wierzyć nie wierzyć. Idziemy... Brama zamknięta. Szukam przejścia przez pokrzy-

wy i zarośla wyższe ode mnie. Nie będę wracał trzy kilometry. Idę, gdzie strumień wpływa do forticy. Jest koryto, zjeżdżam na spodniach w dół. Gałęzie się urywają... Jak zejść po pionowej glinie? Mokrej. Schodzą... Zjeżdżają po ziemi, trzymając się gałęzi i wpadają do wody. Któraś robi zdjęcia. Chocim zdobyty. Idziemy na skarpe. Moją skarpe. Osty, znowu morwa. Zamek jeden z najpiękniejszych. Żar. Wzięliśmy stroje. Idziemy popływać.

Puszczam. Jedziemy dalej. Okopy Świętej Trójcy. Tu Dniestr, a tu Zbrucz. Resztki koncepcji Polski. Dawnej. Bramy Kąckiego i rycerski kościół. Tu Światowid leżał... niedaleko. Tu walczyli bracia Pułascy. I zginęło tu czterdziestu janczarów z Chocimia, którzy przeszli do konfederatów na ochotnika... Tu zamordowano nocą dla złota Wacława Rzewuskiego, Sadyka Paszę, Czajkowskiego.

I. + O. z Tolikiem siedzą pod autobusem. Staruszek przychodzi pokazać nam starą pocztówkę. Podpis: kościół rycerski. To, co zostało, zaraz się rozpadnie. Wygląda smutno.

Jedziemy dalej. Żwaniec. Zaczynamy od zamówień w barze. Ja od zupy z frykadelkami.

Bufetowa: – Siedemnaście nie ma, a trzy budżet?

– A budżet.

– A sześć budżet?

– A budżet.

– A dziewięć budżet?

– A budżet...

Rozmowa. Idziemy. Mijamy kozę w czerwonej chustce na szyi. I kwaśne cereśnie czy wiśnie. Tu, na zamku, stała nieraz cała armia Rzeczypospolitej. Nawet z samą piechotą morską. Tu był Spytko z Melsztyna i Marcin Bogusz. Olga z wieńcem kwiatów na głowie. Krowa w tle. Bunkier. Nie. Nie chcę widzieć bunkra, leżę na nim, wystarczy. Patrzę na moją rzekę w dole... Wciągają psa. Wyciągają psa... Zanim rzucimy się na zupy i pielmieni. Jemy. Borszcz, sup z frykadelkami... Lubię ich takimi. Mili. Zwykli. Patrzę. Czy z tego moi studenci robią „swoje”? Jeśli tu kiedyś przyjadą, jeśli przyłączą to polsko-ukraińskie dziedzictwo do swojego doświadczenia, do swojego świata – będzie to wspaniałe moje zwycięstwo...

Puk, puk.

– My do pana profesora... – w drzwiach trzy dziewczynki. Dobra Karma i dwie Justyny... Roześmiane. Od ucha do ucha. – My do pana profesora... Pan profesor śpi?

– Nie śpi jeszcze, proszę.

– Ma pan profesor imieniny za kilka dni, a my wcześniej wyjeżdżamy i przyniosliśmy prezent. Drobiazg. Same zdobyliśmy...

Patrzę, leżąc w łóżku – Wchodźcie panie...

Siadają. Jedna ma w ręku list, druga bukietik kwiatków i zawiniętą w srebrną folię kulę. Starą kulę armatnią... Patrzę osłupiały...

– Wiemy, że pan profesor zbiera.

– Ale skąd mają panie kulę?

– Poszliśmy do muzeum w Chocimiu i dostaaliśmy... Wiemy, że pan profesor zbiera...

– Ale, jak dostałyście panie? W muzeum?

– W muzeum. Pytałyśmy panią, czy są kule armatnie. Są. Może nam pokazać. Poszła na zaplecze i wyniosła. Pytamy ją, czy możemy kupić... Że chcieliśmy kupić dla naszego profesora. Ona, że to muzeum, że tu się nie sprzedaje i że nie może nam sprzedać, ale może nam dać. I powiedziała, żeby przenieść tak, żeby nikt nie widział...

– Dała wam?

– Dała – odpowiadają chórem i się śmieją. Zdobyliśmy.

– Żartujecie.

– Nie żartujemy.

– Jesteście wspaniałe. Nic by mnie tak nie ucieszyło, nawet medal złoty od prezydenta Ameryki! Tej chwili nie zapomnę do końca życia. Dziękuję...

Oglądam noże dagestańskie. Te lepsze. Najlepsze noże są na Północy. O, ten fiński nóż. Dobra cena. Patrzę, jak sprzedawca tnie małym nożykiem papier w powietrzu. Będzie to miało dalsze skutki...

Rosja. Z Ukrainy przywiozłem dwa, nie trzy, określenia: „nie pieriezywaj”, „nie walnujsa” i „spakojna”... Samo ich wypowiedzenie na mnie działa. Ściemnia się. Patrzę na staruszkę pchającą brzegiem peronu w Terespolu brązowy wózek. Jak ustrzec siebie od egzaltacji i uniesień nad malowniczością cudzej nędzy? Zmieniają podwozia.

20 października, 6.49 rano. Za oknem Rosja. Rozległe pola, sioło ze schludnym domkiem i staw. A nad nim wzruszająco przystrzyżony – jak ogryziony przez bobra – kikut zwalonej jak zapałka brzozy. Jeszcze ani zielono, ani żółto. Tak pół na pół, żółto-zielono. Gdzieniedzie domki pomalowane na niebiesko lakierem. Moczary i brzozy.

Biedne, drewniane, porozrzucane. Dlaczego Słowianie nie stworzyli jednego imperium? Śnili o tym niektórzy.

A przecież mieszkamy w języku. Naszym domem jest język. Z tego języka pochodzimy. On nas łączy. Kryje, przechowuje nasze mądrości. Kryje nasze tajemnice. Czy podzieliły nas te rozległe pola i nieprzebyte lasy, czy zły los? Moskwa. Co cię nie zabije, to cię wzmocni.

Moi dziadkowie, młodzi i zakochani, też pewnie kupowali pirożki od kobiet na dworcu. Z kartoszkaj, z mięsami, z kapustą i grzybami... I pielmiemi. Tego mogą być pewni. Mieli wtedy po dwadzieścia parę lat. I wojnę domową wokół siebie. Na stojąco jemy pielmiemi ze śmietaną, trzysta metrów od Kremla.

Wczorajszego popołudnia pod murami Kremla oraz tańczących walca angielskiego w parku starszaków nie zapomnę. Gdzie jestem? W sercu imperium, Moskwie. Tej. Po co? Żeby coś zrozumieć. Po pokorę wobec wiedzenia. Po to, żeby umrzeć mądrzej. Żeby mniej popsuć. „Bieły medwieź z dołu dobry”, mówi sprzedająca. Plac piękny. Cerkiew Wasyla Błogosławionego. Kreml. Normalny, ludzki.

Byliśmy na uniwersytecie. Młody cementują przyjaźń. Nie potrafię ocenić w pełni historii cudzych Leninów i Stalinów. Inne czasy, inna rzeczywistość. Nieznana mi. Będę się ich bać, jak Napoleona. Patrzyliśmy w Sankt Petersburgu i tutaj na ikony świętego cara Mikołaja II i jego rodziny. Męczenników. Pamiętam słowa: „Nikt go nie żałował, to był ludobójca”.

Moskwa przytulna. Może miasto ociepla ludzi. Może ich mowa, choć to nie mowa – to śpiew. Święci ze ścian. To się znajduje, czego się szuka. Prawosławie bynajmniej nie przeżywa kryzysu. Największe wzruszenie przeżywam w cerkwiach. W każdej odmawiam „Wieczne odpoczywanie” za moich. Patrę na owoce na targu, który mijamy, idąc do metra. Na życie „innych” ludzi.

Wtorek. Miłość jest dla mnie największą tajemnicą człowieka. Człowiek pozazdrościł Bogu nieśmiertelności i mu się udało. Każda miłość jest święta. Może Orłowski kochał po prostu Katarzynę. Rano, kiedy wszyscy śpią, idę na targ przy Jugo-Zapadnoj.

Nic mnie tak nie cieszy jak chodzenie na targ. Mój. Patrę na bubliki, czeburaki, lawasze, pirożki z mięsami, syrom. Na figi, ogromne arbuzy – kawony i na ludzi. Jeśli malować, to ich. Mijam mężczyznę z białą łaską, piękne Rosjanki, inwalidę na drewnianej podstawie bez nóg, „my weterani”. Pytanie w kasie Kremla o bilet. Dwaj młodzi chłopcy odpowiadają to samo: „My weterani”.

Przez ostatnie dni z największą uwagą i czułością patrzyłem na ludzi spotkanych w metrze, na targu i w galeriach sztuki. Ilu wzruszeń są świadkami ozdoby Trojańczyków, garnki Greków, portrety z Fajum, Goya i Terborcha? Patrę, jak przystają przed nim fantastyczne dziewczyny i bywali starcy. I my.

Stacja Kropotkińska. Ulubiona po Okhotnym Ryadzie. Patrę na nas. Życie. Olga liczy pieniądze. Ja z Iwoną siedzę. Woda na kawę gotuje się pod ścianą. Rano odnalazłem koło nas rzeczke Oczakowkę, w lasu obok. Posiedziałem. Postąłem na mostku. Popatrzyłem na rosę. Na brzoźki. Znalazłem rzeczke, zanurzyłem się w Rosję... Trzymam się prostego kursu. Żyję. Noc. Budy na przedmieściach, ciemne sylwetki ludzi idących wzdłuż muru. Obok toru ktoś pali ognisko, odziany w łachmany.

Niedziela. Po 22.00. W pociągu. Wyjechaliśmy ze zjawiska. Od kobiety sprzedającej cukierki, prosiła o grosz dla syna na szczęście, od pięknej pół-Tatarki Darii Sierieginy, od ciemnoskórych sprzedawców na targu, od tańczącej staruszki i trzech psów przy rampie, od innych. Jedziemy. Myślę o Tołstoj. Jest bliski. Majakowski dziurawił koszulę, a Tołstoj odgarniał śnieg, palił w piecu, rozmawiał z ludźmi i pisał. Różne formy spełniania i niespełniania. Nie ma logiki. Jest, jest. I my jedni z wielu. Białorusinki piękną pirożki w Brześciu, żeby nam je sprzedać jutro rano. Wbiegają do pociągu. Szybko. Przelatują jak ptaki...

„Rosja musi cię lubić, że masz taką pogodę”, mówi Iwonka.

Olga rysuje serce na brzegu sadzawki na Patriarszych Prudach. Sielanka. Staw w dobrej dzielnicy...

Demon ma się w sobie. Bułhakow nosił demona w sobie, pod skórą.

Cyrk, w którym byliśmy, fantastyczny. Lubię te wschodnie cyrki, ich powagę, zapach, to nerwowe oczekiwanie. Zawsze chodzimy. Pomnik poległych w czasie wojny artystów cyrkowych. W holu. Smutny.

- Nóż z czarnym trzonkiem?
- Mój czarny nóż, nie widziałeś. Jak będziesz miał wolną chwilę, to mi go naostrz.
- Nie teraz...

Pojechałem do Moskwy robić pokój. Patrzą na mnie i się uśmiechają. Akademia Głazunowa, dowód na nieodwracalne przemijanie epok, stylów. Od nocy już na Białorusi. Już zapalone lasy. Bogate. Kontrast dla ubogich siół, wioszek, skrzyżowań, piaszczystych dróg. Kobieta w moro z plecakiem. Człowiek nie wybiera sobie miejsca urodzenia. Jest w tym bezbronny. Mogę przestać cały dzień w oknie wagonu. Las – patrzeć na nie bez końca. Są jeszcze pola i drogi na świecie swojskie, piaszczyste, wiodące w pola. Widoki jakby się Chełmońskiego oglądało... Przeżywam.

Baranowicze – dwadzieścia dwa kilometry. Kraina czarów. Starannie pocięte drewno. Ułożone gdziekolwiek, na poboczu czy na podwórku. Kruchość tego piękna.

Budka ozdobiona. Z podwóreczka tego rajy unosi się dym z komina. Ryśkowi by się tu podobało. I lasy. I rozwleczone we mgle złote, czerwone i żółte liście. Szukam grzybów. Znajduję. Muchomory, kozaki? Stoję przy oknie. Pyta mnie na korytarzu rosyjska kierowniczką pociągu: „Gdzie jest wasz pan?”. Moim panem jestem ja sam.

Dla Olgi kołysanka na dobranoc: „Z popielnika na Oleńkę iskiereczka mruga. / Chodź, opowiem Ci bajeczkę / Bajka będzie długa, / Była sobie raz królewna pokochała grajka, / Król wyprawił im wesele”.

Został jeden piec. Jeszcze będzie widać z parku dym z komina... Na pogodę do góry, dym na zmianę – na boki. Znow będzie można mówić: „Trzeba zamówić węgiel, trzeba zapalić, bo zimno, ale się wesoło pali, ale ciepło, jak w bani, ale napaliłeś, aż przyjemnie”. Albo: „Coś się nie chce palić, uważaj, bo ogień wypadnie, przeniosę ogień, trzeba zamknąć, bo się wypali i będzie zimno, przenieś na łopatkę z mojego pieca do waszego, powieś na piecu, żeby wyszło, masz, to do palenia, będzie się dobrze palić”.

Od dzieciństwa patrzyłem w ogień. Siadałem, otwierałem drzwiczki pieca i patrzyłem w ogień. W płomienie. W moim dzieciństwie w kuchennym piecu palił się ogień. Trzy dni piekły się placki, trzy noce, w wannie pływały ryby. Wigilia miała posmak z atmosfery po polowaniu. Makowniki, serniki, orzechowniki wykładało się z szabaśnika na stolnicę przykrytą papierem. I tak leżały obok siebie, błyszczące, bo pomalowane przeze mnie pędzlem z ptasich piór. Pies o północy mówił ludzkim głosem... Czekaliśmy. Po karpach zostawały na piecu pęcherze. „Możecie sobie wziąć”, mówiła Babcia. Nie braliśmy. Czarne brytfanny smarowane tłuszczem. Lśniły. Imbirówka – robiona obowiązkowo. Służyła do rozgrzania się. Nie myślałem, jak odkłada się w mojej głowie.

Szykuję się do Rumunii. Będzie dobrze. Musi. Moje musi. Nocą układam drogę. Helenka pełna oczekiwań... Jutro jedziemy. Helenka z minimum. Niosę jej zieloną walizeczkę do domu. Iwona robi herbatę do butelki po wódce od Borysa Negody. Wie, że tak lubię.

Nidzica.

– Pamiętasz, jak tu staliśmy wiele lat temu w deszczu i czekaliśmy na autobus do Białki Tatrzańskiej?

Przed Czerwonym Klasztorem sklepik już po słowackiej stronie. Wychodzę.

– Chodź, zobacz. Chcesz coś?

Helenka bierze żelki, ja czarnego johana z porzeczek.

Drzwi samochodu nie otwierają się od jej strony. Cholera. Wsuwa się przez moje miejsce. Szukam po wsiach zakładu. Znajduję przed Bardejowem. H. fotografuje stare samochody. Jeden całkiem stary w środku, zapakowany silnikiem, spowity pajęczyną i różnym innym bzdiewiem.

Ciężarówka z rozmontowanym przodem też dobra. Mechanik sapie i wciska się pod drzwi. Nic nie widzę, nie mogę dostać się do śrubek, idę po latarkę. Z czasem łagodnieje.

– Ile?

– Dziesięć euraków – jak mówi Serge Vasilendiuc. Ulga.

Jesteśmy w Bardejowie profesora Kunza. Parking, Paweł z katedry, tokaj z kurka innym razem. Teraz z zaplecza warzywniaka. Złoty furmint.

„Tu kupowałem ci cukierki, te kolorowe...” To miłe. Pieczony syr i bryndzowa polewka.

Wchodzę do starożytności. Nie ma. Zlikwidowany. Jest z ciuchami. Dzwonię. Zostawiam mu album. Swój. Odbierze. Szkoda.

Miłe były te nasze handle, jak z Samulewiczem. Ani kordonkowych serwet, ani porcelany, ani wiejskich, drewnianych sprzętów. Wszystko tu zgromadzone pomagało mi zrozumieć, gdzie jestem. Tu kupowałem drewniane niecki, fajansowe, galicyjskie malowane talerze i te białe, ciężkie jak lichy. I te starego mistrza Józefowicza, który malował swoje gliniane koślawce w czarne i białe ptaszki.

Dalej na Kapuśany. Po wsiach gra muzyka z megafonów na słupach. Helenka-GPS patrzy na mapę. Czy widzi to, co ja, zakochany w Słowacji? Biedne Węgry. Cygańskie budy. Gdzie to bogactwo? W tych budach. Tokaj wymarły.

Zawarte wszystko. Na zegarze piąta. Zaraza czy co? Po drodze samochód z małpą na dachu. Małpa. Mija nas. Jedziemy za nim. Zawracamy.

Paparazzi w piętnastoletniej corsie. – Zrób zdjęcie.

Dają nam znak reflektorami: Spadać.

Macham pojednawczo.

– Zrobiłaś?

– Tak.

Kusturica wcale się nie wysiłał.

Paszport? Jest nasz hotel Coral pod Satu Mare.

Recepcjonistka: – One question, one or two bed?

– Jasne, dwa. To mój tata. – Speszona.

Za balustradą balkonu warsztat i pola po horyzont z lasem. Daleko. Żaby. Monstrualna, wiosenna żabia orgia. Święto płodności. Jemy kolację lokalną i śpimy, wypię-

jam trzy i pół szklanki tokaju. Z butelki po pepsi-coli. Podkurek, jak mówili dawniej. Odruch telewizyjny. Żeby usłyszeć język, żeby zobaczyć, że nie widać już stąd naszych sokołów, popisujących się w śniadaniowej telewizji.

Rano brzydko. Wychodzę w majtkach na balkon. Nie ma żab. Nie ma słońca. Za jest to pies. I budowa. Jakies klimaty industrialne. Jedziemy po benzynę i winietkę. Helenka fotografuje gołębnik w starym wagonie przy drodze. Wygląda jak wielka, kolorowa skrzynka pocztowa. Jedziemy do policjantów. Chcą, żeby pokazać winietę drogową. Mamy. Pismo z muzeum też.

Jedziemy dalej. Na Cluj-Napoca. Po drodze zaczyna padać. Jakiś zamek. Furmanki zaprzężone w konie, z ludźmi poopatulanymi w foliowe płaszcze, pałatki, kurtki, w czapkach, kapeluszach, kapuzach. Z psami na wozie albo obok, z krowami, świniami, do skupu albo zwyczajnie, z patykami, kłębem drutu czy innym badziewiem. Drewniany karawan konny z dwoma starszymi mężczyznami na przedmieściach Klużu. Przebił wszystko. Parada. Moja lotnicza kurtka z barana się tłumaczy. Dziesięć stopni i pada.

Mijamy osady, wsie. Całe w błotnych brązach, czasem całe ceglaste. Czerwona, zanurzone w beczasie, w starożytnej nędzy. Wegetacja. Drewniane żurawie nad studniami, drewniane, plecione płoty, strzelista cerkiewka jak chatka na kurzej nodze, jak w Maramureszu. Ten świat kiedyś odejdzie. Już odchodzi. W nowych domach z Castoramy i z Tesco nie będzie miejsca ani na wozy, ani na osły, konie, kurki ani na dwóch mężczyzn z pudłem na karawanie, machających nam biczykiem z czerwonym kutasem. A to przecież nasz świat. Tak powabny. I mimo tej biedy pełen optymizmu, pełen wiary w sens dzisiaj i dobre jutro.

Góry. Wiraże. Osada fana piłki nożnej. Osada Marsjanina. Ale jazda. Jedna z drutu i puszek, druga z jakiejś ciężarówki.

Foty. Zimno. Lodowato. Samochód na dziedzińcu zrujnowanego lekko pałacu, obok Serge'owego fiata punto. Dyrektor wyciąga za chwilę pálinkę. Ze wsi, z tutejszych gór, od drwali. Gdy idą do pracy, to sobie te sześćdziesiąt procent zadysponują... Pijemy. Helenka też po chwili.

– Pij, bo kiedyś będziesz czyjaś za dwa piwa.

– Tato...

Jest Węgier, jakiś artysta. Wymalowany huzar z podkreśnionym wąsem. Dyrektor miłszy niż z foty. Mam sto dwadzieścia pięć euraków od Instytutu Polskiego, na głowę. Zostawię im album i mój obraz. Viatorisa, który został mi z Torunia. Hotel. Jedziemy taryfą za pięć złotych. Nie, za sześć. Potem wracamy na kolację. Dotykam serca. Histeria. Ogarnia mnie czasem niepokój. Dotkliwy. Raz na czas. Niepokój eg-

zystencjalny? Jestem tu szczęśliwy. Helenka ze mną. Nierozłączni. Całe życie. Miłość. Ona szczupłutka, pisząca e-maile do mamy... „Podoba mi się tak. Mogłabym mieszkać w hotelach”, mówi.

Uderzenia w dach, za oknem. Krople. Nie śpię. Nie mogę. Wszystko słyszę, koguty gdzieś z czeluści tych pozamykanych miejskich na pozór komórek, szczekanie psów i elektrowozy z dworca. Hotel stoi obok stadionu CFS, w dobrej dzielnicy, z przełomu tamtych wieków. Secesja i modernizm.

– Jak się czujesz? Wszystko dobrze?

– Tak. A wyglądam, że coś niedobrze?

– O czym myślisz? Martwisz się czymś?

– Skąd. A wyglądam? Jestem szczęśliwy, że tu jesteśmy ze sobą.

Szósta rano wstaję na nogi. Kawa. Jest o nas w gazecie. Potem, gdy Helenka wróciła, gazety już wyrzucili. Na dziedzińcu pałacu policyjny pies na emeryturze... Wytarte białe schody, magazyn obrazów... Wymieniam kurtkę lotniczą na puchową. Wieszam. Idzie. Dzięki tym spinaczom od dziewczyny ze Swarzędza. Wczoraj upominali się o wódkę. Serge im przywiezie.

Butelka po wódce kozackiej, do której Iwona zrobiła mi herbatę, podzialała najwyraźniej na wyobraźnię montażyistów. Już wisi. Dobrze. Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć obrazów. Oranżada w słońcu z widokiem na Remusa i Romulusa. Wcześniej ciastka. Dobrze.

Jeszcze wcześniej cerkiew. Nam się podoba. Jeszcze wcześniej symetryczna uliczka i kantor. Serge wymienia u Araba moje podarte sto euraków. Jeszcze wcześniej barek z zapieczonym serem, tym razem po rumuńsku. Później robimy cię przy bankomacie. Wyciągam sześćset pięćdziesiąt lei. Otwarcie... Tłum. Mówię. Klaszczą... Patrzą na mężczyznę z ogromnym penisem... Starsza pani się chichra.

Dziennikarka jedna, druga, trzecia, telewizja.

– Co pan chce przekazać?

Myślę. Opowieść. A opowieść potrzebuje czyichś uszu, a obraz cudzych oczu. Obraz przemija, człowiek przemija, a opowieść jest wieczna. Nasza opowieść czytelna, starożytna, o człowieku w drodze... A na końcu drogi jest zawsze drugi człowiek.

Piją. Mało tego. Serge, elegancki i przejęty. Delikatny. Nie za bardzo? „Chodź już”. Urywamy się. Druga kawa. Z widokiem na drzewo z ufolampami, odbijającymi się w szybie. Miła kawiarenka. Ja mam lokalne piwo. Idziemy dalej, za rynek, wąską uliczką. Coraz ładniej.

– Byłam tu.

– Ja nie.

Jeszcze, nim wsiądziemy do taksówki, idziemy na dwa strudle. Najpierw gapiemy się przez okno.

– Chodź już.

Miło. Ładne kelnerki. Czarne. Najlepsze strudle świata. Ciepło, chce się spać. Dobra ta oranżada w dzbankach, ze słomką. Dobranoc.

Czwartek. Radio w łazience. Odszyfrowałem pokrętła biczów wodnych. Wczoraj mnie poparzyła woda... Z każdym dniem mądrzejszy. Helenka śpi. Niech śpi. Ja się umyję, policzę kolorowe papierki, ile tego mam... A potem pójdziemy do Café Viena na strudle, jak wczoraj. Miło tam. Na śniadanie sery, sadło – transylwańska słonina i zachwalana przez Serge’a pasta z bakłazana. Wącha. Jest w swoim żywiole.

Jedziemy taksówką. Parasol został z tyłu, na papierach, w moim samochodzie. Mijamy latarnie okręcone płataniną drutów, wiejskie, kogucie uliczki, Calin idzie przez dziedziniec. Konserwatorka spanikowana. Dajemy spokój. Prosektorium obrazów i składowisko rzeźb. Innym razem.

Wolę te schody lokajskie w tylnej bramie pałacu, całe wyślizgane milionami szurnięć, potknięć, stąpanięć... Jak wielkie, białe osełki do ostrzenia noży. Leżą. Małeńki drobnoreki, krótkopalczy ochroniarz przechadza się po dziedzińcu. Ma oczy Jasia Kusia.

A może to Jaś Kuś. Chodziliśmy do jednej klasy w podstawówce. Podpisuje akt darowizny. Jeden obraz dla muzeum – zostanie tu razem z ołtarzem synów Wita Stwosza. Drugi dla Instytutu Polskiego w Bukareszcie. Żegnamy się. Zostawiamy widok z hotelu na dach domku, słoneczną baterię i domki na górkach, kuliste, dotykowe lampy i te do przygaszenia. Zestaw śniadań, serów rumuńskich, pieczarek, omletów, jajecznicy i garnitur pantofli, obok kasy pancernejszej, szlafroka, cały hotelowy luksus. Arrivederci. Ciao.

Siedzimy, jedząc strudle. Nie ma tamtych z wczoraj. Widać było, że lubią tu przychodzić. Miło patrzeć na ludzi, którym ze sobą dobrze. Bierzymy benzynę tuż przy wyjeździe z Cluj-Napoca. Jedziemy. Jeszcze tylko rzodkiewki ogromne. Ostre. Wsie saskie z murowanymi domkami. Wieżyczki z kogutem czy kulą. Luteranie. Wieś za wsią. Co się rozpędzę, to zwalniam do pięćdziesięciu. W góry. Jest Bistrița. Stoker tutaj był?

Hotel Pod Trzema Koronami. Rocznik 1970. Transylwania. Szukamy wampirów. W sklepie gospodarczym kupujemy dwa kubki z głową wampira. Helenka się śmieje. Z nas. Kręcimy się jeszcze po uliczkach, nim wyjedziemy. Dalej. Góry, zakręty. Zatrzymujemy się przed przełęczą. Zamawiamy dwie ciorby-siorby i dwie mamałygi. Dzielimy się po połowie.

Helenka: – Ja mam flaki, chcesz moją?

Flaki... Flaki. Dla kogo te dziewczyny się tu ubierają? Jemy.

– Zostaw, jak nie możesz.

– Nie wypada.

Jedziemy. Drum-bum. Na Câmpulung do Vronețu.

Vroneț. Za murem monastyr. Zaraz zamkną.

– Idź, zobacz. Sama. Nie chcę cię zagadać. Ja zostanę na targu. Idź. Szybko.

Patrę na dwa kozuski, które kupię Iwonie i Helence. Haftowane na białym tle, bukowińskie. Zawsze mi się podobały. Nie będę żałował. Widzę na drugim stoisku czerwony niciak. – Ile? – Pięćdziesiąt. Ładny. Jutro.

Teraz do Humorului.

– Zrób mi tu zdjęcie. Z samochodu. Nad rzeką, jak myję twarz. Lubię to miejsce. Ostatnio paść się tu koń.

W Humorului młoda zakonnica w czerni tłucze małymi, drewnianymi młoteczkami w deskę. Gong. Tuk, tuktuk, tuktuk, tuktuk, tuk, tuktuk... Zwalnia, przyspiesza.

– Napij się wody ze studni.

Helenka: – Chce mi się sikać.

Kobieta z pisanką już się zbiera. Kupuję jedną. Dla dziewczynki, która załatwiła mi spinacze. Dzięki niej szybko poszło z powieszeniem. Wracamy do domku. Pokój za osiemdziesiąt lei. Córka gospodarzy i przyszła sąsiadka, której matka była z domu Młynarczyk, a ojciec Węgier... Stańło. Pokój jeden. Dwa dni. Widok z tarasu na ogród, zagrody i górę. Piję tokaj bardejowski, coś mi nie smakuje, i zjadam paprykarz szczeciński na foliowej serwecie. Patrę na wybrzuszone pudełko. Stary. Może było mu za ciepło.

– Chodź na balkon. Siedzimy.

Daję Helence moją lotniczą kurtkę, biorę koc. Robię babuleńkę. Pstryk, pstryk. Jutro, jak Pan Bóg da, reszta monastyrów: Lewiatan, lewitujący mnisi, przedziwne księżycowe drzewa, Archanioł Gabriel, Boże Narodzenie i zmartwychwstałe zwierzęta. Arbore, Putna, Sucevița, Moldovița i jeszcze raz Humorului i Vroneț. Napatrzyć się. Na wszystko. Na wozy zaprzężone w konie i woły, chmury nad górami, bociany w gniazdach i anioły. Wszystko to dla mnie takie ważne. Monolit. Jednia.

W telewizji program na ludowo. Dobrze się bawią. Prowadzi konferansjer i Złota Rybka. Złota Rybka trzęsie biustem, a operator wkłada jej obiektyw aż do samego dna. Pełna aprobata. Wszystkich. Ale widać tak ma być. Zespół za zespołem, tańczące dzieci, grupa lautarów z długowłosym, siwym solistą, konie, ogniska, broń za pasem...

Lubię tę drogę prostą do Arbore. Gonimy się z chmurami. Na razie się udaje. Lodowato. Stajemy. Helenka zrywa mi niebieskiego kwiatka na cmentarzu. Wkładam do portfela. Znajoma pani. Wchodzimy. Dalej dwór za rusztowaniem.

– Nie chcę biletu. Zrób mi tu, jak siedzę, i tu. Dobrze. Helenka wyciąga maszynkę. – A teraz daj, zrobię ci... – Trzeba było wziąć swój...

Ostrzę swój dagestański nóż w szczerbach za ławą. Symboliczne...

– Popatrz. Lubię tu być.

Jedziemy dalej, sklep, kupię piwo. Wchodzę, ale to już nie ta sama rzeka... Piwa nie ma. Tylko strażniczka kościoła z kumoszką za ladą...

Jedziemy na Putnej. Bramy, bramy, bramy, studnie, studnie, studnie, dziury, dziury, bociany, czarne kokardy na domach.

– Jabłka kupujemy?

– Nie.

Jastrzębie. Moje. Dlaczego tak krzywdząco o nich. Ptaki nieczyste. Za to bociany... Dużo poumierało... Zbiera się orszak pogrzebowy... Mijamy go. Poważniejemy. W Putnej Cyganki majdają kolorowymi spódnicami. Jak z taboru. Dalej przez góry, na przełęczy zostawiamy plecak jakiegoś dziecka. Nikogo nie ma. Poza sezonem.

– Kup temu psu dwie parówki w sklepie.

Wyszedłem z niego przed chwilą z dwoma kawami z kawomatu. Dajemy, ucieka, nie, w końcu przyszedł. Zjadł. Mężczyzna go przegania. Jedziemy dalej. Zjeżdżamy w dół do sklepu. W błocie. Grzęznę.

– Sfotografuj ten stary dom. Zaraz go nie będzie.

Jest Sucevița. Helenkę całuje jakiś pijaczek ze sklepu. Serdecznie. Pokazuje, że nic nie chce... Berek zamknięty. Robotnicy w alei prowadzącej do kościoła, monastynu, idziemy. Klęczę. Helenka nie ma tego w swoim repertuarze. Może są ludzie, którzy modlą się na stojąco. Ja klęczę, bo lubię.

Teraz Moldovița. Pstryk starszej siostrze zakonnej. Z deską, wiosłem. Post. Widocznie. Pstryk kobietom przy ulach w ogrodzie, a za nimi robotnikowi przy stole. Zgubiliśmy rękawiczkę. Szkoda. Ale jedna została. Wracamy, będziemy w Voronecie na szóstą.

– Tu jest inny czas. Helenko, nie opisuj, nie nazywaj. Coś ważnego zgubisz. Patrz. Najpierw przeżyj, potem nazwij, jeśli musisz. Są sprawy nienazwane. Nazywanie jest czasem niepotrzebne. Złe, bywa kłamstwem, fałszem, przekleństwem. Potrafi zniszczyć ważne rozdanie, ważne byty.

Oczy ludzi patrzących na nas. Na nas: na mnie i Helenkę. Spojrzeń cała kolekcja. Sprzedawczyni od czarnego johana ożywione, mechanika od drzwi znudzone,

kelnerki od pieczonego sera i polewki obojętne, kobiety z WC w Tokaju nieżyczliwe, kobiety z antykwariatu w Tokaju życzliwe, celników badawcze i lekceważące, recepcjonistki z hotelu badawcze, motocyklisty z Nyíregyháza życzliwe, Calina badawcze i pełne aprobaty, Węgra żołnierskie, Serge'a serdeczne i jowialne, tego od osłów krzywe, tych dwóch od karawanu śmiejące, montażyistów znudzone i pytające, kelnerki z Café Viena zalotne, dziennikarki pierwszej aprobującej, dziennikarki drugiej pełne zrozumienia i uśmiechnięte, tych z TV obojętne, rodziny z Czerniowiec ciepłe, faceta od śpiewania niechętnie, mężczyzn w kawiarni taksujące, psa dobre, Istvána pijackie, konserwatorki załękłe, kobiety od dywanu lepkie, mężczyzn z baru z jedzeniem ciekawe, ochroniarza normalne i zwykłe, handlarzy handlowe, czarnej zakonnicy ponad, czarnego zakonnika obce, pani Młynarskiej swojskie, Cyganów z osiedla z klatkami dla psów złe i agresywne, Cyganek pokazujących drogę na Lubowlę przyjazne, dziewczyn z sąsiedniego stolika w Bardejowie ciekawe, barmanki z restauracji sympatyczne, barmanki z cukierni normalne, pary wychodzącej z kościoła w Bardejowie krytyczne.

Widok na człowieka z laptopem w kawiarni przy rynku, na dziewczynę, zwalistego, widok na żółtą oranżadę, na klękającą starszą kobietę, podwijającą nogawkę spodni w cerkwi w Cluj-Napoca, na żebrzącego w Humorze, na mężczyzn w kawiarni, na samolot nad stadionem RFC, na Cyganki z wiaderkiem w kolorowych spódnicach w Putnej, na kelnera w motelu pod Satu Mare, na saksofonistę jednocześnie grającego i palącego papierosa, na wokalistę śpiewającego i jednocześnie wysyłającego esemesa, na bogacza z wąsem z Cerneti w swoim bmw.

Palimy ognisko. Zapałki dostaliśmy za darmo od indiańskiego, grubego właściciela baru. Zmęczony. Nie ma sensu. Już za dużo.

– Chodź, wracamy. Duszno. Szklanka tokaju na dobranoc?

– Może nie.

Noc, zimno, strugi deszczu na szybie. Wstaję, patrzę przez okno. Puszczam TV. Czwarta rano. Moi wirujący Rumuni. Moje małe szczęście. Znowu Żłota Rybka. Mają z niej pożytek. Apetyczna. Gdzie mój nóż dagestański kupiony w Kamieńcu? Jest. Jestem szczęśliwy. Siedzimy. Na ciupadze chleb. Pieczemy nad ogniem. Znak rozpoznawczy. To my. Tu jesteśmy. Tacy sami. Jak zawsze. Wszystko dobrze. Po staremu. Ciupaga za namową Helenki, z Krupówek, z zakładu fotograficznego, który miał na wystawie zdjęcie uśmiechającego się Tadeusza Brzozowskiego. Nie ma Tadeusza, nie ma tamtego Zakopanego. Jest ciupaga. Palę ją w ogniu. A H. czyści chustką do nosa. Myję twarz, nóż, ciupagę. Znacząco. Rzeka płynie, szemrze. Wakacje. Błękitne niebo, słońce.

Mijamy jeszcze monastyr w Voronecie. Na Humor. Nie, tam chmura, leje. Nie będzie kobiet z pisankami w tych budach i przy tej ulewie. Leje. Lodowato. Biorę benzynę. Grad, śnieg. Ulewa. Mamy jeszcze tyle euro i tyle lei. Helenka liczy. Zima. Tak, zima. Helenko, zrób to, Helenko, zrób tamto. Helenka wypakowuje swoją maszynkę. Pstryk, pstryk. Plaśnięcie migawki. Przyjemne. Męczący jestem z tym fotografowaniem.

Barek na progu Karpat. Chłopy w czapkach przy rudej wódce. Szklaneczka za szklaneczką. Patrzą na nas. Serb, Polak, Ukrainiec? Zgadują. Znacząca w środku mówi na mnie Serb. Orzeka. Nie Serb. Polonia. Zamawiam herbatę dla nas, do Helenkowej każę kobiecie wlać szklaneczkę rumuńskiej wódki. Na rozgrzanie. Przed drogą i na klimat, i na trampki na śnieg... – Śpisz? Może ta wódka niepotrzebna.

Kirlibaba. Tu mój szesnastoletni dziadek walczył z Kozakami w czasie pierwszej wojny. Zakładam swoją potarganą kurtkę z Tybetu. Kiedyś było na niej serduszek Wielkiej Orkiestry, od Iwonki. Miałem ją tego lata w Kazimierzu Dolnym, kiedy się poznaliśmy. Lubilem ją do bólu. „Wyglądasz w tej kurtce jak tubylec”. Pstryk.

Przełącz Przysłop. Mgła jak u Géricaulta. Ostatni jego obraz, przedstawia dwa konie stojące pod małym budynkiem gipsiarni, a za nimi tuman mgły. Dziwny obraz. Niepokojący. Wampirzo.

Wesoły cmentarz. Dla mnie makabryczny. Nie lubię. Helenka chodzi między nagrobkami, za nami chmura ogromna. Coraz bliżej. Zdamy przed nią. Lunęło jak z cebra.

Bukowy las, spóźniony obiad w zajeździe, tęcza nad lasami, wjechaliśmy w jesień, sądząc po kolorze. Zjeżdżamy na równinę. Zakręty. Nie takie groźne. Domy bogaczy. Szukamy w Patei motelu. Hotel za drogi. Jest kelner. Impreza za czterdzieści lei. Ładne mają te swoje plastikowe papierki. Chyba najładniejsze pieniądze w Europie. Helenka pyta, czy mi impreza nie przeszkadza. Nie, wprost przeciwnie. Podoba mi się. Helenka wychodzi, przepycha się obok mojego miejsca. Jeden śpiewa, a w międzyczasie pstryka na komórce esemesy. Drugi saksofonista podgrywa i rozmawiając z barmanem, zaciąga się papierosem.

Niedziela. Szafa zasłania okno... Pochmurno, wiatr. Mamy chleb z czapki, serek, coś tam jeszcze. Ranek. Cyganie przy stoliku. Łańcuchowi, pewni siebie, bogaci. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn.

Jedziemy na Tokaj. Tokaj. Znowu wymarły. Moją najładniejszą drogą, specjalnie dla Helenki. Na Czerwony Klasztor, na Niedzicę, na Dębno. Polska. Dobrze. Wracamy.

Maluję te korowody wozów jadących... ze świnią, z koniem, z krową, gdzie ta Europa, do kurwy nędzy. Domy imperium ma ubogie. Obywateli niezasobnych. Widoki najlepsze: z kapliczkami, lasem, stadem owiec, jak z Piotra Breughla. Babinki ze wsi. Za Bohdanem Voda szukam tej, kurwa, Europy, tej Atlantydy i chwala Bogu tu jej nie ma. Tej krainy szczęśliwości. Widzę obywateli barów, którzy za swoje miejsce przy ladzie dadzą się porąbać. Widzimy chłopów jak ze średniowiecza, Cyganów między średniowieczem a hipermarketem. Ale ich już nikt nie sprzedaje inaczej jak w pakiecie. Samotność. W samotności jesteśmy braćmi.

Wróciłem. Cały, zdrowy, silny, pełen myśli, też woli walki.

To nie ty patrzysz na górę, to góra patrzy na ciebie. Szukasz tej zmiennej ogniskowej w sobie, a ona ciebie.

Białoruś. Wracam.

W moim dzieciństwie bibliotekarka w szkole podstawowej przy Konarskiego mówi z lekkim obrzydzeniem: „Jargusz czytasz literaturę dla sprzątaczek”.

Pożyczam *Pożary i zgliszcza* Marii Rodziewiczówny. Zachwycony czytam po kilka razy. Potem *Szary proch* i wszystko dalej jak leci. Wezmę ją z nami. Coś ważnego w tym opowiadaniu o powstańcu styczniowym odnalazłem, dla siebie. Pamięć genów. Mam ją rozbudowaną.

Balukewicz pisał się mój pradziadek. Po białorusku... Biorę same niepotrzebne rzeczy: fotografie M. i B., harmonijkę, nóż, Rodziewiczównę. Najbardziej cenię sobie rzeczy potrzebne inaczej...

Białoruś. Czeka. Wszystko wysłane. Zaproszenia na wystawę. Wieszam na szóstym piętrze w galerii Tut-by, największego portalu internetowego na Białorusi. Młodzi, europejscy. Jeśli to coś znaczy. Mieszkamy na rogu Lenina i Marksa. Ranek. Fotografuję ludzi przed cerkwią i dziewczynę przechodzącą na światłach, z lilią we włosach, chłopca z deskorolką. Kupuję Iwoncie róże.

Tłum. Piotr Kozakiewicz, ambasador Romaszewski.

Mówię: Urodziłem się dzisiaj o piątej rano Białorusinem. Idę po drodze, ale nie sam...

Performance robią. Pytają. Co ja na to. Czy narysuję? Narysuję. Na czym? Może na podłodze. Czym? Tuszem i wodą. Maluję kobietę i mężczyznę naprzeciw siebie. Chłapię. Poczołgają się oni – aktorzy, pomalowane twarze, ładne nogi. Maluję rękami. Mój zachwyt nad nimi. Wybitni. Spontaniczni. Włosy w farbie, strzelają walizkami o podłogę i patrzą w niebo. Pomyśleli. Jestem wpieczaliony. Zachwycony.

Ciąg dalszy Zasław. Dojechaliśmy z Gorodeckim. Po drodze samochód Łukaszenki. Rejestracja 001-By. Mikołaj Pogranowski. Daję mu dwa obrazy. Jeden dla niego, drugi dla muzeum. Jest Piotr z żoną, ambasador Francji, dzieci. Podchodzi Zmicer Wiszni, daje mi koszulkę z poetą. Siedział pół roku za wiersze. Pytam Piotra, czy dobre wiersze. Średnie.

Lwów. Co sprawia, że wyostreza mi się tutaj wzrok, powonienie...

Irena Strilciv: „Ukraińcy nie mają dumy, tym się różnimy. Kobiety są za mocne, zniszczyły swoich mężczyzn. Druga wojna też. Łapówki są tu modne. A ty imaginujesz, a Polak. Polacy mają myślenie z Zachodu, a serduszko ze Wschodu. Tak to czuję. Czym się różnią od Ukraińców? Polacy dumni. Oni mają królów, a my? I religia jedna ich jednoczy. To ewenement. Wiara. Dlatego to Ukraińców drażni”.

Przed ormiańską cerkwią. Patrzę na lewo. Na drugim piętrze kobieta w okularach. I mężczyzna w oknie. Całuje ją w ucho. Patrzą w moją stronę. On nie odkleja się od jej ucha. Bierze ją od tyłu. Kiedy wychodzimy napatrzeni na Rosena, ona odwraca się do niego, jej głowa znika pod linią parapetu, odsłaniając jego nagi brzuch.

Pielmieni pod Zamojskimi. Iwonki Norblin czeka na Serbskiej. Odnalezienie rysunku.

Lwów powoli zepsują. Wszystko, co może zostać zepsute, to zostanie zepsute.

Nie ma wątpliwości... Piwo, kanapka z sadłem, kanapka z ikrą, z serem. I powtórka. „Z syrem klasna”, mówi bufetowa. Biorę. Piwo też.

Środa. Jest biedronka. Nikt nie ukradł. Ulga. Lek. Znowu moja piękność na obcasach.

Płynie przez osiedle. Doskonałość... Nie wierzę własnym oczom. Sunie ta sama długonoga piękność na szpilkach. Obcasach takich jak wczoraj. Zachwyt. Mrugają bordowe spody szpilek. Tak, płynie. Sunie, nie idzie.

Szable w Arsenale. Dotykam. Portret Lubomirskiego. Dotykam. Piwo ciemne. Stare miasto łagodzi. Jeszcze żyją podwórka, jeszcze patrzy na mnie ten malarz z ormiańskiej katedry. Rosen zachwycający. Tu są podwórka, a na nich ludzie stawiają

samochody, wieszają na sznurach pranie... Kolor Lwowa jest przedwojenny. Zachwycająco pastelowy. Nie do odmalowania.

Dziewczyna do matki, ścisząc głos w kaplicy Boimów: „Powinni tu pomalować”.

Irena w kuchni opowiada o kiełbasie: „Mówię do kobiety, takie miała dobre oczy...”

U mnie są ważni goście, których kocham, chcę kupić prawdziwą kiełbasę. Ja wiem, jak robią, wożą z Polski odpadki za darmo, potem mielą i doprawiają, ja chcę prawdziwą. To sprawa narodowa. Honoru. Ona popatrzyła i mówi: To chyba ta. W trzydziestym dziewiątym we Lwowie Żydzi witali kwiatami Niemców. Potem sowietów, Niemcy szli aż dreszcz mnie przeszedł, mówił mój dziadek. Stworzył teatr na wsi. Polacy zbili go za flagę ukraińską. Za co? Za kawałek szmatki? A potem płonęły wsie. Synowie musieli się opowiedzieć. Byli w UPA, a córki – po matce Polki – były za Polską. Ludzie mówili: My nie bomb, nie wojny się boimy, ale strach sąsiadów. Mówiło się: Ojciec strach, matka pokora. Po oczach można było poznać tych, co to przeżyli. Ci na wsi się potwornie bali. Niemców, Ukraińców”.

Dalej Irena: „Jak nasi wracają z Zachodu, potem to odchorowują. Ale jak wracają z Uzbekistanu, Mongolii, tam w ogóle dróg nie ma, to mówią, jak zielono, jakie drogi, jak pachnie chleb, a tam lawasze i sucha ziemia”.

Chodnikiem naprzeciwko balkonu Ireny znowu idzie moja dziewczyna. 7.39. Idzie dla mnie. Z zieloną parasolką, w czarnej sukience, na wysokich obcasach. W deszczu. Na pożegnanie.

Irena S.: „Tiumień. Syberia? Tam chcecie jechać? Tam sami Ukraińcy. Koleżanka moja robiła tam kurtynę za milion. Srają pieniędzmi. Ropa jest płytko. Wódki piją dużo. Od razu rozpoznają, kto silny, a kto słaby. Mają wprawę. Trzeba, żebyś tam szybko jechał, póki jesteś silny. Wieczorami wychodziłam, a tam przed domkami babuszki w białych chusteczkach. Po horyzont. Ja przechodziła i słyszała: Dzień dobry, dzień dobry, dzień dobry, główki się odwracały jak laleczki. Tam spróbujesz prawdziwych pielmieni z niedźwiedzia... Mój ojciec, silny, ogorzały, stawiał słupy elektryczne, doprowadzał prąd. Raz w jednej wsi usłyszał: My nie chcemy elektryczności, może się od tego strzecha zapalić, teraz wieczorem wszyscy się schodzą do stołu, na którym pali się świeczka czy naftowa lampa, a jak będzie się świeciło wszędzie, to każdy już będzie siedział u siebie. I tak nie chcemy. Przyszedł do domu i mówi do mojej mamusi: Wiesz, oni mają rację”.

Ile tajemnic powierzam przedmiotom. A ile czułości.

Jedziemy. Potok z oponami po lewej ręce, a kamieniołom po prawej. Podoba mi się ich symetria. Gryzmołę w zeszycie. Jedziemy na Korčulę, przez Słowację, Węgry. Dobrze, że nie przez Wiedeń. Nie lubię Alp ani tamtej drogi. Obca mi też Austria. Jesteśmy gdzieś przed Rabką. Tyle. Bliskie góry. Moje na wiele sposobów.

Patrzę. Czyste spojrzenie... Zamienić się w małego chłopca, który oglądał przezrocza ojca z Mostaru i patrzył na jego pocztówki z Dubrownika, Zadaru, Splitu. Zrekonstruował z nich inny, nieznany sobie świat. Nie potrafił zrekonstruować jedynie zapachu i palącego słońca.

Mijamy młodych, zamykają szczelnie za sobą drzwi do pokoju... On ją przytula. Musiało być mu dobrze. Czy jej?

Stara grubaska siedzi pod drzewem i pali papierosa. Na nic nie liczy. Na nic nie czeka. Nie ma wątpliwości, nikt ją nie uwiedzie. Może spokojnie palić.

Patrzę na zielone, grubolistne, gruboładzie rośliny. Zakwitają na skałach w najgorszych warunkach. Wyzwanie?

Olga czyta J. Austina i spisuje w notesiku swoje sny. Sięga rzeczywistości nieobjawianej. Podświadomości. Sen to górna półka. Mówi o uczuciach i ukrytych pragnieniach.

Z leżaka widzę, że najdłużej trwa blask ludzkich oczu. Piękno ciała szybko przemija. Uroda tej ludzkiej klatki jest zachwycająca, ale krucha. Dziewczyna opala się bez stanika. Ma ładne sutki.

Ród kapitanów Orewiczów w swoich trzystuletnich pałacach patrzy w morze.

Noc. Nad lodziarnią, tam gdzie są najlepsze lody, mała dziewczynka usiłuje złapać z okna na małą wędkę głowy wchodzących. Macham do niej. Odmachuje. Gęstość.

Od fryzjera wychodzi kobieta z lokówkami na głowie. Siada na ławce nad brzegiem morza. Wyciąga papierosy. Bierze szybko jednego z trzech ostatnich. Rasa kobiet esencjonalna.

Wpycham codziennie bransoletkę od biskupa Dubrawskiego do kieszeni. Czasem się gubi, wtedy nerwowo szukam. Iwonka czyta Papieża. Olga Agathę Christie. Ja uciekam do cienia. Za gorąco mi w tej czarnej podkoszulce. Starszy mężczyzna schodzi po schodach, wychodzi z cienia. Najpierw koszula w paski z krótkimi rękawami. Czapka z daszkiem. Cały mysio-brązowy. Na końcu nogi w beżowych pończochach. Zimno mu. Wchodzi w słońce ulicy. Robi ruch jakby się wzdrygał, jak ryba wyjęta z wody i położona na brzegu. Witam go serdecznie. Nie jestem sam. Jemu za zimno, mnie za gorąco.

Takie siedzenie. Oddać się siedzeniu. Siedzieć, aby siedzieć. Iść, aby iść. Żadnych zbyt dalekowzrocznych celów. Czuję, że przeżywa się we mnie moje życie. Cały cykl. Jestem w środku czy na końcu? Co zbudowałem, co zobaczę z dala? Z bliska widać co innego, niż z daleka. Ile dla cudzych oczu, ile dla cudzego siebie? A moje bycie rysownikiem, czy nie najważniejsze?

Nie pisz o smakach, o kobietach, że się świecą od środka. Nie pisz. Teraz patrz. Rysuj. Pisziesz, co wiesz, malujesz, czego nie wiesz... Lęk. A mądrość ta, co pozwala żyć. Ta mądrość prawdziwa...

Dawno temu... Mam skończyć architekturę, jeździć konno, władać szablą, zrobić kurs sternika jachtowego i znać angielski. Na kartce ojciec napisał mi, czego ode mnie oczekuje. Tylko tyle. Był rok 1969.

Alena Kiwacz z Mińska przysłała mi ikonę świętego Piotra i świętego Pawła. „Niech Bóg chroni twoje serce i duszę”, napisała. Dobry czas. Jak znalazł. Odpisałem. Wzruszony.

Beata Nowakowska w Krakowie. Machamy do siebie serdecznie, imieninowo. Blisko.

V VIATORIS SZUKA DOMU

Siedzimy w samochodzie, patrząc na skałę w Tyńcu.

Brat Rysiek: – Pamiętam. Ogród Klocka za naszą kamienicą. I stolarnia była tam, gdzie teraz sklep, przy Czarnowiejskiej. Brama taka była drewniana, na zasuwkę, a wokół mur dwumetrowy z białego kamienia. Samochód jak jechał, rozgarniał te łopuchy. Kurz się unosił. Rzeźbił drogę w tych chwastach. Tam, gdzie teraz jest stacja trafo, stał garaż twojego ojca. Mojego też. I citroen w krzakach, Niemcy porzucili. Siedziałem w nim i kręciłem kierownicą. Motyle latały. I były ule Klocka, miał ule, pięć, sześć. Żółty, niebieski. Chodził w takim kapeluszu i fukał do środka, a ja patrzyłem. I było ślimaków mnóstwo. Różne kolory. Winniczek szedł, a za nim cała rodzina. Pamiętam dobrze. I świerszcze. I koty. Mnożyły się w węglarkach za domami. Węglarki, to były takie komórki, gdzie ludzie trzymali węgiel. Czasem Kłoczek brał konia i orał. Radło takie miał stalowe. A przy Czarnowiejskiej pasły się krowy, kury, wokół stały takie małe domki. Przed chałupą, taką rozwalającą się, tam gdzie państwo Nowakowscy, pijak siedział, wyglądał jak z dziewiętnastego wieku. Ja na to obejście tam wchodziłem przez dziurę w płocie, zawsze miałem hopla na punkcie zwierząt i karmiłem tam króliki. A na barakach był skup złomu i butelek. Ogrody ciągnęły się aż do Karłowicza. Ale tam nie chodziliśmy, bo bili. Mur dzieci zniszczyły, resztę rozebrali na budowę. A jak wiosną bzy pachniały za trzynastką. Tam też Wojtek Gaczoł zbudował taką szopę dla dzieci. Kłoczek miał dwie córki, one tam bawiły się w Indian. Naprzeciw okna zimnego pokoju stało drzewo z budką dla szpaka. Zającowa ścięła. Jak przechodziłem przez Jordana, to zające uciekały spod nóg. Kuropatwy. A na Błoniach pasły się konie. Spętane miały nogi. Bałem się koni. Cyganie. Odpoczywali tu w krzakach... Krowy były... Pamiętam. A Zając hodował papugi. Miał taką dużą klatkę. Albo ja byłem mały...

I gołębie pocztowe białe na strychu były. A w sąsiedniej kamienicy były czarne. Lubie gołębie jak kołują. To piękny widok.

Wysoka za Jordanowem. Z Beatą i Helenką, potem z Mamą i Ryśkiem z Blanką, psem i jego sokołem. Wspomnienia. Sokół Ryśka paraliżuje uwagę osiedla. Słucham opowieści Smętka o karabinach w studni i radiostacji po polskim żołnierzu z 1939 na polu pszenicy. Pcham wózek z Helenką po wertepach aż za kościół i dalej. Patrzymy, jak nad rynkiem w Jordanowie zbierają się do odlotu bociany. Akurat zepsuł się aparat. Prześwieciłem najpiękniejsze zdjęcia Helenki z Wysokiej. Zostały w głowie.

Łapszanka na Spiszu. Leżenie pod kapliczką. Pod chmurami. U Franciszka Sołtysa. Etnografowie ze Zbigniewem Białym, a ja zakochany. Szliśmy z namiotem z Jurgowa ze studentką historii sztuki i z Krzyśkiem Klimkiem, rysując kredą po płotach w Białce Tatrzańskiej. Szmaciak od Sołtysów suszący się na płocie był moją pierwszą świadomością zabraną tkaniną. Początkiem zachwyty. Nad symboliką wątku i osnowy.

Krzyże na cmentarzyku. Mały, biały kościółek. Ostrugane, pachnące drewno. Potok. Naprzeciw domu Sołtysa górka. Aż pod las. Wieczorem wszyscy wylegają na ławeczki przed domami. Patrzą na lewo, na prawo i na wprost. Stare, góralskie zagrody jeszcze stoją. Ta nad kościółkiem, w sadzie, w widłach potoku wygląda jak z bajki. Otwieram drzwi. Pusto. Nikt nie mieszka. W przytłumionym świetle szpulcerze, kądziele, hospele, wszystko osnute pajęczynami. Magia. Jak w bajce o Śpiącej Królewnie. Biorę łopatę do chleba i krawalnicę do kapusty, kijanki. I koryto drewniane. Biorę. Idę do sąsiedniej chałupy, do Gielatów i pytam, czy mogą mi to sprzedać. Płacę mało, ale zawsze... Za chwilę i tak oni wrzucą wszystko do ogniska.

W Jurgowie dwujęzyczne szyldy. Potraviny. U Pawlików Królów na Pawlikach z doktorem Białym. Tam Dziewczyzna. Generał mówi o niej. Stolarz, u którego mieszkam, opowiada mi o nocnym przemyśle tabunów koni. Mają obwiązane szmatami nogi. Nikt o niczym nie wie. Pokazuje bagnet. Wykopał. Może się zawsze przydać. Samochody też przez las przemycają, skody ze Słowacji. Tam na samej górze za ostatnimi domami. Tam, gdzie ruski czołg spadł do potoku. Dobrze się tu czuję.

„Co za wiejskie średniowiecze przywiozłeś do domu?”, pyta Matka na widok srańka wypełnionego polnymi kwiatami. Ma piękny kolor. Rudy. Bursztynowy. Drewniany.

I pachnie. Drewnianą stępę znajduję w potoku obok szopy naprzeciw szkoły. Biorę. Niosę moje skarby Wszystko w rękach i idę przez las. Daleko. Patrzą z pobłażaniem. Do autobusu. Potem na okazję do pociągu. Do Nowego Targu. Potem wypakowuję to proste piękno. Domowe. Zachwyty. Wracam po płótno do Ireny Jasieniak.

Moje góry. Zakurzone drogi. Bociany. Moje jastrzębie. Wiatr. Zawsze czuję obecność tego miejsca we mnie. Pierwszy raz siedziałem tu z M. Pod drzewami na miedzy w Nowej Białej. Żar lał się z nieba. Przywiozła duże pierogi od Babci i lała do aluminiowego kubeczka herbatę z nowego chińskiego czerwonego termosu.

Teraz Borys Negoda patrzy na góry. To od nas dla niego prezent.

Opowiada: „Kak ja pojechał w sioło do babci, ja brał koszyk i chodziłem na grzyby. I przynosiłem tyle, że babcia mówiła: dość, Borys, ja już nie nadążam. O, już widać góry. Przychodzili do mnie i mówili:

- Będiesz kierownikiem związku artystów.
- Nu za czym? Mne nie nada. Ja chociaż rabotat.
- Ty budiesz pradawat ludiej.
- Za czym? Ja chociaż rabotat. Ja piszu kartiny.
- Ty budiesz.
- Ja ne budu, mnie nie trzeba pradawat ludiej. Jakby ja katorogo pradał, toby

nie risował.

- Paczemu?
- No tak.
- Wy nie piszytie, to wam nado pradawat. Mnie nie nado.
- Paczemu?
- No tak.

Przychodzili, brali książki. Poezję. Pytałem, skąd znacie co, gdzie mam. My wsio znajem. Przychodzili w Kijowie, Czerniowcach, Kamieńcu. Mam syna zdolnego. Ja mu mówię: Ty zabiłeś swój talent. Boh tiebja nie prostit. Syn mówi: Nie mogę dwóm bogom służyć. Sztuce i Bogu. W niebie budu risował.

– Gdzie ty budiesz risował? W niebie niet, durny, papieru.

Ja pojechał na Majdan Niezależności. Milion ludzi było. Julia Timoszenko szła po hełmach żołnierzy. Smatrieli z dołu...”.

Djakuju za wsio. Borysowa ręka na sercu. Machamy. Autobus odjeżdża. Odchodzę z Borysowym sadłem w kieszeni. „Masz to sało. Bieri, Piotr”. Wytapiam. Dobrze.

Rzeczywistość fotograficzna nie jest dla mnie wystarczająco precyzyjna. Składam się z pewników i zdziwień.

Nakleilem obraz na słupie przy Piłsudskiego. Potem z Olgą i Helenką na Błonia. Potęga Facebooka. Tłum. Puszczamy lampion kupiony na Rynku. Leci. Wokoło czarno i mgła. Błonia. Myślę o Bałuckim.

Wielka Syberia. Ma być bez salonów, ozdób. Korzeni szlacheckich, wspomnień i martyrologii. Podróż, wędrówka w czasie i w sobie. Syberia zaczęła się z zachwyty i tęsknoty. Moja Syberia. Z ucieczki w lepszy świat, a jednak cudzego życia. Z przeszczepu. Czas amputować tę protezę, na jej miejscu ma być moje doświadczenie. Syberia to miłość dla tych dobrych z nas i złość na tych złych. To lustro. Staram się być prawdziwy.

A Teremiski... O Stefanie Bałukiewicz i jego tancerce, a to wszystko o Stefanie tak trochę jak o Ryśku. On mój brat niezłomny. Wierny sobie. Dziwnych, ale mocnych nas nasza Mama porodziła. O opowieści, o Świętej Ziemi, symbolach i ich trwaniu. O polskości jako chorobie przenoszonej drogą... Różnymi drogami. Tak jakoś wyszło. Dobrze.

17 października 2011. Viatoris na Syberii to zaistnienie świętości. To mój Anelli. Syberia to powidoki świata moich dziadków i pradziadków. To strzępy ich opowiadań. Zaczynają się od dymu z komina, od pary z ust, zamarzających wąsów, od pistoletu w ręku pradziadka wymierzonego w Tatara, gdy zimą, jadącego do Talicy, go otoczyli. Znajdę te ocalałe resztki, te ocalałe części, położę na naszym stole i znajdę ich sens w swoim sensie rozdawania świata.

A więc przygoda. Z Iwoną, Olgą i Helenką. Tam, na Syberii. Gdzie transsyberyjska jedzie z Moskwy.

Co dalej? Nie mam pracowni, farb, ale już wiem. Rafał Solewski zdeteminowany. Tak jak ja. Marek Gajczak będzie operatorem. Wierzę Iwonie.

Za oknem Olgi kwitną chryzantemy i żółknie powoli park. Ładną mam modelkę. Ale nie mam czasu na nią patrzeć.

Do Ireny Strilciv: „Irena, dostałem grant NCN na wielkie trzy wystawy. W Tiumeni, Brukseli i Warszawie. Na przygotowanie filmu i książki o... I teraz myślę, jak unieść to szczęście. Tak czy inaczej Syberia musiała być mi przeznaczona”.

Iwonka zrobiła film o modlitwie. Piękny.

Piszę Irenie: „W Domu zgodnie i ciepło...”.

Syberia. Talica. Pod Tiumenią. Dom Duchów. Kilka domów ustawionych w przestrzeni miasteczka, lasu, pola. Będzie Dom Opowieści, Dom Chleba, Dom Świętej Ziemi, Dom Źródła, Dom Matki Boskiej... A jak...

Pustka. Ma napełnić się ważnymi dla mnie znaczeniami. Wodą, ziemią, chlebem, ziarnem. No, a wczoraj jeszcze były pełne i puste... Namioty pełne i puste ustawie w przestrzeni.

Iwona do Olgi: – Powinnaś przeczytać Hrabala.

Olga: – Po co? Mam Hrabala w domu.

Pozuje piękna dziewczyna. Przed nią talerz z rybami. Od chłopaka Wiki. Dziewczyna ma dwadzieścia jeden lat. Odbija się lustrze. Jej uda, ładna pełna pierś zakończona ciemnym okręgiem sutka, ciemne włosy, ładne dłonie, nawet meszek na skórze dekoltu.

Pytam: – Jak się pani patrzy na siebie? Co pani widzi?

Ona: – Jak zwykle, nic ciekawego.

Babie lato. Spisuję z książki: Smolarnia, Jamy, Chrapaczów, Rogi, Woronczka. Jak będę na Białorusi, muszę je zobaczyć. Czarnyszewicz w *Nadberezyńcach* o tych miejscach pisał.

Złożyłem dokumentację. Dla Bartczaka i Baja.

Wczoraj na cmentarzu. U Mamy, Babci, dziadka, prababci Wiktorii, generała Zielińskiego, legionistów, potem w Czernichowie. U szambelana papieskiego, księdza pułkownika i retmana Meusa też.

Dzwonię do Beaty. „Weź swoją rodzinę do lasu, tak jest ślicznie. Byłam z rodzinami”, mówi. Pozdrów.

Płacę rachunki.

Dialogi na cztery nogi z Fielem z Tiumeni, Żadnego porozumienia.

List do Fieła: „Szanowny Panie Sergiuszu, dziękuję za dobrą wolę pomocy. Urealniając wizję projektu, postaram się odpowiedzieć na Pana pytania. Gdybym zmienił termin swojego przyjazdu i przyjechał do Tiumeni 1 września, na 7 dni – czy dla Pana będzie to korzystniejsze? Inny termin jest niemożliwy; od połowy września przewodniczę egzaminom. W podróży będą mi towarzyszyć żona, dwie córki i operator filmowy. Co do wymagań: wymagań prawie nie mam żadnych, poza chęcią zobaczenia i uściśnięcia Pana. Oczywiście będę wdzięczny za pomoc w znalezieniu noclegu, za który, podobnie jak za nasz transport, zapłacę. A teraz najtrudniejsze: co chcę pokazać? Zacznę od tego, że zawsze marzyłem, by zobaczyć Syberię, zobaczyć na własne oczy miejsca, w których żyli moi dziadkowie i pradziadkowie. Bez tego ich ciągle żywa dla mnie opowieść jest niekompletna. Marzyłem, żeby pokazać Syberię też swojej Rodzinie. Jako ważne przeżycie duchowe, spotkanie z ludźmi i przestrzenią. Mój projekt zyskał akceptację. Może zainteresowały skromne cykle obrazów, które rozklejałem na słupach ulicznych. Zainteresowała towarzysząca im refleksja o ważności dziedzictwa, doświadczenia człowieka dla zachowania tożsamości następnych pokoleń. Wychowany zostałem w kulcie opowieści. Tej domowej, przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Ten rodzaj historycznego widzenia jest mi bliski. Na wiele sposobów szukam swoich fascynacji i bliskich mi tropów w kulturze. Kiedyś napisałem, że Polska to szczególne miejsce do przyglądania się Światu. Dla mnie miejsce ukochane. Jako chłopak czytałem z zapartym tchem o wszystkich naszych powstaniach. Czytałem i słuchałem

też o Syberii. Najwięksi polscy poeci i malarze poświęcili swoje dzieła Syberii i Polakom Sybirakom. Znamy obaj obraz Jacka Malczewskiego *Wigilia na Syberii*.

Ale teraz, o polskim ważnym doświadczeniu Syberii, w młodej polskiej sztuce.

Mam szczęście, że swoimi pracami mogę, a raczej mam szansę, znowu przypomnieć o Syberii. O tamtejszych Polakach też. Jestem malarzem, a to, o czym myślę, myśląc o Tiumeni, to pokazanie moich prac na ulicy. Jeśli nie uda się przykleić ich na słupy ogłoszeniowe, na czym mi bardzo zależy, lub powiesić w innym miejscu, o podobnym charakterze (ulica, powszechna dostępność), lecz w sali wystawowej – powinna być ona raczej większa, niż mniejsza, taka, która pomieści 50 obrazów, na 30 dni. Obrazy malowane na szarym papierze nie wymagają oprawy, szyb ani ram. Nawet gwoździ do powieszenia. Mają wymiary 100 x 70 centymetrów. Na wernisaż przygotuję tekst o wystawie w wersji polskiej i rosyjskiej. Kolejny tekst, będący wykładem historyka sztuki profesora Rafała Solewskiego, wydrukowany w Krakowie, przywiozę. W przypadku konieczności wynajęcia sali i druku zaproszeń oczywiście za nie zapłacę, ale im mniej, tym lepiej. A Talica. Interesuje mnie, czy Jartarka Skoroduma jest już częścią Talicy? Bo w Jartarcie stał dom pradziadków. Gdzieś blisko jeziora. To był dom Poklewskich, wybudowany dla jednego z jego rządców. Gdzieś tam, w okolicach tamtego miejsca, chciałbym pokazać nie tylko obrazy, ale też symboliczne Domy. Byłyby: Dom Chleba, Dom Wody, Dom Świętego Obrazu, Dom Świętej Ziemi, Dom Opowieści, Dom Przodków i Dom Pieśni. Te ażurowe symboliczne szkielety 7–10 Domów (wysokość ponad 2 metry) wyglądają jak konstrukcja namiotu, bez płótna. Konstrukcje przywiozę z Polski. Potrzebuję, żeby to zrealizować, czyli ustawić w przestrzeni miasteczka lub okolic, na jakimś polu, co wymaga zapewne tyle dobrej woli i zrozumienia, ile koniecznych pozwoleń. Zawsze, starając się o nie, można powołać się na międzynarodowe prawo: prawo artysty do niekonwencjonalnych zachowań i działań, ale i na twórczość dawnej i współczesnej awangardy polskiej i awangardy rosyjskiej. Ustawienie Domów na kilka dni, w kilku niezakłócających życia mieszkańców miejscach. Domy mogą być luźno rozrzucone, nawet w odległych od siebie miejscach – może się uda. Na tym mi bardzo zależy. To rodzaj rzeźby w przestrzeni, dedykowanej idei Domu. W moim projekcie nie ma aluzji politycznych. Jest on czytelny. Odwołuje się do archetypów i symboli. Jest hołdem dla człowieka w drodze, heroicznego wędrowca, niosącego z sobą swoją ważną opowieść.

Panie Sergiuszu, to tak ogólnie. Mam nadzieję, że Pana tymi Domami nie wystraszyłem. Malarzy kwiatów było już tak wielu i tak wybitnych, że może już dość. Najserdeczniej Pana i Pana Rodzinę pozdrawiam”.

Jesień. 7 listopada 2011. Babie lato już było. Czy podołam? Muszę.

List od Sergiusza Fiel: „Szanowny Panie, termin podany przez Pana: początek września też, niestety, nie bardzo pasuje, W dniu 1 września wszyscy będą brali udział w uroczystościach z tego powodu, a potem studenci i uczniowie przez dobre dwa tygodnie będą czekali na ostateczny wariant rozkładu zajęć. Ja też będę musiał pisać sprawozdania i podawać plany, bo to będzie pierwszy dzień, kiedy wyjdę do pracy. Dlatego próby zespołów rozpoczynamy dopiero w drugiej połowie września, kiedy dorośli po pracy, a uczniowie po lekcjach będą mogli włączyć się do działalności społecznej. Wtedy po zbiórce i odpowiednich przygotowaniach zespoły mogą wystąpić, w czasie między pracą a nauką, w końcu września, a raczej w październiku. Rozklejanie obrazów po deskach ogłoszeń wymaga opłaty, a za samowolne czyny o takim charakterze przewidują karę pieniężną. Wystawienie obrazów za zezwoleniem odpowiednich instytucji w ciągu miesiąca (lub na inny czas) wiąże się ze spisaniem umów i opłatami. To wymaga też instalacji ich przed deszczem. W ogóle wymaga czasu i badań marketingowych. Sioło Jertarskoje, a obecnie osiedle Jertarskij, leży w odległości 75 km od Tiumeni, a od Talicy około 50 km, inną szosą niż z Tiumeni. W Jertarskim mieszka 1500 Rosjan. Polaków tam nie ma. Jest to miejscowość zabita dechami. W Talicy też nie ma Polaków i zamieszkuje ją z kolei 20000 Rosjan. Nie wiem, czy ktokolwiek zrozumie Pana wizję w tych dziurach, gdzie największą atrakcją jest picie wódki. Lecz jestem przekonany, że w każdym wypadku o jakieś pozwolenia na to trzeba się starać. Bez tego nic nie uda się załatwić. Nie bardzo wiem, w jaki sposób będę mógł towarzyszyć Panu w tych wyjazdach do Talicy bądź do Jertarskiego, bo mam pracę. Wstępne badania też wymagają wyjazdów na miejsce i uzgodnień. Zespoły polonijne też nie pojadą tam z powodów zajęć w Tiumeni, gdy nie będzie to sobota lub niedziela i gdy nie zamówi Pan autobusu dla tego przejazdu i nie załatwi dla nich wyżywienia. Serdecznie pozdrawiam”.

„Drogi Panie Sergiuszu, tu żona artysty, którego tymczasem złożyła grypa. Z tym terminem wrześniowym rzeczywiście problem, ale obawiam się, że mąż i tak będzie musiał zrealizować syberyjskie plany najdalej do 6-7 września. Potem przewodniczy egzaminom wstępnym na uczelni, a Narodowe Centrum Nauki, które finansuje projekt, bardzo rygorystycznie przestrzega harmonogramu prac. Zatem nie sposób od tego terminu odstąpić.

1. Jeśli w Tiumeni istnieją uliczne słupy ogłoszeniowe, na których wiesza się plakaty i ogłoszenia, trzeba oficjalnie zarezerwować u kogoś, kto tymi słupami dysponuje, 20-25 takich słupów w mieście, najlepiej dość blisko siebie usytuowanych, żeby na każdym z nich przykleić obraz (farba drukarska na pakunkowym szarym papierze 100 x 130 cm). Mąż czynił to już wielokrotnie w Polsce i nie ma przy tym więcej roboty, niż przy klejeniu zwykłego plakatu. Robi się to zwyczajnie, klejąc

najpierw od spodu, a potem po wierzchu. Obrazy idą w ten sposób na zniszczenie, ale taka jest cena tego sposobu pokazywania sztuki. Żadnych zabezpieczeń przed deszczem nie potrzeba i chyba żadnych specjalnych dodatkowych zezwoleń, bo tam nie ma ani napisów, ani politycznych kontekstów, po prostu plakat, tyle że ręcznie wykonany.

2. Co do zespołów, to przy tym projekcie i takim wariacie sztuki – dość surowym, zespoły są niepotrzebne i chyba nie bardzo nawet pasujące. To nie te klimaty, choć szkoda, bo Piotr chętnie by śpiewu posłuchał. Wariant galeryjny z wernisażem i zaproszeniami mój mąż proponował rezerwowo, gdyby słupów ulicznych w Tiumeni nie było. Cały projekt artystyczno-badawczy – zatytułowany *Viatoris* - polega właśnie na tym, żeby nie organizować publiczności, ale żeby zwykły człowiek na ulicy nagle się na te prace natykał, żeby one go «brały, niejako z zaskoczenia». To właśnie taki nietypowy rodzaj odbioru sztuki ma być przedmiotem obserwacji socjologiczno-kulturowych, będących częścią projektu badawczego. Czyli reasumując, po prostu przez 2-3 godziny mój mąż, wraz z ekipą techniczną tej firmy, która dysponuje słupami, klei swoje prace na słupach i one tam sobie zostają na dwa tygodnie lub więcej, w zależności od ceny.

3. Co do Jartarki/Skorodumy, to tam sprawa jest jeszcze bardziej kameralna. Ona nie wymaga w ogóle widzów, a tym bardziej zespołów. To historia, która ma się rozegrać między artystą a jego przodkami. Trzeba by zapewne odpowiednio wcześniej zadzwonić do wójta/sołtysa albo szefa domu kultury, żeby ten pomógł znaleźć otwartą przestrzeń, może kawałek czyjegoś pola, nawet ugór, na którym mąż rozstawiłby symboliczne Domy Viatorisa – Wędrowca, o których już Panu pisał. I po prostu po ustawieniu zostawi je tam, a los zdecyduje, co z nimi będzie dalej. To, co najistotniejsze ma się stać z artystą i w artyście, a sam przebieg zdarzeń zarejestruje kamera. Oko widza zobaczy to wszystko później, już na filmie.

4. Co do spotkań z Polonią, to oczywiście polskość i Polacy są dla mojego męża bardzo ważni, ale będzie nawet szczęśliwszy z nieoficjalnych spotkań, rodzących się bez kłopotów i zabiegów organizacyjnych.

5. A tak w ogóle, żeby nie robić Panu kłopotu, może jest w Tiumeni jakaś galeria, która specjalizuje się w prezentacji sztuki nowoczesnej? Może oni mogliby organizacyjnie pomóc, zdejmując ten ciężar z Pańskich barków w tak niekorzystnym dla Pana czasie. Wystarczyłby telefon i mail do tej galerii, jednej lub kilku, a my już, po rosyjsku, napiszemy, o co chodzi.

Bardzo dziękuję za Pańskie starania, myśli i troskę. Czekam na wieści i serdecznie pozdrawiam, Iwona Meus-Jargusz”.

I cisza. Za oknem jesień. Liście już zrudziały i w połowie spadły. W sobotę przychodzą goście, a w niedzielę trzynastego, w Paese, mamy rocznicę pierwszego spotkania. Od 1995 roku minęło piętnaście czy już szesnaście lat. Mało i dużo. Zarezerwowałem łyżkę do sosów z secesyjnym irysem. Ładna. Stara. Iwona: „Jak chcesz mi coś kupić, to kupuj mi coś do stołu, wtedy będę wiedziała, że robisz to dla mnie”.

Wymieniamy okno w sypialni. Plastikowe, nie przewiduje biedronek...

Viatoris szuka domu. Fiel zapytał, dlaczego szuka domu. Dla mnie domem Viatorisa jest jego doświadczenie i pamięć.

Powiesiłem na ganku chorągiew. Jutro 11 listopada.

„Witamy serdecznie!!! Przepraszam, panie Piotrze, za tak długi brak odpowiedzi, ale przez trzy miesiące nie miałem dostępu do Internetu, ale od pierwszego jesteśmy znów na związku.

I drewnianego gęsia, zabawkę dla Cyryla dostaliśmy co prawda nie tak dawno, mama przywiozła, bo sami w Kamieńcu nie byliśmy już prawie rok. Ptak super – dzięki. Cyryl trocha bawił się nim, ale więcej nie dajemy, bo może zepsuć go. U nas po staremu. Święta z dzieckiem, a ja szukam prace, jest trudno. Cały czas myślimy, jak powrócić do Krakowa, to był bardzo fajny czas, nigdy tego nie zapomnimy. Zbieramy kasę, żeby przyjechać po dyplomy, ale wiadomo, że teraz wszystko idzie na Cyryla. Ale mamy nadzieję, że w tym roku to załatwimy. Bardzo za Wami stęskniły się... Czasem, jak oglądamy wspólne zdjęcia, myślami wracamy do starych dobrych czasów. Chcemy spotkać się i mocno Was objąć... Zapraszamy jakoś odwiedzić Chmielnicki. Wy zawsze mile widziane w naszym domu i będziecie przyjęte jak rodzina. Jak tam Oldze idzie w gimnazjum i czym jeszcze oprócz tego zajmuje się? Nad czym teraz pracuje pan i pani Iwona? I w ogóle co u Was? Serdecznie Was pozdrawiamy mocno, mocno ściskając: Sasza, Swieta, Cyryl”.

Dzwonię do Staszka Rodzińskiego. Mówię mu o Syberii, mówi mi, że jak go w trzecim dniu zjazdu artystów zapytali, gdzie chciałby pojechać, powiedział, że do Niżnego Nowogrodu.

– To, co tam zobaczyłem to była Kaplica Sykstyńska. Coś niesamowitego. Niesamowite wrażenie na mnie zrobił. Teofan Grek!

Dyktuje Irenie Popiołek adres. Słyszę ją z tyłu.

– Na stare lata ci zazdroszczę. To wspaniała sprawa. Pozdrowienia dla Iwony.

Właściciel kamienicy chce przyjść jutro porozmawiać. Słyszę miły głos Iwony. Pyta, czy coś groźnego. On nie odpowiada. Wyprowadzka? Wcześniej czy później nas to czeka. Chyba że zdarzy się jakiś cud. Viatoris szuka Domu. Okazuje się na czasie.

Byłem u Leszka Dutki. Serdeczny. Taki sam jak zwykle. Wycelowaliśmy się. „Kochany, mam skończone dziewięćdziesiąt lat. Nie myślałem, że dożyję takiego wieku”, mówi. Zaniósł mi buteleczkę. Podarował mi swój katalog wydany z okazji nagrody Wojtkiewicza z dedykacją dla mnie i Iwony na pamiątkę przyjaźni i z rysuneczkiem. Inna pracownia. Nie tamta. Niby bez Polewki, z którym nie doszedł do porozumienia, ale i bez manekina, secesyjnego witraża, skawińskiej, malowanej skrzyni, kanapy i legowiska po jego ukochanej pani profesor Hannie Rudzkiej-Cybisowej. Nie ma pracowni ze stareńkimi filiżaneczkami i karafkami, z nalewkami wyciąganymi spod stołu. To już pobjowisko pakowane powoli w darze dla PAU. Biorą wszystko. Tyle razy chodziłem tam do niego na Sławkowską, prowadząc z sobą Helenkę, potem Olę.

U Leszka Dutki ze studentami. Jak nie chodziłem latami, to teraz codziennie. Kupiliśmy pączki, miło nas przyjął. O Jurku Panku, Stasiu Wójtowiczu: „To były pijaki. Stasiu Wójtowicz przychodził do mnie o trzeciej, on chodził po nocy, z żoną. Ona go pilnowała. Chodzili na piwo na dworzec. Tam było jedyne miejsce, gdzie można było kupić w nocy piwo. I oni tam chodzili i pili. Panek i Wójtowicz to byli najwięksi polscy graficy”.

Był właściciel części kamienicy. Pan Paweł Paluch. Zapytał o nasze plany. Zaproponował nam sprzedaż naszego mieszkania. Mamy motywację. Teraz tylko cud? Pan miły. Kulturalny. Chyba ma do nas słabość. Iwonka obdarowała go kolejnymi swoimi filmami.

15 listopada 2011. Posadziłem lipę. Przy wjeździe do nas, na Mazowieckiej. Mam jeszcze drugą. Sprowadzili ją specjalnie dla mnie. Szukam od kilku dni miejsca. Nienawidzę tui. Sadziłem w trakcie zajęć z malarstwa. Pomogli studenci.

6 grudnia. Tradycja. Zamiast Jana Bujnowskiego Staszek Sobolewski jako Święty Mikołaj w lesie. Pomyśli. A przecież mówię mu, że warto. Staranność – cecha tak deficytowa. Można pić wino z butelki i można pić z kieliszka przy zastawionym stole.

Nie wierzą. Ale dajemy przykład... I sama zabawa w zbrutalizowanych czasach deficytowa. A jak ważna. Trzeba chcieć chcieć.

Mam zaproszenie do Senatu UP w poniedziałek o dwunastej. Wręczą mi medal za długoletnią służbę. Fajnie. Wyciągam marynarkę. Do wojskowych butów w sam raz. Pochwaliłem się Helence. Bawi dzieci dzisiaj.

- Powinieneś kupić sobie marynarkę do jeansów.
- I tak nie poszedłbym w jeansach.

Bezlistny park. We mgle. Rano. Od dwóch dni śni mi się Matka. Bardzo brzydko. Wczoraj jako zwłoki w całunie, które Rysiek ma jakoś zapakować, susząc materac na naszym ganku, a dzisiaj w awanturze z jakimiś kobietami, leżącymi z nią w jednym łóżku. Wszystkie wrzeszczą na mnie. Zawsze śni mi się znacząco i dobrze. Przestałem się za nią modlić? Zawsze robiłem to co wieczór.

Przywiozłem znad Rudawy drugą lipę i posadziłem przy bramie Wydziału Sztuki. Są ładne, dwumetrowe i bardzo mnie cieszą. Z samochodu rozmawiam z profesorem Andrzejem Bartczakiem. Mówi mi, że zaczął pisać, mówi, że to poważna twórczość bez wątpliwości. Mówi, że Stanisław Fijałkowski dalej w dobrej formie, on w gorszej. Mówię: „Będzie mi miło, jak pan profesor zachowa dokumentację”. Dziękuję. Żegnamy się.

Iwonka jeszcze w domu.

Byłem w pracowni. Popatrzyłem na dom i na Parę. Kobieta i Mężczyzna. Dwa papiery. Wiele nie poszalałem. Dwa rysunki. Z wiatrem. Myślę o tych Domach. Fakt, dwa dni temu zobaczyłem artystkę, która też takie buduje. Co z tego i co teraz? Chyba nie trzeba robić problemu. Cieszyć się. Chodzimy w tych samych butach. Poszukiwanie czegoś nowego jest równie podejrzane, jak odgapienie. Te Domy już stoją w mojej głowie. I na leśnych kurhanach w Teremiskach, i w Jartarce czy Skorodumie na Syberii. I jeszcze nie odpowiedziałem sobie na pytanie, co mi to da, czego oczekuję, jakiego zysku. Jakimi ważnymi treściami zapełnię te Domy? Jakimi one mnie?

Zaczynam malować, mimo że mi przecieka czas i wszystko.

Olga wybitna. Pracowita i zdolna. Wielka. Spała dzisiaj z nami. Czyli my w trójkę, Pan Darcy i Amelia. Chyba tak najbardziej lubię. Na arkę Noego. Jakiś spokój płynie, szczęśliwość z tego barłogu.

W księgarni Bona siedzi przy stoliku profesor Władysław Stróżewski. Wokoło młodszy. Wtajemniczeni. Wszyscy narzekają. Krótko ostrzyżona o niechybnym rozpędzie Kościoła, o tym, że księża zostaną sami w swoich pustych, kościelnych świątyniach gigantach i jej troska, że to niechybnie, ale trzeba tę pustkę po nich zagospodarować. Druga, z ładną buzią, opowiada o swoich emocjach 11 listopada: W Warszawie pod Dmowskim spotkały się dwie manifestacje... Ale było pięknie.

Stróżewski siedzi. Znudzony. Apatyczny. Rozumiejący.

A przecież ostateczny los kościoła nie zależy od załogi, ale od Boga.

Na plakacie wystawy węgierskiej zegar. Przy pełnych godzinach symbole. Jest znak euro, półksiężyc, swastyka i krzyż, A anarchistów, gwiazda Dawida, przekreślone S dolara, a tuż obok sierp i młot. Nowy Ciemnogród. Odgórne przyzwolenie na antyreligijną krucjatę. Żenada.

„Coraz bardziej tamten świat obnaża swoją pustkę. W tej walce tamten świat nie ma żadnych szans”. To z Iwony. Ładnie mówi o solidarności i że idzie czas religii.

Maluję to, co zwykle: Chleby, Kule, Domy, Chmury. W temperaturze dziewięciu stopni nie traci się czasu.

Zniosłem obrazy, fajnie wyglądają. Postawiłem. Mam wyznaczone azymuty.

Piję w magazynie galerii Dominika Rostworowskiego z Jolą Antecką. Dominik Rostworowski ma uścisk do szabli. Mocny.

Sobota. Ostatnie dziewięćset złotych z mojego konta.

„Czyści i nieludzy” – Iwona o ludziach jutra. Mądra jest. Patrzy na moje bagroły. Coś sobie notuje.

Kupiliśmy pielmieni. Na obiad. Pielmieni czy pielmienie? Wolę tę rosyjską wersję.

Racjonalizm w naszej rodzinie kwitnie. Ja z ostatnich pieniędzy kupuję Iwonie Diune, a Rysiek swojej dziewczynie Chanel 5. Pojechałem z nim też po łopatę do śniegu, do Carrefoura.

Viatoris potrzebuje chleba i wody. Maluję chleby, dziury czy rany. Chleb. Ojciec starym zwyczajem przed wbiciem żegnał chleb czubkiem noża. Za to mógłbym go polubić. Ale to za mało.

Zdarzenie wydarzenie, czyniąc główną metodą badawczą – tak, jak pisałem Rafałowi – maluję. Transport nowych papierów panowie zwiózł w ciągu tygodnia. Na Filmotechnice zacząłem i na niej skończę.

Widziałem. Kiedy szukałem dla Ryśka solidarnościowego krzyżyka z orzełkiem, prosił, patrzyłem na szablę z 1903, ostatnia austriacka szabla kawaleryjska. Piękna.

Wiejskie Ukrzyżowanie na niebieskim tle u Uty Kalinowskiej i mam w głowie thonetowskie krzesła u Joli Tekielskiej. Razem sześć tysięcy.

Jutro Święty Mikołaj i moje urodziny. Które? Od Filmotechniki dostanę samochód zdartych plakatów.

Parasol TVP2 wrzuciłem do kosza. Leje. Kanapki na litewskim chlebie. Zgubiłem czapkę. Z targu, ale szkoda. W pociągu śpię, przykrywam twarz kurtką.

Mówię do Iwony: – Będę na Żoliborzu, tam gdzie Popiełuszko.

Ona: – Ale nie rób nic politycznego.

Ja: – Skoro on tam był, a dla mnie jest kimś rozpoznawalnym, to czemu nie?

Iwona nie odpowiada. Dopadła ją chwilowa wyborcza poprawność polityczna.

Myślę, co zrobić. Użyję wzorkowych wałków do malowania ścian i ukleję papierowe fujarki. Pomaluję, położę. Rura, nora, pochwa, dziura. Wszystko. Dom.

Rysuję w czerwonym zeszycie. Na okładce narysowałem pisakiem jastrzębia i dąbrowę na szczęście.

Jesteśmy. Idziemy na Akademię. Kupuję Helence złote buty na szpilkach. Siedzi-

my przy pizzy. Helenka wyciąga ze starej teczki, podpisanej jeszcze Helenka Jargusz, reprodukcje *Bitwy pod Grunwaldem* Jana M. Książę Witold, Zawisza Czarny, Spytko z Melsztyna, Jan z Góry i kilku innych – mają moją twarz. To prezent urodzinowy dla mnie. – Sama? – Sama. Dziękuję. Oprawię i położę sobie koło łóżka. To bezcenne, co między ludźmi.

Jak zawsze idziemy na Żoliborz. W kościele Popiełuszki. H. za mną, z dystansem. – Księży możesz nie lubić, ale na Boga się nie obrażaj. O, perła modernizmu.

Popatrz tam – mówię do Helenki.

– K. jest napalony na punkcie Żoliborza. Picasso podobno tu był.

– Chodź, wracamy. Szkoda mi ciebie. Zimno.

Jeszcze trochę łazimy i pstrykamy Plac Wilsona komórką. Idziemy do fortu, potem w stronę placu Inwalidów i na Dworzec Gdański. Dobrze słupy, ale za spokojna dzielnica. Na oko. Krzyżujące się tropy zwierząt z szablonu, zrobione fluorescencyjnym sprejem. Może to jest pomysł, ale jakoś tego nie widzę. Na Żoliborzu będzie czerwono i zielono.

Warexpo Sp. z o.o. Oni mi nakleją. Słupy typu traffic. Dwadzieścia cztery na Żoliborzu.

Labirynty same się układają z tych papierowych skór. Fujarki powieszę na drzewach w lesie, położę na ziemi. Ukleiłem takich teraz pięć czy cztery, czy więcej. Z małymi więcej. Na tylnych stronach zdartych afiszy. Na jednej z fujarek twarze Marii i Lecha Kaczyńskich.

Fujarki, potem będą rogi. Ligawki. Głos trąb jerychońskich mógł zburzyć miasta. Co symbolizują fujarki ze zmarłych plakatów? Polifonię chaosu czy pomieszanie języków? Fujarki spłyną wodą. Ułożyłem je w przedpokoju, by sfotografować. Już myślę o transporcie.

Andrzej Hoczek.

Rafał Solewski jest głową w Omaha. Powinniśmy nagrywać rozmowy, powinienem mu przeczytać lub opowiedzieć. Wtedy to ma sens. To jego pisanie. I powinien poznać kilka osób. Bartosza zna, ale Piotra Paradowskiego nie. Dlaczego? Wiem, że powinien, ale nie wiem dlaczego.

Powinny być kule. Ukleić topory. Takie jak moje. Kamienne. I rany. Wytnę dziury w tych papierach. Coś między kobiety pochwą a raną po nożu. Chyba mnie to bierze. Kroczek do przodu.

Iwona wraca z kopalni Wujek. Tej. Trzydzieści lat temu milicja strzelała tam do robotników. Jej film *Solidarni* się podobał.

Labirynty same się układają. Dawniej, jak malowałem, były zagadką, teraz są kryjówką. Gösta Berling Selmy Lagerlöf. Kawalerowie niemocy. Zrobili na mnie wrażenie. Widzę z ich salonu padający śnieg. Pada. Czym jest sztuka teraz, jeśli nie pozycjonowaniem?

Tymi labiryntami z afiszy, rogami i trąbami, ligawkami z papieru, fujarkami ze zdartych plakatów opowiadam też o dżungli bełkotu i manipulacji. Jutro zrobię zdjęcia. Jakaś ulga, że idę dobrą drogą. Nareszcie.

Wszystkie moje wyjazdy do Warszawy do Helenki. Ważne, gęste, pełne emocji, których ona nigdy nie dawała po sobie poznać, czasem tylko skubała skórki wokół paznokci.

– Dlaczego skubiesz? – pytam.

– Bo zaraz jedziesz.

Park Ujazdowski. Tyle lat temu. Ten czas nauczył mnie więcej niż jakiegokolwiek obrazy. Te nasze serniki w barku przy Agrykoli, plaże nad Wisłą na Pradze, ogród zoologiczny, małpy patrzące w klatce na telewizor, lody, Dni Dziecka w Łazienkach i Wilanów, Ujazdowski. Huśtawki, pieczywo czosnkowe i pizze pod Zamkiem na Starym Mieście. To już tyle lat minęło.

9 grudnia 2011. Pojedziemy po choinkę. Załatwione słupy. Od połowy kwietnia. Dziewięć w okolicy Bemowa, dziesięć w Śródmieściu, trzy całe ogromne na rondzie Wilsona na Żoliborzu.

Piszę w czerwonym zeszyte, nie mogąc się dostać do komputera.

Nikogo specjalnie nie zapraszam. Iwona jedzie w przeddzień Wigilii do Warszawy, nagrywać Jandę.

Byli Łopatinowie, Swietłana i Sasza, siedzieli do pierwszej w nocy. Serdeczni, delikatni, ukraińscy.

23 grudnia 2011. Trudno. Zmęczenie. Wewnętrznie skurczony. Niewysłane kartki do Basi, do Samulewicza, o reszcie nie wspomnę. Trzeba będzie zadzwonić.

Miło. Iwona, Beata z Helenką z reniferami dla nas, Rysiek z psem. Pojechaliśmy wszyscy do Tyńca i wypuściliśmy rybę. Helenka robiła zdjęcia na fotografię. Na ASP.

Byli Łopatinowie. Miło. Oboje młodzi i prawi. Siedzieli do dziewiątej, a potem poszli na autobus do Lwowa. Połamaliśmy się chlebem. W piecu napalone. Sielanka.

Iwona do mnie w przedpokoju: „Nie mogę się napatrzeć na te nasze zwierzęta. Kotek nasz kochany. To wielki cud. Cud ze zwierzętami”.

Strzelcowie. Idziemy przez Kraków moimi drogami. Podoba się. Lwów mój kochany teraz śpi.

Strzelcowie pojechali. Miło. Irena o kobietach: „Nasza mądrość nie jest dobra, przez to może zginać cywilizacja”.

Gadamy o kobietach.

Jurek: – Żenić się czy nie?

– Co byś nie zrobił zawsze będziesz żałować.

– A dlaczego tak?

– Bo przychodzisz i mnie pytasz.

Taki wic nie wic. I słowo cwaniak. Po lwowsku. Starolwowsku: gracepurys. Pi-szę na boku. Ładne.

Irena: „To już nie Wysocki, nie Sacharow, ten bard i oni to już nie tacy. Przekarmieni jak rybki w akwarium”.

Irena opowiada o ikonach, stojących w zalanej wodą piwnicy w katedrze ormiańskiej: „Kochany profesor Osiejczuk otworzył nam drzwi i pokazał. I tyle. Chciał, żebyśmy widzieli, gdyby przyszły lepsze czasy. Nic nie mówił. Czuję do tej pory zapach tego drewna rozkładającego się. Zbutwiałego. Dolny rząd był do połowy w wodzie. Pogięte, powyginane”.

Sylwester z nimi na Rynku i następne cztery dni. Bielany, komnata akustyczna. Tyniec z łabędziami w mroku, podpływającymi do nas. Przegorzały i widok na Wisłę. Grodzisko w śniegu. Pieskowa Skała, Brama Krakowska, szopka u ojców kapucynów. Głucha i obca. Siedzenie przy stole. Miło. Dobrze się ze sobą czujemy.

2012. Pojechali siódma dziesiątka z powrotem do Lwowa. Irena: „Czemu nie zapisujesz? Zapomniałeś, co powiedziałaś wczoraj?”. Nie.

Człowiek ma zdolność stwarzania innego człowieka i to jest dla mnie cenniejsze od stwarzania obrazu. To było. Tak.

Iwona: „Piotruś, nagranie w środę o 13.00. Prośba o punktualność”.

Etno art już był. 1901 Towarzystwo Sztuki Stosowanej. 1909 w Sukiennicach: Tetmajer, Stanisławski. Nowa rola uważności. Genealogia naszej wrażliwości. Chodziłem z etnografkami po Łapszance, Rzepiskach, Pawlikach. Nie rzeczy znajdowałem, ale światło, zapach, opowieść, pieśń. Nowe odczytanie. Zagubiona tożsamość. Przekazywanie sobie pamięci, doświadczenia, genealogii. I to jest doświadczenie metafizyczne. Mieszkamy we wrażliwości. Dotykasz kamienia, macasz, czujesz, że znajdujesz z nim jakąś więź, że jest naznaczony czyimś śladem, jest czyimś narzędziem, czyjąś własnością, a ty odkrywasz, że on jest twój. To jest odnajdowanie się. To jest ten kod: ty wobec kamienia, wody, ziemi, drzewa. Ty patrzysz na nie, a one na ciebie. Nie ma ludu. Nie ma sztuki ludowej, ale pozostał testament.

W sztuce ludu mnie uwodzi bezpośredniość i bezbronność przekazu. Moc. Uniwersalizm. Przekazywanie pamięci i doświadczenia jest doświadczeniem metafizycznym. Fraszki, ale nie Chrystusik. To sytuacja. Człowiek nie człowiek. Siedzi i myśli. Koncepcja.

Brak podziału na sacrum i profanum. Chłop dawniej siedział wydoić krowę, a potem umierał i siedział do nieba. To było sacrum nie tylko na kolanach i w kościele. Ja znalazłem tę genealogię mojej wrażliwości na kamień, drewno, na wodę, na ziemię. Ale i na znaczenia. I na pojęcia. Poszukiwanie tożsamości. Tożsamość jest nam dana. Możemy ją tylko odnaleźć.

Moje święta polskie były odniesieniem w czasie, do cyklu przyrody i roku liturgicznego. Rodzajem ulicznego dewocyjnego obrazu. Maluję dom. Ale od czego zacząć? Może od dobrych zaklęć. U nas wisi krzyż, ale gdzie indziej siedzisz na dywanie, wokół ciebie skorpiony, wilki i węże, a ciebie chronią dobre znaki i zaklęcia. Wszędzie piekło, a wokół ciebie raj. Pomyślałem i maluję znaki dla Domu Viatorisa.

A potem myślę: chleb. W 1982 roku namalowałem przyniesiony ze Starego Kleparza wiejski bochen pieczony na liściu. Jak mapa ziemi wyglądał od spodu. Postawiłem i maluję swoje. Teraz maluję inne, teraźniejsze chleby. Patrzę na nie i czegoś mi

brak. Jakieś puste. Czego brak? Refleksja. I zrobiłem takie prawie niewidzialne krzyżyki na moich chlebach. I stałem się chłopem. Tego mi było trzeba. I to jest moment, kiedy malarz się do siebie uśmiecha. Bo jak się nie uśmiecha, to powinien przestać malować.

Narodziny... Wiele ich było. Narodziłem się do. Do bycia mścicielem, jak chciałem nożem zabić... Do słuchania opowieści. Do miłości, jak leżałem w namiocie z Ewą nad Wisłą w K. Do sprawiedliwości, jak ojciec chciał uderzyć Matkę i stanąłem w jej obronie. Do bycia ojcem, jak Beata powiedziała mi, że jest w ciąży. I do rozstania, gdy odeszła. Do chodzenia do lasu i do patrzenia na jastrzębie, i tak dalej, i tak dalej...

Rysiek: „Wróciłem do domu. Byłem w poradni przeciwgruźliczej. Testowałem leki i co godzinę dmuchałem w rurkę”. Bezbronność, nie mogę tego słuchać. Kończę, trzymaj się.

Cienie przy ikonie coraz inne. Ażurowa koronka. Malowanie obrazów uczyniło mnie podglądaczem. Czasami szczęśliwym. Mam poczucie końca, dlatego się spieszę.

Wierność pomimo wszystko. Conradowska. Mój wybór.

Cukierenka na Stolarskiej zlikwidowana. Przechodziłem tamtędy dzisiaj, kartka informująca o likwidacji, numer telefonu...

Wielkanocne zajączki, świnki, misie, babki, kielbaski, szynki z marcepana z brązową polewą i z kolorowym napisem: „Alleluja”. Słodkie ciasta, placki z wiśniami, z rabarborem, które kupowała Iwonka, i strudle, drożdżówki, ziemniaczki... Witraz Matki Boskiej w drzwiach prowadzących na zaplecze, starsza pani w fartuszkach. I nasza sprzedawczyni, która zawsze uśmiechnięta pytała: „A co dzisiaj będzie dla pana, państwa?”.

Portierka do sprzątaczek o jakiejś kobiecie: „Taka żmija jaka gwiazda”. Budzę się. Jadę do Warszawy. Iwona: „Ja chcę spać”. Ale robi kanapki. Wyłączam grzałki, bo jest za gorąco.

Dzwoni profesor Stanisław Baj. Będzie w Krakowie. Przyjdzie do nas.

Jadę pociągiem. Śpię. Dzwonię do Iwonki. Zjadam kanapki, zawsze nim dojadę do dworca w Warszawie. Dobrze. Idę do Żółtych Tarasów. W kabinie napis na drzwiach: „U tych panów z wielkich stanów pieniędzy jest dość, dla górnika suchotnika jeno skóra, kość”.

Spotykamy się z Helenką przy stacji metra. Siedzimy w Słodkim i Słonym na piętrze. Zamawiam torciki, adwokat dla Iwonki i Olgi, dla siebie herbatę. Torcik czekoladowy, bezowy i adwokacki – sto czterdzieści złotych. Dobra cena. Coś drapie w gardle. Kordegarda. Etno inspiracje w street arcie. Przede mną Ne Spoon. Ładna. Helenka w scenkach z biletami na przystanku autobusowym w głównej roli. Przechodzę z dziennikarką na ty. „Masz fajnego ojca”, mówi. Helenka wraca po dwa kawałki pizzy dla nas. Zjadamy na ławce pod kościołem. Pakuję pudełko do kubła na śmieci. Nie mieści się.

Iwona: „Był profesor Stanisław Baj, zachwycony. Cały czas chodził po domu. Wypił tylko herbatę i na koniec kieliszeczek wódki. Zobaczył tektury. Nie wszystkie. Papiery przekładał jeden po drugim. Bardzo mu się podobały. Aż do tego dywanu ludowego, bo już mu na więcej nie starczyło czasu. Poznał Bakotę. Dziwił się, to wy też tam jeździcie? W Zasławiu też był. Powinieneś mi płacić, żebym była twoim menedżerem. Dobrze się stało, że mogłam mu opowiedzieć o tobie ja, a nie ty sam. Bo ja mu powiedziałam to, czego ty byś mu nie powiedział. Mówiłam o Białorusi, o tym, jak chcieli tam odkupić od ciebie obrazy, a ty powiedziałeś, że nawet za dwa miliony nie sprzedasz, mówiłam, że jak był problem, czy je odzyskasz, powiedziałeś, że one już swoją rolę odegrały i że się już w tobie spełniły. On powiedział, że to są obrazy, które się spełniają w malarzu. Żadne jego pytanie nie było bezrozumne. Chybione, wszystko łapał w lot. Mówił, że będą cię zapraszać do Warszawy, gdy będzie o street arcie. Podał mu się nasz niezwykły dom. I że szkoda, że nie zabrał ze sobą swojej Iwony”.

Pomalowałem. Jadę samochodem na Królewskiej. Lubię stany swojej bezmyślności. Wbrew pozorom więcej mi wtedy przychodzi do głowy. Mamy Trzech Króli, prawie wiosna. Pąki na drzewach i leje.

Domy. Znowu. Tym razem obwody zamknięte albo otwarte.

Maluję. Mam naturę zwycięzcy. „Jak ta Iwona z tobą wytrzymuje?”, pyta Staszek Sobolewski. Natura kobiet jest niepojęta

Maluję według Piotra Jargusza. Polska szkoła kaligrafii.

Przychodzi Kasia Bruzda.

– Posprzątałem tu trochę – mówię.

Ona: – Ty mnie, Piotrze, rozbrajasz. Umówiłam się na randkę.

– To idź.

– Dobrze, że mnie wypychasz. Chciałabym tu przyjść z aparatem...

Lęk, abym – nim mój czas minie – zdążył jeszcze coś zrozumieć, przeżyć wzruszenie. Tak rodzi się świadomość.

Co mnie interesuje, że G. Mieciugow walczy z rakiem? A przedtem walczył z hazardem i alkoholizmem. Odebrać foto i *Grunwald*.

Matczynna i ojcowizna. Szukam. Maluję ogromne skrzydła, czerwone i czarne.

Moja wiara w... Dlaczego mam obsesję, że dobre obrazy zrobią ze mnie dobrego człowieka? To przecież nieprawda. Uczyniły mnie tyle widzącym, ile ślepym.

Czemu przypominam sobie to w środku nocy? Zapisać, ale co, po co? Coś o szukaniu domu. Dom jest do odszukania, odnalezienia. Las, pole, ziemia. Myśli, sytuacje, marzenia. Póki co – wszystko jest domem.

Martwa natura z kamieniami. Ustawiona pośrodku na naszym lustrze, z pokoju Babci. Odbijają się zielone kamienie z Turcji, resztki garnków z Tlos, rude kamienie z samotnej wyspy z Medjugorie, a z Santorini białe. Żywe kamienie. Poprzednio była cieknąca woda i lustro, na lustrze leżały suszone ryby. Od Oleksandra.

W obciachowym garniturze, w wojskowych butach może wyglądam obciachowo, ale za to wiarygodnie.

Coś się psu dzieje...

Frasobliwy to sytuacja, samotność. Obrazy są tylko epizodem. Próba zmiany klimatu na cieplejszy. Po co maluję? Nie wiem. Powoduje mną jakaś głęboka potrzeba, pragnienie zostawiania śladu, odcisku palca. Odciskiem jest mój dziennik, zapisem mojego kroku po kroku. I na tym poprzestanę.

Viatoris. Jest nim proste rozdanie od kiedy się urodziłem w tym naszym gnieździe. Niby pięćdziesiąt jeden lat temu, w innej epoce. Ale to tak nie do końca. Co dalej.

Maluję maski. Na czerwono. Tak pomalowałem sobie twarz u Agnieszki Glińskiej. Spotkała się z moimi studentami, byli nią zachwyceni. Natychmiast sprawdzili Art Color Ballet w Internecie.

Maluję Chrystusiki. Papier za papierem, na wiele sposobów. Tamten ascetyczny na bazie trójkąta, jakiś lwowski, ten z klejonych afiszy i plakatów na czerwonym tle.

Przyszła Bruzda w mini. Pisz teraz tym moim długopisem z łusek. Po pociskach. Z Sarajewa.

Przespaliśmy się. Iwonka poszła do studentów. Potem pójdziemy wszyscy na Rzeź Polańskiego.

„Pana flety, fujarki i parawany mnie zaniepokoiły”, pisze Bogna Świątkowska z „Notesu”.

„O czym myśli ten Kozak z szopki stojącej na stole?”, zastanawiają się Sasza i Swietłana. Moi Ukraińcy widzą w obrazie opowieść.

Rano biorę Amelkę na podwórko. Jadę malować. Biorę klucze od portierki, choć mam swoje. Dorobione. To branie dla niepoznaki. Zaszyłem się tam. Na jak długo? Do remontu albo dopóki ktoś nie wejdzie i nie zobaczy.

Moja wystawa o Kamieńcu Podolskim wisi. Zachwyca. Efekty? Zobaczymy.

Winni jesteśmy tamtym Polakom pamięć. W roli stróża pamięci dobrze mi. Dobra rola.

Na ganku gołębicą złożyła jaja. Z jednego wykuło się pisklątko. Dzielna matka. Czy przetrzyma zimą ze swoim dzieckiem? Zasłoniłem ją od wiatru. Heroizm zwierząt. Za mało o nich wiemy.

Dużo śpię. Jedynie wtedy resetuje się mój mózg.

Mam Parawany, Chleby, Zakłęcia, Trawy, Burze, Wiatr, Ryby, Skrzydła, Maski. Dom i Chrystusiki.

Jak nazwała moje figury pani Kasia z Kordegardy? Całe cykle. Tak. To początek. Zadzwoń do Solewskiego, żeby przylazł.

Halina P. o spotkaniu w czasie nagrania Etno-Artu z Tarasewiczem i Dwurnikiem. Że straszne chamy. Tarasewicz powiedział, że z etno nie ma nic wspólnego, żeby mu przedstawiła dowody albo on jej przyprowadzi krytyka. A Dwurnik, że przecież namalował nie tulipany, tylko waginy. Halina pyta, czy to waginy na łodygach, Dwurnik, że tak... No, tak, na łodygach.

Dziś 20 stycznia. Do niczego nie służą, tylko do tego, żeby było pięknie. Biedermeyer. Dwa krzesła i fotel. Różne koncepcje. Kupiliśmy je dla naszej sekretary. Tysiąc osiemset złotych z bransolety, którą – nieudolną kopię swojej przepadłej – Iwona chce sprzedać. Swoją drogą, nie mając porządnej nowej lodówki, kupujemy antyki. Ale okazji się nie przepuszcza. Nie wracają.

Zostawiłem meble u pana w Dębnikach. Niech z nimi coś zrobi. Chodziłem w mokrych butach, szukając materiału na obicia. Znalazłem na Dietla. U miłej, starszej pani.

Maluję herby. Znaki i krzyże. Na tych świstkach. Chłopskie krzyżyki. Podpisywali się nimi, nie umiając pisać. Całe generacje znaczyły swoje sakramentalne tak znakiem Chrystusa. Widziałem te szeregi w księgach metrykalnych. Po krzyżyku od głowy. Wzruszający minimalizm.

Czytam swój tekst o filcowych pantoflach pani Zającowej. Ze zdziwieniem. Zapomniałem, że tak było. Pamiętanie i zapominanie idą ze sobą łąb w łąb.

Przespałem wieczór. Za oknem śnieg. Napadało. Pan Darcy i Amelia przytulone do mnie. Jedno z jednej, drugie z drugiej. Kochane zwierzęta.

27 stycznia 2012. Cieszyć się? Z czego? Że jest ciepło. Co to za powód? Szkoda tego małego gołąbka przy minus dziesięciu stopniach.

28 stycznia. Czego szukasz na Syberii? Wczorajszego dnia.

Maluję cykl Trzynastu Chrystusików. A może w tym określeniu, pozornie lekceważącym, zostało zachowane jakieś ważne ciepło i czułość. Dawna czułość. I niech tak zostanie. Maluję Oko Opatrzności i napis z drzwi: „K + M + B”.

Preparacja sztuki. „Jak taki wielki artysta jak Bóg mógł stworzyć takich matolów?” – czytam cytaty z bloga.

Spotkanie z pradziadkiem. Patrzę na ślad jego noża w spodzie krzyżyka, który sam zrobił. Pracowicie ścinany, żeby było równo.

Patrzę na wyszlizgane, miodowe, ponadstuletnie, stupełnastoletnie drewnienko. Ożywa. Czuję je. Patrzę, czy wiem, że będę patrzył. Tak będzie. To będę widział. I tę datę 4 marca 1894. To było na Syberii. Nie było komputera i telewizora. Zimowymi wieczorami mieli dużo czasu.

Viatoris patrzy w gwiazdy. Matka brała mnie na ręce, jak byłem chory, niosła do okna i patrzyliśmy razem na park. Popatrzyliśmy na nocne drzewa w parku. Na światło latarni. Na księżyc, na gwiazdy. Jak świecą. Gdy księżyc świecił zbyt jasno, zasłaniała okna.

Kamień pod uniwersytetem, czy był z tamtego świata? Meteoryt. Tak mówił mój dziadek Jargusz. Dotykałem. Był niczym księżycowy kamień. Namaszczony szedłem dalej.

O patrzeniu... Nie o obrazach.

Napastliwa obecność myśli: że dobry obraz uczyni mnie lepszym człowiekiem. I druga: co to za mądrość, co nie chroni, co jest jak benzyna łąna do ognia. niesprawiedliwa.

Kij pasterski. Kupuję pod krokwią. Piętnaście złotych, od dziewczyny. On w kącie. Frasobliwy. Zgarbiony. Szczepaniak. Jej wujek. Ma chałupę na Cyrli, w lesie, i struga, zamiast pić wódkę... Mój pradziadek mówił: „Dziadowskiej torby, kija i więzienia nigdy się nie wyrzekaj”. Mam kij. Na co to wszystko zbieram? Dla kogo? Pokaż mi swoje skarby, a powiem ci, gdzie twoje serce.

– To tylko rzeczy – Helenka o starych szafach, które kupowałem kiedyś dla nas, jeszcze z Beatą, na Szymanowskiego. – Lubię się przeprowadzać – mówi. Będzie dużo pakowania.

„To tylko rzeczy”, mówi. O przywiązaniu do rzeczy. O wieloznacznej obecności ich w moim życiu. O tym, po co nam fotel i krzesło biedermeierowskie, obrazek dworu namalowany przez Andrzeja Łepkowskiego, którego chrzestnym był Mieczysław Bartkiewicz, kiedy nie mamy nowej łódki... Dla jakiego ważnego powodu? Co wyposaża?

„Trzeba sobie powiedzieć, że znajdujemy się na skraju wielkiej, czarnej dziury metafizycznej. Wszystko się nijako wywróci na drugą stronę. I właśnie sztuka pomoże nam przenieść na tę drugą stronę naszą rzeczywistość. Sztuka nas zbawi”. Jerzy Nowosielski.

Dlaczego Białowieża? Bo Stefan Balukiewicz tam żył i zmarł. Bo kocham chodzić po lesie. Bo las mnie ciągnie. Bo go potrzebuję. Bo takich Teremisek jest wiele. Więcej niż Warszawa i Kraków. Chwytam te wszystkie nitki. Stefan zostawił po sobie strzelbę i arabskiej rasy konia, którego dostał z zaprzyjaźnionego majątku. Za szczęśliwy nie był. Jego syn gdzieś w Rosji, a on w pałacu z tancerką.

Maluję. Wierzę w ten automatyzm. Ale to moje co chwila składanie papierów w pracowni uprzykrzające na dłuższą metę. Wynajmę nową. Okolice jak ze *Stalkera*. Będę mógł powiesić sobie hamak. Jest taka konstrukcja przy suficie. Romanowicza. Moloch dawnej Unitry. Czekam, by zwieźć papiery z Podchorążych.

Rozłożyłem. To wszystko, co do tej pory namalowałem, jest za duże. Mnie dla Warszawy obowiązuje format 100 na 70. Za duży na małe, za mały na duże. Maluję Robociarzy. Akurat. Mięśniaków.

Dać sobie czas na myślenie, pisanie, malowanie. Dostałem czerwunki. Ciśnienie. Całe to moje malowanie jest za duże. Ma być 100 na 70. Wiosennie. Lubię ten swój Dom. Znowu pracownia jak ze *Stalkera*. Raj dla Marka Gajczaka. Można, nie wychodząc z stamtąd, nakręcić całą Syberię.

Jest we mnie ciekawość. Patrę, co będzie dalej. Nie ma gdzie się spieszyć. Po co. To patrzeć jest istotą mojego bycia. Wszystko ma swój czas.

Maluję. Wielogłos jest twórczy. Dobrze. Książd Jerzy Popiełuszko. Poświęcę mu jeden obraz na placu Wilsona. Patrzyłem na jego zdjęcia z tymi czarnymi oczami zwierzątka. Jest takie bokiem. Zwykle. Bezbronnie. Wtedy go czytałem. Teraz dalej pamiętam. Szybko. Przeszłość i przyszłość są jedynie myślami. Czy ma rację? Ja zawsze martwiłem się o przyszłość i rozpamiętywałem przeszłość. Co straciłem?

Szkontrum. To właściwe określenie na mój aktualny stan. Maluję moich Robociarzy. Emaus. Idziemy z dziewczynkami.

Obrazy schną na podłodze w jedyńce. Próba na plac Wilsona. Nie Łilsona, tylko Wilsona. Życzenia od nielicznych. Widać jesteśmy zbyt osobni.

Beata z Helenką wczoraj. Miło, lubimy jak przychodzą. One też. Wyrażnie.

Życzenia z Ukrainy. „Witajcie Kochani! W ten świąteczny dzień życzymy pisanym jajeczek, wierzbowych bazieczek, kiełbasy święconej, dużo chrzanu do niej, baby polukrzzonej, kukielki plecionej, Zmartwychwstania w duszy i wiosny... po uszy!”.

I od Konstantego Szewerdina z Ługańska: „Dzień dobry! Drogie Pan Piotr, Pani Iwona i Pani Olga. Otrzymał od Was gratulacje, bardzo dziękuję i nakierowuję Wam gratulacje od nas. Gratulacje do Wielkanocy. Nad cerkwią złotą dziś słonko lśni...”.

Może taki okres. Przeczekać. Odmowa z Tiumeni. Lekceważąca.

A jednak Polacy, jednak niestrawni dla Zachodu i jak dla Wschodu, są bliźsi cywilizacji Zachodu w swoim wolnomyślicielstwie. A my z Iwoną ze swoimi dobrymi serduszkami bywamy naiwni.

Małe skończyłem i postemplowałem pieczętką. Viatoris. Obrazy uliczne Piotra Jargusza.

Nocne koszmary, że w deszczu wichura porwała mi nową marynarkę od Iwonki i znalazłem ją w wodzie na chodniku, myśląc co z nią teraz zrobić. Farba od drukarza, od Słowaków. Wyszła przez noc. To cud, za który jestem bezgranicznie wdzięczny. Czyli małe obrazy do Warszawy mam. Teraz trzy na plac Wilsona. I w przyszłą sobotę wyjazd. Znowu fotografuję.

Pisze Anżela, druga odmowa... „Panie Piotrze, nie wszyscy ludzie mają szeroki światopogląd”.

Śpię. To jedynie mnie resetuje. Nie mam innych form. Może picie piwa. Pomalowałem Siedzących. Alem zadowolony, kiedy sobie tak maluję. O to pewnie chodzi. Na co mi to zabieganie, zapraszanie... Do tej pory byłem wolny. Wynajmowałem od Filmo-techniki słupy i sam za nie płaciłem. Trzeba się było tego trzymać. Ale prawda, że bez pieniędzy z grantu nie zakleiłbym Warszawy, nie pojechał do Białowieży i w końcu na Syberię. Ale cały sens moich obrazów ulicznych jest w wolności i stwarzaniu ważnej sytuacji. Robociarze 2012 to moje, na ten czas. Zostawiam to, co namalowałem w jedyńce. Dzięki Bogu, nikt nie weźmie. Za to pali się wesoło w piecu.

„Wesoło”. Tak by powiedziała moja Babcia. Ta moja lotna pracownia po godzinach o wiele lepsza od...

A w Warszawie duża ekipa. Za duża. Zawsze byłem w dwójkę, trójkę. Czego się spodziewam? Niczego. Kopa. Jestem z poza układów, jeszcze profesorek filozofujący (51). Jednym słowem dla wszystkich: obce ciało

Robotnicy. Rozmawiam z dziewczyną z kwiaciarni.

– Dlaczego na słupie i dlaczego takie smutne. Pe-sy-mis-tycz-ne.

– Przyjdę do pani potem.

Robię foty czterech obrazów. W tle na bloku apetyczna grubaska w czarnych pończochach. Zmęczony tym malowaniem. Tym wszystkim po trochu. Zostałem profesorem. Dzisiaj. Na mojej ASP. 12 kwietnia 2012.

Syberia w zawieszeniu. Brakuje mi zaproszenia.

Anżela Kajumowa walczy, gada z urzędniczkami w Tiumeni.

Malowałem rano moich Robociarzy. Na podłodze. Cztery podejścia. Wytworzyć temperaturę, a potem samo się maluje, samo się myśli. O... O czymś już zapomniałem powiedzieć... A potem przyszła myśl, że owocem mojego malowania ma być cisza...

Fotografię. Z grubaską i ze sprzedawczynią z pudłami dałem. To moje malowanie w ogóle i w szczególności jest dobrym pomysłem.

Papiery w cenie dziewięćdziesięciu groszy, farby ze sklepu chemicznego, galeria na słupach ogłoszeniowych. Totalna. O prostszy transport byłoby trudno. A wieczność i trwałość jest sprawą względną. Już 16 kwietnia.

Maluję. Namalowałem trzy na Wilsona. Jakie, sam nie wiem.

– O czym myślisz, jak malujesz Pietę? – pyta Iwona.

– O tym, że mi się farba kończy, że to dobrze, bo już mi się nie chce. Czemu mam takie podkrążone oczy.

– Opaszą cię i powiodą.

Taka prawda. Dobrze jest teraz. Potem będzie coraz trudniej żyć. Zdążyć z podrózkami, ze wszystkim co najważniejsze. Nie tracić czasu.

Na skróty. Ale te pół roku dało coś. Co? Nie wiem, ale dało. Chrystus stał się chłopo-robotnikiem. Viatoris Frasobliwy jego przodkiem. I na Rosję wymyśliłem wlepki. Od dawna patrzyłem w ich stronę z ciekawością. Będę dzięki nim wolny od pozwoleń. Tylko zaproszenia brak.

Jem czasem jak zwierzę, piję łąpczywie... Taka uroda.

– Myślę, jak to zobrazować – mówi mi ładna, czarna studentka.

Jakie ładne słowa: zobrazować, wyobrazić, wyobrażenie. Mądrość zawarta w mowie. Zachować.

Rozłożyłem te duże obrazy na plac Wilsona. Porobiłem pieczątki. Czerwone jak krew. Słowacka. Bo farba od Słowaków. Ale farba niemiecka, a może szwajcarska. Patrę i podoba mi się. Takie moje małe szczęście. Innego nie będzie. To małe jest najważniejsze. Są chłopcy szlachcice, Viatorisy frasobliwe. Namazane po mojemu. Ale mi się podobają.

Jak po grudzie, ale jednak zdążyłem. Ptaki śpiewają. Ładna pora przyszła. Jutro Rafał Solewski. Ledwo możemy nadążyć. Takie życie.

Rysiek o tym, że tylko pies... A my jutro na pięć dni do Warszawy. Jeszcze Iwona odbiera w Telewizji nominacje dla MOCAK-u. Rano Rafał Solewski był zobaczyć moją podłogę. Chciałem mu pokazać w naturze.

– Podoba mi się ten rozczapierzony – mówi.

– Ale nie mam gdzie.

– To kup sobie dom.

Uwiera mnie sponsoring, zabieganie o zauważenie. To profesjonalizm. Ale jest we mnie poczucie, że sztuka powinna być wolna od tego. Wolność ma swoją cenę. Iwona grzeje piec, suszy pranie... Nie lubię zostawiać zwierząt.

Jedziemy. Okno przedziału przesłaniania wiosenna, zielonkawo-brunatna szmata. Pejzaż. Warszawa w słońcu. Ciągniemy się po Świętokrzyskiej. Papiery na mojej walizce co chwila spadają. Mieszkamy w klasztorze na Sewerynow.

Helenka: „Jak jesteś szczęśliwy w swoim stroju na bohatera, to bądź...”. Śmieje się.

Przechodzimy na pasach na Nowym Świecie. Demonstracja w obronie Telewizji Trwam. Starzy, skromni, ale z chorągiewkami. Machają. Dzieci na rękach, młodzi też są. Plac Trzech Krzyży zapchany tłumem. Wzruszeni. Trwa msza... Mam dla swojej Polski wiele czułości. Może po prostu ją z Iwoną kochamy. Moja polskość objawiona... Dochodzi Helenka. Czuła. Serdeczna.

Siódma rano. Zachwyca mnie Warszawa. Onieśmiela Mazowsze.

W kościele Chrystusa Zbawiciela moczę w chrzcielnicy niezgrabnie sygnet i bransoletkę od biskupa Kamienieckiego. Serce Chopina w ścianie. Ilu zginęło, żeby wynieść to serce z palącego się zamku. Myślę o tym, ilekroć tu jestem.

Na niebie błękitno-wiosennie. Śpiewają ptaki. Patrę na Warszawę zachwycony. Jak się budzi do życia. Pani staruszka w czerwonym płaszczu kłęczy w katedrze u Świętego Jana, nim poczłapie w stronę ołtarza, ucałuje posadzkę. Moi całujący ziemię, których maluję, jednak mają swoje wzory. Mój obraz nie kłamie.

Za Barbakanem bar z kotлетem pożarskim. Jeszcze za wcześniej. Zastawiony krzesłem. Napis na murze: „Po co ci głowa? Jem nią”. Na placu Wilsona powieszę sześć albo dziewięć. Ostatecznie przykleiłem dwanaście. Jeszcze cztery na Bemowie... Iwona z Olgą czekają w Babuszcze.

Kleimy kolejne siedemnaście w deszczu. Dobrze, że dziewczynki nie poszły. Iwona cała mokra. Leje. Od słupa do słupa. Pan z Warexpo dźwiga wiaderko z klejem. Też dostanie butelkę zubrówki. Wolność. Na przyszłość żadnych patronatów. Żadnych.

Biorę Helenkę i Olgę do biblioteki. Kupujemy żelki i siedzimy nad Wisłą. Dziewczyny się chichrają. Serdecznie. Helenka z ogromnym aparatem. Robi foty. Potem do Ujazdu i siedzimy przy Agrykoli. Lubię tu być. Od dziewiętnastu lat tu przychodzę. I jest bez zmian. Ranię sobie palec na kapslu niespodziance. Pułapce. Helenka daje plaster. Zakleja. Idziemy do Łazienek. Olgę ocierają buty mamy...

Iwona z Oleńką poszły na galę nominacji do Gwarancji Kultury. Iwonka reprezentuje MOCAK.

Ja rozmawiam z panem Jackiem Kilińskim. Pokazuje mi pancerz. Dotykam. Kulbaka i oficerki po ułanie, szabla od Borowskiego, ale poniklował... Wstaję.

25 kwietnia 2012. Idę na Stare Miasto. Napatrzeć się. Nad kościołem Karmelitów biała chmurka z prawej, za nią granatowa. Podoba mi się... Hotel Bristol. Mijają mnie kobiety w płaszczach i mężczyźni w kurtkach, a ja w samej koszuli. W katedrze – tej od Konstytucji trzeciomajowej – „Wieczne odpoczywanie”. Szkoda, że dziewczyny śpią.

Myślę o wczoraj. O rozmowie z panem Jackiem Kilińskim. Pokazuje pancerz. Ciężki bojowy, do bitwy, nie parady. Mówi: „Właściciel wyciągnął go spod gruzu spalonego swojego domu. Tę tarczę też. Z Warszawy. Wszystko tu było spalone w pożarze. Jaka musiała być temperatura, żeby mogły porobić się takie bąble...”.

Potem dzwonię do Helenki, jest na ASP. Wyjdzie, nim wyjdę. O ósmej za piątkę w Biedronce kupię dwa piwa i czekoladę malinową. Zabraknie mi dwadzieścia groszy.

Starsza kasjerka po chwili: – Nie znajdzie pan?

– Nie.

– To mi pan przyniesie.

– O której?

– To niech pan mi nie przynosi, da pan kiedyś dobre słowo.

Wychodzę ujęty. Helenka puka, zdążyłem poukładać.

Iwonka i Olga w telewizji na rozdaniu nagród. Przychodzi śliczna, siada pod oknem. Pijemy herbaty i jemy bułki. – Weź czekoladę. Rozmawiamy...

Więc wisi. Tyle wieczorów swoich powiesiłem w Warszawie. Zobaczyłem skalę. Ważność i nieważność. Obrazy są luksusem. Posiadanie obrazu jest luksusem. Jedną z możliwości. To, co robię, ma sens. Akademia są szkołami, na studiach nie uczy się miłości, galerie – sklepami, urzędnicy – ignorantami. Zarządzanie kulturą, polityką.

Za oknem przedziału moje laski zieleniejące, moje kochane. Dar widzenia. Dar rozróżniania. I dar bycia opowiadaczem. Za oknem świeczki w kółeczku i wygnieciona trawa, i koleiny w błocie. Miejsce katastrofy dwóch pociągów. Szczekociny.

Kraków. E-mail od Danusi R.: „Witaj Piotrze, dzięki za zdjęcia z Warszawy. Lubie oglądać to, co robią moi znajomi, bo to też są oni. To też jesteś Ty. Pooglądałam... Żałuję, że nie mogłam zobaczyć tego w realu... Chyba bardziej od tego, co zawiesiłeś na słupach, byłabym ciekawa, jak to działa na ludzi. Masz jakieś informacje zwrotne? Ktoś Cię zaczepiał? Pytał? Dzielił się odczuciami? Chyba też jestem ciekawa, jak przyjęli Twój podarunek ci z kościoła od ks. Popiełuszki... A chyba dlatego jestem ciekawa, że sama często nie bardzo rozumiem to, co tworzysz, choć niektóre prace na mnie działają. Np. gdybym miała prywatną kaplicę, to powiesiłabym w niej Twojego Ukrzyżowanego, a jeszcze bardziej poprosiłabym Ciebie o namalowanie Go na czystej ścianie. Każdy człowiek jest

dla mnie zagadką. Sama dla siebie jestem zagadką. Tak sobie myślę, że my się za bardzo nie znamy. Po każdym naszym spotkaniu czuję, że wiem jeszcze mniej, niż wiedziałam. Może nie trzeba aż tyle wiedzieć... Może wystarczy wiedzieć, że ktoś jest dobry, uczciwy, wrażliwy... Rozpisałam się. Kończę, bo sobota, remonty i trzeba sprzątać... Serdecznie Cię pozdrawiam. Pozdrawiam też Twoje Kobiety :) Z Bogiem. PS. Tu w Przemyśle mamy piękną wiosnę! Bardzo piękną!”.

„Danusiu! Dziękuję za list. Nie wiem, jak działają. Wiem, że działają. I o to chodzi. Na kogo ma działać, to działa. Przecież tyle jest innych możliwości. Nie należy się na to obrażać. Ulica jest samą uczciwością. Wiszę pokornie. I te moje olbrzymy leżące, całujące ziemię. Akurat rano w katedrze u Świętego Jana widziałem, jak kobieta, wstając z klęczek, pocałowała posadzkę. I malowanie przez kilka miesięcy w ekstremalnych czasem warunkach, dało mi... nie wiem co, ale dało. W tym poczucie jakiejś ważnej solidarności z innymi, siłę i wiarę, że wybrałem dobrą drogę. Mnie obraży są potrzebne po to, żebym był. Danusiu, pięknej wiosny. Najserdeczniej Piotr z Iwoną, Olgą i Heleną”.

Dzisiaj o 23.00 kleję obraz na słupie przy Piłsudskiego. Takiego z rękami w dół. Robotnik 2012. Przyklejony. Wątpliwości, czy dobry. Dwa razy podjechałem. Popatrzyłem. Dobry. Ujdzie.

Wywiad w Kordegardzie, miła dziewczyna.

– Pan maluje Chrystusiki.

Oburzyłem się: – To sytuacja – mówię. – Filozofia. To figura retoryczna... Bóg, człowiek...

A potem myślę: dziewczyna ma rację. W określeniu Chrystusiki zawarte jest całe ciepło. Cała relacja do takiego zobrazowania.

Zawiozę do Teremisek prawie całość. Papierowe rogi, trąby i fujarki. Skrzydła i wielkie mordy. Poustawiam na polach, bagnach, moczarach, trawach i łąkach. Na kurhanach i tam, gdzie patrzyłem co rano na dziki. Powieszę na gałęziach drzew. Zostawię. Niech zgnije i zamieni się z powrotem w ziemię, drzewo, las. Taka sprawiedliwość i pragnienie harmonii. Zostawię tam na zawsze. W puszczy.

Pałęm w piecu. Ważne i nieważne. Nie mam potrzeby niczego palić. Mam potrzebę pozostawić czasowi, w słońcu, deszczu, na wietrze. Niech się stanie. To nie destrukcja. To transformacja. Ładniej – przemiana... To ja jeszcze... Myśląc o obrazach świętych.

30 maja 2012. Tak jakby za sześć dni. Pojedziemy o piątej rano. We wtorek.

Białowieża w tle. Po genach, po duszy kierunek. Za Balukiewiczami. Stefan tam leży. Albo w Supraślu. Olga na wyjeździe. Jutro wraca. Andrzej Hoczek zawiózł moje papiery do Teremisek. Obudził Kasię Winiarską o świcie. Czekają w piwnicy uniwersytetu, w schronie trzy miesiące. Po polach, po domach, prawda. Porozwieszam na gwoździach, na sznurach, na drutach.

W Puszczy Białowieskiej.

Tak, na inną prawdę nie zdążyłem. Za mało tak. Ale ważne rzeczy dzieją się czasami gdzie indziej. Nie tam, gdzie ich wypatrujemy, szukamy. Warszawa odcisnęła ślad. Puszcza Białowieska też to robi. Helenka dojedzie. Szczęście. Potrzebuję jej tam. Obok siebie. Popiecznika. Takie ładne słówko. Popiecznik to ten, który w bitwie stał za plecami rycerza i chronił jego plecy. Prawda. Ładne. Samego mnie ciekawi.

Mijam. Szybko. Ledwo nadążam za sobą. A potem śpię. Jedyne stan, który mnie resetuje.

Napisał mi Adam Brincken. Ładnie... Że ja to niby...

Dałem z Kasią Widmańską wniosek do Nagrody Ars Quaerendi. Ona wybitna fotografka. Miła. Ale też zakręcona. Na ostro. Zobaczymy.

Mam już delegację do Teremisek. Za czym gonię, przed czym uciekam?

W naszym domu czas piwonii. Czas konwalii już minął.

W drodze do Teremisek siądziemy na godzinę i pół na rynku w Kazimierzu Dolnym.

W Teremiskach Passini i moje warsztaty z dziećmi. Wezmę od Jana Bujnowskiego grafiki i matrycę. I zrobię im taką opowieść o śladzie i odcisku.

Potrzebuję kseromaszyn. Zadzwoń jutro do Kasi Winiarskiej.

Dostałem plakaty. Chciałem moje drzeworyty pławowickie. Moje ulubione. Potrzebuję. Zrobię im, czyli dzieciom w Teremiskach, warsztaty graficzne. Nakupię ziemniaków, buraków, marchewek, będą drukowali. Na szarych papierach. Kolorowe kredy i takie tam różne. Przekleństwo wiecznego łowcy. Dotyczy?

Wieszam w poniedziałek na słupach. Co? To, co namaluję dopiero. Jeszcze muszę za te słupy zapłacić.

2 czerwca. Wywiozę do lasu te moje obrazy. Zniszczę. To nie problem. Ważniejsze doświadczenie. Zobaczenie tego. To bezcenne. I wolność od zbieractwa. Od miłości do siebie samego.

Lao-tsy o drodze. Z pustymi rękami idzie się lżej. Nic nie ciąży. Nic nie zasłania. W poszukiwaniu jakiej mądrości idę. Smutnej czy wesołej. Jakiej wiedzy szukam?

Andrzej Sułkowski z książką. Ładnie polsko-szlachetny. Szlachecki.

Nie biec. Już nie zbieram. Nie trzeba tego tyle.

Rysiek poszedł zobaczyć obraz, który wybrałem. Andrzej Łebkowski do Moskwy. Ma spokojną głowę. Zbigniew Herbert, Lech Majewski na przebudzenie.

„Dziękuję. Jadę. Kocham. Czekam/my na Ciebie i Pana Rochester w Hajnówce. Tata”.

Obecność. Dzień pierwszy. Dzień drugi. Dzień trzeci. Dzień czwarty. Dzień piąty.

Jadę. Moja droga. Dobra, bo ulubiona. Stary i Nowy Korczyn, opactwo cystersów w Koprzywnicy. Dalej Wiślica, mój Sandomierz, Pacanów, Beszowa, Opole Lubelskie, Kock. Ten z trzydziestego dziewiątego. Byliśmy tam już po to, żeby zerwać gałązkę brzozy z pola bitwy. Helenka jest już w Czeremsze. Dojechała. Jednowagonowym pociągiem. Skręcam. Dojeżdżam na tył dworca. Stoi. Jakaś kolonialna, jakby urwała się z Orient Expressu. Komplet i psy: Amelia i Pan Rochester. Kleszczę. Już puszcza. Resztki z niej.

Kupujemy chleb, kwas i ser. „Bułków już nie ma?”, pyta mężczyzna za nami.

Teremiski. Uniwersytet. Mijam piwonie, peonie i irysy ogromne. Żółto-niebieskie. Puk, puk. Wchodzę. Ktoś w głębi schodów. Schodzi.

– Szukam pani Kasi Winiarskiej.

– Ta ja.

Stoimy w przejściu w drzwiach.

Jest Paweł Passini: – Odważny jesteś – mówi.

– Czy mamy wybór?

Passini: – Co chcesz zrobić?

– Nie wiem. Nie planuję tego.

– To też mi się podoba.

– Jeszcze będziemy mieli okazję się spotkać.

Świt. Idę na swoją polanę. Z kasztanem.

– Mogę na twoim domu? – To Artur. Po matce Charytronow.

– Wieszaj. Paweł mówił.

– A gdzie?

– O tu, między oknami. Jeden tu, a drugi tu.

– A w domu.

– Jak?

– W środku.

– Nie, bałagan mam.

Wieszamy. Na domach... Dom po domu. To idziemy. Do Ludki. Przed sklepem.

– Mogę?

– A wieszajcie.

Kleję. – Który Kasiu?

– Dla mnie ten.

No to wieszamy. To ten. Frasobliwy z odciskiem podeszwy moich wysokich rozmowców.

Krzysiek. Stoi przy płocie przed domem obok Artura.

– Powiedz coś o tych obrazach.

– Frasobliwy. Człowiek siedzi, odpoczywa.

– Albo Bóg?

– Ty robisz czary.

Myślę. Ma rację. Robię.

– Przyjdź, dam, weźmiesz, powiesz. Ja mam tam dom pod lasem.

Przyszedł.

– Wybierz sobie.

– Ten do mnie najbardziej przemawia. To dla mnie człowiek.

Ja nie chcę tak tego nazywać, ale to mi też coś przypomina.

– No wiecie. Nie wypada i to dla mnie śmierć. To przedstawiam... To taki człowiek, z którym nie jest wszystko w porządku.

Leży papier na łóżku. Stoimy w trójkę. To malowałem ja siebie. Na samym początku jeszcze od deski wyrysowywałem format 100 na 70... Taki rysunek, obraz, jak kto chce, gdzie połowę twarzy mężczyzna ma w świetle, a połowę w ciemności.

– Weź. Cieszę się, że ci mogę dać.

Piszę długopisem dedykację. Krzyskowi Wisło...ckiemu.

Przed stodołą, dzieje się. Dziewczyny Passiniego tuż przed.

– Masz mój papier, potem się nie będę mógł dopchać.

Paweł Passini miły, kulturalny: „Dziękuję bardzo. Spełnia kryteria dobrego obrazu”. Dziękuję. Chodzi ze swoim Frasobliwym w rulonie pod pachą. Dziewczyny jego siedzą i stoją przed stodołą. Ifigenia. Jego Ifigenia. Biegnie.

Paweł: – Jak zaczynamy?

– Ty wiesz lepiej.

Na ulicy na środku przed sklepem. Idą Iwonka z Olgą i Helenką, ja pójde obok stodoły, gdzie powiesiłem w kącie Frasobliwego. Stoi tłum ludzi. Wita Paweł. Dziękuję ja. Do przyjaciół się idzie z czystymi rękami. Te obrazy są takie, jakie są, ale są dla mnie uczciwe. Przechodzę tam, gdzie stoi Artur. Dziękuję mu i ściskam rękę. Obok Krzysiek, wyciąga rękę.

– Dziękuję wam. To dla was te obrazy. Dla Teremisek. Kolekcja dwustu trzydziestu prac.

Przedstawienie *Ifigenia*. Elektryzujące. Wieloznaczne. Z lekko cyniczną narracją. Passini, Solewski. Są lekko podobni w poczuciu humoru.

Mgła idzie. Wylali się ludzie ze stodoły. Idę w mgłę. Potem Helenka. Zbiera polne, małe dzwoneczki. Dołącza Olga. Zbierają razem. Chłopcy ze wsi znikają za rogiem z buteleczką. Czarny pies wesoło biegnie za nimi. Skręcają ku puszczy. Za stodołą na drewnianym stole murzynek, który piekła Kasia. Biorę. Ostatni kawałek. Dobry. Czarno-czekoladowy, polany.

Stoimy za Kasią z Hanią. – Helenko, zrób nam.

Stoję tak z kobietą i małą trzyletnią dziewczynką w środku.

Kasia: – Będzie zdjęcie rozwodowe.

Przy stole. Leję wiśniówkę czy pigwówkę. I herbatę. Tak po rusku. Wódka i herbata. Są moi. Helenka się żegna, śpiąca. Gadamy o żubrach. Że krowy podchodzą do wsi, z autobusu widać. Ile stało? Trzy, pięć. O zwierzętach Wajraka. O Nurii, która pojechała w Karpaty na niedźwiedzie. Potem przyszedł Paweł Passini. Siedział w czapeczce na bakier. Taki delikatnie niemęski.

Wstajemy o trzeciej rano. Wszyscy. Są dwa żubry przy drodze. I elegant w lakierkach. Zatrzymuję samochód i stoję na awaryjnych. Daję znaki Anecie i Markowi. Wysiadamy. W filmie Iwonki scena „Rozmawiam z żubrami”.

Polana bez dzików. Przy parawanach wielkie kupy. Żubry. Szkoda, że nie teraz.

Ślady dzików. Mój świat. Polska. Warsztaty... Zwożę. W kaloszach. Słabość do wysokich butów. Zawsze. Rozkładałam grafiki. Płyty, odbitki, albumy wokół. Dywan w środku. Drzwi turkmeńskiej jurty. Pełne dobrych zakłęb. Jest i Szymek, i Hania.

Kserują twarze i ręce, a nawet skarpetki. Robią farbę z ziemi i cementu.

Sypią do mojego wikolu. Mamy mąkę. Powiem Pawłowi, żeby przyniósł.

Rozdałem albumy, rozdałem długopisy. „Tylko nie wbijcie sobie do rąk”. Dzieci kulturalne. Mądre. Otwarte. Drukują łyżką linoryt od Janka Bujnowskiego.

Obecność.

– Jest taki dom. Pusty. Tam można zawiesić. Jak mówiłeś o obrazach zakrytych. Ktoś wejdzie tam może za trzy lata.

– Gdzie?

– O tu. Idziemy.

– Heleena, weź maszynkę.

Idziemy. Drewniana chatynka w zaroślach. Takich, które się czepiają. Układałem wieńce i przyczepiałem Helence czy Oleńce. Teraz zaczyna się mieszać. Wchodzi. Izdebka. Na podłodze klepisko albo ktoś zdarł deski. Rozkłada swój rulon. Gdzie mogła się modlić? Wiem, do okna. Na niebo patrzy się i na puszcę, jak się modli. No to wal tu. Trzymam, Paweł takeruje. Teraz Frasośliwe w oranżach. Tu, pod białą plamą. A Oko Opatrzności tu. Tak, nisko, nie równo. Paweł wchodzi na stryszek, ja za nim. Resztki warsztatu tkackiego, podnoszę drewniane kółko z kwadratową dziurą i podkówkę. Kolejność była odwrotna, najpierw podkówka, potem kółko.

Daję mu. – Zobacz. Weź.

Bierze. Ja już nie czuję potrzeby brania. Zastąpiłem ją potrzebą rozdawania. Rozdałem wszystko, co tu przywiozłem. Obrazy do Viatorisa, katalogi, grafiki dzieciom, klej i swoje trzy pędzle. Dorastanie do dawania. Ofiarowania. Od ofiary.

Helenka: – Nienawidzę cię. Mam całe pokłute nogi.

– Zrób to...

Przez okienka zagląda zielone światło chaszczy, zarośli. Morze trawy, zdziczały ogród, zieleń... Do wyboru.

I o obecności mówił Paweł, jak opowiadał o Jewdosi i Michaile. Wcześniej gadał z Józefem pod sklepem. Siedzieli.

Na ławie z beli i naprzeciw na stole leżą białe-czerwone plastiki na butelki po piwie. Nim wezmę aparat, zabierze je Teresa. Sklepowa. W tle Dojlidy. Moje dechy z tekstem, oparte. Przytakerowane Pawła takerem. Dwie inne oparte na płocie Kasi i Pawła.

Jewdosia umarła, a jego wzięli do domu starców. Oni nie byli stąd. Ludzie się nimi opiekowali. Ładny dom. Piękni, prawi, świetliści ludzie.

Ognisko... I nasze kielbasy. Piwo. Kasia z piwem stoi.

Dzień piąty. Świt. Piękny dzień będzie. Bocian na gnieździe nad kontenerami.

Poczytałem trochę. Artur stoi przy swoim płocie. Bez Czarnego. Murzyna. Jak kto woli. Sam wolę napisać. Jasne, inny doda od siebie, pozmienia.

Artur kiwa głową ze zrozumieniem. Jest ciemnowłosy. Kruczy. Z bystrym spojrzeniem. Piszę potem w katalogach.

– Dasz mi pięć złotych?

– Jasne. Za chwilę.

Wyjmuję z Iwony zielonej, dziecięcej portmonetki. Kończą się nam. Daję. Ma zimną, trochę lepką dłoń.

Marcin, u którego mieszkamy, już wstał. Krząta się po podwórku.

Będziemy wracać. Będziemy?

Dzieci.

– Napijesz się herbaty?

– Napiję.

Robi. Siedzimy przy stole po Morozowskich. Najbogatszy dom we wsi był. Błat wyślizganej, maślanej powierzchni. Ślad noża, pilnika. Wyglaskane. Straciły swoją ostrość. Jadę po nich ręką. Spokój. W dotyku znajduję przyjemność.

– Zostawiam wam, one są dla mnie ważną kolekcją. Zostawię, one są ważne. Co myślisz? Szczerze.

– Zostaw, te obrazy w komórcie. Ale jak Wajrak weźmie szkołę, to nie będzie, gdzie dać.

Dobra, to te z komórki wezmę. Poproszę Andrzeja Hocza, żeby przywiózł.

Przyjaciół. Wszystko mam od przyjaciół. Wychowałem się w kulcie opowieści i poezji. Ale od czterdziestki mężczyzna nie powinien się zajmować wierszami. Tak sobie powiedziałem.

Obrazy. Ja jestem od obrazów niebezpiecznych. Jak ktoś nie musi, to niech nie maluje. To jest niebezpieczne dla takich jak ja. Dlatego z Helenką byliśmy wszędzie... Pokazałem jej las, pola, czytałem. Ale tylko dwa razy byliśmy razem na wystawie sztuki. Ja, który chodzę do wszystkich możliwych muzeów. Raczej chodziłem. Mógłbym tu żyć.

K.: „Brakuje nam inteligencji. Ale najbliższy uniwersytet jest w Białymstoku”.

Kto zapłaciłby moje rachunki? Wstaję. Ludzie się mijają. Żegnamy się. Kasia ma mocny uścisk. Stoimy w przedsionku.

– Jesteś silną, fascynującą kobietą.

Milczy. Wychodzę na ganek, który Paweł zrobił. Taki mieli moi dziadkowie na Syberii.

Milczenie. Wszystko minęło, wszyscy poumierali, a zostało wspomnienie, jak się dobrze siedziało na tych ławeczkach i piło herbatę. I wspomnienie o okrągłych piecach, za które wrzucało się tłustą szynką... Dziękuję wam bardzo.

– Jedźcie wolno... Paweł tupie. Wchodzi, siada w koszyku...

Leję piwo Marka.

– Wiecie, że mieszkała tu kiedyś Kozyra z tym Włochem, z Zamku Ujazdowskiego. Tylko mnie wtedy nie było. Siedzimy. Rozmawiamy. Trzy razy ręka Pawła wędruje na serce. Ładny gest. Rzymianina.

– Masz w nas, macie, przyjaciół, gdybyś cokolwiek. I imbirówkę.

– Jeszcze nie byłem w domu. Dziękuję wam.

Artur: – To było dla niego ważne, że ty podszedłeś do niego i mu podziękowałeś i podałeś rękę. Jemu, a nie nikomu innemu. A on nikt. A ty do niego. A potem Krzysiek ci podał rękę. Krzysiek nie jest taki łatwy. I nie podaje tak. On jest stąd. On najinteligentniejszy z nich. Nie mówił, że trzydzieści trzy lata tu żyje, ale przyjechał z rodzicami, rodzice byli robotnikami leśnymi z Mińska Mazowieckiego.

– Co robisz?

– Jakąś pracę znajdzie to tu, to tam, ale tak żyje z zasiłków. Jeden z młodych, ma tartak i dziewczynę w Hajnówce. I nie pije. Przynajmniej tu. Reszta pije. Przy sklepie. Zabierają im prawo jazdy na rower, bo na samochód już zabrali. Jak kto nie ma tysiąca złotych, bo to suma tu we wsi ogromna, to idzie siedzieć na pół roku. Jest tu więzienie w Hajnówce. Jeden akurat wrócił. Siedział pół roku.

Patrzyłem na te płaszcze. Ten Matki powiesiłem tam, gdzie czekała na autobus. Patrzyłem na nie, jak je malowałem.

Wolność. Ja już nie chcę żadnych cudzych pieniędzy. Wieszam za swoje pieniądze. I jestem wolny. To podstawowy warunek. Kasia: „Dlatego nie chcieliśmy pieniędzy z Unii”.

– Boli mnie ręka...

– Masz zły stół.

– Tak, okrągły.

Musi minąć. Musi. Ja muszę być silny. Ty nie. Ja. Mężczyzna. Ty, kobieta, możesz być słaba. Ten chester i ten chester. Artur kiwa głową. Patrzy na Amelię za płotem. Tak. Dlatego... A Nina po haskim. Ona ma dwa lata, kopie dziury. Nie zmażdżała jeszcze.

Jest mi tu dobrze. Zostałbym.

Część kolekcji wisi. Dobre kolekcje są małe.

Dwa rysunki, jeden obraz. Wystarczy. Tych trzynaście Chrystusików – liczba przeciwieństw – moich najbliższych Chrystusików, którymi sam się zachwyciłem. Pozostawię tu. Te Oka Opatrzności i święte dziury też. Od waginy zaczynając. Powiszę na domach, a potem je ktoś gdzieś rzuci. I te schowane po szopach, pustych domach, w stodole Winiarskich.

– Szukajcie – mówił Paweł do ludzi na ulicy.

Ja: – Nie szukajcie. Obrazy są nie na ilość. Co komu pisane, to go spotka. Trafi swój na swego. Nie szukajcie obrazów. Same się znajdą, jeśli są wam pisane. Nie my znajdujemy ikonę, to ikona znajduje nas. Dziękuję wam za zaufanie.

Stoję na ulicy. Tłum. Patrzy na mnie jasno uśmiechnięta Danuta Kuroniowa. Patrzy dobrze, serdecznie.

Las. Zalesione starostwa królewskie i puszcę mam w genach.

Stefana Balukiewicza zdjęcie powiesiłem. Na warsztatach. Wiozę Helenkę pod dęby, szczęśliwy. Potem Iwonkę i Olgę. Patrzymy. Cisza. Potęga. Opowieść, nie obrazy. Najważniejsza opowieść. Stodoła nad łóżkiem Winarskich. „Tylko uspię dzieci”. Dobry dom. Znają Czerwone Bagno. Leśniczówkę Grzędy.

Paweł: – Tam byliśmy w podróży poślubnej.

Iwona: – Jechaliście tam z Olgą o trzeciej w nocy na rowerze oglądać łosie.

Nie wierzę w precyzję fotografii. To jedna z wielu możliwości. Żaden realizm. Wierzę w precyzję oka. W najważniejszą podróż nie zabiorę aparatu. Rozmawiam z Arturem, Krzyskiem, Pawłem, Marcinem, Kasią, bez kamery i Marka. Gdyby był, nie byłoby tak, jak miało być. Prawdziwie. Wszyscy by udawali.

Obraz jest potrzebny dalej. Nie do końca wiem, dlaczego. Ale to, że nie wiem, przemawia na jego korzyść.

– Będziecie w Krakowie. Zajdźcie... Powitamy was najserdeczniej.

– Kiedyś będziemy. Kasia chciałaby bardzo pojechać w Tatry.

– Mamy dobre miejsce, stary dom Sztaudyngerów.

– My nie jeździmy, to do nas przyjeżdżają. Paweł, weź te obrazy. Rozdysponujesz według swojej woli. – Idę do pokoju, daję mu rulon.

Schodzi po schodach. Dobrze, bo nie wstanę.

Ranek. Artur Charytronow: – Nie wyspałeś się.

Nie. Ręce mi się trzępią, jak trzymam ołówek. Piszę na chałupie. Na moim obrazie. Jego teraz ulubionym, takim z toporem, od którego lecą promienie. Potem leczę na Frasobliwym. Arturowi Charytronowowi dziękując za... na pamiątkę spotkania, Piotr Jargusz, 9 czerwca 2012.

Zapadam w sen. Budzę się po raz pierwszy z odrętwienia w środku nocy. Iwonka obok. Zasnęliśmy. Drugi raz nad ranem. Śpiewają ptaki. Nie pozapominać wyrazów. Jakiś spokój, ta lukstorda w głowie stanęła. Odrętwienie i spokój. Cisza. Może szczęście. Przypominanie nie ma sensu. Opowieść ma się toczyć. Dzwonię do Kasi. Cztery razy nie odpowiada. Oddzwania.

- Przepraszam, że nie odbierałam. Byliśmy na polanie. Podobało mi się.
- Wszystko stało? Tak. I te flety. Jeden. I przyszli sąsiedzi, że oni też chcą jeden obraz na swój dom.

Ja. Swój. Viatoris. Życie to zdolność do upadania i podnoszenia się.

Rozdawanie. To, co dasz, uczyni cię bardziej bogatszym, niż to, co zachowasz w swoim posiadaniu. Mahomet... Jak nie masz co dać, daj dobre słowo. Jak nie możesz, nie dawaj złego. Daję.

Kolekcja dla Teremisek. Namalowałem z męką. To nie tak, że mówiłem Kasi, te dam, te wyrzucę. Te malowałem w trudnych warunkach. Ważne. Moje. Maluję po tatarsku. Robię swoje i idę dalej. Nie mam kącika artystyczno-erotycznego. Malowałem w historii życia, nawet w toalecie. To było w wojsku.

Wierzę w sprawczy byt obrazu. One się dla mnie stały. Zostają w głowie.

Ja lubię taką skrajność, jestem ortodoksyjny. Wierzę w trwanie tych obrazów. Obrazy w domach u ludzi we wsi. Abstrakcje prawie. Jakaś art brut.

- Indianin siedzący? – pyta Artur.
- Nie, Frasośliwy – mówię.

Chrystus Człowiek. Obraz potrzebuje cudzych oczu. To moja wiara w umiłowanie ciszy. Dobrze, że jestem spoza salonu. Że z dala od zgiełku.

Starożytna grecka waza. Patrzę na biegnących. Rekonstruuje jak Bornus-Szczyński. Gest. Dziwna wydaje się ręka podniesiona do góry, jakby cięła powietrze przed głową biegacza. Maluję. Zimno. Jest i noga do góry, dziwna. Patrz, genialny. Był mój rysownik przodek grecki. Lubił chodzić na stadion i patrzeć na nagie ciała mężczyzn wysmarowanych oliwą. To jest dziedzictwo starożytności. Doświadczenie ich oczu.

A więc dwie największe kolekcje. W Teremiskach – wsi Kasi i Pawła Winiarskich. I w Kamieńcu Podolskim. Na Ukrainie. A jednak.

Namalowałem dla nich. Chciałem, żeby pozostały. Nie, żeby pomyśleli: przyjechał profesorek z Krakowa, powiesił, podymił i wyjechał, i potem zdjęcie, dalej powiesi to samo. Rosja z wlepkami będzie też padarok. Za dużo tego materializmu wokół.

Mam w sobie spokój. Dla tego spokoju było warto. Pewność, że idę swoją drogą. Że nie omijam wszystkiego. Że coś znajduję. Spotkanie. Prawda. Najważniejsze. Dać sobie czas na spotkanie. Siedzę na stopieńkach nad Rudawą, patrzę na most. Mój granatowy rower leży. Lubię go. I cieszę się cieniem i szumem rzeki. Nie wody.

Dużo myślę o Teremiskach.

Przecież trafiłem tam przypadkiem przez Tatarów, którzy towarzyszyli mi od dzieciństwa. W nich też upatrywałem antenatów. Tych od Lanckorońskich i Zebrzydowskich. Przez czterdziestostopniowy upał i przez to, że Helenka – na wieść o naszych planach zjechania Słowacji i Czech – powiedziała z politowaniem: „Tato, jedźcie nad morze albo do lasu”.

Morze... Kwatery zajęte. Las. Myślę jaki. Esencjonalny. Puszcza Białowieska. I znajduję Budy. A potem ich. Pytam, co to za uniwersytet. – Gdzie? – A nie wiem... W tym samym sklepie... – odpowiada sprzedawczyni.

Czekałem na te pieśni żniwiarzy i poszliśmy do stodoły. Zachwycony siedziałem w środku. Patrzę, jak śpiewają. W przerwach dzieci dębą w nosie i ziewają dziewczyny. Naturalność porażająca. Zakochałem się w tym zwykłym. W tym jakimś prehistorycznym. Wysłałem im, Winiarskim i Danucie Kuroniowej, swoje prace. Odpowiedzieli po długim czasie. Podziękowali.

Potem pomyślałem, a może by pokazać... Wiedziałem, że to zrobię, tak jak wiedziałem, że kiedyś pojedę na Syberię. Tajemnicą pozostawało tylko jak. I zrobiło się. Do czego zaprowadzi mnie teraz droga z Teremisek? Ciekawość.

„Najlepszym ekwiwalentem słowa viatoris jest rosyjski strannik – osoba wędrująca, poszukująca, mająca nadzieję, że zaspokoi swój duchowy głód”, pisze Anżela Kajumowa.

Strannik. Sen. Jakieś wyrzuty, SS, jakaś cerkiew. Uczucie przybierającej fali płaczu. Dlaczego, przed czym, nie pamiętam.

Przeglądam zdjęcia z Ukrainy. Trzy tysiące. Ukraina dla mnie ogniskowa. Wielka lupa. Radości, przyjaźni, zachwyty. Namiastka raj. Awers lęku, myśli o śmierci też. Najpierw trzeba coś przeżyć. Miejsce rozrachunku mojej ciekawości. Wypatrywania u innych i u siebie poczucia wspólnoty losu.

Dlatego błądzimy w labiryncie targu. Cały Kamieniec Podolski. Hałdy ubrań, jedzenie, przestrzenie zapachów, smrodu. Przemieszane. Zwierzęta do jedzenia i gła-

skania, na kołnierz i sadło. Do wyboru niedźwiedź, borsuk, wydra, króliki, koty, psy, ptaki, ryby.

Grzeję się. Helenką, Samulewiczem, Iną, Saszą, Swietłaną, Viką, Oleksandrem, Biskupem, Borysem i wszystkimi spoza kadru. Ja, strannik. Nowe rozdanie. Ta moja znaleziona nowa, ważna wspólnotowość. I moja nadodpowiedzialność za obraz, opowieść, pamięć. Swoją przede wszystkim, nie cudzą. Jaka będzie dalsza część po Rosji? Jak tam będą wlepki, to w Brukseli czy Berlinie będzie o niezauważalnych zmianach.

O kamieniu, który wrzucony do rzeki zmienia bieg jej nurtu, o usypanej górze, która zasłania kawał, nad którym swobodniej wiał wiatr.

Strannik i jego ślady. Wiem, że teraz czas, że moja opowieść ma mieć inną melodię. Używać innego języka. A potem oniemieć, zaniemówić. Dla niemych. Niemców.

Zmienić kolej rzeczy. Oszukać przeznaczenie. A po drodze Ukraina. Wielka lupa. Starożytność. Temperatura uczuć wyższa i jakiś szczególny czas. Miłość, przyjaźń. Prawiek i wszystko w jednym. Esencjonalna wrażliwość.

Cyprian Kamil Norwid w *Pielgrzymie*: „Wy myślicie, że i ja nie Pan, Dlatego że dom mój ruchomy, Z wielbłądziej skóry”. Ale ładne. Albo to, gdy Anioł Gabriel przemawia do Cyda: „Ruszał śmiało w drogę, zacny rycerzu, i nie trwój się, wszystko dobrze się zakończy”. Jestem zacny?

Rosja. Przestrzeń, która mnie wciąga. Dziedzictwo moje. Tylko moje? Też. Patrzę na blok. Czy stanę się świadkiem jakiegoś wydarzenia? Jakiejś wielkiej, erotycznej sceny? I widzę dziewczynę przy komputerze, staruszka wyciągającego z pudełek pastylki, młodych na łóżku. Mały realizm. Ukrywa stany wzniosłe. Myślę wtedy...

Ukraińcom oscypki, kawy, Inie – kokosową, Vice – Irish, Borysowi, Denisowi, Igorowi – whisky, Natalii Klapeturze zrobię wódkę. Na jutro. Naszą imbirówkę z grafiką. Denis daje mi pakiet. Znów cztery wódki. Umieją się zachować.

Patrzą mi w głęb duszy. To nie o wódkę chodzi. Ale o takie wschodnie przygaranie. Mit? Nie. Miałem to w domu.

Działalność w roku akademickim 2011/2012. Realizacja projektu malarskiego Viatoris... Napisałem.

Przecucie. To wszystko zginie... Co tam rzeczy. Obrazy jak ludzie. Ile świat zna takich dziur, które wszystko pochłonęły? Całe cywilizacje zniknęły. Bezbronność. Też cecha.

Syberia. Całe pokolenia zesłanych. Po powstaniach, a potem w 1937, potem 1941 i jeszcze trzy do 1953... Kolejne wtajemniczenia. W to, co jest poza widocznym. Nie ogarniam. Wiem. Jakies zapisane strzępy sprzed trzydziestu lat. Co zobaczę? Przekaz pokoleniowy. Mój sposób na ciągłość kultury. Dlatego wszyscy, cała rodzina, jedziemy.

Bez zajechnia się i zajechnia tam nie przekażę mojego dziedzictwa. Jestem jedyny, który to może zrobić. Na co – nie wiem. Jak to nie podziela, nic nie podziela. Ale wiem, że tak trzeba. I rodziny moich córek będą już inne. Jakie? Nie wiem. Różne. Zobaczymy. Żeby były szczęśliwe.

Życie jest nie do ujarzżenia, mimo naszych chęci. Nie wszystko zależy od nas.

Ściskając rękę Lecha Majewskiego, powiedziałem, że jest dla mnie ważny od czasu swojego *Rycerza* i że mu dziękuję. Impuls. Człowiek jest dla drugiego człowieka przede wszystkim bratem i dłużnikiem. Maluję mu rycerza. W moim kamieniołomie naprzeciw Janowca. Żar. Leje się z nieba. Dałem mu. Co z nim robi. Może mu zmoknie, bo leje, i wyrzuci. Gdybym był Bruegłem. Rano, idę do Rynku na targ. Po kwiaty dla Olgi.

Kazimierz Dolny. Czy zgubiłem w lesie, chodząc za grzybami, otwieracz po wujku Ziućku z napisem: „Gablenz”? Zapewne wałbrzysko-świdnicki. Poniemiecki. Czy nie zgubiłem? Święty Antoni... A jednak. W lesie za Cholewiskami, wiążąc nóż, zgubiłem otwieracz. Otwieracz do kapsli wujka Ziućka. Znalazł swoje miejsce spoczynku. Jego właściciele lubili las. Wujek lubił chodzić po lesie. Tym sposobem otwieracz znalazł sobie dobre miejsce.

Rano jadę. A to do Męcierz. Posiedzę nad brzegiem Wisły. A to do Wilkowa. Popatrzeć na kościół. Mój. Patrzydełko. Smutno.

Co możemy sobie ofiarować? Normalność.

Od Stanisława Roli-Stężyckiego ze Stężycy lampka pod ikony. Na drugi dzień przynosi mi materiały po Zygmuncie Bartkiewiczu, bracie dziadka Blanki. Bardzo tu go wszyscy poważają. Ma nawet w swojej Wąwolnicy ulicę swego imienia.

Lublin. Trzydzieści dziewięć stopni. Malarz. Prawdziwy. Przeklejam. Rodzina...

„Bartkiewicz Zygmunt Kazimierz (1897–1987), malarz. Urodzony w Wąwolnicy (były powiat Puławy), w rodzinie o tradycjach powstańczo-niepodległościowych. Jego dziadek, Mikołaj Wasilewicz, był weteranem z 1863 roku i zesłańcem na Syberię; ojciec Franciszek (zm. 1915), blisko związany z ruchem socjalistycznym, był nauczycielem; najstarszy brat Edward też uczestniczył w walce konspiracyjnej z rosyjskim zaborcą”.

To ci od Daniela starosty kowalskiego z województwa wileńskiego i Jacentego Bartkiewicza, który zginął za Kościuszki w bitwie pod Maciejowicami.

Dzwonię do Aliny do Moskwy. A jakże, nic nie płacimy. Ich uczelnia zapłaci. Wdzięczność, że Rosjanie są Rosjanami.

Kurtka za trzydzieści siedem złotych w taniej odzieży. Na sybirski deszcz. Zawsze można wyrzucić.

Piotr Paradowski: „W czasach, kiedy się wspinałem po górach, stawałem i rozmawiałem ze ścianą. I trzeba było jej uczciwie powiedzieć, dlaczego, w jakim celu chce się na nią wspiąć. Głodziłem ją i modliłem się do niej...”.

Antek P.: „Kładę się na scenie, dotykam wszystkimi członkami i wiem. Znam cię, jaka jesteś, mówię jej. Jesteś już moja. Jak Krzysiek Globisz. Staje przed kurtyną przed rzędami foteli i modli się do niej... A jest człowiekiem głęboko wierzącym...”.

Ładni oni.

Obiad idzie... Idę. Mili.

Jeszcze Piotr o Erwinie Axerze, swoim mistrzu, zmarłym w niedzielę w wie-

ku dziewięćdziesięciu pięciu lat: „Ten jego Teatr Współczesny przy Mokotowskiej 13 w Warszawie, miniaturowy, maleńki, ale przychodzili tam wszyscy liczący się. I rozmawiali poważnie, ale ze szczególnym rodzajem ironii. Axer narzucał pułap. Tak, to był człowiek wyjątkowy. Kultury i przyjazności. Jak miałem jakiś problem, dzwoniłem. Umawialiśmy się. Nie w kawiarni, ale gdzieś na scenie... W kąciuku”.

Talica.

Od kolan swojej ciotki Szumskiej, guwernantki u Koziół-Poklewskich, krytyk filmowy Tadeusz Sobolewski zaczyna rozważanie o przeszłości. Píše w „Gazecie Wyborczej”: „Jadę do Jekaterynburga, na Ural, bo to moje rodzinne strony (dorabiam sobie tę syberyjską legendę, ale coś w tym jest). W czasach gorączki złota, która zaczęła się tu wcześniej niż w Ameryce, Jekaterynburg był stolicą «uralskiej Kalifornii». Dachy kupieckich pałaców malowano na zielono sproszkowanym malachitem – taki styl. W pałacu Rastorgujewów-Charitonowów przyjęcie weselne – opowiadają – trwało cały rok. Ponadmilionowy Jekaterynburg, trzecie miasto Rosji, niedaleko Permu. Choć niedaleko może tu wynosić 500 kilometrów. A pod Permem, w miasteczku Talica, miał swój pałac Alfons Koziół-Poklewski, Polak w służbie carskiej, który stworzył w Syberii Zachodniej parową flotę rzeczną i budował linie kolejowe. Pod koniec XIX wieku nazywali go «małym polskim królem» albo «wódczanym królem Uralu», bo miał monopol na gorzelnie. Hojnie wspomagał zesłańców i Polaków z kraju”.

Las rzeczy. Opowiadania miały siłę sprawczą. Dzięki nim urodziłem się znacznie wcześniej. Stały się skrzydłami i garbem. Winne były podróżom. Dalej. Sprawdziałem tam swoją zdolność wtapiania się. Empatii.

Jestem Zeligiem? A może przepowiadaczem szukającym duszy. A może usiłowałem sobie opowiedzieć, co jest istotą mojej kultury. W moim domu między Wschodem i Zachodem. To pytanie o tożsamość domową. O jej moje prywatne rozdanie.

Cudze opowieści zawsze mnie fascynowały. Tworzywo. I malarz wobec nich ze swoją ciszą. Kim jest? Jest przecież przepowiadaczem ludzkich dziejów. Jest obrażnikiem do przenoszenia Obrazów.

OPOWIADANIE BABCI HELENY. ZYBERIA

moja przenajświętsza babcia
siedzę na jej kolanach
a ona mi opowiada
wszechświat
od piątku
do niedzieli
zasłuchany
wiem wszystko –
– co od niej
Zbigniew Herbert

Ja pamiętam, jak dzieckiem byłam, jeszcze w Talicy u nas były wielkie śniegi – na metry, a tam na Litwie, gdzie rodzina, pisali, że już orzą. To my się dziwili... Jeszcze śniegi u nas były... Taki żurek matka zawsze gotowała, na żurku białą kiełbasę... kapustę kiszoną... – No, jedz, bo zimne będzie... To jeszcze przed rewolucją, 1905, pamiętam, transporty w pociągach, które stały na stacji Poklewskiej, młodych ludzi, których wieszano koło Tiumeni. Wtedy powiesili mojego kuzyna Drelinga. Syna brata mojej mamy. Ojciec potem, po jego śmierci, wkrótce sam zmarł... Miał szesnaście lat, gdy go powiesili. Był jedynakiem. Oni mieszkali na Litwie... Same młode twarze, jedna przy drugiej. I te małe okienka zakratowane. Podobno zginęło wtedy siedemdziesiąt tysięcy, kwiat młodzieży. Mówię ci, coś strasznego. Zdarzało się, że kilku uciekło, były na nich nagonki. Ludziom ogłaszano, że za znalezienie bandyty jest nagroda. To chłopci po lasach łapali. Jak nie wojsko, to chłopci.

Święta uroczyście obchodziliśmy. Mój ojciec pod serwetę kładł siano ze stajni. Wszyscy byli. Potraw było dziesięć. Cztery różne karpie. Kutia. Ojciec lubił śliżyki, piel-mienie, kołduny, które też robiliśmy tak na co dzień.

Jak byłam mała, to dostałam zapalenia mózgu. Polak lekarz mnie leczył. Okładali lodem głowę. Ja to pamiętam. Miałam dwa albo trzy lata. Nie wiedzieli, czy będę żyła. Na zapalenie opon mózgowych. Od ukąszenia komara.

Ja bym nigdy na złą drogę nie poszła. To nie ze mną. Ja się szanowałam. W Talicy było siedemdziesięciu Polaków. Ja jedna Polka. Ty sobie wyobrażasz? To się do mnie zalecali... Dziadek twój był kulturalny. Czarny... Miał takie rumieńce. Rosjanom się podobał. Nigdy nie rób wymówek. Ja dziadkowi nie robiłam. Jak się przeprowadził do nas po ślubie, miał tylko pół kuferka listów od Rosjanek. I parę z domu. Z Krakowa. Potem je spalił. Takiej dobranej pary jak my... Mało się zdarza... Bo wiesz, Piotrusiu, jak mówił mój wujek Konstanty Balukiewicz? „Pocałunek jest zapytaniem, czy partner jest wolny”... Ty myślisz, że ja z dziadkiem się nie całowałam. Wiesz, powiem ci, że charakter kobiety jest niezbadany. Ja jeszcze dwa lata przed ślubem mówiłam, że to nieprawda. Bo jeszcze chciałam mieć w zapasie kogoś. Ale ja nie miałam czasu. Wierzysz w miłość? Jak nas wzięli bolszewicy pod Władywostokiem... W Żłobinie my byli... Taka wieś Co jeden oddział przyszedł: „Polak do komendy”. A ja wszędzie z mężem. To był spokój?! Nie wiadomo, czy do jutra będzie żył. To, Piotrusiu, nie da się opisać. Nie da się opowiedzieć. Ale przeżyliśmy. Ojca aresztowali bolszewicy. To ja zawsze z nim. Ja go samego nie zostawiałam. Twój dziadek nie mówił dobrze po rosyjsku. Wojennopleny był.

Cała rodzina chodziła na polowania. Zajęcy nikt nie brał. Rosjanie nie jedli mięsa zajęcy. Przeważnie Polacy. Leżały całe stopy po polowaniach. Kiedyś w nocy z bratem Stefanem na wilki pojechaliśmy... U Poklewskiego był myśliwy Malkiewicz. To nie leśniczy, tylko myśliwy Poklewskiego. Zastrzelili go kłusownicy... Tam, u nas, na Syberii, rosły takie ogromne drzewa. Kiedry, czyli cedry. Nie? I miały takie szyszki, a w szyszkach były takie drobne nasiona. To wiesz, moja mama dawała je do mazurków, do ciast... Mielili czeremchę. No, bo do placka dawali. Bardzo dobra czeremcha. Gotowało się w różnych miedzianych garnkach, glinianych. Były dwa samowary. Tam by nikt nie pił herbaty z czajnika. Nie smakowałyby.

W maju w pokoju dekorowało się, był wtedy cały w kwiatkach. I przyjeżdżali Polacy. Do nas. I modlili się, to tak co dwa dni. Prawie cały maj. Jak chcieli coś do jedzenia, to ziemniaki z kwaśnym mlekiem. To mama miała co do roboty. A tak, to szła do lasu, zbierała szyszki, bo było dużo – do palenia. Grzyby. Ojciec mój to raczej na polowania. Chyba że chciał się przejeść. Jak przyszedł z pracy. Zarządzał młynem, tartakiem Poklewskiego. To po obiedzie zajmował się czymś. Majsterkował. To strugał kolby do swoich strzelb. Były u nas trzy strzelby. Nie pasowały mu czasami... Haftował na torbach myśliwskich.

Wieczorem śpiewaliśmy pieśni. Wszyscy: „Serdeczna Matko, Opiekunko ludzi, niech Cię płacz sierot do litości wzbudzi”... Jak potem były te łuny i komety, to miałam trzynaście lat. Bałam się. Ojciec musiał zamykać okiennice. Dobrze było za ojca. Jak umarł, miałam szesnaście lat. Przerwałam naukę. Musiałam iść do pracy. Byłam sekretarką. Za cara też dobrze było.

Tak. Jeździłam na Litwę. Nie pamiętam. Miałam dziesięć lat. Wiem że był dom,

orzech i staw. Jechaliśmy z Syberii, od nas, wiem, że dziesięć dni. Jechaliśmy pociągiem. Nikt nie nosił bagaży. Był nosilszczyk, który brał bagaże i zanosił do jaszczika. Pamiętam hotel w Petersburgu. I stację kolejową. Dwór. To już nie pamiętam. Wiem tylko, że tam byłam. Na dworcu czaj sprzedawali. I pierogi. A z dworca fiakrem... Jedzenie. Chleb, kiełbasy mama sama robiła. Do kiełbasy kolendrę dodawała. Mleko było. Dwie krowy. Kto doił? Mama doiła. Wszystko było, Pietrusiu, dobre czasy.

Do Talicy było niedaleko od nas. Tyle, co na Zakrzówek. A do Jekaterynburga ze Skorodumy to trzysta kilometrów. Jeździło się... Byli jamszcziki, którzy przewozili ludzi. Zakładali, jak kto chciał, bo nie każdy chciał, janczary, to było słyhać na kilka kilometrów. Jak kto chciał, to trójkę, jak nie, to dwójkę albo jednego konia. To słyszeliśmy z daleka dzwoneczki. Bo brat zawsze z pompą zajeżdżał. Na święta. Ojciec sobie życzył wszystkich. O... to mówili: „O, Stefan jedzie”.

Obok domu był staw na parę kilometrów i młyn. W Skorodumie spędziłam dzieciństwo. Majówki... O, to było większe towarzystwo, wybierało się, wybierali polanę w lesie... Był rybak, który zarzucał sieć. I wędziło się ryby. O, rozkładało się całe obozowisko. Wkoło. To i wódka była. Obok naszego domu, tam w Skorodumie, była wędzarnia. Taki dwupiętrowy budynek. U góry wisiały szynki. A paliło się jałowcowym drzewem. Jałowcem. Jartarka co to było? To kilometr dalej, taka ani wieś, ani miasto. Jamszcziki, wiesz, mieli zaprzęgi, w których ta ducha była i dzwoneczki. Nazywali kołokolcziki. Jak koń biegł, to pięknie dzwoniło.

Było, było... Jedzenie trzymało się „w podpolu”. Była to kłapa w podłodze do piwnicy i takie schodki. I schodziło się do piwniczki. I tam było zamurowane. I półki były. I wszystko było. Kozaków nie było. Tylko Tatarzy. W tych czapkach. Jak my nazywali jarmułki. Czasem zaglądali Kozacy, ale głównie przyjeżdżali Tatarzy do młyna. Ubrani... W tych swoich długich strojach. To koczowniczy naród. Na koniach. Z wożami. Chińczycy przychodzili. Tacy domokrażcy. Wszystko rozkładali. Surowe jedwabie. Nawet jak nie chciałeś, to rozkładali. I zawsze coś ci się spodobało. I musiałeś kupić. Pamiętam połykaczy ognia, noży. W cyrku.

A wiesz, był Węgier w Talicy, kupiec elegancki, ale jak nie kupiłeś u niego, to cię przeklął. O wojnie rosyjsko-japońskiej słyszałam od ojca. Miał iść na nią. Te monety chińskie dostał od kolegi wojskowego. I sygnet. I ktoś go ukradł.

Polacy byli. My jeździliśmy raczej do Rosjan, bo Polacy to przeważnie starzy kawalerowie. Do nich nie było po co jeździć. Raczej do Rosjan.

Moja matka dobry człowiek był. Mój mąż ją bardzo kochał, mówił, że woli ją od swojej matki. Przecież szesnaście lat miał, jak poszedł do Legionów. Ojca mojego szanowali. Szanowali nawet Rosjanie. To dobry człowiek. W Talicy nie było wojska, tylko urzędy i policja. Kino było nieme. To zaprzęgało się konia do bryczki i jechało do Talicy, do kina. Pamiętam taki film o Titaniku. Jak się topił największy okręt świata. Dobre były czasy. W złym czasie się urodziłeś. A potem przyszła rewolucja. O, to cięż-

ko było. Niepewny czas. Mieszkaliśmy już w Talicy. W dwupiętrowym domu. Z całym urzędzeniem. Wynajmowaliśmy. Co my z mężem się zaczadzili na gorze, czadem z samowara. Mąż później był u pułkownika Czumy. Moi bracia, Józef i Stefan, też tam byli. Na ochotnika wstąpili wszyscy. Przez całą Rosję front był. Mąż wybrał sobie Auto-Cadre pułkownika Rumszy. Ale to była paskudna wojna. Polacy też swoje warci... Niby mieli rację, bo żołnierz szedł po siano dla koni do wsi, to Rosjanie nie dali mu, ale zabili. Polacy całą wieś spalili, a dobytek na tandetę. I sprzedali.

Ojciec mój sprowadzał „Kurier” z Warszawy. Nie lubił warszawiaków.

Księgarnia była w Talicy. Co by nie! Polskie książki? To już nie pamiętam. Była u nas taka z obrazkami: książę Józef Poniatowski tonie w Elsterze... Mężczyzna powinien mieć charakter. Bo bez charakteru to jest nic. Szmata.

Były zdjęcia, ale jak pojechaliśmy, jak nam rozebrali wszystko. Nie mam nic. Ani zdjęcia. Ani nic. Mam wstręt do carów. Męża dowódca z Drugiego Pułku Piechoty Brygady Legionów, pułkownik Zieliński, co leży na Rakowicach, bardzo był dzielny podobno. Ojciec opowiadał, że jak zabili pod nim jednego konia, to kazał dać sobie drugiego. Mąż walczył w wielu bitwach. W Legionach. Opowiadał. Ale już tak nic nie pamiętam...

Dziadkowi wąsy zamarzały. Miał sople na wąsach, jak przychodził z pola, to ściągał łód. O, tak. Tam były pięćdziesięciostopniowe mrozy na Syberii. Splunąłeś, to ślina w powietrzu zamarzała. Mój ojciec, pamiętam może miałam osiem lat, zachorował na zapalenie mięśnia sercowego. Miał duszności. Czy pił? Tylko jeden kieliszek. Lekarz zabronił.

Ojciec polował. Na głuszce. Ale też nie miał czasu, czasem się wyrwał. W czasie toków to można głuszca podejść. Na parę kroków. Czasem śni mi się mój ojciec. Dom. Człowiek pamięta dzieciństwo. A to, co parę lat temu zapomina. Starość, Piotrusiu. Takie okiennicy byli u nas. Mój ojciec nie lubił okiennic. Nigdy nie pozwalał ich zamykać. Nie lubił ciemności. Tak jak ja. Pamiętam z mężem płynęliśmy Topielcem na borówki, po Jenisieju. Organizowali takie wycieczki. Co by nie. Ludzie mówili, że zatonął i dwanaście osób utopił. Ale oni dali taki statek. Potem na rzece krzyczeli: „Trzymać się, bo może się wywrócić”.

Wiesz, Piotrusiu, ja bym nigdy nie wyjechała za granicę. Wiem, ale też mieszkaliśmy na obczyźnie. Nie było nam tam źle, ale nie tęskniłam, jak z mężem wróciłam. Mimo że rodzina tam została. Tam mieliśmy wynajęty dom. Przed tym mieszkaliśmy w domu Poklewskiego, tam było całe wyposażenie. Potem w Talicy.

U Rosjan na Wielkanoc ludzie chodzą na cmentarz. Zanosili jedzenie na groby. Biedni potem przychodzili i jedli. W nocy. W zimie w miasteczku robili taką górę lodową. Katuszkę. Z której zjeżdżali na sankach. Lali wodę. Duża była. Byli też tam tacy starowiercy, którzy całe życie pili z jednego garnka. Dla nich grzech by był wziąć inny garnek... Z ojcem to na wszystkie polowania chodziłam. Brał mnie.

Był bardzo lubiany, gościnny, polował.
Mój pradziadek Józef.





Irena: „Babcia była twarda. Teraz płacze. Ale jak dziadek umarł, to nawet ani jednej łzy nie uroniła. Taka natura twarda. Żle takiemu człowiekowi, który wszystko dusi w sobie”.

To jak Mickiewicz spotkał się z Puszkinem na Litwie, to mi moja mama opowiadała: Puszkina mówi: „Tuz bijot rezworaciwaj”, a Mickiewicz na to: „Kozymaja dwójka i tuza bijot”... Tam przy tej drodze, gdzie się spotkali, był krzyż na pamiątkę. Ostatnie słowa mojego ojca to: „Nie ma mnie już”. I pamiętam umarł z głodu, na raka żołądka... A męża: „Umieram, nie martwcie się”.

Rodzice moi opowiadali o powstaniu styczniowym. Ja się nie interesowałam. Słyszałam o Skirmuncie. Leśnik, Klet Korewa Skirmunt, jako jeden z pierwszych w kowieńskim poszedł do powstania, zimą. Złapali. Powiesili. Znałam z opowiadań swoich rodziców. O Borejce słyszałam. Ten, co upijał przejeżdżających drogą, siedząc w kapliczce. O Jurgieliszkach-Warzeliszkach – majątku Balukiewiczów. Od 1740 roku. Jak ojciec z mamą rozmawiał o Owancie, o Malatach, o Lelunach, o Ucianie... Herb był. O, coś takiego... Mnie się wydaje, że ta pieczętka była jeszcze w Krakowie.

Mama opowiadała, że urodziła się w czasie powstania styczniowego i że jak wracali z chrztu, z kościoła do domu, to ją zgubili! Wypadła z sanek. Musiało być towarzystwo. Popili. I zgubili. I wracali po nią, a obok dziecka przebiegały wilki. To była zima. Droga przez las. Tak opowiadała. Tam były lasy. Puszcza ogromna. Jej ojciec poszedł do powstania potem. Szlachta była. Odwiedzali się. Żyli z sobą. Opowiadała, że jak jakimś kucharzowi psy zjadły zającą, to złapał kota... i potem dał gościom... Opowiadali o powstańcu księdzu Konarskim. O tym, co szedł, myląc pogoń, z butami odwrótnie ubranymi, w zimie. Mojego dziadka, Józefa Balukiewicza, jak złapano w powstaniu, to Rosjanie tak go zbili nahażkami, że połamali mu żebra... I za koniem osiemdziesiąt kilometrów go prowadzili. W zimie. Gdy naczelnik go zobaczył na przesłuchaniu, a mięso było widać, bo żebra przebiły skórę, to powiedział, to mi mój ojciec mówił: „Dlaczego on jeszcze nie umarł?”.

Też miał na imię Józef. Mój dziadek, mój ojciec – wszyscy mieli na imię Józef. To ojciec był wychowany w nienawiści do Rosjan. Ojciec był rządcą u Poklewskiego. Milionera. Gorzelnie, kopalnie złota, diamentów, azbestu miał. Przemysł gorzelniczy, cała flota zachodniej Syberii. U Poklewskiego było wielu Polaków. Z czasem coraz mniej. Nie tworzyli skupisk. Jak ojciec żył, mieszkaliśmy w Skorodumie... Nie wiedzieli, jak nazwać. To nazwali „Szybkomysł”. Niedaleko Jartarki... Dwa kilometry. I niedaleko Talicy. Dom duży był. Ganeczek miał, z ławeczkami. Cztery pokoje ogromne. Piece okrągłe tam. Dwie kuchnie były. Okna z okiennicami. Widać było z nich stajnię, las, staw, młyn. Mama przed domem kwiatki miała. A piece były wysokie, obite blachą. Jak byłam mała, to tam wrzucałam tłustą szynkę. Jak ojciec to zobaczył, to bardzo był zły.

Palilo się drzewem. Tak. Ojciec miał swój pokój. Nad jego łóżkiem dwie strzelby wisiały, tak skrzyżowane. Rogi, ogony cietrzewi. Takie rozłożone. Ojciec lubił polowa-

nie. Miał swój róg myśliwski. Na polowanie cała nasza rodzina się zbierała, a było, Piotrusiu, gdzie polować. Wujek Konstanty, pamiętam go, wesoły taki... Ojciec miał pięciu braci, Konstantego, Alfonsa... Trzymaliśmy dwa legawce, wyżyły. Ale kiedyś uciekły. Zagryzły trzydzieści owiec. I ojciec musiał zastrzelić. Był sąd. Ojciec wybierał tylko te, które miały na brodawce pod pyskiem trzy włoski. To jakiś stary myśliwski zwyczaj litewski. Mówili, że mądre. A innych pozbywali się. Jeden nazywał się Ralf.

Ojciec był bardzo lubiany. Gościnny. Tak jak twoja mama. Nawet Rosjanie go lubili. Był bardzo szanowany. Radzili się. Przychodzili do niego, nawet w osobistych sprawach. Był posłem do Dumy. My nauczyciela mieliśmy do polskiego. Mój ojciec powiedział: „Wolę trupa widzieć, niż by które z was wyszło czy ożeniło się z Moskałem”. Dla moich braci trzymał strzelby i konie. Stefan miał klacz. Wielu ją chciało kupić. Była piękna. On często jeździł konno. Czy zaprzęgiem. Ojciec to raczej bryczką do miasta na zakupy. Głowy cukru się wtedy kupowało. W dobudówce, tam Stiepan, parobek, był. Sanie też mieliśmy. Sanie obijaliśmy dywanami. Do Talicy, kilka godzin było bezdrożem. Tylko wsie tatarskie. A tak łąki i lasy. Raz w zimie ojca między zaspami śniegu Tatarzy napadli. Jechał saniami, a tu trzej na koniach. Jeden do konia i zatrzymuje sanie... Wtedy ojciec wyciągnął strzelbę... wymierzył... I przestraszyli się. I uciekli.

Zawsze nosił nagan z sobą. Do monety w powietrzu potrafił trafić. Do butelek strzelał dla wprawy. Już w październiku zamarzał Jenisej. A pękały lody w kwietniu. A psy cały czas na polu. Cały czas to nie – puścili na noc psy do mieszkania... Ja to jak chłopak się wychowałam. Z braćmi na polowania, jak nie z braćmi, to z ojcem. Strzelałam. Na koniu jeździłam. Po drzewach łąziłam. Sieć pożyczalam od rybaka i ryby łowiłam w stawie. Śrutem do gołębi z ganku strzelałam... Gdy miałam trzynaście lat, mama zabrała mnie do Tiumeni. Do bierzmowania. Raz na kilka lat przyjeżdżał biskup polski, by odprawić nabożeństwo... Biskup Ceplak... Kazanie patriotyczne było. Wielu Polaków. To płakali... A dzwony tak biły, że cegły zmurszałe leciały na dół. Potem proces miał za to kazanie. Skazali go później za to. Stefan, brat, był zdolnym kreślارzem w ministerstwie. Pracował w Permie. Do Eskimosów podróżował... Wtedy strój eskimoski sobie przywiózł. Ale na święta zawsze wszyscy wracali do domu. Jak drugi mój brat, Józef, dwadzieścia osiem lat miał, musiał stawić się do wojska. To aż do guberni kowieńskiej jechał. Przydzielili go do lejbgwardii. To wyborowe wojsko było. Byle kogo nie brali. Musieli być przystojni, dobrze zbudowani... Bracia byli czarni, bruneci. Mąż też.

I dano mu stopień oficerski, ale on oświadczył, że chce zacząć służbę od stopnia szeregowca... Służył krótko. Był chory na serce. Brat Józef był głównym buchalterem w fabryce futer Ubriumowa. Niedaleko stacji kolejowej Poklewska. Poklewski proponował im pracę, ale nie chcieli się uzależniać od niego.

Jak ojciec zmarł, to na Litwie został majątek po ciotce matki mojej. Ta była bogata. Folwark. Dwór. Ale miała tylko wychowanka. On dorósł, ożenił się. Miał dzieci.

A ona znikła. I chłop orzący ziemię wiosną wybrał jej ciało. Dochodzenie było. Kto zabił? Ktoś widział tego wychowanka, jak nocą coś wiózł. Podejrzenie było na niego, że to on... Nazywała się Frąckiewicz, a moja matka była jedyną spadkobierczynią. Wychowanka zamknęli. Ale nie było głowy wtedy dochodzić. I kto by tam jechał... Rozprawę przerwano. Na Litwie był biskup Frąckiewicz, zesłany do Wiatki, o którym mówili, że częściej poluje z psami, niż się modli. Ale lubili go.

Ojciec mój był wielkim patriotą. Mąż też. To do nas przyjeżdżali z pięćdziesięciu, stu, trzystu kilometrów. W gościnę. Polacy wiesz... Wielu się wstydziło, że są Polakami. Józsi bracia, Zdepczyńscy z Warszawy, to już tylko po rusku. Ani byś powiedział, że Polak.

Czasem na święta do nas ojciec zapraszał Iwana Stiepanowicza – żandarma z fabryki szkła Poklewskiego. W Jartarce. Z córką i z żoną. Trzej ogromni Rosjanie: Uchow, Żukow i Truchanow, co ich za poglądy stale prześladowali, też do nas przyjeżdżali... Pamiętam jak śpiewali, to ich stale zamykali.

Sonce wschodit i zachodit
A w tjurmie mojej ciemno
Dniu i noczu czasawyje
Stieriegit moi okno
Kak chotitie
Strieriegitie
Ja ne ubiegu
Mnie i chocietsja na woliu
No ja cep rwat
Ne mogu

Uchow ożenił się z córką Iwana Stiepanowicza. Byli zachwyceni świętami u nas. Oni nie znają takich. Raz to w karnawale oni przyjechali saniami, a że obowiązywały maski, które po północy wszyscy zdejmowali, to przebrali się w stroje gimnastyków. Takie w pasy. Nikt ich nie mógł poznać. Ile było śmiechu później. Przychodził stary myśliwy Poklewskiego. Obowiązywał frak u nas. Ojciec na co dzień nosił ciemny surdut z długimi połami. I dewizką.

Karnawał to był do Trzech Króli. Bawili się. Nie to, co teraz. Bale u jednych, u drugich. Wzajemnie do siebie zapraszano... W osobnym pokoju u nas były potrawy. Mięso i cietrzewie, całe głuszce, dziczyzna. Ciasta, napoje. Była też szafa grająca na metalowe płyty. Taniec prowadził stary Polak, elegancki. Bisikirski. Stary kawaler. Zesłaniec. Bardzo wytworny. Był wodzirejem. Polonez, kadryl, walc poduszkowy... Wiesz, co to jest? Mężczyzna podchodził do kobiety, będącej w kole, i prosząc o taniec, klękał przed nią. Ja też tańczyłam. A co bym nie tańczyła. Młoda byłam przecież. Ale tam na zabawy panienki chodziły z matkami. Matki rozmawiały w jednym pokoju, a młodzi bawili się w drugim... I nikomu to nie przeszkadzało. Przychodzili Szczukowie, cała rodzina. Cały zaścianek Szczuków po powstaniu skazano na osiedlenie na Syberii.

Stiepan odwoził mnie końmi do szkoły w Jartarce. Ulice były szerokie. Na wystawach złoto. Tam by nikt nie chciał złotych monet, bo można było zgubić. Tanie było.

Byłam w szkole jedyną Polką. Brązowa sukienka i czarny fartuszek. A od święta biały fartuszek. Obowiązywał wiersz o Susaninie, który opisywał wyprawę Polaków, którzy chcieli zabić cara. Ale ich przewodnik Rosjanin tak prowadził, że pobłądzili... Zabili go... Wrogo byli do Polaków nastawieni... „My grzęźniem i toniem w zaspach śniegu, wołali wrogowie”. Tak się zaczyna. Uczyłam się dobrze. Z ojcem do Tobolska jeździłam na targi futer. Co roku one się tam odbywają. Mama moja opowiadała, że jak Napoleon wkroczył na Litwę, to jak Francuzi mordowali... Małe dzieci brali za nogi i głowę o mur... To jej prababka opowiadała.

I pamiętam – mówiła też o Pacu z Jezna, co kazał nagim dziewczynom wchodzić na drzewa. I strzelał do nich. I zapytał się kiedyś swojego rządcy, co wart jego pałac, a rządcą mu odpowiedział: „Pałac Paca, Pac pałaca, pałac piwnicy, Pac szubienicy”. Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* pisał o nim... Tam, gdzie rodzice mojego ojca mieli majątek, było wielu Rosjan, którzy kradli konie. Koniokradów. Jak Polacy złapali takiego... To kładli na leżącym deski i tak po nim skakali, że potem śladu nie było... Aż umarł... Był taki ksiądz Agrypin Konarski, w powstaniu, co pogoń mylił, idąc tyłem, ale złapano go i powieszono. Dla żartu mówili czasem z mamą po litewsku. Pamiętam mergina – dziewczyna i kunigas – ksiądz...

Czy lubili Litwinów? Nie. Pamiętam ten meteoryt. Komety i łuny, to wtedy strach padł na ludzi. Po zachodzie słońca to łuny pojawiały się na niebie. W kształcie krzyży. Słupów. Co dzień. Takie czerwone smugi nad horyzontem. Może to był 1913 rok. Ludzie zamykali się w domach, mówili: wojna będzie. Mąż znał mojego ojca. Co by nie, przecież dziadek przychodził do moich kuzynek, do nas. Ale ojciec już był chory. Zaziębił się, żegnając zimą gości. Wyszedł z ciepłego na ganek i dostał zapalenia płuc. Polacy wykopali mu grób. Twój dziadek też. W Talicy obok bramy cmentarza tam był grób Missuny, lekarza, Polaka, bardzo dobrego człowieka. I stał krzyż pochylony na znak, że umarł młodo. To był dobry człowiek. Chory go zaraził. Wszyscy Polacy byli na ojca pogrzebie. Zmarł 8 września 1916. Teraz na tym miejscu jest osiedle i stoją bloki...

Stefan, brat mój, pracował w Permie, a potem dwanaście kilometrów od Swierdłowska na leśniczówce. Miał gajowych. Był leśniczym. Zawsze rano gajowy przynosił drewno. Palił w piecach, zaprzęgał konie. Zasalutował i odchodził. Lubili go. Lubił, jak go odwiedzałam. Raz rozminęłam się z gajowym, który miał mnie zawieźć z dworca. I dorożką z dwadzieścia kilometrów musiałam jechać, pod wieczór już było, do leśniczówki... A brat mówi mi, czemu z gajowym nie jechałaś. I zawsze dawał mi pieniądze na drogę. Miał kilka koni. Ożenił się z Rosjanką. Miała przejść na katolicką wiarę. Miał syna Borysa. Podobny do niego. Do ojca. I czarny. Boria mówili. Ona pracowała w szpitalu. Ojciec się obraził, że bez jego zgody wzięli ślub. Jeszcze w cerkwi.

Potem rozeszli się. Odeszła od niego. Podobno raz przyjechała koleżanka do niej, została na noc. I w trójkę spalili w jednym łóżku... I potem...

Na Wielkanoc chodziliśmy do cerkwi. Tak z ciekawości. Rosjanie bardzo uroczysto obchodzili. Witają wschodzące słońce. Całą noc czekają. Mówią sobie wtedy: Chrystos woskries – woistinu woskries. Chrystus zmartwychwstał – zaprawdę zmartwychwstał. Pod domem naszym był zajazd, ładnie było. Dobre czasy. Ojciec mówił: „Żony i strzelby nikomu nie pożyczaj”, a drugie: „Dziadowskiej torby i więzienia nigdy się nie wyrzekaj”. Pamiętam jak dziś. A ja mówię: Kto bez sensu żyje, ten bez czasu umiera.

Po śmierci ojca przenieśliśmy się w trójkę do Talicy. Ja z mężem i moją mamą. Pięć pokoi, dom z oszkloną werandą, na parterze. Z całym urządzeniem – nawet z ogródkiem przed werandą. W podwórku mieszkała wdowa Morżycka z ośmiorgiem dzieci. On był rządcą u Poklewskiego. Poklewski jej pomagał. Wiktor, jej syn, był zakochany we mnie, listy pisał, serca wycinał i dawał mi... Ja o piątej wstawałam, aby posprzątać, pomóc matce i iść do pracy na ósmą. A potem od szóstej do dziewiątej wieczór. Męża, twojego dziadka, znałam, bo jeszcze jako taki chłopaczek chodził rano, już o szóstej, z bańką po mleko. To był powód, żeby wyjść... 1916 rok.

Rumieńce takie miał. Pracował u Poklewskiego. Inni zesłańcy też. Chodził za nimi stary stróż, ale gdzie by mogli uciec... Nie byli bardzo pilnowani. Dali stróżowi papierosy, to puszczał ich samych. Mundury im się potargały, to żeby wyjść, dziadek opowiadał, to wszyscy pożyczali mu ubranie. Części znaczy... Przychodzili do nas. Zbierali się. Kuzynki moje, też Zosia i Mania... Brata kolega, taki Michał Karmazyn, co w jego siostrze kochał się Seweryn z Krakowa... Jeden z jeńców. Wymienili się nawet krzyżykami. Ale nic nie było. Ożenił się potem. Co ty piszesz? Kuzynki grały i śpiewały, Mania była muzykalna, na gitarze grała, na mandolinie. Mama piekła chleb raz na dwa dni. Pięć, sześć chlebów. Tam by nikt nie kupował pieczywa. Tylko w cukierni były bułeczki, takie błyszczące, pachnące, świeże.

Legionistów było tylko dwóch. Polacy chętnie byli przyjmowani... Tam też byli Polacy... To byli młodzi chłopcy. Mąż opowiadał, że jak Kozacy zobaczyli legionistów, jak wzięli ich do niewoli, to od razu chcieli wymordować, ale w ostatniej chwili nadjechał oficer i nie pozwolił.

Mąż dostał się do niewoli 15 kwietnia 1915 roku, w środę o godzinie trzeciej po południu. W Kolankowicach. W Besarabii. Był w Drugim Pułku 7 Kompanii Drugiej Brygady Legionów. Na ochotnika poszedł do Legionów Polskich. Bez wiedzy rodziców – 16 sierpnia 1914 roku. Miał szesnaście lat. Zapisał się i tylko poszedł pożegnać się z przeddzieć z rodzicami. Mówił, jak ich żegnali w Krakowie. Cali w kwiatkach szli ulicami Krakowa. A potem kawałek pociągami, dalej wysadzili i już na nogach. Na drugi dzień, mąż mówił, jeszcze kwiaty nie zwiedły, a już wielu nie żyło. Tam były ciężkie walki. Walczyli o Przełęcz Pantyrską, Rafajłową, Zieloną, Pasieczną, Nadworną, Óker-mózo. Zimą byli na Węgrzech... Mąż pisał, że był później w Kołomyi, Stanisławowie,

Huszczie, Marmarosz-Szigecie, aż w końcu w Kolankowicach w Besarabii, gdzie dostał się do niewoli. W czasie patrolu. Wieźli ich na Syberię przez Penze, Samarę, Kamieniec Podolski, Kamyszlów... Opowiadał, jak walczyli. Twojej mamie. Wojciech Galiszkievicz, brat jego matki, napisał mu zaświadczenie, że skończył już szesnaście lat. I z tym zaświadczeniem mógł się zaciągnąć do Legionów... Potem siostra babci Wiktorii miała do niego żal. Wojciech Galiszkievicz, ten który był w Sokole. Dziadek też był. W Krakowie myśleli, że zginął. Msza już była za męża w Krakowie. Dziadek był kulturalny. Spokojny. Mojej mamie się podobał. Czasem to do mnie się nie odzywał, bo się gniewaliśmy, ale do mamy przychodził. 16 lutego 1917 roku oświadczył mi się. W Jekaterynburgu w permskiej guberni wzięliśmy ślub...

A w lutym 1918 roku, już w czasie rewolucji, pojechaliśmy saniami, końmi, zimą, do stacji Poklewska, a stamtąd do Swierdłowska pociągiem do ślubu. Wtedy Jekaterynburg był. My tu ślub brali, a obok katafalk z trumną stał. Jak wróciliśmy, moja matka witała nas chlebem i solą. Było niebezpiecznie. Już listy nie docierały. Ale na weselu z pięćdziesiąt osób było. Do rana bawiliśmy się. Rodzina, bracia. Koledzy. Konstanty z Manią, Jadwigą i Zosią, córkami. Michał Karmazyn, kolega Stefana i męża. On był oficerem.

Piotrusiu, rewolucja nie da się opisać. Coś strasznego. To czasem Marysia mówi, co ona przeszła, w porównaniu do nas – nic. Ludzie uciekają. Wojna domowa. Miasto co parę dni przechodzi od czerwonych do białych. Potem znowu czerwoni. Niespokojne życie. Bandy tych rewolucjonistów. Zimą to trupy leżały obdarte na ulicach. Na dworcach. Bez butów. Męża do czeskiej armii chcą brać. Ale ja wybroniłam go od tego. Czesi potem przeszli na stronę czerwonych. Tęsknił za Krakowem. Mania i Anna, siostry męża, zmarły na hiszpankę. Manię bardzo kochał. Nie zobaczył jej już. To wyróżył stary Kozak w Talicy. Był taki, wróżył z kawałków spalonego drewna. Opadły na dno. Powiedział mężowi, że umrą jemu dwie bliskie osoby. Kiedy chcieli męża brać do armii czeskiej, zrobiłam awanturę Duchnowskiemu, bo Józsi Zdepczyńskiej mąż powiedział: „Jeżeli chcecie, by ich puścili, to proście moją żonę”. Ja to słyszałam. Poszłam do niego i mówię: „Co to jest, panie Duchnowski? Józia jest pana kochanką, że Szewczyk mówi, proście moją żonę, a puszczą ich?”. On czerwony cały, od razu zatelefonował i dziadek twój wrócił.

W Talicy była rzeka, Pyszma się nazywała. To widzieliśmy z okna, jak po niej płynęły trupy ludzi, koni. W czasie rewolucji. Tak. Mężowi jeszcze przed tym zrobił się wrzód w uchu. I chodził do Talicy do szpitala. Dwa były. Jeden dla gruźlików – przyjeżdżali z całej Rosji. Mówili, że kury zarażały się gruźlicą... I drugi, gdzie był wybitny chirurg Awtokratow i ładna Lusja Zacharowa, która robiła opatrunki... Awtokratow to był starszy już pan ze spiczastą bródką. Powiedział dziadkowi, żeby przyszedł do niego. Nacisnął, wytrysnęło na ścianę... Miał pomocnika, doktora Muńcuńskiego, który ożenił się z Poklewską... Ale kochał się w Lusi, Awtokratow, wiesz. I Lusja potem, jak

wybuchła rewolucja, podobała się takiemu Cachowskiemu, to był dowódca oddziału. Czerwony. Dawny nauczyciel Stefana. Stawał na beczie i krzyczał. Tak, że mu ślina szła z ust. I ten Cachowski zapytał się Lusi: „Co byś chciała na dzień swoich imienin?”. Lusja powiedziała: „Głowę Awtokratowa”. I Cachowski go rozstrzelał. Ludzie znaleźli Awtokratowa, ledwo był przykryty ziemią. Trup się rozłożył. Urządzono pogrzeb. Jak przyszli biali, znaleziono Lusję. Dziadkowi twojemu też się podobała... I zamknęli ją w areszcie Urzędu Ziemskiego. Tam, gdzie pracowałam. Nazywała się Ziemska Uprawa. I Lusję... Michał Karmazyn, ten którego potem bolszewicy zamordowali, schowanego w wodokacze dworcowej. Ten leśniczy studiował z bratem moim... Miał obok biurko i był jeszcze Grigoriew... Biały, później czerwony. Jak Grigoriew chwycił szpicrutę i wszedł do aresztu, to tak zaczął bić Zacharównę, że musiałam wyjść. A on przyszedł i mówi: „Ale ją zbiłem”. A ja mówię: „Słyszałam”.

Jak przyszli czerwoni, zrezygnowałam, ale czerwoni przyszli do nas i mówią, że-bym dalej pracowała. Wydawałam przepustki. Kiedyś przyszedł do mnie, zameldować się, porucznik. Młody, biały. Jedynak. Przyjechał do staruszki matki. Chciał przepustkę. Cachowskiemu nie podobało się, że przyjechał od strony białych. I zastrzelił go. Innym razem gonili inżyniera z browaru. Dogonił go i zastrzelił w biały dzień na ulicy jego własny szwagier. Bolszewicy przed wyjazdem zabrali wszystkich polskich jeńców w głąb Rosji. Przyszli po męża, ale on poszedł z moją mamą na borówki do lasu i to go uratowało.

Wilczak, był taki Polak i jeniec. Zostawił u nas na przechowanie złote monety. Zbierał na powrót. Wtedy pojechał z nimi Seweryn z Krakowa. Pociąg za pociągiem przez stację jechał. Wszystkie z jeńcami. Tylko lokomotywy dymiły. Podobno w drodze były ciężkie walki. I wielu zginęło. Cudem Seweryn wrócił do Krakowa. Poszedł na Długą do dziadków i opowiedział wszystko. Wilczak nie wrócił. Znałam go, bo ile razy pokłóciłam się z dziadkiem, to przychodził do nas z Wilczakiem. On był już starszy. Bolszewicy pałac Poklewskich zdewastowali. Lustra powybijali, wódkę wykradziono, to na kartki dawałam. Kiedyś, jak popili w sąsiednim pokoju ci Rosjanie, to ktoś przyjechał do urzędu po podpis. Poszłam, mówię: „Kasałapow, trzeba podpisać”, a Kasałapow kompletnie pijany i naczelnik coś tam, w końcu mówi: „Napisz gównno”.

Kiedyś znalazłam rano, idąc do pracy, złoty samorodek. Taki duży.

Miałam powodzenie, jeszcze jakie, ale to przed twoim dziadkiem. Dziadek też. Odpisywałam za niego na listy. Rosjankom... Kochał się we mnie ruski oficer. Na balu spotkałam. Był synem wdowy mieszkającej koło nas w Jartarce. Moi bracia go nieraz przyprowadzali na obiad. Ze szkoły. I o czym to mówiłam? A, i spotkałam go na balu, oficer elegancki. Starał się o moją rękę. Ale ja wcale nie miałam ochoty. Napiisałam list i dałam Stefanowi, żeby mu oddał. On schował ten list do kieszeni i trzymał na nim rękę przez cały czas przyjęcia. Nie chciał czytać przy gościach. Żał mi było. Inny był to Polak. Bogaty z Talicy. Mówił mojej mamie: „Ona mi się podoba, bo taka dumna”.

I Chińczyk chciał mnie wziąć do Chin. A ja mu mówię: „Mało to macie swoich dziewczyn, jeszcze tego potrzeba, żebym ja tam jechała”.

Jakoś na andrzejki przed Bożym Narodzeniem wosk laliśmy. Na wodę. Mama chciała dowiedzieć się, co ze Stefanem. I taka woskowa postać z psem wyszła. Nie wiedzieliśmy, co to znaczy, a za jakiś czas przyjechał do Talicy Stefan, bez dokumentów, sam tylko z psem, który go przeprowadził przez front i ocalił. Stefan, brat mój, w Wilnie chciał załatwić pracę sobie, zatrzymał się w hotelu. I tam ktoś powiedział: „Po co przyjechał? My nie potrzebujemy Moskali”. On nerwowy był, coś im odpowiedział, splunął i bez dokumentów odjechał... Zapomniał. Nie lubił Litwinów. Bryczką z końmi pożyczonymi od Franciszka Poklewskiego, mąż pożyczył, w czwórkę z moją mamą i Stefanem uciekliśmy do Tiumeni. Drogi pełne ludzi... Gdy konie wróciły do Talicy, Poklewski powiedział: „Ja dałem konie Lejczakowi, a nie Balukiewiczom. Balukiewiczze konie zmęczyli”. Moja mama kazała zrobić stolarzowi podwójne dno w kufrze. Na biżuterię. Wkrótce Poklewski uciekł. Józia Zdepczyńska przewiozła część ich złota w podwójnym dnie nocnika. W Tiumeni widzieliśmy z okna mieszkania, jak na Orła, taki stateczek przy brzegu zacumowany, wpadli bolszewicy i zamordowali kapitana. Znałam go z widzenia. Przystojny, z brodą. Stał na rufie i palił fajkę. 22 października 1919 roku ochrzciliśmy naszą córkę. Wandę. A 26 lipca 1920 roku umarła w Krasnojarsku. Na wycieczce statkiem po Jeniseju płynęliśmy i ona wrzuciła do wody swoją ulubioną lalkę. Ta rzeka na parę kilometrów szeroka. Lalkę dostała od Stefana.

Szyłam baszłyki dla żołnierzy. Przepisywałam ulotki apelujące o przerwanie wojny. 4 sierpnia 1919 roku mój mąż i moi bracia na ochotnika wstępują do Piątej Dywizji Strzelców Polskich 82 Pułku Piechoty. Tam byli sami Polacy. Osiem tysięcy. Walki z oddziałami Gaj-Chana. Mąż był w Auto-Cadrze. Stefan w saperach, a Józef w sztabie.

Okrutne walki, a my razem z nimi. W walkach z czerwonymi. Uciekaliśmy w stronę Nowosybirską. Ewakuowaliśmy się. Ja z mamą. A po zdradzie w okolicach Minusińska, gdzie Czesi zamrozili lokomotywy i przeszli na stronę rewolucji, Kołczak idzie do niewoli, a dywizja zostaje rozbita. To my zostaliśmy zimą w polach. Poszłam, bo zobaczyłam wieś. Tam ludzie wszyscy uczynni. Poprosiłam o konie gospodarza – dał. Kto by ci teraz pożyczył konia? I pojechaliśmy tam w trójkę... To niedaleko Krasnojarska, wieś Żłobina. Pięciometrowe zaspy śniegu, a ludzie w samych polach. Dom stał na brzegu Jeniseju, po drugiej stronie rzeki był Krasnojarsk. Po lodzie można było przejść, to ludzie przechodzili do pracy. Jeść nie było co. To wymieniano. Za łyżki srebrne, bieliznę, dywany, złoto. Dostać można było trochę chleba, jajek... Jenisejem pływały wojenne okręty, trupy. Słyszeliśmy syreny. Co oddział przechodził przez wioskę Żłobina, to brali męża na komendę. Mówiłam ci, to gospodarze wymyślili napisać kartkę: tyfus. Tif. I przybić na drzwiach. I jak szli żołnierze, to była tam strasznie chuda babcia. I ona stawiała w drzwiach. Albo kładła się do łóżka. To już nikt nie wchodził. Bali się.

Gospodarz miał wiele dzieci. Wiktor – najstarszy, z osiemnaście lat miał. Opiekował się rodzeństwem z pierwszego małżeństwa ojca. I w zimę, tu minus trzydzieści, a on rozbierał takie małe dziecko, rozbijał lód i kąpał w beczce. Na polu. Trzy lata dziecko, sine. Ty sobie wyobrażasz. Ale nic mu nie było.

Raz wiosna. Siedzimy, ciemno, a ja widzę, ktoś idzie po lodzie. Syn gospodarza krzyczy: „Józik Austryjaka idzie!”. Tak nazywali męża. Ciemno, a kra popękana przy brzegu, wiosna już przecież. Ja lecę do gospodarza, on zawołał: „Wiktor! Szybko bierz łódkę i długą deskę. Tam Józik idzie”. I dziadka uratowali. Też lekkomyślny był. Ja pamiętam, jak z węgierskimi oficerami płynęłam łódką przez Jenisej. A tu wiry i szeroka rzeka na parę kilometrów. A ja nie umiem pływać! Potem mąż siedział w więzieniu. Poszedł ze Stefanem do Krasnojarska, do kolegi leśniczego i w ciemnym korytarzu pomylili drzwi. Zamiast w prawo, to na lewo. A tam czerwoni urządzili kocioł. I dochodzenie było, co było, ja nie wiem. Oni wiedzieli, że biali się tam zbierają. Stefana trzymali niedługo, ale dziadek siedział kilka miesięcy. Jak wyglądało więzienie? No jak... Taki czerwony budynek w Krasnojarsku. To mówił potem, że cele były tak wypełnione, że musieli stać. Siedział z przedstawicielami szwedzkiej ambasady. A wszy, pcheł... Jak wrócił, to aż czarno było. Ręką można było zbierać całą. To codziennie te trzydzieści kilometrów szliśmy z moją matką na nogach do więzienia do niego z czystą koszulą, chlebem. Kawalkiem chleba. Ale nie wiem, czy dostawał... Ale nie chciał czystej koszuli, bo przyciągała wszy. Kiedyś, patrzę, a gospodarz krzyczy: „O, Józik Austryjaka idzie!”. Kazał od razu napalić w bani, podgrzać wodę. Wykąpał się. Ubranie spaliliśmy.

Potem przeprowadziliśmy się do Zatonia. Do Smirnoka. Na przedmieściach Krasnojarska u majstra mieszkaliśmy. Miał sześcioro dzieci. Poczciwy człowiek. Załatwił pracę dziadkowi. W stoczni parostatków. Przez miesiąc mąż zarabia siedemset rubli. Jako pomocnik palacza. Starczy na pudełko zapalek. W Zatoniu brat Józef też mieszka... Potem został zmasakrowany i zabity... Szablami na kawałki przez czerwonych... W Krasnojarsku. Pochowaliśmy w trzy dni potem w Krasnojarsku.

Mąż uszyte miał spodnie z mamy spódnicy. Ja pracowałam w stołówce, gdzie byli jeńcy węgierscy. Inaczej pomarlibyśmy z głodu. Nie mieliśmy kartek. Chleb był na kartki. Zawsze coś dostałam dla nas. Węgrzy. Węgrzy pomagali. Jeszcze robotnicy nie dostali jeść, a już taki Jasiu Res z Budapesztu dawał mi znak, żebym wzięła dla siebie. Raz robotnicy krzyczeli: „Wy kradniecie nas”. Wysłali delegację, to kucharze włożyli każdemu do torby, a potem oni mówili: „Nieprawda. Nie kradną”. Chcieliśmy do Polski się dostać – w pierw przez Chiny, a potem statkiem, ale jak Kołczaka złapali, to już nic z tego. Węgrów wywieźli gdzieś, co się z nimi stało, nie wiem. Może zabili. Zapasy zrobiliśmy na drogę. Suchary, mięso suszone. Za rzeczy. Jeńcy węgierscy i rumuńscy pracowali w lasach przy cięciu drzew. Mrą jak muchy. Mieszkali w ziemiankach.

Nasze wszystkie rzeczy zostały na Syberii. Cała nasza praca. Tak było, to wszystko prawda.

A to Jerań, normalne storczyki rosły – no gdzie, w lesie! Normalny las. Była taka dziewczyna jamszczika córka w Petersburgu. To miała warkocz, jak rozpuściła, to aż za pupę. Jamszczik się pytał, czy będziemy nocować. Będziemy. To będziecie u mnie. I zawiózł nas fiakrem, elegancko nas przyjął. A w mieszkaniu, to jak w pudełku. A jak myśmy jechali na Litwę, to dwa tygodnie. Tu przesiadka, tam... Ale tam dobrze. Pociąg był na stacji. Kocioł, kipieliok, wrzątek i ludzie wychodzili z czajnikami i brali gorącej wody do picia. W rewolucję to wszystkich jeńców wypuścili na wolność, a później znów brali do wojska. Mąż pierścionki naprawiał, kolczyki, obrączki ze złota robił. Zdjęcia mieliśmy z polowań. Rodziny. Mój ojciec zamawiał zawsze krawca. Do domu krawiec przychodził na dwa tygodnie. Szył dla mamy, dla chłopców, dla mnie. Ojciec siostrę miał i zmarła jak miała dwadzieścia dwa lata, ojciec dał mi Helena dlatego. Na galopujące suchoty. Dostała. Może teraz by wyleczyli. A ile lat temu? Chyba sto. Ja zapalenia mózgu dostałam.

Do ślubu dziadek miał pożyczone ubranie. Tam w rewolucję nie kupiłeś materiału... Do ojca przychodził Biskirski, ja pamiętam. Elegancki pan. We fraku. Powstaniec z 1863 roku. Byli tam Szczuki, tam, gdzie ojciec miał młyn. To przyjeżdżali, ale już nie Polacy, po rusku tylko. To była szlachta z Litwy, zesłana na osiedlenie po powstaniu.

Musisz napisać, że babcia te nasiona czeremchy zbierała do woreczka i zanosila do młyna. I po zmieleniu były czarne jak czekolada i wspaniale pachniało. Do czego? Do jedzenia.

Na pierwszego maja to w Talicy był wiec. Po wiecu szli rabować. Z pałacu Poklewskiego nieśli kołdry, poduszki, futra. Pod nami mieszkał taki uciekinier. Ile wynosił rzeczy. Potem oddał ze wstydem. W Rosji najuroczyściej obchodzono imieniny cara. Nie, był mądry. W Swierdłowsku został zamordowany. Sześć osób... Dzierżyński, Swierdłow – wywieźli, zamordowali jego żonę i cztery córki, i syna czternastoletniego. Ja, Piotrusiu widziałam, jak wieźli cara z rodziną na stracenie w Tiumeni. Ale nikt go wtedy nie żałował. Ja pamiętam te twarze w zakratowanych oknach. 1905. To był ludobójca. Ale tak nie powinni go zamordować. Marchlewskiego spotkaliśmy w pociągu do Polski.

Na Syberii strasznie zabobonni. Tam u nas, w Skorodumie chłopci to wierzyli w bukanuszkę, w diabła. Wierzyli, że bukanuszka zaplata te kołtony. Żaden nie ważył się ściąć włosów czy rozczesać. Ojciec jeździł daleko na polowania. Rano wstawał. Polowania na wilki były. Też z prosiakiem, który na sankach wieziony swoim kwikiem przyciągał wilki.

Moją ciotkę Frąckiewiczową to udusili, ludzie widzieli, jak wiózł nocą na wozie kogoś ten wychowanek. Majątek stracił. Moja mama była jedyną spadkobierczynią. Sędzia mówił, że trzeba od razu było majątek zająć. A tak nic nie zostało. Przeszedł majątek na procesach. Moja mama piwo robiła. Sama. Czarne, ze słodu. Opowiadała, że pamięta, jak tam na Litwie jeszcze świecili łuczywami, smolnymi drzazgami. Ale to dawno temu. W Talicy piwowar był u Poklewskiego. Tam wódkę, piwo robili. Fabryka była.

Łódki drążyli z jednego pnia drzewa na Syberii. Ja, pamiętam, pływałam taką. Jakoś nazywali to drzewo. Szkoda, że fotografii nie ma. W Krakowie ukradli. We wrześniu trzydziestym dziewiątym roku. W Talicy, przed naszym ślubem, mąż chodził do takiej rodziny, wdowy z ośmiorgiem dzieci, żony nauczyciela. Litwina. Ona Polka. I ta matka się w dziadku kochała. On znajdował potem w swoich kieszeniach to cukier, to co innego... On do córek, a ona do niego.

W Rosji dobrze było, ale nie zapomnę w 1905 roku tych transportów młodzieży, którą wieźli na stracenie. Dziewczyny też. A raz przyjechał do nas goniec i mówi, że wielcy zbrodniarze uciekli, że będą rabować, że nagroda za ich złapanie. Chłopi jak chłopci – złapali, a wiesz co się okazało? Że to byli polityczni. Ale jakby teraz kazali chłopom za nagrodę, to nie łapaliby też? By łapali. Czasami tych uciekinierów znajdowano w lasach zagłodzonych na śmierć. Trawę jedli. Ubrania mieli znaczone, więzione. Do nas przychodziło dużo nauczycieli z Talicy. Rosjan. To stale oni byli zamykani za poglądy, za cara. A Malkiewicz, który pisał, żeby mu ciało syna wydali – szesnaście lat miał, powiesili. Skąd, nie wydali. Mąż siedem lat był na Syberii. Nauczył się po rosyjsku. Jak miałam dwadzieścia jeden lat, wyjechaliśmy z Rosji do Polski.

Moja mama, twoja prababcia, Antonina miała na zimę czasem worek grzybów. I w Rosji, i w Istebnej. Lubiła chodzić po lesie. Ojciec sam zrobił tę kasetkę z jednego kawałka brzozy karelskiej. Uciął taką narośl i zawiasy, i wszystko. Ten krucyfiks też sam zrobił.

Była wojna z Chinami. Byłam w strachu, bo ojciec miał iść, ale nie poszedł. Ojciec to miał tylu braci, sześć ich było i jedna córka. Ja nie będę już piła. To są koleje życia. Przykre i różne.

Polowania. Pielmieni robiło się na polowania, w workach trzymało. Można było kupić, ale w zimie na polowanie gotowało się taki wielki gar. Kto chodził? Ja sama nie wiem. Mój ojciec strzelał śrutem, ale miał maszynkę do odlewania kul. Nie strzelał do jeleni, saren, nie lubił; nie pytałam dlaczego. Do zajęcy, do ptaków. Mąż strzelał z karabinu. Jak? Nie wiem. Opowiadał mi o Krakowie. O powodzi... Ale tam szczegółów takich, to nie. Szanowana rodzina była.

Pamiętam, zbierali tych, co chcą do Polski. Był 1921 rok. Wagonami towarowymi jechaliśmy. W każdym trzydzieści sześć osób. Dzieci też. I ci ludzie w tych wagonach w tym tłoku. Gotowali, nie wychodząc z wagonów, na jednym żelaznym piecyku. Na środku wagonu. Moja mama przygotowała zapasy na drogę. Suchary. Mięso. Jechaliśmy. Ja z mężem i mama. Stefan wracał innym pociągiem. Byłam już w ciąży. Tam były piętrowe prycze. W śniegu tunele takie były. I pociąg jechał! Przez Arczyński jechaliśmy. Nowosybirsk, Omsk, Kazań do Moskwy. Cały październik, listopad, grudzień. Ty sobie wyobrażasz! Bez przerwy w wagonie, minus czterdzieści stopni. Że wystarczyło się przytulić do ściany w wagonie, żeby przymarznąć! Męża, twojego dziadka, raz odrywano. Wysiadano, by nabrać śniegu na wodę. Wielki głód był. Sami Polacy

jechali, rzeczy zostawiliśmy na Syberii Mani, mojej kuzynce. Jechaliśmy. Kontrolowali pociąg, a w naszym wagonie jechał jeden Polak, oficer, który cały czas leżał pod pryczą, żeby nikt go nie zauważył. I udało się! Dzieci umierały. Jak dojechaliśmy, to już dzieci nie było. Z chorób, głodu umierały. Wielu nie wzięło nic na drogę. Pieniądze na nic nie zdałyby się. Nawet gdyby. Po dworcach na torach sine i nagie trupy. Ziemia była za twarda, by chować trupy.

17 listopada jesteśmy w Moskwie. Poszliśmy na bazar. Kamienice bez szyb, z okien rury piecyków żelaznych. Po bramach ludzie sikali. Kupy robili. Byliśmy kilka dni, ale tam też głód. 21 grudnia 1921 przekroczyliśmy granicę polską, jak ludzie krzyčeli na wartownika. W Dęblinie była kwarantanna. Polscy żołnierze nam zrobili uroczystą wigilię. Babcia Wiktoria czekała na nas na dworcu! I przyjechaliśmy do Krakowa.

Potem przyjechał mój brat Stefan. Ożenił się potem drugi raz z tancerką i został w Białowieży, w Supraślu. Był leśniczym. Mieszkał w pałacu w Białowieży. Potem zmarł, zaziębił się na Pińskich Błotach. Zostawił swoją strzelbę. Stefana lubili. Dostał tam, z majątku jakiegoś, w prezencie pięknego, białego araba. Chciał nam dać. Ale jak konia wieźć przez całą Polskę? Raz byliśmy u niego, już wyjeżdżaliśmy, a odezwał się przy piecu świerszcz. „Nie wyjeżdżajcie, póki go nie złapiemy”, powiedział. I wyjechaliśmy dopiero, jak złapał tego świerszcza. Taki stary zabobon.

Dwie siostry męża zmarły na grypę hiszpankę. W osiemnastym roku doszła do Krakowa epidemia. W ogóle była ogromna inflacja, kartki na chleb i mąkę. Drożyzna. To babcia opowiadała. Na osobę na dzień przydział wynosił dwadzieścia deka chleba, a potem nawet już mniej. Zaczął być głód. 31 października osiemnastego roku. Polacy rozbroili Niemców. Powieszono polskie chorągwie. Ludzie ściągali austriackie orły. Opowiadała. Mąż miał szesnaście lat, jak przyszedł do Legionów. Wiem, że jego ojciec ożenił się z Wiktorią z Galiszkieviczów, jak miała szesnaście czy siedemnaście lat. Nie mógł się doczekać. Potrzebna była specjalna zgoda na ślub. To musiał być rok 1886. Ślub był w kościele Świętej Anny w Krakowie. To była Galicja, wszystko było tanie. Biełyj car, jak mówili Rosjanie na Franciszka Józefa. Mąż wspominał, że jak był chłopcem, to widział jego córkę księżniczkę w Krakowie, jak stała na balkonie Pałacu pod Baranami. Podobno piękna była. Opowiadał, jak jego rodzice chodzili na Świętego Sebastiana, do Andrzejów Lejczaków, do brata matki. To dziadek Franciszek musiał specjalnie zamówić sobie frak. Tam były bale, służba zapowiadała gości, orkiestra grała... Elegancko, nie tak byle jak. Andrzej Lejczak walczył u Langiewicza. Zesłali go na Syberię. Opowiadał, jak robili na Syberii obrączki z końskiego włosia. Na palec, gdzie pisało: „Wiara, nadzieja i miłość, na najeźdźców wieczna zguba”. Opowiadał o staro-wiercach na Syberii, którzy wystawiali dzbany z wodą i chleb. Przed domy. Dla ska-zańców, którzy uciekli.

Na Syberii założył się, że przepłynie najszerszą rzekę Syberii. Rosjanie strzelali za nim, myśleli, że ucieka. Ale on wygrał zakład. Dostał nagrodę za odwagę. Dwa lata

był w rotach aresztanckich. Potem zaciągnął się we Włoszech do wojsk papieskich. Opowiadał, że to była ciężka służba. Znał Padlewskiego, Hallera... Prowadził w Ankonie szkołę pływacką, aby przeżyć. Do Krakowa przywiózł pieśni powstańcze spisane na Syberii. Ale pożyczyl i zginęły.

- No, to już, wypalę i pójdziemy spać. Dobranoc. Zgaś gaz.
- Zgaszę.
- To jeszcze muszę wstawać, zobaczyć.

Epizod pierwszy. Sierpień, wrzesień 2012. Talica nocą. Jedziemy. Strasznie daleko od dworca. Gostinica. Baza. Szósty Kanał. Talica. Lenina 105. Czarno, wyboście, mrok.

Rano. Hardcore. Idę. Ciągnie. Jestem w raj. Ogarniam.

Ludzie. Plan pierwszy: ja, Iwona, Olga, Helena. Plan drugi: Aneta i Marek, producentka i operator. Może odwrotnie. Spotkani: Irina Borowska z pociągu jadącego nad Morze Białe, Ulan Uge, mąż Polak z Równego, ojciec i matka z Kazachstanu, ona uciekła z Rosjaninem. A jej babcia – która dała jej kolczyki z czerwonego złota – gdy miała jedenaście lat, za długi została sprzedana na trzynastą żonę brata żony emira Buchary. Urodziła mu dwanaścioro dzieci. Poza jednym synem, wszyscy synowie zginęli w wojnie ojczyźnianej. On sam, jak wybuchła wojna, uciekł do Afganistanu, z pierwszą żoną. Ona została sama z dziećmi. Dożyła 106 lat.

Syn Iriny wstąpił do szkoły pisania ikon we Włodzimierzu, a drugi chciał być w Specnazie, nie wytrzymał i skończył w szkole desantu w Riazaniu.

Dostajemy na odchodne worek białych grzybów i słój ogórków z cytryną.

Dzwoni, pyta, jak nam, czy wszystko dobrze. Ma jeszcze półtora dnia do siebie, a potem sto osiemdziesiąt kilometrów wiertalotem.

Kozacy: Wowa i Władymir. Orienburska sotnia. Kozackie wojsko. „Nikt kromie nas. Spadochron i dwa samoloty. Po pięćdziesiąt koni w sotni... Mnogo”. Wowa Żłudow był w Afganistanie.

Irina. Moja Matka ma to imię stąd. Przyjęła nas w swoim domu w Jartarskim. Sama pracuje co drugi dzień w sklepie. Walentyna, Wala, przyjechała z Kurganu. „Tam błota teraz, nie dojedziesz”. Ma oczy jak u wilka, przejrzyste, głodne, puste. Dziennikarka z talickiej telewizji i gazety. Ma kilka polskich -ski w rodzinie. Przyniosła tort. Wkusny. Siedzimy. Jemy. Popijamy czaj. Zielonyj, czornyj.

Nina ze starej wiary. Duża. Elegancka. Blond włosy. Kostium. Mieszka w Talicy, pracuje. Pietia Zajcew. Taksówkarz, czyli jamszczik. Rudy. Niechlujny. Trochę strachliwy. Zawadził, cofając niwę.

– Co robić? Jest rysa czy nie? – Pyta wzrokiem kierowcy siedzącego obok w samochodzie. – Powiesz czy nie? Tamten wzrusza ramionami. Nie rozwiewa wątpliwości.

– Co zrobić?

– Jedź – mówię.

Kierowca drugi. Mój czas, twoje pieniądze. Buc. Recepcjonistki z Gostinicy. Mała myszka. Arystokratka. Postawna. Mam takie fotografie. I duża, o lekko mongolskiej twarzy.

Alina Urazbekowa. Moskwa. Pochodzenie: Kazachstan. Konkretna. Życzliwa. Parasole. Rezerwacje. Nieprzenikniona.

Staruszek i staruszka z naprzeciwka. Od piętnastu lat ze sobą. On ma tatuaż na dłoni. On nie widzi, ona nie słyszy. Razem, czyli osobno, mają z dziewiętnastu dzieci. Rozumieją się w ułamku sekundy. Ona kroi malinowe pomidory. Pozują do zdjęć. Widać, że się kochają.

Irina z matką przychodzą im pomagać. Zostawiam sprzęt Marka. Nasz dom jest zamknięty na deskę, zasuwę z drewnianej bramy.

Blondynka z pociągu. Gdzieś z środkowej Syberii. Ładna kiedyś, teraz staranna. Z ładnym wdziękiem.

Mała dziewczynka od pierożków. Rezolutna. Szybciutka. Często Helenkę i Olę garścią cukierków. Wraca z babcią z Ukrainy. Miła. Jej duży, łysawy dziadek śmieje się, jak H. z O. rozmawiają po polsku. Stojąc nocą w otwartych drzwiach wagonu, długo nam macha.

Dziewczyna z czarnymi warkoczami. Rozmawia przez komórkę w końcu wagonu. Wysiada gdzieś za Jekaterynburgiem. Peron. Baby z jabłkami, pirożkami.

Dziewczyna z pociągu na Wschód. Wącha perfumy, które roznosi wagonowy handlarz. Rozciera na dłoni, ma beretkę i jakieś walonki na skarpetki. Marusia z *Czterech pancernych*. Wącha i trzyma te swoje czerwone chorągiewki pod pachą. Ma kołnierz i szerokie mankiety z ładnego futerka. Rozmawia z koleżanką, odjeżdża na Wschód.

Sprzedawczyni z targu. Tam gdzie czurczchela, suszone kulki jogurtu, suszone morele. Daje mi lepiec, którym przykleję gazetę na nosidle do wody, na nalicznik w bani i na pomalowanej prześcicy, którą zabiorę na pamiątkę.

Uzbekzka, Kirgizka, Kazaszka, Uzbekzka sprzed sklepu. Chodzi pomiędzy taksówkarzami z dymiącym rondelkiem ziół i odczynia uroki. Czaruje, okadza dymem ich i ich samochody. Wołam ją. Idzie. Wołam: „Iwonko, Helenko, Olgo”. Mówi, że to zioła na zaziębienie. Przeczyszczają drogi oddechowe. To druga wersja. Oficjalna.

Etażowa pierwsza. Miła. Etażowa druga. Podła. Etażowa trzecia od wyrzutów sumienia i wypominania. Dziewczyna od czterech rubli. Zabrakło mi na sześć czekoladek.

– Ile?

– To niech pan weźmie te mniejsze.

– Też brakuje.

– To pan doniesie.

– Doniosę.

Dziewczyna z poczty. Sprzedaje Helence koperty z żołnierzami i samolotami. Szuka mi Balukiewiczów. Nie znajduje.

Staruszka. Koleżanka Pawłowskiej: „Niech pan do niej zadzwoni i powie, że od Kleopatry. Ona Polka, to może będzie wiedziała”.

Dziewczyna z baru Café w Talicy. Orłowska. Rodzice pomarli, ale byli z Równego. Polacy. Polskie korzenie. Robi mi dodatkową herbatę do pielmieni, za którą nie płacę.

Trzy i jeszcze jedna staruszka w cerkwi Świętych Piotra i Pawła.

„Nie nosi się w kieszeni krzyża, tylko na szyi”. Nie na szyi, tylko w sercu.

Rozpis mistrzów włoskich sprowadzonych przez Alfonsa Kozieł-Poklewskiego. Kupuję trawy syberyjskie. Będę parzył.

Człowiek w szarej ładzie, z żoną, który zgodził nam się pokazać miejsce, gdzie stał dom moich pradziadków. Daje mu naszą żubrówkę. Tyle skarbów za bezcen.

Igor Borysow grający na gitarze. Od dwóch hektarów za Ałtajem. Dostał, jak wszyscy, którzy chcą, rosyjską ziemię od Miedwiediewa. Bard. Daje mu obrazek dla wnuczki.

Śpiewamy razem: „Sonce wschodit i zachodit, a w tjurnie mojej ciemno mie i chocietsja na woliiu, no ja cep rwat ne mogu, kak chotitie stieriegitie, ja ne ubiegu”.

On zna inną melodię i inne słowa. „Ucieknę, choćbyście mi połamali nogi. Ucieknę”. Pięknie śpiewa. Sam komponuje i pisze słowa. Ma inteligentną, mądrą twarz.

Sprzedawczyni od jedzenia dla zwierząt, smyczy i noża. Drofa. Kizlar. Czarna myszka w okularach. Ochotny magazyn.

Tamara i jej koleżanka Tatiana. Tamara prowadzi nas na cmentarz.

– Tam lies. Domy postroili. Jedni młodzi, jak wzięli do siebie babcię, to ona nie mogła spać, zjawy miała. I wkrótce zmarła. Mówiła: Jak wy możecie mieszkać na cmentarzu? Tu ludzie leżą.

Tamara czeka na mnie w piątek z butelką wódki Poklewska. Wódka ma piętnaście lat. Już dawno jej nie produkują. Czarniawa, w okularach. Podobna do pani Władzi.

Nowe schody do domu. Gdy mówię, że Olga ma czterdzieści stopni, odpowiada, że dwa samochody czekają, żeby nas w banię powieźć, że nagotowane, napieczone. Że szkoda. Że wielka szkoda. Ostatecznie jedziemy na przejażdżkę.

Fabryka Poklewskiego, potem jezioro, jak się jedzie do Troickiego. Piękny dom. Cały malowany. Szarlotka, jemy. Wkusna. Dżem z borówek. Konfitura malinowa.

Koleżanka Tamary – Tatiana Aleszewskich. Oriflame. Trzy serwetki wydziergane na szydełku. Ozdoby na szyję, od jubilera z Moskwy, dla dziewczyn. Serdeczna.

– Nigdy was nie zapomnę.

– Zapomnij. Lepiej.

Irina ze sklepu. Ona jedna nas przyjmuje u siebie. Pali w piecu drewnem. Piec ogrom. Obity blachą, pomalowany na srebrno. Zastawia cały dom. Pyta, czy ugotować

nam kartofle. Odprowadza, żeby pożegnać. Chce oprowadzać po wsi. Widzi, że wolimy iść sami.

Dziewczynka, którą rysuję. Śpi. Jak wysiadamy, ona romansuje z młodziutkim opiekunem wagonu. Wraca z Mołdawii od dziadków. Jej kuzyn. Mongoł. Dwanaście, czternaście lat. Kocha Puszkina. Tak mówi.

Zwierzęta. Kurczak – ulubiony Iriny – zjadły go obce koty, które przyszły pod naszą nieobecność. Mieszkał w pudełku. Dasza i Dasza – dwa koty Iriny z Jartarki. I cztery koty sąsiadki Iriny. Wynoszę. Trzymam. Nie puszczam. To dobry dom, bo koty do złego domu by nie przyszły. Krowy z Jartarki. Koń z końca ulicy. Krowa w kinoteatrze. W mroku, samotna leży. Pierwsze stado owiec i kolejne. Jastrząb pierwszy. Jastrząb drugi. Jastrząb trzeci. Pająki, muchy. Pies jasny, młody, średnio duży, który mnie polubił. Tarzał się ze mną na łące. Kupowałem piwo, dostał dziewięć parówek. Komary z korytarza niebieskiego za metalowymi drzwiami gostinicy. Kotek z hotelu zabrany przez panią arystokratkę. Ja nie patrzę. Przemykam spod prysznic po biurowym korytarzu.

Jedzenie. Smaczne. Wkusne. Zapiekanka z serem po gruzińsku. Pielmieni z wody. Pielmieni zapieczone. Blincziki z mięsami. Pirożki z kapustą. Pirożki z kartoszką. Pirożki z mięsami. Bublik z mięsami. Czeburaki. Czurczchela. Figi. Ananas kandyzowany. Wódka tiumeńska. Kwas. Solianka. Borsz. Mięso po krasnodarsku. Lawasz. Pirog. Placuszki od Iny Siergiejewny. Uz. Piwo Tri Niedwidie, Ochota i Sybirska Korona...

Dom. Pociąg. Dom przy Jugo Zapadnoj. Dom. Pociąg. Dom. Talica, hotel, 6 Kanał, Lenina 105. Dom jartarski, tam gdzie las i ruina młyna. Dom, którego nie ma już na ziemi, a pozostał w naszej pamięci w Skorodumie. Wietrousze. Dom samochodów. Dom hotel. Dom pociąg z Abakanu. Dom Moskwa. Obsieżyte numer 3. Wiernackogo 11. Dom. Pociąg. Dom. Dom.

Zapach lasu, pociągu, miasta, jesieni, wilgoci, korytarza, deszczu, miasta, metra, psa, domu, gówna, stęchlizny, błota, trawy, jeziora, mokradła, trzęsawiska, ubrania, cerkwi jak statek kosmiczny ponad wsią, wody z nadmiarem żelaza.

Zmieścić to wszystko, to doświadczenie, na główce od szpilki. Doświadczyć. Zdażyć przed nocą. Żeby urodzić się, nim się umrze.

Człowiek od pięknego domu. Dlaczego nie zapytałem go, czemu lwy trzymają w łapach białego orła? Polak?

Po co tu przyjechałem? Żeby pocałować ziemię z głębokiej potrzeby. Z zachwytu. Nie z zachwytu: z miłości. Patrzeć w zachwycie. Żegnać się i witać na nowo z człowiekiem, górą, lasem, drzewem. Czuć się w domu. A obraz? Zaledwie liche narzędzie.

Okular. Jeden. Pierwszy. Patrzeć Terborchem. Okular drugi, patrzeć Teofanem. Uczinik. Wieczny. Strannik jurodliwy. Bogobojny. To ja.

Kultura rodzi się w piekle. Nie w raju. Chaos jest przekleństwem czy darem? Zły chaos, dobry chaos. Syberia. Polski Oświęcim. Setki lat. Tyle zsyłek w ostatnią wojnę: cztery. Ziemia przeklęta. Gubię drewniany krzyżyk.

Wiem, pamiętam. Rinok w Kamieńcu Podolskim. Kupiłem na tym stoisku, zaraz jak się wchodzi. Jakby mi go zabrali. ONI. Zostawię wam. Został w lesie.

Iwona: „Ja się zastanawiam, czy ty jesteś bardziej zwierzęciem czy człowiekiem. Ty tu pasujesz. Jesteś jak Mongoł, najeźdźca, zdobywca. Najeżdżasz, zdobywasz”.

Pocałowałem ziemię. Na znak przymierza. Dla moich Kozaków to naturalne, wsio normalno. Ziemia twoich przedków. Tak, nada. Nie chciałbym być w ruskim piekle, a chciałbym być w ruskim raju. Z banią i pirożkami z mięsami.

Bania u Iriny jest jak domek dla dzieci. Maluska. Pstryk, pstryk, pstryk. I nic. Świat z datą ważności. Nie dla mnie. Żądam obrazu, nie fotografii. Z nożem pod poduszką. Śpię w tłumie.

Olga w nocy wymiotuje pod piec okrągły. Prosto z łóżka. O, Boże.

Helena siada na brzegu łóżka, w dresie. Długo nie może zasnąć.

Czekam na świt. Jest. Noc i smutki. Idę do kuchni, tam gdzie piec chlebowy. Wkładam moje buty wysokie, zdjęte z pieca. Szczęśliwy świt, cisza i mogę pstrykać. Wstaje słońce nad Stijekłanym Zawodom.

Żądam obrazu, nie fotografii.

Na prawo lądowisko dla helikopterów. W Kirowie. Myślałem o Andrzeju Lejczaku. Przodku. Zesłano go tu do Wiatki, do rot aresztanckich, za to, że walczył u Rębajły.

Talica. Stare kładbiszczce. Stary cmentarz. Las. Domki. Niebieskie okiennice. Stoimy. Idę. Pod wysoką, białopieną brzozą kłękam. Patykami robię krzyż na ziemi, sypię nasioną trawy i wtykam cebulki krokusów. Trawa będzie tu rosła do końca świata.

W Skorodumie, na pagórku, czterdzieści metrów od resztek młyna, melnicy. Na górze z wysmukłą, samotną brzozą zostawiam, wtykam w mrowisko, Ryśka białe, plastikowe pudełko po lekarstwach. Patyk z Gajdymancy, nasiona trawy.

Wieszamy z dziewczynami po jednym ptaszku. Na gałęziach. Mokro. Schylam się, zgarniam ziemię. Wkładam do czarnego woreczka i chowam do plecaka. Tam las i tu las, spokój, normalno. Tak ma być, jestem. Wpieczętowany. Pozostaję w zachwycie.

Dzień pierwszy. Moskwa. Syberia.

Syberia za trzy dni. Przez Pietuszki Jerofiejewa. Przez kłótnie, ale załagodzone. Powrót przez Arbat. Już miło. Wszyscy. Helenka, Olga. Też z ulgą, że po. Moskwa. Plac Krasny. Sobór Zbawiciela. Rzędy samochodów. Blisko. Pomałowałem. Za niczym nie tęsknię. Demony śpią. Jestem, jadę tu, żeby patrzeć.

Drugi dzień. Leje jak z cebra. Białe ser, chleb czornyj. Targ z Gajczakami. Inaczej. Czasem lubię samotność, mimo że oni mili. Malowałem po oczakowskim piwie. Zgodniej. Obrazki standardne.

Wtorek. Jesteśmy. Ładny listopad.

Środa, leje.

Czwartek. Marek filmuje, jak jem słonecznik.

Piątek. Na targ. Iść. Cukierki uzbeckie. Wiszą. Plac Czerwony, kawior z blinami, Helenka ścielająca łóżko. Iwona z Olgą. Zmęczeni całym dniem Moskwy. Widok z mostu zachwycający.

– Dokąd idziesz?

– Nie wiem. Donikąd.

Po kieszeniach zapasy prażonego na patelni słonecznika. Chodzę. Żuję. Pluję. Nie wolno fotografować. Chodzą za nami ochroniarze.

Tadżyjka z naczyniem od uroków. Przyklejam na targu. „Nie ma pirożków z mięsami tak od rana. Patom budut”. Właściciel ma polskie korzenie.

Marek z kamerą potem na moście, rozdzieliliśmy się, my za Trietiańską do kawiarenki.

Przyszła Alina Urazbekowa.

Wiem, mieszkamy w środku Talicy przy Lenina. Hotel. 6 Kanał. 5 piętro. Wejście od podwórka. Oddaję jej parasole. Awantura o plamy na dywanie już się ulotniła.

Jedziemy. Jutro, w piątek, o 16.50.

Wagon numer 8. Jedziemy. Jak w maglu. Pierwsze wrażenie.

Pościel, miejsce trzynaste. Siedzę. Czy to jest ten słynny Włodzimierz z cerkwiąmi? Szkoda, że nie możemy być w Ufie, podoba mi się nazwa.

Ufa. „Popatrz, niedaleko jest do Samary”. On czule dotyka dwoma palcami jej nosa. Ukрасzenia.

Długopis znaleziony przy Jugo Zapadnoj. Sceny pociągowe według Piotra Jar-gusza. Pociąg na Syberię. Koniec sierpnia. Pytam Iwonkę, gdzie jedziemy. Odpowiada: „Wszędzie, gdzie jedziemy, jedziemy do domu”. Ładne.

Matka. Córeczka patyczek, a ona duża. Przyszła. Pogłaskała, okryła, poprzykrywała, pocałowała. Za dwa dni będziemy. Czy odnajdę to? Szeregi domów przy torach. Graffiti. Widok smutnej mulatki. Szeregi garaży z wywietrznikami. To ta sama Rosja. Inna niż ta wczoraj. Jutro, pojutrze.

Szukam tu spokoju. Pewności dla niepoliczalności, czasem niepoczytalności. Dobrze trafiłem.

Modliłem się w cerkwi na Dworcu Jarosławskim. Matka ślicznej znowu przyszła. Kocha.

Ludzie już porozbierani. Leżę. Dziewczyna w czarnym body czyta, ma spinę ze sztucznymi kamykami we włosach. Lubię ten świat. Iwonka leży na wolnym miejscu. Mamy miejsca od 14 do 27.

Inteligenta dziewczynka, którą spotkałem przy pierożkach, zmierzyła mnie krytycznym spojrzeniem. Od stóp do głów. Leży akurat pod Helenką. Jej babcia pod Olgą. Jadą do Surgutu. Helenka ogląda filmy. Olga słucha muzyki. Marek śpi. Aneta czyta. A my? Iwona śpi, ja piszę legendę. Dzieci idą do szkoły. Różowy, seledyn i błękit. Kolory, w które się stroi ruski dwór. To są inne światy. Podobne, ale inne. Można tylko udawać, że takie same. Jak w Polsce. Wyślę dokumentację moich malowideł w Rosji do muzeum w Permie.

Iwona: „Z wąsem jesteś gatunkiem wymierającym”.

Połknięci przez potwora: Andrzej Lejczak we Włodzimierzu i mój dziadek Józef Lejczak. Dwukrotnie. Najdłuższa podróż życia wydaje mi się krótka. To tylko Talica, nie Pekin.

A jednak straciliśmy swój męski świat. Został nam świat delikatny. Z kobietami.

– Nie uważasz, kochanie? – Co myślisz? – Co dzisiaj robimy? – Jak się czujesz? – Czy było ci dobrze? – Żal trochę.

Zum. Prywatny świat to zum. Inaczej – bez dobrego zumu – nuda.

Pietuszki mineliśmy, ale tym, czym były Pietuszki dla Jerofiejewa, nigdy nie będą dla mnie.

– Wstali – rzuciła kategorycznie. Antypatyczna.

Moje miejsce: wzięt. A potem przedstawiłem się i miło. Opowiada o wypatrywanych grzybach z helikoptera. Pół godziny i trzysta grzybów. Pierwszy raz, jak przylecieli się osiedlić w 1970 roku. Minus pięćdziesiąt sześć stopni, a oni w namiotach. Teraz już jeden syn w Riazaniu, a drugi czternastoletni we Włodzimierzu. Opowiada o mężu Polaku spod Krakowa.

Wszyscy śpią. A. i M. odpłynęli.

Noc. Droga, wszyscy na Sybir nią jechali. W 1921 moi dziadkowie przymarzali do ścian. Leżeli tak samo jak blondynka, jak dziewczynka, którą przykrywała mama, jak para. Jechali towarowym.

Namalować współobecność. Współplemienność. Nie pozwolić sobie tego poczucia zabrać. Moi szukali spokoju. Uciekali przed wojną, rewolucją. Ja SZUKAM SYTUACJI. Wieczny uczeń.

Notes dziadka, czarno-złoty, z koniczynką. Jego fotografie leżą na stoliku koło termosu. Wezmę na wszelki wypadek. Nieliczne pamiątki. Niezbędne, by rozczytać przeszłość.

Śpiący, podpisuję swój rysunek. Myślę, że ja wracam, ale to tak, jakby oni wracali. Tu, we mnie. Znanie, a szczególnie. „Widzieć” zamienić na „wiedzieć”.

Kasia Widmańska opowiadała mi w Bunkrze o staruszce, znajomej jej babci, która codziennie dotyka i głaszcze wszystko w swoim domu. Żegna się ze swoimi rzeczami. Tak codziennie. Ładne.

Codziennie. Tacy sami, a nie inni. Z poczucia jakiegoś bezpieczeństwa. Te trzy sta grzybów w pół godziny i na grzyby helikopterem, o których opowiada Irina, robi wrażenie. Pięćdziesiąt sześć stopni.

Talica. Taxi. Sto i sto pięćdziesiąt rubli. Jedziemy. Dworzec talicki w mroku. Patrzę na chatki i drogę. Do Jartarki nic nie jeździ z Talicy. Droga straszna. Placyk. Hotel. Śmierdzi. Cytrynówka na dobranoc. Fundacja Marka i Anety. Helenka: „Zdecydowałam się”.

Poniedziałek. „Nie pocałowałeś mnie”. Pocałowałem.

Jestem tu, gdzie jeździli po głowy cukru, po wszystko. Normalnie: ich miasto. Niebieskie okiennice, gdzieś domki. Pamiętające czasy Poklewskich.

Targowisko. Szyszki z cedru. Nóż Kizlar z magazynu. Wódka Trocka. Przez Jar tylko do Jartarki.

Co zrobić? Talica, dnieje. Wstaję. Patrzę na panoramę. Jak biednie. Dzielnica Rio de Janeiro. Zachwył. Czas się cofnął. Idę. Lodowato. Niebieskie okiennice w domach. Wyrzeczane. Człowiek. Czemu fotografuję?

Jesień. W górę, w dół, przez most, do pałacu Poklewskich. Szukam. Potem znajduję cmentarz. Stare kładbiszczce. Dzięki pani spod czwartego. Przeprasza. „Tak nie mogę. Muszę się przebrać”. Idziemy. Tu w górę. Jest las, taki kryspinowski, po bokach posadzili domy. Już wyglądają jakby miały po sto lat. To tu wypatrzyłem brzozę. Jest. To tu. Wołam do Iwonki, Olgi i Helenki. Sypimy trawę i wtykam cebulki kro-

kusów ze Starego Kleparza. I to coś od Ryśka. Pacierz i idziemy do cerkwi. Po drodze. Talica, jaką widzieli moi dziadkowie.

W cerkwi. Iwonka ze mną. Klęczę, modłę się. Są ze mną, ale najbardziej się cieszę, że Iwona jest ze mną, że Olga jest, że Helenka. Wracamy żółtym autobusem.

Pielmieni w Café podaje nam Orłowska. Ojciec i matka nie żyją, ale byli z Żytomierza. Nasza pani chciała nam pokazać banię. Dziewczynka w deszczu biega od domu do domu. Jej mama akurat weszła do bani... „Może u tych, u nas jest, ale jeszcze nieskończona. Zadzwońcie do Pawłowskiej”. Polskie korzenie. Powiedzieć, że od Kleopatry, Dary.

Książka od Michała o Poklewskich w Talicy. Od pani Tamary wędrówka. Od pani Orłowskiej herbata dodatkowa.

Poniedziałek. Noc. Dobra. Leje. Szaro, buro.

W okienkach światło. Siódma rano. Naleciały komary, mimo siatki. Nie mogłem się odgonić, całe chmary leżą na klatce schodowej. Odór. Dobrze, że za żelaznymi drzwiami ze sztabą.

Helenka i Olga mieszkają razem. Słyszałem ich rozmowy wieczorem.

Poniedziałek po świcie. Zrywam się, żeby wyjść i żeby iść. Idę. Muzyka zza przedszkola. Domy. Urok biało-turkusowych malowanych, wycinanych, ażurowych, lazurów okiennic. Foty.

Dwór dymi. Nie dwór, jakiś budynek po Poklewskich. Ziemska uprawa? Może. Jesień. Wrócić.

Na cmentarz na górę.

– Tam były lwy, jak byłem mała. Takie ogromne. Tam. – Tamara pokazuje ręką.

Tam. Czyli tam, gdzie trawa. Cała góra była cmentarzem.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

Coraz bardziej ciepło.

– Banię wam pokazać? – Pyta dziewczyna.

Ani tapety poklejone taśmą klejącą, ani odór na schodach, ani kłębiące się przed szybą komary – nic mi nie obrzydzi wdzięku miłej sprzedawczyni. „Nie mam czasu chodzić. Do pracy i tyle”. Ta, u której kupuję dwie smycze. I obrozę.

Ani dziewczyny na pocztę, szukającej Balukiewiczów w Internecie.

– O której mamy się spotkać? – śmieje się.

– O piątej..

Ani tej z rogu dworca autobusowego. Coś jak zachodnie miasta z czasów poszukiwaczy złota. Mówiącej: „Weźcie czekoladki. I przyniesiecie mi cztery ruble, dzieci muszą mieć”.

Ani Michaiła mieszkającego w domu guwernantki Koziół-Poklewskich, ani człowieka dającego nam książkę o Talicy z dedykacją.

Ani pani, która nas oprowadza i z którą mam się spotkać o trzynastej, ani dziewczynki, która biega w dziesięciu stopniach, w deszczu, by u sąsiadów pokazać nam banię.

Zgadza się. Dobrzy, uczynni ludzie. Normalnie.

Dzwoni Irina Borowska, ma jeszcze dwie i pół godziny. Pyta, czy dojechaliśmy i czy wszystko dobrze. Nad Morzem Białym u nich piękne słońce.

Jestem na Syberii, a czuję się lepiej niż w Moskwie, niż w Krakowie. Czemu tak?

U nas 6.35, w Moskwie 8.35, tu 10.35. Nauka względności. Prawie świta.

O ósmej otwierają sklepy. Nasza czwarta rano. Kupiłem nóż Kizlar. Jedyny. Na kaczkę. I smycz dla Amelii. I smycz dla Ryśka, i obrozę dla Zagaja.

Tyle. Milcz. Tamto powstanie to było powstanie warszawskie. Nieliczni przeciw imperium. Heroizm zwyczajny, normalny, jestem zachwycony. Po to tu przyjechałem. Żeby Irena dzwoniła znad Morza Białego z helikoptera, wiertalota, czy nam niczego nie brak.

Czemu woda tu jest zła? Wpadłem do rzeki. Pyszmy? Nie, Bordianki.

Kupki drzew z brzozy przed domami. Świecą się franki na pomarańczowo. Chce się wchodzić. Dzieło latarni. Patrę. Chłonę. Troicki Posiulek, tu była fabryka Ubriumowa. Tam dobra woda. Tu Józefa Balukiewicza, syn pracował.

Jednak jedziemy. Leje. Sto siedemdziesiąt rubli. Ryśkowi obrozę. Jutro Jartarka. Blisko coraz bliżej. Środa. Czwartek. Piątek.

Dym z komina. Plan na dzisiaj. Do cerkwi Piotra i Pawła po zioła. Trawy. Po ulicach. Godzina polska 2.48, godzina moskiewska 4.48 i talicka, tutejsza 6.48. Przestało się dymić.

Biorę chleb, sadło. Komary nad łóżkiem. Szkoda i czasu. Chaszcze w talickich ogrodach. Żółkną w oczach. Przed domami stosy brzozowych dREW do palenia. Samochody kołyszają się na wybojach.

Błoto. Trakty błotne. Nie ulice. Latem musi się kurzyć. Idziemy z Markiem po taksówkę. Rozmawiamy. Siedemset rubli. Wystarczy.

Prowadzę. Przez Lenina, obok Dzierżyńskiego. Tam dziadek mój chodził rano z bańką po mleko. Pod cerkiew. Jedziemy obok cmentarza na górze. Jest. Już. Znajduje świętego Jerzego. Ziola. Zamieszanie.

Kłęczę. Wrzucam sto rubli do skarbonki. Tu. Oswojona Talica. Cerkiew. Pałac Poklewskich. W dole stieklany zawód. Tu mieszka Michaił od książki o Talicy. Dał mi ją z dedykacją. Tu pani od cmentarza i piętnastoletniej wódki. Tu dziewczynka od bani. Tu Orłowska i miła od czterech rubli. Jedziemy. Priamo na Jartarskij. Pola. Wsie. Barany brązowe. Tędy jeździli mój dziadek, Babcia... Końmi, saniami. Tędy. Tu, przez wsie. To stara droga. Biała cerkiew, gdzie zbieram nasiona nasturcji, gdzie ślepa kobieta i wiatr, i zacina wycieraczki. Wolniej.

– Władymir Michajłowicz jest?

– Nie ma.

Mam wrażenie, że już tu byłem. Pola. Fotografuję. Pietia. Wyciera mi krople deszczu na szybach. I pstryk.

Tu Józef Balukiewicz jeździł do domu. Tu go opadli Tatarzy. Tu polował. Tędy jechali do ślubu.

– Nie tędy. Z Talicy do stacji Troickoj, wtedy Poklewskiej i pociągiem do Jekaterynburga.

Od Niny Siergiejewny książka. Ona mieszka w Talicy. Przyjmuje nas najserdeczniej. Daje jej wódkę Marka. Ona – kazachski koniak. Opowiada o Chanty-Mansach. Pierwszy raz widzę okrągłe, ogromne piece. Zaprasza za dwa dni. Pokaże kopiec, tam, gdzie była bitwa. Jezioro. Pojedziemy. Okrągłe, ogromne piece w administracji. Jartarka. Leje. Zimno. Wiatr.

Jednak ubłagaliśmy. Brzozy, daleko. Maślaki, rudo. Jesień, plus dwa stopnie. Czwarty września.

Spokój. Grzęźniemy dalej. Po czterech kilometrach koniec, wysiadamy. Dalej trzeba podejść. Zbocze i las. Tu stały domy.

Wracając. Jest kretowisko, mrowisko. „Włóż ode mnie”, mówił Rysiek.

A jednak to tu – mówi mi intuicja. Wiem, jestem bardziej niż pewien. Dziewczyny moje brną. Położą drewniane ptaszki na brzozie, a ja patyk z Litwy, nasiona. Jeziora nie ma. Obozu pionierów nie ma.

Wstaję wcześniej rano. Przejrzysty las... Jesteśmy. Jestem. Cisza. Las. Jesień. Wracamy. Śpimy za okrągłym piecem w Jartarce. Ulica. Dom zniszczony, okiennice. Irina Jutakowa. Piec chlebowy. Dziewczyny załamane. Siedem tysięcy rubli, nowy.

Jutro. Jutro Jartarka ciąg dalszy, potem Talica i Moskwa. Jedziemy. Zagadkowo swojsko. Jest Jartarka. Pomnik. Fabryka Poklewskich, rozwalona. Prowincja. Syberia. Skoroduma moja. Swojska.

– Dawaj. – No dobra. Nasi taksówkarze jadą. Motocross. Wielki. Jest. Ptaszki. To tu. Wiem.

Środa. Wstaję o trzeciej, czyli o siódmej tutejszego, jartarskiego czasu. Idę do lasu. Całuję ziemię. Łąka. Tak. I dalej pod brzozy. I były tu sosnowe bory. Pies. Pies. Czuli się.

Odnalazłem wszystko. Skorodumę i mrowisko. Jezioro w Jartarce. Raj. Tyle. Jestem szkołą. Bogaty pan. Ja. To obmacywanie świata codzienne, jak ta staruszka. Żeby porozmawiać z drzewem, z trawą, z psem, żeby wiedzieć, gdzie się jest. Całuję pole, ziemię. Kozacy rozumieją.

– To święta ziemia, gdzie żyli twoi przedki.

– Za Rosiju. – Wstają. – Za Polszu. – Wstają. – Za wstreciu. – Wstają. Wstają za druźbu.

W naszej izbie pod piecem chlebowym wyglądamy jak z osiemnastego wieku. Bez różnic. Może żarówka niepotrzebna. Dziewczyny ze mną, Aneta i Marek na drugim łóżku. Łóżka dwa. Nad naszym, gdzie śpimy w czwórkę, w ubraniach, na ścianie matakka. Trojka, wilki, wywijający batem woźnica...

Przyjechali. Czekają od godziny. Z tortem.

Jedziemy, to kozacka muzyka. Chodzę tak samo jak oni. Jedna kultura, Władimir. Uniform, nie uniform, to dusza i miłość do koni.

– Daj nagan. Mogę? Kiwa głową.

Strzelam, echo niesie się nad jezioro, na puszcę. Odnosi dźwięk. Puk, puk, puk.

Zapriegaju trojku, borzych tiomno karych łoszadiej i pomczius ja w noc morozuj.
Priamo k Liubuszkie mojej. Jedu, jedu, jedu, jedu, priamo k Liubuszkie mojej...

Znam czterysta lat mojej genealogii, ale na pytania, skąd i kim byli, nie potrafię szybko odpowiedzieć.

Pytam o duchowość, skąd ona taka. Czas. Piętnaście tysięcy żyło w Jartarce, teraz osiem.

Chińczycy pokupowali metal, nawet łyżki.

Lubię te drogi, lasek. Mój dom to tam, gdzie ta syraja krysza i antena.

– Dawaj na Skorodumę.

Jest znowu. Przejechaliśmy po wybojach. Bór sosnowy i brzozy, lagier.

– Stojął tu domek, a mielnica tu.

Wietrawucha. Wietrawucha?

– Dom się kończy ja też –

mówi kobieta z domu z chodnikami suszącymi się na płocie, przy drodze do szkoły.

To tu. Widzę moją Babcię w białym fartuszk. 1908 rok. Nie. To nie ta szkoła. Tamta drewniana spaliła się.

Władimir. Orienburskiej sotni. Kozak armii kozackiej. „Pięćdziesiąt łoszadi. Stara szkoła była drewniana, spłonęła – mówi Władimir – w siedemdziesiątym roku”.

Prezent od orienburskich Kozaków...

W. nie pije, nie pali. Sto dwanaście wnuków, po dziewięćdziesięciu dzieci, z osobna.

Czuli, uśmiechnięci, rozumiejący się w lot. On nie widzi, spalił oczy w steklanym zawodzie. Ona nie słyszy. Teraz siedzi na kamieniu.

– O której?

– W połowinie do trio.

Irina przyszła nas odprowadzić. Gości trzeba odprowadzić. Tak, jestem w naturalnym środowisku.

– Jak się nazywają twoi koszyki?

– Chwila, Dasza i... Dasza.

Uśmiech dziecka.

– Pies?

– Dima, Dimka. – Irina uśmiecha się.

Zadatkowałem trzy stowy. Chciała za darmo. „Wazmitie”. Irina pracuje w sklepie. Nie miałem sumienia. Dobre dziecko, mąż poznany „po telefonu”...

Bez dzieci od czterech lat. Dlaczego go nie pytałem... Dzwoni cztery razy. Chciała nas oprowadzać. Walentyna. Nizny Tagył. „Błota tam, nie przejedziesz”.

Jesień. Ogromne piece, obite srebrną blachą. Wzruszenie. Szyszki cedru. Do bani. Weźmi. Podpole. Wzruszenie. Wszystko mi dobrze znane.

Skoroduma bez jeziora. Wszystko porosły las i trawa.

Jartarka jak ze *Stalkera*. Szkło szklę się na drogach. Drobinki. Domki na hałdach. A las zachwycający. Taki mazowiecko-morski.

Wowa ma błękitne oczy, kucyk i szeroki uśmiech. I etos Specnazu. Chce zbudować dom i ożenić się.

– Dawaj, jedziemy. No, wsio normalno.

Muzyka. Kozaki. Pieśni. A tych nie znam. Gdybym mógł, mógłbym płakać ze szczęścia. Ale nie mogę.

Deska u mojego sąsiada. On też Kozak.

Noc. Mrok. Patrzę. Olga wymiotuje z łóżka pod piec. Helena w czapce siedzi na brzegu łóżka. Przerażona.

Dom. Czarny, brudny, z prehistorii. Dom zły. Bania. Wchodzę.

Ja myślałem, że dla wariatów domek dziecienny. Miniatura. Skobel. Portrety gospodarzy, dawno pomarli. Jajko na palenisku, kurczak w pudełku. Kot szaro-biały, z plamkami.

Irina: „Koty jak przychodzą, nie należy wyrzucać. To znaczy, że to dobry dom”.

Plamy światła. Las. Trawy. Mech. Ogromne sosny, takie ogromne.
Piątek. Rynek. Rano muzeum. Dendrarium.

Kontemplacja. Czulość oka. Rysunek konturu, czyn. Po to, żeby zobaczyć swoje
plecy, żeby powiedzieć „sztuka nas zbawi”.

Igor Borysow śpiewa pięknie o ziemi, o strzegących nas predkach. Przodkach.
Żeby myślenia nie zastąpiły wygodne schematy.
Dziewczyna z warkoczem. Wysiadła. Robię zdjęcie. Idę. Tualet zanjat.

Pan ziemi. Igor Borysow za Ałtajem ma swoje dwa hektary. Prezydent Mied-
wiediew dał ziemię przodków. Kto chce, niech bierze. Sadzi las. Buduje dom. Wczoraj
urodziła mu się wnuczka.

Głód oczu mam po nich. Obowiązek dania świadectwa. Obowiązek obrazu. Sztu-
ka nas zbawi. A jednak nielogiczna, niespójna. Żarliwość. Moja. Lasy. Uwielbiam tak.
Patrzę za moich przodków. W zastępstwie.

Obraz jest zarówno dowodem, jak i świadectwem.

Trzy czasy. Napatrzyć się na las, póki się widzi. Siedziałem na Mazowieckiej
i myślałem, taki długi las na wiele dni. Śniłem transsyberyjski sen. I mam podarek od
przodków przed Jekaterynburgiem. Najdłuższy, jesienny las życia. Patrzeć całym sobą.
Widzieć. Jestem bogobojny, nie wiem, czy istnieje, ale gdyby moja tęsknota mogła...
Zimny albo gorący. Ja żarliwy.

Kungur. Nocą będzie Kirow, czyli Wiatka.

Każdy ma swoje piekło i swój raj. Od Rosjan uczyć się innej empatii. Wschód ma
wyższą zdolność stwarzania zarówno piekła, jak i raju. To brakujące ogniwa w moim
doświadczeniu świata. Człowiek winny jest drugiemu człowiekowi prawdę. Pytasz
o obraz, a ja maluję, żeby nie gadać. Ale wiem. Przeczuję. Widzę tekst i słyszę ob-
raz, tak mi się wydaje. Nie chcę niczego upraszczać. Trywializować. Byłoby to niedo-
puszczalne.

Noc, czekam na świt. Rosyjski. Te domki, brzozy, błotniste drogi, stosy drewna,
niebieskie ławki, to moje gapienie się wokół. To pytanie o oblicze świata.

Rzeka Urga. Już trzecia herbata. Słońce wstaje.
Homża. Stoimy. Już po wschodzie słońca.

Moja niezgoda na świat na przemiał. Świat z ograniczoną datą ważności. Prze-
żywam. Tu, na Syberii był polski łagier przez setki lat. To była ziemia dla Polaków
przeklęta.

Szczęśliwej puti. Ułożone z białych kamieni. Tak, Miłosz z koszulki od Helenki
ma to samo na myśli.

Obecność obrazu. Obecność cudzych oczu. Patrzysz oczami Terborcha. Patrzysz
nerwowym Pinselem. Twoje piosenki zaśpiewają inni, twoje kobiety będą kochać inni
i twoje wino wypiją inni. Horacy...

Galicz. Stacja. Leje.

Twoje wymarzone cele osiągną inni. Twoje dzieło skończą inni. A ten świat jest
z drugiej ręki. Ja mam głęboki szacunek i cześć dla niego. I poczucie jego obecności.
Bliski mi jest. Jurodliwy. Boży szalencie. Mądrość, nie wiedza. Mądrości nie mylić.
A pokarm dla Duszy. Nie trzeba być papieżem, żeby całować ziemię. Dla moich Koz-
ków było to normalne. Obraz ma mówić sam za siebie.

Przekonany. Spokojny. Pewny. Silny. Szczęśliwy z obecności tego świata. Talic,
jartarskich. Moskwy z Aliną. Im dalej, tym cieplej. Szalencie boży.

Talica. Targowisko. Szyszki cedru na targowisku za dwadzieścia pięć rubli. Te macam. Czemu nie kupuję? Jutro. Jutro nie nadejdzie. Żadnej godziny tu, na Syberii, nie zamieniłbym na miesiące gdziekolwiek. Nie wierzyłem, że będę tu, gdzie tyle razy w myślach z nimi podróżowałem. Jak tu zwyczajnie, gęsto, prawdziwie.

Patrzę przez doświadczenie. Podróż życia, krótka, lecz esencjonalna, do miejsc opowieści, które mnie od maleńkości kształtowały. One nas wszystkich w domu kształtowały. Nasz stosunek do wartości, tradycji, przyrody.

Jeśli znów wrócę na Syberię, to tylko drogą przez Talicę i Jartarkę, i Skorodumę.

Ród. Dumni i przystojni. Już same córki w rodzie będą potrzebowały tej historii swojego rodu. To dlatego jesteśmy wszyscy, i moja sztuka pospolita, i irracjonalna robota. I te egzorcyzmy. By popracować nad własną niewiedzą, z uczuciem, że jeszcze się czegoś nauczę.

Syberia moja jest pragnieniem spojrzenia na Polskę z daleka. Wrócić i zamienić w doświadczenie, w czyn to, czego tam doświadczyłem. Zawsze myślę o polskiej Syberii, od Leszczyńskiego do Stalina, ziemi dla Polaków też przeklętej. O powstaniu zabajkalskim. Ich listach, które nigdy nie dotarły. O moich pradziadkach i dziadkach, dla których Syberia była domem. O ich tu podróżowaniu w sposób najzwyczajniejszy. W te i wewte. W pokój i w rewolucję. Na tej ich Syberii się w Krakowie wychowałem i nie potrafię o niej zapomnieć. Nie opuszcza mnie przeczucie, że wszystko, co najważniejsze jest niewidzialne. Obraz jako droga do obrazu rzeczy.

Znajduję grób Duchnowskiego. Most. Nad odnogą Pyszmy znalazłem most pomiędzy opowieściami. Nie wiem, ale mam poczucie ważnej obecności. Transcendencji. Bytu. Władimir w czwartek nie pije. Jołki połki.

Grottger, Malczewski. Wieczera Sybiraków. Samowar dymi. Luminizm. Norwid, Słowacki, Mickiewicz... Człowiek jest bytem duchowym. Zakupy w sklepie. Akwarium. W Przysiółku Troickim też jest sklep Akwarium. Bo akwarium stoi przy wejściu. Wódka tiumeńska. Bomby z watą cukrową dla dziewczynek. Piwo, chleb, cukier, woda troicka i woda od pani w gostinicy, w plastikowej bańce. Wszystko naraz. Dlatego błędzę z Niną po korytarzach pałacu Poklewskich. Patrzę na stary, mały komin. Wytarte schody. „Twój dziaduszek tu chodził”.

Uczennice dyżurujące przy stoliczku. Carska moda na stary żyrandol i lustra. Ogromne, okrągłe piece i kaplice. Kaplica domowa jest pod małym, beczkowatym sklepieniem. W lewym dalszym rogu, za regałem sala plastyki, na ścianie wiszą szmacianki – lalki od uroku. Dotykam ostrożnie, bez twarzy albo z krzyżykiem, żeby nie przejąć duszy ich posiadacza. Starożytne. Pamiątka po dawnych naszych bogach. Tak jak figurki zwierząt. Chciałbym.

Syberia przodków. Talica, gdzie urodziła się w 1896 roku w maju moja Babcia, żona mojego dziadka. Tego szesnastoletniego ochotnika legionisty, wziętego do niewoli w Besarabii w 1915. Uciekiniera z seminarium duchownego w Ślemieniu, który wstępuje do Legionów, a potem walczy w najkrwawszych bitwach w Karpatach, potem dostaje się do kozackiej niewoli w Besarabii i wieziony przez całą Rosję powtarza drogę Andrzeja Lejczaka. Podoficera od Karola Kality Rębajły, który walczył pod Jeziorkiem, Mierzwinem, Radkowicami, a potem dostał się do niewoli. Osadzony we Włodzimierzu. Zesłany do Wiatki. Do rot aresztanckich.

Mijam Jekaterynburg – tu zabito rodzinę cara. Niedaleko urodził się Rasputin. Tu w kościele Świętej Anny wzięli ślub moi dziadkowie. Na środku stał katafalk. Kościół Świętej Anny – już jako dworzec autobusowy – w 1960 roku zburzono.

Syberia moja. Naszych zesłańców: Andrzeja i Józefa Lejczaków, Józefa i Michała Balukiewiczów, biskupa Frąckiewicz, Mikołaja Wasilewicz, Bartkiewiczów, Jana Meusa, który w czasie pierwszej wojny pływał po rzece Ural.

Matka nauczyła mnie tęsknić za podróżą. Patrzyliśmy na zachody słońca i odjeżdżające z dworca pociągi.

Stoję. Palę ognisko przy górskiej rzece na końcu świata. Dlaczego czuję się tak dobrze? Dlaczego moja pustynia okazała się tak szczelnie zamieszkała i wypełniona serdecznością, ciepłem i bułeczkami z serem? Tak bliska, tak niezrozumiale bliska. Rozmyślałem, czy potrzebny mi obrazek lochy z trzema małymi przecinkami. Rysiek twierdzi, że tak, że to okazja. Iwona wprost przeciwnie.

A jednak ucieszyłem się z nowego określenia z myśliwskiego słownika Ryśka. Lot Świętego Ducha i taniec śmierci. Dotyczy to sokołów albo tylko drapieżników. Rysiek się na tym zna. Zbierał skrzek z dziur na Błoniach, tam też ploszył zające. Tam, na Błoniach. Niedawno, pięćdziesiąt lat temu. Mój brat ma serce zwierzęcia. Jak starożytni.

Zdobycze. Dżem z borówek. Stoi po nim słoik. Ma dziwną pokrywkę. Grzyby białe, a w nich łupinki z szyszki cedru, od Iriny, na stole, w misce. Dżem z ogórków i cytryny od Iriny Borowskiej znad Morza Białego. Iwonka lubi, zaczęła jeść. Stoją na brzegu kuchennego pieca.

Uschłe rajske jabłuszka, mech, kora i dwa kawałki brzozy. Suszą się. Zdobycze, dowód istnienia tamtego świata. Jest mi lekko ze świadomością jego istnienia. Tego potrzebowałem, miłe pamiątki. Najcenniejsze. Brzozowa kora z Wietrouchy, mech, listki brzozy, dwa liście, duże, skrzyp wiotki, patyczki, rajske jabłuszka z Talicy. Książka, wódka piętnastoletnia od Poklewskich, czyli od Tamary. Widok cerkwi w Talicy. Słój z czymś żółtym. Z dynią?

Rosja. Przerzuciłem most pomiędzy doświadczeniem, ponad czasem. Było to dla mojej wiedzy niezbędne. Po co? Nie wiem. Wiem, że miałem tak zrobić. Udało się.

Ranek. Pierwszy dzień po przyjeździe do Krakowa. Ogarniam bałagan na stole. Czas. Która godzina teraz? Względność czasu. W Talicy 9.00, w Moskwie 7.00, a tu 5.00. Tu, to znaczy gdzie? No właśnie. Patrzę, ze słoja ubywa, w Jartarce pokazują dwa stopnie. Zimno. U nas leje. Po Danusi zostały kwiatki. Fikus i jakieś liście.

Czytam o dwóch artystkach, co wybrały się z artystyczną książką do Krasnojarska. I nic. Nie kochają tam. Fotki naszego pociągu. Znajomy. Nie demoniczny.

Hibernuję. Jesień. Niepogoda. Czytam. Myślę. Historyczna wiedza o Syberii ni-
kła. Książka o Kazimierzu Sobolewskim. O Mizerskich. Złożona. Czytam. Właściwie tak jak Żydzi, tak i Polacy powinni odbywać taką podróż. Do korzeni. Do odpowiedzialności, poświęcenia. Manipulują historią słabych narodów. Tak wygodnie. Jak komu pasuje. Bez pamięci tego, co było. Stać na straży pamięci i pamiętania, choćby było trudne. Brnę coraz dalej.

Martwa natura. Jajko na palenisku. Skorupka. Wydmuszka. Kuchnia Iriny. Teraz nasza. Martwa natura. Kule na szafie. Martwa natura. Nóż. Jeden z trzech. Dagestański. Mój. Drop. W Polsce wyginęły. Taki duży, latający struś.

Kraków, Rysiek. Siedzimy pod Muzeum Etnograficznym. Wieczór. Ciepło. Jemu zimno. „Chodź, wezmę cię na herbatę”, mówi. Ja słucham. Rower obok. Żal. B. poszła, przyniosła wodę, lekarstwa, kanapki, zostawiła mnie. Ja poszedłem na górę. Rysiek stał oparty o poręcz. Schodzę. „Zadzwoń po pogotowie. Jadą do szpitala na Skarbowej”. Blanka się popłakała.

Rysiek. Obraz dzików. Nowy. A teraz inny. A pan Łebkowski mi maluje. Niech maluje.

Miejsce. Gdzie Zachód spotyka Wschód. Polska. Dom wielu narodów. Dom wielu wyznań. W opowieści o aniołach ruscy mistrzowie czasów Jagiełły pomalowali i zamkową kaplicę w Lublinie, kaplicę na Wawelu, katedrę w Gnieźnie i kolegiatę w Sandomierzu. Najświętszy polski obraz, Matka Boska Częstochowska, to ikona Bożej Matki pokazującej drogę. Ikonę przywiózł książę Władysław Opolczyk. Zniszczoną w 1430 roku pokryło zachodnioeuropejskie malarstwo realizmem z piętnastego wieku. Największa relikwia Polaków jest spotkaniem dwóch perspektyw: boskiej i ludzkiej. Spotkaniem bizantyjskiego mistycyzmu z ludzkim realizmem.

Jesteśmy z Zachodu czy ze Wschodu zatem? Zdradzani i trzykrotnie opuszczani. Pod Warszawą, Wiedniem, Chocimiem trzykrotnie ocaliliśmy europejską, zachodnią cywilizację. W 1621 roku pod Chocimiem. Potocki w *Transakcji wojny chocimskiej* (ks. VI, s. 220, wers 285-290) pisał: Husarze „ławą brali pogaństwo na sztychy; Żaden swego nie chybi i trzech drugi dzieje, Że im ciepłe wątroby kipią na tuleje; Trzask potem i zgrzyt ostry, gdy po same pałki Kruszyły się kopije w trupach na kawałki; Pełno ran, pełno śmierci; więzną konie w mięsie, Krew się zsiadła na ziemi galaretą trzęsie”.

I obaliliśmy mur. Legenda. Jestem z Zachodu czy ze Wschodu? Mój dziadek Stanisław, Argus/zów Jarguszów wywodził się ze Wschodu. Fakty historyczne mogą zaczynać się od kolonistów z Zachodu z domieszką krwi brańców „imanych” przez Lanckorońskich i Zebrzydowskich „na pohulankach zadniestrzańskich” w wojnach z Turkami i Tatarami. Krew litewskiej i białoruskiej szlachty. Krew krakowskiego, starego mieszczaństwa z osiemnastego wieku i krew Lejów, idących od Czerwonych i Czerwińskich, od sołtysich dziedziców tatrzańskich hal. Lejczaków, z których Andrzej

Lejczak, zwany Szlachciak, wystawił w 1678 przeciw Pieniążkowi, staroście nowotar-
skiemu, swoją armię złożoną z trzystu górali. To ważna nieznajomość czy też znajo-
mość swojego pochodzenia: od 1590 genealogiczne drzewo. Zdążyliśmy do polskości
przed wspólną Europą.

I złożone pytanie o kod. O moją duchowość. O tożsamość wobec białych plam.
O identyfikowalność. O rdzeń opowieści. Wobec pewności misji, którą ja, malarz, mam
pełnić w dawaniu świadectwa.

Wyliczanka. Na użytek wręczenia Katarzynie Widmańskiej i mnie Nagrody Ars
Quaerendi. Widmańska jest moją uczennicą, ja uczniem Włodzimierza Kunza, Kunz
ucznem Rudzkiej-Cybisowej, Pronaszki i Marczyńskiego, Cybisowa – Pankiewicza,
Pankiewicz uczniem Axentowicza. Axentowicz – Gersona. Gerson uczył się w Paryżu.
Pronaszko uczniem Wyczółkowskiego i Stanisława Dębickiego. Dębicki – Łuszczykie-
wicz. Łuszczykiewicz – Statlera, Statler – Brodowskiego. A Wyczółkowski – Gersona.
Adam Marczyński był uczniem Jarockiego, Jarocki – Mehoffera i Wyczółkowskiego,
Mehoffer – Matejki, Matejko – Łuszczykiewicz, Łuszczykiewicz – Brodowskiego,
a Brodowski – Estreichera. Mnie stworzyła ta krakowsko-warszawsko-lwowsko-wi-
leńska kultura polska. Mnie stworzyła polska kultura, mnie i tę moją potrzebę wolno-
ści też. Ten nasz racjonalny polski romantyzm. I ten mój Kraków, na który narzekam.

Las. 1967 rok. 10 stycznia. Pierwszy mój zeszyt. Pierwsza linijka tekstu: „Daleko za
połem jest stary las. Tam są zające i lisy. I sarny. Tam są nawet wilki. Tam sowy w nocy la-
tają. Tam wilki w nocy wyją. W lesie są sarny. Tam są wilki. Tam sowy w nocy latają. Tam
wilki... Co to? Zając umyka z zagonka. Umyka do lasu. A dlaczego Morus tak zającą goni? Za
ten mały listek kapusty? Smutna jest dola zającą”.

Mam do wilków słabość. Obraz wilka towarzyszył mi całe dzieciństwo. Wilk pa-
trzył na Jasnowice. Na zasypane śniegiem chałupy. Obraz z wilkiem kupił mój dziadek
dawno, jeszcze w Istebnej.

Silva rerum. Las... Las rzeczy.

Tyniec. Po drugiej stronie Wisły. Patrzymy na zataczającego kregi na niebie ja-
strzębia. To lot Świętego Ducha, a taki też nazywa się tańcem śmierci.

- Skąd wiesz, że to się tak nazywa?
- Bo wiem.

Patrzymy z braciszkiem na Wisłę pod opactwem benedyktynów w Tyńcu.

Na masce mojej corsy przykleiłem – na szczęście – naklejkę dwóch orłów, któ-
re dostałem od Helenki na imieniny. Kupiła je na targu w Kamieńcu Podolskim, a ja
przywiozłem.

Las mam przez całe życie za oknem. Mijam, patrząc na drzewa. Drzewo – sym-
bol wszechświata. Drzewo. Raz jest osią świata, innym razem drzewem życia. Rozpię-
te pomiędzy niebem a ludzką realnością. Medium transmisyjne.

Biblia pauperum. Maluję. Wszystko po trochu. Moja biedna sztuka. Moja biblia.
Świątokradcza. Bałwochwalcza. Ulotna. Papierowa. Uboga. Ubóstwo: piękno, które
odrywa się od tego świata. I wizja Marcela Duchampa: „Artysta przyszłości musi zejść
do podziemi”. Czuję, że to warunek przyzwoitości. I drugi. Podróż zadana sobie.

Arthur Rimbaud napisał w *Sezonie w piekle*: „Musiałem podróżować, rozpraszać
wypełniające moją głowę uroki”.

Mroki. Turgieniew leczył depresję. A ja? Po co? Żeby nie umrzeć przed swoimi
narodzinami. Nim nie powiem: Pojedź tam za mnie. Pojedź tam za mnie.

Kolekcja, która nie jest kolekcją.

„Rzeczy widzialne są obrazami rzeczy niewidzialnych i nieuchwytnych, na któ-
re rzucają tylko nikłe światło”. Cytat ze świętego Jana z Damaszku.

Kolekcja. Tkaniny. Lato. Szmaciak od Sołtysów z Łapszanki.

Ślad pierwszy. Zapachu rozgrzanych młocką letnich stodół, kłęby złotawych
cząsteczek w szczelinach desek. Gdzieś żniwa, burza, siano w pośpiechu zwożone
z pola na wozie zaprzężonym w konie. I ja, idący ścieżką w mroku nocy.

Ślad drugi. Kamienie i kule, i noże. Sztuczne zęby, kły, pazury. Są własnością
malarza Piotra Jargusza. Rzeczy potrzebują Domu. Czym są dla mnie przedmioty?
A zabieram tylko te najpotrzebniejsze. Czym są? Zachwytem? Potwierdzeniem posia-
dacza? Dotykaniem czyichś odcisków palców. Tak, są patrzeniem. Tak, są namacalnym
dowodem na istnienie i trwanie innych światów, światów równoległych. Nie są po-
twierdzeniem siły nabywczej, bardziej wzruszeniem nad pięknem. Ideą wizji swojego
domu. Dworu. Jego uzupełnieniem. Za dużo? Rzecz względna. Czas pokazuje, jak z ła-
twością ludzi i ich przedmioty boży młyn mieli.

Mijam. Moja droga Rosjo...

Pytam przez telefon Staszka Rodzińskiego: „Czy gdybyś nie był malarzem polskim, chciałbyś być malarzem rosyjskim? Z doświadczeniem tamtej kultury, tamtej traumy. Przecież razem mamy świadomość ważności Teofana Greka”.

O co go pytam? O to, czy trauma upadła czy uszlachetnia? O ranking traum. Przecież trauma była w całej Europie. Jest doświadczeniem całej ludzkości. Nikogo nie ominęła. Wygląda, że diabeł przemieszcza się z Zachodu na Wschód i z powrotem. Dlaczego jedne traumy wydają mi się lepsze, a drugie gorsze? Coś błędę. Staszek myśli, że zwariowałem.

Byłem dawno u Jerzego Nowosielskiego. Mówił: „Zachód się wypalił, nowe będzie od Wschodu”.

Trop. Trop dobry. Duchowość objawiona. Jadę do Poczajowa. Ale mój katolicyzm mnie ogranicza. Ale czy nie pozwala mi być mistykiem? Czy krępuje mi duszę? Nie.

24 października 2012. Włożyłem z rozmysłem ostatnią z dwóch moich zachowanych białych koszul, które prasowała jeszcze moja Matka, do pieca i jeden z jej płaszczy. Ten smutny. „Żyjesz jeszcze moja stara matko. Mnie mówili, że w salopie starej wychodzisz na darogę patrzeć w dal...” Będzie bezpieczny. Jesienin. Mój ulubiony jego wiersz. A ten drugi został. Jest taki wiersz Herberta. Zapach matki. Tak. Zacieram ślady miłości. Matka i tak nawet po śmierci mi służy, zrobiło się ciepło.

Zostawiłem ten płaszcz, który przywiozłem jej z Cieszyna, z Beatą. Chyba byłem walnięty. Jechać z dziewczyną do Cieszyna i kupować matce kurtkę. Tylko kto miał mojej Matce ją kupić. Szafa zawiera już prawie tylko rodzinne dokumenty. Może ktoś je przeczyta. Czy w to wierzę? Nie.

Rysiek wychodzi ze szpitala. Wraca do siebie z psem czy bez? Nie pamiętam, żeby mógł obyć się bez psa. Teraz deklaruje, że potrafi. Boję się. Zdziaczały pan. Potrafi?

Analiza Iwony: „Jesteś na krawędzi. Interesuje cię tylko to, co masz w swojej głowie. Dokąd się tak spieszysz. Nawet herbaty porządnie nie zaparzysz. Szkoda ci czasu. Nie patrzysz w oczy, jak z ludźmi rozmawiasz, pracujesz na to, żeby być sam i ci, którzy

są z tobą, też. Jak mówiłeś, że obrazy czynią z ciebie lepszego człowieka, to aż zadrżałam. Od piętnastu lat z tobą żyję. Ty się taki sobie podobasz. Wchodzisz i wszystko rozpieprzasz. Bo ty jesteś najważniejszy. Nikt inny poza tobą się nie liczy. Dobranoc”.

Z Czesława Miłosza. Wydruk na koszulce od Helenki. Koszulki na supermena. Sama zrobiła. Przepisuję. Warty zastanowienia.

„Podziwiał i zazdrościł, ale nikomu z tych, którzy, jak on, oddawali się sztukom. Po ziemi chodzili obok niego prawdziwie wielcy, siłą litości, współczucia i miłości, święci bohaterowie. Mieli to, czego brakowało mu najbardziej, i w którym to braku był podobny do swoich kompanów artystów. Bo sztuka, jak wiedział, wymaga całkowitego oddania, które niestety jest oddaniem się w niewolę naszego ego. Znajdując w sobie niemal dziecięcy egoizm, pocieszał się myślą, że nie jest wśród swojej profesji wyjątkiem, ale też wszyscy oni nosili skazę niepełnego człowieczeństwa. Jeżeli urodziłem się takim, że daremnie bym próbował oczyszczenia i wyzwolenia – powiedział – niech przynajmniej moje dzieło okupi mozną słabość i pomoże wielbić w ludziach wspaniałość serca”.

Helenko...

18 października prezydent podpisał mi profesurę.

Moje ikony. Ikona świętego Mikołaja, Sofii Mądrości Bożej, Boga Ojca i Matki Boskiej Eleusy. Wiszą. Moje. Nasze. Omodlone. Patrzę. Dotykam. Wącham. Znajomy zapach. Modłę się. Odkrywam. Obraz materii, koncepcja duchowa, mistyczna. Naznaczony przeżyciem i doświadczeniem. Święty obraz. Natchniona wizja i transcendencja. Piękno zamiast kazania. Obraz – biblia. Dlatego patrzę na realizm metafizyczny. Tamtą praktykę. Tamta hermeneja miała w praktykę malowania wpisane modlitwę, milczenie i ascezę. Czyżbym był malarzem dramatycznej opowieści o wygnaniu z raju? Malarzem religijnym? Malarzem takiej tęsknoty jestem?

W czasach mojego dzieciństwa Zachód był niedostępnym, bogatym światem. Wschód czymś z gruntu gorszym. My w środku. Kiedy bawiliśmy się w wojnę, na podwórku obowiązywał podział. Dobrzy Polacy, źli Niemcy. Ruskim było się za karę.

Urodziłem się na nowo. Mała Europa. Na podwórku bawią się w dobrych Niemców, na bycie Ruskim też jest więcej chętnych.

W Rosji nie szukam dla siebie formy kontestatora inności i egzotyki. Ich polityka mnie też niewiele obchodzi. Jest oczywistością, specjalnością zakładu. I mnie nie

dziwi. Szukam człowieka w świetle ikony. Z tamtym rozdaniem światła i mroku.

Wobec doświadczenia. Pamięci i zapomnienia. Dwie siły pozwalające człowiekowi dalej żyć. Czy przeciwstawne?

Żegnam się w Talicy z Tamarą i Tatianą. „Nigdy was nie zapomnę”. „Zapomnij, tak będzie lepiej”. Ma rację. Ból pamięci. Rozkosz zapomnienia. Destrukcja i rozpaczliwe poszukiwanie porządku. Destrukcja w moim malowaniu pojawiała się jedynie jako ślad niezgody na obraz po wierzchu. Jako wyraz tęsknoty za pięknem i harmonią. Za rajem.

Stoimy nad grobem Włodzimierza Kunza. Biała jaskółka. Metafizyczna i metaforyczna. Metafizyka i sakralizacja pustki. Lubiłem go za wielką kulturę. Za skromność nie na kolanach. Tak, on malował zapis po katastrofie. Swój podział, dramat. Z Gorlicami i Bardejowem w powietrzu. On malował jasne, białe światło. Ja maluję czarne światło. Każdy swoją prywatną metafizykę na kartce papieru.

Sztuka krytyczna mnie nie dotyczy i nie interesuje. Wprostowcy mi wystarczającą obrzydzili publicystykę. Jej jednowymiarowość. Wtedy jeszcze było to ważne i niechciane.

Moja ikona. Odkrycie formy idealnej. Prawda objawiona. Odblask świata nadzmysłowego w zmysłowym. Sens słowa w obrazie, dotknięcie tajemnicy Boga. Okno na świat transcendentny.

„Mistyczna droga duszy odrywająca się od zmysłowej wyobraźni”. „Abstrakcja w malarstwie nie zrodziła się jako czysta gra form, lecz stanowiła rezultat dążenia do materializacji idei metafizycznych”. Profesor Renata Rogozińska.

Ikona. Ikona dla mnie to najdoskonalsza forma malarstwa. Tego szukam. Czy potrafiłbym namalować? Od zawsze zachwyty cerkwią i misterium tajemnicy. Ikony z Sanoka, z albumiku od B. „Przyniosłam ci z kiosku”.

Dlatego Talica. Idę do cerkwi Świętych Piotra i Pawła. Do źródeł.

Formuła szukania. Viator po łacinie znaczy wędrowiec. Bohater obrazów jest czytelny, odbiorca nie ma problemu, by się w nim rozpoznać i utożsamić. Idący albo siedzący. Zdobywca, uciekinier, najczęściej jednak przechodzień. Ale są też jego chleb, drzewo, kamień. I jego cień. Widok zwyczajny, a jednak Viator odnoszący się do mitów, w których nie znajdziemy ani prostych rozwiązań, ani samych szczęśliwych zakończeń.

Między tymi wyobrażeniami człowieka rozpięta jest moja potrzeba opowieści i malowania tego, co nieopowiadalne. Kiedy maluję, opowiadam. Kiedy opowiadam, maluję. Potrzebę obrazu poświęconego człowiekowi mijanemu i przemijającemu. Tęsknotę wyruszenia w drogę, którą odczuwam każdej wiosny, a która jest ciekawością. Jest też umieraniem w jednym miejscu, żeby narodzić się w innym.

W ciągłym ruchu, w gotowości. Wędrują ciało, zmysły, myśli. Człowiek, kiedy idzie, ma swój szczególny wymiar. Inny jest leżąc, inny wstając, jeszcze inny idąc.

Pokusa. Zatrzymać się. Przystanąć, zamierając w bezruchu. Udać nieśmiertelność. Wieczność. Odpocząć. Stać się śladem. Obrazem. Chłapnięciem. Zostawić ślad i ruszyć dalej. Kilkakrotnie napisano w dziejach o nomadach: nikt nie wie, skąd przyszli i dokąd poszli. To droga nas tworzy. To, do czego zmierzamy. Nie jesteśmy prochem. Jesteśmy Drogą.

I obraz jako ślad. Obraz jako znak. Zakłęcie. Drogowskaz. Jak krzyż Tuaregów, który dorastający syn dostaje od swego ojca. Jako talizman na drogę, znak czterech stron świata i prognostyk przyszłego spotkania.

Dlaczego często swoje obrazy rozklejam na ulicy? Na ulicznych słupach ogłoszeniowych? Największe kontemplacyjne obrazy malarze malowali, słuchając kwiku podrzynanych na jarmarku kogutów, do Boskich Matek pozowały im służebne dziewczyny, a świętymi bywali kościelni żebracy. Oni też byli ich pierwszymi oglądającymi, widzami, świadkami swojej transformacji. Przemiany. Obraz jest oczywistością. Zwyczajnością. Codziennością. I przedmiotem, narzędziem i bytem duchowym. Szukanie obrazem jest zarówno potrzebą zrozumienia, jak i potrzebą spotkania. Obraz malowany niesie ważną precyzję. Definiuje niedefiniowalne.

Obrazy w lesie i na polu. Dlaczego? Może to oczyszczający sposób unicestwienia chaosu. Zatopienia go w wiecznej harmonii. Bo od zawsze las był dla mnie świętością. Może też tu jest jeszcze inny symboliczny wymiar. Stefan Balukiewicz, mój wujek, był tu, w Puszczy Białowieskiej, leśniczym.

Viatoris szukający domu to jest symboliczna historia ludzkości, która zaczęła się w momencie wygnania Adama i Ewy z raju. Wtedy człowiek poznał ból i śmierć. Czyli wygnanie jako stan dany, prawie permanentny. Doświadczenie pokoleń moich przodków. Powstania, rewolucje, wojny. Towarzyszem ich był głód i strach. Towarzyszem ich była dziecięca laleczka i kilka drobiazgów zabranych z domu w ostatniej chwili. Dlatego kolejnym etapem, gdzie pokażę Viatorisa, będzie Syberia. Tam w Skorodumie moi pradziadkowie i dziadkowie modlili się słowami: „My wygnańcy Ewy do Ciebie wołamy, zmiłuj się, zmiłuj, niech się nie tułamy”. To moja próba zmierzenia się z doświadczeniem pokoleń. Z naszym wspólnym doświadczeniem.

Zachód myśli raj – myśląc o sobie, a gdzie piekło? Wiadomo. Na Wschodzie. Na Zachodzie nie wiedząc, się wie. Na Wschodzie – wiedząc, się nie wie. Wolę tak. Nie wszystko jest do zrozumienia. Najważniejsze i tak jest dla nas tajemnica.

Może dlatego właśnie ten diabeł, który wie lepiej, mieszka na Zachodzie. Każdy z nas ma swój Zachód i swój Wschód. Ja, polski malarz, w swojej opowieści stoję tak nad tymi doświadczeniami okrakiem, a moje obrazy ze mną. Viatoris to ja.

Akt. Kobieta. Stoi naga. Jest pokraczna. Długa, garbata. Nijaka.

– Czy nie przeszkadza panu, że jestem niedogolona?

– Nie.

– E tam.

Gada. Gdyby to zatrzymać. Że szyje, że sukienkę, że jej facet, troskliwy pielęgniarz, że nie może wytrzymać, jak się pochoruje. Taki troskliwy goni z syropami...

Skończyła o 20.00. Równie.

– Przeciekam, nie chcę panu pokazać rysunków. Ale wtopa.

– E tam. Normalne.

Coś pomalowałem. Za coś ją polubiłem. Niczego nie udaję.

Akt drugi.

– Mam brata.

– Kocha go pani?

– Chyba już nie. Rodzice pili. Pracowałam, żeby kupić bratu książki do szkoły.

Na drugi komplet nie starczyło. Tak...

– Ile ma lat?

– Dwa lata mniej ode mnie. Osiemnaście.

Nagość. Zawsze ciało człowieka wydaje mi się jakimś objawieniem, wielką świętością. Na podobieństwo Boga, genialnym futerałem. Nie mogę się tego poczucia pozbyć. Nawet nie chcę. Maluję na białe długie ciało. Asceza? Tak. Tak to czuję. Wczoraj czytałem o mężczyźnie i kobiecie w judaizmie. Mężczyźnie przynależy mądrość, kobiecie dar zrozumienia. Prawda?

7 listopada. Upadek. Znany temat. Już kiedyś malowałem.

Po Olgę do szpitala.

Pracownia od Ewy Mańkowskiej-Grin. Zimna. Powiesiłem rysunki od Armine

Bożko i portyk znad bani z Jartarki. Zastałem krucyfiksy nad drzwiami i na drewnianym parapecie okna. Te wędrujące krzyże. U Węclawowicza też. Maluję na podłodze. Mężczyzna i kobieta.

Ubywa pieniędzy. Z mojego projektu. Dostałem profesorską podwyżkę. Kropla w morzu.

Z radością i optymizmem patrzę na wieżyczki Bożego Ciała. Samochód na Skałecznej. Tam malowałem swój pierwszy obraz na płótnie na pudle po pomarańczach i szmacie. Może ta pracownia od Ewy Mańkowskiej-Grin coś nowego wniesie. Umyłem podłogę szmatami.

Obrazy nomada. Maluję Wenery. Baby ogromniaste. I myśl, że nic się nie zmieniło. Dalej mężczyzna patrzy na kobietę. Odnajduje jej tyłek, piersi, nogi. I marzy. Dopiero potem pochyla się nad jej duszą. Miłość. Tajemnica. Ale powód, dla którego warto żyć. Dla miłości i przyjaźni. Kobieta i mężczyzna. Raj i piekło.

Napiszę do Rafała, żeby przyszedł. Że zagrzeję podłogę do plus siedmiu stopni.

Napisał Sasza Łopatin. Uroczu: „Witajcie Kochani. Co u Was słyszeć? Ja w środę jadę do Czerniowiec na otwarcie wspólnej wystawy w jakiej wystawiam trzy swoje obrazy, a stąd do Kamieńca Podolskiego na jakiś tydzień. A tak wszystko po staremu, Swietlana chodzi do pracy, ja staram się coś malować. Cyryl też maluje :) Jak Olga, Pani Iwona? Co u Nich nowego? Jakie wrażenia od podróży do Syberii? VIATORIS super. Oglądam, czytam i zazdroszczę białą zawiścią. Pana obrazy to nowy poziom w sztuce, nowe podejście do nadania obrazów widzowi, nie mówiąc już o unikalności samych kompozycji. Brawo!!! Wspominamy, gadamy i myślimy o Was cały czas. Najserdeczniej pozdrawiamy Sasza, Swietlana, Cyryl :)”.

Wczoraj. 23 listopada 2012.

17:43 ja: kocham. co robisz? ja maluję na ulicę

17:44 kleję w czwartek i jestem liczykrupa. Straszny Helena: wrzuciłam Ci zaproszenia na fb:)

17:45 liczykrupa?! hahahah :D

ja: marzę, żeby pojechać do ciebie, ale to w grudniu

Helena: to w grudniu;) byłoby fajnie :)

ja: mam już całą pracownię zamalowaną

17:46 Helena: to znaczy wszystko schnie na podłodze.

wszystko dobrze? A zwierzyńiec?

ja: kocham. Dzięki za zaproszenie.

17:47 pamiętaj o andrzejkach

Cześć.

Maluję. Wchodzę, patrzę. Miotalem się, żeby zakryć i nie pochłapać tych spod spodu. Wróciłem do Wener, a niech tam, i namazałem mena. Członkopodobny kształt ma. Mówi się fallus.

I. zachwycona wywiadem z Jankiem Bujnowskim. Jan skromny. E tam. Ten temat mam opracowany... Ale wyraźnie było mu miło, jak mu powiedziałem.

Mam warstwę białych. Markowi Gajczakowi się jedna podoba. Warstwę leżących czerwonych. Ze szkiców z pociągu na Syberię. Potem są leżący, lepiej: skradający się. Potem są Wenery szare i dzisiejszo-wczorajsze czerwone.

Kto tam mieszkał przed Agnieszka Berezowską w tej kamienicy? (Już wiem: Rosa i Perla Landau z domu Lindenbaun). Dobrze, że zapomniała o Kościuszcze. Na paryskiej grafice przypomina muminka. Ten krzyż pomalowany srebrzanką, stojący na drewnianym parapecie okna, i Tadeusz Kantor sprawili, że uwierzyłem, że to miejsce jest mi przeznaczone. Na jakiś czas.

VI VIATORIS GOTUJE SIĘ
NA ŚMIERĆ

VII MIŁOŚĆ VIATORISA

Miłość. Chyba nie było czasu w moim życiu, kiedy nie byłem zakochany. Viatoris. Ale nie będzie spowiedzi. Miłość jest jak rozżarzone żelazo w rękach. Niebezpieczeństwo.

Żenia Aleksandrowna opowiada, jak matka odradzała jej wyjazd do Rosji. Tam, gdzie jedzie do rodziny, rzucają uroki. „Pojechałam zaopatrzona w całą listę ostrzeżeń”. O miłości mówi: „Miłość najlepsza ta, co boli. Ruskie rozdanie”.

Miłość. Skojarzenia. Czekanie, drżenie, rozkosz. Spokój. Jak Śmierć potężna jest miłość. Czemu Śmierć piszę dużą literą?

Jakby policzyć miesiące, w których nie byłem zakochany, byłoby ich kilka. Rodzinne.

Student rysuje waginę. Uporczywie wpatruje się we mnie, co ja na to. Raz widziałem. Zjawisko. A ja patrzę na atlas, a atlas to dla mnie za mało.

Miłość mija i zostawia po sobie czarną dziurę. Przypominam sobie kobiety. Za każdym razem miało być do końca. „Co zrobisz, jak będę umierał?”, pytałem. „Położę się w twoich nogach”. Słyszałem. Dwa razy. Ładne. Ale nieprawdziwe.

Iwona. Przyciągamy się i odpychamy. A jednak jesteśmy skazani na miłość. Od tamtego spotkania, dziewiętnaście lat temu, wszędzie razem. Z wielką potrzebą i tę-

sknotą za sobą. Niełatwo. Ale dobrze. Ale razem. Dlaczego nie piszę, jak nam dobrze? Błąd. Może jej kobiecą świetlistość i niezwykłość uznałem za tak naturalnie obecne, podobnie jak jej mądrość, że niewartą zapisania. A może wolę milczeć. Jest wiarygodne. Bardziej męskie.

Pisał Izaak z Niniwy: „Umiłuj milczenie bardziej niż wszystkie inne rzeczy. Przyniesie ci owoc, którego język nie jest w stanie opisać. Niech Bóg da ci doświadczenie tego czegoś, które rodzi się z milczenia. Bądź miłośnikiem milczenia, jeżeli kochasz prawdę. Milczenie jest jak światło słońca. Oświeci cię w Bogu i uchroni od widma ignorancji”.

Martwe natury. Jedna z muszlą i rybami. Druga z obmytym drewnem z plaży i amonitem z Tyńca i cytryną. Połowa maluje. Druga połowa gna do drugiej pracowni. Tam to dopiero raj. Połamane gitary i plastikowe narty. Studenci nie widzą?

Kierunki bliskie: Stanisław Vincenz, Joseph Beuys, Anselm Kiefer, Kazimierz Malewicz, Odyseusz, François Villon, Don Kichot z La Manchy. Czytam u Diogenesa Laertiosa o Talesie z Miletu.

Poznać samego siebie. Najtrudniejsze.

Ścieka po kalce woda. Zaparzyłem sobie herbatę, którą znalazłem. Dobra. Bez cukru.

Kto wyrzucił książki do komórki, zrobił mi nimi dużą przyjemność. Rej. O chłopach, o sacrum i sztukach walki. Karate. Czytam na stojąco. Bo nie ma na czym siedzieć. Podoba mi się ten minimalizm. Kiedyś kupię poduszkę i dywan. Perski. I w Persji.

Wybrałem do mężczyzny i kobiety. Te ogromy. Jak im tam? No te penisy... ogromy. Wiedziałem od czego zacząć. Od siły i pramatki. Pra-kobiety.

Na Zwierzynieckiej, Konopnickiej, przystanek przy rondzie Matecznego, Piłsudskiego, na Plantach, przy Szczepańskiej... Potem będzie czas na subtelne, białe. Potem będą skradające się zwierzęta. Co powiesi Widmańska mało mnie interesuje.

Już mnie cieszą. Jestem z polskiej szkoły malowania. I od obrazów skutecznych.

W domu, w kucki, na dywanie w przedpokoju, po trzech piwach przybijałem wczoraj na nich pieczętki. Teraz schną w sypialni.

Wiszą. Patrzę z czułością.

4 grudnia. Przyszedł pan P. Dał nam trzyletnie wypowiedzenie umowy najmu mieszkania. Od stycznia 2016 możemy już tu nie mieszkać, chyba że kupimy.

„Kupcie mieszkanie na święta”, mówi Olga.

Spróbuję. Ale czy 51-letni profesor dostanie kredyt hipoteczny bez wkładu własnego? Problem. Trzeba go rozwiązać.

Iwona na zdjęciach. Dzisiaj nie przychodzi Święty Mikołaj. Ale może przyjdzie Marek Batorski. Przyszedł. Siedzi. Uśmiechnięty od ucha do ucha.

8 grudnia 2012. Ogarniam spokojnie to wypowiedzenie umowy najmu... Cały ten nasz dwór jest, na szczęście, tak tworzony, żeby go wszędzie na nowo przenieść i na nowo ustawić. Ustawić oczywiście dwór zachciankowy. Tylko czy znajdzie się dla niego lepsze miejsce. Nie. Wyjazd do Helenki spada, bo czekam na pieniądze.

Helenka. Złote Tarasy. Natolin. Mały Rzeszółko odprowadzany do domu ze szkoły. Ja czekam w kościele na osiedlu. Mając do wyboru sklep i kościół, wybrałem kościół. Marznę i myślę.

17 grudnia. Czytam same mądre książki. Biblia, Kantor... I co? I mój mózg zapętlą się. Jak zarobić na mieszkanie?

Komputer zajęty. – Masz laptopa. – Pada. – To sobie włączaj.

Maluję kurosów. E tam, chłopów.

Święta idą. O ile więcej filmów o Janie Pawle II, o tyle mniej chodzimy do kościoła. 100 Ewa, 150 mandat. 200 Rysiek. 30 listy do Rosji. 90 naprawa lotniczej kurtki. 300 dla mnie.

Rysiek. Patrzę na niego.

– Ja nie mam rodziny – mówi. – Pies mój to moja rodzina. Chciałem sprawdzić, czy przyniesiesz. Jak byś chciał, to byś przyniósł.

Prawdę mówi. Dwieście złotych mu żałowałem. Płaciłem słupy. 4, 8 z 16 tysięcy, żeby się wszystkie pieniądze nie rozeszły. Wstyd. Nawet w przypowieściach biblijnych jest, jak możesz dać, teraz daj, nie proś, aby przyszedł jutro.

Zachwyca mnie Karolina Lanckorońska. Zachwyt i duma jej z polskości. Pomi-
jając wojny, a nawet i wtedy. Miłość do Polski. Ale takiej nienawiści nie było... Była
do AK, zapluty karłów reakcji, do Solidarności sponsorowanej przez Amerykę. Lech
Wałęsa, mój dawny bohater, teraz bredzi.

19 grudzień, a może grudnia. Taka huśtawka. Ale czarne myśli.

I. zmontowała film. Podobał się. Dobrze. Namalowałem studentom siedzącą
postać. Dam jutro.

Listy do Rosji wysłać koniecznie. Kartki świąteczne... Rachunki, stale za mało
pieniędzy... Zawsze za mało. Czy tak ma być zawsze? Jeśli wezmę pożyczkę na miesz-
kanie, to...

Takie myśli, a obrazy coraz piękniejsze. Takie teraz monumentalne. Połowa na
słupy. Połowa do schowania. Dobry układ. Zarobią na mieszkanie? Jan mówi, że hero-
iczne. Że się spalam we właściwy sobie sposób. Tak mówi, jak mówił Piotr Jarża, za-
nim umarł. Megaloman ze mnie. W liście do profesora Ziejki i wojewody wywiodłem
swoje uczniowskie pochodzenie od Włodzimierza Kunza do Dominika Estreichera.

Łukasz Konieczko: „Wywiodłeś siebie od Adama i Ewy”. Śmiejemy się.

„Nie zżeraj swojego serca”. Przypowieści biblijne mówią: nie martw się.

Kantor, Biblia, Hesse, *Wilk stepowy*, jakiś tekst o diable znaleziony w pracowni.
Eseje o ciemności i świetle Quignarda czytała wczoraj studentka w czasie rysunku.

Impreza u grafików, na którą nie poszedłem, i u studentów, też nie poszedłem.

W pamięci jasełka z Tomkiem Tajakiem i Terefenko, i Jakubem Maciągiem, tym
od fibul, które mi dał. Obiecałem mu jedną z Wener, tę spod Jubilata. Za odwagę mów-
wienia własnym językiem.

Olga w domu, pomimo namów niewyciągalna. Szkoda. Iwona na montażu
filmu.

Lubię malować, pisać, uczyć i spać. Jak zasypiam, przelatują mi przez głowę
setki myśli, sytuacji, fabuł. Czasem myślę, czy jest ze mną wszystko w porządku.

Mama mówiła: „Mam skołataną głowę”. Skołatana głowa. Tak, skołatana głowa.
I spokojna głowa. Jak bym chciał mieć spokojną głowę.

Teksty. Moje. W nich zawrę DOM. Teksty domowe. Jarguszów.

20 grudnia. Czekam. Dałem mężowi Ewy obraz i rysunek dla Noemi Grin.

Rozdałem studentom obrazki z dedykacją: „Radości z wypatrywania betlejem-
skiej gwiazdy”. Wszystkie były imienne. I modelce pani Katarzynie Z. Dostał też Sta-
szek Sobolewski, razem z kulą do muszkietu spod Chocimia i jego zdjęciem na tle for-
talicji w Kamieńcu Podolskim. Ucisnął mnie przejęty, świątecznie. Dostał też Romek
Oramus. „Czuję się zobowiązany”, powiedział.

Iwona musi się z tym domem utożsamiać, mimo że czuje się związana z sied-
mioma przedmiotami. Reszty jest za dużo. Mamy inne podejście do rzeczy. Ja ich uży-
wam jako dowodu w rozważaniach i do patrzenia w stronę piękna. Mam też koncepcję
domu dworu, kilka pokoleń, każde coś zostawiło. Obrazy, biblioteka, kolekcja broni
i kolekcja grafik. Tkaniny, rodzinne dokumenty, wiejskie, łapszańskie, średniowiecze.
Cztery góralskie ciupagi...

Iwona to minimalizm. Minimalizm i jej zadana skromność tego nie pojmuje.
Ani to złe, ani tamto. Tylko inne.

Nikt nie będzie kochał mojego dziedzictwa? Komu przekażę dziedzictwo gła-
sków? Nikt go nie chce. Czy mi też zabraknie dziedzica jak Ryszardowi?

Święta. Bałwanki Olgi wiszą na szafie. Życzenia.

Przyszedł Staszek Rodziński. Do moich studentów. Zaproszony. Miło. W biegu,
w pół do czwartej ustawiam stoły w długi, wąski jeden szpaler.

Świeczniczek nasz cynowy, lichtarz i chrust za czterdzieści złotych.

Jacek Pasieczny. Z Zamościa. Miły. Ciepły.

Staszek przyszedł. Poważny. Zestarzał się. Siedzi. Woda przed nim i Czapski.
Po co malarzowi głowa, czy warto być nieuszeregowanym? Mówi dwie godziny. Jest
w nim ważny spokój. O Józju Czapskim, jak prosto z metra gnał do pracowni, żeby ze
szkicu namalować kobietę w swoich kolorach. Opowiada o zachwycie nad *Ukrzyżowa-
niem* Grünewalda i krakowskim specjalistą od średniowiecza, który na jego Staszko-
wy zachwyt mówi: „Ale te zielenie na dole bardzo byle jakie. Takie tandetne”.

Optymistyczny. Siedemdziesiąt dwa lata. Odwożę Staszka na osiedle. Skończył
się płyn do szyb. Mało co widzę. Miło dziękujemy sobie. – Tyle lat – mówi Staszek.

19 stycznia 2013. Telefonowała Renia do Iwonki. Zmarła Marylka. Maria Macheta, moja chrzestna matka.

Cieszyn. Mały pokój, do którego przywoziła i gdzie zostawiała mnie Mama. Franuś – jak mówiła – przeuroczy. Szewc. Pochylał się w swoich dużych okularach nad butami w swoim warsztacie przy Bielskiej.

Marylka, jak mówiło się w domu, była mojej Mamy najserdeczniejszą przyjaciółką. Osiemdziesiąt pięć lat. Minęła jakaś karta Cieszyna, aperitifów, lesany. Coś czułem, że będę w Cieszynie. Cieszyn był dla mnie zawsze ważny. Matka czarowała mnie nim. Zresztą miała dar czarowania wszystkim i wszystkiemu.

Iwona znowu mi kupiła... A ja jej... Nic. Wstyd mi. Te 1400 będzie na jej rzeczy. I harmonijka od Iwonki. Kupiła mi tam, gdzie zawsze je oglądałem. W małym sklepiku w przecznicy do Wyższej Bramy. Z napisem: „Made in China”. Perrot. Przez całe życie wożę ją wszędzie z sobą. Mimo że nie nauczyłem się na niej grać. Upstrzyłem ją napisami wszystkich ważnych miejsc, w których byłem.

Śnieg. Olga ma od dzisiaj ferie. Dwa tygodnie przy komputerze. Jak manekin. „Manekiny siedzą obok siebie na fotelach całymi godzinami i oglądają telewizor. A między nimi stoi choinka. I tak całymi dniami”. Hiacynta Sowa o podglądaniu sąsiadów.

Iwona po kolaudacji. Lepiej. Zaziębiona. Śpi. Nuda.

Kazałem krzyczeć studentce przez okno. Cisza. Drugiej kazałem pomyśleć o tym, czego się boi.

– Czy mam powiedzieć?

– Nie. Nie potrzeba. To ważne dla pani.

Przepada mi wieczór z rektorem 22. Jadę do prezydenta. Na wręczenie profesury. Szkoda. Lubię. To ważny związek profesora z jego uniwersytetem. Trzeba go szanować. Mam to, co moi szanowani przodkowie. Jedną pracę na jedno życie.

Pani Darii Pietrasiewicz powiedziałem, żeby poszła do Wiesia Obrzydowskiego. Zaprosić na spotkanie. Pójdzie. Zaproszę też Monikę Drożyńską, Zbyszka Bajka, Staszka Wejmana. I... Nie wiem kogo jeszcze.

Czy doszły listy i foty do moich Rosjan? Ciepło od nich i o nich.

Szopka na stole. Gipsowe figurki, siano, mech. Sielanka na 52. Piwo Żubr. Lubię.

Olga na Wielkiej Orkiestrze zbiera pod hotelem Forum pieniądze. Uzbierała sto złotych, ja malowałem czerwone kobiety. Po białych, drugie podejście. Schną. Mokra buty Olgi. Wracam przez Muzeum Archidiecezjalne. Starzy znajomi: Boleściwy Chrystus, Matka Boska z Krużlowej. Jak rodzina.

Sontag: „Miłość to tak jakby zdjęto ci skórę i miałbyś świadomość, że z twoją skórą w każdej chwili ktoś może odejść”. Już za to Susan Sontag może nas zachwycać.

Filmy Iwonki się podobały. Pójdą w święta w telewizji. Jej Papież, czyli *Od początku do końca i początku. Projekt życia według Jana Pawła II*, i moje obrazy uliczne to zdecydowanie niszowa produkcja.

H. w Krakowie. Z psem. Chandra wraca pomimo spania po południu. Pojutrze Wigilia. Z rodzicami Iwonki. Rysiek w drugi dzień. Wszyscy razem, za dużo dla mnie. Zapaliłem w naszym dworze. Ale Paluch zrobił nam psikus. Albo kupujemy, albo wylot.

List: „Dzień dobry Panu. Idę wczesnym rankiem do pracy i WIDZĘ są! Są! Wspaniałe, przyszły, wiszą, me serce radość rozpiera, widzę i nie mogę odciągnąć wzroku... Przyszły, są... Wspaniałe. Myślę, że mogłabym być tą osobą, która wycięła Pańską pracę, żeby mieć ją tylko dla siebie... Dziękuję, że znowu je widzę na ulicach i mogę je podziwiać, dziękuję... Zmieniają one całą przestrzeń. Pozdrawiam”.

Miło. Dziękuję.

28 grudnia 2012. Cel: zarobić obrazami na spokój. Na mieszkanie dla nas i Olgi. Na spłatę kredytu do końca życia. Cel sztuki. Mojej.

Przedwczoraj rozkleiłem. Helenka i Marek w odwodzie. Trzy słupy. Kino Kijów, aleja Mickiewicza i rondo Grunwaldzkie. Ogromne. Mężczyźni. Wojownicy, pancerni. Kawałki się odklejają. Tak mają. Wenery w grudniu, herosi ogromni w styczniu. Na erotyzm przyjdzie czas. Teraz czas archetypu.

Jest jakiś niejasny związek z moim czytaniem *Wilka stepowego*, literatury o czarcie i sztuki karate. Namalowałem. Dziewczyny poszły same na zakupy. Samotna sobota. Dziwnie. Skądś już to znam.

Malować jakbym tracił kontrolę nad życiem. Nie radzę sobie. Tylko obrazy dobre.

Między Facebookiem, wiadomościami i pocztą gmaila. Głupieję.

Wyjść z siebie, ze swojej głowy i się zatrzymać. Życzenia od Iwony.

Podmalowałem pourywane obrazy. Pokleiliśmy na polinicie. Wieczorem na Rynku się zgubiliśmy. Czułem się jak idiota, sam z szampanem. W końcu się znaleźliśmy. Wrzuciłem zdjęcia z ulicy na Facebooka. Są.

4 stycznia. Maluję. Zapomniałem pędzla z samochodu. Maluję szmatą moczoną w polinicie. Torsy. Byle czym na byle czym. Maluję rozkosz z widzenia. Popłoch, nie widzę bez okularów. Widzenie i oddychanie. Strach.

Wilgoć. Wiktor Jerofiejew o tym w *Dzieciach Puszkina*. Wszystko dotyczy mnie.

Smutna, samotna pracownia. Jakiego heroizmu trzeba, żeby z optymizmem patrzeć. Posłałem Helence i Beacie 200 złotych. Zostało nam...

Mało, niewiele mi daje bywanie. Droga moja samotna, pomimo i obok. Czuję tylko, gdy inni są dla mnie ważni i gdy czuję ich prawdziwość. Jedynie to rozpoznaję.

Namalować Wenery dla siebie. I Olbrzymów. Uliczne są już poza moim zasięgiem. Ktoś zerwał jeden obok mostu Grunwaldzkiego. Kleję Mędrca. Ktoś przykleił ogłoszenie o zaginionej blondynce na moim obrazie naprzeciw AGH. Te akty rozchla-pane, szmatą malowane polinitem ze strychu. Wracają sutki. RK. Z przypomnienia. Kiedyś. Jak wtedy.

6 stycznia, wiadomo 2013.

Sen. Wieloelementowy. Codzienny. Wracamy z Iwonką i Olgą? Z daleka? Stoimy w parku. Patrzymy: w drzwiach naszej kamienicy Mama z Ryśkiem. Przechodzą przez naszą ulicę. Zatrzymujemy się przy wejściu do parku. Rysiek chłodny, zdystansowany. Z chłodną ręką. Mama w swoim zielonym żakietu, białej koszuli i czarnej spódnicy. Jedyne, co mnie dziwi, że nie ma swojej okrągłej, srebrnej broszki z syrenką, którą zawsze nosi. Jak jeden brakujący puzzel. Coś mi nie pasuje. – A gdzie masz broszkę? Znajdę tobie – mówię. Dziwne...

Trzeba odezwać się do Ryśka, nie zostawiać go samego. Wstyd.

Martwię się. Znowu skończyły się pieniądze, prawie. Zostało 250. Rano wysła-łem Helence 200 na wydruki. Prosiła. Jej mama nie dostała. Czekają na przelew.

Napadało. Białło w parku. Czy zarobię na mieszkanie, czy nie? 450 000 na kredyt hipoteczny. Ostatni moment, żeby go brać. Szkoda, że tak. A mogło być spokojniej.

Olga czyści swój pokój z obcych elementów. Już nie ma krzyżyków, srebrnego ryngrafu, mojego obrazu z palmą, fotografii Babci Ireny i mojego rysunku z Babcią Heleną. Wcześniej wyjechały lalki, zabawki. Szkoda. Ten jej pokój, urządzony jak dla stuletniej staruszki z dworku, musi ją uwierać. Trudne dziedzictwo. Czy to wszystko, co zbieram z miłością przez lata, rozsprzedza jak Blanka? Czuję, że dziedzica na razie nie ma. I dobrze, i źle. Może za mało rozmawiamy. Ale trudno, jak nie chce. Szkoda, czas nie wróci. Zapewne ma czas szukania siebie.

Miłe, że pies i kot w nogach. Najbliżej. Kot wchodzi na mnie, a pies... Też. I siedzą. Tak.

Pisać. O tym, co mi siedzi w głowie. Po tym, co i jak maluję, coś się we mnie porobiło. Nic i nikt już nie zagna mnie do kurnika. Ani patykiem ze złota, ani patykiem z żelaza. Już się nie da.

Wczoraj Fangor. Nudny. Malarz jednego sposobu i czterech twarzy. Léger, Picasso, Nacht... Malarz ustawny.

Wracając, kupiłem ciastka w Cracovii i odkleiłem z mojego obrazu na słupie pod kinem Kijów przyklejone reklamy.

Miał rację malarz Frenkiel, kiedy mówił, że tylko nieuszeregowani mają szanse.

Aneta Zagórska była. Czytała o moim kamieniu wrzuconym do rzeki, zmieniającym kolej rzeczy. O czterdziestu sposobach miłości sufickich. Dlaczego nie zawiozę Niemcom moich obrazów? Bo nie. Mam prawo.

Świadomość urosła, tylko kasy brak. Myśleć o czymś innym. Nie marnować czasu. Iwonka montuje do drugiej w nocy „Papieża”. Młodość. Zgubiła czapkę. Oldze słabo. Prawie nie wychodzi z domu. Szkoła i komputer do nocy. Książki. Studenci. Łosie łopaty kupiłem za sześćdziesiąt złotych, zmywam ze śladów krwi. Ślad śmierci. Po co zmywam? Nie wiem.

Zaproszenie na 23 stycznia do Warszawy.

Piszę: „Szanowny Panie. Dziękuję za zaproszenie na uroczystość wręczenia przez Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego nominacji profesorskich. Przybędę z małżonką. Obiecałem swoim córkom, Oldze i Helence, i mojej byłej żonie Beacie Nowakowskiej, że będą mi na tej uroczystości towarzyszyć. Dotrzymuję danego słowa, a słowo się rzekło. Proszę o pomoc w honorowym rozwiązaniu tej sprawy. Proszę też przyjąć ode mnie życzenia szczęśliwego Nowego Roku. Wiele siły, radości, miłości. Z wyrazami szacunku Piotr Jargusz”.

Takie osiowe futerały na Kobiety i Mężczyzn. Trzy plus jeden.

Brak miejsca na deskach podłogi. TVP Kultura. Marek powinien coś dla nich zrobić. Jeszcze dyplomanci. Tematy. Strona i umowa z MiK. Dużo na piątek.

Staszek Rodziński przyjął zaproszenie. Przyjdzie do moich studentów we wtorek o 17.00. Jeden tylko o nim słyszał.

10 stycznia 2013. Trudna rozmowa w nocy o samotności. Przyszło zaproszenie dla dziewczyn z Pałacu Prezydenckiego.

Białe siostry na Gródku
pielegnują cudne kwiaty
pod śnieżnym płaszczem
skrytokwiatowe
w samym centrum
naszej nieuwagi.

Wiersz. List. Donoszę, że przybyło mnie górom... tego lata.

Wiersze Zbyszka Zamołojki... Chrzestnego Oli. Ciepłe. Kojące. Bliskie. Gdzieś tam znalazłem, wyrzucone, w stercie w kuchni. Z moimi rysunczkami w środku.

Czuje się samotny. Wczoraj w pracowni. Powiesiłem kotwicę z Piasków. Przywiezioną. Porysowałem. „Żadna droga nie doprowadzi w zaułki skomplikowanej ludzkiej duszy”. Heraklit z Diogenesa Laertiosa.

Flaubert. „Należał do ludzi, którzy tęsknią za wszystkim, co zostawia za sobą” – przepisane z opowieści o Stambule Orhana Pamuka.

Cieszyn. 20 stycznia 2013 jadę do Cieszyna. Marylka. Maria Machetowa. Żona Franusia. Dobry człowiek z niej był. Rysiek. Śnieg na drzewach. Jadę. Kalwaria Zebrzydowska. Przez setki lat w trójkącie. Brody, Zebrzydowice, moi przodkowie Jarguszowie uprawiali tu ziemię. Setki lat. W cieniu klasztoru i wielkiej historii.

Cieszyn. Bielska 2. Okna wymienione na nowe. Tam, gdzie był mój pokój z widokiem na Wyższą Bramę. Rysowałem z tego okna. Obok Górna czy Solna, tam mieszkała w dzieciństwie moja Mama. Kościół protestancki. I cmentarz, na którym się ganiała z innymi dziećmi. Teraz te odległości wydają się miniaturowe.

Idę. Pani Machetowa od trzech lat tu nie mieszka. W domu starców. Dziś jest pogrzeb. Wiem. Schody i sień pozostały bez zmian. Kręte, wąskie schody. Nisko. Wracam. Nic tu.

– Marylko, pomogę ci, powiedz.

– Irka, daj spokój, siedź. Napij się herbaty... Zostaw, Irka.

– Marylko kochana.

Jest nekrolog. Zamówiłem kwiaty. Będą. Idę pod zamek i na czeską stronę.

Ekspedientka zachwala orzeszki i kolorowe draże. Czas obiadowy. Idę na piwo do baru. Chłowowickie czy jakieś tam...

Dawniej marzyłem, żeby przejść tę granicę. Już pod szlabanem czułem zapach innego. Piję piwo w Wenecji i patrzę na stopy filigranowej barmanki w czarnych balerinkach.

Pierwsze buty oficerki dostałem od Mamy, drugie od Franusia. Swoją drogą byłem szczególnie. Do cepeliowskiego czarnego dzbana zbierałem na szablę. Kosztowała tysiąc złotych. Nie uzbierałem. Ale marzenie.

Katedra. Uroczyście. Renia i Stasia. Jakie były śliczne. Roześmiane.

– Chodź, Piotrek.

– Ja taki nieubrany.

– Daj spokój, normalnie. – Renia ciągnie mnie za sobą.

Stoimy nad trumną. Koniec. Tyle wspomnień. Całe dzieciństwo, potem z Beatą tu, potem z Helenką, potem z Iwoną.

Idę po żelki dla dziewczynek i orzeszki w czekoladzie. Chodzę w kółko. Dzwonię do Helenki: „Żelki i ja na rynku, zobacz w Internecie”. Jestem małym punktem. Dworca nie ma. Plac jakiś i busy. Ukraina jakby.

Warszawa. Jedziemy do Warszawy. Coś jakby do króla.

Dom. Już osiemdziesiąt lat. Fotografuję. Czy będzie ciąg dalszy? Żał mi dźwięków. Kubek ubity. Ostatni z trzech. Tamte dałem Beacie i Helence. Ten, o którym mówiła: „Widać, że mam dobry gust. Zobacz, jaki ładny”.

Bardzo mi się podobały. Jest na zmywarce. Biorę. Nalewam wodę. Wkładam herbatę. Mieszam łyżeczką. Wydaje charakterystyczny dźwięk. Dom dźwięku. Tylko tu i teraz. Takie instrumenty domowe.

Śnieg. Szukam na gwałt krawatu. Swój zostawiłem w szafie. Znajduję. Dwie godziny przed uroczystością.

Pałac Prezydencki. Prezydent Bronisław Komorowski. Wręcza mi nadanie. Uścisk dłoni. Miło. Potem kolejka do fotografii. Przetawiam żonę, córki, byłą żonę Beatę.

Dwie żony... Prezydent mówi: – Hmm, zaczynam panu zazdrościć.

Wychodzimy z Pałacu Prezydenckiego. Siedzimy na Kruczej, potem w Słodkim i Słonym. Miło. Iwonka, Beata, Helenka, Olga i ja.

Od rana chodzę. Sam. Dziewczyny śpią. Zachwyt nad Warszawą. Piękna wystawa w rocznicę 1863 roku. Powstania styczniowego. Gnam do biblioteki UW. Jest katedra grawer, jest półpancerz spalony, 3400 złotych, drewniana wiejska łyżka u Kiłińskiego. Kupuję. Bar pod Barbakanem. Relikt. Ktoś oprowadza wycieczkę Anglików. Opowiada im, że my tu tylko pierogi i makaron z serem w tym barze.

Wieczorem zaproszeni do K. Jedziemy na Żoliborz. Dziewczyny w kuchni. Wcześniej upieczone przez Helenkę i Olgę ciasto. Miło, serdecznie. Chłopak sympatyczny. Machamy sobie, odjeżdżamy taksówką z drugiego obiegu. Olga pod wrażeniem. Przy stojny. Zbiera płyty analogowe, prowadzi swoją osiemnastoosobową firmę reklamową i jeździ na desce...

Powrót. Zachwyty nad obrazami w Narodowym i zupą w Babuszcze.

Żegnamy siostrę Zofię na Sewerynów. Miło.

Demolują piwnicę. Chciałem sfotografować. Rzędy słoików na weki, stare kufry. Nie zdążyłem. Nic.

26 stycznia 2013. Pisze Natalia Ursu z K. Gratuluje nominacji od prezydenta. Nie ma zaproszenia od biskupa Leona Dubrawskiego. Za papierosy w rynnach.

Kleję. 2 lutego. Janek Bujnowski fotografuje.

Przepisuję z kartki. Krzysztof Gosztyła o Lutkiewicz. Używał słówka „przechcieć”. Pieriechatieł. I jak Dejmek mówił: „Jest interesujące, ale ma być jeszcze potencjał”.

Fotografuję dziewczynę na słupie. Stradom. Do bramy wchodzi starszy, szary:

– Byle co namalowałaś – mówi do mnie.

Pytam: – My jesteśmy na ty?

– Za takie coś powinienesz siedzieć – mówi.

– A ty leżeć – odpowiadam.

– A takimi jak ty, powinno się palić w piecu – rzuca.

Był Marek Gajczak. Filmował słup z obrazem na Stradomiu. Piwnicę. Jak nabieram i niosę węgiel, jak palę w piecu. I mnie: rozkładałam kule, groty i topory. Mnie z dokumentami. Czy zawarł ducha Domu? Poszedł.

– Daj kota.

– Tata kota już ma.

9 października. Rysiek zasłabł. Dzwoni C. Potem drugi raz. Znowu. Przyjechało pogotowie. Nie chciał do szpitala. Siedzi u niej przy stole. Ładnie wygląda. Bałam się, że leży nieprzytomny. Siedzi bliski, dobry, normalny. Wpycha w siebie ziemniaki.

– Idź, przebadają cię. Nie będą cię trzymać.

– Nigdzie nie pójde. Nic mi nie jest.

Wracamy na Skałeczną. Idziemy krok za krokiem. Rysiek krok za krokiem. Wraca do domu.

– Zadzwoń.

Dzwonię. Rysiek w szpitalu. Z zapaleniem płuc. Opuszczony, zaniedbany. Lekarzka patrzy na mnie. Bywa.

Leży podłączony. Ze złymi przecuciami. Na dzisiaj dość.

Pomimo głosu Rysiek zmartwiony. Doszła jeszcze cukrzyca. I ja z laską z psem, który trzyma kaczkę w pysku. W sumie można się śmiać przez łzy. Chodzę do niego. Papugi. Szpital. Te rzeczy popakowane, barłóg i mrok, i kurz. A ja klucznik. Jak w krzywym zwierciadle. Znane grafiki, przedmioty, klimaty, miłości, te same pamiątki. Nie ma się z czego cieszyć.

Nagroda Ars Quaerendi widzę, że pójdzie na piec i naprawę grzałek w piecu Olgi.

Rysiek. Nakarmiłem papugi, wyniosłem szmaty, wyrzuciłem zakurzoną oponę z drzwi. Lepiej. Będzie miał znowu pretensje.

Potem A. Sułkowski, Kasia Widmańska. Olga czekająca w szkole.

– Jak się czujesz? – pytam.

– Jak postrzelony wilk...

Całe frazy. Bliskie. Co się w nas odcisnęło? Kolana dziadków. Ciepło Matki. Potrzeba ojca.

Dzisiaj. Niedziela. Zdjęcia z Rosji. Papugi i Rysiek. Czuję się słabo. Jak te jego papugi zasypuje ziarnem. Wkoło czarny mrok, a one jak rajske ptaki złote. W tym kurzu. Po co Rysiek wszystko, co mu wpadnie w ręce, wkłada w passe-partout i oprawia w ramki?

Pogoda piękna, ale Ola zasmarkana.

Maluję. Wszystko po trochu. Moja biedna sztuka. Czuję, że to warunek przyzwyczajenia. Podróż. Zadana sobie.

Idę do Ryśka. Drugi oddział wewnętrzny. Szpital przy Skarbowej. Patrzę, jedni siedzą, inni już tylko mogą leżeć. Nie chciałbym tak.

Fotografuję lulki wiszące pod obrazem pradiadka.

W pofalowanej szybie odbija się złote drzewo. Jesień parkowa. Jej ruda kwintesencja. Potem pstryk i jest. Uwiecznione. Potem nieuważne pstryk i znikło. A miało być. Zawsze. Obraz tak nietrwały. O obrazach nie powinno się mówić, obrazy się powinno malować. Ukłon w stronę arystokratycznej ciszy. Obraz byt i obraz przedmiot.

Siedzę z Iwonką na Brackiej w Prowincji. Po przeciwnej stronie sunie drobny człowieczek. Sprzedawca dywanów. Z Wiślniej. Znam już wszystkich sprzedawców dywanów. Czym są obrazy i dywany jak nie mapami? Dla ludzi, plemion. Miarą odległości od centrum. Tęsknotą. Za Rajem. Ucieczką przed Piekłem. Miarą odległości nas od Raju. Dowodem istnienia Raju. Pokazuję zawsze sobie samemu sobie te drzewa życia, dobre zaklęcia, gule, boty, solarne krzyże. I wierzę. Na tych dywanach siedzi logik, matematyk, poeta. Pięćdziesiąt osiem procent świata, dalej ktoś taka te same starożytne,

wędrujące po kontynentach wzory. Że ich nie rozumiemy, tym gorzej dla nas.

Zachwył. Raj, a z niego kurdyjska torba na sól, mleko w kulkach suszone na słońcu czy namiotowa torba. Wytworność opowiadania geometrią o emocjach. Przekazywanie sobie wzruszenia. Doświadczenia egzystencji. Mądrość wsi i ta sama mądrość świata. Dowód. Doświadczenie. Powtarzalność, symetria. Dualizm. Kobieta, mężczyzna. Noc, dzień, życie i śmierć. Miłość i nienawiść. Zapis. Objawienia. Dowód na istnienie kulturowego kodu. Na istnienie ziemskiego Raju. Maluję te znaki. Centrum. I dobre zaklęcia. Na swoich zdartych ze słupów afiszach. Zawsze malowałem na afiszach. Brałem je z FilMOTECHNIKI z Krowoderskiej.

Czym są dla mnie przedmioty? A zbieram tylko te najpotrzebniejsze. Czym są? Zachwytem? Potwierdzeniem posiadacza? Dotykaniem czyichś śladów. Odcisków palców? Tak. Patrzeniem? Tak. Namacalnym Dowodem na istnienie innych światów. A może światów równoległych. Potwierdzeniem siły nabywczey czy bardziej wzruszeniem Ideą wizji domu dworu. Czy mam ich za dużo? Rzecz względna. Czas pokazuje, jak z łatwością ludzi i ich przedmioty boży młyn mieli. Mijam.

Na korytarzu siedzę z R. Z pierwszego pokoju za moimi plecami wrzeszczy stary mężczyzna.

– Matko Boska, co ze mną robicie?

Pielęgniarki zmieniają mu pampersa: – Niech się pan z nami nie bije.

– Co ze mną robicie?

Nie chciałbym tak. Wiem.

Zrąbałem nadstawę kredensu Mamy. Stał tu od przedwojny. Za ciężki, żeby wynieść. Zresztą, po co? Przetrwał Niemców i Ruskich, UNRRE, Solidarność, kartki na cukier i wszedł do Europy. Karteczki, filiżanki – w niczym innym nie piła. Ze „swojej filiżanki” albo „swojej szklanki”. Stoi teraz porąbany w szczapkach za ostatnim naszym czynnym piecem. Jeszcze i tak nam pomaga. W jednej z szuflad, którą otworzyłem, ale wszystkie są mi znane, na kartce z kalendarza wiersz o matce Gałczyńskiego. 2002. Mama jeszcze była wtedy zdrowa.

Czytam o Izabeli Czartoryskiej. Nie pojmiemy innych w ich innych czasach. Fotografuję moje białe kobiety na słupach. Od wczoraj w śniegu. Głowa moja też. W skrzynce zaproszenie od prezydenta Majchrowskiego na spotkanie nomino-

wanych profesorów. 19 lutego. Zobaczę podziemia, których zobaczyć nie chcę. Moja fontanna, na której lubiłem siedzieć, padła ich ofiarą.

Malowałem siebie w pancerzu. Wariant czarny i wariant biały. Posprzątałem moją izbę. Złożyłem papiery w stosiki. Wilgotne.

13 lutego 2013. Piotr Paradowski.

– Piotrze, jeszcze śpię. – Dzwoni o 8.00 rano. Umawialiśmy się o 12.00.

– Ledwo poruszam się o lasce po trzydzieści centymetrów. Mam problemy z oddychaniem. Antek wyjechał do Warszawy. Do teatru...

Piotr się kończy. Jeden z najświatlejszych ludzi, jakich znamy. Musi mu się też coś od niedotlenienia mieszać. Pójdę o 12.00.

Dzwonię do Helenki. Kończy dzisiaj dwadzieścia trzy lata.

W nocy leżymy, a koty i psy na nas. Sielanka. A jednak. Być to jest celem życia. Do banku, wysłać H. 100, tyle mogę. Drugą dla I. na walentynki. Jutro.

14 lutego. Wracam do wczoraj. Stoję pod drzwiami Piotra. Nikogo nie ma. „Zabrała go karetka do szpitala”, listonosz nasz mówi. Dzwonię do sąsiadki. Tak. Do jakiego szpitala nie wie.

Idę z makownikiem od Śliwy na Podchorążych. Ilość rozmów mamy limitowaną.

Iwonka nagrywa księdza Stryczka sypiącego popiołem głowy kierowców, stojących na rondzie Matecznego. Olga je pomidorową. I. wraca zmarznięta, ale zadowolona. Stryczek coś powiedział. Da to w filmie.

Dominika mówi mi, że Piotr złamał główkę kości udowej.

Z Iwonką na Kazimierzu. U Włocha, cappuccino. Odwożę ją do MOCACK-u.

O dziewiątej 14 lutego zmarł Piotr Paradowski. Jeszcze tyle razy dzwonił. Jeden z najpiękniejszych ludzi, jakich miałem szczęście spotkać i się z nimi przyjaźnić. Rano, po ósmej, dzień wcześniej zadzwonił do mnie. „Piotr, śpię. Na razie”. „Cześć”.

Pusto. Smutno. Samotnie.

Otwierałem wystawę Kasi Bruzdy.

O miłości, ciszy i zaufaniu. Dlatego, bo tylko w miłości patrzy się w tę samą stronę i śni ten sam sen. Że w ciszy jest waga obrazu. I zaufaniu, bo bez niego ani rusz.

Pochowaliśmy Piotra. Kaplica na Rakowicach. Synowie. Janina Paradowska. Portret Piotra. Koszula, sweterek, okulary. Bez czapki. Pada śnieg. Stypa.

Janina: – Niech pan zostanie. – Dalej rozklejasz? – Czy panowie się znają? Minister zdrowia...

Wujek Bolek, ojciec Ewy, pokazywał dzieciom, jak się skacze na parasolu z drugiego piętra. Miał taki parasol wzmocniony.

– Możesz spróbować – Antek do mnie. – Mamy tu drugie piętro.

Dom Ewy i Piotra zamienił się w dom Dominiki i Jana. Inny. A myślałem, że tamten przetrwa. Był piękny, z długim, czarnym stołem zaprojektowanym przez Franciszka Starowieyskiego do Piotrowego przedstawienia. Dom. Za doskonały. Jak nasz. Miło. Nie chcę wychodzić. Najmilsza rodzina jaką mamy?

– Pioootrr... Ty wiesz... – spojrzenie.

– Si, si... Będzie nam jego brakować.

Dom. Zośka – duży miś Oleńki – w parku pod drzewem. Od tego się zaczyna.

24 lutego 2013. Wiem. Wiem. Widzę i co z tego? Zofia Kulig, Zbyszek Bajek. Ela Wierzbicka, tak jak ja, powiesiła tuby na drzewach. Ta od domów pod Paryżem. Bachorczyk. Z żyjnią – mieszkaniem.

Aborygeni. Ich sny jako miejsce doświadczania przeszłości i teraźniejszości. Podobni? Robimy to samo. Żle? Dobrze, nie jestem sam, ktoś chodzi w moich butach.

Książkę Dukaja dostałem od Piotra Paradowskiego. Przed Syberią. Jest tam w drugim rozdziale o języku, tym, którym rozmawiamy sami ze sobą. Ważne.

Tatiana pisze, że deszcz meteorytów spadł też pod Talicą, ale tylko szyby zadźwięczały i alarmy się włączyły samochodów. I nikomu się nic nie stało.

Piotr miał osiemdziesiąt jeden lat. Ewa sześćdziesiąt dwa, kiedy zmarła. Niezwykli. Ja, zbieracz, degustator domów niezwykłych nie potrafię tego... Brak słów.

Gombrowicz: „Nie traćcie drogiego czasu, nie gońcie za Europą, i tak jej nie dogonicie. Ona nie istnieje”. „To fantasmagoria”, dodaje Mariusz Wilk. I jeszcze Gombrowicz: „Jak Polak konfrontujący się ze światem wschodnim, jest Polakiem określonym i z góry wiadomym. Polak zwrócony twarzą na Zachód, ma mętne oblicze, pełne niejasnych gniewów, niedowierzania, tajemniczych zadrażeń”.

1 marca 2013. Przykleiłem te olbrzymy z półmetrowymi penisami. Wyglądają zza głów przechodniów, zza tramwaju, zza drzew.

Miało być o Mężczyźnie i Kobiecie, to jest. Mam nadzieję, że nikt się nie poczuje obrażony. Sam przyglądałem się im z tych powodów. Niemniej malarz, który poddaje się kryterium dobrego smaku i tego, co wypada, jest nie do przyjęcia. Kozyrą nie będę...

„Dobry wieczór. Znowu cieszą oczy biele, szarości lekkie, a jednocześnie mające mocny akcent wyraz, przekaz, przesłanie. Więcej proszę. Pozdrawiam”.

Polska stanowa. Tak, pamiętam, jak kobiety ze wsi z kiełbasą czy mlekiem zapraszały się do kuchni. Nigdy do pokoju. Zresztą one same się tam nie pchały. Mówiło się do nich przez „wy”.

7 marca. Rano zamiennik dowodu rejestracyjnego. Straż miejska, studenci. Do Tyńca z nimi i na Cecylię Malik we wtorek.

Idzie wiosna. Odpływasz? Odpływam.

Malować po zebraniu jutro. Co? Pustka w głowie. Remontują po Gołdach. Nowe idzie. Czytam wiadomości w Internecie. Żal i żenada. Agresywność, brak hamulców, jakaś katastrofa. Szkoda tych dwóch alpinistów, którzy zaginęli. Jak się ma pięćdziesiąt osiem lat, to nie trzeba się pchać na ośmiotysięcznik.

Moje obrazy wiszą. Na Facebooku. Podobają się dziewięciu osobom. Helenka Nowakowska solidarnie. Przebiłem je brzożami. W zieleniach. Pustka.

8 marca. Białorusinki na Facebooku z kwiatami, nasze bez. Samoocena na trzy. Pustka po Piotrze Paradowskim. Widzę go. Mam go w oczach, jak idzie naszą ulicą.

Zimno. Idę pomalować na Kazimierz. Olga zaziębiona. Już tydzień. Znieczulenie. Na wszystko. Nadmiar obrazów spowodował, że obrazy nieistotne unieważniły obrazy istotne.

Iwona przy stole: – Masz manię zostawiania śladu. Ja nie mam. Tu i teraz.
– Na tym polega bycie malarzem.

Dzień. Ciąg dalszy. Zimno. Kino z Iwonką i Olgą. Tornatore.

9 marca. Zaglądam za dekollet. Miłe. Ładny. Na przebudzenie.

Wczoraj z I. miło. Długo. Ile orgazmów... Iwona się śmieje. Prawda, już osiemnaście lat ze sobą. Jednak ze sobą. Nie bez powodu. Zarezerwowałem kołyskę, beludź i kawalek tkaniny. Po co tak? Żeby nie wszystko poszło na rachunki. Żeby dziewczynom coś zostawić. Coś. Piękno dla oczu. Do pomyślenia. Trzynastka. Dwie zaległe szkoły.

Iwona montuje „Papieża” na święta. Niszowa działalność. Pokolenie JP II. To my. To nie my.

Sny. Stanowią znaczną część mojego teraźniejszego życia.

Wiosna 2013. Przyszło 4500. Już po mojej profesorskiej pensji.

Zimno. Przebiśniegi na Lea.

„Dlaczego nie namalujesz kwiatów?”, pyta Helenka. No właśnie. A tak kocham kwiaty. Ale... Czarne na czarnym nie ma sensu.

Głupio żyję. Byle jak. Szybko. Tęczówki liczą mi czas widzenia.

Wracam z Huty. Leży człowiek na pasach. Młody, nogi rozrzucone, przed nim ciężarówka z cementem. Policja. Potrącony. Stoimy. Zmarł. Młody? Miał osiemdziesiąt trzy lata.

Umyłem podłogę w pracowni. Pomalowałem twarze. Były schematem, surogatem teraz są schematem. Telefon do R. Zjadłem dwa pączki spod arkad na Krakowskiej, popiłem herbatą.

Wieczór. Obcinam paznokcie. Idę do dużego pokoju. Otwieram drzwiczki pieca. Wrzucam. Po staremu. Włosy i paznokcie wrzucało się u nas w domu do pieca. Lęk przed czarną magią. Prastare.

Dwa miesiące i pół potrzebowałem, żeby oswoić się z myślą o możliwości odejścia z Szymanowskiego. Gdzie będę wrzucał obcięte paznokcie? Viatoris szuka domu. Aktualniej być nie mogło. Czy sen, w którym moja Mama z Babcią wychodzą i idą na strych, a kobieta i dwóch mężczyzn kręcą się po naszym domu, sprawdzi się?

Mama była wschodnia, ojciec zachodni. Mamie dopiekiły niemieckie sprzedawczynie w Lipsku. Ich rzucona uwaga: „Uwaga, Polacy idą”. Była dumna z polskości. Ojciec też niemieckojęzyczny, jak i ciotka Maria, malarka. Nosili w sobie jakieś przekonanie o niższości polskiej kultury wobec Zachodu. Nie pomogły mu ani włoskie, ani jugosłowiańskie podróże, ani druga żona z Korwin-Mikuckich herbu Ślepowron. Jestem dziedzicem dumy po Matce.

Wątpliwości. Przykleiłem. Tak. Wiem. Wolno. Kryterium uczciwości malarza. Patrzę rano. Sobota. Nic nie wypatrzę. Mnie się podobają. Jest w nich jakaś siła, potęga i bezbronność. Seksualnie zdeterminowani. Szukają dziury.

Lichy, szary, pakunkowy papier. Sztuka biedna. Fakt. Nie ma kokieterii.

Jeden przykleiłem pod dworcem, naprzeciwko przystanku, drugi na Piłsudskiego, trzeci przy placu Szczepańskim. Ogromni mężczyźni ze sterczącymi ch... wostami.

Wypada? Teraz, kiedy wypada wszystko. Czy kryterium przyzwoitości? Czy przyzwoitość? Czy nie tęsknię za byciem przyzwoitym? Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe. Dlaczego zmuszam ludzi na przystanku dwa razy dziennie do oglądania półmetrowego wzrodu? Ale czy w mojej historii mogę? Jest bardziej męska definicja mężczyzny niż płaski brzuch i stojący...? Ten nagi, wyprężony mężczyzna heroiczny, seksualnie zdeter-

minowany jest w nowej erze samotny. Czy miałem namalować go z siatkami, dźwigającego jedzenie dla kota, a drugą ręką pchającego wózek? Nie potrafię.

Viatoris. Historia miłości. Patrzę na Wzgórze Świętej Bronisławy. Amelia biega pomiędzy brzozaami. Moje bliskie.

2 marca 2013.

Ja: – Wiesz... Trzeba się spieszyć, żeby po sobie zostawić ważne dzieło, a nie, żeby zostały brudne skarpetki.

Iwona: – Nie mam takich ambicji.

Ja: – Nie jesteś mężczyzną.

Iwona: – Dla mnie ważne, żeby robić ważne tu i teraz, a nie, żeby zostawić po sobie pomnik dla potomności... Jesteś doktrynerem.

Ja: – Tak. Ciesz się.

Poczta gmail, Facebook, wiadomości. Mantra. Ja już namalowałem swoje obrazy. Nie szukam nowych form. To moja ostatnia długa prosta po zwycięstwo. Potem śmierć. Nie ma się co oszukiwać. Przepowiedzieć sobie jeszcze zachwyt i umrzeć w oślepieniu. W blasku. Nie w ciemności. Nie w mroku. 3 marca 2013. Do Iwonki, na łóżku. „Zapisz”, mówi.

Poniedziałek. Piękne słońce. 10 marca. Pracownia. Idę. Już koniec. To Tadeusz Kantor. „Śmierć to bezsens konformizmu. Obnażenie”. Czcił przeszłe. Tu powstaniec z 1863 roku, tu ołtarz z Mariackiego, tam Matejko i *Hołd pruski*.

10 marca. Spotkanie z Ryśkiem. Nie mamy o czym mówić. Zeszczupłał. Przypomina Mamę przed śmiercią. Źle. Podajemy sobie ręce. Zagraj czeka za drzwiami. Dobry pies. Wierny. Wita się. Merda ogonem. Poznał.

Wysunąłem maszynę do szycia. Stary secesyjny Singer. Mojej prababci Wiktorii Tekli z Galiszkiewiczów Lejczakowej i siostr dziadka. Potem na niej szyla nam wszyst-

ko Mama. Lata. „Całymi latami”. Jej fraza. Zachowam ją. Pod nią chowałem się przed moim dziadkiem, na niej Mama kładła nowe książki dla mnie do szkoły. Znam i ją, i jej dźwięk. Ważny. Bliski. Pamiątek nie powinno się wyrzucać. Ale trzeba dać szansę nowemu.

Zaprosiłem Łukasza Konieczkę do moich studentów. Niech mają pojęcie o obrazach też od innych. Spotykać ich. Na tym polega potęga dziedzictwa. Na spotkaniu.

Polskie antagonizmy. Bzdura. Były zawsze. Moi dziadkowie się nie lubili. Jeden był w Legionach, drugi w wojsku austriackim. Jedni byli zapatrzeni w Józefa Piłsudskiego, drudzy na niego krzywo patrzyli. Potem ktoś był w partii dla koniunktury, a ktoś dla idei. Potem my byliśmy za Wałęsą i Solidarnością, a inni przeciw. Potem jedni za Kaczyńskimi, inni przeciwko...

Rodzina. Sukces czyni wybrańcem Boga, a kłopoty czynią człowiekiem. Rodzina. Odmitologizowana. Same rozwody. Rodzice, ja, brat, kuzynki, dwie, trzy... Inność też ostatnio jest. Katolicyzm. Kiedyś wszyscy, teraz z nas tylko my. Olga deklaruje, że nie wierzy. Iwona montuje od kilku dni swój film. Nosi tytuł *Świat bez Boga*.

Czy duchowość związana z pojedynczym doświadczeniem jest przekazywalna? Chcę zachować wiarę w relację Mistrz–Uczeń w potężnym procesie ujednolicania, w postępującej globalizacji i schematyzacji.

Poznałem swój zwyczajny rodowód. Piotr, mąż Iwony, ojciec Heleny i Olgi. Syn Józefa, wnuk Stanisława, prawnuk Stanisława, praprawnuk Antoniego, praprawnuk Błażeja, prapraprawnuk Jana, praprapraprawnuk Grzegorza, praprapraprawnuk Jakuba i tak do początku świata. Przodek: Argusz, Argus, Arguz, Jargusz. Lei, Lajcok, Leiczak, Lejczak... Bał, Bałuk, Bałukewicz, Bałukiewicz. Frączek, Frąckiewicz... Galus, Galiszko, Galiskiewicz, Galiszkievicz... Nowicki, Dreling... Inni.

Patrzę, jak szybko zbudowano kolejne, oparte na solidnych fundamentach, mury ekonomiczne i lobbowane mury interesów politycznych. Mury z konsumpcjonizmu i rozrywki.

„Postępuje globalizacja i schematyzacja. Globalne instytucje i postępujący powolny proces demontażu państw narodowych. Potężna polityzacja kultury w Polsce. Niesłyszana ranga słusznych stereotypów i słusznej formy. Preferowanie jednych kultur, kosztem drugich. Tworzy się ranking kultur lepszych i kultur gorszych. Trwa usuwanie wielkiej części problemów i ich przemilczanie przez zagospodarowanie tej przestrzeni stereotypami. Patrzy na nowe formy cenzury. Na próbę preparowania tożsamości. Na manipulowanie historią. Na cenzurę narzuconą na przeszłość. Na postawę: urodziłem się dzisiaj, przeszłość jest balastem”. To Tokarska-Bakir czy Stróżewski? To zapiski z Kongresu Kultury Polskiej w Krakowie, 23-25 października 2009.

Viatoris zbroi się. Idzie na wojnę. Zbiera widoki, kamienne kule i wiejskie tkaniny. Wątek i osnowa. Symboliczny czas i zdarzenie. To tylko rzeczy. Wierzy, że mają zdolność przenoszenia. Wagę dowodu. Cenę świadectwa. Są rynsztunkiem opowieści. Potrzebuje ich do myślenia. Lubi na nie patrzeć. „To tylko rzeczy”, mówią mu żona i córki. Przeczują, że zbiera je też dla nich, z ważnych powodów.

Viatoris jest nauczycielem formy. Nie interesują go rankingi mody. Ma wizję drogi do źródeł. Pod prąd. Wierzy, że obraz uczyni go lepszym człowiekiem. Wierzy, że obraz ma zdolność uformować człowieka. Jest naiwny, ale uczciwy. Żarliwy. Wie, że to słuszny kierunek.

Idąc do pracy, mija ogrodzone osiedla. Z okna patrzy na kolejne enklawy. Kult bezpieczeństwa i anonimowości, tak tłumaczy sobie prostokąty domofonów bez nazwisk. Zastanawia się nad mechanizmem strachu, z powodu którego ludzie sami decydują się zamykać w strzeżonych gettach. Sam nie chce się bać.

W Żółtych Tarasach w Warszawie. Czytam: „Oddaj moją Polskę, złodzieju”, „U was panów z wielkich stanów pieniędzy jest dość, dla górnika suchotnika jeno skóra, kość”. Z czego pochodzi? Co nas czeka? Jakie kolejne utopie?

Czekam na modelkę. Ma przyjść o 11.00. Prosiła o rysunek dla chłopaka. Fan. Jej i mój. Czytam *Wilka stepowego*. Ma znaczące podkreślenia. Dziedzictwo po mężu Berezowskiej, poprzedniej mieszkanki pracowni. Nauka karate, gazeta o samolotach. Książka o fortyfikacjach zamku na Wawelu i „Literatura na świecie”. Numer o diable. Ryciny sprośne i kuszące wyrywam z uwagą. Teksty przeczytam i wyrzucę. Posta-

nowione. Boję się rogów. Wystarczą mi łosie, które powiesiłem na ścianie. Jak zrobić z izby leśniczówkę, dam przepis.

Stara gazeta z 2005. Siedzę i czytam Ćwiartniewicza. On pisze: „Należę do pokolenia lat 80., sprzed ogromnego nacisku kultury masowej... Tkwię w transcendencji rozkraczony... Malarz pamięta o tajemnicy, tej, która się pojawia niespodziewanie”. To z dzienników Ćwiartniewicza. Pasuje mi. Moje.

Jerzy Nowosielski o spotkaniu z transcendencją. O szansie danej w obrazie. Pasuje. Moje. Brać.

Czytam o Wschodzie i Zachodzie Jadwigi Staniszkis. Rozmawia, mądre. Kupić. Wróć. W muzeum czytam teksty o domu. Dobrze bliskie. Jan Bujnowski też tam jest. To dobry znak.

Modelka przyszła. Wybrała sobie kobietę na kolanach, dla chłopaka, nie dla siebie. Z pierwszego roku malarstwa, kobietę zwiniętą. Dałem. W porządku.

– Do piekarza przychodzą po chleb, do malarza idzie pani po obrazy. Wracam. Iwona zamówiła węgiel. Przywiozła trzy worki. Między drugą a czwartą.

Wszystko płynie. Nic nie zostanie. Wygrałem własne miejsce. Własny styl? Jest coś takiego? Znalazłem. Moje.

W. Pazera wspomina Jerzego Nowosielskiego. Opowiadał o górze Atos, abstrakcji i bytach subtelnych. Mówił też, że każdy dobry obraz jest ikoną malowania, jest jak modlitwa. Dlatego nie należy się modlić do obrazu, bo on jest wymodlony. Sam w sobie zawiera objawienie. Więc należy go tylko chłonać, kontemplować. Píše dalej o tym, jak N. zapalał pod udanym obrazem świeczkę.

Malować obrazy noszące w sobie dobro, aby to, co złe pozostało w człowieku na dnie... Ja obraz ładny, ale nieudany i nieświęty, włożyłem mojej Mamie do trumny. Lubiła go. Wisiał jej nad głową. Nad łóżkiem.

Zbierać historie. Opowiadać. Doświadczenie umiera razem z nami. Bateria szybciej się wyczerpuje. Nikt nie zobaczy rzeczy, które ja widziałem. Dlatego dwadzieścia lat temu napiszę *Siedem opowiadań dla Helenki i Olgi*.

Buduję Muzeum Pamięci. Opowieść porządkuje świat i pozwala uzgodnić języki, którymi do siebie mówi. Marcin Hamkało: „Pozwalają ludziom przeżyć coś razem. Dają nam pozór nieśmiertelności”. Agnieszka Wolny-Hamkało: „Nieużywane narządy zanikają. Podobnie jest z opowiadaniem. Człowiek, który przestaje siebie wyrażać, wpada w czarną dziurę, zanika jego język, choruje na samotność”. Marcin Hamkało: „I jest używany przez narracje polityczne, marketingowe, religijne. Opowiedziany w dzienniku telewizyjnym, ograny w reklamie. Taki margines błędu. W badaniach opinii. Jeśli sam nie będzie umiał sobie opowiedzieć, opowie go ktoś inny, wmówi mu jego potrzeby, napisze mu osobowość i użyje jej, jak zechce”. („Gazeta Wyborcza”, 9/10 marca 2013).

Tyniec. Lecą łabędzie. Zachwyty. Cudo. Fundować sobie takie szczęście. Dziewczyny już się obudziły. Ale i tak bym ich nie wyciągnął.

Drzwi. Nasze. Karawaka przyklejona. Pod nią diabeł przeganiany przez świętego Michała. I Polska. Naklejka. Czy widzisz? Szmata, żeby nie wiało. Na froncie K+M+B. Olgi kulfony. Wolałem te kredę z tamtego roku. Rozwleczone. I 2013. Olgi wizytówka. Piotr, Iwona, Olga, Amelia i Pan Darcy Jargusz.

Piec się sypie. Cegły z tyłu lecą.

Zapisuję. Maria Dugneanu (1880-1986) w Besarabii utkała tę złotą tkaninę w rude wzory. Ta od Serge’a Vasilendiuca z dawnego rajdu. W długie pasy zrobiła Lavinia – ciotka Lavinia (1887-1990) z Câmpulung Moldovenesc w Bukowinie. To tak dla pamięci. Ważne. Moje tkaniny. Utkane drzewo życia. Wątek i osnowa. Czas i zdarzenie. Wszystko, co ma sens na tym świecie, jest ofiarą. Nawet śmierć jest ofiarą. Nasza śmierć, jeżeli ma mieć jakikolwiek sens, musi być przyjęta przez nas jako nasza osobista ofiara. Ofiara według Jerzego Nowosielskiego.

Cecylia Malik. Wiarygodna. Prawdziwa.

„W czym ci mogę pomóc?” – pytam na Facebooku. „Dziękuję, że pamiętasz. Przyrowadź trochę pięknych dziewczyn. Masz ich pod dostatkiem”.

I las nad Wisłą. I Białka z przełomem Białki, i domowy Kraków. Łączy.

Niewiarygodnie mądry Łukasz Konieczko. Trzy bite godziny rozmowy z moimi studentami. Mądrze i śmiesznie. Czytam: „Brak mi w życiu takiego porządku jak małżeństwo”. I to jego: „Wydaje mi się, że przede wszystkim powinienem pójść do ojca i spytać go o radę”. Jak na takiego wywrotowca, jak Marcel Duchamp, zaskakujące.

Rozdawnictwo obrazów. Cecylii Malik dwa. Zdziwiona. Edycie Mąsior jeden. Przejęta. Marzenie Rostkowskiej trzy. Niech idą do ludzi.

Wielki Piątek. Stoję na Studenckiej. Mrok. Śnieg. Stoję u Kapucynów. Dziewczyna po prawej pięknie śpiewa... Zerkam. Dwa czarne kolana. Włóczkowa czapka. Młoda. Rasowa. Brunetka. Dobrze, że jestem. Idę. Pocałować krzyż. Nigdy nie chodziłem. Chcę. Idę. Ktoś widzi? Pełen kościół. Nogi. Wybrałem. Wracam. Jestem w polskim kościele. Ze swoimi.

Pojedzie H. na Ukrainę ze mną czy nie?

Plecie się, plecie się, plecie, plecie.

Jest Beata. Siedzimy przy stole. Wszyscy razem. Miło. Skrzynie od Walentego Chowańca z Jurgowa, hospel, motowidło z Łapszanki, od Gielatów, szpulerz od Gielatów, pewnie stał w tej wędzarni razem z kołowrotkiem. Pachniał kiełbasą. Zachwycający, dała Muzeum Etnograficznemu w Warszawie. A stępę od Pawlików, a rospinkę od Trzopa Józefa z Łapszanki, a cyrkiel od tej starszej pani znad potoku w Jurgowie, która miała najpiękniejsze białe szmaciaki, których mi nie chciała sprzedać, trzymając je dla córki z Nowego Targu. Też dała do muzeum. Zbierałem dla Helenki.

Wielka Sobota. Wawel. Katedra. Podniośle. Złota biskupia infuła wędruje raz w górę, raz w dół. Jak w dół – zapala się czerwona kropeczka. Stoimy z Iwonką i chłoniemy. Zygmunt bije. Biskup Ryś szturcha serdecznie Iwonkę.

Kto nie idzie do przodu, ten... się cofa.

Basia Łozińska. Mamy klon. „Baaśśśkaaa”. Słyszę moją Mamę. Udar mózgu. W szpitalu na rehabilitacji...

Nic mnie tak nie ucieszyło, jak Rysiek, który zadzwonił trzy razy. Przyszedł. Tak mi leżało na sercu, że go nie zaprosiłem. Siedzimy. Opowiada. O naszym podwórku na Szymanowskiego. Ile było żuków! Wystarczyło podnieść płytę i biegły takie ogromne, z czarnymi pancerzami. O motylach bielinkach, szpaku na drzewie, który miał swoją budkę. Jak śpiewał... O kanarku. Pokazuje kąt, w którym stoją moje obrazy. Tektury. O tu, na szafce, była klatka z kanarkiem. Kapał się w zupie... Już to widzę. – Ale wtedy stół był w innym miejscu – dodaje.

Pracownia. Płachta kurdyjska z granicy z Turcją. Wziąłem. Odnoszę. Piękna. Za dużo w niej destruktu. I zabraknie na pracownię.

Dałem B. pieniądze, myszkę i pajaka dla H. z Rękawki. Byłem pierwszym klientem. Rękawka leżała w innym dla mnie Krakowie. Nasz był Emaus.

Dzwonię do R. Siedzimy. U studentów. Rysiek pije herbatę... Kontynuuje o podwórku.

– ...był tam lej po bombie. Nie wchodziłem, bałem się, że może wybuchnąć. Szopa Gaczoła. Graliśmy w wojnę. Ule tam stały. Żółty, czerwony, niebieski. Klocek w mundurze kolejarza dmuchał. Miał takie nakrycie na głowie. Bunkier był w kształcie litery L. Nie wchodziłem tam. I taka wysoka, drewniana brama do stolarni i biały, kamienny mur. I stał taki samochód niemiecki. Citroen. Niemcy, jak uciekali, porzucili. Ile ja się nim najeździłem. Wycieraczki włączałem. Szyby się tak uchylały. Kręciłem kierownicą. Kiedy nasz ojciec potem kupił za pięćdziesiąt pięć tysięcy swoje bmw, to Polo kupił krajalnicę do chleba i lodówkę. Chodziliśmy z mamą oglądać. To już historia. Łopiany pachniały, bzy, gniazda wróbli w krzakach i węglarki, a na węglarkach stada kotów. Zbierałem tam dla mamy rumianki. Dziadek nasz urodził się przy Prochowej. Grzegórzki. A babcia Wiktoria urodziła się tam, gdzie ta kamienica. Długa 27. Jak ja byłem chłopakiem, poszedłem do Galiszkieviczowej, ona miała dziećmi pięćdziesiąt lat. Powiedziałem, że jestem z Galiszkieviczów. Puściła, „a jakże mogłabym pana nie puścić”. Pokazywała zdjęcia z Pędzichowa. Stare. Tam mieszkał Jakub, Wojciech i Stefan Galiszkievicz. Tam Antek się bawił. Między Warszawską a Długą i Pędzichowem. Opowiadał. W tych ogrodach. U rodziny. Siostronom zakonnym robił na złość. Co on im mógł zrobić? Chciałem pożyczyć te zdjęcia, żeby zrobić kopie, ale jej brat nie pozwolił. I do pół roku oboje umarli... Andrzej Łebkowski chory... Zamówiłem dwa obrazki. Muszę je wykupić. Oprawiłem dwie grafiki.

Pokazuje.

– Ile dałeś?

Siedzimy. Bracia.

– Chcesz?

– Nie, w żadnym wypadku. Swoje długi sam spłacam.

Skończyłem pierogi. Pierwszy głód zaspokojony.

Zima. 4 kwietnia. Śnieg głuży kamieniczny wielki remont. Cała Polska zasypała śniegiem. Wiadomości... Nasi zwyciężają. Pisiory winne wszystkiemu. I wiośnie, że nie chce przyjść też.

Takie słówko: przeszwarcować. Z dzieciństwa. Jej. Mojego. Może uda ci się jakoś przeszwarcować (w gwarze przemysłowców: przenieść, przejść).

Ustawiam studentom w pracowni trzy niemieckie, trupie hełmy. Do dwóch wrzucam mięso. Wypływa przez dziurę. Z tyłu lis Meusowy. Rozciągnięty. Rudy. Malują. „Czego chce pani nauczyć swoich studentów, aktorów?”, zapytał ktoś Teresę Budzisz-Krzyżanowską. „Żeby najpierw byli ludźmi”. Tak. Żeby być człowiekiem, będąc malarzem.

5 kwietnia. Zima. W wiadomościach Palikot, Grodzka, matka Madzi i tak w kółko. Paranoja.

14 kwietnia 2013. „Jak chcesz się odnosić do rzeczywistości, jeśli cię w niej nie ma... Toczysz wojny w swojej głowie. Tylko zawsze w swoich myślach... Daj mi, Piotr, jakiś, obraz, na którym mogę prasować”.

Tak, uniwersytet na Krowodrzy. Szczęśliwe Miasto. Student napisał: „Piękne Miasto”. W cieniu Viatorisa poszukującego domu się przyda. Pod tym względem nie może być lepiej. Rozważania na zabój. Pokazać swoje obrazy na Krowodrzy.

Bransoletka od biskupa Kamienieckiego. Towarzyszyła mi ostatnio. Jeden z bliźszych przedmiotów. Lubiłem mieć ją blisko. Była na Syberii. Został mi mój herbowy sygnet. Olga pożycza na egzaminy.

Życie nie polega tylko na jedzeniu ciastek.

Braciszek w sklepie. Stoi. Szczuplutki. W koszulce, marynarce w kratę, z apaszką. W kapeluszu myśliwskim z kitą. „Mam wątpliwości – mówi. – Szwabska”.

Dokleiłem wikolem szablę dzika. Drugą zjadł Zagraj. Recytuje swoje. Mantra. Rycerz Czesi. Siedzimy w pracowni. Trzecia herbata. Pijemy. Przedostatni kwietnia. Zimno.

Dzieciństwo. Niemcy to ci, co robili abażury z ludzkiej skóry. Ojciec z Matką mówili, że jak wybuchnie wojna, to znowu trzeba będzie zaklejać okna papierem. Przed nalotami zaciemnienie.

Mam pięć lat. Leżę w swoim metalowym łóżku i patrzę w czarne okno. Widzę już nadlatujące samoloty. Czerep hełmu wykopany w ogródku szkolnym był potem. Wykopał ktoś ze starszej klasy. Szkoda, żałowałem, że nie ja. Mam pecha, myślałem. Tak, ale opowieść o ludzkiej skórze przebijała wszystkie. O tym, jak ojcu ktoś wbił kilof w plecy, jak na robotach czołgowa gąsienica przygniotła palec, jak goląc się, jeszcze na Gołębiej, gdzie mieszkali dziadkowie (wrzesień 1939), spojrzał w okno i zobaczył na niebie nadlatujące niemieckie samoloty.

Tłumaczę Ricie, Zbyszkowi i Ani: „Nie dam rady, mam wewnętrzny sprzeciw”.

Nie do końca jasna jest dla mnie historia z Niemcami. Nie ma mojej wewnętrznej zgody na powieszenie iluś obrazów tam. Na ulicy. Za Warszawę.

Sztuka zapominania. Raz, dwa, trzy. Zapominamy. To dlaczego nie jestem konsekwentny? Dlaczego wiem w Rosji, wiem na Ukrainie? Im przebaczyłem? Rozbiory, stłumione powstania, czystkę 1937-1938, Kazachstan, Syberię, rzeź na Wołyniu, Katyń, Ostaszków, Kozielsk, Starobielsk, z moim dziadkiem w środku. Kto o nich ma pamiętać, jeśli nie my?

Kawałek z Kolorza. O pisaniu. Ładny.

Przykleiłem. Jednak te szare. Wiślna, Bunkier, Planty. W porządku. Ale muszę coś dalej. Żebym nie stał się specjalistą od szybkich penisów i Frasobliwych.

Kupiłem dwie pary jeansów w dziadowni. Sprzeciw przeciwko wydawaniu 330 złotych. Cecylia Malik: – Wróciłam z Berlina.

– Za Warszawę. Nie. Nie, żeby Hans wychodził: „O, patrz, Polak nam wisi”. Polski malarz nie ma prawa.

Poprawność polityczna nas zeżre. Wolno mi. Wolno.

Układałem noże. Kaukaskie. Czyszczę, patrzę. Moje skarby.

Przez całe życie nie nosiłem zegarka. Patrzyłem na cudze na rękach. W biegu.

Uczyłem tego Helenkę. Teraz rozmazuje mi się trzeci plan. Strach.

Andrzej Sułkowski u nas z Jarosławem M. O tradycji. To nie należy do nas. A. opowiada o małej Branickiej, dziedzicze Wilanowa. Jak ojciec zastał ją w bibliotece, gdzie były pamiątki po Janie III Sobieskim, kiedy otworzyła szafkę. Jak ją zrugął: „Nie wolno, to nie należy do nas”.

Tak. Rzeczywiście. Kiedyś w nagrodę dawano mi możliwość uczestniczenia w oglądaniu „dokumentów rodzinnych” i – jak się mówiło – „medali dziadka”, fakt.

1 maja. Zimno i źle. Wyciągałem papierowe kwiaty ze śmietników. Dzieciństwo. Wracaliśmy z Mamą z naręczami papierowych kwiatów na listewkach. „O, tam ktoś zostawił...” Myślałem, że to robią wszyscy, a to tylko my. Cieszyły nas.

Głuche dum, dum. Burzą piec u Smoleniów. Żał mi ubeckich pieców? Pan Smoleń, a jednak pan gwizdał na schodach i miał syrenkę 102... Smoleniowa o ospowatej twarzy podobnej do ropuchy... Żał.

Maluję. Bez przekonania. Facebook. Wymiana piesków, kotków i zachodów słońca milczy. Moje kobiety nie zachęcają do lajków. Nie uczę malarstwa.

Książd Ryś. Biskup. Grzegorz. Czytam. O dziedzictwie ojców w odpowiedzi A. Michnikowi. „Pokolenie niezdolne do pamięci jest pokoleniem bez przyszłości”. Ryś pisze, używając określenia „pokolenie bez ojców”, jako Polacy mamy niezwykłą przeszłość i fantastyczną. Jakimi ludźmi czyni nas nasza polskość? Pyta on. I ja.

Sadowię się na krześle. Oglądam album Basquiata. Niepokorny. Jego nieufność wobec nakazów podzielam. Cytat: „Każdy gotowy jest cierpieć za twórczość, ale czemu tak mało chce nauczyć się rysować”.

Maluję. Jest w tej produkcji zapis, że żyję. Postęp? Rozwój? Wieczność? Nie wiem.

Studenci malują hełmy niemieckie, podziurawione od kul. I mięso. Dla przeciwwagi różowe ciastko. Wstręt i słodycz. Gdyby ktoś zapisywał, co im wygaduję...
Iwonka: „Wszyscy jesteśmy barbarzyńcami. Na tym polega dramat”.

11 kwietnia. Francuz kazał zamurować ślady po kulach na ścianie od podwórka. Pamiątka po Niemcach albo Ruskich. Żal. Fotografowałem. Niedawno. Miałem przecucie, że znikną. Sprzątanie. Świat według Tesco, Castoramy i Biedronki. Posprzątaj świat z Castoramą.

Ślady. Chropowate dno wanny i rury na zewnątrz. Krople i dziura w drzwiach łazienkowych z wielkim szkłem powiększającym. Piec z dziurami po szpilkach, na których suszyły się chusteczki do nosa, i po naszych z Iwonką wieszakach z ręcznikami i spodniami, które na piecu suszymy.

Trwa wielka budowa. Złamali klucz do piwnicy. Metalowe, zielone drzwi, za którymi czerń, wilgoć i mrok. Ziemiaki, węgiel, słoiki i jabłka. Jeszcze sanki i rowery. Babcia opierała się o drzwi biodrem z całych sił i przekreślała klucz. Tylko tak można było je otworzyć. Krzyż Babci Zofii Jarguszowej. Pod strychem. Okopcony świeczką. Te wszystkie gryzmoły na klatce schodowej. Na zielonej lamperii. Duma z czterokolorowego art deco lastrico.

I to nasze... całe życie. Piec pewnie nie przetrwają dłużej, jak kilka dni po naszym odejściu. Okna ze śladami lejnika Babci, mosiężne powycierane klamki, wyżłobione, dębowe progi. Poznaczone ołówkiem framugi. Rośliśmy tu... Rysiek, ja, Helenka, Oleńka.

Wynoszone trumny, którymi uderzano o próg, żeby duchy nie wracały bądź na pożegnanie. Bo duchy niech wracają. Całe to nasze rodzenie się i umieranie w tym domu od wojny. Odejdzie czy nie odejdzie? Popalone parkiety, spadł ogień z łopatk, przenoszony z pieca do pieca. I te wszystkie „kołowacizny” w ścianach. I dobre, i złe. Może tak naturalnie. Nie bać się swoich nieszczęść. Nie bać się tragedii, one też mają wkład w nasze człowieczeństwo. Kto wie, czy nie większe od szczęśliwości. Nie bać się własnego poplątania. Kto wie, czy nie ono jest godnością. Odpowiedzią dla świata. Różnić się. Ładnie.

Błądzą za Tatarami w Małopolsce. Byli. Radziszów, Krzęcin, Jastrzębie. Jeńcy ze średniowiecza. I z później. Pod zamkiem. Zostały miejscowa legenda i skośne, ciemne oczy. Lanckorońscy i Zebrzydowscy pół swego czasu spędzali na Podolu. I w moim Kamieńcu Podolskim. Lenczowscy z zaścianka też. Błażej Jargusz, urodzony w 1768, i jego syn Antoni, urodzony w 1806. Mój praprapradziadek i prapradziadek mieli za żony Pająk-Lenczowskie herbu Strzemie. Szlachcianki.

„Kiedy więc każę Wam zarabiać pieniądze i zdobyć własny pokój, w istocie proszę Was o to, byście żyły świadome rzeczywistości, a więc wiodły żywot fascynujący, niezależnie od tego, czy uda Wam się przekazać innym jego treść”. Virginia Woolf.
Coś esencjonalnego daje przemijanie.

Rozdawnictwo. Całe to muzeum po ludziach. Chcesz. Bierz. Do piekarza po chleb, do malarza po obraz. Za uśmiech. Lista długa.

Tempo mnie zżera, palę się.
Pracownia. Przychodzę. Siedzę w sobie. W głowie. Potrzebuję tych obrazów. Sam nie wiem po co.

Sny dziwne. *Gra o tron*. Namieszane. Serce?

Jesteśmy z Lascaux.

Zaczyna brakować mi koloru. Czy jestem malarzem? A może jestem oszustem. Iwonka zapytała mnie osiemnaście lat temu, czym się zajmuję. Odpowiedziałem: „Chyba jestem malarzem”. Dalej zadaje sobie to pytanie. Kim jestem? I chwilę temu też. Skoro maluję obrazy...

Malarzom powinno się uciąć języki. Zbyszek Sprycha: „Ja już jestem starym człowiekiem”. Patrzę na niego ze zdziwieniem. „Wiem, co mówię...”

Już piętnaście stopni. Zdecydowanie lepiej. Wieczna zima mija.

Pisać nie o malowaniu. Trzeba zachować proporcje.

Sen. Śpię. Prostuję obrzmiałe dłonie. Śniła mi się Dziewica Niepokalana. Tak. Młoda, ładna. Zapytałem, kim jest. Uczyla mnie ćwiczeń dłoni na rozluźnienie karku. Szaleństwo.

Rola ojca. Być.

Mięso w hełmach.

Moje góry. Białka Tatrzańska, Kaniówka i Korkoszówka pod Grapą, Nowa Biała, Jurgów, Łapszanka, Pawliki, Rzepiska, Czarna Góra. Bez samochodu. Na nogach z Helenką i Oleńką na barana. Góra, dół. Mocarz to ja.

Zygmunt Bauman nie jest optymistą. Ale przygląda się wnikliwie spółdzielni. Tropi i parweniuszy, i nomadów. Dzieli ich natychmiast. Jest w tym uwodzicielski. Ale czy we wszystkim ma rację?

Cmentarz mi przyszedł do głowy, akurat jestem w pracowni na Dietla. Jak byłem mały, Babcia brała mnie na cmentarz. Jechaliśmy dwunastką i sadziliśmy na stromych, glinianych zboczach grobu dziadka rzędy śmierzduszków. Grób miał strome brzegi uklepane łopatą, które po letnich upałach traciły swój regularny kształt. Może dlatego, że od śmierci Babci mija dwadzieścia lat i muszę zapłacić 1300 złotych za prolongatę grobu, bo inaczej go przekopią.

Zwrot z aukcji. Nawet bez listu. Obciach i brak taktu. Czyżby moje rysunki były tak niewidzialne?

I. nie lubi obrazów. Może jest nimi przytłoczona. Gdzie mam je dać? Lepiej, żeby zgniły w pracowni. Dutka chciał mi swoją odstąpić na Sławkowskiej, ale on płacił za tych osiemdziesiąt metrów z tysiąc złotych. Kiedy mi brakuje na tę na Dietla...

Jadę do Obrzydowskiego ze studentami. Pomalują u niego akt Katarzyny Zawady. Ładny.

Wiesław Obrzydowski: „Leżę w pracowni na Szewskiej, nagi, przykryty tylko kocem. Przychodzi dziewczyna, stoi nade mną. Pytam: My się znamy? Ona mówi: Ja pana znam z ulicy. A, myślę, z ulicy... Pomyślałem, co takiego powiedzieć, żeby sobie poszła. Mówiąc do siebie, ty stary rozpustniku. I mówię: Idź albo wskakuj do łóżka. A ona jak stała, tak w momencie naga i wskoczyła. Nie żałuję, mam dwoje dzieci... Syn, córka...”.

Pokazuje ksero. Zaprowadziłem swoich studentów do normalnego malarza.

Iwonka: „Jeżeli twierdzisz, że on jest normalny, jak to są twoje standardy normalności, to się nie dziwię”.

Wchodzą po schodach. Subkultura. Drzwi od Wieśka toalety ktoś kupił. Główne pomalował w główki. Jedynie głowę żony wymazał. Wiesiek elegancki, włoski, w pomarańczach. Na widok dwudziestu lasek... Podaje każdej rękę. Dwadzieścia razy. Wchodzą. Malują akt. Pani Kasia rozbiera się za kołdrą w amerykańską flagę. Hardcore. Ściany pomalowane, popisane. Stosy rysunków. Mówi: – Taranczewski ufundował mi farby. Nie miałem za co malować. Powiedział: – Dostał pan prywatne stypendium. Nie powiedział, kto ufundował. Poszedłem do kasy i kasjer pokazał mi listę... ale potem cofnął. Pietruszkową pamiętam, pozowała Matejce. Będę malował na tym moje bohomazy.

Pani Kasia stoi na łóżku.

– Jaka piękna. Piękniejszej nie widziałem. – Wiesiek zachwycony. – Będę malował. Będę się wygłupiał. Przebiorę sobie fartuch.

Przynosi farby. Klęczy, odwraca obraz na drugą stronę. Maluje. Czerwone, zielone. Dobry jest. Leci po brzegach krosna. Dziewczyny moje przycupnęły po kątach. Zbieramy się.

– O, jaka pani ładna, może pani do mnie przyjść. Nie akt, portret. Jakie piękne. Pocałuję oczko. – Do ładnej Wiesiu...

– Czy można nauczyć się malować? – zastanawia się. – Nie, nie da nauczyć się widzieć.

Żegnamy się. Długo tu nie pomieszka. Ma eksmisję z tego swojego malowanego dworu. Do lokalu socjalnego. Idzie nowe. Jeszcze ktoś umawia się na karty, ale frontowe mieszkania puste, zieją remontowaną pustką. Wszystko nowe, prosto z Castoramy. Dla Wieśka nie będzie miejsca. Kiedyś ktoś się złapie za głowę, a jaki tu malarz mieszkał. Legenda kolorowa. Obrzydowski król żydowski... Ale WO już wtedy nie będzie.

Czytam Baumana. Z tych jego elokwentnych wywodów wychodzi, że już nigdy nic nie będzie takie, jak było. I że to mamy jak w banku i że jak będzie, tego nikt nie wie, poza tym, że wiemy, że inaczej. Czyli wątpliwe dziedzictwo. Dla moich lulek ukraińskich i rodzinnego archiwum. Trzeba znaleźć ofiarę – dziedzica. O takiego jak ja będzie trudno.

Między śmietnikiem a wiecznością. (KM rozmawia z TK). Na rzeczy.

Hardcore.

– Rower wnosisz?

– Wnoszę, lubię go, nie chcę, żeby ukradli.

Kolejne zdjęcie z łopatami łosia.

Natalia Ursu przysłała zdjęcia. Borys Negoda z Łaszką nad Dniestrem, z nimi na obronach magisterskich. W jednej chwili sobie przypomniałem. Kocham ich i to tam z nimi bycie. Już się martwię, jak będzie w przyszłym roku. Czy dam radę pojechać? Jak nie ja, to kto? Potrzebuję tego bycia tam. Iwonka patrzy z dezaprobatą. Woli, gdy zostaje...

Wyniosłem szklaną szafkę z toalety na strych. W kącie coś czarnego. Często-chowska Matka Boska z plastiku. Z przyklejonymi twarzami. Pamiątka po jakimś świętym Stanisławie. Umyłem. Popatrzyłem. Powiesiłem w rogu pracowni.

Święte obrazy mi towarzyszą. Mikołaj od Iwonki, Matka Boska z Paryża od Agnieszki Nowakowskiej, święci Piotr i Paweł od Aleny, Anioł upadający i tańczący od Armine. Matka Boska wyrzucona w bramie z pajęczyną, a na niej łątka. Ale nie Joasia. Towarzyszy mi przez kolejne dwory, domy, moje.

Drabina. Francuz łąta dziury po kulach. Ruskich czy niemieckich. Raczej ruskich. Adam Wsiołkowski opowiada o psach, Felkach, swoich trzystu świniach, nekrologu Felkowym, o który stoczył bój, żeby zamieścić go w gazecie.

Podjąłem decyzję. Kupię nasz dom, wielki jak okręt. Zapchany po brzegi. Co z tego, że wyniosę balię z piwnicy czy starą maszynę? Ojciec kupił ją od pijaka, z połyskującymi kwiatami z masy perłowej. Cały nasz dwór, chwała i wstyd. Ten mój areopag. Mam kupić. Naprzód: kupić. Co będzie, to będzie. Viatoris kupuje. Żywy Dom. Szukam kredytu hipotecznego.

Olga ze mną na rowerze nad Rudawą. Dobra, nazrywamy białych gałęzi. Siedzi i je makaronika. Oleńka, nie Olga.

Cecylia Malik nad Białą z protestem przeciw przegradzaniu rzek. Trzeba było jechać. Myślałem, że będą tłumy. A tu grupka dziewczyn i paru miejscowych. Szkoda, że nie pojechałem.

Dum, dum, dum. Mój kruchy dom przecieka. Coraz bardziej.

Achmatowa, Ruszczykowe, litewskie palmy za ikonami, Matki Boskie w wianuszkach herbów, cała miłość domowa. Swojskość. Sublimacja swojskości. I moknąca biało-czerwona powiewa na ganku, uszyta ze ścierek dawno temu, na przyjazd Papieża, przez Matkę. Coraz bardziej nieszczelny dom. Dum. Dum.

Ogródek. Mija mnie kurdupel, sąsiad przyszedł. Chwila zastanowienia czy pierwszy ma mi się uklonąć. Decyzja. Tak. Zagaja: – Przejaśniało w ogródku. – Tak.

Wyjeżdża wszystkie tulipany. Nie ma sensu o ogródku. I się piekli. Potem przyjdzie kolej na moje obrazy na schodach i czerwony wóz przed drzwiami. Potem na strych z walizkami po Zdaniewskich i gołębnikiem Z. i Ryśka.

– Hodowałem na strychu gołębie pocztowe – mówił ostatnio. – Jacys dziwni. Dziwili się. Głupi byli.

– Nie mów tak o nich. Lepiej się pomódl.

Pokleję Viatorisa na całą Ukrainę. Teraz, jak będę jechał. Lwów, Podkamień, Podhorce, Olesko, Krzemieniec, Kamieniec Podolski... Bakota. Z tego będzie prawdziwy Nowy Jork.

Jakiś niepokój, że nie tak. Ze wszystkim. Pojechałem rano. Zrywam się podejrzenie szybko. Uciekam. Nie zwiła wichura i deszcz. Są. Bunkier, Wiślna i Planty przy placu Szczepańskim. Fotografuję, jak nikt nie idzie. Z daleka. Za znajome. Czuję potrzebę pokomplikowania historii. Zagęszczenia koloru i innej oczywistości.

Rysiek w Tyńcu. Po drodze dziki. Stadko. „Jakie czyściutkie” – Rysiek się cieszy.

Człowiek w potrzasku: lektura, Imre Kertész i Jirzi Kolarz. Konieczność malowania i zapisywania.

Iwonka: „Tak, większość pozostanie poza. Zostając niezapisaną ciszą. Szarą tajemnicą. Selekcja. Mało co przechodzi”.

„Czy wie pan już wszystko?”, pyta pani w banku, jak wychodzę. Na szczęście nie wiem, to by mnie zabiło.

Proces. Czy gorzej widzę? Może, coraz częściej okulary noszę na czole. Olgę irytuje: „Zdejmij”. Pożegnanie. Jeszcze trochę.

Stefan Zweig o Balzaku. Iwona o Zwaigu. Przegląda się w nim.
Helenka w Utrechcie. Antek Paradowski spotkany w sklepie. Przyjdzie jutro.
Zamiast Piotra. Wymiana pokoleń.

Helenka na autostradzie w Niemczech.
Bajzel. Bałagan. Burdel.
Zbyszek Bury vel Alex Johanson.

Ranek, rower, Rysiek, Iwona. Alchemia, targowisko, kwiaty za kopcem, obiad, awantura o bilet, o coś tam, o... Nuda... Dziękuję wam za pamięć. Staszek Rodziński. Ładny dzień. Jadę pomalować.

Cicho tu. Z czym pojadę na Ukrainę? Popatrzeć. Po spokój, zobaczyć, że wszystko jest na swoim miejscu. Do sprzeczności już się przyzwyczaiłem. Olesko, Podhorce, Podkamień, Poczajów, Krzemieniec, Kamieniec, Sawiczowa. Portrety mojej głowy wielkie. Takie sobie.

Dziedzictwo. Antek P. oglądał noże z zachwytem. O. do Warszawy na trzy dni.
Beata mówi – na tydzień.

Zapłaciłem za Babci grób. Minęło dwadzieścia lat.
Leżę, chcę spokoju. Chore klimaty. Spierdalać ode mnie. Słowo, które ostatnio robi zawrotną karierę. Przed nim wszystko. R.: „Byłem z Czesią, widziałem twoje malowidła”.

Olga w Warszawie. Konwalie dla Iwonki. Romantyczność.

Patrzę: kołyska kurdyjska, łosie łopaty, kilim art déco i lampa po Danusi. Stolik Babci. Siedzę. Roboty w naszej kamienicy trwają. Jak się skończą, zaczną się „nowe porządki”.

11 maja 2013. Cecylia. Tupie po schodach. Z psem. Wysoka. Egzotyczna. Prawdziwa. Siedzimy. Puszczam moich Białorusinów. Pies suka siedzi, leży. Miła. Husky?

Z Iwonką za Czernichów. Przez Wołowice. Wiosna. Idziemy wałem Wisły, razem z Amelią. Wracamy przez Czernichów. Piękny. Na wzgórzu.
M. i A. chcą też ze mną na Ukrainę.

Cadyk M. z Leżajska leczył duszę i ciało. Potęga wspólnoty religijnej. Palenie, klękanie, całowanie, rozmawianie, śpiewanie, stanie, krzyczenie, modlenie się. Ufam ortodoksji. Jako ortodoks jestem spokojny.

Dom wstydu wygenerował dom dumy. Matka spełniła swoje marzenie. Przydział na mieszkanie przez lata ukryty. Stał się cud. Wszystko zapomniałem. Wrzuciłem do pieca. I podpaliłem. Nasze tajemnice. Tragedia. Dlatego chciałem być dobry, lepszy, święty. Byle dalej.

Czaja: „W ciemności widać dokładniej”.

Czasami błędę myślami. Wędruję. Jakaś akcja. W stronę ciszy, gdzie się dzieje. Myśli się bez słów. Coś zapisuję. Dokument. Ślad po myślach.

Iwonka: „Dlaczego, jak cię proszę, żebyś nie palił w piecu, to palisz?”. Jakby ci powiedzieć... Spaliłem Olgi włosy z wanny. Tak się u mnie robiło. Wierzono, że może ich ktoś użyć do czarnej magii.

Język domowy. Eci peci – na pieniądze, ziorasz – wywołujesz wilka z lasu, pin-
kasz – śpisz, królewskie obiady, ale duje – wiatr, ale żart – krawal. Piski...

15 maja. Tak ważny trop do siebie. Zapomniałem. Wszystko, całe dzieciństwo.
Zutylizowałem. Ale została pustka, którą zakleiła moja gorliwość do czynienia...
Urodziny Iwonki. Kupuję piwonie. Lubi.

Czy to nie to samo, co błąd w tkaninach na chwałę Boga?
O. miły. Twórczy, normalny. Lubi Pinsla. Ale jego polskość wstydliva, przepra-
szająca. Winna. Moja, mimo że nieślepa, miłosna, dumna.
Kwitną bzy. O. nie chce ich w pokoju.

Ustawiam stateczki. Malują. Rabarbar na tacy i na zapasce z Karpat. Dom ciała.

17 maja. Ja rzeczywiście trudny w krytykowaniu wszystkiego. Niestosowny
przy I., która bierze to do siebie. Jestem trudny. Iwona pewnie ma rację.

Stoimy z Pawłem Paluchem przed tabliczką Banksy'ego. Za to miałbym kilka-
naście takich mieszkań na Szymanowskiego. Śmiejemy się. Stoimy razem. Komornik
i lokator. Biznes i art. Zabiorę go do Obrzydowskiego.

Przechodzą przez ulicę mężczyźni – młodzi, pięciu w czerni, z orłami w czerni.
Prowadzę rower. Przede mną strażnicy miejscy też w czerni. Patrzą na tamtych z po-
gardą. Znam to spojrzenie z czasu stanu wojennego. Tak patrzyli zomowcy na demon-
strantów. Z drwiną.

Helikopter lata. Parada pierwsza, parada druga. Kolorowa i narodowa. Jedna
podobno lepsza, druga gorsza.

18 maja 2013. Chrozos. Filozof. „Kto zdradza tajemnice misterium niewtajem-
niczonym jest bezbożnikiem”. Przeczytałem z parapetu w pracowni. O malarstwie? Kij
służył do podpierania, ale częściej do odganiania psów. Znalezione na plaży nad Wisłą
pod Czernichowem. Stoi w rogu. Ma głowę jastrzębia. Pasuje.

Malowałem. Jutro Delfina Piekarska o 16.15.

Jak wańka-wstańka. Pomalowałem.

Delfina Piekarska. Przyszła. Monologuje.

Artysta nie powinien być urzędasem. Spróbuję. Ostatni moment. Tak czy tak,
całe życie więcej zajmowałem się opieką nad dziećmi i domem niż malowaniem. Da
się. Iwonki imieniny, Helenki imieniny...

Delfina Piekarska wyszła z obrazem. Też. Rozdawnictwo. Tak. Mądrość, że to, co
dasz, uczyni cię bardziej bogatym, niż gdybyś zachował...

Homo Viator. Człowiek wędrujący przez egzystencję. I nomad, członek plemion
łowieckich, wędrujący za wodą i pożywieniem dla siebie i swojego stada. Życie jest
byciem w drodze. Człowiek – wieczny tułacz.

U Czai: „Siegelbaum jest żydowskim handlarzem, skupuje...”. Ja też skupuję. Me-
daliki, grafiki z ukraińskimi już zamkami, herby ziem polskich z Matką Boską, książki
o zwyczajach i polską szkołę gotowania. Kawałki... Wyposażam dom w pamięć. Sku-
puję wszystko, co może uratować nam pamięć o dawnej Polsce. Wieszam, chowam,
składam, przyklejam. Jestem strażnikiem pamięci po katastrofie. Czy przed katastrofą.
One, moje dziewczyny, mogą chcieć nie chcieć tego mojego dziedzictwa.

Ewa Herniczek o rzeźbie w piwnicy w Zbarażu. Barokowy święty. W piwnicy. Do
połowy w wodzie. W zamkniętym klasztorze. Weszli, chciała go podnieść. Ręce chwy-
ciły gąbkę. Zgnił. Nieuratowany.

8 czerwca 2013. Cecylia Malik w biegu. Dołączy do mojego Szczęśliwego Miasta. Trzeba mi było dwóch tygodni na zagarnięcie. Wczoraj w deszczu tłumaczę przy Litewskiej 37 i Litewskiej 24. W dobrym stylu zdobyłem też płot naprzeciwko Wydziału Sztuki. Dobra Karma o szczęśliwych spotkanych w indyjskich slumsach. Dwuletnie dziecko śpi na gazecie na ulicy. Samochody i psy wokół. „Nie chciałabyś ich zobaczyć”, mówi do Iwony.

Projekt. Nowa Stara Krowodrza. Szczęśliwe Miasto. Sztuka i edukacja w procesie rewitalizacji relacji społecznych. Krowoderska Szkoła Działań. Wydział Sztuki UP.

- Jesteś z Polski dumnej czy kajającej się? – pytam Ewę Herniczek.
- Jestem z Polski samostanowiącej. – Ładne.
- Co jest w polskiej kulturze dla ciebie najważniejsze?
- Zdolność do absorpcji.

Opowiada o kościelnych rzeźbach pochowanych w niskiej chatynce, czekających na Polskę albo kościół. I o książkach ukrytych na strychu przez poprzedniego księdza. „Tam są jakieś rzeczy kościelne. Odbijają deski. Są w pudłach. Książki, cały księgozbiór. Od 1590 roku. Weneckie druki...”

Kim są Polacy? Według AM pomyłką. Polskość jako suma nieporozumień. Według AZ

Czytam u Tomasza Stawiszyńskiego w *Potyczkach z Freudem*. „Coś się kończy, coś umiera. Bezpieczna, znana struktura, do której się przyzwyczailiśmy i którą dobrze znamy, znika. Pada ofiarą z pozoru niezależnych od niej okoliczności. Procesów rozgrywających się na wyższym szczeblu. Mniej lub bardziej racjonalnej manipulacji, przypadku, okrutnego zrządzenia losu. Co powinniśmy w takiej sytuacji robić? Próbować ocalić to, co nieodwracalnie ginie? Skoncentrować się na przyszłości i tym, co przyjdzie później?

Nic podobnego – mówił James Hillman. Powinniśmy być przede wszystkim świadkami końca. Powinniśmy pomóc umrzeć temu, co i tak umiera. I zamiast patrzeć w przyszłość – powinniśmy zmierzyć się z przeszłością.

Hillman miał na myśli nie tylko ekonomiczny i kulturowy kryzys, jaki w ostatnich latach dotknął Amerykę i Europę. Kryzys był dla niego przejawem czegoś bardziej ogólnego: dominacji w dzisiejszej zachodniej kulturze, szczególnego stylu myślenia i przeżywania, który właśnie teraz, w znaczeniu jak najbardziej dosłownym, zapada się pod własnym ciężarem. Pod ciężarem własnej iluzji, pozbawionej życia i pozbawionej związku z rzeczywistością. Pozbawionej na własne życzenie, ślepej na rzeczywistość... z wyboru. Wybierającej własną projekcję, własną fantazję zamiast tego, co zewnętrzne, realne, odrębnie istniejące... obdarzone niepowtarzalną, autonomiczną tożsamością. Wszystko bowiem, co zewnętrzne, realne, odrębnie istniejące i obdarzone autonomiczną tożsamością domaga się docenienia, uznania granic... szacunku i prawa do istnienia. Tymczasem dzisiejsza zachodnia kultura – doszczętnie zagarnięta przez kapitalistyczną ekonomię i jej bożków: Zysk, Sprawność, Sukces, Perfekcję, Doskonałość, Indywidualizm i Siłę – jest na to wszystko ślepa. Nie chce znać nic poza sobą. Nic więcej jej nie interesuje. Nic nie ma dla niej znaczenia. Dzisiejsza zachodnia kultura... popadła bowiem w najstarszą... chorobę. A mianowicie w utratę duszy.

Utrata duszy przejawia się nie tylko tym charakterystycznym stanem emocjonalnej oraz intelektualnej anestezji. Pełnego zubożenia, które, żeby nie zatracić się całkowicie we własnej pustce, potrzebuje co jakiś czas dać sobie solidnego kopa. Potrzebuje doraźnych ekscytacji. Utrata duszy przejawia się skrajnym zamknięciem na rzeczywistość innych ludzi i rzeczywistość świata. Kultura wyizolowana od rzeczywistości, skoncentrowana na sobie, pozbawiona wrażliwości i współczucia niejako wykształca taki ustrój społeczny, taką moralność, taką religię, takich polityków, takie banki, takie korporacje, takie media, które usłużnie, bezszelestnie i w szatach «niezależności i bezstronności», a nawet eksperckości dzień w dzień podtrzymują jej trwanie...

Dlatego właśnie na naszych oczach ekonomiczny i kulturowy system, na którym opierał się Zachód, ulega nieuchronnemu załamaniu...

Tracimy elementarne poczucie bezpieczeństwa na rzecz nieustannego paraliżującego, poczucia stałego zagrożenia i stałego napięcia”.

Listy od Danusi. „Złożyłam ślub posłuszeństwa, więc słucham. Poza czynnikami ludzkimi, że trzeba podjąć jakąś pracę, chcę wierzyć, że Pan Bóg tak kieruje człowiekiem, żeby jak najlepiej się rozwinął. Gdybym nie była w zakonie, nigdy nie podjęłabym pracy w domu dziecka w Krakowie. Pomijając fakt, że ta praca pomogła Dance R., podobno pomogła też innym. Tak mówią ci, którzy mieli ze mną kontakt. Itd. Itp.

Po co jadę do Bochni? Jeszcze nie wiem, ale wierzę, że wszystko jest po coś. Przemysł jest piękny, ale dom był za duży, jak na moje możliwości, choć widziałam w nim dla siebie duże pole do popisu. Zdecydowano inaczej. Takie jest życie. Nie lu-

bię zmian. Nie wiem, co mnie czeka w Bochni. Chcę wierzyć, że wszystko jest po coś. W Bochni będę tzw. kościelną. Czyli pranie, sprzątanie w kościele. Będę się też zajmowała domem, np. gotowanie, czego nie potrafię, ale podobno nigdy nie jest za późno, żeby się czegoś nowego nauczyć :)

Tyle mojego tłumaczenia. Pewnie nie przekonałam ani Ciebie, ani Iwonki... Ja zrozumiałam jedno. Jeśli będę patrzyła na swoje życie bez perspektywy wieczności, zwariuję. Pozdrawiam. Z Bogiem. Da”.

Znaleźć zielony zeszyt z moimi listami do małej Helenki.

Dom. Obklejone dzwonkami drzwi. Mama wkładająca coraz to nowe wykaligrafowane wizytówki. Judasz, mały wizjer z okienkiem. Widok na to, czy ktoś się nie czai pod strychem. Żółka, a potem inne psy. Nasze psy. I koty. Lampę w przedpokoju, dobre art déco, rozbili malarze. „Nie, nie szkodzi” – to mówi moja Matka. Parkiet z czarnymi kropkami. Gdy ogień spadł z łopatki, jak przenosiłem z pieca do pieca. W pokoju ślady szpilek na parkiecie. Lata sześćdziesiąte. Widok na nasz park z ganku. Iwonki i moje ikony. Dom numer 4. Dwór piękny. U Olgi obraz z wilkami, szafa Babci i komoda. Trwa.

Opowiadanie szkatułkowe.

Sypialnia. Zimnica. Skrzynia od Chowańca z Jurgowa, kołyska po Maryśce z Jurgowa, rysunek niemieckiej tancerki Kiki Sterling z gołębnika Zającowej, ze strychu. Po Niemcach. Norblin Iwonki z Paryża via Lwów. Lampa szyszka z Kazimierza Dolnego. Imieninowa dla mnie. Od Iwonki. Błękit turecki i *Bitwa sarmacka*. Obraz mój.

Wszystko, co w 1995 przewieźliśmy z Zamojskiego, pasowało jak ulał. Dom. Obrazy pod strychem i wóz z Białki T. przed drzwiami. Miasto. Idę do miasta.

– Patrz, jak zielono. Jak pięknie napadało, zobacz, jak kolorowo. Jakie kolory!

Co bym wziął z mojego domu? Próg wytarty? Który? Parapet okna ze śladami Babci lajbika. Drzwiczki od pieca? Wytartą przez nas wszystkich kłamkę? Zagroda.

U Obrzydowskiego. Zakłopotany. Potem rozgadany J. i P.P. zakochani w nim. D.: „Marzę o butach do sukienki”.

Pokleilem nowe obrazy, czerwone.

Danusia R. pisze: „Modłę się do Boga, żeby nikt do 2 lipca nie umarł. Przenoszą mnie do Bochni”.

To jest chyba choroba. Kupilem talerz z polskim herbem. Kolega wyprzedawał. Żeby ocalić polską kulturę. Rysiek przez telefon... Jadę, nie mogę rozmawiać.

„Radością trzeba się podzielić”. E.H.

Pani Hańska o miłości i Balzaku: „Wiem, to jest najcenniejsza rzecz, jaką mam w życiu”. O miłości jak o rzeczy. Wincenty Pol o stepach. *Mohort*. Przeczytam studentom. Jak nie ja, to kto.

„Kochany Panie Profesorze! Pozwalam sobie na taką poufność, pisząc do Pana, bo ona najszczerzej oddaje moją wdzięczność, szacunek i sympatię do Pana osoby (nie wiem, która kolejność jest odpowiednia).

Dziękuję za te przyjacielskie kuksańce przekazane przez osoby trzecie, za ciepłe słowo na mój temat. Nie wiem, skąd ta pamięć o mnie, brak mi słów...

Ciągle ta sprawa nieskończonej edukacji mi huczy i rezonuje w codzienności, postanowiłam się tym zająć w przyszłym roku. Do tej pory nie było na to wystarczająco czasu. Dziecko moje i dziecko we mnie wymagały dużej uwagi, może zbyt dużej, ale to kwestia priorytetów.

Gratuluje Panu dowództwa katedrą malarstwa! Jak się Pan z tym czuje? Oswójony, przekonany? Zdołał Pan te obowiązki zrównoważyć (wywalczyć?) z potrzebą pracy w samotni na Dietla?

Serdeczne dzięki dla Pani Iwony za pamięć i kontakt z MOCAKiem ! Proszę ją gorąco pozdrowić. Mam nadzieję, że projekt fajnie wyjdzie i stanę na wysokości zadania.

Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Dziecka Panie Profesorze! Tego twórczego, innowacyjnego, boskiego zakątka w Panu. Z wyrazami szacunku i przyjaźni Agnieszka Nowakowska”.

Jadę do Helenki. Dzień Dziecka.

Jadę. „Nie wychylaj się, bo ci iskra do oka wpadnie”, Matka mówiła, gdy się wychylałem z okna pociągu.

Białe kościoły siedzące po wsiach. Jaka to może być wieś? Na godzinę piętnaście przed Warszawą. Piękny. Barokowy. Wielki. Drugi bardziej strzelisty po dziesięciu kilometrach. Skromniejszy. Obydwa białe.

Już środkowa wiosna. Jeszcze tylko dziesięć dni śpiewają słowiki. Że też ja widzę te bitwy, tych rycerzy, tych szlachciców, tych chłopów wśród tych piasków. Inni też widzą? Kibice Legii Warszawa. Patrzą na nich ze zrozumieniem.

Delfina Jałowik roziskrzona. Ewa Herniczek dzielna, uparta, delikatna. Cecylia Malik fascynująca, silna, dziewczęca, zakręcona. Monika Rościszewska rasowa, czysta, normalna. Siedzę na ławeczce. Słucham. Patrę. Myślę.

Tak, dworzec był bramą w nieznane. Był prowincjonalny. Z barem Smok. Z plastikowymi, barowymi literami odjazdów i przyjazdów. Odnajdywałem Cieszyn, Białkę Tatrzańską, Jurgów. Granice. Sandomierz. Kierunki. Pokonywałem lęk przestrzeni.

Na Ukrainie wykleję Viatorisa. Antek Paradowski: „Jedziesz”. Cieszę się, że nie kłamie. Jestem winny to jego ojcu. Winny Piotrowi.

Nie maluję. Rozdaję i rozmawiam.

Spotkanie z Elą Salą. Uważna, wykształcona. Szukam dziedzica. Dla siebie. Zapatrzyłem się w nich. Są dobrzy. Depozytariusz. Tak, jesteśmy depozytariuszami sztuki, miłości, wiary, ciała. Zacznę czytać Jana Pawła II. Leży obok łóżka, w stosie, leży w bagażniku. Poczytam. Jego dane mi było spotkać i jemu wierzę, że nie kłamie.

Ze starych notatek na odwrocie teczki. Sztuka zapominania. Raz, dwa, trzy. Zapominamy.

Ego. Chcę powiesić obrazy na ich klatkach. Bo inaczej nasza cywilizacja zginie. Wszyscy jesteśmy bardzo samotni. Bloki stoją otworem.

Na Facebooku dołączają do wydarzenia nowi. Szczęśliwe Miasto. Krowoderska Szkoła Działań.

Antek Paradowski przychodzi za chwilę. Chodzę po osiedlach ze studentami i Cecylią. Litewska 24 i Litewska 43.

Jutro pod blokami. Dywan stół, krzesła, kwiaty. Modelka. Katarzyna Zawada. 794 13... Ania Maraj, Konieczko, Bajek, Adam Wsiołkowski, zadzwonić do nich. Na zabój albo wcale.

Piknik pod Litewską 24/37. Gonimy. Cecylia Malik, Gocha Nieciecka, Jacek Pa-sieczny, Łukasz Murzyn, przyszedł Mateusz Okoński.

– Ludzie, ludzie ktoś ukradł laptopa. Policja. Oddał. Burak.

Wiszą do 9 piętra, a pod 24 przez 6 klatek. Tam działa Ela Sala z genderowymi dziewczynami.

Zeszli do nas lokatorzy. Powinowata Emila Krchy, Halina Sokołowska, Teodora Stasiak, rzeźbiarka, Ela i Marek Batorscy. Jest Sebastian Wywiórski. Cecylia wodzirej. Zrobiłem Borysową Ukrainę pod blokiem. Zmęczony. Policja mnie zatrzymuje, dmucham. Dlaczego bez pasów..

– Jest pan zmęczony.

– Nie, jesteeem zajębany. Jadę się napić wódki z kolegami.

– To jechać.

Udało się, dokumenty samochodu też nie wiem gdzie. Gdzieś z tyłu.

Problemy zarówno z mieszkaniem, jak i projektem Szczęśliwe Miasto. Sztuka i edukacja w procesie rewitalizacji relacji społecznych. Krowoderska Szkoła Działań UP jest doświadczeniem nowego rozdania. Jedno determinuje drugie. Dało kierunek na resztę życia. To o tym, w kulturze i rozwoju, mówił Hausner. Kończą się światy zamknięte. To, co ważne nie będzie się dziać wewnątrz państwa, rynku, społeczeństwa. To, co ważne będzie się dziać na styku. Skończył się zastany świat, mamy czas kryzysu permanentnego. Ani w obrębie państwa, ani rynku nie znajdziemy ratunku. Znaleźć możemy go tylko w społeczności osiedla. Pomiedzy. Na styku. To maszyna i sztuka nowego napędu.

I Jan Paweł II wróci do świadomości przez osiedle. To za piękne idee, żeby ludzie o nich zapomnieli. Watykan i pałac nie są potrzebne.

„O tym, co ty wczoraj, mówił na wykładzie Hausner”.

SMS od Iwony: „Moc jest z Tobą. Kocham Cię”.

21 czerwca 2013. Plener. Olesko. Nie widać. Podhorce widać. Antek Paradowski czyta pod lipą w Podhorcach *Mohorta*. Elektryzująco. Podkamień. Zachwyty. Kleję. Po-
czajów. Suknia dla H. Pożyczam. Ortodoksja. Nie poznaję córki. D. i J. Para? Piękni.

Krzemieniec, Kamieniec Podolski. Idę. Jakiś taki blizutki, śliczny. Spaprany przez
bylejakość.

Już proboszcz zwracał uwagę chłopakom. Piotr podobnie szedł płomiennie.

Czym można zważyć charyzmę? Po drugiej stronie jest jej brak.

Drogi. Patrę. Wróblowce. Raj. Pachnie. Rzeka.

Noc kupały. 23 czerwca 2013. Skaczę przez ogień. Tańczymy z Helenką w kole.
Główny kapłan: Odyn Sawicki. Jego zastępca też na -cki. Nasi górą. Jutro Bakota.

Koszela. Ikony. Łąki. Byt. Jedziemy. Wróblowce. Lato. Pachną łąki. Raj.

Czwartek. Studenci jedzą wiśnie. Z cmentarza. Zgroza. Szczęśliwy.

Bakota. Chmura. Deszcz. Upadłe drzewo. Zachwyty. Helenka i ja szczęśliwi.
Pływają w Dniestrze. Dniestrze pływają! Zachwyty. Powrót przez Kitajgorod. Zachwyty.
Widok kościoła, a w dole stary dwór. Rozwalony. Podkop był do samego kościoła. Na
kościół napis: „Pamiętaj o duszy”.

Spotkanie z Iną B., Timurem Takirowem, Oleksandrem, Viką, Mariną Kozłowską.
Siedzimy ze Staszkiem Sobolewskim i Helenką. Stosy rybek.

Czekamy na Tolika. Bartek Koszela wypił mi wódkę, którą wiozłem w prezencie
Ukraińcom. Siedzi na krawędzi łóżka.

– Panie profesorze, nie wiem jak to się stało. Wypiłem panu wódkę.

– Pan żartuje, panie Bartku.

Chce mi się śmiać. Wracamy po ledwo żywego pana Bartka. Ma jechać. Argu-
ment „wypił moją wódkę” poskutkował. Czekamy, aż się zwlecze półżywy. Jedziemy.
Czekamy na Tolika przy targu. Jedziemy. Ukraińska nastajaszczaja muzika. Tolik
w swoim indyjskim autobusie z napisem: „Tata”. Okopy Świętej Trójcy. Pani Biela,
dziewięćdziesiąt osiem lat. Ojciec z Myślenic, był pogranicznikiem.

Chocim. Moje miejsca. Wcześniej Kudryńce. Za dużo wódki i piwa. Kleję. Żwa-
niec. Moja restauracja zamknięta. Nie będzie zupy z frykadelkami.

Helenka śliczna, szczęśliwa: „Co piszesz?”.

Wtorek. Klęczę w katedrze. Msza.

– Po ile? Sto złotych?

– Dwieście pięćdziesiąt hrywien. – Pytam kościelnego. Wymieniamy. Na klęczkach.

Któryś czerwca. 23/24? Z targu. Rynok wielki. Żywy. Twór. Przykryty foliami, eter-
nitem i niczym. Chodzimy, przepychamy się. Przystajemy. Siedzą, leżą, pełnia. Żywotność ty-
siąc procent. Maliny, ser, kawony, melony... Kupujemy sztuce, chałwę. Dwie kule szczęścia.

Rejda. Nikołaj zamknięty. Psy kamienieckie. Suka. Podchodzi, przymila się. Trzy
pierogi z mięsem. Najeść się, nawąchać, napić, napatrzeć, nachodzić. Na rok. Jestem
szczęśliwy. Borys: „Odpocznij. Idź spać”.

Idzie, kołysząc się z siatkami. Czeką na marszrutkę. Mój piękny portret. Siergiej Klapetura śmieje się. Jak on to zrobił?

Wielka butla piwa. Siedzimy u Borysa. Helenka czyta *Grę o tron*. Ktoś tarmosi blachę. Lilie tygrysie, winna latorośl i dwór zielony. I ptaki ciągle śpiewają.

– Tania jest? Może nie mieszać?
– A kto jej będzie mieszać, jeśli nie my. Prosto.

U Borysa w majsterni. Klapetura. Podaruję mi portret. Moją głowę, ja mu nóż. Dagestański.

– Masz pieniądze?
– Pieniądze? – Daje mi pięć hrywien.
– Kupujesz. Taki zwyczaj. Wykup powinien być metalowy, nie papierowy. Zapomniałem.

Grigorij Bogusz, ojciec jego babci, też siedział w czasie pierwszej wojny na zamku, w więzieniu na zamku. Jak mój. „Może siedzieli razem z twoim”, śmieje się.

Ja dałem Klapeturze nóż. Serdecznie. Za głowę.

Tania Klova. Zachwył. Idziemy, bo deszcz. Z Borysem. Otwiera pokój na piętrze. Pod ścianą pusty kredens. I następny pokój, i jej pokój z widokiem na drzewa i stół. Mam jej kurę i domek. Mam czy daliśmy komuś? Jest świetlista. Prawdziwa. Piękna czy brzydka? Piękna. Patrzę na to, co robi. Emocje. Borys dotyka jej rączki. „Borys chuligan...” Tania się śmieje.

Emocje, tak. Te emocje... „Trzeba się spieszyć nakochać”, mówi Tania. Śmieje się. Chciałem dać jej kaczkę...

– Muszę przymierzyć twój kapeluch.

Miło widzieć Helenkę śpiącą. Mamy ze sobą symbiozę. Idziemy na targ ze Staszkiem Sobolewskim. Potem włączymy się po alejkach. Potem siedzimy u Borysa w deszczu pod lipą. Bez noża. Potem obiad. Z Antkiem u Kozaka. Mamałyga. Piwo. Pielmieni. Potem do Tani Klovoy.

Ona chce z Antka P. zrobić Romea. Antek wymięka. Chce, żeby coś przeczytał...

– To chociaż policz.

Dziewczyny się śmieją.

Łuk. Zobaczyłem, jak trzech mężczyzn gładzi łuk. Piękny. Czysta poezja. Łuk. Refleksyjny. Moje marzenie. Całe życie. Legenda tatarska i polska. Patyk i cięciwa. Tania spuszcza mi na sznurku zapomniany notes. Patrzę na łuk

.

Helenka wraca ze studentami w nocy.

Paniowce. Znowu się wypogodzi. Ruiny zamku 1655. Zburzony. Sześćdziesiąt komnat.

Kociubińscy. Matka z synem. Dziedzic sprowadził kiedyś. Szlachta zaściankowa, sądząc po nazwiskach wszystkich. Tak. Syn turecko podobny, z kolczykiem złotym w uchu.

Indyk. Koza. Róża, róża. Baran. Sułtan. Gęsi. Piję mleko ze słoja. Od krowy.

Tolik onanista gdzieś po krzakach.

Nastajaszca ukraińska muzika. Dawaj.

Spotykamy Tanię. Częstuję. Fotografuję. Śliczna. Pierwszy raz na imprezie u Borysa. Będzie deszcz.

Szklane kule od Mikołaja. Znów minął rok. Chłopak wykopał z Czemirowcach.
W pobliżu. Pradaje jako kartacze.

Mikołaj: – Nie wiem, co to jest. Możesz wziąć, ile chcesz.

Biorę dwie. – A ten kieliszeczek?

– Razem tylko sześć. Sprzedam po dobrej cenie. Dla ciebie.

Rusłana boli noga. Ale tak wszystko dobrze.

Dima namawia: – Chcesz się napić. Pięćdziesiąt gram?

– Wódki? Nie. Ja wolę czysty horyzont.

Piątek. Obudziłem się. Żyję. Góra jedzenia, ogórki, pomidory, kura. Nadziewane śliwki, śliwki od rodziców Oleksandra. Mule w miodzie. Śledzie. Piwo, gruzińskie koniaki. Żyję. Dym. Wódka. Powrót o drugiej w nocy. W deszczu.

Szczęście. Moja biała koszula. Ukraińska. Soroczka. Białe na białym. Kapeluch. Tania mierzy i mierzy. Podoba się.

Borys śpiewa o kurce Klapeturce. Ina, Władimir, Timur Takirow. Powoli znikają. Natalia Ursu pierwsza. Toasty.

Ina załatwia z Igorem Czesnokowskim – fizyk? konserwator? – że zapłacę za łuk później. Z Polski. C. robi łuki.

Targ. Gęstość. Krajalna. Pierogi, czebureki, suknie, garnitury, buty. Takie i takie. Całe samochody rozebrane na części po budach. Siedzi sprzedawca. Szczęrzy się. Cały garnitur złotych zębów. Gęstość.

Ruslan Samulewicz. Smutny.

Pijemy. Bartkowie dwaj. „Nie, ja prinios padarok, dwie butelki wódki”. Umawiają się w ogrodzie. Kupuję dwa drewniane krzyżyki i ikonę w plastiku. Boże chroń i zbaw. Na straganie dworca. Biorę ikonę, która leży pod rękami sprzedawczyni. Wszyscy muszą

na nią patrzeć. Cała umorusana. Jak stara. Plastik czy drewno wszystko jedno. Kolor idealny. Taksówki. Za dworcem. Cyganka idzie z dziećmi i karmi piersią. Młodziutka. Patrzę na jajka sadzone na sznycu. Patrzę, jak stary, ogorzały mężczyzna zamawia szklaneczkę wódki i stojąc przy ladzie, wypija na raz, popijając odrobinką kwasu.

Borys opowiada. Ma dziewięć lat, one, dziewczyny z jego wsi po dziewiętnaście. Rozebrane. Żartują sobie z niego. Ocierają się o małego chłopca sutkami. I się śmieją, śmieją. Zapamięta ich zapach, zapach ich ciał na całe życie.

Biuściasty, bosonogi, klapkowy, ale rozlatany, rozgadany, rozbiegany, okraszony. Z jakąś potęgą tej mocy. Pieśni. Stary mężczyzna wypija szklanekę wódki, popija kwasem. Bar za dworcem. Tania K. śpiewa o makówce. Tysiąc procent wdzięku.

Iwonka z Krakowa. Esemesuje. Blisko. Dobrze mi. Helenka imprezuje. Piękna. Jakoś niezwykle.

Ciężarówki przedpotopowe. Sandały, biodra, kolana. Autobusiki z frankami, z naklejkami, ze świętymi obrazkami, płytami chińskimi dyndającymi na sznurkach... A w środku etnografia. Chustki. Silne. Przekrzykują się. Wszystko jednak piękne.

Miód i ptaszki dla Iwonki. Dla Oleńki miód i lakier do paznokci. Ale pięknie. Ten cały ruch. Gęstość. Nie formatować świata. Jego osiemdziesiąt procent jest właśnie takim zakurzonym Kamieńcem, raz na obcasach do nieba, a raz w rozczłapanych butach. Lubię dźwięk, zapach, smak tego miejsca. Oni mnie chyba lubią. Dwie moje soroczki. Jedna z podolskiej, druga z winnickiej oblasti. Miły Timur Takirow. Zapisuję dla pamięci jego nazwisko.

Kleję obrazy na domu Borysa. Rudej bramie domu wicegubernatora. Na drzwiach łuczników. Pod oknami Tani Klovoy.

Idę na zamok. Rano pieją koguty, szczekają psy. Moje imieniny w Kamieńcu Podolskim. Po łuk. Na co to komu? Zbieram. Łuk piękny. Tak, ma urok osobisty.

Siedzimy na górze pod zamkiem. Bez noża. Teraz Klapetury. H. je arbuza, ja piję piwo. Potem wolno do Borysa. Jeszcze wcześniej po wódkę. Dostaję imieninowo hełmofon czołgisty. „Jesteście wspaniali”. Rozlewam. Koniak od Staszka, wódkę od Inny, od Bartka Koszeli. Antek daje mi grocik. Ruska strzała.

Kończymy na górze. Zerkamy na świt. Na wschód słońca nad miastem. Leżę mokry na pomniku. Wpadłem z poduszką do rzeki. Wracam z poduszką pod pachą. Jest bardzo rano. Doczekałem.

Ostatni dzień. Piechotę. Dwa Viatorisy naklejone ze Staszkiem Sobolewskim na targu. Nieswojo. Przesypiam. Za dużo wódki, za mało jedzenia.

Przewożę głowę od S. Klapetury. Czyli moją, grociki, kule – dwie z KK, a dwie z Czemirowiec. Toporek stary, prezent od Nikołaja, w rzeczach Helenki.

Helenka: „Pa, pa, zamku, pa, pa, moście. Pa, pa”.

Świat boli. Boli.

Czwartek, termin do lekarza. Urodziny Olgi. Bubble tea. Kolorowe lakiery do paznokci. Bolą płuca. Lęk. Taki koniec. Zazębilem się, leżąc na pomniku i patrząc na Kamieniec. Apteka. Viprosal. Smaruję. „Spędziłem noc na skale...”, mówię.

Olga z wiankiem na głowie. Foty na Błoniach. Kolacja. Wracamy przez Kazimierz. Gdzieś Ukraińcy. Przyjechali rano. Ina, Timur Takirow.

Prześwietlenie. Żle. Jadę do Stępniewskiego. Będę żył czy nie będę żył? Histeria. Będę żył. Opalona lekarka robi mi jeszcze jedną fotę. Nic mi nie jest.

– Panie doktorze, gdyby pan miał do wyboru leżenie na skale albo w łóżku, też by pan wybrał skalę – śmieję się. – Trzeba mieć co na starość wspominać.

No i tak Ryśkowi grot tatarskiej strzały. Siedzi naprzeciw wierzy pod skałą. Z psem. Sam. Na własne życzenie. Łuk rozliczony.

Ina, Vika, Aleks. Piję kawę. Ina liczy. Patrę z miłością na nich.

Cecylia Malik. Siedzi naturalna. Ostra. „Ale tego nazbieraliście...” Rozgląda się po naszym dużym pokoju. Wchodząc do nas na Szymanowskiego, mówi: „To smycz dla mojego psa. Bardziej niż twojego”.

Tekst wyśmiany. – Ale to prawda – mówi. – Prawda...

Leżałem i patrzyłem na ognisko. Nie mogłem doczekać się świtu. Dobiegam do naszych Ukraińców. Co dzień. Ale z nimi jeszcze nie usiadłem. Jutro. I. zarobiona, zmęczona, ja zmęczony. A ja ich tak kocham za to ich ciepło.

Niedziela. Wczoraj sobota. Pożyczam krzesła od pana Zdaniewskiego. Nasi Ukraińcy. Vika, Oleksandr, Timur, Ała, Marina Kozłowska. Stół nasz ugina się. Szybko, szybko. Kupiliśmy sery, kiełbasy, szynki, placki. Jeszcze domówiłem dwie ogromne pizze. Pijemy. Za gospodarzy. Za miłość, za bezproblemowy proces tworzenia. Śpiewy.

Ojców. Ninę Jeleńską najechali... Siedzimy w Ojcowie, miło. Nina ratuje polski honor.

Studenci: Kiciński i Olga Jakubowska. „Nie wiedziałam, że Polacy są tacy gościnni”. Przytulam ich razem i osobno. Potem będziemy leżeć w mojej pracowni. Zachwyceni rozkładają tkaniny. Leżymy pod łosiowymi łopatami. Szczęśliwi. Jemy rybki. Podoba się. Uśmieciam się do nich nieustannie.

Lato. Olga okupuje komputer. Trudno.

Gęsto. Po powrocie z Warszawy. Antek P. zachwycony. Jest w nim coś człowieczo pięknego.

Helenka. Patrę, jak żyje. Kupujemy maciejkę razem. Rozumna, miła, serdeczna, czysta. Przyjacielska. H. przyjechała o 7.00 rano. Wstała o 3.00. „Mój wewnętrzny zegar mnie obudził”. Myślę: moje geny i duszki opiekuńcze.

Wczoraj jeszcze. Siedzimy. Toast za toastem. Przeżyłem. Znowu podarki. Srebrny kubek od Viki i Oleksandra. Od Nikołaja puzderko dla dam. Podarki. Co jeden to starsze. Daleko nam do nich. Do rozciągania nóg.

- Ina – pytam – co robisz, jak chłopcy idą malować?
- Gotuję im obiady.
- Dla wszystkich?
- Tak.

Leje. H. pojechała o 7.40. Moja biedna, nadwyrężona karta bankomatowa. Ile zostało? Aż strach patrzeć. Żal. Jesiennie. Nie lubię, jak odjeżdża. Macham. Stoję z Amelią przy wejściu do parku.

- Przyjedziesz do Kazimierza? Dwudziestego szóstego jedziemy.
- Dobrze, że tam. Bo blisko i swojsko.

Jakaś refleksja seksualna. Czekamy. Na co? Oglądam 568 pozycję. Z uwagą. Uta-mar. Wydanie pop. Empik. Coś do wybrania.

- H. z K. w Dąbkach. Ile lat żyję z Iwoną? Ile lat?
- Foty na Facebooku. Tak, patrzę, jak lajkują.

Kompletuję prezenty. Sześć plus jeden, dla każdego z Ukraińców. Timurowi konia i ptaszki, bo Kazach. Pukam. Akurat leżą w łóżku. Ogromny Timur i Marina bez stanika. Timur się zwleka w majtkach. Uśmiechnięty.

Inie od nas naczynka po mamie z Bochni i bolesławickie serce ze Sławkowskiej. Oleksandrowi i Vice koziołki. Uta Kalinowska pomogła kupić. Zachwyt nad naszymi sprawił, że powiedziałem: „Dostaniecie takie od nas w Krakowie...”. Bransoletkę dla Tani, dla Natalii U. Jak się cieszę, że prowadzę ich do muzeów i na pchli targ, gdzie kupują bibeloty, a nie na targowisko. Dla Nikołaja w ostatnim momencie trzy lokalne piwa.

Szczęściem trzeba się dzielić.

Iwonka: „Antek wyraźnie jest do ciebie podobny. Może znajduje w tobie energetyczną Ewę. Swoją matkę”.

Ostrość widzenia. Okulary. Idę. Czarny koń firmy Fielmann.

- Jestem już w pierwszej trójce?

- Nie. Nawet nie jest pan w pierwszej setce.

Dziewczyny mnie rozpoznają: – Patrz, kto idzie.

- Tak, wstyd mi. Spadły. Kolejne.

- Patrz, kto przyszedł.

– Jest pan ubezpieczony. Ma pan prawo. Ma pan doświadczenie i pan z niego korzysta. Wolę, jak przychodzi ktoś z urokiem osobistym... A nie wyrachowany.

- A jeśli jest wyrachowany i z urokiem osobistym?

- Najważniejszy urok. Grunt, że jest miły.

Miłe dziewczynki. Okulary na dwudziestego piątego.

Maluję uczty jak Niko Pirosmeni. Patrzyłem na jego obrazy, zachwyciły mnie. Siedzi. Antek patrzy na Saszę. No tak, muszę się wiele nauczyć. S. wznosi toast. Prawa ręka z kieliszkiem, lewa schowana za siebie. Taki szyk. Timur Góra. Widać dobry człowiek. Teraz będę malował te nasze uczty. Personalnie.

Zerkam do książki... Czuję się jak po porażeniu prądem. Wołyń.

Berlin, 21-27 sierpnia 2013. Obrzydzenie. Nie, nie mój kierunek.

Poklepiłem całującą się parę.

R.: – Oni rozmawiają.

- Nie, oni nie rozmawiają, oni się liżą.

Dałem Ukraińcom po obrazie. Tak chciałem. Spisać kiedy, co, kto dostał. Będzie długa lista.

Maluję w samych majtkach i wojskowych butach. Przelecę tak wszystko. Przemaluję. Okoński. Jutro. Horror z tymi spotkaniami.

Maluję Viatorisa do Berlina. Kupić papiery. Wsiadam na rower i jadę. Gdzie? Po co?

Przepis Ałły na smarowidło do chleba. Sardynki w oleju ukraińskie. Koper. Majonez. Sól. Pieprz.

Z Timurem i jego dziewczyną Mariną Kozłowską jadę do Tyńca.

Ukraina wyjeżdża. Dojechaliśmy. Przedobrzam. Nie żałuję. Kontempluję dawanie. Dawanie jako akt. Uczę się. Czego nie pokleiliśmy, to wszystko rozdałem. Totalne muzeum po ludziach. Na ulicach pokazuję. Tak. Taka koncepcja. Ałła siedzi. Patrzy na mnichów. Modli się? Patrzę na nich z miłością.

– Dawaj – Sasza wstaje. – Wypijmy za pana Piotra.

Żegnaj ich jutro. Miłość w Berlinie. Kobieta i mężczyzna. Wieczny dramat. Nigdy im za mało. Maluję. Mam pod nogami pomarańczowe bagno. Na oknie książka *Sex 299 pozycji*. Dla przypomnienia. Mam już bagno szaro-pomarańczowo-żółte. Maluję kobietę i mężczyznę. Egzorcyzmy czy resetowanie spojrzenia. Tęsknota za czystym spojrzeniem. Malować. Nie pisać o malowaniu. Kto powiedział, że malarzom trzeba uciąć języki? Obraz jak pismo. Zachwyty. Tajemnica. Maluję bez okularów.

Trzy gołębie w okienku. Jak w teatrze. Przechylają główki. Wypatrują. W lewo, w prawo. Maluję. Trzy gołębie na dachu. Zaloty. Samiec dosiada młodą gołębicę. Za chwilę drugi...

Zapytać Ewę Mańkowską-Grin o żydowskiego poprzednika w mojej izbie.

Jedną część kleję na ulicach, drugą rozdaję. Między brać a dawać. Wolę dawać. Moje muzeum po ludziach.

Spotkanie z Cecylią Malik. Mówi: „Jestem optymistką, a potem się najebie. Mogę robić wszystko najlepiej. Zapisalam się do szkoły filmowej. Chcę robić filmy... Studentki... Zachowuj swój świat, chroń go. Wszystko powiem, nic nie ukryję”.

Iwona: „Kupiłam ci sweter i torbę”.

Miasto. Interesują mnie drogi i ścieżki ludzi. I drogi, i ścieżki zwierząt. A ptaki? Ich drogi na niebie? Od tysięcy lat niezmiennie. Mapa, jak się nakładają. Secesyjna łyżka i widelec. Zadzwoń po powrocie.

Trzydzieści fotografii toporów neolitycznych na słupach. Plac Nowy, Planty przy placu Szczepańskim, przystanek tramwajowy pod dworcem. H. wrzuca na Facebooka.

Strzelamy z łuku. Gubi się strzała. Teraz ona czeka samotna na srebrnym pręcie.

Co my wiemy o gołębiach? O ich miłości. U Nowobilskich w Białce wisiały nad drzwiami gołąbki. Czas małej Helenki noszonej na plecach. Nie oszczędzałem się wtedy.

Pisać. Szczęśliwe Miasto Viatorisa. Słucham rosyjskiego i ukraińskiego disco polo z targu. Dobrze, że jest Iwona. Wierna, mądra. Silna.

Następny dzień. Niedziela po burzliwej sobocie. Iwona kupiła rozmowy Bałki z Baumanem. Czego innego się spodziewałem niż kwestii typu: Bauman: Zakochałem się w panu. Bałka: Z wzajemnością. Liczyłem, że będzie gęsto, jest banalnie, kleiście, słodko. Nie przekroczyli bariery.

Rycerz. Na szyi od lat studiów noszę herbowy sygnet po B. W herbie, którym się pieczętowali, jest opowieść o rycerzu protoplaście, który sam w bitwie z Jadźwingami pokonał trzy szeregi nieprzyjaciół i swoim przykładem porwał stojących w dąbrowie rycerzy. Kultura szlachecka jest dla mnie najważniejszym rytem, najbardziej charakterystycznym dla kultury polskiej. W swoich odmianach i mutacjach. Jest punktem odniesienia. Noszę ten sygnet i drewniany krzyż z kamienieckiego dworca. Poprzedni zastawiłem nad strumieniem w lesie na Syberii w Jartarce. Zostawiłem czy został mi przez duchy zabrany?

Dyndają na czarnych sznurówkach. Jestem rycerzem. To jakieś rozdanie w świecie kupców. „Świat urządzony na miarę i podobieństwo kupców jest światem samolubnych głupców”. Przepisuję z ulotki Mariusza Libela. Utopia. Ładne.

Idę kleić obrazy. Ledwo żyję.

21:08 Cecylia Malik: tak?

21:08 Piotr Jargusz: znasz jakiegoś mądrego Niemca?

21:00 Cecylia Malik: Niemca nie jednego

21:08 Piotr Jargusz: Jeśli... zapytaj, jak przetłumaczyć sensualnie Viatorisa /strannika na niemiecki. Viatoris jest wędrowcem/pielgrzymem/człowiekiem drogi/ Drogi

21:10 Cecylia Malik: Oj, ok zaraz zapytam

21:11 Piotr Jargusz: Strannik rosyjski jest tym, kto w Drodze pragnie zaspokoić swój duchowy głód. Jakie są odpowiedniki niemieckie tych pojęć. Potrzebuję na pieczętkę.

21:12 Cecylia Malik: Ale to trudne, nie wiem czy nie lepiej, jak zostawisz oryginalny tytuł, ale zapytam.

21:12 Piotr Jargusz: Spokojnie, nie aż takie pilne.

21:13 Cecylia Malik: zapytam

21:13 Piotr Jargusz: dziękuję

21:13 Cecylia Malik: Dzięki za harnasia przedpołudniowego.

21:13 Piotr Jargusz: cała przyjemność po stronie harnasia.

21:13 Cecylia Malik: ha ha ha

21:16 Piotr Jargusz: fajne te kwietne kiecki, masz łeb, może tak na ulicę

21:17 Cecylia Malik: no, piękne, ale jak fajnie tak chodziło się po łące, bajka, mam taki plan

21:17 Piotr Jargusz: wszyscy w kwiatach

21:17 Cecylia Malik: ostatnia kwiecista będzie miejska

21:17 Piotr Jargusz: to są kwiatki z Łapsz?

21:17 Cecylia Malik: wszystkie

21:18 Piotr Jargusz: znam

21:18 Cecylia Malik: marchwice, wierzbowki, bodziszki, małgorzatki

21:18 Piotr Jargusz: to była moja wczesna Ukraina i Rosja

21:18 Cecylia Malik: no tak, Spisz, hm

21:19 Piotr Jargusz: jest taka piosenka ze Spiszu, o malarzu, piękna

21:19 Cecylia Malik: ?

21:20 Piotr Jargusz: kieby ja się z malarzami znała, to bym ja się wymalować dała.

Mój malarzu maluj na cyrwono, żeby mi się liczko ruminiło

21:21 Cecylia Malik: ale ładnie

21:21 Piotr Jargusz: mój malarzu położyć mi serduszko, mój malarzu położyć mi serduszko

21:21 Cecylia Malik: romantic

21:21Piotr Jargusz: Niech nasza radość rozweseli ludzi, od rana do śmiechu pobudzi, niech nasza radość... ładne. Czardasz.

15.28 Cecylia Malik: Witaj Piotrze, tak, to Justyna do mnie napisała. No więc może być tak: Der Wanderer / wędrowiec, Der Pilger / pielgrzym, ale myślę, że lepiej będzie: der Wenderer! C.

Kazimierz Dolny, 28 lipca 2013. Spotkanie ze Zbyszkim Burym i jego Anią. Alex Johanson. Na rynku. Pijemy piwo po cztery złote. Oni mili. Olśnienie, nie mam ważnego badania technicznego samochodu. Zbyszek Bury do swojego kolegi: „Pamiętasz bażanta, który zgubił naboje?”. Coś było.

Opowiadam o badaniu samochodu. – Dobrze się składa. Proszę jutro podjechać do serwisu fiata w Puławach. Dobrze pan trafił.

Na Rynku. 3 sierpnia 2013. Jak odróżnić zachwyt od egzaltowania. Buduję swoją siłę. Nie jest łatwo, gdy wszystko wkoło się wali.

Helenka pojechała. Była od wtorku. Raz na plaży z Oleńką, raz w Maćkowej Chacie, raz w Zielonej Tawernie. Trochę snucia. Letniego. Trochę zważonego nastrojem. Jeszcze rano ranny spacer, kogut, drożdżówka pod domem architekta. Foto ze studnią i bajki z pieskiem. Jak patrzę się na siebie i maliny. Jadę nad Wisłę. Dlatego spadł tłumik? Spadłby i tak. Był w pięciu miejscach dziurawy. Helenka łapie stopa. Było miło.

Siedzę w warsztacie pod szopą i czytam Wilka *Dziennik północny*. *Tropami rena*. Dostałem na wakacje od Iwony. Bliski mi świat. Pokrewny. Prawdziwym domem człowieka nie jest budynek, ale Droga. A życie to podróż, którą należy przejść na piechotę.

Cytat z Bruce'a Chatwina. Już swojski. Mariusz Wilk. O macaniu kamienia. On ma neolityczny nóż? O czuciu energii. Już wiem. Rozumiem. A jak. O szamańskich znakach i symbolach nomadów. Moja kołyska z Kurdystanu wisi w pracowni i odrywa mi wzrok od obrazu. Wtedy myślę, że do mnie mówi. I w tym jak napisał: „O ile kiedyś krąg jego świata oświetlało słowo pisane, o tyle teraz jałem dostrzegać także to, co ukrywa się w milczeniu”.

Pisze o Chatwinowskim prawie do ubóstwa – bez napiętnowania. Przecistawiając go bezdusznemu materializmowi panującemu w Europie. Pisze też o kulcie przodków i mocy chodzenia. O nomadyzmie i byciu u siebie w Drodze.

Czekam na rurę. Mechanik pojechał do Puław. Na złomowisko.

Dwadzieścia dziewięć lajków pod moimi obrazami. Na Facebooku. Li Bo. I Bruce'a Chatwina *Ścieżki śpiewu*.

Sto pięćdziesiąt, ale nie dają gwarancji. Chłodziarki dla dziewczyn... Dla mnie ogórkowa i kasza gryczana, lubię z białym serem.

Niedziela. Dzwoniłem do Helenki.

NIEMCY. Agush – Argus – Arguz. Zygmunt Klimek wywodzi nazwisko ze staroniemieckiego.

Piszę w liście do Ryśka: „Nazwisko o podstawie słowotwórczej -jarg-, takiej samej jak w Jargusz. Objaśniłem ją jako polonizację m.in. ze średnio-wysoko-niemieckiego argen – być drażliwym, ten czasownik zresztą we współczesnej niemczyźnie zmienił się na (sich) argen. Zgniewać się, zirytować i przez pewne gwary polskie został przyswojony w postaci jargać się...”.

Jaka prawda? Dziadek Stanisław Jargusz, syn Stanisława, bierze kilka książek przygotowanych przez Niemców do spalenia. Proponują mu volkslistę? Podobno. Tak mówił ojciec. Osiedlenia bezludnych królewskich po potopie szwedzkim. Może z Saksonii? Może? A Meusowie z Belgii? Historia. Historia żyje.

Viatoris na Ukrainie. Potem na Białorusi (Rita Stashulionak). W Andrychowie (Zbyszek Bury z Anią). Olesko, Jan III Sobieski... Podkamień. Podhorcie. Lipa, cmentarz z widokiem na przestrzeń. Ślady cerkwi spalonej zarosły. Kudryńce. Krowy. Konie, kaczki. Droga przez wsie. Gęste, z błakającymi się końmi i krowami, zakurzone, z kozami pod wierzbami. Paniowce.

Kamieniec Podolski według P.J. Targ. Mrowisko. Kłębowisko. Targ ul. Wielki przyzmat. Jak u Brandta. Targ na Podolu po dwustu latach. Ulica Zarwańska. Dwa sklepy spożywcze na rogu. Nad jednym mieszkało kiedyś, w dziewiętnastym wieku, towarzystwo. Dwie jakości. Pustki i obfitości. Dwa zapachy. Dwa dźwięki.

Borys. Osobna jakość. Niezmiennność. Kamień w wodzie. Jak kamień w wodzie. Coś nie powinno się zmieniać. Żeby było gdzie nam wracać.

Ormiańska. Kleję na słupie. Pomordowani enkawudziści, zaraz potem zamordowani mnisi, którzy ukryli precjoza wykopane po pół wieku przez kilku robotników drogowych, podzielili się nimi i ci rozdali swoim żonom. Z ich uszu trafiły do muzeum w Kijowie.

Gdzie jest Matka Boska z ormiańskiej katedry? Trzy razy wywozili ją, chowając przed Tatarami i Kozakami. U Olgi wisi nad łóżkiem *Uwieszenie cudownego obrazu w step*. Wielka lwowska heliografiura. Kozak klęczy i żegna się przed obrazem. Opowieść.

Dom Tani Kłovy. Dołga ulica. Bakota. Święte miejsce. Wiary w święte miejsca nic mi nie zachwieje. Kładę obrazki idącego w niszach /ołtarzach. Nie mogę znaleźć lepszego miejsca.

Okopy Świętej Trójcy. Tylman van Gameren. Kościół rycerski już zadasyli. Babcia. Tu bracia Pułascy i Beszt – Israel Baal Szem Tow. Można spotkać Boga i swoją świętość, chodząc po lesie. Tu tureccy janczarzy z Chocimia poginęli razem z konfederatami barskimi Pułaskich. Tu znalazłem naszego kota. Pana Darcy'ego. Wyrzucili go nad urwisko Zbrucza. Na śmierć. Patrzę, jak zarosło na zielono.

Żwaniec. Lubię kłaść się na bunkrze i patrzeć na zakole rzeki. Sasza nie zna tych miejsc. To polski trop.

Trwanie tej pamięci. Moim zadaniem jest ją przekazać. Tę miłość. Tę wiedzę. Tę sumę przeczuć. Dziedzictwo. Przekazałem.

Łucznicy. Muszę odnaleźć traktat o strzelaniu z łuku. Zen. Czytałem, jak miałem dwadzieścia dziewięć lat. B. moje książki zabrała i rozdała. Szkoda. Zostawiłem sobie z mojej biblioteki Biblię i Langerę *9 Bram. Opowieści chasydów*. A przecież chasydyzm narodził się tu, na Podolu. Tu Israel Beszt i tu dysputy nad tłumaczeniem Tory frankistów z chasydami...

W kamienieckiej katedrze. Rocznicą Wołynia, a ja siedzę z nimi. Nie mam prawa przebaczać w nie swoim imieniu. Ale wierzę głęboko, że dobro rodzi dobro. Może to jest bycie artystą pełnego wymiaru. Artystą zaangażowanym.

Mężczyzna i kobieta. Powinienem napisać o miłości. To najważniejsze pozostanie i tak niewypowiedziane.

Wożę w samochodzie zielony zeszyt z listami do Helenki. Listy do H. gdy miała pięć lat. Takie momentami infantylne.

Ja, syn Matki, dla której ubóstwiane piękno miało postać gałązki jarzębiny i zachodu słońca. Moim materiałem jest nietrwałość. To ja czy Bałka?

2 lipca 2013. Doświadczyć czegoś, to coś innego, niż zobaczyć. Doświadczyć. Doświadczyć miłości. Jest olśnienie. Iluminacja. Objawienie.

Moje Szczęśliwe Miasto. Sztuka i edukacja w procesie rewitalizacji stosunków społecznych. Krowoderska Szkoła Działań Uniwersytetu Pedagogicznego jest takim objawieniem po Viatorisie, o coś nowego dla mnie zawadza. O spotkanie. Spełnienie i niespełnienie są moim motorem.

Dom Marii Kuncewiczowej. Pisarka w roli świadka. Posiadaczka wielu tęsknot i wielu domów. Emigrantka. Obywatelka Świata. Da się? Rasa inteligencka.

Dom kotwica i dom namiot. To jej nazwania. Namiotami były mieszkania. Kotwica była tylko jedna. I kwiaty. Całe zawilgości życia M.K. potrafiła wywróżyć i wypowiedzieć, przyglądając się kwiatom i drzewom. Zazdroszczę. Podziwiam. ZEN.

Widok na Wisłę z naszego balkoniku. Cichutki. Piękny. Z pasmem bieluchnego piachu. Cisza. Podziel się, Wisło, ze mną tą ciszą. Zawsze mnie zachwycasz, królowo.

Lubelszczyzna. Bliska z wielu powodów. XVI wiek. Miejsce spotkania renesansu niderlandzkiego i włoskiego. Przyswojenia, szczepienia. Kupuję w Wilkowie grę. Będziemy grać.

Ulubiony kamieniołom. Maluję tu zawsze. Do Berlina. Kamienie. Lepszego miejsca do malowania kamieni od kamieniołomu nie znajdę.

Wycieczka młodzieży. Podchodzą trzech chłopcy. Patrzą.

– Co pan robi?

– Maluję.

– Pan jest z tych malarzy, co dużo mówią na wernisażach?

– Nie.

Na horyzoncie ślubna para i sesja fotograficzna. Teksty: „Panna młoda: – Muchy mi łążą po ciuchach. – Uśmiech... na trzy, cztery. – Śmieje się dupa, to się uśmiecha na twarzy. – Dobrze. – Wsadź se nogę pod sukienkę. – Nie tu, z tyłu. – A teraz udawajcie, że idziecie. Będzie naturalnie. Na trzy, cztery. Patrz na nią, nie na mnie. Żółwik wyszedł. A teraz bokiem do niej stań. Do niej, nie do mnie... Masakra”.

– Czy ja dostanę posag? – pyta Helenka. – Może książkę?!

Podróżowanie jest rzeczą konieczną. Życie nie jest konieczne. Tatuaż na ręce córki Viatorisa.

Iwonka: „Trzeba podróżować, żeby żyć i żyć, żeby podróżować”. Cytat z Jana Pawła II. Z czego nie wiem.

5/6 sierpnia 2013. Kazimierz Dolny. Targ na rynku. Piję maślankę z butelki. Szczęśliwy. Czasami trzeba umieć nazywać rzeczy po imieniu.

Zbigniew Herbert, *Barbarzyńca w ogrodzie*: „Wracałem z Lascaux tą samą drogą, jaką przybyłem. Mimo że spojrzałem, jak to się mówi, w przepaść historii, nie miałem wcale uczucia, że wracam z innego świata. Nigdy jeszcze nie utwierdziłem się mocniej w kojącej pewności: jestem obywatelem Ziemi, dziedzicem nie tylko Greków i Rzymian, ale prawie nieskończoności”. Mógłbym tym cytatem z H. skończyć, gdybym wierzył, że istnieją końce i początki. Ale nie skończę, bo nie wierzę. Chciałbym, żeby to poczucie miały Olga i Helena.

Maluję w kamieniołomie. Przypomniały mi się spotkania z Nowosielskim. Obroził mój czarny pejzaż z kopcem. „Pierwsze dziesięć lat będzie pan biedował, aaale następnie... To też będzie pan biedował. Zachód się wypalił. Nowe przyjdzie ze Wschodu”. Trop.

Zawiozę do B. dziesięć kamieni namalowanych tu w kamieniołomie kredy sprzed sześćdziesięciu tysięcy lat.

I.: – Co ma wspólnego kamień?

– Nie wiem. Ale wiem, że tak ma być. Nie można wszystkiego wiedzieć. Nie daj mi się tłumaczyć. I tak te obrazy są próbą zaufania twojej radzie... Bo ja nie czuję sensu ich pokazania w Berlinie. Chciałem tam tylko wrzucić kamień do rzeki. Ale już nic innego nie zrobię, to poza moim... Żadnego rysowania po ulicach...

I.: – Będzie nudny film.

– To będzie. Nie chcę niczego preparować.

I.: – To po co Berlin, jak i tak nie opuszczasz Wschodu?

– Granica między Wschodem i Zachodem jest we mnie. I ta granica, i proporcje są płynne. Tak, jak siedzimy w tym miasteczku. Wcale nie muszę się nigdzie ruszać.

I.: – Co w tobie jest z Zachodu?

– Katolicyzm i prawo rzymskie, leżące u podstaw prawodawstwa Europy... Wystarczy?

Ela Sala dotyka mojego kamienia.

– Zobacz – mówię. – Znajdź, jak chwycić, żeby idealnie leżał w dłoni. – Znajduje. Widzę po oczach. – Zobacz ślady człowieka.

Ile razy trafiam na nie palcami, czuję wzruszenie. Kształt kuli mnie fascynuje. Jako co? Jako wzór nieskończoności. Kamienie są takim tworzywem do kuli. Wzoru nieskończoności, na której człowiek zostawi swoje ślady. Ślad swoich dłoni. Ten, co wrzucę do rzeki też. Obracane przez wodę, turlane zmieni koryto rzeki, ale i swój kształt. Będzie jak kula. Może. Kiedyś. Nieskończoność zadana. Na przekór przemijaniu. Czekam. Ekstazy. Wisła powoli płynie.

Ktoś zadzgał Polaka w Berlinie butelką. Przeczytane wczoraj.

Wąwolnice, Wilkowy, Kępy Polanowskie. Nie byłem jeszcze w lesie na grzybach. Błąd. Niewybaczalny.

Filozofia chodzenia na nogach. Skończy się czas chodzenia, zaczniesz się czas umierania. To chodzenie bez opamiętania. Chyba po Matce. Chociaż ojciec architekt, kajakarz, siłując się, złamał stół.

Za wielki żar, żeby malować w kamieniołomie. Będzie czterdzieści. Obłączę ze skóry. Książka. Dobra. Prawdziwa. Dokument. Rozmowy.

Dzwon na Anioł Pański. Nad Kazimierzem.

– Ola, chcesz na plażę? – Idziemy wszyscy. Śpię.

Gniazdo. W domu łączy się czas przeszły z teraźniejszym. Od L. Przybylskiego. Obszar święty. Środek bytu.

Paweł Althamer. Cytuję z wywiadu: „Ludzie błądzą po pustyniach, człowiek potrzebuje wykonać podróż, rytuał, żeby spotkać świat duchowy”. Rozmowa A. Żmijewskiego z Althamerem w *Drżącym ciebie*. Ciekawy dla mnie Dukaj. Gazety. Clematis od pana Borowskiego z Lublina.

Wypisuję. Maria Kuncewiczowa. Podoba mi się jej określenie: „mieszkania namioty” i „dom kotwica pokoleń”. Siedziba rodu. Jej zdolność przyglądania się życiu, ludziom poprzez kwiaty i drzewa. Zachwycające. Zazdroszczę. Ja mam tylko zadatki. Sadzę drzewa. Kilka dębów, cztery lipy, jeden modrzew, jedna brzoza.

Chodzenie. Na nogach. Wyższa mądrość. Chyba od Matki. Życie. Sztuka. Ojciec poszedł. Powiedział, że przyjdzie. Czekalem. Byłem pewny. Na podwórku. Wierzyłem. Nie przyszedł. Cała reszta mojego życia była sztuką dotrzymywania słowa.

Bardziej niż nienormalności pragnąłem normalności. Jakkolwiek by ją zdefiniować. Dla mnie istnieje świat wielkiego porządku. Ale porządku ponad ludzkimi głowami. Bez naszego sprzątnięcia. Bez majstrowania. Harmonia, chaos, niech się nazywa jak chce. Wierzę w logikę chaosu.

Obrazy, cykle. Od lat osiemdziesiątych. Prorocy, Relikwiarze, Mapy, Drogi, Dom, Łądy, Odciski, Młyńskie Kamienie, Stoły, Czarne Słońca, tak. Miecze, Sztandary, Psy. Obrazy nieba i ziemi. Wojna, Rycerz, Topory. Maluję kobiety. Dziesiątki, z natury. Nagie. Zawsze prawie wzruszony, ujęty. Zaintrygowany. Dużo. Nawet bardzo dużo obrazów. Były z boku głównego nurtu. Rodzina, żona, dzieci, opieka nad Babcią, nad Matką. Tak ja to przynajmniej widzę.

Kochasz mnie, Olga? Nie zmarnujcie tego czasu. Iwona: „Nasz czas jest naszą własnością”.

Jadę do Wąwolnicy. Pomodlić się. O rurę, tłumik i o wszystko naraz. Jest o co. Proste piękno, z rozdania. Zachody słońca i jarzębina. „Patrz, jakie piękne kolory”.

Znów słyszę Matkę. Wołałem tego nie puścić. Nie potrafię. Nie chciałem. Chrońnię cudzych opowieści. Chowanie ich. Zapisywanie. Interesowała mnie też moja genealogia. Wymyślanie i rekonstrukcja.

W Wąwolnicy egzorcysta wypędza diabła. W przedsionku kościoła. Ryki. Chłopek stoi na straży drzwi. Dwie dziewczynki na schodach szepczą do siebie konspiracyjnie. Nie muszę pytać.

Jest miejsce na pieczenie kielbasy...

Naciesz się. Przed malowaniem zlikwidujemy piec. A jednak do Ryk. Domek po Wylędze, który handlował wódką. Wśród piachów i pól. Kto tu nie był. Orieta Kurkowska smaży na śniadanie jajecznicę z serem, pomidorami i kielbasą. Miło. Rano idę z Bajką i Żenią w pola. Raj. A jednak ten ryk, który słyszałem w Wąwolnicy, to było wypędzanie diabła. Przeczuwałem.

Wracamy przez Gołąb, miejsce bitwy Czarnieckiego, obok loretańskiego domku. Nad Wisłą. Moją.

Lęk. Przestrzeni. Pokonanie samego siebie. Duży trud. Pokonałem. Może to były stresy niespokojnego dzieciństwa.

Jak piszę, mam uczucie, że maluję. Wolność bazgrania. Wolność to warunek dla sytuacji. Oleńka pisze, notuje sny. Jej skóra też jest tak biała jak moja. Podobieństwa.

Przekonałem się do kotów. Mam lepszy kontakt z psem.

Wanderer. Bilder von Piotr Jargusz. Scena, w której X w filmie układa przed sobą figurki przodków. By z nimi rozmawiać. By się ich poradzić. Czasem ja tak układam w swoich myślach. Radzę się. Tak zbierałem ich fotografie. Wojna wszystkie pamiętki unicestwiła. Nasza tradycja.

Cytat: „Kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci w nią kamieniem”. Kamień u Zbigniewa Herberta i wędrowiec Goethego. Pieśń wędrowca. Ułożę symboliczne dla siebie kamienie. Dziś malowałem. Półnagi, na czworakach. Ułożę też na czworakach. Na ulicy w Berlinie. Czy rzucę? Czterdzieści lat po wojnie? Czy zbombarduję? Jak ten nasz rosyjski kapitan, który z pokoju, w którym jest nasz stół, latał w czterdziestym piątym na Berlin. Latał bombardować miasto nocą, a dniem spał i jeździł na rowerze po pokojach, a jak popił, strzelał. Był nawet miły i pachniał dziegiem.

„Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci w nią kamieniem”. To Jezus, w odpowiedzi na prowokację faryzeuszy, którzy przyprowadzili do niego cudzołożnicę.

Zbigniew Herbert: „Kamyk jest stworzeniem doskonałym / równym samemu sobie / pilnujący swych granic / wypełniony dokładnie kamiennym sensem / o zapachu który niczego nie przypomina / niczego nie płoszy nie budzi pożądania / jego zapal i chłód / są słuszne i pełne godności / czuję ciężki wyrzut / kiedy go trzymam w dłoni / i ciało jego szlachetne / przenika fałszywe ciepło – Kamyki nie dają się oswoić / do końca będą na nas patrzeć / okiem spokojnym bardzo jasnym”.

OPowieść IMIENINOWA

„Marylka: A pamiętasz Wojnara? On był oficerem polskim, a jego syn poszedł do SS. Harcerzem był, zastępowym. Kiedyś wrócił, a matka do niego: «Paweł», a on: «Nie jestem żaden Paweł, tylko Helmut». A ona: «Ty nie jesteś żaden Helmut, tylko Paweł».

Helena: Pamiętam jak twój mąż, Irka, przyjechał do ciebie na rowerze do Cieszyna z Krakowa. A tu Fijałkowski, starosta w ogrodzie. Jeden na rowerze, a drugi w karecie.

Marylka: To wiadomo – trzeba wziąć tego na rowerze. Pamiętasz, mówili: «Nie oddamy ani guzika». Wujek pułkownik mówił: «Niemcy dojdą tylko do Brzeska». Transport nasz miał jedenaście parowozów, taki długi. Do Lwowa. A tam ludzie nie wiedzieli, że wojna. Kolejarz chciał kontrolować bilety. A potem z powrotem. A tu bombardują. Raz po jednej stronie bomby spadają, a raz po drugiej, ale żadna nie trafiła. Jechała cukrownia. Pytali się: «Są dzieci?». I dali cukier. Tak na sukienkę nasypali. Wojsko dało grochówkę. Jeden miał garnuszek, a inny nie. To do hełmu i z hełmu. Wszyscy ściśnięci w wagonach. A mama wzięła chleb z domu i garnek gliniany, w którym powidła były brzoskwiniowe.

Irena: Noc nad Czeskim Cieszyńem. Pamiętasz. Noc taka była. I takie znaki na niebie przed wojną. Nam się w głowie nie mieściło się, że będzie wojna. Że to wszystko trzeba będzie zostawić. Nie mieściło się.

Helena: A zajączek? Zajączka twoja mama znalazła w lesie i hodowała. Zajączek urósł. Już popakowane wszystko, radia, dywany, mąż mówi: «Musicie uciekać». Syn poborowy, wiesz, jakie to nerwy. I ten zajączek został. I zabiło się tego zajączka. Zrobiło z tego zajączka pasztet. I ten pasztet nikomu nie smakował. Opłakaliśmy tego zajączka i nikt tego nie jadł. Odprowadzali nas.

Irena: Z babcią Antoniną pojechałam nocnym pociągiem do Krakowa. Jak przyjechalismy w trzydziestym dziewiątym, to mieliśmy tylko dwie torby rzeczy. Modliłyśmy się, bałam się. W Płaszowie bombardowali ten pociąg, ja z wujkiem wyskoczyłam

na nasyp. Konie kwiczały, ludzie uciekali. Pełno krwi. Karetki pogotowia brały ludzi. Kraków przygarnął nas w okupację, to znaczy dzięki dziadkom, bo nikt by nas nie przygarnął, gdybyśmy nie mieli dziadka i babci. Łapani, okupacja w Krakowie.

Helena: Dzięki mnie twojego ojca nie złapali. A to było w dzień, kiedy wybuchło powstanie w Warszawie. Czarna Niedziela. Mamę też by zabrali. Byli u twojego ojca. A ja pobiegłam na Bielany. Stoję na brzegu, macham. A oni płyną kajakiem. Krzyczę, że wszystko obstawione. Że Niemcy. Te kolby, buty. Wieczorem nieprzyjemnie. Czasami w telewizji słyszę identyczne.

Irena: Wieczne wizyty Niemców na Tomasza. Patrzyli. Nasze rzeczy chcieli pozabierać. Dopiero Zosia mówiła, że to są uciekinierzy, że to wszystko, co mają. Zawsze bardzo nam pomagała. Ciocia Zosia paczki na Montelupich nosiła więźniom.

Helena: Złoto sprzedawałam na jedzenie, na masło. Na Kazimierzu. Co pewien czas granatowa policja rozpędzała. Przez mur skakałam, uciekając, a babcia Balukiewiczowa tak naprawiła sukienkę, nicowało się, że sprzedała za nową. I uciekła. Ma na zdjęciu. Tam wiele nie nakupowała, bo z czego. Mąż zostawił cały żołd za pół roku. Ale potem oni nie wymieniali tych pieniędzy. Jeszcze mama kupiła nam buty, czyste, ciepłe... Mama twoja dobrze się uczyła... A Józek skończył w trzydziestym dziewiątym gimnazjum i zdał na AGH w Krakowie. Kiedy jechaliśmy do Krakowa, to były całe wyprawy. Mąż w mundurze. Zawsze dziadkowie nas przyjmowali. Ich służąca Hanusia piekła na nasz przyjazd. Gościnni byli bardzo. Mąż chciał kupić kamieniczkę w Cieszynie na Cieślarówce ale wybuchła wojna.

Irena: Jak przyjeżdżałam do Krakowa, to dostawałam zawsze od wujka kolczyki, pierścionki... Takie z zielonym oczkiem. Bardzo mnie lubił. Mieszkał na Świętego Tomasza. Pamiętam tych Żydów na krzeselkach przed kamienicami na Kazimierzu. W chałatach, z pejsami. A potem ich prowadzili z opaskami na roboty. Takich wynędziających. A niektóre twarze takie inteligentne. Ja pamiętam, jak Niemcy wkroczyli do Krakowa w trzydziestym dziewiątym roku, jak Żydówki rzucały się witać... Z kwiatami. Na Zwirzynieckiej. Ostentacyjnie witały. Po niemiecku rozmawiały. Wojna to wielka tragedia.

Helena: To raz do nas, w Cieszynie, Cyganka przyszła – dałam czy nie dałam – już nie pamiętam, a ona powiedziała: «Zobaczysz, ty swojego męża też nie będziesz miała». I pamiętasz ten słój, który rozbił się w kuchni? Mielśmy taki słój. Tam drobne pieniądze dawaliśmy, jak jakiś biedny przyszedł. To wtedy ten słój spadł...

Irena: Tatuś już wiedział wcześniej o wojnie. Wysłał mnie z babcią Balukiewiczową Antoniną do dziadków do Krakowa. Ja już zdałam do gimnazjum Osuchowskiego. Mój brat na AGH w Krakowie. Braciszek, harcerz, dostał rozkaz, aby z wieży kościoła ewangelickiego wypatrywać nadchodzących Niemców!

Helena: Nie mogliśmy go stamtąd ściągnąć. Nie było sensu! Ostatnim transportem z Cieszyna wyjechała moja mama z Józkiem. Żegnał nas ksiądz. Chcieli, żeby

jechał razem z nimi, ale on powiedział, że jest tam potrzebny, że nic mu nie zrobią. Zginął w Oświęcimiu.

Drogi pełne ludzi. Samoloty niemieckie ostrzeliwują... Ludzie uciekają... My najpierw samochodami. Potem furmanką. Na koniec pociągiem wojskowym. W wagonach po brzegi polskich żołnierzy. Ranni, umierający. Pociąg ostrzeliwują z samolotów. W Płaszowie zbombardowali. Od Płaszowa szliśmy na nogach do Krakowa. Wszystkie nasze rzeczy, cały dobytek, przepadły. Wysłaliśmy je z Cieszyna do Krakowa. Jak poszłam z twoją mamą i babcią Balukiewiczową na dworzec w Krakowie przy Kamiennej, cały pokryty był bagażami. Porozrzucanymi kuframi, walizkami... Złodzieje przrzucały rzeczy przez mur na Kamiennej. Niektórzy wybierali same futra. Znaleźliśmy pusty kufer i kosz... Potem poszłam znowu, ale gdzie... Nic nie było. I to Polacy w trzydziestym dziewiątym. Kolejarz na dworcu był, widział, że nic nie znalazłam, tylko kufer z napisem dla Wiktorii Lejczak, Kraków, Długa, numer 24. To zapakował mi kosz różnymi rzeczami, które leżały na ziemi, i mówi: «Niech pani bierze». A ja mówię: «Nie moje, nie będę brała». Jakoś nie miałam natury do brania. A ludzie brali... Niemiec się zainteresował, czemu płaczę. Starszy, pyta się mnie, a ja mówię, że wszystko, co mieliśmy, ukradli, i to Polacy. Ciężkie czasy.

Irena: A ja całą okupację przespałam na stole na Zwirzynieckiej 29 u dziadków. Jedliśmy czarny chleb. Jak kamień twardy. Mamusia sprzedawała swoje przedwojenne suknie. Biżuterię. Mój braciszek uzbierał wtedy na tym dworcu bibulek do papierosów. Pełne kieszenie. I on mówi do babci: «Mama, ale będzie palenia». «Bibułki do papierosów – też coś!» Broszka taka była duża. Piękna. Piasek pustyni. Tak ten kamień się nazywał... Też mamusia sprzedawała. Józek, brat, chciał do wojska. Odesłali. Bo nie było broni. Ludzie chcieli się bić. A nie było broni. Chodził potem na tajne nauczanie, ale gdy Niemcy wywieźli profesorów... Potem chodziliśmy na roboty. W końcu mojego brata wywieźli do Hanoweru. Pracował w fabryce broni. Stale bombardowanej przez aliantów.

Ja z mamusią pracowałyśmy na Sławkowskiej w Grand Hotelu. Tam Zosia nas zaciągnęła. To zawsze Zosia dawała nam coś do jedzenia. Tam było «Tylko dla Niemców». Ale tam kontaktowała się Armia Krajowa. Obie haftowałyśmy orzełki na czapki. Dla nich. Dla AK. Bracia Mitkowsky dawali mi czasem coś do przeniesienia. Moja mama nic nie wiedziała, w tajemnicy. Pod Czyżynami był stary dom. Fabryka broni. Jeździłam z mamą pod Miechów do Sarnewicza. Po kaszę. Elegancki pan w oficerkach, bryczesach. Chyba go Niemcy wykończyli. Z Mitkowskimi, z twoim ojcem, chodziliśmy grać w piłkę na Skałach Twardowskiego. Potem oni poszli do lasu. Do AK. Walczyli w Puszczy Świętokrzyskiej. Jednego tam zabili. A drugiego w ogrodzie u jego matki na Zakrzówku. Ktoś wsypał. Przyjechali. On wyskoczył oknem... i zastrzelili w ogrodzie. Zналиśmy się. Ten taki mały domek koło Jadźki, który ci pokazywałam. Matka ich była skromna. Sprzedawała kwiaty. Ojciec był przedwojennym działaczem socjalistycznym.

Bomba go zabiła. W trzydziestym dziewiątym, jak uciekał. Ciocia Zosia nam wiele pomogła, dobra kobieta. Elegancka. Jej mąż się ukrywał, był Żydem, a ona ukrywała u siebie spadochroniarza. On potem poszedł do Niemców.

Helena: Ja pamiętam, jak z cicią Zosią chodziłyśmy, gdy te dzieci z Zamojszczyzny Niemcy wywozili. Zosia chciała zabrać i ratować je. Wykupić. Niemcy wywieźli wszystkie nasze rzeczy, cały dobytek z Cieszyna do Czech. Sąsiadka wydała. I wzięli. Wszystko. W trzydziestym dziewiątym ludzie chcieli walczyć. Kazali iść, bo nie było broni. Później kazali uciekać. Syn razem z kolegą uciekał na wschód. Z Krakowa na nogach. Do Rawy Ruskiej. Gdzieś za Rzeszowem zostawili u chłopca dokumenty. Później ostrzelał ich samolot niemiecki. Kolega dostał w głowę. Syn tamował koszulą swoją. A to wyciekał mózg. To w polach było. Siedemnastego września wkroczyli Rosjanie. To już nie było po co iść. Męża dowódca zginął w Katyniu. Wielu znajomych zginęło tam. Jak brat wrócił do Krakowa, to miał nogi do krwi zdarte. Prawie boso przyszedł. Był bez dokumentów. Wyczerpany. Szmatami nogi pozawijane

I jakiś czas też u cici Zosi na Tomasza. Jak Niemcy wkroczyli, pamiętam, maszerowali butni koło pomnika Grunwaldzkiego. To się patrzyli z nienawiścią. Pamiętam. Ty nie zaznałeś głodu, ale my z twoją mamą, to wiemy, co to głód. Mama miała trzynaście lat, jak nie było co jeść. Bo wojna była.

Irena: Miałam serdeczną przyjaciółkę. Basię Dunin-Wąsowicz. Potem wyjechała do Warszawy. Do powstania. Córkę generała. Była w powstaniu. Potem wyszła za mąż, też za akowca i została w Niemczech. Mitkowsky Władek, Staszek byli harcerzami. Byli w lasach świętokrzyskich. Jak przyjeżdżali do Krakowa, przychodzili do nas nocować. Ukrywali się. Okrzeński był taki, wspaniały lekarz. Staszek był postrzelony, tam go wzięli do szpitala. I Staszek tam zmarł. W szpitalu. Przywieźli go z lasu. Myśmy chodzili tam. Ja z moją mamą. Na Zakrzówku w tym czasie grał z nami w piłkę późniejszy Jan Paweł II. Papież. Jak gestapo wpadło, Władek uciekał, tam taki duży, piękny ogród i tam go zastrzelili Niemcy.

Na Tomasza, gdzie mieszkaliśmy u cici Zosi, Niemcy stale robili rewizje. W nocy walili w drzwi. Cały dzień tam prostytutki na ulicy czekały na klientów. Krzyczały, kłóciły się... To była stara kamienica bardzo. Zosia nosiła do tego kościoła kwiaty. Pobożna była. Modliliśmy się za tatusia i brata do świętego Ekspedyta u reformatorów. Modliliśmy się za szczęśliwy powrót. Pamiętam w trzydziestym dziewiątym roku. Samoloty, które bombardowały radiostację. Ogień taki. Łuny nad Krakowem. Mama nosiła jeńcom polskim obiady do szpitala na Kopernika. Oficerowie. Obiady dostawała od Fiszerów. Na linii A-B mieszkali. Niemcy pilnowali. Otoczeni byli siatką. Był taki Korczyński. Potem zginął w obozie. Był w AK dowódcą. Kochałam się w nim. Razem chodziliśmy grać w piłkę. Na Skały Twardowskiego. Szyłam sama sobie sukienki. Łapanek, aresztowania, godzina policyjna. Były tylko dwie szkoły. Niemcy dla Polaków zrobili: krawiecką i handlową. Byłam w krawieckiej. Uczyłam się bardzo

dobrze. Ciocia Zosia chodziła na wywiadówki. Elegancka, w futrze. Wytworna pani. Za okupacji jeszcze na Tomasza mieszkaliśmy, ale tam wujek się do mnie dobierał. I stale Niemcy robili rewizje. Ciocia Zosia tłumaczyła, że jesteśmy repatriantami, że nic nie mamy. Minus dwadzieścia pięć stopni w zimie za okupacji, a my nie paliliśmy w piecach. Raz na tydzień. U Zosi były cztery ogromne pokoje na Tomasza. Babcia w pracy, ja w szkole, a babcia Antonina w kuchni. Tam miała ciepło. Zosia bardzo szanowała moją babcię. Chodziłam uczyć się, robić zastrzyki i opatrunki. Na wypadek powstania. Tam na Ugorek. Do tych młynów. Dostawałam też od Mitkowskich, Staszka i Władka, od partyzantów ze Skały, meldunki i przesyłki, które zostawiałam we wnęce, jak się wchodziło do hotelu Monopol, na Gertrudy. Pierwsze piętro, drzwi po lewej ręce... Za okupacji nosiłam węgiel z Zakrzówka. W torbach na Zwierzyniecką. Z Twardowskiego. Tam mieszkaliśmy pod dwudziestym dziewiątym u dziadków. Ładne miałam spacerować z węglem.

Koniec wojny zastał nas na Zwierzynieckiej. Rosjanie rozbili piekarnię naprzeciw. Pierwsi byli od rozbijania. A ja znałam rosyjski. Poszłam do nich i przyniesiłam mi wiaderko marmolady. I worek mąki. Potem to Alejami na Szymanowskiego niosłyśmy. Babcia Antonina już źle szła. Za okupacji robiła suchary i jadłyśmy do herbaty. A tu, jak wojna się skończyła, szabrowali. Na Czarnowiejskiej taka nędza mieszkała w tych domkach. Mieszkaliśmy wcześniej na Zakrzówku. Potem proponowała ciocia Zosia, że możemy mieszkać u niej na Tomasza. To była jej kamienica. Świętego Tomasza 20. Ale tam bez przerwy, rewizje, słyszeliśmy buty, dzwonek i nigdy nie było wiadomo, czy nas wystrzelają, czy nas zabiorą. Było bardzo denerwująco, nigdy nie było wiadomo, jak taka wizyta się skończy. A dlaczego robili te rewizje? Wujek był Żydem i był bardzo zamożnym człowiekiem. Miał fabrykę. Opłacało im się przychodzić. Futra brali. A Zosia była szalenie mądrym człowiekiem. Żana, taka krewna Maćka, załatwiła nam pracę w Grand Hotelu.

Helena: Ona pracowała w bufecie. Uratowała się. Zosia pracowała w kasie, ja w szwalni, mamusia w bufecie. Babcia Balukiewiczowa była w domu. Gotowała, pomagała, przynosiliśmy jej jedzenie. Za okupacji nic nie było. To nas trzymało w Grand Hotelu. A pamiętasz Anulę? Anulkę. To szmata była, zdradzała. Podobno, tak mi mówili. Dawała nam orzełki na czapki. Haftowałyśmy różne emblematy. Srebrną nitką. Dla AK. Pamiętam Czarną Niedzielę. Ja biegłam wzdłuż Wisły, żeby ostrzec twojego ojca. Były łapanek, strzelali. Trupy. Potem się dziwisz, że nie lubię, jak kogoś długo nie ma. Nerwy. Pamiętasz, Ira, jak pomagałyśmy z Grodzkiej tym Żydom się wyprowadzić? Też ryzyko. Człowiek ryzykował. Potem zostaliśmy same, jak syna wywieźli do Niemiec. Nosiłyśmy mu cebule. Sweter wełniany zrobiłam na drutach, ale Niemiec wziął. Na Montelupich w więzieniu.

Twoja mama koraliki robiła, zanosila do sklepu. A szły, dużo zarobiła...

Irena: A za te pieniądze i za tatusia odprawę pokupowałyśmy w ostatniej chwili ubrania, buty. Za żołd. Jak gotowali kości, tłuszcz zbierałam do baniek, a potem robiły-

śmy paczki. Ja nigdy nie schodziłam do schronu, jak były alarmy przeciwlotnicze. Raz zeszyliśmy, to wszystkie rzeczy nam pokradli, co my i tak nic nie mieliśmy. Wszystkie sukienki sprzedaliśmy na tandecie na Kazimierzu. Niemcy urządzali łapanek. Żydzi w getcie. Zamknięci. Prowadzili kolumny z gwiazdami na rękawach. Twarze takie niektóre przyjemne, inteligentne. Kiedy wysadzali most na Wiśle, to my byliśmy na Zwierzynieckiej. Moja młodość to łapanek, stale łapanek na ulicach. Dzień, jasno, a tu godzina policyjna i trzeba siedzieć w domu. To moja młodość. A jeszcze babcia pilnowała, krótko trzymała nas.

Helena: Tutaj w parku Krakowskim tyle młodych leżało w czterdziestym piątym roku, na Alejach, ruskich żołnierzy młodych. Jak dzieci leżeli, też ich poginęło dużo. Ludzie końskie mięso wycinali i jedli. Konie pozabijane leżały na Krupniczej. Trupy żołnierzy, szabrowników, koni w parku Krakowskim. A tam przy Alejach, w takim koszu, zawinięte w serwetę, ciało – wyniesiona do parku kobieta, zwłoki staruszki. Potem ukradli serwetę i leżała sama. Straszne. Tam, w mamy pokoju, mieszkał pilot u nas. Rosjanin. Przyjemny był. Wraczał na noc. Latał bombardować Berlin. Potem poleciał i nie wrócił. Raz się upił i strzelał po całym mieszkaniu, i jeździł na rowerze.

Irena: Prawie przez całą okupację nie mieliśmy od tatusia żadnej wiadomości. Babcia Anonina była przeświadczona, i w tym przeświadczeniu zmarła, że tatuś nie żyje, że zginął. Zmarła w marcu czterdziestego piątego roku. Umierając, pragnęła kromki chleba, a my nie miałyśmy. Mama twoja szła sukienki, porozlepiała ogłoszenia, że szyje, bo nie miałyśmy pieniędzy na pogrzeb babci Antoniny. Miała takie piękne dłonie, palce długie. Prawdziwa arystokratka. Palila papierosy w takich długich lufkach. Teraz nie ma już takich.

Helena: Trzeciego września trzydziestego dziewiątego roku mąż był krótko, zabrał tylko suchary, chleb dla żołnierzy. Żołd zostawił nam swój. Stali na ulicy Bernardyńskiej. Jechali na punkt zborczy do Rawy Ruskiej. Opowiadał, że tam ich w Starobielsku zamknęli i trzymali w kościele prawosławnym. Szczęście było, że ze śmietników stare skorupy po ziemniakach zbierał i jadł. Z głodu prawie oślepl. Spuchnięty był. Leżeli na ziemi, żeby czuć chłód, wilgoć – to zmniejszało im pragnienie. Zapędzili ich do tłuczenia kamieni na drogi. Kto nie wyrobił normy, to nie dostawał nic do jedzenia i picia. Dziadek już nie miał sił i gdyby nie przyjaciel z Krakowa, który pomagał mu tę normę zrobić, to nie wiadomo jak było. Jak te kamienie kładli na takie stosy, to mówił, że pod spód nakładli głazów, a na wierzch potłuczonych, małych kamieni i Rosjanie to odkryli... Dochodzili, kto taki mądry to zrobił. Zginęło tysiące ludzi. A mąż cały czas w niewoli, w tych obozach, miał na palcu obrączkę naszą ślubną. Rosjanie mu dawali chleb za nią... Chcieli kupić, mąż głodował, szmatą zawinał palec, by się w oczy nie rzucała. «Jakbym obrączkę oddał, to jakbym już żony nie miał», mówił mi. Miał żal, że ja ze swojej kazałam ci zrobić sygnet dla mamy, on całą niewolę i wojnę swoją strzegł.

Po ogłoszeniu amnestii postanowił, bo dowiedział się, że tworzy się polskie wojsko, dostać się tam i wstąpić na ochotnika. To jak z Sikorskim doszli do porozumienia i amnestię ogłosili. W pociągu rodzina żydowska powiedziała dziadkowi, że tu w miasteczku jest polskie wojsko. Bo tatuś chciał jechać do Ałma-Aty. A pojechał tam, gdzie ci Żydzi jemu poradzili. Do Tatiszczewa. Wysiadł z pociągu. Znalazł i doszedł tam, nie wiem gdzie, w koszary pewnie. Z daleka, mówił, że widział nasz sztandar biało-czerwony. Jak przeszedł przez bramę, to zemdlął z wyczerpania i z głodu. Bez dokumentów, pieniędzy. Gdyby nie ci Żydzi, to by pewnie dziadek nie dojechał. Jak był w obozie, dostawał paczki z cebulą od Marii «Niepytaj», siostry pani Władzi ze Lwowa. Odznaczenia wrzucił do rzeki, żeby Rosjanie nie widzieli. Bo by zamordowali.

Chodziłyśmy modlić się za dziadka do reformatów do świętego Ekspedyta za jego szczęśliwy powrót z wojny. Męża dowódca, gdy uciekali w trzydziestym dziewiątym roku, zastrzelił się. Sam. Też się ludzie nacierpieli. Po to, żeby inni mieli z tego korzyść. Żołnierze uciekali, zmęczeni spali na koniach.

Mąż mówił, że wieziono ich do obozu do Starobielska, byli głodni, zmarznięci, nie wiedzieli, gdzie ich wiozą. Tam stepy ukraińskie i pusto. Prowadzono ich szeregiem, pod eskortą, z psami, a tam biedne miasteczka, ludzie głodowali. Wynędniali ludzie, wszyscy musieli chodzić na roboty. Zima była ciężka. Czterdzieści stopni, mówił. A tam w Starobielsku trzymali ich w budynkach poklasztornych. Potem ich wypuścili. Tłumy ludzi w łachmanach, w zniszczonych kufajkach, zarośniętych. Wszyscy jechali do Wojska Polskiego. W obozie budował dziadek drogę, za to dostawali chleb, jedzenie. NKWD, mówił, coś strasznego. Ilu pomordowali. Samochodami ich wieźli przez Turkiestan, Bucharę. Opowiadał, to było tyle do opowiadania, że nie da się, wiesz, opowiedzieć. O głodzie. Nie dawali jeść, kazali robić ciężko, jakieś klocki rąbał. Po bitwie o Monte Cassino spod gruzów klasztoru wyciągnął te pocztówki. Widziałaś je, te z odciśniętymi śladami gruzu. Dwie takie. Pokazywałam ci.

Dziadka witałam w Gdańsku. Gdańsku, który był cały w gruzach. Tłum. Okręt na trzy piętra wysoki. I wiesz co? Jak ci wojskowi, co przypłynęli do Polski, witali się z rodzinami, to im pokradziono bagaże. Mąż przeszedł kwarantannę. Mówił, że Anglicy obiecali, że wrócą z bronią do Polski. A potem powiedzieli: «Macie już swój kraj...». Miał już wyznaczone w Polsce stanowisko. Był bardzo rozgoryczony. Mieszkaliśmy już na Szymanowskiego. Podjechał pod dom dorożką w swoim mundurze andersowca. To był 1947 rok. Potem nie mógł znaleźć żadnej pracy. Przychodziło UB do dozorczyńni Zającowej, wypytывali się o tatusia mojego. Czy nie kontaktuje się z nikim, kto do nas przychodzi. Jak znalazł pracę, to od razu był zwalniany. Pani Mila pisała raport, co robi, z kim się spotyka, co mówi. Na zebraniu był taki młody sekretarz czy przewodniczący partyjny PZPR, który powiedział: «Kapitulusy do Ameryki». To był 1950 rok.

Kupiliśmy niemieckie meble. Wszystkie nasze rzeczy w Cieszynie przepadły, a reszta w Krakowie. Praca całego życia. Wszystko. Dziadek spłacił długi. Sprzedał

mundur. Zamieszkaliśmy w czwórce. Pytali się mnie, czy chcę wstąpić do PZPR, a ja im odpowiedziałam: «Tam są potrzebni mądrzy ludzie, a ja głupia. Baby do garów, a nie do partii». I dali spokój. Dla żartów oczywiście. Dużo pieniędzy dali, żeby Ignacego wyciągnąć z więzienia UB. Siedział tu, gdzie teraz jest ZBOWiD, przy Chopina, pokazywałam ci to okno zakratowane. Brat dziadka pomagał oddziałowi AK. Miał kontakty z lasem. Po wojnie. Pamiętasz, Ira, przyszli do nas, kilku, w Cieszynie. Po wojnie, znasz ten dom z ogrodem, wysocy w oficerkach, z lasu. Nasi. I chcieli coś do jedzenia, napili się, dałyśmy, co miałyśmy z mamą. Prosili, by nie zasłaniać okien firankami. I odeszli. Na drugi dzień aresztowało nas UB, ktoś obserwował. Siedzieliśmy z twoją mamą. Tylko dawny znajomy męża, Trzciniński, i twój ojciec nas wyratował. Ojca twojego zamknęli w więzieniu na Montelupich. Ale udało się go wyciągnąć. Opowiadał, że z przesłuchań wracały kawały czerwonego mięsa, nie do rozpoznania. Dwaj kuzyni zginęli. Jeden w trzydziestym dziewiątym w lasku skawińskim, drugi, żołnierz Armii Krajowej, zabity przez Niemców w akcji bojowej w czterdziestym czwartym.

Twoja mama musiała wcześniej zacząć pracować. Okupacja. Potem po wojnie ciężko było. Pudełko z Unry służyło jakiś czas za łóżeczko dla Ryszarda. Twój ojciec studiował na Politechnice.

Irena: W czterdziestym piątym dostałyśmy skierowanie do Żagania. Jako repatriantki. Myśmy z mamą pojechały, mogłyśmy wybierać te gospodarstwa. Popatrzyłyśmy na siebie, dwie kobiety, co będziemy robić. I wróciłyśmy. Te niemieckie gospodarstwa zadbane, ładne. Ale co my byśmy robiły w lasach na pustkowiu? Daleko jechaliśmy tym pociągiem. A tu sprawdzali po piecach, czy nie ma min. Były dwa telefony u nas na Szymanowskiego. Oddało się. Polskie wojsko zbierało. To daliśmy. Tu nikt nie dał, a myśmy dały. Dla polskiego wojska byśmy nie dały? Byłyśmy szczęśliwe, że Polska... Tu wszystko było wyszabrowane... Bardzo się wszyscy cieszyli, że jest Polska. Szalona była radość. Warszawa była zrujnowana.

Przez jakiś czas mieszkała z nami pani Rewerendowa. Szyła sukienki, to, co uszyła, sprzedawała na targu. Wykształcona, kulturalna pani. Miała dwóch synów. Jeden z nich, ten co razem z Leszkiem Herdegenem występował w teatrze, próby były w tym pokoju od podwórka, siedział potem we Wronkach. Za zabicie żołnierza radzieckiego na Rajskiej. I pani Rewerendowa robiła paczki i jeździła do więzienia. Później wyjechali na Ziemię Odzyskane. A Boluś popełnił samobójstwo. Tatuś wrócił z zagranicy. Szczęśliwy. Poprzywoził nam różne prezenty. Ubrania, wtedy nie było czegoś takiego. Nigdzie nie mógł znaleźć pracy. Był bardzo zdenerwowany. Traktowany jak parszywa owca”.

Kamień filozoficzny. Pieśń Wędrowca. Noc. Ojciec mi czytał Goethego. Byłem mały. Zrobiło mi się słabo i duszno.

Diabeł. To była tajemnica. „Jak będzie północ, zapalimy świece”. To mój brat Ryszard Jargusz Bartkiewicz. „Ukaże się nam diabeł”. Diabeł w lustrze, na drzwiach szafy naszej Matki, pachnącej pudrem, jej perfumami, a w górnej szufladzie mającej całą stertę świętych obrazków. I czarne strusie pióra. Tak, wierzyłem. Resztę życia nie chciałem być ani bogaty, ani ważny. Chciałem być dobry. Zawierzyłem drodze. Co znaczy zawierzyć drodze. Wybór?

Trzynastka. Liczba przeciwieństw. Kusi. Kalendarz. Daty.

Kawałek muru berlińskiego pomalowany żółtą farbą. Mam. Razem z guzikiem od munduru napoleońskiego żołnierza po wujku Lesiu Przybylskim.

1973. Robotnicy palą komitety na Wybrzeżu. Cicho. Ojciec ścisza głos. Jest w PZPR. Myślę.

1977. Zabili Staszka Pyjasa. Stoję w czarnej procesji przed kamienicą na Szewskiej, potem u dominikanów słucham kapelana Studzińskiego. Za mną kapusie. Rysuję czarne chorągwie. U pani Bartkiewiczowej w jej domku dworku w Bronowicach. Myślę.

Mur berliński. 1978. Matka: „Polak został papieżem”. Patrę na Matkę ze zdziwieniem. Co z tego? Kraków. Karmelicka, Piłsudskiego. Ludzie idą, cieszą się. Idą pod pałac. Pierwszy raz widzę taki zbiorowy entuzjazm. Zaczynam się cieszyć razem z nimi. Czuję wspólnotę. Solidarność. Jego pielgrzymki do Polski. Myślę.

1980. Wracam z Karwi pociągiem. Latają wzdłuż morza samoloty. Nie ma łączności telefonicznej. W Gdańsku na fabrykach, na dachach stoją robotnicy i machają do nas. Macham do nich. Myślę.

1981. Kraków obklejony ulotkami. Nocą wychodzę ze Starego Teatru. Gościnnie Teatr Ósmego Dnia. Więcej niż jedno życie. Nie wiem, że już wprowadzono w Polsce stan wojenny i godzinę policyjną. Rano idę do miasta. Na Karmelickiej studenci z plecakami wracają ze strajków. Gaziki jadą jak szalone.

Czytam napis: „ZOMO do domu”. Nie rozumiem. Długie kolumny jadących milicyjnych samochodów z migającymi kogutami na dachach. Tam i z powrotem. Bezsilność. Zrywają plakaty. Zomowcy w hełmach z przyłbicą, tarczami i metrowe pałki. Stoją przy naszym parku. Czekają na akcję... Zbieram w błocie i topniejącym śniegu na miasteczku ulotki. Pełne kieszenie. Żeby nikt nie widział. Na pamiątkę, szkoda, że nie fotografowałem.

Gdzieś ludzie żyją normalniej. Kartki na cukier, na mąkę. Herbata w zakładach pracy, skarpetki i kalesony na listy. „Solidarność zwycięży” zamalowane pasami stalowo-błękitnej farby. A nocą nowe napisy. Znak Polski Walczącej.

Na ulicach żelazniaki z koksem. I zomowskie suki ze śladami wygnieć. Zakratowane skoty. Transportery z działkiem wodnym i kolorową wodą. To wszystko na nas. Nowa Huta się poddała. Bogdan Włosik zastrzelony pod kościołem przez milicjanta. W oknach świece na znak solidarności. W hucie gaz łzawiący. Walki na ulicach. Barykady. Pochód pod komitet. Co miesiąc trzynastego. Bolą mnie oczy. Próba wywrócenia pomnika Lenina. Kamienie, butelki z benzyną. W telewizji o bojówkach i że wszystko wróciło do normy. W sklepach spożywczych pusto albo tylko ocet. Cały świat potępił. Ale co nam z tego. Dary. Do kościołów. Powiedziałem sobie: Nie jestem dziadem, po kościołach nie będę chodził.

1982-1985. Chodzimy z Ryśkiem na demonstracje. Mamy orzełki w koronach wpięte w klapy. Myślę.

22 sierpnia 1988. Zbyszek Bury: „Mogę być w wojsku dłużej, żeby tylko w Polsce było po tym lepiej”. Strajków coraz więcej. Drugi tydzień strajków. Jestem w wojsku. Dostałem awans na plutonowego.

Myślę. Oni zabili księdza Jerzego Popiełuszkę. Pobili, wrzucili do bagażnika i utopili z kamieniami w rzece. Płaczymy przed telewizorem. Myślę.

Nie lękajcie się, mówi Papież. Myślę. Nie ma wolności bez solidarności. Myślę.

1990. Wałęsa prezydentem. Myślę. Zaczynam rozumieć.

Wtedy runął mur berliński, tu w naszym parku. Epoka.

19 sierpnia 2013. Mam kilka kalendarzy. Na przykład kalendarz w doniczkach z rozchodnikiem. Ten w mosiężnej informuje mnie, czy zakwitły i zielenią się łąki w Krzemieńcu na górze Królowej Bony. Ten w okrągłej donicy, czy zieleni się pod zamkiem w Kamieńcu Podolskim i w Bakocie nad Dniestrem.

Dokumenty czy dowody. Pudełka, a w pudełkach notatki, fotografie, mapy, worek dziadka J.L. z wojny, w nim sukienki, które szyła moja Mama. Była z nich tak dumna... Jakieś genealogiczne zapiski, moje teksty, dyplomy, solidarnościowe gazety i gazety z Papieżem. Dowody. W naszej rodzinie się je dziedziczy. Nie kupuję? Ha, ha.

Obrazy przy łóżku, pod strychem, nikt nie pilnuje, na strychu. Masakra ilości. Toniemy w tym. Nie dziwię się, że Iwona ma dość. Otworzyłem wczoraj szafę. Można czerpać garściami, wchodzić w dawne, zapomniane przez siebie światy. Listy od B., od K., od Matki, motyl z hotelu w Paryżu, który dostała Helenka od portiera. Potrzebne wszystko?

Telefon.

– Opowiem ci coś – Rysiek w szpitalu.

Pytam: – Co ci potrzeba?

– Nic. Ale potrzebuję łaskę.

– Jaką łaskę? – pytam.

– Łaskę z psem, który trzyma w pysku kaczkę.

– Żartujesz?

– Potrzebuję łaskę z psem, żeby sobie chodziła.

– Przyjadę.

Zdjęcia, jak maluję w kamieniołomie na Zakrzówku. Pies ciągnie ogromny drąg. Super. Marek filmuje Orszi.

19 sierpnia 2013. A przecież wiem, co może być dalej... Co mam robić? Co powinienem? Żal. Ile obumarłych gałęzi objawienia. Chasydzi na wszystkie okazje. Jestem nawiedzony. Zawsze interesuje mnie to, co widzę, i bardziej to, co jest poza kadrem. Do czego jestem odwrócony plecami.

Dowód spotkania europejskiego Wschodu i Zachodu przechowują obrazy. Literatura, muzyka. Mało. I brzuchy kobiet.

Jerzy Grotowski pisze o heroizmie bezbronności. Mądry był. Czytam.

Cudze oczy opiszą mnie nie tak, jak chcę. Usprawiedliwiam się czy piszę laurkę? Histeryczne zbieranie faktów, świadectw, dowodów na istnienie. Preparacja czy kłamstwo? Maluję.

Milczeć. Wobec tego, czego się nie wie. Jutro Berlin. Niemcy kilkakrotnie skazali nas na śmierć. Na unicestwienie. Ludzi i kulturę. Fakt, co się czarować. Po co udawać.

Plecak symbolicznych kamieni i trzydzieści osiem obrazów na papierze. Mój dziadek na pytanie, ilu zabił Niemców, odpowiadał mi: „Nie szedłem na wojnę, żeby zabijać”. A przecież to był zwykły człowiek. No właśnie, zwykły.

Pęka mi szklanka w podstakańczyku. Zły znak przed podróżą.

Berlin. Ja do ciebie z chlebem, ty do mnie z kamieniem.

Wracam do Józefa Conrada Korzeniowskiego. Interesuje mnie żarliwość. Rycerska żarliwość. Nie był poprawny politycznie. Kochał Anglię, nienawidził Rosji.

Maluję obrazy. To ma być jak nóż, którym się można zranić. Do krwi. Inaczej nie ma po co tracić czasu.

Berlin, miasto wroga. Dawno temu unicestwione, podzielone. Zachód i Wschód. Zachód niby lepszy, Wschód niby gorszy. Zachód kraina obiecana, czy tam, gdzie mieszka diabeł. Jem semeczki od Ukraińców. Dobrze, ale nie za bardzo. Mamy niemieckie gazety pisane po polsku. Zasnąłem. I już wrzos po lasach.

Są Niemcy. Są miejsca, w których czuję się obco. To tu.

Cisza. Cisza mnie czasem nie cieszy i przeraża. Jak ta cisza. Siedzę tak między nimi, milcząc. Pal sześć, że z nimi. Głupio, że z moimi.

Moi. Niemcy. Bo niemi. Niedobre określenie na sąsiadów. Niezrozumiali. A przecież tyle od nich od średniowiecza wzięliśmy.

Berlin. Lichtenberg. Hotelik. Recepcjonistka mówi z wyraźnym rosyjskim akcentem. Rozłożyłem kamienie przy łóżku. Ścierają się ich brzegi. Widok na ogródek z toalety ładny. Idę do piekarni. Mijam poowijane drzewa, zagrodzone płoty. Roboty drogowe. Lichtenberg. Nasza dzielnica. Naród w metrze. Klapki, pomalowane paznokcie. Ludzie jak ludzie, tacy sami. Berlin. Sklepy, a ja znowu sam. Wiem, gdzie rozłożyć papiery. Pod Reichstagem. Pod Bramą Brandenburską. Radeberger zamiast Wursta... Koniec dnia pierwszego.

Dzień drugi. Pokój od zachodu. Od wschodu. Rano po sznurówki i coś do związania obrazów. Hotel nasz jest rosyjski. Ma rosyjskich właścicieli. Miło. Pokazali sznurówki. O, tam. Koniec ulicy. Idę. O trzynastej rozkładałam pod Reichstagem. Tłum. Dobrze, że są kamienie z Kazimierza. „Uderzam w samo serce”, „Papierowe bomby”.

Ludzie przechodzą. Mijają. Wiatr zwiewa. Ktoś podnosi. Ktoś inny podaje... Potem leżę na trawie. Marek filmuje. Potem naprzeciw Bramy Brandenburskiej. Pod drzewami. Spokojnie. Czy potrafiłbym rzucić? Nie.

Nie tu i nie teraz. Historyczne historyczne zło. A ja całe życie deklarowałem pochwałę wielkiej normalności. Jestem człowiekiem pokoju. Nie nienawiści.

Wyspa muzeów i pizza obok. Wracamy kolejką na Lichtenberg. Berlin. 2013. Pizza, piwo. Berlin ważny. Dawny i ten na innym etapie. Dziewczyny ładne, chłopcy wystylizowani. Starannie. Grają w metrze. Ładnie. Przystajemy.

Chaos. Żal, że samotnie. Żal, że bez Helenki. Kombinuję, ale za późno. Trzeba było wcześniej. Miło jest zapatrzyć się na tańczących na wyspie pod arkadami i na dwie dziewczyny siedzące na trawniku i jedzące pałeczkami sushi.

Dzień trzeci. Położyłem kamienie, podpatrzyłem pod murem berlińskim, West Side. Przyłożyłem kamienie kamieniami. Wokół dwie kobiety bawią się leniwie w piasku, rozmawiają. Przesypując w dłoniach piasek. Inne siedzą na betonowych progach, inne spacerują. Dwie ładne spotykam potem na przejściu dla pieszych. Mówią po polsku.

Chodzę, chodzę, chodzę. Minę mam nietęgą. Jadę schodami tam i powrotem. „Niemcy byli przystojni, Niemki brzydkie”. Słyszę Matkę. Wracamy po jedenastej. Pijemy piwo na leżakach z widokiem na katedrę i statki na Sprewie i wyspę muzeów. Kupuję książkę. Japońską grafikę erotyczną. Dziewiętnaście euro. „Przyda nam się”, mówię do Iwony. Muzea na wyspie. Wrzucenie kamienia jest tam symboliczne.

Dzień czwarty. Wędrujemy. Helmut Newton. Seksualność niepojęta, a to tylko kilka skurczów. Ale miłych. Patrzę na ludzi. Moje kamienie uliczne spadły. Nie wybuchły. To dobrze. Wrzuciłem plecak z kamieniami do Sprewy. Ten plecak, z którym w Talicy wpadłem do Pyszmy.

Aneta: – Nie żał ci go?

– Nie. Będę go miał w Berlinie.

„Nie zbombarduję Berlina”. „Nie obrzucę kamieniami”.

Żał mi normalności. Dobiegłem, ale nie miałem chęci uderzyć. To dobrze. Tak ma być. Samotny. Wracam kolejką na Lichtenberg. Neofaszyści pod dworcem. Samochody policji. Jedni i drudzy czarni, jedni w hełmach, drudzy łysi, cisi, wrodzy. Z balkonu na trzecim piętrze wisi karton z narysowanym czarnym N. Czyli wszystko wraca. I zło, i dobro. I tak w koło. Ja skończyłem, wyrzuciłem kamuszek. Oni nie.

Dzień piąty. Jednak nie koniec... Klub i plaża przy stacji metra Most Janowicki. Underground. Osiedle bezdomnych XXI wieku. Zamieszkują pustostany. Zostawię Frasobliwego. Tego w niedopowiedzeniu. Mocuję butelkami. To moja wiara w kulturę alternatywną, tę, która rodzi się w biedzie, nie za biurkiem. Za kulturą z tęsknoty za lepszym. Nie z nudy.

Stoję pod starymi znajomymi w miejskim muzeum. Myślę. Kanon. Dla tego samego warto było przyjechać. Stoimy. Iwona zapewne wzruszona. Terborch. Oleńka nadzwyczaj uważna. Ja – kamienny.

Na stoliku przy łóżku podróżna ikona, kamienie, rożek do wina, mam go ze sobą, suszone ryby też mam. Przyjechały. Joseph Beuys. Blisko. Mógłbym powiedzieć moje. Warto. Żar. Jemy gdzieś na Kreuzbergu. Dobrze. Bakława też. Dzielnica gejów i lesbijek? Po drodze plac, w środku miasta biwakują w namiotach wypędzeni. Ktoś przemawia. Wiec. XXI wiek. Migracje, emigracje i wypędzeni.

Dzień ostatni. Dwa piwa. Olśnienie. Wrócić.

Wędruję z rulonem. Trzydzieści osiem obrazów na papierze związanych dwiema sznurówkami i białą wstążką. Cud konstrukcji. Ciągnę walizkę. Dobrze, że wracamy. Tylko co dalej? Siedzę w dresie, cały skurczony. Z boku. Już Poznań. O 12.05 Warszawa. Żegnamy się z Markami.

Helenka. Zara. Bubble tea, pączki z migdałami na Chmielnej, pielmieni w Babuszcze. Stary kanon. Jestem poobijany. Ja, który w takiej wielkiej formie, tak poobijany.

Jest scena u Bohumila Hrabala, o której myślę od czterech dni: jak nagą dziewczynę przykrywa płatkami róż. Wielka scena erotyczna w hotelu Paris. Ranek. Już czarno za oknem, lasy na piachu.

– Co ci się podobało w Be?

Iwona: – Podobała mi się niewymuszenie życia. Na tym polega kultura. Taką się stwarza przestrzeń miasta, żeby ono nie było opresyjne dla mieszkańców. A Berlin nie jest. A jak trzeba, to jest. Natomiast nie czujesz ręki wielkiego brata, który czuwa. A u nas, jak cię nie capną za blokadę, to polują na babcie sprzedające talerzyki na targu... to – uwaga – nie jest istotą Europy. Do czego myśmy doprowadzili nasze życie społeczne i w imię czego?

Patyk, kamień, miska, lustro, muszla, nóż, strzała, liść, woda, żelazo, ziemia, lulki z Tatarzyska, topór bojowy i... Układam naturę martwą. Uważam siebie za ascetę.

Don Kichot i Sancho Pansa według Honoré Daumiera. Pochwała włóczęgostwa. Kontemplacja. Olga do szkoły. Ja po rajtki. Kleję. Ale jakieś niedorobione. Bywa.

1 września. Beata Nowakowska na Facebooku. „Obudziłam się dziś rano. Padał deszcz i nie chciało mi się wstać. I wtedy sobie przypomniałam. Jak babcia opowiadała mi o wyjących o świcie syrenach i nalotach, o tym, jak biegli do piwnicy... I próbowałam sobie wyobrazić, że tu i teraz wyją syreny, a ja muszę się schować, uciec... Nie potrafiłam. Pamiętajmy, co się wydarzyło 74 lata temu. Już na świecie byli moi rodzice. To tak dawno i niedawno jednocześnie...”

2 września 2013. Chłodniej, ale słońce. To dobrze.

3 września 2013. Żyję. Szukam. Z jakiego wiersza. Z Herberta. „Tym, którzy nas słuchają, należy się prawda, czyli piękno, czyli groza”. Znalazłem. Mocne.

Przyszła Monika Drożyńska. Dam jej szklaną szafkę na fanaberie.

Młynczyńska. Żniwa. 1982 rok.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

– Na wieki wieków... Czyj ty jesteś? Józkowy, Staszkowy?

Czyj ja jestem? Jakie są moje ojcowizny? Ojczyzny. Maluję róże z serwety pod telewizorem. Gospodarzą. Nie mam pieniędzy na mieszkanie. Mogę mieszkać, ile chcę.

Czyj ja jestem? Jakie moje ojczyzny? Na jakie jestem skazany? (*Podróż na Wschód* Hermann Hessego przeczytać).

12 września.

– Daj aparat.

– Co mam z nim zrobić?

– Zrobię zdjęcie, przecież jestem fotoamatorem.

– Nie, to Gajczak jest fotoamatorem. Ty jesteś samochwałą. Amelia cała drży jak na ciebie czeka.

– Wszystkie tak mają.

Dialogi z Iwonką.

Iwona: „Pauperyzujesz się. Rozdajesz swoje obrazy jak balony”.

23 września 2013. Ale mnie Oleńka zdziwiła. Na samym szczycie piramidy wartości postawiła honor. Wcale nie miłość. A zaraz pod nią talent. Dlaczego talent? Powiedziała, że jest tego zupełnie pewna. Że „talent ma zdolność zmieniania, przemieniania świata”.

Wczoraj na Mazowieckiej spotkanie z Piotrem Kunce. Wnukiem malarza Stefana Filipkiewicza. Mówi mi w bramie: „Piotrusz posiwiiałeś. Że ja. Ale że ty, taki młodziutki”. Cóż. Posiwiiałem, ale w środku cały zielony.

1 października 2013.

ja: Kocham cię córeczko

Helena: Też cię kocham tato

ja: A ja bardziej he he

Helena: He he skąd wiesz?

ja: Żartuję. Nudzisz się?

Helena: Wiem. Dziś tak.

Ja: Iwonka widziała film, kawałek, mówi, że piękny

Helena: Film o tobie?

ja: Marek chce go dać w styczniu na festiwal

Helena: Fajne, już się boję. A czy on będzie aby na pewno filmem o moim tacie? Czy raczej o jego alter ego? Jestem pewna, że w tej produkcji nie ma nic o marcepankach i pączkach.

ja: Wiadomo, że nie będzie. Twój tata, o bohaterze. Z krainy mchu i paproci, o pączkach tak, ten wątek trzeba rozwinąć. Ja go nawet nie chcę oglądać. Po wódce z tobą i dziewczynami. Ale Iwonka mówi, że porywający montaż.

ja: Baw się dobrze. W Krakowie ślicznie.

Ucieczki i powroty do Domu. Ale czy ja naprawdę podróżowałem czy podróżuję? Czy ciągnąłem ślimaczy garb – dom i tak naprawdę nigdy nie wychyliłem z niego

głowy? A to tylko miraż te podróże, ledwie spacerzy rodzinne z psem. Chyba tak. Zatem podróż w sobie i w czasie pozostaje.

Likwiduje się Persja. Koczownicy na Kazimierzu u Marcina Szymonowicza.

Ormiańskie nazwisko. Zarezerwowaliśmy wczoraj torbę na sól z Iraku.

To dwa wyjścia do sklepu. 150 złotych.

Genealogiczne drzewo. Włożyłem w jedno miejsce. Razem z historią rodziny dla Olgi i Heleny.

Nocą słuchałem muzyki Lorenca do *Bandyty* i *Wyjdę nocą w pole z koniem...*

Po rusku. Piękne.

Buty za 760. Wysokie. Ideal.

W mojej pracowni po Berezowskiej. Odziedziczyłem po Agnieszce, nie Oldze, książki w stosie w komórce z sedesem. Karate, samoloty, Wzgórze Wawelskie i *Diabeł w literaturze*. Mielilem Diogenesa Laertiosa i *Wilka stepowego* z uwagą i namysłem, i próbowałem figuracji z karate, i przejrzałem dzieje wawelskiego zamku, i *Diabła*, w którego istnienie wierzę. Z obawą. Odziedziczyłem. Patrę na stare drzeworyty. Aż w końcu wyrzuciłem. Krzyżyki zostały. Diabła unikam. Cwietajewa zaczyna o diable, tak pięknie pisze.

13 sierpnia 2013. Stare. Przepisuję ze szkicownika. „Laicyzm nie ma nic wspólnego ze światopoglądową neutralnością. Proponuje sacrum zakłamanie”. O. Jacek Salij. Życie ludzkie jest święte. Co nas czeka? Wierzę, że panem historii jest Bóg.

Układałem przedmioty. W tym swoim perfekcyjnym sprzątanu. Szukam właściwych miejsc dla rzeczy. Cytryna tu, słój tu. Woda tam. Sposób na szukanie harmonii w sobie. Wiem, te stare rzeczy są mi potrzebne do rozmowy z duchami. Może Iwonce moich duchów nie potrzeba.

Papusza, czytam. Ostatni tabor widziałem za Bielanami na skraju lasu. Ognisko, wozy, kobiety, psy. 1967. Matka nas brała w wózkach na cygańskie pola. Patrzyli na nią i Ryśka. On taki czarny jak oni. Wróżyła Cyganka R., że ma wroga w domu. Mnie, że będę żył aż do śmierci.

Miło z I. Noc. Kochamy się. Nie chcę mi się jechać do Wiśnicza. Jadę. Jacek Pasieczny i studentka z niebieskimi włosami i chłopakiem. „Włochaty” mówi do niego. Zamek zjawisko stoi. Dyskoteki pod zamkiem i plener z J. Bujnowskim. Jak dawno. Złoto wokoło. Szczęśliwy, że przyjechaliśmy. W Lipnicy kościół Świętego Leonarda. Upał. Ściągam dres. Dotykam belki Światowida za ołtarzem. Patrzę na plecy Judasza na *Ostatniej Wieczery*.

Las. Sad. Lecą gruszki, rzucam patykiem. Spadają jabłka. Fotka na ławce z nimi. Mili. Leżę na trawie. Świętość Szymona, Ledóchowskiej wobec takiego spadania jabłek. Grzyb jeden. Ale las w odsłonach. Mój. Wart. Koń ze słomy, krowa, która się gapi. Dwie sarenki w polach, znane miejsce. Prostý zachwyt.

Zniknęła fabryczka ciasteczek z ulicy Kościelnej. Małe, okrągłe babeczki. Szkoda. Trop był ze Lwowa. Zostawimy Oleńce Kraków bardzo byle jaki.

16 października 2013. Likwidacja domu Henryka Meusa. Syn rotmistrza. Dowódcy majora Henryka Dobrzańskiego Hubala z czasów Legionów. On w domu starców z meblościanką, a jego piękna, ukochana żona na Rakowicach. Buczacz, sekretiera, portret jego matki malowany przez Józefa Mehoffera, jak niesprzedane, to w drodze. Jeden z najpiękniejszych domów. To dowód barbarzyństwa. Iwona w kuchni. Jan nie ma do tego przystawki. A przecież można było ducha tego domu zachować. Tak stracił się dom z Beatą, dom Ryśka, dom Anny i Jerzego Feinera, Ewy i Piotra Paradowskiego. Teraz ich poszedł na marne.

Nie maluję. Planuję pisanie raportu samooceny.

1 listopada 2013. Zaduszki. Cmentarz. Wracamy z Rakowic. Mama, Babcia, dziadek, prababcie Wiktoria i Antonina, pradziadek, ksiądz Stanisław Stojalowski, Antek Lauer, ciocia Marysia, Ewa i Piotr, profesor W. Kunz. Potem Czernichów. Cmentarz za kapliczką i partyzanckim lasem. Iwona o plackach z serem. Sprzedawanych w niedzielę przed kościołem na długich stołach. A potem, jak wszyscy kupili, jechał wóz po wsiach, od domu do domu i sprzedawali. Ciocia Zosia Meus od zupy jarzynowej, ta, co mnie niosła na plecach, nie uciekając przed burzą. Czernichów z pradiadkami Iwonki.

Stary, drewniany, wiejski, pobielony dom. Przed nim ogródek, sad do samego lasu pod górę. Długa sień. Dwie izby i obora. Jedna izba mała, paradna. Druga z łózkami ciotek. Samotnych, starych panien. Nad łózkami rząd świętych obrazów. Ława pod czterema oknami. W kącie skrzynia z koralami, malowana. Na strychu wiszą i suszą się zioła. Naprzeciw stodoła i piwnica-zimnica. Dom trzech pokoleń. Zachować choć ten opis Iwony z dzieciństwa.

Z japońskiej erotyki maluję jakieś erotyki. Kobiety otwartą waginę i białą smugę spermy z nabrzmiałego penisa. Telefon do Danusi Rapacz. Jezuita nazywa się Piotr Dekutowski. Dopytałem, bo piękny człowiek. Ma czterdzieści pięć lat. Teraz jest kapełanem w szpitalu ginekologicznym w Gdańsku. Walki Wschodu, śpi w lesie i chodzi z mieczem.

Ogarniam Szczęśliwe Miasto. Powoli. Za powoli.

Zdzisław Dandys Zdaniewski wyprowadził się z parteru. Zabrał kolekcję obrazów. Panek, Marczyński, Kulisiewicz, Nowosielski, Brzozowskiego sprzedał. Kraupe-Świdorska, mój *Wielki Kraków 1663* z pomarańczowym niebem.

Moje najukochańsze książki dzieciństwa były poplamione. Nosiły ślady zupy, czasem tłuszczu po pierogach, czasem tłustych palcach. Wstyd. Tłusty ślad po obecności nie oczu, ale palców. Ani obraz, ani litera plama, plamka, wstyd. Książki po Zdaniewskim Moniki Engstrem. Cała kolekcja, starannie zbierana biblioteka o sztuce. Nie znosiłem. Była już wtedy pijaczką. Znikała w drzwiach z coraz nowymi mężczyznami. Wkrótce zmarła. Książki. Dzięki nim Monika Engstrem odzyskała w moich oczach swoje człowieczeństwo.

Dałem Eli Sali Kamień. Obraz. Niech przyjdzie i sobie wybierze. Moje muzeum po ludziach. Kindze Lubowieckiej podarowałem też. Na to wychodzi.

6 listopada. Jutro Helenka leci do Indii. Na trzy tygodnie. Dałem na szczęście obrazek świętego Jana z Dukli, ten, który dostałem we Lwowie od staruszki. Wtedy. Wzięła. Mój sukces ewangelizacyjny. Będę się za nią modlił. W czwartek nocą będzie już w Bombaju.

Piec zimny, zepsuty. Ostatni rok palenia w piecu. Koniec domowego ognia.

Iwona: „Zawsze chciałam być niedźwiedziem. Miałam takie marzenie. Zakopać się w liściach. Może to taka pora. Tęsknota za byciem bliżej przyrody”.

Dziwny sen. Cały nasz dom ustrojony jej rzeczami. Matka czeka. Gości.

Jest decyzja o daniu nam przez bank kredytu. 460 000. Na siedemnaście lat.
Horror.

8 listopada 2013.

Helenka: Cześć. Jestem w Bombaju. Jest wszystko super! Podobałoby ci się tu.

Dzisiaj 14.59 Piotr Jargusz: Już jestem. Rzeczywiście jest super. Kocham. Baw się dobrze.

Naprzeciw naszych okien wróciła wiewiórka. W dzieciństwie chodziłem na cmentarz z Babcią. Ona do dziadka, ja oglądać wiewiórki.

11 listopada 2013. Rozdawnictwo: Cecylii Malik dwa. Zdziwiona. Edycie Mąsior jeden, przejęta. Marzenie Rostkowskiej trzy.

Jadę do warsztatu przy Czarnowiejskiej. Ucieka powietrze z opony. Pytanie: „Wypoczął pan przez weekend?”. Czerwona twarz patrzy na mnie. Myślę... „No.. Nie”. Prawdę gadam.

Czerwona twarz z Chodkiewicza. Swój, „krakoski”. Siostry dziadka tam mieszkały, a jego wuj, Wojciech Galiszkiewicz, miał kamienicę na Żółkiewskiego, a kuzyni Morawscy tam też kamienicę, na Prochowej. Dziadek się urodził na Grzegórkach. Wtedy Wesoła... Odgrzebuje... Krajan? I coś nas naszło.

– Pamięta pan procę? Gumka z weki i haczyk. A rurkę? Jak się pluło plasteliną albo papierem.

– Taak.

– Moja matka przynosiła mi z pracy takie długie... A zośka? Mój brat miał taką. Kawalek ołowiu z dwoma dziurami i kutas z czerwonej wełnianej włóczki. Marzenie... Jak nóż albo papierosy. A jak się rysowało kredą taki tor i kapslami od piwa się pstrykało... Jeden podpisany Szurkowski, drugi Szozda, trzeci Mytnik. A najważniejszy był trzepak. Tam wszyscy się wieszali.

Zamyślamy się. Dar zrozumienia. Wspólnota doświadczenia. Wzruszenie. Tak.

– Tam, niech pan zobaczy, wie pan, co to jest? – Idę do pakamery. Ksero na szybie. Na lepcu. Patrzą na most na Grzegórkach i dawne koryto Wisły. 1910. Wiem.

– Moja babcia mówiła, że Wisła była tak płytka, że przechodziło się, a woda do kolan... Dobrze będzie. Felga stara...

– Ile się należy... Ja muszę do bankomatu.

– E tam. Nic.

Do 17 grudnia jeszcze trochę czasu. „W poszukiwaniu wspólnego języka”. Napiszę projekt dla Krowodrzy do Szczęśliwego Miasta. O złotych pogubionych dukatach, leżących w piachu na drodze do rzeki, i o uciętym przez złodzieja języku Worytkiewicza, przodka Beaty, a dalej o języku i porozumieniu.

Czytam tekst Agnieszki Ogonowskiej. Wywiad z Bursztą. Pytanie, ile będzie dawnego człowieka w przyszłym człowieku.

Dlaczego jestem taki smutny? Dlaczego jestem tak samotny? Obok.

Facebook. Zamiast lusterka. Potrzebuję tych trzystu udawanych bytów udawanej wspólnoty. Gdzie kilka jedynie to prawdziwa ważność. Iwona, Helena, Olga, Beata. Kto jeszcze? Rapacz, jej nie ma na Facebooku.

Tak. Przynoszą jakąś potrzebną mi radość z byle czego. Cudzą ciekawość. Nie oglądam/y TV, nie słucham/y radia. Mało z kim rozmawiam.

Kiedy byłem mały, sadzali mnie u fryzjera na desce. „Jak? – Na krótko”. Patrzyłem z przerażeniem na włosy lecące na ziemię. To było niedozwolone w naszej domowej magii.

„Telefonowałeś. Ja dzisiaj cały dzień siedziałam w kościele. Trzecie niedziele mam najbardziej zajęte, i trudno odbierać telefony, gdy ludzie ciągle się kręcą. Mam nadzieję, że nic się nie stało, tylko chciałeś mnie zaczepić okołoswiątecznie... Chyba, że się pomyliłam... U mnie przedświąteczna gorączka. Wszystko tu robię pierwszy raz, więc trochę jestem zagubiona. Potem powinno już być z górki, co daj Boże. Serdecznie pozdrawiam Ciebie i Twoje Panie. Owocnego adwentowania. Został praktycznie tylko tydzień. Nie dajmy się zwariować i pomyślmy o naszej obolałej duszy (nie wiem, jak Twoja, bo moja obolała, a dokładniej pisząc – bezsilna... bezradna... jakoś tak...). Z Bogiem. Da”.

Kupiliśmy DOM. 13 grudnia 2013 uwolniono pieniądze z kredytu. 460 000. Siedemnastego siedzimy z Iwonką na godzinę przed podpisaniem aktu notarialnego w barze Sjesta, jemy kaszę z brązowym mięsem. Czekamy na 17.00. Mamy spotkać się z panem Paluchem u reagenta. Kupiliśmy nasz Dom.

Zmarli antykwariusze. Henryk i Halina. Ona i on. Zmarli jedno po drugim. Po miesiącu. Szkoda. Mateusz Okoński robi coś ze studentami u nich na Świętego Marka. Wiele lat temu nieśmiało poprosiłem go o herbarz. Spojrzał badawczo. Czerwonawe rumieńce, kędzierzawe włosy, wydatny nos. Ciemne oczy.

– Jaka litera?

– Znalazł pan?

– Nie. Ale jest Marcin Jargusz. Podpisał manifest szlachty litewskiej na konwencji warszawskiej w roku 1764.

Przyszedł parasol przeciwsłoneczny z białego kordonka, moje zdjęcie, czekoladki. Tatiana pisze: „Pamiętaj o Rosji. Pozdrowienia od Tamary”.

VIII VIATORIS POWRACA

2 stycznia 2014. Czytam u Mariusza Wilka o Szałamowie. Ważność rytmu. Rytm jako dowód, świadectwo i zapis. Rytm jak puls krwi. Czy chcecie, żebym przeżywał swoje życie w waszym języku? Podarki od Tatiany leżą na serwetce ze Świętym Mikołajem. Ogień sztuczny – bengalski, jak się u nas w domu mówiło – wypalił w serwetce małą dziurkę. Patrząc z prawdziwym żalem.

Zrobić dwie paczki i wysłać. Miło wczoraj z Iwonką. Bardzo czule. Koniec taki sam miły. Dobrze. I głaskanie po plecach.

Idę do biura. Mgła.

Mamy neolit w łóżku. Iwona, Olga przyszła w nocy, między nami leży wciśnięta na wpych Amelka, a na Iwonce z wyciągniętymi łapami Pan Darcy. Czego więcej chcieć?

Rozmowa z Danusią Rapacz.

– Jestem w Przemyślu, bo umarła jedna z naszych pań... Zmówiłam „Chwała Bogu”, bo się już bardzo męczyła...

– Kiedy wracasz?

– W piątek, bo w sobotę sprzątam u Pana Jezusa, w niedzielę też sprzątam u Pana Jezusa. Nie rezygnuj ze mnie, bo jestem sprzątaczką samego Pana Jezusa.

– Powiedz mu czasem, że jest taki robak marny.

– Mówię mu...

Iwona: „My, ludzie Zachodu, nie ćwiczymy się w dyscyplinie umysłu...”.

Kapliczka. Rzeźbili w drewnie drzewa, które orzeźwiający cieniem nakryło Frasobliwego, lub kuli w kamieniu, który łaskawie dał wypoczynek Świętemu Panu Jezusowi, i powiadają na Mazowszu i w Małopolsce, że osika posłuchała płaczu Świętego Wędrowca, pobladła z żalu, aż gałęzie omdlały, i do dzisiaj drżą jej liście w cichym płaczu i nieutulonym żalu. Twórcy przedstawiali Frasobliwego jako ucłowieczonego Boga, który wsparłszy zmęczoną głowę na prawej dłoni, zamyślony, zadumany, słuchał modlitwy swojego ludu. W ewangelicznej historii Męki Pańskiej nie ma opisu cierpiącego Zbawiciela w takiej postaci... Przepisane. Warte zachowania.

Leżę w łóżku. Iwona doczytuje Oleńce Herberta.

Kupić lampę, żeby mogła w łóżku czytać. Do Marka zadzwonić i do Gochy Niecieckiej, żeby zaprosiła do radia Maję i Janusza. Pomalować.

Kupiłem w taniej księgarni książkę o drzewach i nalewkach. Od dawna ich sobie odmawiałem. Obudzić Iwonę i napić się kawy w łóżku. Pomysł.

Solewski napisał. Znalazł mój Dom w sarmacji polsko-ukraińskiej. A przecież moim Domem są doświadczenie i droga. Moim Domem są wartości. Czasami moim Domem jest jakaś bezdomność albo raczej wielodomowość. Takie poczucie. Nie ogarnął tego. Sam muszę.

Lata śmierć z kosą, lata diabeł, patyczasty gra na skrzypcach. A. recytuje. Góral. N. śpiewa. Po co przyszedłem na jasełka Malików? Jakies poczucie wspólnego Krakowa. Tamtego. Siedzę wśród dzieci rozdziawiony. Zdążyłem. Dziękuję za e-mail do Niecieckiej i za jasełka. Jakies kwestie z dzieciństwa mi przypomniały. Zapomniane frazy Matki.

Żegnam się z Mają Parczewską i Januszem Byszewskim na Plantach. Cecylia na swoim rowerze, odjeżdża z czerwonymi uszami. Dwa dni, kiedy byli z moimi studentami. Genialni. Otwierający, pozytywni, budujący ważne, nowe relacje. Rano zaprosiłem

Mają do Prowincji. Słucha. Opowiadam. Kawał mądrej baby jest.

Jastrzębiec jeszcze śpi. Byłem z nimi przez dwa dni. Z zachwytem. Wiele do zapamiętania. Beuys – mówił Janusz – uznał za najwspanialszą rzeźbę społeczną Solidarność. Te dziesięć milionów ludzi w Polsce, którzy się skrzyknęli. O nic innego nie chodzi w sztuce, tylko o wartości. Zamek Ujazdowski, twórca Laboratorium Edukacyjnego mówi, że chodzi o wartości.

Żadnych list rankingowych, żadnych ocen, sztuka odnajdywania i spotkania.

Dałem Mai i Januszowi kolejne dwa obrazy. Te siedzące na ulicy Chrystusiki.

Byłem z M. i J. Pisałem hasło razem z nimi. Moje brzmiało: „Moje Niebo Twoje. Moje Światło Twoje. Moja Ziemia Twoja”. Zamiast: Bóg, Honor, Ojczyzna. W temacie przeciwności napisałem: „Czarne i białe czasami bywa czerwone”. O pozytywnym i negatywnym napisałem: „Życie Śmierć. Ciepło Zimno. Czerń Biel. Śmierć Życie. Zimno Ciepło. Biel Czerń. Życie Śmierć. Ciepło...”. I od nowa. Tylko tak to widzę. O sobie: „Silny, uparty, czuły, pracowity”. Sześć kartek zostało białych. Nie wiem, co napisać, żeby było prawdziwie. Potem doczepiłem cudze karteczki: „Umiem słuchać innych i dbam o tych, na których mi zależy”. Dziura na środku białej kartki. Idea domu. Zwizualizowana. Między drzwiami a oknem przeciągają do mnie swoje taśmowe strzałki. Gra. Niebezpieczna. Dokąd prowadzi? Uważaj. Na głowę. Na duszę.

Janusz Byszewski i jego muzeum w drodze. Po duszy. Moje. Mogę brać całość. Znowu spotkałem ważnych ludzi. Dziękuję Bogu. Kimkolwiek by był.

Pracownia gotowa czeka. Pantofle dla Iwonki, która źle się czuje. Ma za dużo wszystkiego. Patrzę z czułością na jej stopy wystające spod kołdry bez oblecze.

List od M.: „Witam wieczornie, domowo, cicho... Przeglądam katalogi, przyglądam się kadrom, wyłapuję słowa, te czerwone, wracam do obrazów, cofam się, mam już swoje, zaczynam czytać po kolei, słowo po słowie, zatrzymuję się i nie idę dalej, to gęste, nie nadążam, staram się odnaleźć te same doznania, podobne wrażenia, choć nie jest łatwo... Mam wrażenie, że już nie czytam, ale słucham... Dziękuję, jak dobrze, że nie tylko malujesz, ale i mówisz. Maja Parczewska”.

Cywilizacja to ocalanie. Barbarzyństwo to palenie.

Napiszę te swoje teksty na nowo. Iwonka ma rację. To nie ma być zapis wypadków codziennych. To mają być teksty. Znowu błogosławieństwo spotkania mądrych ludzi.

Miejsce akcji: gdzieś w Polsce.

Kalendarium na zadanie dla Helenki. Napisz. Piszę. Na zadanie o rodzinie, na ASP.

Rok 1863. Puszcza Świętokrzyska leży tuż obok rodzinnych stron Nowakowskich herbu Ślepowron, tych pochodzących od Kazimierza Nowakowskiego, starosty wiślickiego, od Sucheckich, Podczaskich i Bacciarrellich, po malarzu.

Wybuch powstanie. Oddziały powstańcze walczą po polach i lasach z Moskalami o Polskę. W jednej z bitew w Puszczy Świętokrzyskiej zostaje cięty w głowę w czasie ataku na Moskali mój praprapradziadek Andrzej. Kozak ciął go szablą, o tu... Do końca życia będzie miał tam smolną szczapę... Tak w rodzinie się o tym opowiada. Jego wnuk, Marian Nowakowski, w AK ma pseudonim Orlik. Wzięty do niewoli rosyjskiej, cudem unika rozstrzelania. Tłucze kamieniem na drogę. Dostanie za to kiedyś Krzyż od Wałęsy.

W tej samej Puszczy Świętokrzyskiej walczy w bitwach pod Jeziorkiem, Mierzwinem, Iłżą i Radkowicami Andrzej Lejczak. Trafia do niewoli do Kostromy, do rot aresztanckich. Przepływa wpływ Wołgę, ale nie ma gdzie uciec. Potem zaciąga się do wojsk papieskich i broni państwa watykańskiego. Jest waleczny. Pochodzi z rodziny, która dziedziczy z nadania polskich królów tatrzańskie hale. Nadania sołeckie dla Czerwińskich i Lejczaków podpisali król Władysław Jagiełło, Korybut Wiśniowiecki.

Prapraprapradziadek Józef walczy w powstaniu, złapany i ciągnięty za koniem pięćdziesiąt kilometrów, ma połamane żebra. Przesłuchujący pyta, dlaczego on jeszcze nie umarł... Trafia na Syberię. Żyje. Jego syn ma żonę Antoninę z Drelingów herbu Tępa Podkowa, córkę, synów i nienawiść do carów.

Mój pradziadek Józef Lejczak ucieka z klasztoru w Ślemieniu, wstępuje do Legionów. Nikomu nic nie mówi. Dopiero w przeddzień wyjazdu przychodzi pożegnać rodziców na Długą. Walczy daleko w Karpatach w pod Mołotkowem. Zima. W Besarabii, na zwiadzie w Kolankowicach, dostaje się do kozackiej niewoli. Cudem unika śmierci, przewieziony do zamku w Kamieńcu Podolskim, stamtąd przez całą Rosję wywożą go na Syberię. Do Talicy. Idzie co rano z bańką po mleko. Spotyka dziewczynę. Podoba mu się. Ma na imię Helena. Józef potem wstępuje z jej braćmi – Stefanem i Józefem – do 82 Syberyjskiego Pułku Piechoty. Jeżdżą tam i z powrotem w pancernych pociągach. Walczą. Tułają się.

Kiedyś będzie w Afryce. Potem Anglia i powrót w 1949 do kraju. Czeka na niego żona Helena, po której mam srebrny, emaliowany medalion. I UB. Minęło dziesięć lat. On zachował swoją obrączkę, nie oddał jej nawet za kromkę chleba. Jego córka, a moja babcia, Irka, wyszła za mąż. Jej mąż siedział w niemieckim więzieniu, z przesłuchania wracają kupy mięsa. Jego dwaj kuzyni giną w 1939. Inny z Jarguszów ginie w akcji AK.

Mantra. Opowieści domowe. Patrzę na Helenkę. Na naturalność i spokój, z jakim mówi mi o wyjeździe na pół roku do Pekinu, Bangkoku, Kuala Lumpur czy ostatecznie do Nowego Jorku, a kiedyś do Kambodży, siedząc na łóżku z wielkim, dziecięcym kubkiem...

Robię rewolucję. Inaczej zginę. Muzeum w drodze Janusza Byszewskiego.

Bóg nade mną czuwa. Swój. Mądry.

Janusz Byszewski napisał przed chwilą: „Drogi Piotrze, jest powód (!), by napisać kilka słów. Potrzebowałem czasu, by popatrzeć na Twój/mój portret, przeczytać teksty, obejrzeć katalogi. Jest powód, by napisać kilka słów. Twoje gesty są blisko moich. Jest powód, słucham krakowskiej muzyki Marcina Świetlickiego. Jest powód inny, na który dopiero musimy zapracować. Jest powód z utopii i strat się biorący. Są pewnie inne powody. Czy są nam potrzebne? A nasze tropy i tak się przetną”.

Odpisuję: „Drogi Januszu, przecięły się. Wyślę Ci mojej produkcji imbirówkę. Serdecznie. Piotr”.

Europa duchowa? „Żyjemy w czasach wielkiego kryzysu chyba wszystkich domów duchowych”, o J. Salij.

Agnieszka Magdziak-Mizerska dopowiada: „Głód religijny jest zjawiskiem realnym”. Czytałem już tę książkę. *Pytania o duszę Europy*. Leży na stole pod lampą.

Czy jesteśmy zdolni do odpowiedzialności za brata. Mój brat z Zagrajem prześiadujący nad Wisłą przed kościołem na Skałce. Sam. Linia przeciwległego brzegu jak linia losu. Czasem coś zasłania mi możliwość ciągłego oglądu tego obrazu. Pułapka. We mnie. Dokąd się tak spieszę, na co tak zaganiam. Im lepiej, tym gorzej. Defekt. I nic. Marcin Świetlicki pode mną mieszka. No i co? I nic.

Kalejdoskop. Komu oddam mój kalejdoskop złożony z kamyczków i muszelek? Kto będzie dziedzicem tego wątpliwego dziedzictwa? Helenka, Olga, Iwona? Tak, Iwona.

Iwona: „Europa jest na odejściu, spełniła już swoją rolę w dziejach świata”.

Tak zimno. Stasiuk: „Jeśli myślicie, że tak zwane «wartości europejskie» są dane raz na zawsze, że to jest coś, co można kupić i mieć, to jesteście w błędzie. Jeśli tak myślicie, to najlepiej od razu ten skrawek lądu, ten półwysep czy przylądek ogrodzić murem. Zrobić

z niego coś w rodzaju getta samozadowolenia, pozornego bezpieczeństwa i pornograficznego dostatku. Wystawić strażę i obserwować, czy reszta świata nie nadciąga, by nas ograbić. I będziemy tak żyli, dopóki nie umrzemy ze strachu, endogamii i nudy. Nie wiem, co się stało z tym kontynentem, z jego energią, odwagą, ekspansywnością, ciekawością, witalizmem. Potrafilismy na piechotę wędrować na krańce świata, puszczać się na drugą stronę globu w drewnianych łupinach, nie większych niż wagon kolejowy. Tak, robiliśmy rzeczy potworne, ale i wielkie. Świat wpatrywał się w ten śmieszny przylądek na końcu wielkiego cielska Eurazji i nie mógł oderwać oczu. Dziś sami stoimy przy oknie i lękliwie wyglądamy zza firanki: Czy aby ktoś, broń Boże, nie zacznie «wyznawać tych samych wartości». A jeśli już musi, to najlepiej jak najdalej. Najlepiej w jakimś Mordorze. Ale to się nie uda. O wartości się walczy. Nie wszystko można posiadać. Nie da się wartości otoczyć murem i strażami. Nie da się ich ufortyfikować jak śródziemnomorskiego wybrzeża przed uchodźcami z Afryki. Nie da się zatrzymać wschodniej granicy mojego kraju. Za czasów komunizmu mieliśmy w Polsce pewną zagadkę. Pytało się: Z kim graniczy Związek Radziecki? Odpowiedź brzmiała: Z kim chce. Podobnie jest dzisiaj z Europą. Tyle że odwrotnie niż Związek Sowiecki, Europa ogranicza swoje sąsiedztwo. Nie przyjmuje do wiadomości, że wyznawane przez nią (niegdyś...?) wartości wyznawane są również poza jej nominalnymi granicami. Ona wręcz drży, że tak może być, ponieważ oznacza to tylko kłopoty. Zmniejsza się, kurczy, kryje za firanką. Obsesyjnie liczy zyski i straty. Umiera ze strachu o swój stan posiadania. O swój obrzydliwy spokój, obsceniczny dostatek, wstrętne samozadowolenie. Ukraińska zima 2014 jest europejską klęską. Patrzę na obrazy z lodowatego Kijowa, na ludzi, którzy gotowi są ginąć za wolność, i próbuję sobie przypomnieć jakikolwiek «europejski» zryw o podobnej sile w ostatnich kilkudziesięciu latach. Widzę Berlin w 1953, Budapeszt w 1956, Pragę w 1968, Gdańsk w 1970. Natomiast jeśli idzie o tę drugą część kontynentu, to przychodzi mi do głowy co najwyżej rozpaczliwy protest przeciwko zagrożeniu wolności w Internecie. To żalosne”.

Europa nie ma Duszy. Ma żołądek.

27 stycznia. Patrzę na Facebooka, zastępuje mi telewizję. Szczęśliwe Miasto. Spotykam podobnie „palących się”. Miasto moja ojczyzna. Jestem w radiu RMF. Jakie miasto? Wiadomo, szczęśliwe. Mam dziesięć minut, ale jazda.

Miło wczoraj z Saszą. Pokazał zdjęcia dzieci. I Swietłanie oczy się świecą na czarno.

I.: – Patrzę na przyrodę, która jest tak niewzruszona, że temu ludzkiemu szaleństwu nadaje właściwy wymiar. Pierwszy raz czyjaś śmierć uczyniła mnie szczęśliwą. Jak tak leżeliśmy na podłodze, gdy wyłączono prąd, z psami i kotami.

– Takie światło masz ładne, a ja czarny księżyc.

„Kocham Cię. Dobrze, że jesteś. Ładnie Ci w sweterku bardzo...” Piszę do Iwony Meus.

Helenka napisała Miladzie Ślizińskiej, że sztuka współczesna to hucpa; a jednak wyznanie wiary: „Śmieciowe instalacje, supernudne filmy o niczym i próby zostania drzewem budzą we mnie żal za sztuką... Chciałabym, żeby na widok dzieła artysty, prawdziwego artysty, a nie wydmuszki pseudoartystycznej, zaparło mi dech w piersiach, żebym chciała patrzeć bez końca, oniemiała z zachwyty. Otóż ja się nie zgadzam na to zespołowe udawanie, że śmieci i niepotrzebne nikomu przedmioty są dziełami sztuki. Wolę pójść do parku i popatrzeć na liście. Przynajmniej są piękne...”.

Pisze M.: „Piotrze... ja bym podjęła rozmowę i nie odrzuciła takiego osobistego stanowiska... Rozumiem, że chodzi jej o prawo do zachwyty własnego. Twoja córka jest zdeterminowana”.

„Pytanie o to, jakiego rodzaju miasta chcemy, nie mogą być oddzielone od pytania o to, jakimi chcemy być ludźmi, jakiego rodzaju stosunków społecznych poszukujemy, jakie relacje z przyrodą sobie cenimy, jakiego stylu życia pragniemy i jakie wartości estetyczne pielęgnujemy. Dlatego też prawo do miasta jest czymś o wiele szerszym niż prawo dostępu jednostki lub grupy do zasobów, które zawiera miasto; jest prawem do zmiany i wynajdywania miasta na nowo, takim, jakim go pragniemy. Jest też, co więcej, prawem bardziej kolektywnym niż indywidualnym, ponieważ wynajdywanie miasta na nowo w sposób nieunikniony zależy od sprawowania kolektywnej władzy nad procesami urbanizacji”. Czytam Davida Harveya *Bunt miast. Prawo do miasta i miejska rewolucja*. Przekład Praktyka Teoretyczna. Fundacja Bęc Zmiana, Warszawa 2012, s. 22.

Coś na rzeczy. Ukraina. Żąda Przemysła? Wołynia nie było. Rzezi nie było. Była, ale należała się Polakom? Myśli. Szaleństwo.

Wróżbita ukraiński mówi swoje proroctwo i przetyka je słowem kurwa.

Ukraina. Nasze polskie reakcje fantomowe. Fantom brakującej tamtej ziemi, części biografii. Zapomnieliśmy o tamtym świecie, o tym, że jego doświadczenie też do nas należy.

Wyniosę krzyżyk huculski na pole. Ładnie się drewno zestarzeje. „Lubisz wszystko co stare i zniszczone” – I.

Kultura nowości i kultura starości. Walczę. Po co? A może tylko spokojnie żyć? A potem do Iwony do MOCAK-u. Posiedzieć przed Alchemią. Razem.

Jakiś absurd. Jestem w jury konkursu dla dzieci. Na ilustracje utworu o Krakowie. Jakie kwiaty. Jakie światy. Atlantyda. Obrazy. Jakie piękne. Tylko my profani. Stasiu Tabisz, Łukasz Konieczko, Zbyszek Cebula i ja. Żal.

„Twoje dbanie o dom oznacza kupowanie do niego rzeczy pięknych”.

Oddalenie. Bycie samemu. Sam ze sobą. Wtedy wrócić do całości. Grotowski.

Odnaleźć całość. Być u siebie, gdziekolwiek się jest. I to już Mariusz Wilk o poczuciu bycia u siebie.

Ateizm i zgoda na ateizm. Helenka u Milady Ślizińskiej. Jej niewiara w sztukę nowoczesną.

Bauman pisze o tożsamości stałej jako niewygodnej, kłopotliwej.

„Co było, co będzie, jak sprawa się zakończy, czym się serce zaspokoi”. To z Babci Heleny Lejczak. Z jej wróżby. Z nazwiska, bo to hołd dla jej szuflowanych dłoni i mądrych, dobrze patrzących oczu.

Moje rozdanie historyczne od 1896. Metalowe pudełko z kakao van Houtena. Na wieczku data. Zestarzałem się wtedy. Urodziłem się dla roku 1896. Tożsamość plebejska. Nuda. Zacząłem grzebać. Cel niewiadomy. Podśłuchuję głosy z tamtego świata. Tamtych światów. Raj namalować, tak jak tamte dzieci.

W Muzeum Etnograficznym nauczyłem się o sobie samym, z czytania sensualnego z drewna, słomy, gliny, lnu. Tam schłopiałem, a może wróciłem do rytu moich przodków. Chrystus z 1650 z Anielowa, różne Łapszanki, Jurgowy, Rzepiska, Pawliki. Zapach siana, łąk, gnoju, chodników, komory, drewnianych izb. Zimny, żywiczny. Zapachy zachwyty. Tysiące. E tam, więcej. Nad kądzielami, motowidłami, hospelami, kształtem drajfusów, chodnikiem od Sołtysowej. Z Łapszanki, ze starej wsi moja droga do Starego Świata. Tam mój trop.

Maluję. Herbata z cytrynowką. Telefon w lewej, z Helenką, która wyszła z pracy.

Zaufać czemu? Same kłopoty. Los. A może los nie istnieje? Kto ma mi pomóc, los czy ja sam? Wolę nie ryzykować. Następnym razem. A może co ma być, niech będzie. Odmalowuję to, co dałem Mai Parczewskiej i Januszowi Byszewskiemu. Siedzący I, II, III, Stojąca. Spiczaste buty. Rozczapierzeni. Moi. Ja rzeczywiście jestem w drodze.

Facebook. Tyle czasu. Odpęza mnie. Ten prywatny wlew widoków ogłoszeń daje jakąś namiastkę kontaktu. Robot, wiem. Trzystu czterdziestu znajomych składa się na poczucie bliskości. Fałsz. Czesiu wrzuci wnuka, a ktoś bibliotekę. A ja myślę: tak, to dla mnie. Nie dla mnie. On wrzuca dla siebie. Pokazuje: Jestem, tu jestem. Taki mądry, ważny, kolorowy. On we mnie bibliotekę, ja w niego łośiem znad Biebrzy. A co. A masz.

Robotnicy nie zakleili mojego Mena na Stradomiu. Już półtora miesiąca wygląda z za innych plakatów. Miło. Dziękuję. Jesteście kochani.

Odpowiadam na pytania. Test Prousta. Upór, siła, skrajności, zachłanność życia. Asekurantstwo? Nie wiem. Nie szukam. Lubię silnych i prawych. U każdej coś innego. Szukam dobra i mądrości. Za to jak patrzę na mnie. Egoizm, despotyzm. Las. Przyglądanie się ludziom, spanie. Nie marzę, boję się. Obsesyjny lęk. Każdego dnia co innego. Całością. Drzewem. Jastrzębiem. Wilkiem. Ogniem. Sobą samym. Nieprecyzyjność. Dobry. Sprzedawczyni ze sklepów. Głupoty i zła. Diabła. Zdolność rozróżniania. Jak chcę umrzeć? Nie chcę. Bez znaczenia. Z godnością. Wszystkie. Nie wiem. Ogromna liczba. Żywi i umarli. Dobrej ciszy. Złej ciszy. Nie wiem.

Rozumiem S. Też bym chciał być Caravagiem. A nam przypadł los malarzy Matek Boskich z Dubrownika, do których modliły się kobiety, prosząc o szczęśliwy powrót marynarzy. Mało zdolni, ale pożyteczni.

„Ale w K. szaro, buro i ponuro. Kocham Cię. Tata”. SMS do H.

Wymienić Przyjaciół. Wymienić Miłości i tych, którym ofiarowałem obrazy. Lista będzie bardzo długa. Ostatni to... Nie wymienić. Wyliczyć.

Ważny cytat: „Jako artysta czuję, że każda cząstka sztuki jest tańcem śmierci, ale czuję też, że przez swoje oddziaływanie każda cząstka sztuki jest zmartwychwstaniem. Dotknięcie pędzla, nuta, słowo, życie słowa to zmartwychwstanie. Układ, porządek, temat to wielkie zadośćuczynienie w obliczu śmierci. Osiągnąć życie w obliczu śmierci, to radosna możliwość, to pełnia zachwyty, to cel sztuki”. Peter Schumann.

Czego szukam u Wiesia? Bo szukam. To jest tak: przychodzi malarz czarny do malarza kolorowego...

„Dzwoni moja miłość, tata, mama powiedziała, że odda mnie do domu dziecka...” Kalendarz Wieśka Obrzydowskiego. Czytam jego zapiski. Bezbronne i prawda z nich wyziera. Znów przyprowadziłem mu gości. Tym razem Martę Włodarską. Siedzi na jego łóżku. Wokół obrazy. Nowe. Raj dla oczu. Na tych ścianach popisanych.

Jest Iwona z Amelią. Bibusiem? Przyszpilona. Latające cipy, zielone i czerwone gęby. Gęsto. Wiesiek siedzi na brzegu łóżka i peroruje. Marta zachwycona, ogląda notesy i pamiętniki. Czyta. „Mojej kochanej i innym kobietkom”. „Innym kobietkom” Wiesiek zamasyżuje przekreślił. Miłość przychodzi i odchodzi. Zapiski W.O. skończą na śmietniku. Żal.

„Działanie nie powinno być reakcją, ale kreacją, muzeum w drodze jest przeciwne hegemonii kuratorów, krytyków, dyrektorów, wzajemnym układom i powiązaniom. Jest przeciwne fetyszyzacji sztuki i instytucji z nią powiązanych. Jest przeciwne sytuacjom wykluczenia, które narzucają autorytarny model większości instytucji kultury; zatrzymuje się w miejscach, które dla swojej działalności uznają za ważne, albo tam, gdzie zostanie zaproszone”, mówił Janusz Byszewski na koniec wykładu w szóstce. W sztuce chodzi o wartości. Cisza.

Beata: – Helena była wczoraj na imprezie i ktoś pokazał im zdjęcie swojego penisa, co za...

– Jaka jesteś wulgarna.

– Doliczyłam do dziesięciu. Ja wulgarna?!

Umierający Budda: „Podróżujcie”. Z dzienników Sandora Maraia, które wieziemy Jolce Tokarskiej. Rząska. Dom. Miło. Wchodzi się do chaty skandynawskiej. Długi stół i książki. Michał szlachetny. Brat. „W piwnicy miałem w Chełmie kule spod Dubienki. Kościuszki. Wykopał ojciec kolegi. I broń. Stena i waltera. Nówka, bagnety – robi minę. – Ja byle czego nie zbierałem... Po pięć złotych, szmelc. A lance. Tak... Wracalem z lancą, oficer żandarmerii stoi na przystanku z ułańską lancą. To ja byłem. Lanca od Kosaków. Jak przyjechałem do domu, to nie mogła zmieścić się w mieszkaniu. Blok. Żona suszyła na niej majtki. Wiesz, położę na niej folię, bo mi się majtki brudzą. Sprzedałem koledze. A proporczyki ułańskie leżały w piwnicy. Skąd? Z Hrubieszowa. Co z tym się stało? Zostało wszystko. Tam. Wyprowadziliśmy się. A Witek Godlewski, mój kolega z Chełma, miał w swojej rodzinie od niepamiętnych czasów puchar z zastawy stołowej Stanisława Augusta Poniatowskiego. Trzymałem go w rękach. Puchar sam się kiedyś rozpadł na drobne kawałki w jednym pokoju, a w drugim rozpadł się Witek, na zawał”.

Miły brat. Zna się na szablach. „Tu będzie biblioteczka, a tam...”, mówił...

Iwona: – Miałeś wynieść swoje obrazy do pracowni.

– To całe życie w tych papierach i tekturach. Najwartościowsze.

– Nikt tego nie kupi. Bo wszyscy chcą mieć trwałe.

– To co, rzucają się na moje obrazy ze studiów?

Piszę dwa wnioski o grant, muzeum wirtualne i videowykłady.

20 lutego. Są plakaty edukacji artystycznej, na mieście wyglądają dobrze. Bardzo dobrze

Rocznica ślubu, ważna. Siedzimy. Wino w bagażniku. Miło. W domu przyjemnie.
Mój ciągły zachwyt nad jej kobiecym pięknem w całej różnorodności. Trwa.

23 lutego 2014. Wiosna. Z Facebooka: „Dzisiaj w Krakowie w wieku 93 lat zmarł Leszek Dutka”. „Idź do Leszka, bo zaraz umrze. Nie zdążysz, a on ciebie tak lubi”. Ceniłem Leszka Dutkę za koleżeństwo. Koleżeński – po drugich teściach Żulińskich, po powstańcu, Anusinyń dziadku. Filiżaneczki, naleweczki. Tak, był koleżeński. Dziewięćdziesiąt trzy lata. Mówił: „Pisz”.

„Żyjmy ładnie” – Iwonka w kuchni do mnie. Lepszy dzień. Znacznie.

Strach, że przyjedzie komisja akredytacyjna, minął. Siedzimy. Miło. Prof. Paulina Komorowska, prof. Michał Kliś, prof. Rafał Strent z Wołynia. Urodził się w Łucku w czasie rzezi. Ciotka malarka Maria Jarguszowa – 1918, ojciec architekt – 1922. Żyją. A ja? Nie ile, ale jak... „Żyjesz, jakbyś nie żył”. Iwonka ma rację. Zbierać życie. Nie cu-dze historie. Szkoda czasu.

„Jest pan dobrym duchem tego Instytutu. Wróżę panu wielką przyszłość...” I po-jechali profesorowie Paulina Komorowska, Rafał Strent i Michał Kliś.

Jest 27 lutego. Mój PIT mówi mi, że zarobiłem...

„Kocham Cię. Miłego dnia”. SMS od Iwonki.

– Wiesz, po czym się poznaje damy?

– Tak, po cipkach

Rozmowa profesora Rafała Strenta z synkiem. Ładna.

Bycie samym wzmacnia. Na nikogo nie liczysz.

Jutro Warszawa. W pociągu do H. Jednak ma być warto. Trudno. Ciężko. Warto.

Syty pyta na Facebooku: „Jak się czujesz w tym naporze nowych mediów?”. Bez odpowiedzi. Napiszę, że doświadczenie malowania obrazów, to doświadczenie nie do podrobienia. To jakbyś wchodził do rzeki. Stoisz w niej i doświadczenie cię obmywa.

Czuję się jak kamień o wygładzonych krawędziach. Artysta żyje. To Edziowi napiszę. Jestem artystą. Akcent mi się przeniósł bliżej ludzi. Światło mam po M. Edziu, ty i ja idźmy swoją drogą, bezpalcy Tarnogrodzianinie. Trzeba wytrwać. Chcesz czy nie, musisz walczyć.

Pociąg do Warszawy. Las piach, zieleni się trawa. Tak wkoło. Z wiosny jest mgła. Strefa mgły. Dziewczyna czyta opowieści Grimma. Barmanka czyta erotonowe.

Pilica. Byłem tu, lubię to miejsce. Zawsze powtarzam: byłem tu. Topografia mi-łosnych miejsc.

Jadę. Słońce. Mgła. Warszawa we mgle. Kupujemy pączki na Chmielnej. Przez Stare Miasto. Foty pod Syrenką. Dobrze mi z Helenką. Potem wzdłuż Wisły, na Żoliborz. Jej praca, szary, trzypiętrowy dom. Ostatnie piętro. Środek. To tu podchodzą sa-renki i dziki. Siedzimy na piwie u Araba na Kępie Potockiej. Helenka przebiera bluzkę, którą jej kupiłem pod pracownią na Dietla. Bluzkę z sobowtórem. Miło. Ciepło. Potem Bielany, źródło, potem piwo w domu. Zakupy. Gin i wino.

Śpię. Myślę o wojnie. Żal. Wstaję, biorę piwo z balkonu. Szukam herbaty w kredensie. H. wstaje. Idziemy na Olimpię. Jem grochówkę z kotła w centrum war-szawskości. Potem kupuję Helence talerz z kotem i psem. Niemiecka formuła. Idziemy na plażę. Nad wodę. H. znowu rani palec kozikiem. Biorę kawał bobrowego drewna. Z przyzwyczajenia... Kręgle. Miło. Kula leci. Z Helenką po ulicach. Patrzymy na wille. Która? Ciemno.

Odprowadza mnie do Złotych Tarasów. Kupuję dżem dla Iwony i spinki z ser-duszkami dla Olgi. Oleńki. Jeszcze w kościele Popiełuszki modłę się za nich, za Matkę.

– Myślisz czasem o Babci? – pytam.

– Często.

Zdziwienie.

3 marca. Wracają myśli o lesie.

„Wracają myśli o lesie. Wieczna tęsknota. Nic nie wiemy o strachu i bólu ścinanych drzew, o wdzięczności podlanych róż. I natura nie zna naszego języka, który sobie stworzyliśmy. Nie respektuje naszych praw i naszej woli. Jej głosem jest wybuch wulkanu, grzmot, fale tsunami, drżenie ziemi, wichry i szum lasu. W milczeniu znosi rany i zadany jej ból. Pozostawiona samej sobie, wolna od naszej ingerencji pulsuje życiem nieustającym w rytmie własnym. Modyfikowana, poprawiana lub kaleczona przez człowieka pozostaje wierna nakazom pierwszym, usiłuje powracać do form wyjściowych. Podstawowym elementem lasu jest drzewo – arbor, jednoczące w sobie wszystkie cztery żywioły: ziemię, z której wyrasta, wodę, która w nim krąży, niebo, które obdarza go światłem, i ogień. Ale drzewo to nie tylko twór przyrody. Pod postacią drzewa ukryła się rzeczywistość duchowa, będąca istotą naszego człowieczeństwa”. Teksty Andrzeja Strumiłły. Piękne. Wolę niż jego obrazy. Zawsze bliski mi był.

Spotkanie. Cecylia Malik, Delfina Jałowik, Marta Sala, Ela Sala, Monika Rościszewska, Marta Włodarska, Łukasz Murzyn, Jacek Pasieczny, Mateusz Okoński. Ostatnie zachwyty. Tak. Z nimi mogę zbudować nową edukację. Albo starą dobrze poprowadzić.

Hundertwasser w poszukiwaniu dobra, harmonii piękna i ducha. Chciał przywrócić sobie wiarę w ducha świata. Malował. Ducha drzew. Znalazł. Tak twierdził, że znalazł. Nie ma przypadków. Czytam o twórczości Hundertwassera. Coś jakby blisko. Znaleźisko na czasie. Obelgi lekceważył. Krytyką pochwalną gardził. Jadł pszenicę, jeździł na rowerze. Szukał ducha. Znalazł bramę intuicji. Tak twierdził. Byłby przekleństwem dla rodziny typu dwa plus jeden.

Malik goni w zielonych rajstopach. Idzie wzdłuż torowiska. Gada z policjantem. Mama, jej siostra, Negradonna. Jej ojciec długowłosy z okaryną. Są krakowscy. Sto procent krakowskości. Maluję czerwone drzewo u Joasi w korytarzu NCK. Ścieka...

Jutro trudny dzień. Wracam z Huty. Mrok. Zmarzłem. Mam źle ustawione lusterka. Za dużo mnie to kosztuje. Dopisuję recenzję z F. Hundertwassera.

Blisko. Znajduję bliskość z Witoldem Damasiewiczem. Fałata wyrzucili za brak papieru toaletowego, a mistrza templariuszy spalili. Warunek: oszczerstwo płatnego opryszka. Wysoko mierzę. „Kupiłabym ci pancerz. Gdybym miała pieniądze”.

Wybór. Może bezbronność artysty. Bezbronność. Tak. Taki wybór. Jestem z przestrzeni kultury. Nie barbarzyństwa. Jednak nie. Jesteś z innej gliny.

Sobota. Idę ulicą Szpitalną. Świadomość. Tam już Leszka Dutki nie ma... Dziwne. Nie żałuję, że nie byłem na pogrzebie, spotkamy się. I pożegnaliśmy się w biegu. W życiu...

Bognie Becker obiecałem swój obraz. Ucieszyła się. Bogna, żona Kruczka. Kruczek zapił się, a żona kwitnie. Mówi mi: „Pan jest od sztuki bezinteresownej”.

Tylko komisja akredytacyjna wróży mi wielką przyszłość. To miłe.

Zły czas.

„Popłakałaś się” – Iwonka do Oleńki.

Kamienie na szaniec. Sama chciała. Wszyscy w klasie przeczytali... Jedziemy. Nie mogła się doczekać. Polskość wraca. Zośka, Alek, Rudy... Niemcy strzelają do Polaków. Niemcy źli. Polacy raczej dobrzy.

Przepowiadanie domowych opowieści. Albo my im albo oni nam opowiedzą historię. Rano Iwonka kawę w Miśni i czytam o Stendhalu Krzysztofa Rutkowskiego.

Maluję żeby żyć. Kamień i drzewo. W ostatnim czasie wokół tego krąży. Pusty ołtarz nie potrzebuje cienia.

Majdan, teraz Krym. Natalia: „Módlmy się”.

Znalezione na Facebooku: „Kozacy piszą list do chana”. (Autorka Aleksandra Kovaleva).

„W Europie rządzi pieniądź. Godność została już zapomniana. Pieniądze. Europejczycy zawsze cierpią na brak pieniędzy. Dla nich wychodzą na ulicę i niszczą samochody – to wszystko jest wyrazem cichego niezadowolenia związanego z pieniądzem. Wydaje się, że to właśnie jest teraz główna «europejska» wartość. I kiedy ludzie umierają na Majdanie, walcząc sami z niesprawiedliwością, walcząc o zachowanie godności, w Europie godność została już zapomniana. Nie dlatego, że Europejczycy jej nie mają – po prostu jej nie potrzebują. Nie używają jej, ona odeszła... Dziękujemy za grozę na Ukrainie, w końcu zobaczyliśmy, co jesteście warci... Jesteś za stara, Europo. Jesteś za stara, ślepa na to, co się dzieje, jesteś też głucha i nie słyszysz krzyków. Ale przede wszystkim nie chcesz pomóc nikomu, dopóki nie przyniesie ci to zysku”.

5 marca 2014. Marek Batorski na schodach na Mazowieckiej. Bogdan. Zanim przyniosłem mu pampersy. Pytam, czy go ktoś odwiedza. Nie. Tylko Witek Sanojca. Rak trzustki. Z przerzutami. Marek kiwa głową. Zatroškany.

„Co robisz po orgii?” To z Umberto Eco. Tajemnica. Bogdan Juśkiewicz nie mówił, że rozwiódł się. Że żyje sam, że synowie... Snuł się po wernisażach. Sam. Nie miał się do kogo przytulić. Nie ogłaszał. Jest z czasów sekretu i tajemnicy. Czy Umberto Eco ma rację, pisząc, że znikła tajemnica, a nastał karnawał?

List od Marty Sali: „Panie Profesorze, Profesor ma duży posłuch wśród studentów, więc przypominam się raz jeszcze z wielką prośbą, żeby ich zachęcić do uczestniczenia w akcji przeciwko chciwości i ochrony budynku hotelu Cracovia. Jest też pomysł, ponieważ to protest jednak bardzo elitarny (do niewielu przemawiają wartości modernizmu), żeby grupy ludzi włączających się podkreśliły swoje artystyczne poparcie. Tak więc super byłoby, gdyby studenci UP coś własnego jeszcze wymyślili. Ja już z moimi studentami robię maski, ale nie mam na tyle godzin i grup, żeby z nimi coś

jeszcze zrobić. Tak sobie wyobrażam, że pięknie by to wyglądało, gdyby były widoczne właśnie różne złote jednostki. Świetnie by było, gdyby studenci mieli jakiś swój własny transparent, wspólny motyw... To jest niewyczerpany temat – kult pieniądza i chciwość. Kto, jeśli nie artyści, ma manifestować w obronie wartości estetycznych? Dlatego tak bardzo mi zależy, żebyśmy ze studentami się włączyli całym sercem. Miałoby się jeszcze wahać, jak zobaczą duży protest, to sprawa może być wygrana, ale jak zobaczą małą grupkę osób, będą mieli jasność, że nie ma czym się przejmować. Tak, że w tym momencie nasza odpowiedzialność jest duża. Każda osoba to szansa wygranej. Wiadomo – hasła, hasła, ale ja osobiście mam już dosyć konsumenckiej bezmyślności i potęgującego się poczucia bezradności i braku odpowiedzialności za to, co nas otacza. Tak więc wspaniale byłoby, gdyby Profesor użył swojej mocy i zaangażował jak najwięcej ludzi, żeby przyszło. Bardzo prosiłabym, żeby Profesor zachęcił studentów, żeby się pojawili już w czwartek na warsztatach i porobili sobie i dla innych złote maski, i pomogli nam w oklejaniu na złoto dolarów i euro – bardzo potrzebne ręce do pomocy! To nie ma być zwykły protest, lecz wartościowy artystyczny protest, więc ogromnie ważna jest oprawa plastyczna, a każdy artysta (wliczając studentów), który przyłącza się do robienia tej oprawy, dodaje też dużo cennego. Taki jest plan wydarzeń: czwartek – 20 marca, godz. 20.00 ZŁOTE MASKI NA AKCJĘ DLA HOTELU CRACOVIA – warsztaty, podczas których przygotowujemy złote maski, dolary i euro – oprawę plastyczną protestu; piątek – 21 marca, godz. 20.00 – wystawa w Małopolskim Ogrodzie Sztuki – instalacja pokazująca historię ukrytej mozaiki Husarskich w hotelu Cracovia; sobota – 22 marca, godz. 16.00 – protest, wielka parada chciwości, wymarsz spod pomnika Piłsudskiego, hasło protestu – Chciwość dress code – złoto – na bogato, złote maski, gadzety etc., później, w sobotę, jest planowane afterparty w Pauzie, o tym też warto powiedzieć studentom, to może będą bardziej chętni do udziału w całej tej imprezie. Z góry dziękuję, naprawdę liczę na wsparcie Profesora i naszych studentów, pozdrawiam serdecznie”. Ale ładny list. Wielka Malarka.

2 marca 2014. Wstaję. Idę. Wczoraj kleiłem złotą maskę. Widzę: idą z wózkami spod MOSu. Złoci. Tak jest. Ze sztandarami, które pozłociłem. Stoję. Jest. Tak rodzi się społeczeństwo obywatelskie. Chciwość miasta. Malik ciągnie złotą krowę, żeby ją wciągnąć na dach Cracovii. Ważne. Sztuka odpowiedzialności.

Po co to wszystko, nie wiem. Co będzie dalej? Tajemnica. Wydaje się, że to coś, czego nie wiem. Dokąd poprowadzi mnie Droga? Dokąd pójdę?

Szpital. Bogdan Juśkiewicz siedzi. Taki sam. Ręce sine. Ani jednego siwego włosa. Jak dobrze. Wyrzucam mu czekoladki z delikatesów. „Nie mam cukrzycy. Mówisz na całego? Co kurę za jaja macać?” Bierze leki. Popija. „Zgubiła mi się rurka”. Jest. Ostatnia posługa. „Masz kozackie geny. Wschodnie”. Grypsuje. Lekarka: „Bierzemy pana Juśkiewicza do hospicjum. O 11.00”. Ordynator Kucharski załatwił dzięki własnym znajomościom. Proszę, żeby mi podbili wniosek o zapomogę. Obojętnie kto, byle jakie pieczątki dwie. Ocenia. „Naskrobał sobie, a ja teraz mam szukać hospicjum, zaśługuję na samotną śmierć. Zadzwoni do żony. Nie, do brata”.

Środa. Bogdan. Tramwaj 22. Siedzę na herbacie za osiem złotych. Myślę o pytaniu Iwony do mnie: „To co, pożyczmy bardziej kolorowo?”. Tak.

Iwonka: „Jak powiedział Bartek Dobroczyński, Facebook to jest współczesna wieś... Współczesna wspólnota plemienna. Plemię nawet rozmiar ma ten sam. W gruncie rzeczy pozostaliśmy na tamtym etapie rozwoju. Potrzebują dokładnie tego samego”. Iwona: „Jestem jednorazowa. Nie muszę pilnować tego, co jest mieszanką tego wszystkiego wartego przekazu. Czynisz to słowami. Doświadczenie... Nie przeszkadza mi, że nikt nigdy nie będzie wiedział tego, co ja. W żaden sposób mi to nie przeszkadza”.

Minimalizuj. Wczoraj patrzyłem, jak zakopywali w ziemi pod drzewem Bogdana. Nawet coś w tym grzebaniu w samej ziemi i pod drzewem było strasznego, ale i innego od stuku trumny o betonowe ściany bunkra. Niosłem ten wieniec, stałem jak głupi. A potem z Romkiem, Grażynką Jankiem Bujnowskim i Marysią Kuklą, naszą dawną portierką, która woziła Oli mleko od krowy, wracamy na Mazowiecką.

Iwona: „Rozmawiałam z fizyczką, specjalistką od czarnej materii, panią profesor Agnieszką Zalewską, szefową laboratorium CERN w Szwajcarii. Nic nie wiemy. Nasza wiedza o świecie szacowana jest na pięć procent”.

Podczytuję *Pana Tadeusza*. Jutro niedziela.

Kamień i drewno. Czarna lawa przywieziona przez dziadka z Wezuwiusza. Leżała w szufladzie białego kredensu. W którejś z środkowych szuflad. Wyobrażałem sobie, jak szedł krawędzią wulkanu. Brzegiem czarnej dziury.

1 kwietnia. Prima aprilis. Nikt mnie nie oszukał. Nie ma teraz takiego zwyczaju. Tak, mam prezentację. Dla MOCAK-u.

Do I.:

„Oszukaj mnie. Czemu mnie nie oszukujesz?”.

Myślę o mistykach. O Tischnerze. O nadziei powrotu, z kim do jutra... O legitymowaniu doświadczenia swojego i innych, o błędzie i bezbronności.

Iwonka: – Co ci dają dwie godziny Facebooka, o ile jesteś bogatszy?

– Zapytaj, o ile jestem mniej samotny...

Iwona. Siedzimy w Bunkrze: „Ciężar niech cię niesie, nie przygniata”.

Biorę. Jasna ładna pogodna twarz. Człowiek. Posiedziałem. Pieróg od Ukrainek. Miłość żony. Dobrze mi w promieniu jej cichej, pięknej, kobiecej mądrości.

Powiesiłem ligawkę na ścianie w pracowni. Szczęście za pięćdziesiąt złotych.

Ewa Mulek, siedzimy nad mielonym w barze naprzeciw Ryśka. Trzech meneli. Obok. Siedzą. Rządzą. Kaźmierski naród. Jeden profilem do mnie mówi w powietrze: „Ja nie szlachetny, jem łyżką, nie widelcem”.

Iwonka. Przytuleni. Nadchodzi ranek. Budzą się zwierzątka. Pan Darcy i Amelia.

MOCAK. 12 kwietnia 2014. Konferencja. Sztuka i wolność. O zdolności do bycia samemu. Wolność do bycia samemu. Inaczej rusza mechanizm obrony. Cierpienie. Podobno to zależy od relacji niemowlęcia z matką. Co umożliwia? Co ogranicza? Czy żyję pozornie według oczekiwań, czy ja się w ogóle ukonstytuowałem jako samotność? Czy jestem przyklejony do schematu, atrap, cudzych oczekiwań? Moja Matka była w stanie szczęścia czy stałego niepokoju? Czy mogę być sam z bliskimi? Czy mogę być sam z rodziną? Pytania. Twórczość prywatna. Określenie Maszy Potockiej. Celne. Precyzyjne. Dla mnie. Samotność, niezintegrowanie – warunek wolności, inaczej: mechanizm reagowania na bodźce zewnętrzne. Na cudze zapotrzebowanie. Zniewalająca siła wol-

nych przypadków. Myślę. Mówi pan z brodą. O wylewaniu z siebie, o żarłoczności. Nie ma wtedy rozeznania potrzeby. Jestem pożeraczem narcystycznym? Sala kiwa głowami, są tacy, nie dają nikomu dojść do słowa. Innych nie ciekawi. To ja? Według Iwony tak. Coś dalej o pasji, ofiarowanie jako biegun przeciwny. Coś mi się nie klei. Jednym i drugim bym był?

Dziewczyny znajdują w Duce.

Co zrobić z doświadczeniem do niczego niepotrzebnym? Być to mieć.

– Wiesz, cytowałem cię: Nasze ciężary niech nas niosą, nie przytłaczają. Zapisz. Zapomnę.

– Złota myśl? Miałaś powiedzieć?

– Jestem mądrym głupcem.

Nie ma takiego zestawienia. Nie da się być mądrym głupcem. Brzmi smakowicie, ale myślę, że potrawa jest nie do zjedzenia.

15 kwietnia.

– Jest niepojęte, jak można mordować teraźniejszość... Szukasz bliskości tam, gdzie jej nigdy nie znajdziesz. Poświęcasz kogoś dla kogoś, dla którego nie ma bliskości. Trzymasz rzeczy, z których można zrobić teatr śmierci. Trzymasz rzeczy martwe. Żyjesz w domu umarłych. Dobrze pamiętam, jak w Holandii musiałeś zjeść wszystkie ciastka.

– To było w Paryżu...

– Zbierasz. Nie potrafisz wybierać.

– A gdybyśmy zaczęli sprzedawać?

– Takich wariatów, jak ty, jest dwóch w Polsce. To kiedyś był dwór. Teraz jest lamus.

Połamano się pode mną krzesło. Rysiek kupił z pierwszej pensji. Zostawiłem lejbik, krzesło spaliłem w piecu.

„Odbywam podróż, która zastąpi wykształcenie? Stanać oko w oko z lękiem i przetrwać. Odbić podróż w głąb siebie i wrócić. Odnaleźć źródło wewnętrznej siły” – napisała uczestniczka wystawy Przejścia i Powroty. Antoni Bartosz ją cytuje.

Pisze Anna Smolak: „Oto malarz przemierza ulice miast i uwiecznia napotkane przedmioty chodnikowe, przykrywy zaworów, piwniczne okienka, kanalizacyjne odpływy... Niezmienne jednak pozostaje wrażenie, że cały proces tworzenia odbywa się ze spuszczoną głową, jakby to, co naokoło nie miało większego znaczenia. Kto wie o obowiązku malowania ikon w pozie klęczącej, tego nie zdziwi widok malarki na kolanach na chodniku”. Coś w tym jest.

Zimno. Na rowerze na Kazimierz. Cudze pocztówki przychodzą. Nasze nie wyszły. „Ja powinnam zrobić zupełnie inny film o tobie. W którym nie lubisz domu. Uciekasz. Lubisz idee, ale domu nie”.

Budzę się w łóżku. Sam. Bolesne. Szukam wtedy rozpaczliwie Amelii albo Darcy’ego. Antek Paradowski przyszedł. Siedzimy. Kroję jajko, ma granatowe plamy. Lubię Antka za duchowość. Po odejściu Ewy i Piotra wszyscy osobno.

Msza. Rezurekcje. Opatuleni. W katedrze na zdobytych krzesłach. Pięcioro dzieci z ojcem. Wszyscy. Dobrze im z oczu. Uduchowieni. On rozmodlony. Idzie biskup z monstrancją... Nowy rok nastał. Znajome rekwizyty. Radość. Pieśń. Wszystko znajome, polsko-krakowskie...

Święta Wielkanocne. Dzień drugi. Za ładnie. Tęsknię za dziewczynami. Wracam po nie, jedziemy na Emaus.

„Co z tego przeżyłeś? Byłeś w powstaniu? Byłeś w partyzantce? Cemu potrzebujesz atrap z cudzego życia? Dlaczego nie śpiewasz swojej pieśni. Nie wiesz, co tracisz. Trać, ale zdaj sobie z tego sprawę. Bo inaczej zmarnujesz życie. Zastanów się. Ty nie nawiązujesz z nikim relacji. Żyjesz albo w przeszłości, albo w przyszłości, tu cię nie ma. Ty nie żyjesz...”

Zielono. Wiosna. Kwietnie.

Co w tej drodze zgubiłem. Co zgubię? Bezbronność. Gotowość do bezbronności, tak ważną, żeby być artystą. Czy śpiewam cudze pieśni? Walczę w cudzych bitwach? Biorę role nie dla siebie? Doceniłem życzenie spokojnego snu.

Gdyby tak: Że nigdy naprawdę nie opuściłem własnego domu. Że nigdy nie wyruszyłem poza jego próg. Ale jest też tak, że najdalsze podróże odbywamy w samych sobie.

Słucham Agnieszki Dacy: „Mistycy byli sumieniem swoich czasów, w obronie prawdy gotowi byli poświęcić własne życie. Droga ich powołania była zazwyczaj pełna trudów i wyrzeczeń. W dziele *Dwa źródła moralności i religii* filozof Henri Bergson podkreśla fakt, że dla mistyka to wyniesienie nie jest źródłem jakiejś pychy. Przeciwnie, jego wielkością jest pokora, a zasadniczym celem dobro innych ludzi”. Mistycyzm... Poczucie sacrum. Tęsknota za pełnią, pięknem, prawdą, dobrem. Doświadczane duchowo i zmysłowo. Tęsknota za prawdą rzeczy.

Rothko, Beus, Malewicz, Kiefer. Poszukiwacze. Moi.

Nie mogę przeżalować złocistej, buczonej tkaniny wujka Iwony – Henryka Meusa. Była w zasięgu ręki, za grosze. Tylko groszy nie było i był zamęt w głowie zamiast. Uciekł też kredens z domu Stanisława Wyspiańskiego. Obydwa moje. Żal. Wybór. Przestałem być zbieraczem. Wyrzucam.

27 kwietnia 2014. Las. Bielany za obserwatorium. Tu chodziliśmy w ciąży z Olgą. Idziemy. Brak starych czereśni, tych, na które wchodziliśmy z Helenką, i brak koni, i domów wiejskich, pod którymi siedzieli ludzie. Ale są barany i my. Najważniejsze. Miło siedzimy z I. Blisko siebie. W ciszy. Po udanej nocy.

Do Natalii Ursu: „Natalia, co u was? Martwimy się bardzo, żeby nie było wojny. Myślę, że będzie, ale modlimy się, żeby nie było. Rosja prowokuje niezwykle, zasyłając swoich żołnierzy na terytorium Ukrainy”.

Dziewczyna drukuje mi tekst w punkcie ksero. Akurat otworzył się na stronie, gdzie syn Rafała Strenta odpowiada mu na pytanie, po czym poznaje damy – po cipkach.

Piszę więcej teraz. Znaczą, że szukam słowa. Nazywam. Nie maluję. Nie rysuję. Malowanie jest wypełnianiem konturu emocjami. Studentki przyszły. Nie na próżno jechałem. Malują w mojej pracowni. 1, 2, 3. Niemożliwość.

Wilno nie ciągnie mnie, Ukraina tak.

„Niepodobne do niczego są twoje obrazy” – tak mówi M. Nieprawda.

Do Jana Meusa w Kanadzie: „Panie Janie, spotkaliśmy się kiedyś w przelocie. Jestem Piotr, mąż Iwony Meus. Mam nadzieję, że kiedyś się spotkamy. Cały nasz rok był ostatnio dość trudny i zagoniony. Chciałem Pana zapytać – może nie jest za późno – wcześniej mi i Iwonie było niezręcznie, za ile, gdyby szybko nie znalazła kupca ta tkanina buczonej, mógłby Pan ją sprzedać. Chyba chciałbym ją Iwonie na naszą rocznicę kupić jako pamiątkę po jednym z najpiękniejszych Domów, jakie było nam w życiu poznać. Pozdrawiam serdecznie Piotr Jargusz”.

Idę jak burza. Dokąd?

List o lesie. Bardzo stary. „Kochana Babciu, bardzo tu ładnie, same sosnowe i liściaste lasy rosną na bardzo złym gruncie, bo samych piaskach. Wokół Puszczy Piskiej jest mnóstwo jezior i moczarów i nasuwa się opis puszczy. Wśród mokradeł leży dużo rozwalonych drzew. Jedne zgniły, a inne dalej rosną, mimo że pnie mają pod wodą. Musi być tu dużo zwierzyny. Raz poszedłem w las, coś mnie pociągnęło, żeby iść. Doszedłem do brzegu polany, która strasznie była zryta, i nagle zobaczyłem na ziemi jelenie poroże. Jak je podniosłem, to mnie zatkało. To jest naprawdę nie-spotykane. Musiały jelenie walczyć o łanie. Po odrostkach obliczyłem, że to był siedmioletni kozioł. W Krakowie powieszę je nad łóżkiem... Tu często mamy burze. Po dwa razy dziennie. Pięknie śpiewa las i ptaki. Jak czarne błyskawice latają jaskółki. Chmury też mamy bardzo ładne. Białe na niebieskim... Wyobraź sobie, jak takie chmury zawisną nad tymi lasami, jeziorem, którego końca nie widać, i nad łąkami z polnymi kwiatami”.

Z Olgą. Siedzimy pod Wawelem. Górka Wawel, na niej zamek królewski. Patrzymy na Wisłę. Może zdążymy porozmawiać. Tak bym chciał.

Piasek z kieszeni ze spaceru nad Wisłą w Warszawie. I mech.

Ale sen brzydkiego. Młodej Ukraince wypadło z rąk maleńkie dziecko. Przy tamie zanurzała je w rzece. Wypadło. Ona płynie za nim. Nie dopłynie, dziecko unosi prąd. Ja patrzę z mostu. Widzę, jak zawraca do brzegu, widzę majtki jej stroju kąpielowego i słyszę płacz. Zapomnieć. Zły sen.

Sobota, 10 maja 2014. 9.20. Dzwoni Helenka. Jedzie do mamy po obraz dla mnie. Mój dwoisty portret sarmacki. Z folią bąbelkową, którą zabrała z pracy. Beata dzwoniła, że pośle koleją. Wczoraj. Miło. Dziękuję, dziewczyny, że myślicie. H. będzie o 13.40. Oleńka poszła na Sherlocka Holmesa.

Zbyszek Bury: „Pytasz co sprawiło, że wymyśliłem Johansona? Państwo. Dostałem takie alimenty, że zacząłem się zastanawiać, co mam robić. Napadać czy rabować. I pod jakim pseudonimem. I wymyśliłem Johansona”.

Zbyszek Bury i Ania, jego dziewczyna, siedzimy w Bunkrze. Cieszę się, że ich widzę. Jeden z prawdziwych malarzy, których poznałem w życiu.

– Malujesz? – pytam.

– Nie.

Zachód nie zrozumie Rosjan. Europa nie widzi rosyjskiej dumy. Patrę na zabicie człowieka w Donbasie. Strzelają banderowcy. „Niczego strasznego nie widziałam”, mówi staruszka, Ukrainka, o rzezi Polaków na Wołyniu. „Banderowcy – mówi mi – to gorzej niż faszysty”.

Helena Ples. Jest Rosjanką, urodziła się w Kijowie, potem żyła w Sankt Petersburgu, potem na Czukotce pięć lat. Teraz w Polsce uczy języka rosyjskiego. „Moja matka przeżyła oblężenie Stalingradu. Uciekała przez jezioro Ładoga. Opowiadała, jak jedli psy, koty, szczury. Gotowali skórzane torby, buty i paski. Niemcy nic się nie zmienili.

Rosjanie nigdy nie zapomną tej wojny”.

Leje. Wody w Małopolsce wezbrały. Spaliłem nasz stary kredens. Ja jedy-ny uprawniony. Nie chciałem wyrzucić. Spaliłem w piecu. Resztę wyniosłem na strych. Najdłuższy istniejący mebel w naszym domu... Likwidacja? Nie. To zaciera- nie śladów. Aby stwierdzić brak dowodów na istnienie przeszłości. Potrzebuję dy- wanu, szklanki, miski jako dowodu i pasa transmisji do przenoszenia się w czasie. Tak mam. Iwona ma inną koncepcję ciągłości. Jest arystokratycznie jednorazowa. To przekazywanie ją przeraża, przerasta. Ma rację, jestem wariatem. Nie ma we mnie ciekawości innych... Udaję, że jest. Jestem oszustem z dobrym sercem. Nie szukam prawdy?

Iwona: „Biegnij szybciej, Biegnij szybciej. Wiesz, jak trudno się żyje z takim człowiekiem? Gdzie ty jesteś?”.

Platon i Arystoteles. Dwie koncepcje związku pomiędzy ciałem i duszą. Iwona siedzi z kawą w szklance w łóżku i mówi: „To nie jest takie proste. Wychodzi na to, że wszystko się przenika...”. Leje deszcz. Olga śpi.

Kubrick. Czytam tekst na wystawie. Odys Kubricka ma cel. Poznanie reguł rzą- dzących światem. Doświadczenie intuicyjne świata.

Rowerzyści Mieczysława Wejmana obleczeni w wartość dodaną – ważność.

Ukradli mi mój rower z naklejką imienną – tygrysem, od Helenki, z kamieniec- kiego rynku. Jego dziadowski minimalizm był mi bliski. I. mówi, że wzięli na złom. Maluję rowerzystkę. Nie dlatego. Zapatrzyłem się na Alejach. Stała na pasach. Ładny układ ud. Czytam. Bieńczyk pisze w swojej *Melancholii* o lustrze i wyborze. O tożsamości.

Czekam. Iwona wraca z Warszawy. Imieniny. Pijemy tokaj. Piwonie jej ulubione.

Iwona bliźniutko... Trzeba mi tego. Miłość wjeżdża na Białym Koniu.

Mariusz Wilk. Czytam tam, 24 strona: „Stranniki / bieguni głosili, że jedynym sposobem zbawienia jest wieczna włóczęga. Przed śmiercią uchodzili w głębokie ostępy, żeby nikt nie odnalazł ich zwłok”.

Jestem skrytnikiem. Gdzie doszedłem do rozumu, a gdzie od rozumu odszedłem. Wieczny turysta.

Dzieciństwo. Helenki opowiadane i Olgi czytane. Bajki o pomidorze. Był moim alter ego. Helenka zasypiała, schodziliśmy w Łapszanki i Rzepiska. Krainę szmaciaków i srańków, i szulerzy, motowideł. Macałem po śladach. Czytałem historie świata. Życie jako modlitwa, jako samo sacrum. Jednak. Modlitwa Helenki, nim nie przestała. Polszczyzna jako doświadczenie odzwierciedlone w języku.

Mariusz Wilk: „Moim zamiarem było stworzyć im świat. Język jest duchem rzeczy, a słowo duszą rzeczy”.

Stary list do AW. „Tak boję się napisać, rozumiesz to, co myślę, najprościej. Żeby miało jedno znaczenie, takie, jak bym chciał. Chcę, żeby mój język był jak najprostszy. Żeby te nasze rozmowy były zrozumiałe. Brak mi czasem słów. A czasem za dużo, a potem myślę, że może nie zrozumiesz tak, jak chciałem, i widzę, że czasem wymyka się to najważniejsze, będę pisał najprościej. Tak jak maluję. Żeby te moje listy były proste i zrozumiałe. Chyba jest coś takiego, że każdy człowiek ma swój język”.

Dla kogo, dla córek? Nie wiem. Nie. Tak. Nie chcę się łudzić. Kto będzie zajmował się moimi sprawami, jeśli sam ich nie załatwię, jeśli nie ja. Obraz jako narzędzie duchowe. Obraz – droga. Praktyka duchowa. Modlitwa. Zapis ruchu ciała. Kierunki zachód i wschód. Cel i droga. Wschód – bliski, nobilitujący, zachód – zimny. A czemu nie północ – południe?

Za oknem żar. Deszcz meteorytów będzie w nocy. Wieść od H.

Tyniec. I że cię nie opuszczę. Ślub Kasi Bruzdy. Myślę.

Żadne obrazy nie zastąpią ludzi ani najmądrzejsze teksty, jeśli nie będziesz miał komu ich przeczytać. Wolność i godność w tekście o górach. Chodzi o wolność i godność. Wszystko. Dom z obrazów służy mi do ukrycia – kryjówka do znikania. Dom czapka niewidka.

Wilno. Litewski Viatoris to Žygūnas, Klajūnas. Czeka Sofia Pirorumienie. Miła. Wytworna kolacja. Zamawiam litewskie kolduny.

Stopy gadających Litwinek. W różnych konfiguracjach ich palce. Patrzę z zachwytem. Falują palce. Dotknąć. Ruch, doskonałość...

Wilno, mgła, szóste piętro. To istotne. Telefon do Iwonki. Uspokojenie.

Ostra Brama. Stoję. Przeżywam. Jestem. Wychodzę na górę po schodach, jak zaczynają śpiewać. Po polsku. Staruszki głosami przedwojennych aktorek śpiewają zalotnie i młodo. Hymn.

W moim spożywczym mówię po polsku. Wypytyuję o nalewki... Ta z bykiem dobra... Tyle i tyle gradusów. Będę tu chodził. A tam po czarny chleb. Też bywam sporadycznie malarzem.

Sokratesa zabił, spadł mu na głowę, żółw rzucony przez ptaka... Ptak zobaczył gładki kamień, o który można rozbić żółwią skorupę.

Bar na Zarzeczu. Dziękuję za inne ciemne piwo. Ryby w kące. Akwarium z welonką. Jestem bojownikiem, jeśli jesteś welonką, ogryzę ci płetwy. Alternatywa żadna. Już mam chleb swój i uciańskie piwo, i kiełbasę. I co, może powiesz, że nie jesteś Zeligiem? Sam chciałeś. Nic straconego. Po co teraz o tym myślę? Siedzę na Zarzeczu. Het daleko i powinienem o niczym nie myśleć. Oswajanie. Jedynie swój albo śmierć... Liczę, ile mogę wydać... Kowieńska szlachta. Odnajdowanie rytuału. Chleb jabłkowy ze śliwkami, z orzechami, próbuję. Konstanty M-icz: „Mój dziad był białogwardzistą. Piję. Za Rzeczy-pospolitą... Rzeczy-po-spowitą”. Patrzy znacząco.

Spotkanie. Richards Bartkiewicz – jak mój brat. Ryszard Bartkiewicz.

Profesor Józef Szostakowski oprowadza: „26 kwietnia 1836. Zagrmiało... Zajrzyj, Julek, do pokoju... Julek, pójdz do salonu, do ojca, okno otwarte! Ojczym August Bécu ma twarz przykrytą chusteczką. Julek po chwili wraca. Ojczym nie żyje. Targa się. Okno otwarte, w chustce wypalony otwór. Przykładają pijawki, zakopują na podwórku do ziemi... Tu mieszkali Słowaccy, a tutaj siedł do swojej Ludwiki. Przyszedłem do niej po południu, siedziała z innymi... Nie zobaczymy się może nigdy. Julek zakochany. Ona córka Śniadeckiego. Ona durnowata. To ona wolała Rimskiego Korsakowa, jechała po jego głowę, a dostała uszy. Niech mnie nie nazywa panem Ludka

Śniadecka. Nie pracowała, ale była zmęczona... Nie jest to kicz, to tańczące rokoko. Szalony barok. Serce Józefa Piłsudskiego zamurowane tu było, kasetka w kasetce. Dali do matki, robili remont, znaleźli drewnianą kasetkę, a w niej zasuszone bzy. Gadu, gadu, a dziad gruszki trzęsie...”, kończy opowieść. Patrzę na bławatki powiązane w małe bukieciki. Żegnamy się.

Za dziesięć litów kupuję plastikowe okrągłe pudełko i piętnaście starych kul. Spotkanie. Augustas Savickas, malarz (1919-2012). Ani mędrzec, ani starzec, ani dziecko, ani wariat. Wszystko po trochu. Bliski. Rektor nim zachwycony. Zrobił z nim cztery godziny wywiadu. Ostatni obraz. Selintis? Siedzący Chłopek. Król Żydowski. Chrystus. Wracam do obrazu. Bliski w mazaniu bohoma jak mówi Wiesiek O.

Rektor profesor Algirdas Gaižutis mówi mi: „Walcz, a będziesz żył”. Zapisuję na serwetce. Przełamać się i podejść do stojącego w tłumie, powiedzieć. Mam pewność, że to trzynaście lat temu. W dniu zesłania Ducha Świętego to ty ulatywałeś w swoim ognistym kazaniu, Algisie Bajskunasie. Tak improwizował Mickiewicz. Ten ksiądz sprzed czterech lat. Stoi na ulicy w tłumie, ludzie się garną. Zastanawiam się, decyduję, podchodzę. Kładzie mi dwie ręce na głowie i się modli. Poświęcił mi mózg i krzyż. „Bóg zapłać za twoją wiarę, Pioter. Przyjechałem, jestem proboszczem siedemdziesiąt kilometrów stąd”. Klękają przed nim na ulicy.

Kugel to babka ziemniaczana z uszami świni. Popijam švyturysem.

7 czerwca. Antokol. Wysyp panien młodych. Dianie Sieprawskiej chce się płakać. Kupuję Ruszczycowe palmy wielkanocne z Krawczyńców pod Wilnem. Idziemy... Kibiny obok Giedymina. Kupuję. Te są wstrętne. Kruszę gołębiom w parku.

Zielona cerkiew, radosny tłum. Stoję w zachwycie, tłum się krzą. – Za dobry był – mówi Agata. – Litwin on, przenieśli go do parafii litewskiej. Jak jadę do Wilna, to zawsze mam ze sobą w woreczku chleb świętej Agaty. Siedzimy na ławce. Wyciąga okruszki z folii. – Ja wierzę, że kto z Bogiem rozmawia, tego Pan Bóg słucha... Tak było, jest i będzie. – Patrzy na mnie. – Przynieść panu chleb świętej Agaty? Przyniosę.

Przychodzi za chwilę, daje mi kopułkę prosfory.

– Pani ma na imię Agata?

– Tak. Agata. Jak rodzice umarli, wyszłam za męża i wyjechałam z Białegostoku do Wilna. Nie udało mi się małżeństwo. Jestem Polką.

Ogarnął mnie lęk ogromny. Przed śmiercią. Jestem strachem Amelii. Strachem swojego psa. Lęk metafizyczny. Autobus podjechał. Strach uciekł. Ulga. Autobus Vilnius-Warszawa Zachodnia przez Kowno. Wyjazd 8 czerwca 2014, godzina 22.15, numer miejsca 13. Wyzwolenie.

Kowno. Patrzę na horyzont. Słońce zachodzi. Nie notuję, jestem nieprecyzyjny. Droga prosta. Jaką górą emocji wypełnił człowiek, mężczyzna, kobieta te przestrzenie? I tę między Wilnem a Kownem, i tę między Kownem i Warszawą, i wszystkie inne też. Wypełnia i znika. Ulega fizycznej destrukcji. A duch? A duch pozostaje.

Kowno. Coca-cola. Pakelivi. Kowno Inymar, Kowno Dionc, Kowno Tiche, Kowno Stumber. Kowno dziura w drodze. Kowno nocnych kałuż. Pasów drogowych, oświetlonych taksówek. Kowno 22.30. Kowno 22.56. Noc. Jedziemy. Tunel nocy. Viatoris. Kłajūnas. Papież pielgrzym. Tak. Mgły na polach. Lasy kul. Wjechałem w Polskę. Po drodze do Kowna była jakaś symboliczna, po trzynastu latach. I Agata z prosforą. Pięćdziesiąt litów wsunął jej mój ksiądz... Widzę jej przejętą twarz.

Misterium narodzenia. Dnia 10 czerwca 2014 wjechałem do Warszawy. Widzę miejsce pracy Helenki z mostu i Wisłę.

Człowiek tworzy się w kryzysie. Czekam zatem, aż dzieło przyjdzie do mnie. Ładne. Od kogo?

Elena Leletko. Coach. Urodzona w Abchazji, dzieciństwo w Gruzji, potem w Samarze. Matka Rosjanka, ojciec Białorusin. Losuję z jej kart kartę strusia chowającego głowę w piasek. Adekwatne. Co w tym widzę? Precyzję.

23 czerwca. Małgosia Bazylewicz zrobiła mi skrzydła modraszka. Modraszek Piotr Jargusz. Siedzę na tratwie, siedzę na cegle z Mateuszem i Martą Salą pod pomnikiem Zyblikiewicza.

Marta: – To znaczy, że jestem wolna?

Tak. Czuję się dobrze. Patrzę na kretyńskie rajtki Marty Sali, patrzę na leżące na trawie Mateusza. Zeszły ze mnie złe emocje. Wśród tych modraszków czuję się u siebie. W domu. Wierzę w nich. Spotkanie. Jestem Modraszkiem.

Studentka daje mi swoje skrzydła: – Pan jest ważniejszy.

Idę z tymi skrzydłami po korytarzu Urzędu Miasta.

C. z tortem, którego nikt nie chce.

Godzinę wcześniej w gabinecie Zofii Gołubiew podpisujemy umowę partnerską z Muzeum Narodowym, jestem jej koordynatorem. Dlatego idę po schodach skrzydlaty.

Ola Bruchnalska z córką. Córka pcha wózek. Taka wielka czułość była pomiędzy nami. Czas. Patrzyłem, siedząc u niej pod księciem Józefem Poniatowskim i zegarem, na wielkie liście i grzbiety książek. Było mi dobrze.

Czytam dziennik Stachury. Kończy się telegramem o jego śmierci. Czytam na stojaka dziennik Marka Hłaski – to samo

Oleńce kupuję poduszki. Piszę Miho Iwata. Przysyła foty. Nasze modraszki. Papierowe, turkusowe skrzydła. Siedzę w Bunkrze z Kingą Łapot, co dalej zrobić z edukacją... Wiem. Mądra.

Rycerz na kolanach to jedno z moich ulubionych przedstawień. Mam rysunek rycerza z kościanej okładziny rękojeści szabli. Piękny. Znaleźli w Kamieńcu Podolskim. Mogę udostępnić.

Iwonka z Olgą lecą do Rzymu. Jedziemy na lotnisko taksówką. Macham. Dziewczyny odmachują. Wracam autobusem. Bajka stoi pod sklepem. Helenka w sklepie... Obolały, dochodzę. Patrzę w niebo, czy nie leci samolot. Siedzimy przy śniadaniu. Potem na Kazimierz. Siedzimy w pracowni. Obrzydowski spotkany chce nas malować. Bajka pije z Wisły, jak smok. My siedzimy z cydrem i plastikowymi kubkami. Pojechali, było miło.

Deszcz. Siedzę w Alchemii, potem w pracowni. Budzę się o 3.00 w nocy w pracowni. Idę przez puste miasto. Najdalej i najintensywniej wędruję, nie ruszając się

z pokoju. Właściwie nie zatrzymuję się. Krążę jak elektron. Tylko że elektron nie odczuwa strachu. Ćma pod lampą. Też. Wiedza, która mnie spali? Ja – ćma. Zaczęłem dawno, byłem już w przeszłości złoczyńcą i świętym, piratem i pastuchem. Byłem sprawcą i nikim. Cudownym kochankiem i... Imaginacja wobec której moje realne życie jest tylko zaproszeniem do mało ciekawej wycieczki. Nie wycieczki, raczej wypadu na wieś. Wysiąść, przejść w lewo, w prawo i wrócić. Nic ciekawego.

Rzeczy. Kły i pazury. Nie rzeczy. Czytniki. Tyle i tyle razy chwytam trzonek noża, żeby ukroić chleb. Tyle razy z rozmysłem biorę ten, a nie ten uchwyt do szklanek. Zdobycze z kamienieckiego rynku. Tyle razy smycz Amelii z Talicy... Komu to dziedzictwo głasków przekazać? A tyle razy granatowe, ordynarne klapki z targu...

Zostawiam wtedy ślad. Wędrówki oczu, szlak huculski, szlak wiejski, szlak sarmacki, szlak arabski, szlak krakowski, szlak ukraiński, litewski, białoruski, szlak rumuński... A tak w ogóle zwykły bez tych geograficznych nazw. Bagaż. Ślad. Obraz. Proces. Uboczna działalność, produkcja nadekspresji.

Elena Leletko. Czarownica. Coach. Wolszebnik. „Czekasz aż dzieło przyjdzie do ciebie? O czym marzysz? Dlaczego walczysz? Po co? Zostawiam ci te pytania”.

Dzwonię do dziewczyn. Spalone, będą dzisiaj szły na prawdziwą pizzę do Noemi i jej mamy...

5 lipca. Ćma na Gołębiej kręci się w kółko. Dobić? Nie. Nie dałem życia, nie będę zabierał. Idę. Przysiadam na dziedzińcu Collegium Maius. Spokój. Wyniki Olgi o piętnastej. Witkowski czy Nowodworski i czterysta trzydzieści pięć lat. Ostatecznie...

Kolacja u... Kupuję 999. Chwila zastanowienia. Wytrawną czy słodką? Słodką.

Cecylia Malik opowiada: „Mam szafę, a w szafie zarąbiste spódnice, trzy cygańskie. Na Grzegórkach chodzi Cyganka. Żółta spódnica w fioletowe kwiaty. Podchodzę, macam, pytam ile. Ona na mnie patrzy. Dwieście pięćdziesiąt. Mówię sto pięćdziesiąt. Ona dwieście pięćdziesiąt. Ja dwieście. Dobrze, bierz. Idę do bankomatu. Spódnica twoja. Idzie, ściąga, wkładam. Robię dziurę nożem, spada, więc przewiążuję. Mam. Ubrałam. Ło!... Skąd pani to ma? Jak było na Cygance, nikt nie zauważył. Oooooo”.

Mateusz Okoński: „To kupiłem za dwa złote. Dwór wuja Łomnickiego nad jeziorem. Jeździłem tam na wakacje. Puszczaliśmy na jezioro czaszki. Wuj rekonstruował Lednicę. Ostrów. Szafa osobliwości. W centrum czaszka 14-latki. Niżej żuchwa z mężczyzny. Leżała w kinder niespodziankach. Ikona. Przywiozłem z Mińska. Na targu sprzedawali z samochodów. To było za pierwszym razem...”.

O kuratorach. O portfolio, dla każdego inne. Malik obraz piórka kupił za pięć złotych. Obraz z serduszkim z tyłu. Na ślubny prezent. Biorę dwadzieścia złotych i idę. Za to dałem, a to przyjemności dworu Antoniego Raczyńskiego.

Kolekcjonerzy, jesteście walnięci.

Zostaliśmy sami. Marta Sala wyszła, Cecylia pojechała na rowerze do domu. Wypijamy z czeskiej karafki aroniówkę.

Zamawiam taksówkę. Jest 3.30.

Katarzyna Sokołowska z Wilna. Umawiamy wystawę w przyszłym roku w maju u niej w miasteczku. Ejszyszkach na Litwie. Jacek Pasieczny, Marek Batorski, ja. Maj 2015. Kupiłem drewnianą szablę u baby pod halą, pod wiaduktem, za dziesięć złotych. Klinga, pochwa wszystko z drewna, pomalowane srebrzanką. Genialna. Postawiłem w rogu pracowni.

6 lipca. Tęsknię za Iwoną. Jest w niej świetlistość. Nie zdołałem jej zgasić. Jedna z najpiękniejszych i najwdzięczniejszych kobiet, jakie miałem szczęście spotkać w życiu. Daj Boże dożyć razem końca. Pomimo wszystko do niej mi jest najbliżej. I jedynie ona, Olga i Helena są dla mnie tymi, na których mogę liczyć. Wszyscy inni w momencie próby pójda sobie w swoje życia i swoje ważności.

7 lipca. Zapisalem Oleńkę do Nowodworskiego. Siedzę naprzeciw dwóch nauczycielek. Jedna miła, druga nawet się nie stara. Siedzę i kaligrafuję w formularzu ucznia.

H. dzwoni, noc, przespałem popołudnie.

Czarne zbocza srebrnej góry, linie chmur i kłębowisko – dzieło grafika. Wieżyczki klasztoru w Tyńcu. Niewidoczni ludzie konno. Kupuję... Akurat dzwoni He-

lenka. W wiejskim sklepie jabłkowo-miętowy ulipek, pischingera, kukułki, śledzia w śmietanie i bułkę. Rozłożyłem na trawie koc, wyjąłem jabłkowo-miętowy ulipek, pischingera, kukułki... Jakoś nie smakowało. Dwie kukułki zostawiłem dla Iwonki i Olgi. Spakowałem.

8 lipca 2014, godzina 12.21. Już leczę. Pomodliłem się, kupiłem chleb, kwiaty, maliny, truskawki, napisałem Oli na Facebooku: „Czekam na Ciebie i Mamę”.

Viatoris moim milczącym przyjaciółom. Dla nich jedyna, istotna forma sztuki, która się nie zestarzeje. Tak. Moim nieznanyim przyjaciółom. Doszedłem do Maćka Beiersdorfa. Przyjacieli. Staruszek już z niego Tak. Naciągnięta skóra na czaszce... Samotny. Może my wszyscy samotni.

Pisanie o sztuce. Obce. Wolę dać szansę temu, co kryje się między słowami. Czai się w przecuciach. W migotaniu przedsionków. Uśmierciłbym bycie. Znaleźć swój drugi głos. Wsłuchać się w las. To już Julia Doszna.

U Dominikanów podobne do siebie figury braci, tylko poucinane głowy. Indianie i morze turkusowe z potworami cieszą mnie od lat. Teraz pod tymi obrazami dodali światło.

Reflektorki. Z dawnego świetnego Krakowa nie zostanie kamień na kamieniu. Turystom tylko będzie się podobać. Odnowienie. A w Wilnie, kiedy prosiłem o zapalenie światła w cerkwi, kobieta powiedziała kategorycznie: nie. Jedynym światłem jest światło od ołtarza w czasie ofiary.

Dawno temu wywlokłem swoje wielkie obrazy i oparłem o drzewa w parku Krakowskim. Zatrzymuje się mężczyzna: „Jak pan jest malarzem, to niech mi pan namaluje, co dalej z Polską będzie”.

1993. Z Batorskim rozkładamy w parku Krakowskim moje wielkie obrazy, by je pokazać M. Hussakowskiej. Nie wiedzieli, co ze mną zrobić. Dziwny. Swój. niesprzedażny i nietowarzystki. Zamknięty i hermetyczny.

Patrzę na przegrany VHS. Taki byłem dwadzieścia pięć lat temu. Chudy. Długowłosy. Bezbronny. Znowu zakochany. Tak. Wiem, Olga wie, że jest do mnie podobna. Boi się tego. Olśnienie. Przyszło mi do głowy.

Mój ładny, ciepły, uważny Bohumil Hrabal. Lubię go za rytm. „Cyganka łamała chleb tak jakoś, jakby przyjmowała świętą Eucharystię, łamała, a następnie zbierała okruszki ze spódnicy i wrzucała je sakralnie w ogień. A potem leżeliśmy na plecach i patrzyliśmy w sufit, na którym poruszała się mora przytłumionych cieni półświatła (...) patrzyłem na nagą Cygankę, jak leży i patrzy na mnie, jej oczy świeciły białkami, widzieliśmy się znacznie lepiej, niż w ostrym świetle, ja w ogóle kochałem zmrok, to była jedyna chwila, kiedy miałem wrażenie, że może się stać coś wielkiego”. *Zbyt głośna samotność.*

20 lipca 2014. Olga jest już w Wałbrzychu, u Basi Kucharskiej. Wyszły po nią do autobusu, o 6.00 rano, Basia i Kinga.

Jedziemy z Iwoną. Imbramowice – kościół, Michałowice – dwór Wilków – siedemnastowieczna kaplica. Głuczyce, Goszcza, Goszyce Zawiszów, Kernów i Turowiczów. Mogiły kosynierów – Racławice. Niedaleko Górka Jaklińska – Nowakowskich. Górka Stogniowska – siedemnastowieczna kaplica dworska, obok był dwór Sklenarskich. Jedziemy. Całe lata tak wędrowaliśmy po Polsce razem. Uczyliśmy się jej. Krojanty – szarża, Bzura – bitwa, Czarnolas – dwór, Puławy – pałac, Gałki Krzczonowskie.

„Tu poznałam panią, która prała i szyła dla majora Hubała. Spała razem z jego Tereską, jego łączniczką”, mówiła Olga.

„Czy jesteśmy tego świadomi, czy nie, niczego bardziej się nie wstydzimy, aniżeli tego, że nie jesteśmy sobą; nic nie daje nam szczęścia i większego powodu do dumy, niż myśleć i mówić to, co od nas samych pochodzi”. Erich Fromm, *Ucieczka od wolności*.

I dalej: „Człowiek współczesny żyje w złudzeniu, że wie, czego chce, gdy w istocie chce jedynie tego, czego się od niego wymaga”.

Tak siedzę i słucham. Malwina Jachimczak, Anna Lebensztejn, Roman Lewandowski, Dorota Jędruch, Krzysztof Siatka, Ewa Tatar. Zachwył.

Wojna. 23 lipca 2014. Ługańsk z moim Konstantym Szewerdimem w ogniu. Co mój przyjaciel od rozwoju duchowego i grafik delikatnych teraz robi? Niech go Pan Bóg strzeże. Napiszę do niego.

Ja dałem sobie czas. Nie chciałem formatować zdarzenia. Pisać eseju o tym, o czym wiem. Wołałem czekać, dać szansę działaniu. Nauczyć się czegoś z tego, co się zdarzy. Być, nie wymądrzać się.

- O czym chcesz, żebym ci napisał w tych esejach?
- Sam musisz zdecydować o czym...
- To ma być na wesoło czy na smutno?
- O, eseje są bardzo wesołe.

- Jak umrę, ile za mnie dostaniesz?
- Sto piętnaście tysięcy. Pójdzie na mieszkanie.
- To zostanie tylko trzysta.
- Jakie trzysta, a odsetki?
- Musimy żyć długo i co gorsza szczęśliwie...
- Spodobało ci się?
- Tak.

- Myślałem, że uda mi się nie być artystą.
- No nie. Nie udało ci się.
- Klej, trochę czułości.
- Co napisałaś?
- Napisałam co potrzebne dla domu.
- Kocham cię.

List od Konstantego: „Dzień dobry, Panie Piotrze. Jestem bardzo zadowolony, słyszeć ciebie. Dziękuję za empatię, uwagi i wsparcia. My w Ługańsku i innych miastach, sytuacja jest bardzo niebezpieczna. Miasto w łupinach z moździerzy, są ofiary wśród ludności cywilnej i wiele zniszczenia domów i instytucji, i to jest straszne... Pan Piotr, chcę ci powiedzieć, że Internet oraz w innych mediach nie jest bardzo dokładne, splątane i czasami fałszywe, i spekulacyjny, prowokacyjny informacji. I niestety dotyczy to wszystkich aspektów... Noc, nie było od 3 do 5 okresów w latach z 02,00 do 05,00 godziny + - nieraz słyszeli salwy.

Tak, nie mogę powiedzieć, kto, co jednostki strzelające w odpowiedzi na mieście, to może być każdy, wywrotowe grupy w celu destabilizacji sytuacji, co chaos i panikę wśród ludności cywilnej w mieście, jak również może to być prawo jednostki sektora struktura zawiera do kilkunastu reakcyjnych, radykalnych nacjonalistycz-

nych organizacji, najemnicy – bojowników paramilitarnych prywatnych armii, które według oficjalnych raportów interakcji i stoiska z Armii Ukrainy, to może bojownicy Gwardii Narodowej Ukrainy.

Piotrze, przepraszam za to, że rozprasza cię od ich spraw.

Jeszcze raz chciałbym podziękować Tobie i Twojej rodzinie. Daj Boże, że Ukraina i dalej pozostał jeden kraj. Daj Boże, że ludzie z różnych regionów Ukrainy widział siebie jako przyjaciół, a nie wrogów. Daj Boże, że nadal wszyscy mieli możliwości integracji, współpracy i wymiany w skali europejskiej i międzynarodowej. Niech Bóg da Tobie i Twojej rodzinie ochronę, pomoc i ochronę Pana Boga. Mam również nadzieję, że Bóg da Ci i do zobaczenia w Krakowie, a następnie w Ługańsku”.

13 sierpnia. Odnalazłem moją Łapszankę sprzed trzydziestu lat. Koryta, poidła dla krów z wodą, kapliczkę z Częstochowską, z której dzwoniąc, odpędzano burzę. Więcej jej dawnej, góralskiej z tamtych czasów zostało w Osturni, Wielkiej Frankowej i Małej Frankowej. Siedzę u Antoniego Sołtysa, Łapszanka 10.

Nie ma już Ireny Jasieniak ani Antoniego, zagrody Gielatów nad potokiem. Diabeł wymyślił asfalt, nie kurzy się spod butów, nie chlupią kałuże rozjeżdżane przez wozy z sianem, zniknęły konie i krowy pędzone na pole. To wtedy zaczęło się szalone zbieractwo, którego większa część została подарowana Muzeum Etnograficznemu w Warszawie. Zbieractwo było tęsknotą, by poznać korzenie, rodowód swojej kultury, zachować pamięć, którą się manipuluje. Wędrówka do źródeł. Do kaligrafii uczonej się macaniem rękami po tych zbieranych po Łapszance, Jurgowie i Pawlikach srąbków, motowideł, hospeli. Forma ich chropawa i brutalna, ale pierwszej powabności. Tamten świat minął. Rzeka pod górą zmieniła koryto.

Stan posiadania: obrazy na słupach i muzeum po ludziach. Rozdawnictwo obrazów. „Rozdajesz obrazy jak balony”, mówi Iwona. Rozdaję. Co nie przykleję, to rozdaję. Wierzę w świat ofiarowany. Co mi z tych stosów zalegających po kątach.

Siedzę z Mirosławem Barćkiem w Osturni. Patrzymy na jego pszczoły. Mają już swoją jesień.

– Mogę tak godzinami patrzeć. Cała wiedza w skrzydłach. Legnę sobie i patrzę.

Mówi o królowej, trutniach i robotnicach, rojach... O niedźwiedziu, który chodził do jego uli, jak do stołówki, sarnach leżących pod domkiem, bobrach, gangsterze, jego trzech żonach, sześciu kobietach, dziesięciorgu dzieciach i jedynym synu, i samolocie, którym lata na polowania do Afryki. Siedzę na ławce. Słucham. Przymierzam się. Pasuję tu czy nie?

I moja opowieść. Obraz. Ofiara. Z obrazu. Czemu nie. Sztuka, która jest aż tak krótka i czasowa. Efemeryczna. Tak. Czemu nie. Wierzę w byty duchowe. W doświadczenie nie zawsze materialne. W transfuzję doświadczenia obrazu, w działanie. W zdolność obrazu do przenoszenia do stwarzania światów. Macham te swoje zaklęcia. Może po coś, może po nic. Mój wybór malarza obraźnika.

Więcej piszę o Iwonie, Oldze, Helence, przyjaciółkach, a za mało o obrazach. Ale obrazy się maluje, a nie o nich pisze. Umiesz malować portrety?

Znaleziska. Otworzyła się szerzej brama intuicji i tęsknoty za ciągłością opowieści. Potrzeba ciągu dalszego Opowieści. Odnalazłem przeczuwane dziedzictwo, odnalazłem się w doświadczeniu wspólnoty. W generowanie przestrzeni twórczych nie tylko w wymiarze artysta – artysta, ale razem. Animacja kultury, arteterapia, projekty prospołeczne. Aktywiści miejscy i ekolodzy. Nowe rozdanie, nowe akcenty pomiędzy obszarami.

Sens muralu na przychodni zdrowia, który malowaliśmy z Jackiem Pasiecznym i studentami. Mój projekt Szczęśliwe Miasto. Sztuka i edukacja w procesie rewitalizacji relacji społecznych. Krowoderska Szkoła Działań jest pytaniem malarza o jego rolę społeczną. O uczestnictwo we wspólnym doświadczeniu. Znalazłem podobnie palących się.

Z całym przekonaniem uczestniczyłem w Chciwości Miasta. W wystawach na klatkach schodowych i wierzyłem w sens siedzenia z mieszkańcami pod blokami w proteście przeciwko zabudowywaniu Zakrzówka, wdziękając skrzydła modraszka i niosąc chorągiew. Hej, wycięli nam drzewa. Odnajduję ważne role, zadania.

A obrazy na słupach. Klejone od lat, nie są podpisywane. Obraz przy Galerii Kazimierz jest dla mnie zapisem wystarczającym. Rzecz nie jest w nowości, bo nowości się starzeją, ale w ważnościach, bo te się nie starzeją. Malowanie obrazów to bardzo niebezpieczna sprawa. Kiedy malarz prawdziwie maluje, jest bliski niebezpiecznego zawadzania o własne pokłady niepokoju. Maluję, żeby żyć. A reszta to tajemnica.

8 sierpnia 2014. U Agnieszki Swoczyk pod kapliczką w Łapszance.

Rankiem Osturnia, Jurgów. Piekę kiełbasę na ognisku nad rzeką. Odnajduję siebie. Mięta. Macierzanka. Kamienie do wody... Wolno idzie, wyciągam z torby obrazy, do ognia. Obrazy sine i złe, bo smutne. Z bagażnika... Nabijam kiełbasę. Amelia obok. Podpalam ognisko. Palę kartki z Litwy, po co mi stare, popisane bilety. Czytam z kartki spisaną piosenkę ojca Tereni Markowskiej. Spodobała mi się.

Pit budiem,
guliat budiem

smiert pridiot
umirat budiem.
Smiert przisła
nas doma nie naszła.
Rumu wódki wypila i paszła.

Résumé. Etapy. Warszawa. Moja dla Helenki. Pokazucha. Moc. Opowieść egzysten-
cjalna. Los człowieka. Życiorys. Stary młyn, plaża i Wisła na Pradze. Mapa prywatna. Dru-
gie dzieciństwo mojej córki. Dzień Dziecka w parku Ujazdowskim. Kolejny. Wspomnienie.

Kleję u siebie. Kogo pytać, jak się obrazy podobają? ASP w W.? Osobność. Wisia-
ły na słupach Warexpo o miesiąc dłużej. Podobały się? Może. Skoro wisiały za darmo.

Białowieża. Ważna. Wyszukana. Las. Środowisko naturalne. Naturalne? A Kra-
ków od pięciu, siedmiu pokoleń rodzinny po Matce i od trzech pokoleń po ojcu? Czyż-
by chciejstwo? Ciepło tutaj. Teremiski nie takie rzeczy widziały. Widziały niejedno.
Kleję w spokoju. Po i na domach. Zostawiam. Też ze spokojem. Wartość. Przecież widzę
już, że chodzi mi o kilka ważnych dla mnie wartości. Załatwiam coś ważnego ze sobą.
U pięknych ludzi.

Rosja. Moja Rosja. Tyleż w Polsce kochana, ile nienawidzona. Małe wlepki. Obrazy
na szarym papierze. Hołd Grottgerowi i Malczewskiemu kleję na kontenerze przy taniej
kuchni Caritasu przy Dworcu Centralnym. Pochód skazańców. Straszę stado gawronów.
Ale maluję tam, pod tamtym niebem. Tamtym słońcem. W Rosji. Na dywanie w pokoju,
na parapecie, na stoliku w pociągu. Przyklejam ukradkiem. Tu byłem. Ruskim klejem
z Kleparza na rosyjskich słupach, domach, budkach na targu, wśród ogłoszeń o kredytach.

Kogo pytać, czy się podoba? Łapać targowego sprzedawcę? Podoba się panu? Co
pan myśli? Czy ludzi z przystanku. Kleję szybko, w lęku. Nie mam na karę.

Berlin. Widział za wiele. Sam. Społecznie. Squat. Wtykam na płot. Wszyscy
widzą, bo muszą. Mój hołd dla wspólnoty. Niespołecznie. Kamienie rzece. Wrzucam.
W centrum nieuwagi.

Tam też rozkładałam. Między ulicznymi prestidigitatorami. Kuglarzem, magi-
kiem, grajkiem. Przybył malarz. Przyjedzie policja. Chciałbym? Nie przyjechała. Moje
kamienie w plecaku wrzynają mi się przez całe dni w ramię.

Ukraina. Tu wszystko mogę. Na Ukrainie jestem Ukraińcem. Cerkiew podziem-
na w skale, słupy, dworcowe i targowe płoty, budowa w Podkamieniu. Tam, gdzie ska-
ła. Kleję. Wtykam między modlitewne prośby w skalnej cerkwi w Bakocie.

Litwa. Symboliczna. Zostawiam wetknięte wśród ogłoszeń. Kilka rysuję na pa-
pierce. Wkładam pomiędzy kartki. Noszę z sobą w torbie. Koniec. Pomalowałam.

Obrazy mokną na słupach. Wykłady S. wiszą w Internecie. Publiczność mam
totalną i zróżnicowaną. Ale niemą. Albo dyskretną. Mój ideał. Im więcej słów, tym
bardziej ludzie się nie rozumieją. Maluję, żeby żyć. A teksty piszą się pomimo.

30 sierpnia. Jadę z Serge'em do Maramureszu. Ocna Șugatag. Rumunia.

Radu Târtan jedzie po widły. Mknijemy. Maramuresz. Kobieta i dwóch mężczyzn
układają ogromny stóg siana. Podajemy sobie ręce. Widły moje drewniane, średnio-
wieczne w formie. Radu zadowolony. Dał słowo i dotrzymał.

Jednak z Ukrainą jakoś mi bliżej. Ciepłej. Patrzę, jak Ziła całuje w oba policzki
smutną kelnerkę siedzącą na schodach. Wyższy stopień empatii.

Czwartek. Targ. Dwa kilimy. Jeden z Maramureszu, drugi z Huculszczyzny. Za
pięćdziesiąt i sześćdziesiąt lei. Cyganka, konie, stojący Cygan – w kapeluszu jak z ope-
retki – sprzedaje lejki z ocynkowanej blachy i stare, lniane koszule.

Helenka: „Jesteś w swoim żywiole”.

Dzwonię do Iwonki. „Kocham. Kończę. Jestem w szkole, nic nie słyszę”.

Dębowa chatka Marii Gogea z Valeni. Kupuję starą, piękną chustę.

– A ręczniki?

– Nie sprzedam. Jak umrę, będzie to mój pośmiertny posag dla rodziny do rozdania.

Pijemy palinkę. Andrij Czebykin. Godny. Rektor i prezydent Akademii Sztuki Ukrainy...

Ryk. Sława Ukrainie. Gierojom sława. Budmo. Budmo. Budmo.

Ja tu. A w domu Irena mówi Iwonie: „Żal każdego życia, powinni oddać ziemię Rosji. Tam nie żyją Ukraińcy. W jej okręgu jeden powołuje chłopców do wojska, takich, o których wiadomo, że się nie nadają, i czeka aż rodzina zbierze łapówkę”.

Sobota. Dalej rumuńskie lato. Rozkładam dywany na dzień, na noc chowam pod poduszkę. Ukraińcy pojechali, smutniej. Wrócą wieczorem, weselej. Maluję. Kelnerka Klaudia pojechała na wesele.

Barbarian. Female. Dobrze określenie mężczyzny, barbarzyńca. Z Mukaczewa. Ukraińcy. Ziła, Jura Szelewicki. Adrian opowiada: „Chcieli maszynę mi dać, my тебе dajom i dziw czynu”.

Ukraińcy malują z laptopa. Dunki z wydruków. A ja z oka. Siedzący, ikona Matki Boskiej, Cygan i dziewczyna, dwie kobiety, sprzedawca butów, powidoki z targu. Jutro Calinești. Jestem bogaty.

Targ przybiera. Świnie, konie, bryły soli, uprząże i czerwone chwosty, buty na foliach ustawione rzędami, Cygan z lejkami, Cyganki z papierosami, Cygan z fałszywymi, srebrnymi monetami. Kup, kup... Pod samochodem przysiedli Bułgarzy, Cyganie. Rodzina. Piękna. Drepczę wokół kobiety z dywanami. Omijam trupy myszy. Jastrząb? Kupuję dwa. W róże. Zawróciły mi w głowie. Zostawiam delikatny, mołdawski. Jestem barbarian. Od 7.00 do 12.00. Jestem. Chłonę targowisko na łące. Pod górą.

Rumunia. Tu nam szukać przyjaciół. Nie daleko, za rogiem. Cemu nie pamiętamy wojsk włoskich pod Grunwaldem i pod Malborkiem w służbie Rzeczypospolitej. Lenna Stefana III Wielkiego. Cemu nie pamiętamy trzydziestego dziewiątego roku i gościnnej dla Polaków Rumunii. Dlaczego nie wiemy o sześciuset tysiącach represjonowanych za tutejszej komuny. Cemu ich lekceważymy. Twórców tak wrażliwych i wybitnych. Nie dostrzegając, jak byli w nas czasem zapatrzeni.

Bieda ma piękny kolor. Szary, fioletowy, czerwony. Domki. Kobiety z widłami i grabiami. Żadna nowoczesność nie jest tak magiczna. Zatopiona solna kopalnia. Dwie warstwy wody, a w niej ławice ryb.

W Calinești przy piwie.

Pyta mężczyzna: „Polonaise? My tu szanujemy obcych”, dodaje.

Stara cywilizacja. Dlaczego umiera. Czy my szanujemy obcych? Chcę płacić za dwa swoje rury. Mężczyzna za ładą: „Dom płaci”.

Cyganie z Baia Mare. Tam cała dzielnica niebezpieczna. Żyją, jak chcą. Konie trzymają, świnie zabijają.

Niedziela, 7 września. Wieś za Ocna Șugatag, Calinești. Raj. Człowieczy. Ogródek. Koszyki na ścianie, winorośl rozpięty nad głową, stół z ceratą, wiaderko borowików i kozik. Obraz?

Dom ma sto pięćdziesiąt lat. Obok kościoła z 1725 roku. Ciągłość kultury. Na pewno. To dlaczego człowiek, który pędzi palinkę, którego pytam o drewnianą beczkę, pali w ogniu stare skrzynie, porąbał koryto...

Żar. Jesienny żar. Potok z wiszącym mostem, koguty, zapach nawozu. Sielsko. Siedzę i patrzę. Nabytków siedem.

Godzina 12.00. W barze we wsi sprzedawca zamiata wielką, ryżową miotłą izbę. Młodzi mężczyźni, jeden chłopiec z dużym kubkiem. Barman w dresie. Ja z piwem. Z radia rumuńska muzyka. Mężczyzna wchodzi, na stojąco wypija. Szklaneczka palinki – pięćdziesiąt mililitrów, siedemdziesiąt procent wódki ze śliwek. Popija rumem. Odsuwa się energicznie, podnosi rękę do góry i wychodzi.

Malowidła w kościele przepiękne.

Wielkość Don Radu, że jedziemy po koszyki, widły i grabie. Szybko przez wieś idą cztery dziewczyny. Mijają nas na głazach na swoich niebosiężnych szpilkach. Bar odświętny. Z młodymi. Zaczynam się wstydzić moich kłapek. Koszykarz zawstydzony. Don Radu zły... Wyciąga stare grabie i naprawia zęby... Idziemy dalej. Po domach. Tu, w tej wsi, książę Karol kupił sobie wiejski dom. Radu kłóci się o pięć lejów.

Kupię tę z celtyckim krzyżami. Kolory Maramureszu. Związek kolorów z miejscem i upodobaniem. Ciągłość Domu. Jestem w Obrazie.

Przysiadam przy ogromnej bramie. Staruszek zaprasza do środka. Staruszek w czarnym swetrze na gołe ciało i staruszka w chustce. Siadam w izbie. Drewniane deski podłogi, święty obraz Leonarda da Vinci. *Ostatnia Wieczerza*. Za ramką wetknięte zdjęcie wnuka, dwadzieścia trzy lata, przystojny, w góralskim stroju. Dostaję oponki w foliowej torbie.

– My jeszcze mamy. – Nagle szloch. Pokazują na zdjęcie. – Petru miał dwadzieścia trzy lata. Nie czas, żeby umierać, tam pochowali.

Rzeźbiona stara brama w Calinești. Patrę na datę. 1960.

Przesyt palinki i wina od Radu.

Wsie. Nawet w muzeum się tego nie zobaczy. Takiej formy i koloru. Cofamy się do dawnego świata. Izb ubogich, z deskami, kuchenką polową i świętymi obrazami, z rzędem ręczników, betonowymi podłogami w przedsionku. Ale raj.

Szkoła z Baia Mare. Kolonia kolorystów. János Thorma, Károly Ferenczy, Béla Grünwald, Simon Hollósy, Rumunia, George Mirea, Valér Ferenczy, Constantin Petrescu, Corneliu Baba, Hutira Petru. Patrę.

Palacsinty z bryndzą w willi Rodiki i Radu Târtan. Rzeźby Rodina i Brâncușiego w tle. Idealista. Mecenas.

Co zrobi Europa z wolnością pojedynczego człowieka, z jego prawem, zgodą na niezgodę? Europa – dobrze zarządzane przedsiębiorstwo, a gdzie dusza? Europejski dom. Czy się w nim dobrze czujemy? Czym ważnym go napełnimy? Gdzie jest miejsce na wierzącego w Boga? Ateista i wierzący. Biedny i bogaty. Razem czy osobno. Między wieczną pogonią i wieczną ucieczką. Zaprzątnięci ogromem spraw i nadmiarem przedmiotów. Czy słyszymy siebie samych? Czy potrafimy się cieszyć z życia, patrzeć w gwiazdy, których jutro możemy już nie zobaczyć?

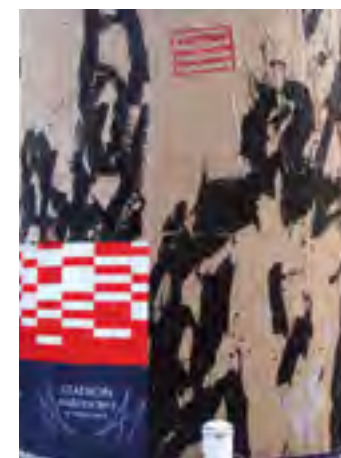
A obrazy, a malowanie? Malowanie wyostrzyło moje widzenie. Ale zabrało część światła. Jakby to, co się zdarzyło i to, co ma się zdarzyć było znacznie ważniejsze od tego, co się dzieje. Opis, precyzyjny widok. Tylko tyle? Warto było?

Tak.



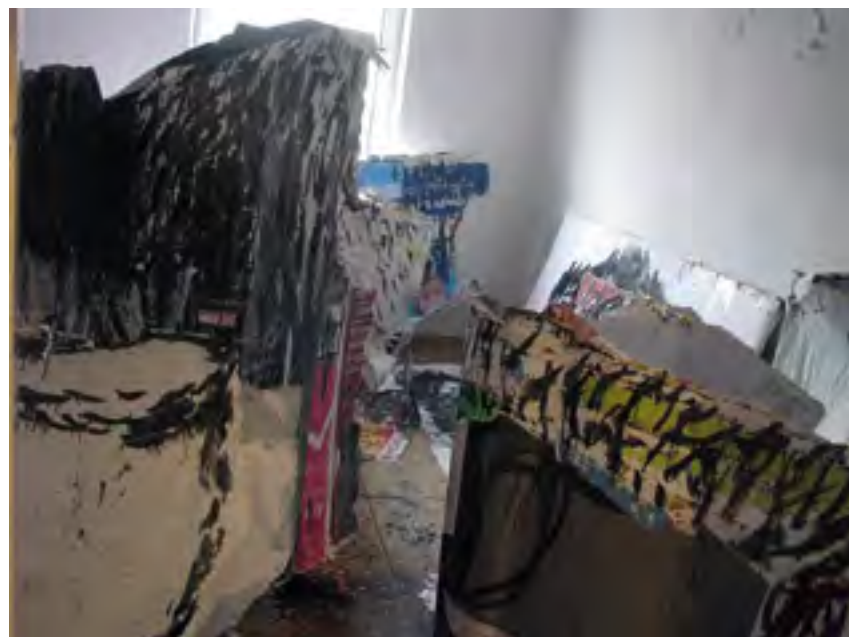
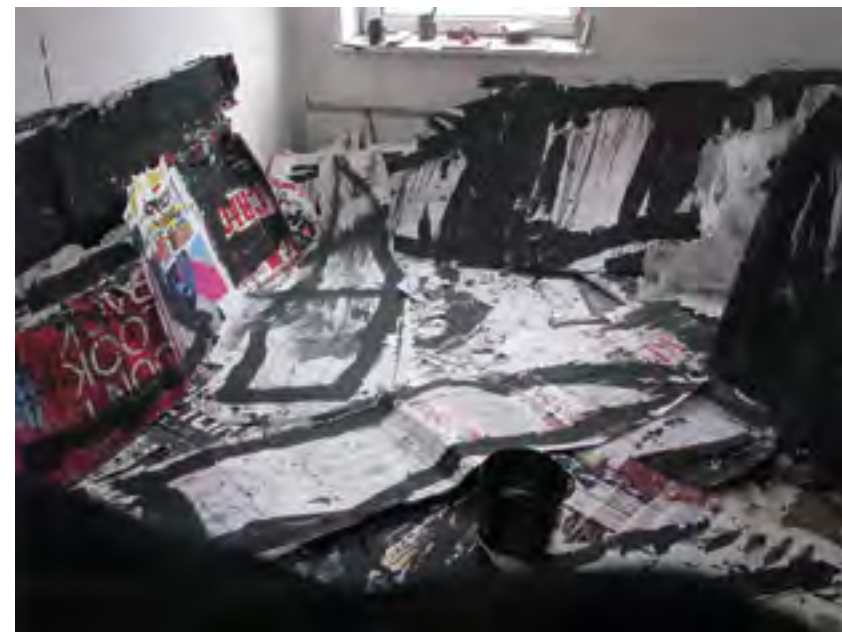






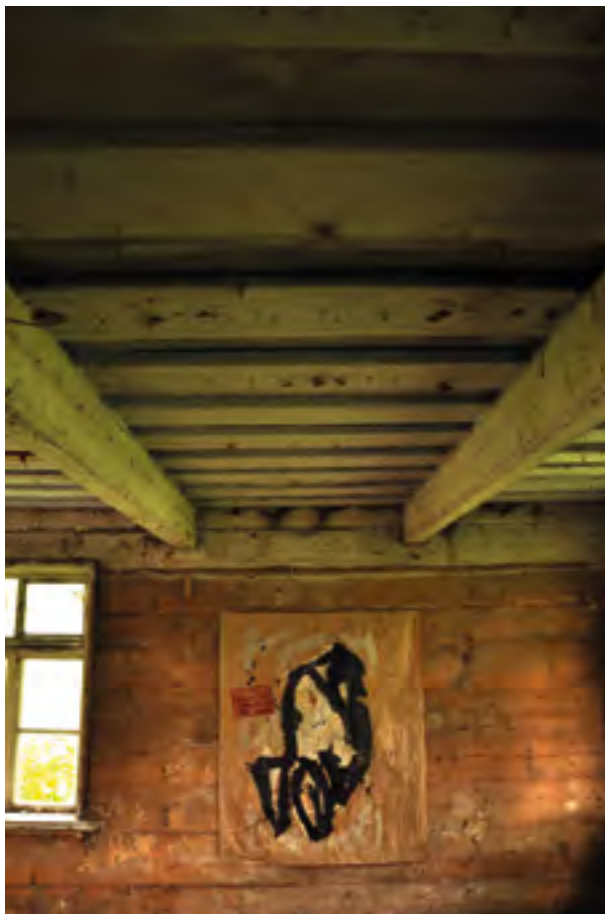


TEREMISKI







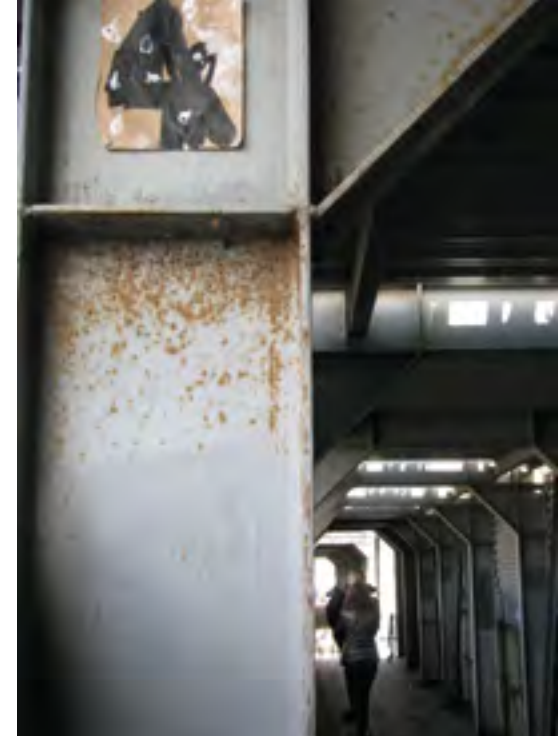






ROSJA



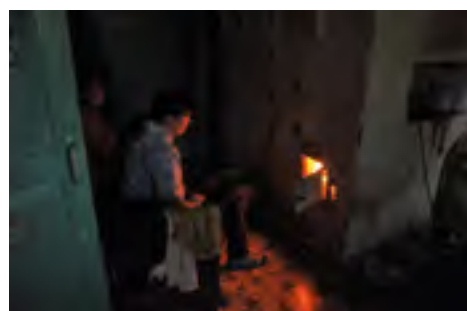










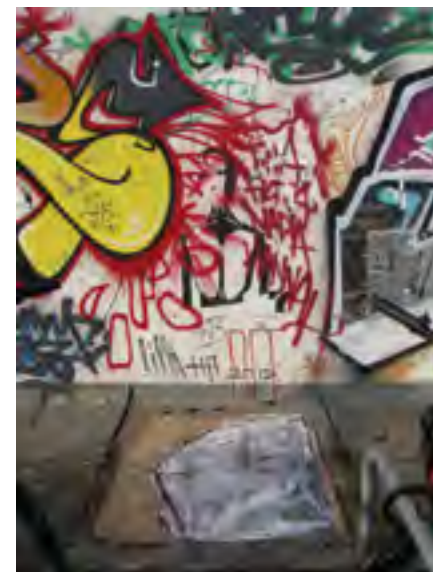




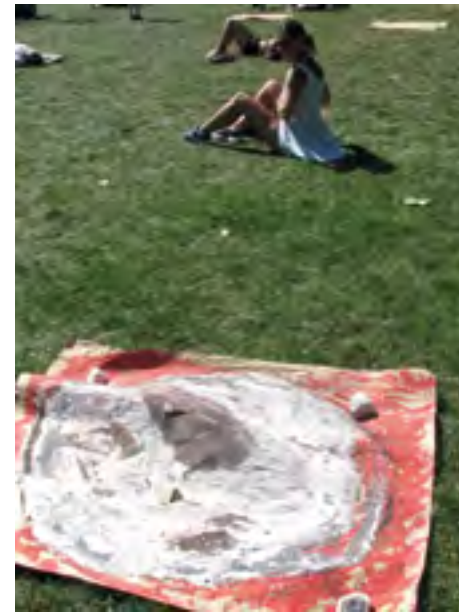
BERLIN















RAFAŁ ŻOLEWSKI



Wola i okiełznanie III

Człowiek, który wstaje XI

Viatoris. Romantyzm w czasach
postmodernizmu XXV

Rosja, Berlin i pamięć przydrożna XXXVII



WOLA I OKIEŁZNIANIE

UŚCISK DŁONI

Pierwsze spotkanie Piotra Jargusza to uścisk dłoni. Mocny, ale nie miażdżący nieprzyjemny. Jednak więcej niż męski. Może samczy i władczy? Zdobywczy? A może raczej rycerski? Szlachecki? Żołnierski? Jednoznacznie silny, ale i dający do myślenia. A może zapowiadający to, co ma się wydarzyć?

Piotr bowiem potrafi jednoznacznie właśnie, zdecydowanie, z impetem wkroczyć w każdą przestrzeń świata, który jest dlań materia doświadczenia. Wkroczyć natarczywie, agresywnie, natrętnie, zaborczo. Pewnie, często i namiętnie. To jego styl i sposób bycia. Szybko, zdecydowanie, często wbrew procedurom. Cechuje go silna osobowość, nieposkromiona wola, absolutnie dążące ego. Szalona zachłanność. Życia, doznań, działania, pracy, sztuki. Tworzy niezliczone obrazy. Organizuje mnóstwo wystaw. Podróżuje. A przy tym troskliwie i intensywnie zajmuje się rodziną i domem. Uczy. Kiedy znajduje na to czas?

WPROWADZENIE

Mieszkanie Piotra to widok na park. To duży, drewniany stół, na którym się je (koniecznie smakowicie), pracuje, pisze, przy którym się czyta i prowadzi rozmowy. Meble, różne, stare, skrzynie, w których się przechowuje, zamykany kabinet, przy którym się pisze. Półki i szafy zastawione książkami. To nie stojące ozdoby, kultywujące swą

rodzimość i historyczność. To meble będące w użyciu, żyjące swymi funkcjami. To piece, w których się pali. Drewniany parkiet nie kryjący swego „wychodzonego” wieku. Widać nawet fragmenty dachowej więźby, która pracuje dla całej kamienicy. Wszystko działa, żyje, jest użyteczne, dostarcza wrażeń, które budują świat wokół i zapisują się w codziennej jaźni i pamięci. Ona trwa i narasta jak opowieść. Opatrzona licznymi przypisami, dygresjami. To herby rodzinne na belce ponad drzwiami, sztychy ze starymi grafikami z widokami i wydarzeniami z dziejów Polski, Ukrainy, Europy, Wschodu, Krakowa... Mapa I Rzeczypospolitej, szabla na kilimie, odznaczenia wojenne dziadka, polskiego żołnierza na Zachodzie. Fragmenty munduru. To wszystko to totalna i piękna, zupełna, miłosna afirmacja swej rodziny, historii, miejsca, tradycji. Szlacheckich korzeni, dworów, rycerstwa i szlachectwa. Polskości i wieloetnicznej Rzeczypospolitej. Nieszcześć, wędrówek, śmierci, piękna, malowniczości, radości, natury, zrozumienia...

To pamięć – fundament tożsamości, utrwalona wszakże nie tylko pamiątkami, ale bardziej uczuciami. Owszem, rzeczy są ważne, mają znaczenie. Przede wszystkim jednak uczuciowo wiążą się z osobami, wydarzeniami, miejscami. Torują wspomnieniom drogę, otwierają drzwi do ich życia. Bo one żyją, trzeba tylko chcieć i umieć patrzeć tak, aby je zobaczyć.

Piotr czasem pisze. O rodzinie i dla rodziny pozostawia albumowy pamiętnik pieczołowicie oprawiony i przechowywany w domu. Lecz obok przechowywania tego ekskluzywnego zbioru Piotr pisze też o wspomnieniach wrażeń, o trwaniu najważniejszych postaci, o wydarzeniach, o pamięci. „Matka nauczyła mnie lubić ludzi, chodzić «kilometrami na wycieczki», wierzyć w duchy opiekuńcze, palić ogniska, gryźć chleb z końca i całować, gdy spadnie. Ojciec – dotrzymywać słowa. Babcia zbierać i oglądać w palcach, jeść z apetytem, podnosić dwoma palcami rozżarzony do czerwoności węgiel z podłogi, wrzucać z powrotem do pieca i pić oranżadę z butelki. Dziadek, który uciekł z domu do Legionów i walczył w czterech wojnach, zapytany przeze mnie «Ilu zabiłeś Niemców?» ładnie wybrnął, powiedział: «Nie szedłem na wojnę, żeby zabijać». Siedział w fotelu przy piecu, a fotel miał spadającą poręcz. Pamiętam ten gest poprawiania tej poręczy...”¹. Wrażenia i pamięć są jednym światem. Światem „wędrówki w sobie, w czasie, przestrzeni i tajemnicy”. Doznaniowo-pamięciowe eseje przypominają pisarskie wędrowanie Andrzeja Stasiuka (jakże obaj lubią chaotyczną swobodę Wschodu i Środkowej Europy!) i zmysłowo-wspomnieniowy płynny tok prozy Marcela Prousta. Spotkanie z Piotrem, odwiedzenie go, rozmowa z nim, rozmowa, podczas której mówi i słucha, lektura jego potocznych i emocjonalnie nacechowanych opisów to doskonałe wprowadzenie do malarstwa. Ono bowiem jest jakby kontynuacją życia, opowiadania, rozmawiania, przeżywania, myślenia.

PRZEGLĄDANIE

Twórczość Piotra Jargusza to oszałamiająca ilością, niewyczerpany skarbiec składowanych w różnych miejscach prac, które przegląda się niczym karty poukładane w staroświeckich katalogach, wyjmując często różne i poznając je. Przegląda sam Piotr. Przebiera spokojnie, ale w spokoju tym zdaje kryć się namiętność, która artystyczną kwerendę czyni właściwie buszowaniem w sobie, bo obrazy te są zapisanymi doznaniem i myślami, rwącymi się do samodzielnego, plastycznego zaistnienia.

Akt spokojnego przeglądania, w którym kryje się namiętność, któremu towarzyszą często, choć nie wciąż, opowieści, niekoniecznie o obrazach, ale i o różnych doświadczeniach, projektach, pomysłach, refleksjach, to część bycia Piotra. To bowiem jak postępuje w swym przeglądaniu potwierdza pierwsze doświadczenia uścisku dłoni, obserwacje sposobu poruszania się, mówienia, pisanie, zamieszkiwania. Potwierdza obraz człowieka, który jawi się silnym, w istocie jednak kipiącym energią, pomysłami, siłą woli, realizowanym pragnieniem czynu, życiem pełnią jego wartościowych stron, intensywnym doznawaniem...

Owo przeglądanie to także Piotra twórczość, która jest immanentną częścią jego bycia. Tak, jak Jackson Pollock uczynił częścią swej twórczości akt kipiącego energią malowania, tak i prezentowanie swego dorobku przez Piotra we własnym mieszkaniu, często w towarzystwie żony, córki, psa, przy rozmowie, posiłku, siedzeniu raz tu, raz tam, chodzeniu, słuchaniu, mówieniu, to część sztuki, która może nawet niepostrzeżenie przechodzi w obrazy, przeplata się z nimi, dopowiada je i uzupełnia, zmienia, ożywia, czy też raczej na ich życie wskazuje.

Piotr przebiera i wygrzebuje prace sam nie tylko po to, by poddać się ich inspiracji i mówić. Chce ulegać wrażeniu i doznawać znów swych obrazów we wszelkich cechach i wymiarach. Wielokrotnie podkreśla ich dotykowe i zapachowe bogactwo. Podłóża to grube tektury, pilśnie, szare papiery pakunkowe. Proszą się o dotknięcie, złapanie. Są namacalne. Bywają hałaśliwe. Szurają, szeleszczą. Okazują się zaborcze. Zajmują coraz więcej przestrzeni, choć te, które oglądam, to akurat nie największe formaty, które artysta w swoim czasie cenił. Podobrazia o nieforemnych często krawędziach, czasem jakby nadszarpnięte. Chyba w sposób bardzo dla owych materiałów niespodziewany rozlewa się na nich nagle dużo farby, która układa się w plamy i zacieki, buduje reliefowe wzniesienia, zasycha w strugach, smugach, grudkach, wyraźnych pociągnięciach. Kolory są intensywne, narzuca się smolista czerń, niekiedy jednak poprzez szarość przechodzi ona w biel. Ta, zaschnięta twardo i jednoznacznie niczym gips, potrafi także dominować, podobnie jak matowy błękit. Spod farby wyzieraają płaszczyzny podobrazia, które w kontraście z farbą i zapewne pod wpływem najpierw wilgoci, a później wysychania i sztywnienia, ujawnia fakturowe bruzdy, węzły, ścięgi, których istnienia trudno domyślić się, patrząc na zwykłą płaszczyznę tektury, pilśni czy papieru.

1 Piotr Jargusz, *Sztuka pamięci*, Annales Academiae Cracoviensis. Studia de Art et Educatione II, Wydawnictwo Naukowe Akademii Pedagogicznej: Kraków 2006, s. 37.

OPOWIADANIE

Mimo deklaracji, że nie nadaje tytułów obrazom, że nie chce niszczyć „tajemnicy cizy”, Piotr Jargusz nazywa swe liczne wystawy (tak jak niezmierzona jest ilość prac, tak i oszałamia ilość wystaw) opowieściami.

W opowiadania przemieniają się także cykle. Wydaje się, że istotą reprezentatywnego obrazu jest to, że ukazuje rzeczywistość nieporównanie lepiej niż werbalny, literacki opis i dlatego malarstwo mogłoby w tej dziedzinie dopatrywać się swej przewagi nad literaturą. Jednak obrazy Piotra, jego cykle, jego sposoby układania wystaw, ukazują jak owa zastępująca opis naśladowcza reprezentacja sama przechodzi w opowieść, współtworzy dyskurs, także i przez to, że nie tylko naśladuje, ale również wyraża uczucia i myśli. Te zaś domagają się słów, choćby i niewypowiedzianych, zapisanych, zorganizowanych, jakoś jednak będących wraz z obrazami materią wypowiedzi. A może obrazy natrętnie chcą zastępować słowa w ich zadaniu nadawania myśli kształtu, jak tego może chciałby Hans Belting? W każdym razie określenie wypowiedź nie jest tutaj tylko interpretacyjnym wytrychem i słowną ozdobą, ale dotyczy istoty opisywanej sztuki i jako metafora określająca nacechowane znaczeniowo malarstwo i jako dosłowne wskazanie tego, jak układają się myśli pod wpływem obrazów.

Agresywno-zaborcze traktowanie tworzywa, zwykłego, codziennego, gwałtowny i szybki, pozornie niedbały rysunek, nieskrywana gwałtowność ekspresji barwnej i linearnej, wyłanianie się i zatracanie postaci mogą kojarzyć się z twórczością Nowych Dzikich czy postmodernistów chętnie posługujących się prostym, niezaprawionym, „poszarpanym” podobrazem i *bad drawing style* jak choćby Leon Gollub. Brak tu jednak takiej ostentacji, cytatów wizualnych „tekstów”, napisów. Są figury i przedmioty, które żyją wraz z obrazami niejednoznacznie i tajemniczo, choć wrażenia zmysłowe wywołują intensywne. W takim sensie opowieści, wypowiedzi Piotra mogą być dosadne.

Często granica pomiędzy abstrakcyjną ekspresją a figuratywnością trudna jest do uchwycenia. W istocie jednak zawsze jest to twórczość o konkretnych tematach. Kształty często kryją się wśród burzy barw i gwałtownie kładzionej farby. Efekty barwne i fakturowe, mimo pierwszego wrażenia gwałtownego nadmiaru i zabałaganiowego chaosu, przy dłuższym oglądzie z różnych perspektyw i przy dopowiedzeniach artysty okazują się być konkretnymi figurami. Postaciami, rzeczami, zapisanymi wydarzeniami, a jeśli impresjami, to związanymi z konkretnym tematem.

Tło może być matowo błękitne, przypominające jakby podkład podobrazia. Wtedy na nim pojawia się ciemny kształt. Pionowe pociągnięcia pędzla, wypełniające kształt smugami czarnej farby, przypominają opływającą wodę. Sugestię taką podtrzymują białe rozbryzgi wokół ciała *Płynącego*. Czerwone plamki pojawiają się niczym świetlne refleksy w rozpryskiwanej wodzie.

Zwykle jednak są to wyraźniej zarysowane postaci (choć często potrzebne jest oglądanie z dużego dystansu). Narzuca się skłonność Piotra do dostrzegania, studiowania, przeżywania, afirmowania i oddawania się niemal aktom zwartego, skupionego zastygnięcia w cielesnej bryle. Jeden z najwcześniejszych jego obrazów to właśnie taki *Kłęczący*. Czarna postać na jasnym tle, ujęta niemal minimalistycznie (szczególnie w zestawieniu z częstą u Piotra gwałtowną ekspresją gestu, barwy i faktury). Właściwie jedynym nagłym zwrotem jest ugięcie kolan. Poza tym ramiona przylegają do ciała, fałdy odzienia, możliwe zgięcia to raczej jakby odległe w czasie i zastygłe ślady ruchu. Nawet powierzchnia jest wyjątkowo gładka. Narzuca się wrażenie potęgi mistycznego stanu modlitwy. Jednak zestawienie owego czytelnego napięcia kontemplacji, zwartości i monumentalności bryły oraz kontrastu ciemnej figury i jasnego tła daje ostatecznie dramatyczny efekt dziania się tego, co transcendentne. Dramatyzm wydarzenia, zawsze tak ważny w sztuce Piotra, zamknięty jest tutaj w jego swoistym minimalizmie.

Podobnie dzieje się w niezwykle licznych postaciach skulonych w pokłonie, w którym zatracą się siebie w pokorze, czy siedzących na krześle, jednym z ulubionych sprzętów Piotra. Siedzących i zatopionych w myślach, zatracających się w sobie i przez to poza siebie wychodzących. Zatopić można się też w żywiole. Zmysłowo pięknym, ale i wspomagającym kontemplowanie i transcendentalne wędrowanie w sobie i poza sobą. Siedzący przed ogniem bywają więc przez czerwoną barwę wypełniani albo tkwiący samotnie i wzniośle na czerwonym tle.

Kształt i barwa stwarzają nie tylko postacie, ale są podstawą konstrukcji rozbudowanego, wieloznacznego, malarskiego komunikatu. Jeden z *Proroków* to najpierw duża i gruba, biała plama na tle szaro-brązowego tła (z jednej strony brąz przykrywa czarna farba), która nabiera cech zwartego, solidnego, „zwalistego” kształtu. Długie, pionowe pociągnięcia formują opuszczone ramiona, małe koło ponad nimi okazuje się głową, wyróżniona część białej płaszczyzny to broda, odsłonięte pod nią tło, rysunkowo wypełnione prostymi liniami, przypomina zawieszony na piersi szkaplerz. Przede wszystkim jednak prorok, jakby zmartwychwstając z tła, zdecydowanie je anektuje, stabilny i potężny przytłaczająco wypełnia przestrzeń. Wreszcie zatem biała płaszczyzna, w kontekście cyklu i uruchomionej tytułem przestrzeni sacrum, nabiera monumentalności.

Biało-szarą kipieli, inną niż w wypadku *Proroka*, bo całościowo pokrywającą obraz, przecinają dwie czarne linie, zaskakująco jednolite, spięte poprzeczką tak, że drogi tej *Mapy*, płaskiego obrazu przestrzeni, przypominają literę A, która w świecie symboli ma bardzo wiele znaczeń. Jednak nie widzimy jej wierzchołka, miejsca zbiegu długich prostych, które wbrew oczekiwaniu mogą się jednak w przestrzeni nie spotkać, choć przecież równoległe nie są. Pozornie oczywista mapa stawia nas wobec zagadki. Tym bardziej, że wykreślona jest malarsko i linie poziomic oraz barwy o symbolice znanej

z lekcji geografii zastępują wypiętrzenia faktury i szarzejąca biel. Może tak właśnie oddawać należy tajemnicę przestrzeni – właściwie niemal żywiołu?

Zapomnieć siebie można też w hołdzie i miłości oddawanym innym. Są oczywiście kobiece akty. Siedzące, stojące. Przodem, bokiem. Widziane z tyłu. W różnych barwach. Także postaci tańczące. Świetnie modelowane. W nich Piotr bardzo często ukazuje swe rysunkowe umiejętności. Choć bowiem to wciąż malowidła, konstruowane farbą na bardzo różnych podobrazach, to tutaj kształty rysują się niekiedy bardzo wyraźnie. Kształt wszak w tym wypadku bywa fundamentem doznania. A ogromnej roli, jaką mają dla Piotra doświadczenia zmysłowe i emocjonalne, artysta nie ukrywa.

Obok tematów realistycznych, symboliki z obszaru sacrum, geografii, na obrazach obecna jest też i historia, znów wiążąca się z tym, co bardzo osobiste. Na pracy z cyklu *Wojna z tła* o barwie soczystej, gęstej, kraplakowej czerwieni wyróżniają się fakturowo zaschnięte strugi farby w tej samym kolorze, kipiące i spływające w dół. Nowotworowe sygnały żółcienia, wyzierające gdzieś z czerwieni, kumulują się w eksplozji w dolnym rogu obrazu, a żółtą kulę przetyka jeszcze biel i róż.

Seria *Worek* to worek dziadka, który w czasie wojny przeszedł polską żołnierską drogę przez Afrykę, Włochy, Anglię i wreszcie powrócił przez port w Gdańsku do Krakowa. Duży worek z dobytkiem żołnierza tułacza, wędrowca, polskiego pielgrzyma, jego kształt, wyblakły brąz, historia – to świętość, mimo pozoru starej, zniszczonej, zużytej, zapomnianej, siermiężnej „bylejakości”. Na obrazach jest czarny, czarno-brązowy, czarno-czerwony, rozpychający się, jakby żyjący, skreślony niczym smok, zdolny przestraszyć, ale też wiele pokazać i opowiedzieć. Przemawia on o historii, rodzinie, miłości, drodze, walce, powracaniu. Jest w nim Odyseusz uparcie powracający do Itaki, Kantor żonglujący pamięcią w niespełnionym pragnieniu ojca. Piotr wypowiada swym cyklem: w tej relikwii jest dziadek, przeżywa go, dotykam, patrzę, przechowuję, maluję...

W tym świecie pojawia się też kobiecość piękna nie tylko zmysłowo. Wpisuje się ona w transcendentną przestrzeń dzięki miłości. Nie tylko chwilowo doznawanej, ale żywionej i pielęgnowanej. Niektórzy spośród skupionych, siedzących na krześle to Babcia. Najbardziej monumentalna w tym, że była i jest kochana. Mimo że już odeszła. Na jednym z obrazów nie siedzi już, ale leży w łóżku. Wciąż jednak jest w domu. Jest w myśleniu i kochaniu. To trwanie, istnienie, obecność zdają się wyrażać ciemne, ogromne postacie wypełniające duże powierzchnie obrazów. Babcia jest piękna w dobru i miłości.

Zielone, gładkie, szkliste linie konstruuja na czarno-szarym tle wibrującej farby *Piec w mojej kuchni*, konturami przypominając i sugerując jego bryłę, fakturą linii zaś gładki i świetlisty walor powierzchni glazurowanych kafli. Poza tym to jednak czerń, niekiedy rozbielana, raz matowa, raz bardziej gładka i śliska. Owszem, rysują się w niej drzwiczki, naczynia na płycie. Najbardziej jednak o istocie tego pieca mówi

wykorzystanie farby, dukt pędzla, sposób położenia barw. Nerwowo, wibrujący, drżący, buzujący, kipiący, skaczący, gorący, niebezpieczny. Choć to obraz konkretnej rzeczy, pieca, jednego z tych ukochanych fetyszy, na których opiera się doznawanie, pamięć, które dzięki pracy dają to, co konieczne dla życia, jak choćby ciepło, to zarazem jest to malarstwo przymiotników, jakości tych rzeczy. I przede wszystkim czasowników. Działania.

OKIEŁZNANIE

Ludzie to zatem uczucia, istnienie i trwanie. Rzeczy zaś to uczucia i czyny. Ludzie trwają, niezależnie od ich kondycji, tworząc świat Piotra. Rzeczy są, tak jak zdarzenia. Są ważne. Zapamiętane, budzące doznania, uczucia. Wszystko to jednak służy aktywnemu działaniu. Przeżywaniu, wspomnianiu, oglądaniu, tworzeniu. Relikwie i fetysze stają się materią woli. Ona to dzieje się w niesłychanym bogactwie dzieł, w burzliwej ich ilości, gwałtownych erupcjach barw, swobodzie chaosu gwałconego opanowaniem, totalności twardo tłumionej w figuratywną twórczość, która musi jednak mieścić się w formatach, choć wciąż dużych, to jednak nie ogromnych. Ona to pochwyciona jest jakby w obraz.

Obraz jest zaś formą myślenia. Może ta nieustanność człowieczego myślenia wynika z kiełznania woli. Wydaje się, że tak jak człowiek nieustająco myśli, Piotr nieustająco maluje, obrazami myśląc. Obrazami snując swą opowieść, czasami przechodzącą w słowa, często w namiętne działanie, niekiedy będącą tylko trwaniem w świecie, delikatnie wtedy, subtelnie doświadczanym.

Twórczość Piotra Jargusza to świadectwo artystycznego okiełznania niespokojnej żywotności. Wrażliwe i łapczywe doświadczanie obrazów, dźwięków, smaków i zapachów świata zapisuje się w pamięci, łączy z siłą uczuć i energią podświadomych instynktów, by eksplodować w malarstwie będącym immanentną częścią życia. Raptowny wybór zmysłowo doznawanego materiału, gwałtowny gest obficie szafujący farbą o różnych barwach, a przy tym miażdżenie niemal figuratywnych form to właśnie malarski wyraz intensywnego doznawania i przeżywania. Towarzyszą mu literackie fragmenty intymnej rozmowy, zdradzającej obserwacyjną pamięć i głębię uczuć. Zarazem pytającej o sens miłości, domu, tradycji, miejsca, czasu, życia i świata. Sztuka bliska estetyce Nowych Dzikich okazuje się bardzo indywidualną wypowiedzią.

Artysta bowiem w całym swym twórczym życiu, w zamieszkiwaniu, podróżowaniu, w raptownym i intensywnym doznawaniu, nieustającym malarskim zapisie myśli, malowaniu, zachowywaniu, przeglądaniu, wystawianiu, pisanu na swój oryginalny sposób konstruuje opowieść o wcielaniu woli, o wolności, która jest potężnym we wrażeniowym i uczuciowym rezultacie doświadczaniem świata w różnorodnych

aspektach jego istnienia. Doświadczeniem, w którym strumień woli utrzymywany jest jednak na wodzy, kielznany i sublimowany w malarską sztukę, w kultywowanie pamięci, w troskę o ukochanych.

Całe bycie Piotra jest twórczym opowiadaniem wolności.

OSZCZĘTNIK, KTÓRY WSTAJE

WIAJEŹDŹCA

Zderzenia z energią Piotra Jargusza zwykle wywołują niepokój. Budzi go nie tylko imponująca wytrzymałość i siła fizyczna. Owszem, robią wrażenie „imadłowy” uścisk dłoni, wyslizgany drążek do podciągania podwieszony wysoko w odrzwiach międzywojennego mieszkania, palenie w piecu, do którego trzeba przynieść węgiel na czwarte piętro, odporność na chłód, a wręcz w nim upodobanie, świadectwa ukraińskich i syberyjskich podróży, wymagających w każdym swoim aspekcie. Pragnienie ochronnego dystansu wywołuje jednak najbardziej ekspansywność. Trochę szalona? „Tatarska” jak nazwał ją Włodzimierz Kunz². Niepokorna i agresywna wobec reguł akademii, uniwersytetów, rad wydziału, ministerstw, praw, hierarchii. Tego, co ogranicza i niewoli. Ale i wobec tych, których się pragnie (podbić? zniewolić?). Intensywna, totalna, czasem wręcz nachalna. Widoczna w obrazach malowanych ekspresyjnym gestem, w materii traktowanej tyleż z czułością, ile z przemocą, w potoku zapisywanych słów, w zbieraniu i kolekcjonowaniu rzeczy, wydarzeń, ludzi.

Przede wszystkim jednak jest ona stale obecna w działaniu, tworzeniu, organizowaniu, zdobywaniu. W braniu. Z obietnicą dania czegoś w zamian, ale braniu. Zabieraniu choćby czyjegoes poczucia wolności po to, by włączyć w to, co artysta tworzy swoim życiem. Zaborczość, kiedy wywoła obronę (choćby przed rolą monografisty)

2 Cytaty nie opatrzone innym przypisami pochodzą z tekstów Piotra Jargusza, czytanych z wydruków komputerowych przez niego osobiście podczas spotkań z autorem artykułu w styczniu i lutym 2012 roku.

wyrazić może się i w emocjonalnej grze – pretensją, żalem, gwałtownym telefonem, obrazą, ciszą, przypomnieniem obietnic...

Gra emocjami wynika nie tylko z zaborczych planów. Bardziej z zasadniczej roli uczuć i w tych działaniach, i w całej twórczości, i chyba całym życiu artysty. Piotr rozemocjonowany jest zawsze. Kiedy próbuje podbić, zawłaszczyć na przyjaciela, kiedy przygarnia kota, patrzy na kobietę, troszczy się o córkę, pamięta o rodzicach, dziadkach... Uczucia nie tyle tłą się, ile wciąż pulsują. Nawet wtedy, niedostrzeganie, gdy energia opanowywana jest siłą, wolą, rozsądkiem, projektem, planem...

Związane z wrażliwością, ujawniają się, kiedy dochodzi do doznawania. Piotr to hedonista. Surowy – w chłodzie, w podróży, z obitym autem, bez odzieżowych fajerków... Ale smakuje i delectuje się. Na przykład pielmieni. Najlepiej syberyjskie, te wycinane w cieście kieliszkiem i nadziewane surowym mięsem. Czyżby tatarska była nie tylko ekspansywność? A kieliszek? Rosyjski czy może ten używany na Syberii przez Polaków? Zesłańców i odkrywców. Ciekawe, czy lubi „bulionik”³ Wódka, szampan, piwo, barszcz (a nie, barszczu nie lubi, jak już to zupa ziemniaczana z frykadelkami), pierogi... Wciąż pojawiają się, nie tylko w słowach. Kielbasa i jeszcze raz kielbasa, ogórki, wędzonka, grzyby (też te jeszcze nie zebrane). Cały czas smaki północnych pograniczy Wschodu i Zachodu. Choć 25-letnie wino, to raczej z Południa. Tak jak kawa. Też przyszła stamtąd. Pili ją Sobieski, Chmielnicki... Ci zatem znowu, którzy walczyli na pograniczach z Tatarami, Turkami, Rosją, mołdawskim hospodarami (a to przez Mołdawię dotarła ta kawa z Turcji). I podbijali się. Także wzajemnie.

Iwona kupuje dla Piotra wyszukane smaki. Takie dobre, mało gorzkie, w sam raz tyle, ile trzeba, słodczy naturalna, i ten zapach, taki Calvin Klein kawowy, nareszcie coś ciepłego i miłego. Żłudna to jednak obietnica, bo przecież ta kawa to trunek najeźdźców pieszczących własne zmysły, to podbijanie, zaborczość, hedonizm...

Piotr dumny jest z tego, że podbił najładniejszą z krakowskiej redakcji telewizji. Jednak łakomie spogląda na Ukrainki w „kabaretkach”. Cóż on tam musi myśleć o seksie? Nie o Platońskiej miłości, o *agape*, o *philia*, ale o przestrzeni Erosa?⁴ Tego, który pożąda. I zwykle bierze. A, jest. Kobieta. Znow te smaki. Słodko-kwaśny śluz. Lekko chropawa skóra wokół wezbranych brodawek...

3 Por. np. <http://kotlet.tv/pielmieni-syberyjskie> (data dostępu 03.02.2012, dalej w nawiasach same daty).

4 Por. Platon, *Fajdros* [w:] *Teksty filozoficzne. Portal studentów IF UW*, http://filozofiauw.wdfiles.com/local--files/teksty-zrodlowe/platon_dialogi.rtf, s. 116-117 (15. 09. 2011); Bendykt XVI, *Deus Caritas est*, http://www.vatican.va/holy_father/benedict_xvi/encyclicals/documents/hf_ben-xvi_enc_20051225_deus-caritas-est_pl.html (05. 09. 2011); „Miłość, jako prawie sprzeczne rozkoszowanie się bytem transcendentnym, nie daje się prawdziwie wypowiedzieć ani w języku erotycznym, czyniącym z niej zmysłowe doznanie, ani w języku duchowym przekształcającym ją w pragnienie transcendencji”, Emmanuel Lévinas, *Całość i nieskończoność. Esej o zewnętrżności*, tłum. Małgorzata Kowalska, wstęp Barbara Skarga, PWN: Warszawa 1998, s. 307.

Może zresztą to nie do końca tylko zmysły?

Wielbiciel doznań lubi też rzeczy. To wreszcie archeolog i kolekcjoner. A zbieranie, to i zabór, i zabieranie ze sobą. I tworzenie. Kolekcji – dzieła – własnego królestwa – świata, w którym jest artysta. Mapy – wprost konieczne dla zaborcy. Szable, nóż, kamienne kule, może nawet kamienne topory, szczątki munduru, zbroi. Broń jest niezbędna dla obrony („Dziadek mierzył z pistoletu” i do Kozaków, i do Tatarów) i dla najeźdźcy. Pamiątki walk, zwycięstw i klęsk, np. staloryt z Kościuszką. Opanowana historia jest tak ważna, jak podbita przestrzeń. I ludzie – ci są najważniejsi. Nad nimi i dzięki nim się panuje. Nawet jeśli są tylko w pamięci.

A może Piotr Jargusz – artysta to wojownik, najeźdźca, zaborca, misjonarz? Symbol wśród symboli: Tatar, Sobieski, Chmielnicki, Mazepa, Anelli (zatem Słowacki, ulubiony wieszcz wojowniczego Piłsudskiego), Dionizos, Eros, a z nimi szable, mapa, szkaplerz... Ten świat to kraina spontanicznie przywoływanych i samodzielnie lokalizowanych symboli, które tylko odsyłają do innych znaczeń, wydarzeń w innej przestrzeni. Prawdziwych dla tych, którzy wierzą, że prawdziwe jest to, co metafizyczne.

I może rzeczywiście podbój to tylko wędrowanie po śladach, dzięki którym buduje się tożsamość.

Chociaż...

SAPIS

Raptularz?⁵ Bo to zapiski raptowne. Pisane przez trzydzieści lat. Potem przenoszone do komputera. Może dziennik, choć jednak nie ma w nim dat. Jest za to w pewnym miejscu genealogia. Syn czyjegoś syna, który był synem, który był synem... Historia rodziny. To właściwy fragment dla „powstania” i punktu wyjścia *Viatorisa*.

Brak za to nawet wielu znaków interpunkcyjnych. To *strumień świadomości*. Najlepiej, żeby był głośno odczytywany przez autora. Może trochę za szybko, ale przecież życie tak szybko się dzieje, tak dużo, bardzo, bardzo dużo zostało zapisane... Tembr głosu, modulacja, pomruk z rzadka nateżany, rytm budujący atmosferę, jakby przygotowanie do transu, tekst płynie.... Fragmenty zostały podkreślone, bo artysta czyta to, co chce, żeby zostało usłyszane. „Niektóre części nie są do pokazania”.

Viatoris to „włóczęga” po wielu miejscach. To najczęściej chyba odwiedzana Ukraina: Podkamień i Począjów - skała i ławra, Żółkiew, Trembowla, Kamieniec Podolski, Żwaniec, Dniestr w Bakocie, Sobór Michajłowski w Kijowie, Białoruś schludna i uko-

5 Raptularz (łac. *raptularius*, od *raptus* – porwanie, gwałtowne zabranie czegoś) – rodzaj brudnopisu czy notatnika, który dawniej służył do zapisywania różnych bieżących spraw [...]. Określeniem tym nazywano także spis myśli, wierszy czy zasłyszanych anegdot. Por. <http://pl.wikipedia.org/wiki/Raptularz> (07. 02. 2012).

chana, Bereza Kartuska i Mińsk, Litwa, Wilno, Kowno, Owanta (gdzie pradiadkowie brali ślub), Rosja, Sobór Sołowiecki, niebezpieczny dla tożsamości Petersburg z białymi nocami i przerażającym jednak zimnem więzień, Moskwa – serce imperium, bułgarska Sofia...

Gdyby wszystkie te miejsca opisać geograficznie i historycznie, to zaczęłaby powstawać księga świata... A może królestwa *Viatorisa*?

Wędrowca, który spotyka ludzi. To Irena ze Lwowa, Teresa Chrzanowska. Zmarli nauczyciele: „zbyt dystyngowany” Piotr Jarża („miał rys arystokratyczny, daleki od taniej fajności”) i trafnie opisujący Włodzimierz Kunz. Armine Bożko z Kijowa, Tomasz Sosnowski, Rita Staszulionok, Kasia Łutowicz (może po tylu latach mniej istotna...). Beata Nowakowska, Marek Olszyński, Jola Anteck. Polacy. Ukraińcy „cierpliwi, do czasu...”. Spośród nich wybrany i zabrany Borys: „Я хочу пабoтaтb”, malować, rysować, „nie będę sprzedawał ludzi”... Cyganie. Rodzina: Iwona, Olga, noszona na barana, grzebiąca w piasku, Helenka i najlepsze lody na Kazimierzu, i lampion...

Pamięta mamę, spacer wśród pni drzew i paproci (a może to sny?), jej przejście przez Rubikon cierpienia. Wujka Stefana Balukiewicza i jego baletnicę z Białowieży (dlatego wróci do Teremisek). I smutek jego umierania. Dziadków. Wielu z nich pojawia się także na obrazach. A wśród tych, których wymienia tutaj są Dostojewski, i Iwaszkiewicz, i Stanisławski, i Szymanowski.

Gdyby wszystkie te nazwiska hermeneutycznie rozszyfrować to zaczęłaby powstawać księga świata... A może królestwa *Viatorisa*?

Wędrowca, który obserwuje: pies gryzie kość, sady kwitną. Będzie to malował, ale teraz wydobywa symbole i tworzy metafory: Sofia to początek, światło zawarte w ikonach, proporcja betonu i cegły do nieba. Karmiący ptaki to „ptasi król obsadzony gołębiami”. Wysokie łóżko to Wysoki Zamek.

Wreszcie wędrowiec to prorok. Człowiek bogobojny. Widzi związek mitu-obrazu-języka i realizuje go w praktyce. Wierzy, że Jakub mówiący do Lei to jakby parabola pokazująca, że „Bóg to rozróżnianie”. Doświadcza objawień. Głosi, że człowiek ma być lepszy, bo ma zdolność tworzenia świata. Uważa, że obraz jest pytaniem o wymiar piękna i dobra i ma im „służyć”, choć współcześni teoretycy gardzą tym ostatnim słowem. Wie, że „uwaga”, istotna dla obserwatora i malarza, to również waga słowa. „Naszim domem jest język”, a „prawda warunkiem komunikacji”. Powiada zatem słowa ważne dla obrazu *Viatorisa*: „człowiek, który siedzi, się męczy; który leży, jest słaby, który wstaje, jest wielki”.

Ostatecznie, jak Izaak z Niniwy, docenia ciszę. Wie, że często czeka się na wolno przychodzącą śmierć.

Piotr Jargusz zapisuje strumień świadomości i obfituje w słowa i skojarzenia jak Joyce, bardziej jednak gwałtownie, kielzna go chyba tylko medium pisma. Choć nie tak plastyczny w opisach, to lekceważy interpunkcję jak malarz i pisarz Claude Si-

mon⁶. Czuły jest na zmysłowe doznania, które niczym leitmotivy, znaczące rafy pojawiają się jako mocne słowa w potopie wrażeń. Choć po co je celebrować wyrafinowanym językiem, skoro nawet Proust nie potrafił nim oddać zmysłowej prawdy. Artysta, tak jak Zbigniew Herbert, bywa wrażliwy na dziedzictwo zapisane w rzeczach, choć nie tylko tych związanych z „wysoką” klasycyzacją, wymagającą zdyscyplinowanej formy. Często bowiem i klasyka, i metafizyka wprost przywoływana, i Stasiukowy chaos środka Europy, w którym ciągle trwa bałagan i tworzenie, co pokazuje też Andruchowyczowa historia, zawierają symbole surrealistycznie rozkwitające nie tyle w strumieniu, ile w potopie słów, doznań, refleksji, poetyckich metafor.

Kiedy Piotr sam czyta, bardziej jak kapłan niż lektor, pojawiają się lepiej... Kapłan, prorok uczestniczą w pielgrzymkach, procesjach. Uwrażliwiają na ślady i to, dokąd one prowadzą. *Viatoris* bardziej byłby zatem wędrowcem natchnionym niż zdobywcą⁷.

Chociaż...

Zapisany jest ślad czy zdobyć? Czy doświadczenia i świadomość artysty?

A może ślad to doświadczenie i zapisana zdobyć? Albo też ślady odtwarzane i pozostawiane, zarazem dziedzictwo i tożsamość, to dziedziczenie tego, co testamentowo zapisane i wraz z polskością „przenoszone różnymi drogami”. Ale również zapis tyleż ocalający i zachowujący, ile, tak jak podróżowanie i w końcu malarstwo, będący narzędziem odzyskiwania, zdobywania i tworzenia. Sztuki, siebie, wspólnoty. Czegoś więcej?

ŚWIETOWANIE

Malowanie jest zdobywcze. Owszem, płachty brązowego papieru pakunkowego, mimo tego że duże (zwykle więcej niż metr na metr), łatwo znaleźć, zdobyć, wykorzystać i zaanektować. Nie wymagają dużych nakładów finansowych, skomplikowanych starań wokół podobrazia, pozwalają zrezygnować z krosna, lekceważyć grunt, pomalowane wciąż nie są ciężkie. Jednak są przecież duże i jest ich dużo, dają poczuć radość brania gwałtem wielkich ilości. I zajmowania ogromnych przestrzeni, i gromadzenia.

6 Por. Jean H. Dufy, *Reading Between the Lines. Claude Simon and the Visual Arts*, Liverpool University Press 1998. Też: „Literatura na Świecie”, nr 11-12 (184-185), grudzień 1986 (zeszyt poświęcony Claude’owi Simonowi).

7 O roli synestetycznych doświadczeń w sztuce współczesnej i jej interpretacji por. np. Mieke Bal, *Wizualny esencjalizm i przedmiot kultury wizualnej*, tłum. Mariusz Bryl, „Artium Quaestiones”, t. XVII: 2006, s. 303-327. Por. też np. Christa-Maria Lerm-Hayes, *James Joyce als Inspirationsquelle für Joseph Beuys*, Olms Hildesheim, Zurich, New York 2001; Mikel Dufrenne, *Praktyka synestezji w sztuce* tłum. Anna Śpiewak [w:] *Estetyka w świecie*, t. 5 (1997), s. 17-22.

To skojarzenie uzasadnia się tym bardziej, gdy na płaszczyznach w pracach malowanych od 2001 do 2008 roku pojawiły się czarno-czerwone „rude akty”. Kobieta stojąca przodem lub bokiem, o wyraźnie zaznaczanych kształtach, zwykle „zamknięta”, z ramionami przy sobie i ściśniętymi nogami. Czasem siedzi, bokiem lub tyłem, zamyka się jeszcze bardziej, jest skulona, skupiona, ale wciąż emanuje czarno-czerwoną erotyką, nawet jeśli przełamuje ją biała plama światła albo jeśli tłem jest biały grunt. Na pracach ustawionych obok siebie widać jakby figurę w ruchu, która stoi, siedzi na krześle lub podłodze, kuli się, otwiera i zamyka, właściwie pulsuje i drga, zatrzymywana w sprawnym rysunku i kompozycji spełniającej właściwie klasyczne zasady wyważania, wyśrodkowania, skupienia na postaci wyraźnie angażującej uwagę, umiejętności i uczucia. Tutaj energia totalnie ekspansywna kumuluje się, tych prac nie ma tak wielu, są natomiast jakby bardziej dopracowane. Choć po ekspresyjnym dukcie wciąż widać, że powstają szybko, lecz gestami mniej nerwowymi, raczej dobitnymi pchnięciami, zastrzykami energii.

Kobiecość na brązowo-szarych płaszczyznach, zdarza się, że centkowanych nie-wielką ilością nieregularnie rozmieszczonych czarnych i białych kropek i smug, na innych obrazach ujawnić może swe różnorakie cechy. Siedząca na krześle postać jest większa niż ta z „rudych aktów”. Ubrana w czarną suknię i biały fartuch, na głowie włosy i czepiec-chusta nabierają formy ceremonialnego przybrania. Na jej kolanach spoczywa inna figura, leży, nogi zwisają po lewej stronie siedzącej. To postać męska, nie wiadomo czy ubrana, wokół głowy dłoń kobiety rozrasta się w pióropusz albo nimb?

Macierzyństwo, pieta, babcia z wnukiem – św. Anna? Klasyczny temat w ekspresyjnej, dzikiej manierze, grubych pociągnięciach niczym w kobietach Willema de Kooninga. Ale w Muzeum Andy’ego Warhola. W Medzilaborcach, w Rusińskiej, środkowoeuropejskiej i wschodniej Słowacji, z której wywodzi się amerykański krytyk „chłapaczy” i „najbystrzejszy”⁸ dokumentalista anglosaskiej kultury masowej i skomercjalizowanej – kwintesencji Zachodu. Jakby zderzyło się wiele światów. Często przeciwstawnych właściwie. I żaden nie zdominował Piotra Jargusza, bo wszystkie je chce zdominować on sam. Może tylko ujawniając paradoksalnie jak bardzo Zachód jest ze Wschodu, a zdeterminowany żądzą zysku „cywilizacyjny” postęp poprzedza, i może wyprzedza, chaotyczne i wybuchowe, ekspresyjne pulsowanie energii i emocji, kielznane dopiero gwałtem. Może to zapowiedź drogi do Brukseli przez Syberię?

Eksplozje okiełznane i kumulowane, obecne w przestrzeni zawłaszczonej przez masową percepcję, to też akcja pokazywania swych dzieł na ogłoszeniowych słupach w Krakowie. Uliczne obrazy to święta. Publiczne. Święta święte i polskie. „Wielka Moc”, „Umarli wstaną”, „Bóg się rodzi, moc truchleje”. Rozlepiane w 2009 i 2010 roku.

Po kilkadziesiąt, każdorazowo, na kilka dni. Na nich, wśród przeważających czarnych smug i konturów, trwa motyw „siedzącego”. Teraz to może już nie kobieta, ale mężczyzna. Czarne kontury, siedzi przodem, dużo czerwieni tętni w nim i wokół niego. Krew, uczucia, płomienie, które go przepełniają i w które się wpatruje? Siedzenie to niekiedy samotne krzesło. Skoro w czasie Zaduszek, to puste, bo ktoś z niego odszedł. Symbol jednak jest wieloznaczny. „Krzesłowa” zmiana stanu i sytuacji to również zatrzymanie się w drodze. Odpoczynek, chwila słabości, wytchnienia? Wspomnienia, doświadczenia, wiedzy, refleksji? A może to nie krzesło, ale tron – znak władzy, panowania?

A może krzesło jest opuszczone, bo *Viatoris* wyruszył w drogę. To nie był odpoczynek, ale przygotowanie, kumulacja, wymyślenie, decyzja i początek. „Wielka Moc” i „Wstanie” – dlatego krzesło wciąż może być puste, kiedy wraca na innych obrazach i w innym czasie. Dlatego wśród „Wstających Umarłych” kiedyś była postać, a jakże w ulubionej czerni, ale i z głową otoczoną pomarańczowym, radośnie płomiennym nimbem. Teraz zaś *Viatoris* jest w drodze i mężczyzna pojawia się coraz częściej, nie tylko siedzący i skupiony w sobie. Czarny i muskularny, silny, męski, stojący przodem, symetrycznie odbity, podwójny, czy to autoportret? Z tymi oranżowo-brązowym akcentami z niegdysiejszej aureoli, stojący twardo i majestatycznie. A zarazem znający swą tożsamość człowieka pogranicza, pomiędzy Wschodem i Zachodem, pochodzącą z różnorodności i przekraczającą ją, może dzięki koniecznemu w takim miejscu dialogowi z innym, który okazać się może i Innym w sobie⁹. Na ponad dwumetrowym arkuszu panuje nad słupem ogłoszeniowym i całą krakowską ulicą Piłsudskiego. To znaczące, że na tej ulicy. Z wodzowskim, autorytarnym patronem zwyciężającym na Wschodzie. Z widokiem na kopiec innego wojownika, który przed Wschodem obronić nie potrafił i uciekał coraz dalej na Zachód.

Znaczenia takie są możliwe dlatego, że miejscem prezentacji są publiczne słupy ogłoszeniowe. Wyraźnie zaznaczające się w mieście, bo Piotr Jargusz lubi się wyraźnie zaznaczać. Być nie tylko w pracowni, galerii, uczelnianym warsztacie, muzeum. Lecz wychodzić w świat – oto wydarzenie właściwe dla upragnionego celebrowania sztuki i własnego zdobywania, dla ceremonialnego obejmowania władzy. Plamy czerwieni czy pomarańczowe płomienie to błysk i eksplozja w przestrzeni miasta. Stojący mężczyzna to władca tryumfujący wśród feerii angażującej uwagę, radosnej, władczej.

Święta to też święta na jego cześć. I te chwile wspólnoty ze świętującymi – kroczącymi drogą swoją, ale w miejscu i czasie wspólnym. I patrzącymi na dzieło sztuki. I anektowanymi – dla wspólnoty. Przez panującego, ale do udziału w święcie i wspólnocie. Gadamerowskiej (tym bardziej, że tak ważna jest tu rola symbolu) i może w za-

9 Por. Hans-Georg Gadamer, *Różnorodność Europy. Dziedzictwo i przyszłość* [w:] tegoż, *Dziedzictwo Europy*, tłum. Andrzej Przyłębski, Spacja: Warszawa 1992, s. 21 i w wielu miejscach. Także Paul Ricoeur, *O sobie samym jako innym*, tłum. Bogdan Chałstowski, PWN: Warszawa 2005, s. 190 i w wielu miejscach.

mierzeniu również tej Grotowskiego¹⁰. Ekspresyjne eksplozje, duże formaty, ilość prac w publicznej przestrzeni anektują wszystko wokół, codzienne plakaty, ogłoszenia, ludzi, ulice... To nie *street art*. W mieście – tej przestrzeni lubianej przez pop, Nowych Dzikich i współczesne akcje, jammerów z ich *graffiti* i *flashmob* – dzieje się jednak coś innego¹¹. Dzieje się malarstwo najeżdźcy świętującego zdobywanie.

ODZYSKIWANIE

Malowanie jest odzyskiwaniem. Obrazy uliczne są bowiem na słupach krótko. Efemeryczność wpisana jest w ich los, trochę jak w instalacji *site specific*¹², w której właśnie krótkotrwała interakcja z miejscem i ludźmi w przestrzeni publicznej szczególnie oddziałuje i znaczy. Owszem, sfotografowane w swoich miejscach dzieła pozostaną w archiwach. To pragmatyczne, towarzyszące ogłoszenia pozwolą historykowi sztuki łatwo dokonać atrybucji dzieła. Jednak obrazy uliczne przetrwały nie tylko w ten sposób. To bowiem, co zdjęto ze słupów, nie tylko obrazy, ale bardzo często wraz z nimi grube warstwy ogłoszeń, afiszów, plakatów, swoiste publiczne *blejtramy* przygotowane nagromadzeniem przez miesiące pracy biura plakatowania, trafiło do pracowni. Ten swoisty *recycling* jest znamieny. Symboliczny. Wszak wszystkie artystyczne działania *Viatorisa* wokół dziedzictwa i tożsamości związane są z aktem odzyskiwania. Zachodzącym na różnych płaszczyznach.

Pracownia Piotra Jargusza funkcjonuje w niedużym domu stojącym obok gmachu Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Od dawna wiadomo, że dom będzie zburzony, ale wciąż są w nim używane lokale mieszkaniowe i biurowe. Nietrwałość zdaje się jednak dobrze korespondować z ulotnością ulicznego malarstwa. I takie są też pierwsze wrażenia z wizyty. Najpierw świadomość kondycji budowli bez przyszłości. Potem zimno, jak w „publicznej przestrzeni”, ale czasem i większe niż na zewnątrz budowli. Artysta mówi, że utrzymuje dziewięć stopni, żeby się nie rozpraszać. To żartobliwe, ale nie całkiem. Chłód właściwy północnemu, syberyjskiemu Wschodowi, ceniony jest przez Piotra, nie tylko dlatego, że artystę „rozsadza” energia, ale i przez swą symbolikę. Nie

10 Por. Hans-Georg Gadamer, *Aktualność piękna. Sztuka jako gra, symbol i święto*, tłum. Krystyna Krzemieniowa, Oficyna Naukowa: Warszawa 1993 oraz *Święto*, <http://www.grotowski.net/encyklopedia/swieto> (10. 02. 2012).

11 O neoekspresjonizmie i Nowych Dzikich por. <http://www.artmovements.co.uk/neoexpressionism.htm>, także <http://www.theartstory.org/movement-neo-expressionism.htm> (11. 02. 2012). O *street art* por. np. Łukasz Biskupski, *Graffiti i street art: na pograniczu sztuki publicznej i ruchu alternatywnego*, „Przegląd Kulturoznawczy” 2008, nr 1 (4), s. 163-180. Również *Partyzanci komunikacji, czyli kto, jak i dlaczego zakłóca przekaz marketerów, reklamowców i pr-owców*, http://krakowpr.pl/wp-content/uploads/downloads/2010/02/partyzanci_komunikacji.pdf (11. 02. 2012).

12 Por. *Sztuka site specific*, http://pl.wikipedia.org/wiki/Sztuka_site-specific (11. 02. 2012).

tylko mogącą kojarzyć się z „publicznością” otwartych przestrzeni, ale raczej wywołującą to, co narodowe, historyczne, kulturowe i geograficzne.

Po otwarciu drzwi widać jakby „superśmietnik” i wielkie nagromadzenie. „Mega kolaże”, totalne nagromadzenie niczym w długotrwałym zbieractwie dadaisty Schwittersa, czy Fluxusowej *Grosse Tischruine* Diethera Rotha. Albo w Kantorowskiej *Anty-wystawie* z 1963? I tam było bowiem *inferno* siebie, aluzja do „posttaszystowskiego” *informelu* - malarstwa materii, *assemblage* bliski teatralnej praktyce¹³. Tutaj to kolorowa materia masowego świata ogłoszeń i plakatów, komunikatów, paradoksalnych zlepek i rozerwań: Cracovia, Kośmider, Perfect, Kaczyńscy... Także nagromadzenie kolorów i obrazów. Zarazem grube warstwy ogłoszeń i papierów, zlepione razem, pokryte częściowo białą farbą, przemieniają się w rodzaj masywnych tektur o poszarpanych krawędziach i własnej estetyce materii i faktury, zawsze ważnych dla artysty. W dziennikowych zapiskach wspominał fascynację wątkiem i osnową przy wpatrywaniu się materię utkaną i szytą. Obiekty w pracowni niekiedy wyglądają jak dekoracje teatralne z *papier maché*. Grube, twarde, płaskie bryły bywają również zwinięte w pozlepiane rulony z wyrzniętymi dziurami. Wśród bryłowatych form wciąż jednak pojawiają się brązowo-szare papiery, w tym towarzystwie wręcz delikatne.

Z drugiej strony na płaszczyznach pojawiają się przeważnie czarne plamy, smugi ściekające niczym w Pollockowskim *drippingu*, zachłapania, kropki, kreski i smugi. Czasem to jednak linie, które stają się konturami figur i przedmiotów, zawsze jednak pozbawionych detali. Trójkąty, prymitywne, „dziecięce” kształty domów, może znów siedząca postać.

Po wejściu do pracowni okazuje się zatem, że Piotr Jargusz to dadaistyczny „gromadzieciel”, spadkobierca *informelu*, *Fluxusowy* śmieciarz, malarz gestu i typowy Nowy Dzik, który działa szybko, dużo, szarpie, rwie, dotyka, wacha, mnie, miażdży, rozrywa, bezpardonowo narusza zasady i lekceważy tak normy akademickie, jak i ekonomiczne prawa (kpiarsko mawiając zresztą, że jego obrazy są „bezcenne”). Dokonuje gwałtu na dukcie, nie troszczy się o rysunkowe podobieństwo lub idealizację, ogranicza się czernią i tłumi się bielą, a potem wybucha kolorem. Łamie zasady rysunku i kompozycji, kolażowo miesza, czasem cytuje znaki i teksty. Prymitywista i banalista. *Jammer*, bo przecież ilość obrazów może zakłócić rynek sztuki.

Czy jednak na pewno? Okazywało się już, że wstępne wrażenie „bylejakości” bywa powierzchowne. Proste formy ujawniały jednak obecność zasad i wyważenia. Zestawy prac zachowywały porządek cykli. I tutaj nawet traktowanie materii to

13 Por. *Anty-Wystawa, czyli Wystawa Popularna*, <http://www.cricoteka.pl/pl/main.php?d=plastyka&kat=20&id=84&str=1> (11.02.12)[za:] *Tadeusz Kantor, „Komentarze intymne”, 1986-88, maszynopis Archiwum Cricoteki*, s. 11-12. Także: Wiesław Borowski, *Tadeusz Kantor*, Wydawnictwo Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1982. O *Tischruine* (1970-98, *Rauminstallation aus Texten, Kunst, Schrott und Abfall*) oraz związkach Rotha i Schwittersa por. np. http://de.wikipedia.org/wiki/Dieter_Roth (11. 02. 12).

nie tylko fakturowo-montażowe zamieszanie, ale też minimalistyczne bezokoliczniki (rwać, miażdżyć, skręcać...), krytyka „masowego” potopu obrazów, nadmiaru komunikatów i prymitywizmu popularnej kultury, zaś układanie prac, ujawnianie zamierzonego porządku, dopowiedzenia artysty i skupiona obserwacja pozwalają dostrzec, że tak jak choćby w wypadku Anselma Kiefera, w szaleństwie materii i energii kryje się własny rygor, wydarzenia i wypowiedzi, głębokie znaczenia tak często związane z tożsamością własną i narodową, dziedzictwem, genealogią, tworzeniem kultury¹⁴.

Obrazy na słupach pojawiały się w święta, szczególnie ważne w polskiej kulturze. Na nich i w samym działaniu obecne były religia, kulturowe toposy, symbole. Także i te, które zapoczątkowywały cykle, teraz kontynuowane i rozbudowywane. Święta polskie trwają w znakach na wciąż wykorzystywanym brązowo-szarym papierze. To krzyż, litery K+M+B. Mężczyzna niegdyś skulony, siedzący fraszobliwie, gotów jednak powstać w „Świętej Mocy” i wyruszyć w drogę *Viatorisa* jest i tutaj, wśród czarnokonturowych „Trzynastu Chrystusików”. Trójkąty to „święte dziury”. Mistyczna Trójca, Oko Opatrzności, zamknięty w sobie siedzący i klęczący, kobiece podbrzusze, dach domu. Grube płaszczyzny to metafizyczne Skrzydła i Parawany, które układają się w zagrody i znów w domy, z ich zadaniami ochrony, obrony, przechowania, utrzymania życia, poddawania się tworzeniu i zamieszkiwaniu, kobiecości gospodarzącej i kochającej, rodzinie, zatrzymywaniu ciepła, może też ograniczania...¹⁵ Kultura domu wpisuje się w naturę, bo na parawanach rysunkowe i malarskie smugi i plamy to Burza, Deszcz, Wiatr, Trawa. Jedność kultury i natury zrozumiała jest przez romantycznie wrażliwy lud, który tworzy Fujarki i piszczałki, Trąby (to owe dziurkowane rulony), używa Zaklęć, świętuje i wierzy, pisze ikony, czci symbole.

Szczególnie na Wschodzie. Gdzie duchowość i wiara, zmysłowość i uczucia pozwalają artyście z pozornego bałaganu i chaosu wywieść wspólnotę. Artysta jednak musi Wschodem myśleć i odczuwać, mieć siłę, energię, szaleństwo niepokornych Tatarów, Kozaków, polskiego szlachcica, zaborcy, władcy.

Jeśli zatem dzieła mogą często wydawać się „byle jakie”, „nietrwale”, niedopracowane, to może jednak rzemieślnicza niedoskonałość jest zamierzona? To szlachcic, z ducha magnat, książę, cesarz i chan, *fighter*, twórca o ambicjach Stworzyciela, a nie rzemieślnik. Udowadniał, choćby w „rudych aktach”, że umie rysować, malować, układać, ustawiać i komponować. Lecz nie wytrzymałby na przykład Balthusowskiej wieloletniej pracy nad jednym dziełem. Zbyt jest przepełniony energią, niecierpliwy, niepokorny, buńczuczny, gwałtowny. W sam raz po to, by stanąć w centrum wspólnoty widzianej przez własną, totalną zaborczość.

14 Por. Sabine Schütz, *Anselm Kiefer – Geschichte als Material: Arbeiten 1969-1983*, DuMont: Köln 1999, w wielu miejscach.

15 O „zamieszkiwaniu” i „zadomawianiu” por. Martin Heidegger, *Budować, mieszkać, myśleć. Eseje wybrane*, red. Krzysztof Michalski, tłum. tenże i in., Czytelnik: Warszawa 1977.

WSPÓLNOTA

Obfitość i rozmiar w pracowni teatralnych dekoracji, wraz ze znajomością Dziennika, wiedzą o podróżowaniu i działaniu powodują, że można doszukiwać się w działaniach artysty *Gesamtkunstwerku*. Tego związanego z idealistycznymi utopiami filozofów, dla których sztuka bywała nie tylko modelowym przykładem wspólnoty, ale i potrafiła przełamywać egoizmy naraz i własnych dziedzin twórczych, i - na innym, ale powiązanym poziomie - ludzkich postaw. Także przekraczać granice między naturą i kulturą, prowadzić do wspólnoty totalnej, ostatecznie metafizycznie zdeterminowanej.

Dlatego, jeśli uliczne akcje mają charakter happeningowy, a papierowe i tekturowe obrazy teatralnie przekształcają się w domy-zagrody z trawą i burzą, to oznacza to wspólnotę natury i ludzkiego zamieszkiwania kulturowo-twórczego. Wydarzenia i dzieła – mimo dyscyplinarnych różnic – są też jednym z zapisaną i czytaną litanią miejsc, nazwisk i wydarzeń zachodzących w historii i notowaną bieżąco, w Krakowie, w Polsce, na Wschodzie, w świecie i na poziomie transcendentnym.

Artysta tworzy bowiem wspólnotę pomiędzy dziedzinami sztuk, kultury i natury, ludzkimi klasyfikacjami i podziałami na różnych płaszczyznach. Ponadnarodową, ponadpolityczną. Historyczną i ponadhistoryczną. Transcendentną. To nie Unia Europejska, choć twórca wybiera się do Brukseli, ani rosyjska Wspólnota Niepodległych Państw, choć będzie w Tiumieniu. Wspólnota powstaje na poddanych kiedyś gruntownemu karczowaniu i splantowanych, wreszcie zabudowanych (te w Kamieńcu „120 nowych domów i watahy psów”) a przecież jakoś istniejących zgłiszczach I i II polskiej Rzeczypospolitej. Na pamięci wygnańców i o wygnańcach. Kraków, Warszawa, Teremiski, wcześniej ciągle Ukraina, Białoruś, kochający ludzie, nienawidzący politycy i urzędnicy. Trochę z pamięci, trochę z tradycji, trochę z przypadku ale bardziej z wyboru dokonywanego w trakcie podróży. Ale była i Bułgaria z Sofią (mądrością i światłem zawartymi w ikonach), i Słowacja z Warholowskimi Medzilaborcami (węg. *Mezőlaborc*, rus. *Меджульабірці*), i Italia z Pizą, *Campo Santo*, Florencją, Rzymem i niekończącą się listą renesansowych klasyków... I Syberia. Ale ta bez salonów, znana z opowieści rodzinnych, noszona w sobie. Syberia polska. Choć to Rosja, która, jak mówi Iwonka, żona artysty: „musi go lubić”.

Wybór jest zdeterminowany emocjonalnie. Bardziej niż poczuciem misji. Wynika jednocześnie z potrzeby tworzenia. Fundamenty *Viatorisowej* wspólnoty to energia i uczucia osobowej tożsamości Piotra Jargusza. To on kreuje wspólnotę.

To zatem nie tylko królestwo, jakie zdawała się rysować wizja hermeneutycznej interpretacji miejsc i ludzi z dziennika. Na pewno też nie demokratyczna republika, jeśli władą nią tak silny artysta. To raczej cesarstwo, imperium *Viatorisa*. Wielkiego zdobywcy ludzi, obrońcy pamięci, ale i artystycznego najeźdźcy. Lacha, Tatara, Kozaka, Sarmaty, człowieka Wschodu wędrującego z pozostawionej Zachodowi Polsce.

I wędrującego z Polski, nieustająco pozostawianej przez Zachód Wschodowi. Może decyzję o umiejscowieniu należy zatem podjąć samodzielnie? A potrzebna do tego jest silna wola i wizja. Nie tylko artystyczna.

Stosunek do działania, też materiału, ale szczególnie do ludzi, historii i granic, trochę kojarzyć się może z niegdysiejszą postawą Josepha Beuysa. Tym bardziej że Piotr Jargusz ceni swoją pracę nauczyciela rysunku i to, że sam się w niej uczy. Choćby „doceniać potęgę młodych oczu”. Jednak polski wrażliwy raptus to nie moralizator, ani też nie polityk. Raczej ten, który pokazuje na przykład, że choć w Polsce pisze się alfabetem łacińskim, to niezmiennie jest ona wschodnia w swej wrażliwości – i to stanowi o jej specyfice, tożsamości. To zresztą bycie na europejskich peryferiach, na pograniczu z Azją tak w Polsce cenił Beuys (obok Solidarnościowego wcielenia w życie wspólnotowego ideału „rzeźby społecznej”)¹⁶.

Jednak wrażliwość na różnorodność, wynikająca m.in. z doświadczenia pogranicza i poczucia kondycji „człowieka wielu opowieści”, to też coś innego niż postmodernistyczna płynność, czy Baumanowsko-Welschowskie zmienianie tożsamości w grze z coraz bardziej dynamiczną współczesną kulturą popularną¹⁷. Owszem, zdarza się zdarzenie wielu światów, jak np. w Medzilaborcach. Bywa też w dziełach wykorzystująca „śmietnikową materię” i obrazową opulencję krytyka nadmiaru i prymitywizmu masywnej kultury. Jest oczywiste i spontaniczne odchodzenie od niej w świat dziedzictwa re-konstruowanego. Jednak *Viatoris* nie wymienia tożsamości „stając się sobą” i nawet nie Benjaminowsko ucieka przed barbarzyństwem kultury i odszukuje zatarte ślady, ile raczej idzie po śladach-drogowskazach Skargi (w pamięci, w miejscach, *miscelaneach*) budując własną tożsamość i konstruując projekt – dzieło sztuki – siebie – świat¹⁸. W istocie bowiem nie tylko cały projekt *Viatoris*, ale całe życie, z dziennikiem, obrazami, podróżami, to dzieło. Synteza sztuk, a zarazem sztuki i osobowego bycia człowieka.

Początkowo znów wydaje się to paradoksalne i niemożliwe. Wspólnota ma przecież wpisane w siebie ograniczenie wolności¹⁹. Podbijając i anektując mniej lub

bardziej udanie, włączając do wspólnoty wielkiego *Viatorisa* z większym lub mniejszym sukcesem, Piotr Jargusz (który sam nienawidzi tego, co ogranicza i niewoli) powoduje, że i podbijany, i najeżdźca uświadamiają sobie, że walcząc o wolność, chroniąc ją, kultywując, rozważając czy od czegoś, czy ku czemuś, zawsze pozostają podwładnymi i zniewolonymi. Tak jak człowiek według Kanta nie potrafi pojmować inaczej niż w czasie i przestrzeni, według Heideggera nie potrafi dotrzeć do istoty fenomenu, którego nie doświadcza jako bycia w świecie, tak i ludzka istota nie potrafi chyba naprawdę doświadczyć i zrozumieć wolności²⁰. Wie, że jest, wyobraża ją sobie nazywając rajem, *nirwaną*, dąży do niej, w istocie zawsze jednak podporządkowuje się idei, prawu, zdaniu innych, Istocie Najwyższej... W ostateczności sobie (którego czasem znamienne nazwie Innym, by wskazać na dialog w sobie, który wszak też musi być „prowadzony”). Ten stan nazywa wolnością, choć przecież wciąż jest ktoś, kto włada. Nie umiemy być tak, by nie było władania.

Piotr Jargusz nie ilustruje filozofów ani nie powołuje się na nich. Wszakże rejestracja strumienia świadomości w dzienniku, malowanie spontaniczne, gwałtowne, nieustanne, pozostawianie studentom wolnej woli w działaniu w pracowni – to uwalnianie. Od interpunkcji, metody, hierarchii, oceny, porządku, dyscypliny. To próby wolnościowe. Zawsze na końcu pozostaje jednak uświadomienie sobie, że są ograniczone.

Na pierwszy rzut oka ograniczenie tych prób w wypadku *Viatorisa* jest oczywiste. To on sam – bohater projektu. Idąc jednak dalej – to artysta Piotr Jargusz. Wulkan energii wciąż trzyma wszak w ryzach wola wyjątkowo silnej osobowości *Viatorisa*-najeżdźcy.

Ostatecznie można dostrzec, że ten w drodze tworzący i zdobywca *Viatoris* sam uwalnia się dlatego, że zawsze jest spontanicznie metafizyczny. Dlatego, że całościowe dzieło to idealistyczna wspólnota. Taka według Fichtego, Schlegela i Schellinga, w której wyemancypowane ja, skupiając w sobie (nawet na drodze podporządkowania) różne dziedziny i obszary, osiąga ideał wspólnoty i nabiera cech absolutnych, zatracając wtedy egocentryczność ja, a wznosząc się na poziom uniwersalny²¹.

16 Por. Wojciech Włodarczyk, Nowy obszar sztuki. Działania i dokumentacje [w:] Sztuka świata, t. 10. Arkady: Warszawa 1999, s. 132; *Joseph Beuys - teksty komentarze, wywiady*, Oprac. Jaromir Jedliński, Wydawnictwo: Centrum Sztuki Współczesnej Sztuka, 1990.

17 Por. Zygmunt Bauman, *Tożsamość. Rozmowy z Benedetto Vecchim*, tłum. Jacek Łaszcz, Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne: Gdańsk 2007; Wolfgang Welsch, *Stając się sobą*, tłum. Jacek Wieteci [w:] *Problemy ponowoczesnej pluralizacji kultury. Wokół koncepcji Wolfganga Welscha*, cz. 1, red. Anna Zeidler-Janiszewska, Humaniora: Poznań 1998, s. 11-34.

18 Por. Barbara Skarga, *Tożsamość czy różnica oraz W drodze* [w:] *tejsze, Tożsamość i różnica*, Znak: Kraków 1997, s. 75-91 oraz 242, 274; Beata Frydryczak, *O zacieraniu śladów: Walter Benjamin i Fryderyk Nietzsche*, „Nowa Krytyka. Czasopismo Filozoficzne”, <http://www.nowakrytyka.pl/spip.php?article194> (10. 02. 12).

19 Por. Zygmunt Bauman, *Wspólnota. W poszukiwaniu bezpieczeństwa w niepewnym świecie*, tłum. Janusz Margański, Wydawnictwo Literackie: Kraków 2008.

20 Zmysły, które dostarczają nam wyobrażeń jednostkowych, gdy stykają się z rzeczami i doznają wrażeń, posługują się apriorycznymi narzędziami porządkowania (koniecznymi dla poznania, nie zbudowanymi na empirycznym doświadczeniu, idealnymi) - przestrzeni i czasem, por. Immanuel Kant, *Krytyka czystego rozumu*, tłum. Roman Ingarden, Antyk: Kęty 2001, w wielu miejscach; Władysław Tatarkiewicz, *Historia filozofii*, t. 2, PWN: Warszawa 1988, s. 168-169. Martin Heidegger, *Bycie i czas*, tłum. Bogdan Baran, PWN: Warszawa 1994, w wielu miejscach. Por. też http://pl.wikipedia.org/wiki/Martin_Heidegger (11. 02. 2012).

21 Por. Odo Marquard, *Gesamtkunstwerk und Identitätssystem* [w:] *Der Hang zum Gesamtkunstwerk. Europaeische Utopien seit 1800*, (katalog wystawy przygotowanej przez Haralda Szeemana), Verlag Sauerländer: Frankfurt/Arau 1983, s. 40-49; Johann Gottlieb Fichte, http://pl.wikipedia.org/wiki/Johann_Gottlieb_Fichte (16. 01. 2010). Postmodernista Welsh napisze, że Fichte ostatecznie głosi teoretyczne zaprzeczenie i zapomnienie o indywidualności.

Może zatem konstrukcja dzieło-projekt-osoba dopełniana jest nie tylko przez świat. Dzieło bowiem nie dzieje się tylko „w świecie” (choć Piotr nazywany bywa u odwiedzanych przez *Viatorisa* „człowiekiem świata” - jak powiedziała Irena ze Lwowa). Ani tylko w przestrzeni kultury. Budowaniu własnej tożsamości towarzyszy wszak ostatecznie doświadczanie śladów Platońskich – tych znaków metafizycznego. Może dzięki temu wykraczaniu wspólnotą poza świat pozostanie coś, kiedy już brak energii dla „bycia w drodze” *Viatorisa*, a waleczne zdobywanie zastąpi najpierw oczekiwanie, a potem to, co tak trudno nazwać?

METAFIZYKA

Piotr Jargusz to „szaleniec Boży”, bardziej misjonarz niż prorok, czasem *jurodivij*. Wprost wrażliwy na cerkwie, ikony, światło, procesje. Na to, że w Wilnie „ksiądz u św. Teresy zesłał nam Ducha Świętego”. Na misję i powołanie artysty. Malujący Oko Opatrzności, Chrystusa zmartwychwstającego i frasobliwego, transcendentne w symbolizmie kobiety, domy, skrzydła, skupionych modlących się i kontemplujących.

Pożądlivy, ale może jednak w miłości zmysłowy i duchowy naraz, łączący więc Erosa i ofiarną *agape*.

Kultywujący nieprzeciętną intuicję, wyrażającą się w działaniu wobec obecności tego, co duchowe, religijne, ale też miłośnicie kobiece albo dobre w wyrażanym sztuki byciu dla drugiego.

Konstruktor wspólnoty w przestrzeni sztuki, kultury i historii, ludzi, których połączenie wynika z Schlegelowskiego „wspinania się ku nieskończoności” i „swobody ducha” przekraczającego wszelkie granice²².

Wreszcie prorok. Pojmujący, że po to tylko „ma dobre geny, lubi walczyć, wychodzić w góry”, by odkryć skromną istotę tak artystycznie wywyższonych drogi i walki. I zapytać: „Czyż nie do bojowania podobny byt człowieka? Czy nie pędzi on dni jak najemnik? Jak niewolnik, co wzdycha do cienia, jak robotnik, co czeka zapłaty”²³. Odkryć istotę i zapytać jak doświadczony wojownik u kresu drogi, pojmujący podwładność, cierpliwość i pokorę. I wtedy dotrzeć do tej wolności prawdziwej, rzeczywiście nieograniczonej, absolutnej – czyli metafizycznej.

Może taki jest kres ekspansji najeźdźcy, re-konstruowania artysty, drogi *Viatorisa*? I ostateczna zdobycz człowieka.

22 E. Gieysztor Miłobędzka, *W obronie „całościowości”. Pojęcie Gesamtkunstwerk*, „Kultura Współczesna” 1995, nr 3-4, s. 73-94.

23 Hi 7,1-4.6-7.

VIATORIS. ROMANTYZM W CZASACH POSTMODERNIZMU

OBRAZY I MIEJSCA

Warszawę *Viatoris* odwiedził na przełomie kwietnia i maja 2012²⁴. Termin zgodny z *credo*, w którym napisał o ciekawości i tęsknocie odczuwanych każdej wiosny. Wcześniej malował obrazy już nie w lodowatej pracowni, ale w jednej z malarskich sal uczelni, bladym światem, zanim przyszli studenci. W tym właściwie dużym pokoju było ich za dużo, rozłożone na parkiecie mało odróżniały się od podłogi. Jednak brązowe papiery nalepione na słupach ogłoszeniowych wyglądały już inaczej. Rozmiar 100 x 70 cm. „Za duży na małe, za małe na duże”. Warszawa miała kategorycznie pilnować wielkości, jednak nieraz narzucało się wrażenie, że płaszczyzny są większe, że *Viatoris* opanowuje, anektuje całe słupy ogłoszeniowe. Bemowo, Żoliborz, Śródmieście. Szczególnie plac Wilsona. „Nie Łilsona tylko Wilsona” – napisze *Viatoris* – „bo tak mówią w Warszawie”. Napisze też, że na obrazach to „robociarze, mięśniacy”. Jednak w innym miejscu doda: „są chłopci, szlachcice, *Viatorisy* frasobliwi. Namazane po mojemu. Ale mi się podobają”. Pani w Kordegardzie powie o „malowaniu Chrystusików”. Artysta oburzy się najpierw: „To sytuacja... Filozofia. To figura retoryczna. Bóg, człowiek...”, a potem pomyśli „dziewczyna ma rację. W określeniu Chrystusiki zawarte jest całe ciepło. Cała relacja do takiego zobrazowania...”.

W stolicy, na pakowym papierze opatrzonym wyraźną czerwoną pieczęcią-szalonym *Viatorisa*, chyba rzeczywiście rzadziej pojawiają się chleby, znaki, konstrukcje

24 Por. Warszawa, *Viatoris* – obrazy uliczne Piotra Jargusza, 23.04-7.05 2012; druk ulotny.

domów, Oko Opatrzności. To raczej ludzkie figury namalowane gwałtownym ruchem pędzla, oparte najczęściej na czarnym konturze i miękkiej, szerokiej linii, które stoją w zamyśleniu, siedzą. Medytują? Eksponują swą cielesność, czasem widoczną muskulaturę, stabilne trwanie, mimo pospiesznej, zamazanej, powierzchniowej kreski.

Zwraca uwagę postać, stojąca w kontrapoście, trochę przesunięta w stosunku do osi arkusza pakowego papieru. Niektóre plamy mogą sugerować, że to kobiecy akt, tak jak i uniesienie rąk do góry, zwykle eksponujące biust. Jednak ekspresjonistyczna, Baconowska właściwie, deformacja posunięta jest tak daleko, że pozostaje jednak sama figura. Może to sam *Viatoris*?

Czarne grube, asfaltowe niemal kontury położone zamazystą linią na pakowym papierze kontrastują z wyraźnymi literami na plakatach będących tłem albo sąsiadem dla brązowo-szarych podobraz. Na np. różowych płaszczyznach w całości oblepiających słup ogłoszeniowy. Widać, jak *Viatoris*owe „obrazy uliczne” to zdecydowana, agresywna ingerencja nie tylko w przestrzeń Warszawy, ale i w dominującą kulturę masową, w obrębie której zorganizowana została Międzynarodowa Wystawa. Może dzięki *Viatoris*owi okazuje się, że to tylko giełda handlarzy biżuterią. Tylko widzących siebie w kulturotwórczej i „elitarniej” roli. I może zdenerwowanych: „któż nam tu takiego śmiecia wlepił?”.

Wyrazista jest też biała, przewrócona, klęcząca (może wstająca z klęczek?) figura, w której brąz pakowego papieru to tylko odgraniczenie do monumentalnie groźnych i wielkich, niby minimalistycznych w białych płaszczyznach, a przecież agresywnych plakatów Legii i Polonii, na których (ryzykownie?) nalepił się *Viatoris*.

Właśnie wspominając o tej leżąco-klęczącej formie, tak bliskiej dawnym postaciom skupionym w sobie, w modlitwie, pokłonie, ukorzeniu, chronieniu się, zamykaniu i błaganu zarazem, *Viatoris* przedstawi może zamierzone sedno swej warszawskiej wizyty: „Ulica jest samą uczciwością. Wiszę pokornie. I te moje olbrzymy i ten leżący całujący ziemię. Akurat rano w katedrze u św. Jana widziałem, jak kobieta wstając z klęczek, pocałowała posadzkę kościoła. I malowanie przez kilka miesięcy w ekstremalnych czasem warunkach, dało mi nie wiem co, ale dało. W tym poczucie jakiejś ważnej solidarności z innymi, siłę i wiarę, że wybrałem dobrą drogę. Mnie obrazy są potrzebne po to, żebym był”.

Warszawa potrafi urzekać urodą, historią i wiarą, Starówką, Świętokrzyską, kościołem Karmelitów, hotelem Bristol, katedrą, pamięcią o Trzecim Maja, o Popiełuszce, demonstracją w obronie Telewizji Trwam, słońcem, granatowym niebem, białą chmurką... Przede wszystkim jednak żywotnością i impetem, który widać w publicznych miejscach. Dlatego zdaje się domagać dialektycznego zderzenia z energią *Viatorisa*, który niestrudzenie tworzy, wiesza i lepi obrazy, anektuje miejsca i ludzi. „Na placu Wilsona powieszę sześć albo dziewięć. Ostatecznie przykleiłem dwanaście. Jeszcze cztery na Bemowie. Iwona z Olgą czekają [...] Kleimy kolejne siedemnaście w desz-

czu. Dobrze, że dziewczynki nie poszły. Iwona całą mokra. Leje. Od słupa do słupa. Pan z Warexpo dźwiga wiaderko z klejem. Też dostanie butelkę zubrówki. [...] O 23.00 kleję obraz na słupie. Takiego z rękami w dół. Robotnik 2012. Przyklejony. Wątpliwości, czy dobry. Dwa razy podjechałem. Popatrzyłem. Dobry. Ujdzie”.

Jednak Warszawa sama lubi kusić i narzucać innym swą wolę. Nie stara się zrozumieć. Widzi odpustowe Chrystusiki albo doraźnie popularny *street art*. Może nie przypadkiem to właśnie w zapiskach ze stolicy jest fragment listu od Danusi: „A chyba dlatego jestem ciekawa, że sama często nie bardzo rozumiem tego, co tworzysz, choć niektóre prace na mnie działają”. I odpowiedź: „Nie wiem, jak działają. Wiem, że działają. I o to chodzi. Na kogo ma działać, to działa. Przecież tyle jest innych możliwości. Nie należy się na to obrażać”.

Obrazy są po to, by dochodziło do aktu. Najpierw bycia ich autora. Tworzenia dającego wyraz naturze gwałtownej i natarczywej, a zarazem przewrażliwionej, samotnej, introwertycznej: „Malowałem rano moich Robociarzy. Na podłodze. Cztery podejścia. Wytworzyć temperaturę, a potem samo się maluje, samo się myśli. O... O czymś już zapomniałem powiedzieć... A potem przyszła myśl, że owocem mojego malowania ma być cisza...”. Potem też aktu publicznego wieszania-wlepiania pełnego fizycznego wysiłku i ekshibicjonistycznej odwagi, wreszcie aktu patrzenia i bycia widzianym. Bycia obrazów. Bo przecież „jako takie” nie są ekskluzywną wartością, luksusem, popisowym przedmiotem kupowanym przez snobów: „To moje malowanie w ogóle i szczególnie jest dobrym pomysłem. Papiery w cenie 90 groszy, farby ze sklepu chemicznego, galeria na słupach ogłoszeniowych. Totalna. O prostszy transport byłoby trudno. A wieczność i trwałość jest sprawą względną. Już 16 kwietnia. Maluję. Namalowałem trzy na Wilsona. Jakie, sam nie wiem”.

Tworzone szybko obrazy mają dać upust energii. Uwieść, zagarnąć, gromadzić wokół siebie tych, którzy je widzą, albo wiedzą o nich, wiedzą o procesie powstawania. I pozwalają tak, swoim patrzeniem i wiedzą, użyczeniem swojego wzroku, myśli i energii, obrazom na to, by były. Zarazem patrzący doświadczają swego istnienia. Mogą pomyśleć o własnej tożsamości

Tymczasem w Warszawie, wśród słupów ogłoszeniowych z naklejonymi obrazami, ludzie najczęściej tylko chodzą, rzadko przystają. Może czasem wyglądają, jakby sami z takich słupów zeszli, albo że właśnie na te słupy wchodzili. Chyba jednak tylko wyglądają. Częściej są obok. W stołecznym pośpiechu do wykorzystania szansy, uchwycenia intensywnego przeżycia i pozoru szczęścia, sukcesu. „Rozmawiam z dziewczyną z kwaciarni. Dlaczego na słupie i dlaczego takie smutne. Pe-sy-mis-tyczne”. Warszawę trudno będzie włączyć do wspólnoty formowanej przez nomada. Nawet mimo tego że Warexpo zgodziło się eksponować prace dwa tygodni dłużej. *Viatoris* podsumuje: „A w Warszawie duża ekipa. Za duża. Zawsze byłem w dwójkę, trójkę. Czego się spodziewam? Niczego. Kopa. Jestem z poza układów, jeszcze profesork

filozofujący (51). Jednym słowem dla wszystkich: obce ciało”. Dialektyka może zatem była, czy jednak synteza?

Może miejscem dla obrazów lepszym jest przestrzeń poza miastem? Szczególnie poza tym wielkim, pospiesznym, i w tej samolubnej dynamice obojętnym dla wędrowców, którzy chcą się zatrzymać, przeżyć spotkanie, pomyśleć. Zobaczyć, przypomnieć sobie...

„Dlaczego Białowieża? Bo Stefan Balukiewicz tam żył i zmarł. Bo kocham chodzić po lesie. Bo las mnie ciągnie. Bo go potrzebuję. Bo takich Teremisek jest wiele. Więcej niż Warszawa i Kraków. Chwytałem te wszystkie nitki. Stefan zostawił po sobie strzelbę i arabskiej rasy konia, którego dostał z zaprzyjaźnionego majątku. Za szczęśliwy nie był. Jego syn gdzieś w Rosji, a on w pałacu z tancerką”.

Teremiski to bujna i soczysta, zaborcza zieleń²⁵. Wśród niej oczekiwane żubry. Nagle, mniej oczekiwany, parawan, płot. Z tych, które powstały z krakowskiego, plakatowego, informacyjnego natłoku. Zaskakuje, bo jest papierowy, biało-szary. Miejski śmieć rzucony w samym środku polany. A może symbol szukania właściwej lokalizacji, miejsca ucieczki? Może nawet, mimo parawanowej prowizoryczności i tymczasowości, zadowolenia, zakotwiczenia?

„Zawiozę do Teremisek prawie całość. Papierowe rogi, trąby i fujarki. Skrzydła i wielkie mordy. Poustawiam na polach, bagnach, moczarach, trawach i łąkach. Na kurhanach i tam, gdzie patrzyłem co rano na dziki. Powieszę na gałęziach drzew. Zostawię. Niech zgnije i zamieni się z powrotem w ziemię, drzewo, las. Taka sprawiedliwość i pragnienie harmonii. Zostawię tam na zawsze. W puszczy. Nie mam potrzeby niczego palić. Mam potrzebę pozostawić czasowi, w słońcu, deszczu, na wietrze. Niech się stanie. To nie destrukcja. To transformacja. Ładniej – przemiana...”

Obrazy, rzeczywiście ostatecznie ofiarowane Teremiskom, teraz nie są miejskie, jeśli uliczne i znane bardziej z Krakowa niż Warszawy, to jednak bardziej wiejskie, leśne i polne, inaczej odnajdują siebie.

Drewniany dom, brązowe i szare deski z sękami, białe ramy okien. Na tym domu (może to ten „Mrozowskich, najbogatszy we wsi”, z kolorowymi łubinami w ogrodzie), przy narożniku, brązowy, pomięty pakowy papier. Na nim pieczęć *Viatoris*. Obrazy uliczne Piotra Jargusza i po prawej stronie czarny, pionowy kształt. Wierzby? Głowy zwierzęcia? Namalowany gwałtownie, z zaciekami, rozchłapaniami, czarnymi cętkami, z dwoma białymi plamami i rozcapierzonym, rozczochranym rozgałęzieniem w górnej części. Na powierzchni szyi-pnia tworzy się jednak graficzna struktura plamek i kresek.

25 Por. Puszcza Białowieża, czerwiec 2012. *Viatoris. Obrazy wiejskie, leśne i polne*. Projekt zrealizowany wspólnie z Uniwersytetem Powszechnym i Fundacją Jacka Kuronia. Obrazy подарowane mieszkańcom wsi tworzą domową prywatną kolekcję sztuki; druk ulotny.

Albo deski szerniałe, pomalowane na brązowo ramy okien i słupki podpierające daszek z poszarzałej, brudnej falistej płyty bitumicznej. Czy to tam zdarzył się eternit na dachu? Na ścianie szaro-jasnobrązowy papier z namalowanym czarną farbą przechylonym trójkątem z okrągłą plamą i trzema białym rozbłyskami ponad jego szczytem i grubą pionową, jakby podwójną kreską pod nim. Przewracająca się kapliczka? Kontury siedzącego *Viatorisa*? Oko Opatrzności? Gdzie indziej trójkąt z kreskami-smugami-błyskami widnieje na papierze pakowym wsuniętym pod charakterystyczne dla białowieskich domów narożne deski kryjące węglowe wiązanie na zrąb²⁶. Obecny jest także „siedzący”. Tu z dzieckiem na kolanach i jakby siedział za drewnianym stołeczkiem przy rogu domu. Obok zielone ramy okien.

Wreszcie trójkątny szczyt szarej, rozpadającej się chałupy-stodoły, pięknej na tle brzoź, ale zasłanianej przez agresywny barszcz Sosnowskiego, wyróżnia nagle umieszczona w jego centrum duża, brązowa płaszczyzna z czarnymi konturami (tacek, napiętego żagla, wygiętego trójkąta Oka Opatrzności?) oraz białymi, czerwonymi, różowymi plamami. Może to ta „Drewniana chatynka w zaroślach, klepisko. Gdzie się można modlić? Stare krosna”, gdzie „Paweł takeruje...”?

Obrazy wiszą „po polach, po domach, po drutach”, mieszkańcy chcą, by wisiały „u nich” i dziękują. Przyjaciele chcą wieszać - obowiązuje hasło: „przyjdź, dam, weźmiesz, powiesz”. Próbuje widzieć i interpretować figury: „dziwaczna ręka, jakby cięła powietrze”, szczerze oceniają: „obrazy są, jakie są, ale są uczciwe”. „Są” chyba jednak przede wszystkim ludzie, którzy na nie patrzą. Zajmują się nimi. Biorą udział w działaniu *Viatorisa* i konstruowanej przez niego wspólnocie tych, którzy widzą, myślą, rozmawiają, działają. To ludzie konkretni: Paweł Passini, Kasia Winiarska, Artur Charzytonow, Krzysztof Wiślocki. Siedzą razem z Piotrem i Iwoną przy drewnianym stole, na nim wódka i piwo Żubr. Błyszczące oczy i spokój. „Dają sobie spotkanie, kiedy się myśli o swoim życiu”. Albo stoją - mężczyźni, pies i piwo na płocie. „Paweł gada z Józefem pod sklepem”. Są w tym świecie. Są jakby bardziej naprawdę. Tak, jak naprawdę mają zaistnieć obrazy.

OBRAZY I DZIAŁANIA

Viatoris działa wśród nich, „daje spotkanie”, wiesza i ustawia prace, rozmawia, wstaje o trzeciej rano ze wszystkimi, żeby zobaczyć żubry przy drodze oraz niespodziewanego eleganta w lakierkach, chce przeprowadzić warsztaty dla dzieci, ofiaruje dzieła. Chce, żeby obrazy były, żeby wisiały i były widziane, żeby natykano się na nie i o nich wie-

26 Artur Gaweł, Mirosław Stepaniuk, *Zdobnictwo drewnianych budynków*, Instytut Zrównoważonego Rozwoju: Białystok brw, http://www.zielonetechnologie.pl/html/pubonline/downloads/Zdobnictwo_drewnianych_budynkow.pdf (dostęp 20. 06. 2012).

dziano, by zmieniały świat („obraz ma działanie sprawcze”), trwały. A jeśli zniszczają, to by stały się częścią natury i tak trwały dalej. To ich życie, a zarazem część jego wysiłku. Artysta wpisuje się w naturę i istniejącą w symbiozie z nią kulturę rodzimą, spontaniczną i oczywistą. W przestrzeń inną niż wypełniana przez ogłoszeniowe słupy. Jednocześnie publiczną i „swoją”.

Chyba jednak nie tylko przestrzeń jest inna. Tutaj są konkretne osoby i bezpośrednia rozmowa. Czas płynie inaczej. Inne jest zatem działanie, a przez to może i inne stają się obrazy, tak jak tego pragnie ich twórca.

Piotr pamięta obrazy, myśli nimi (nie tylko o nich), tworzy je, wyszukuje miejsca różnych lokalizacji w przestrzeniach, w których będą mogły działać nie swym mimetycznym powtarzaniem rzeczywistości, ale istnieniem, świadczeniem o działaniu i tworzeniu, przypominaniem o właściwości miejsca, w którym się znalazły, o historii. Artysta z właściwą sobie energią chce wymuszać myślenie patrzenie. Można dostrzec w jego aktywności przykład zwrotu ikonicznego²⁷. Prace plastyczne są Beltingowskim „wyrazem symbolizacji”. Na pewno indywidualnej. Ale chyba też kolektywnej - intuicyjnie i w świadomym zamierzeniu. Sama figura *Viatorisa*, wędrowcy, nomada, człowieka w drodze, patrzącego w gwiazdy, „zdobywcy, uciekiniera, najczęściej jednak przechodnia”²⁸, obecna na wielu obrazach, przesiąknięta jest odniesieniami symbolicznymi. Oko Opatrzności, Chrystus, klęczący, robociarze, chleb, drzewo, kamień, to nie mimetyczne naśladowanie, reprezentacja, ale z pewnością znaki odsyłające do poziomów znaczeniowych związanych z pracą, prostotą, dumą i pokorą, medytacją, modlitwą, metafizyką. Dzieła plastyczne, ale też refleksje, i cała aktywność Piotra Jargusza (pieczętowanie dokumentowana fotograficznie) zdaje się wpisywać w zdania Beltinga o tym, że „Za pomocą obrazów bronimy się przeciw ucieczce czasu i utracie przestrzeni, których doznajemy w naszych ciałach”²⁹, albo też o tym, że współczesny artysta ma jakby wkraczać w tożsamość i stawać się częścią dziedzictwa po to, by wspomóc ofiarowanie starego „ja” na rzecz jego kolektywnej rekonstrukcji jako części nowego dziedzictwa³⁰. Wspólnota konstruowana wokół *Viatorisa* to chyba takie „nowe dziedzictwo” skonstruowane jednak wyraźnie na tym, które istnieje i jest kultywowane.

27 O tzw. „zwrocie ikonicznym” por. Anna Zeidler-Janiszewska, *O tzw. zwrocie ikonicznym we współczesnej humanistyce. Kilka uwag wstępnych*, <http://www.asp.wroc.pl/dyskurs/Dyskurs4/AnnaZeidlerJaniszewska.pdf> (04. 04. 2012); Hans Belting, *Antropologia obrazu*, Universitas: Kraków 2007; William J. Thomas Mitchell, *Picture Theory* [za:] James D. Herbert, *Masterdisciplinarity and the 'pictorial turn.'* – art history “The Art Bulletin”, Dec, 1995, http://www.findarticles.com/p/articles/mi_m0422/is_n4_v77/ai_17846035, (15. 11. 2006).

28 Piotr Jargusz, *Viatoris*, Kraków 13 V 2012, <http://www.piotrjargusz.pl/> (24. 07. 2012).

29 Hans Belting, *Antropologia obrazu*, Universitas: Kraków 2007, s. 84.

30 Por. tamże, s. 88.

Działania *Viatorisa* z obrazami to także „wydarzenia wizualne”³¹, które prowokują do refleksji wykraczającej poza historię i krytykę sztuki albo estetykę, w stronę socjologii i filozofii.

Ważne, gdzie dzieła są wlepiane lub wieszane. Powierzchnia, na którą się nalepia albo w którą wlepia, kształtuje znaczenia, najpierw jako miejsce ogłoszeń w przestrzeni publicznej, później przez to, co ogłoszenia mówią. Uderzająca jest różnica między krzykliwą barwą i komunikacyjnym agresywnym natłokiem miasta a spokojną szaro-brązowo-czarną powierzchnią drewna wpisującego się w monumentalną całość natury.

Ważne jak. Dziś wlepiane *Viatorisy* mogłyby bezpiecznie i taniej ograniczać się do przestrzeni Internetu (gdzie i tak są)³² i korzystać z ulubionego narzędzia komercyjnych grafików komputerowych, tzn. photoshopa. Piotr Jargusz jednak wkracza, ingeruje, napada, niektórym pewnie niszczy, denerwuje, prowokuje – obecny fizycznie, nie wirtualnie.

Werbalna refleksja mówi o tym, że obraz to ślad, znak, zakłęcie i drogowskaz „jak krzyż Tuarega, który dorastający syn dostaje od swego ojca. Jako talizman na drogę, znak czterech stron świata i prognostyk przyszłego spotkania”. Że powstały w ekstremalnych warunkach i najlepiej ofiarowany nie tylko trwa, ale i ma siłę sprawczą, moc zmieniania. *Viatoris* lubi posługiwać się siłą. Epatować. Ilością, gwałtownością, zaskoczeniem, kontrastem. Zmuszać do interpretacji symboli. Lubi budzić myśli, zmysły i uczucia.

Charakterystyczne dla „zwrotu ikonicznego” jest zaufanie do obrazu, który „jest oczywistością. Zwyczajnością. Codziennością. I przedmiotem, narzędziem i bytem duchowym. Szukanie obrazem jest zarówno potrzebą zrozumienia, jak i potrzebą spotkania. Obraz malowany niesie ważną precyzję. Definiuje niedefiniowalne”, „może uczynić lepszym człowiekiem”. Jednak okazuje się ono przekształcać w aktywność, którą powinny szerzej badać *visual studies*, rozumiane w kontekście rozważań Mieke Bal i Anny Zeidler-Janiszewskiej, a więc może jako krytyczne studia transdyscyplinarne nad synestetycznym doświadczeniem i jego kulturowym sposobem pojmowania, które czynią widzialnym i rozumianym³³. Synestetyczność jest tutaj rozumiana szeroko, wraz z doświadczeniem intelektualnym, ale warto może pamiętać słowa artysty o smakach, zmysłowym doświadczeniu natury, doznaniach

31 A. Zeidler-Janiszewska, dz. cyt., s. 15.

32 Por. <http://www.piotrjargusz.pl/>

33 Por. Mieke Bal, *Wizualny esencjalizm i przedmiot kultury wizualnej*, tłum. Mariusz Bryl, „Artium Quaestiones”, t. XVII, s. 295-331, oraz Anna Zeidler-Janiszewska, *Visual Culture Studies czy antropologicznie zorientowana Bildwissenschaft? O kierunkach zwrotu ikonicznego w naukach o kulturze*, „Teksty drugie” 2006, nr 4 (100), s. 12 i następne.

erotycznych, czy wprost o „błądzeniu w hałdach” rzeczy, zapachów, zwierząt, ludzi konkretnych, obrazów, pamięci.

ZWROT PERFORMATYWNY

Postrzeganie *Viatorisa* poprzez współczesną refleksję o tym, co wizualne, o wszechstronnym doświadczeniu, wreszcie przez teorię zwrotów, prowadzi też do koncepcji „zwrotu performatywnego”³⁴. W hollywoodzkim filmie Piotra Jargusza nazwano by chyba „mianiakiem akcji”. Sam pisze o sobie: „ledwo nadażam za sobą, a potem śpię”, pyta „Czemu mam takie podkrążone oczy. Opaszą cię i powiodą. Taka prawda. Dobrze jest teraz. Potem będzie coraz trudniej żyć. Zdążyć z podróżami. Ze wszystkim, co najważniejsze. Nie tracić czasu. Na skróty”. Działa gwałtownie, niecierpliwie, nieostrożnie eksploatuje siebie. Pragnie podejmować decyzje, przeprowadzać zamierzenia, realizować projekty, dokonywać aktów, tworzyć, spotykać się, rozmawiać, wkraczać w świat, opanowywać go i dostosowywać do siebie. Jest „inicjatorem i sprawcą”, „mocnym podmiotem” i jakby wprost spełnia wiele elementów definicji: „W centrum zainteresowań zostaje postawiona zatem kategoria zmiany jako wartości pozytywnej oraz aktywny (sprawczy) podmiot (podmiot performatywny), który tworzy się poprzez zmiany i powoduje konkretne zmiany w otaczającej rzeczywistości, zwłaszcza poprzez wydarzenia”³⁵.

Jednak *Viatorisowe* zmiany i wydarzenia, choć są przykładem energetycznej aktywności „w świecie”, mają charakter inny, niż ten opisywany np. przez Ewę Domańską. Świat powinien się przemieniać i modyfikować swój stosunek do własnego dziedzictwa nie dlatego, że skonstruowane zostanie „dziedzictwo” zupełnie nowe, ale przez to, że przypominać się mu będzie o tym, które ma i które zapomina. To wokół tego, co prawdziwie dziedziczone (tu: pamiętane przez *Viatorisa* i obecne w jego obrazach), powstawać ma wspólnota. Jednak nie buntowniczy, polityczny, lewicowy kolektyw broniący interwencyjną „sztuką krytyczną” mniej lub bardziej „wykluczonych”. Bardziej utopijna przestrzeń, w której egoizmy i granice przełamuje sztuka³⁶.

Jest co prawda „koperformatywność” z innymi podmiotami. Nawet więcej niż w doświadczeniu. Nie tylko widzowie, słuchacze, czytelnicy są upragnieni, ale i współ-podróżujący, współ-organizujący, współ-wieszający. Nawet ulegając zaborczo-

34 Por. np. Ewa Domańska, „Zwrot performatywny” we współczesnej humanistyce, „Teksty drugie” 2007, nr 5 (101), s. 48-61.

35 Tamże, s. 52.

36 Por. Odo Marquard, *Gesamtkunstwerk und Identitätssystem* [w:] *Der Hang zum Gesamtkunstwerk. Europäische Utopien seit 1800*, (katalog wystawy przygotowane j przez Harald Szeemana), Verlag Sauerländer: Frankfurt/Arau 1983, s. 40-49.

ści Piotra w ograniczony sposób i śledząc działania *Viatorisa* z dystansu, rzeczywiście staje się trochę pożądanym przez niego badaczem i interpretatorem biorącym udział w „akcji”, w swoiście „wrażliwym na odgrywanie sposobie zdobywania wiedzy”³⁷, charakterystycznym dla „zwrotu performatywnego”. Również w sensie dosłownym, wszak nowością jest wiedza może nie o Krakowie, ale np. o stosunku warszawiaków do placu Wilsona (nie Łilsona), białowieskim budownictwie czy kształtach i kolorach łubinu - owszem.

Czy jednak koperformatorzy mają również tworzyć własne obrazy i wieszać je wraz z Piotrem? Albo pisać o czymś innym niż *Viatoris*?

Chyba nie. Wspólnota ma powstawać wokół niego i tego, co on kultywuje. *Viatoris* to „mocny podmiot”, ale podmiot w sztuce samotny, a w tworzeniu wspólnoty zdecydowanie romantyczny.

VIATORIS ROMANTYCZNY

O obrazach jako przedmiotach powstających, tworzonych i prowokujących do działania, przemieniających, i tak przejmujących rolę podmiotu, Piotr Jargusz pisze przywołując element naturalizmu, znajomości historii sztuki, nawiązując do kondycji współczesnej kultury, ale i odwołując się do tradycji kontemplacji, świętości i wspólnoty powstającej wokół takich wartości: „Dlaczego często swoje obrazy rozklejam na ulicy? Na ulicznych słupach ogłoszeniowych? Największe kontemplacyjne obrazy malarze malowali, słuchając kwiku podrzynanych na jarmarku kogutów, do Boskich Matek pozowały im służebne dziewczyny, a świętymi bywali kościelni żebracy. Oni też byli ich pierwszymi oglądającymi, widzami, świadkami swojej transformacji. Przemiany”.

Aktywność, działanie, nieustająca „akcja”, która rozwija się nie tylko w kształtującym tożsamość dialektycznym napięciu Piotr Jargusz i jego dziedzictwo - współczesny artysta – *Viatoris* czy starciu z malarską materią, ale i w relacji z odbiorcami, często nazbyt obojętnymi, urzędnikami – niechętnymi artystom, czasem też Polakom, krytykami – nie dość entuzjastycznymi, nazwać można dramatem. W kategoriach teatralnych brak tu oczywiście jedności miejsca i czasu, to raczej totalna sztuka w stylu Roberta Wilsona, dziejąca się w wielu miejscach świata i różnym czasie. Albo współczesny dramat romantyczny.

Jest tu kompozycja kontrapunktyczna zestawiająca porządek metafizyczny przywoływany na różne sposoby, porządek obrazów i porządek wydarzeń związanych z działaniami *Viatorisa*. Te są jak najbardziej synkretyczne. Malarskie, pisarskie, fotograficzne, performatywne w wieszaniu obrazów, spotkaniach, rozmowach, podró-

37 Por. E. Domańska, dz. cyt., s. 60.

zach. Zachodzą dzięki aktywności romantycznego bohatera – wiedzącego więcej, ale uwikłanego tragicznie w wybory między wolnością artysty i nie rozumiejącym go „światem”: „Pomalowałem Siedzących. Ale jestem zadowolony, kiedy sobie tak maluję. O to pewnie chodzi. Na co mi to zabieganie, zapraszanie... Do tej pory byłem wolny. Wynajmowałem od Filmotechniki słupy i sam za nie płaciłem. Trzeba się było tego trzymać. Ale prawda, że bez pieniędzy z grantu nie zakleiłbym Warszawy, nie pojechał do Białowieży i w końcu na Syberię. Ale cały sens moich obrazów ulicznych jest w wolności i stwarzaniu ważnej sytuacji”. Bohater romantyczny działa, mimo samotności wynikającej z owego niezrozumienia, jako „mocny podmiot”, którego stać na konstruowanie totalnej, utopijnej wspólnoty wokół siebie. Warszawa, Teremiski, Tiumeń, Bruksela i działania w nich to jednak nie modernistyczne zacieranie granic między miastem i wsią, albo różnymi narodami, ani też nie nowoczesna rewolucja, ale raczej utopijny *Gesamtkunstwerk* romantycznie pomyślany jako zgromadzenie wokół jednostki. Może to też akt będący czymś więcej niż kultura (czyż Heideggerowska krytyka sprowadzenia działania człowieka tylko do niej, nie wyrasta z romantycznej tradycji i filozofii niemieckiego idealizmu?)³⁸.

Viatoris - malujący, działający, piszący, mówiący, obierający drogę podróży na romantyczny sposób artystycznie „rozpamiętuje przeszłość”. Wciąż pamięta o historii, z historii wyrasta, w historię wierzy. Tak jak w naród: „Mam dla tej swojej Polski wiele czułości. Może po prostu ją z Iwoną kochamy. Moja polskość objawiona...”. Jak typowy romantyk chce, by w jego działaniu, tak jak w historii, dziejach narodu, sztuce, doświadczać aktywności Hegłowskiego „absolutnego ducha”.

Nawet kiedy patrzy się na Piotra Jargusza, to przypomina się niekiedy Daniel Olbrychski z filmów Andrzeja Wajdy. Może nie aż tak przystojny, jednak podobnie poruszający się, silny fizycznie, reagujący emocjonalnie, a nawet postępujący czasem jak ekranowi bohaterowie Polskiej Szkoły Filmowej. Sam artysta pisze, że *Viatoris*, czyli jego „projekt życia” (a zarazem alter ego) to „Osoba wędrująca w nadziei, że zaspokoi swój duchowy głód”. „Koperformatorzy”, uczestnicy wspólnoty, mają pomóc go zaspokajać. Dobrze, jeśli nie tylko w organizacji, wieszaniu obrazów, „pisaniu o”, ale i w kontemplacji, spotkaniu, rozmowie, może we „wrażliwym na odgrywanie” kulturowaniu dziedzictwa. Kolektywnym ono bywa, może nie przez Stefana Balukiewicza, który był leśniczym w Białowieży, ale przez tych dziadków i pradiadków, którzy na różne sposoby doświadczały kobiet, lasu, wojen, Wschodu i Zachodu. O których wielu

38 Świadectwem kryzysu świata było wg Heideggera „odbóstwienie” świata, odchodzenie od istoty bycia [różnego od bytu], rzeczowości rzeczy, sprowadzanie bycia do wyglądu, języka tylko do narzędzia komunikacyjnego, działania ludzkiego tylko do kultury, a sztuki do estetyki. Por. Martin Heidegger, *Czas światooobrazu*, tłum. Krzysztof Wolicki [w:] M. Heidegger, *Budować, myśleć, mieszkać. Eseje wybrane*, Czytelnik: Warszawa 1977, s. 128-129 i następne.

może przywołać podobne wspomnienia: „Spotkanie z pradiadkiem. Patrę na ślad jego noża w spodzie krzyżyka, który sam zrobił. Pracowicie ścinany, żeby było równo. Patrę na wyślizgane, miodowe, ponadstuletnie, stuipiętnastoletnie drewno. Ożywa. Czuje je. Patrę, czy wiem, że będę patrzył. Tak będzie. To będę widział. I tę datę 4 marca 1894 . To było na Syberii”.

A może najbardziej wspólnym jest i dziedzictwo, i dziejąca się współcześnie sztuka, przez owego absolutnego ducha, który tutaj ma być tym naprawdę prowokowanym i tym prawdziwym „ko-performatorem”. Przedmiot duchowego głodu ma stać się współpodmiotem, partnerem w tworzeniu. Przede wszystkim ta wizja Piotra Jargusza jest romantyczna. Owszem, jego działania wypełniają formalne znamiona sztuki czasu zwrotów „ikonicznego” i „performatywnego”. Jednak idea zawarta w twórczości, może nie zawsze w sposób do końca świadomy, jest w istocie romantyczna. Szczególnie przez stosunek do metafizyki. Obecnej nie tylko wprost, albo przez symbole, ale przede wszystkim w postawie twórczej, w spontanicznym przywoływaniu „absolutnego ducha”.

I choć brzmi to zapewne szalenie staroświecko, to jednak ciekawym wydaje się pytanie, czy biorąc spontaniczny udział w wydarzeniach przynależnych postmodernistycznym, transdyscyplinarnym zwrotom, można pozostać romantykiem, wyznawcą absolutnego ducha (którego, co prawda, artysta decyduje się prowokować), wreszcie po prostu człowiekiem wrażliwym na metafizykę?

Czy to jest ostateczny rezultat sytuacji, o której Ewa Domańska napisała: „Nacisk na podmiot sprawczy, podmiot tworzący się poprzez działanie, przywraca mu moc i wyprowadza z postmodernistycznych mielizn”?³⁹

A może *Viatoris* po prostu wyprzedza czas. Bo kiedy dominować już będzie ostatecznie, nie tylko w sztuce, lewicowy kolektyw wykluczonych, wyzwaniem będzie odbudowa zdekonstruowanego dziedzictwa z jednej strony, zaś połączenie kultury, natury i ludzi we wspólnotę możliwą tylko w perspektywie metafizycznej.

ROSJA, BERLIN I PAMIĘĆ PRZYDROŻNA

XAMIEŃ

Nowa pracownia Piotra jest przy ulicy Dietla w Krakowie. Tradycyjnie wysoko, pełna światła i zimna, choć na chwilę może ją ogrzać gazowy piecyk. Na ścianie wisi krzesło podarowane przez mieszkającego niedaleko Wiesława Obrzydowskiego. Siedziałem na nim, wyjątkowo zdjętym ze ściany i funkcjonalnie zastosowanym, może dlatego że kiedyś pisałem o krakowskim malarzu – protoplaście Nowych Dzikich. Może to nie przypadek, że tekst ukazał się w „Kresach”...

Jak zwykle na podłodze leżą obrazy. Na brązowszarych papierach namalowane są nieforemne kształty. Gruby czarny kontur otacza je linią niekiedy wygiętą tylko, częściej łamaną, poszarpaną. W wyznaczonym nią obrębie obficie położona biel (na słupach będzie fluorescencyjnie świecić w ciemności) ciemniejąca sino w wielu miejscach, przerywana krótkimi, czarnymi, szerokimi kreskami. Znać energiczny ruch ręki i dukt dużego pędzla. Albo rozcierający farbę ruch szmaty, gdy zbrakło tego narzędzia. Kształty przypominają bryły, głazy, skały, góry. Czasem może wór, plecak, pudło, chałupę, trumnę, abstrakcyjny trójkąt... Wokół nich sporadycznie pojawiają się czerwone plamy, czasem szeroko rozlewające się. Także białe punkty i zacieki, ślady zamasytostego ruchu ramienia malarza i gwałtownego naporu, nie zważającego na detal i niechęć materii. Przecież nacisk i gwałt właśnie ją przedstawi. Taką, która potrafi dać opór albo podstępnie ustąpić, pozwolić na poślizg. Po to wszak, by na siebie zwrócić uwagę, zmienić tor, wyznaczyć drogę, uderzyć, dać się zapamiętać...

Kształty na papierach to kamienie. Często sąsiadowały z prawdziwymi, położonymi na papierach, modelami malarskimi i zarazem narzędziami przytrzymującymi ulotne płachty, jakby uczestnikami gry między kamieniem i papierem, w której papier, tym bardziej ten malarski, zwycięża. Chociaż...

Kamienie, resztki betonowej konstrukcji, może słupa, z fragmentami zbrojenia, zobaczyłem na pierwszej chyba z fotografii z syberyjskiej podróży *Viatorisa*. Wtedy był to *Strannik*, albo raczej Странник. Nie tylko wędrujący i piszący malarz, ale i bohater obrazów-fotografii. I fotograf sam, bo nawet jeśli nie on naciskał spust migawki, to przecież wyznaczał miejsca i kadry.

Siedzi na jednym z chropawych kawałków betonu, uśmiechnięty, na bezchmurnym niebie świeci słońce, w oddali zielenieje las, widać dachy chałup Jartarki. Do *Strannika* łąsi się pies. W innym miejscu stoi obok, to pewnie ten, który zjadł „dziewięć parówek” i wystąpił w pierwszych poznanych przeze mnie słowach o Syberii. Razem z kurczakiem, kotami, krowami, owcami... Lasem, trzęsawiskiem, błotem, mokradłami, cerkwią... Zapachem ziemi pragnącej pocałunku, odnalezionymi sosnowymi borami, drzewami, trawą. Tym, co sprawia rozkosz i wywołuje zachwyt malowania. Kamienie, nawet jeśli to resztki słupa elektrycznej sieci, „cywilizacji”, stają się tu częścią natury, wszechwładnej i totalnej, pochłaniającej nawet zbrojony beton.

ROSJA

Tak miało być? Wszak dla Polaka w Rosji „wszystko rozłązi się, rozcieńcza i tonie w tej nieobjętej bezforemności. Rosja – przestrzeń z jednej strony bezkresna, szeroka, z drugiej – tak przytłaczająca wielkością, że zapiera dech i nie ma czym oddychać”⁴⁰. *Strannik* znakomicie odnajduje się w gwałtownej i wielkiej naturze oraz chaosie tworzącym, ale i niweczącym cywilizacyjne wysiłki. Niczym w artystycznym paralelizmie oddają one jego własną mentalność i sposób bycia – nieustającego i gwałtownego podróżowania i przemieniania, przekraczania granic państw i dziedzin sztuki. Jednak inspirowane Bierdiajewem i poprzedzające powyższy cytat słowa o tym, że ogrom Rosji nie sprzyja skupionemu napięciu i „tworzeniu dynamicznej, intensywnej kultury” *Strannik* nie do końca aprobuje.

Woli raczej Mariusza Wilka, którego słowa o „macaniu kamienia” cytuję i całym sobą zgadza się z przekonaniem, że „Rosję trzeba przeżyć”⁴¹. Po to, by przyjąć jej

prowokujący ogrom, wyzywającą moc i gwałtowność, budzącą męską energię gdzie indziej utraconą... Kielżnaną jednak i tu - wolą, pamięcią, rodziną, historią, Polską - we własny malarsko-literacki, symboliczny świat...

Ponownie więc, jaka odkrywa się ta przeżywana Rosja? Zaspokaja instynkty: głód oczu, pragnienie doznania, poznania i zdobycia, tworzenia, wyznaczania dróg. *Strannik* żyje smakowitym, chłodnym i czystym powietrzem, jasnym światłem, kolorem, gęstą wodą, twardą ziemią, bogatym lasem, ludźmi i zwierzętami. Na zdjęciach nawracają: błoto, mokradła, rozjeżdżone drogi, las, mokradła, łąka z pojedynczymi krzakami, kamyki żwirowej drogi... Czerń – matowa maź rozbłyskująca jednak refleksami i śliska wodą, beże i żółcienie traw i wysuszonych fragmentów gruntu z sinobłęskimi kamykami żwiru, zieleń głęboka, soczysta, kusząca do zagłębienia się, skosztowania, rozjaśniająca się im bliżej światła, ostry błękit bezchmurnego nieba i przejrzystego powietrza albo powoli nadciągające chmury, z których tworzy się biała kołdra, już pierzasta i puchata, ale i jeszcze dziurawa, przetarta, błękit nieba nie daje się zupełnie zasłonić. Czy to jak u Wilka na Wyspach Sołowieckich, gdzie „ryżo jarzyły się suche trawy. Wyżej bezlistne brzozy, gąszcz ciemnobordowy, z białymi maźnięciami pni. A nad nimi cierpka zieleń jodeł i rozświetlony błękit wiosennego nieba”⁴²? Niezupełnie, bo choć *Strannik* przeżywa Rosję, a z jej natury czyni figurę rosyjskiego zachłannego ogromu i powolnej siły (tak jak i Kapuściński, i Wilk) to jednak nie zadowalają się, bo przecież jest w drodze wyznaczanej samodzielnie, z drogowskazami ważnych dla siebie tematów⁴³. Rosja przeżywana przez *Strannika* je wywołuje.

DROGA

Niby nigdzie albo raczej „po drodze”, więc jest szopa-chałupa, pies, rozrzucone nawet nie ruiny... Wioska czy zapada się? Drewniane domy: zrębowa konstrukcja, tradycyjne malowane zdobienia ościeży okien... Takie jak w Teremiskach? Albo przynajmniej podobne... I eternitowe dachy rodem z ZSRR. I współczesna antena satelitarna. We wnętrzu domu potężny żeliwny piec, w którym palenisko żarzy się w smolistej czerni, jak okienko otwarte na światło i ciepło, wabiące nie tylko nadzieją bezpieczeństwa, ale i intensywnością zatracenia się w gorącym przeżyciu. Dwoje starszych, posiwiiałych ludzi, on nie widzi, obejmują się, opiekują gromadką dzieci, pochodzących nie tylko

40 Ryszard Kapuściński, *Imperium*, Czytelnik: Warszawa 1993, s. 42. Por. też. Nikołaj Aleksandrowicz Bierdiajew, *Źródła i sens komunizmu rosyjskiego*, tłum. Henryk Paprocki, Antyk: Kęty 2005.

41 Por. Mariusz Wilk, *Wilczy notes. Zapiski sołowieckie 1996-1998*, Słowo Obraz/Terytoria: Gdańsk 1998, s. 12, 14 i w wielu miejscach. Słowa Piotra Jargusza przytaczam za notatkami poczynionymi podczas spotkania w pracowni przy ul. Dietla w Krakowie w dniu 26. 12. 2013.

42 Tamże, s. 31-32.

43 O naturze i krajobrazie jako metaforze rosyjskiej mentalności i „romantycznej antropologii por. Jędrzej Morawiecki, *Cesarz reportażu bez reportażu. O konserwacji i erozji zaufania na przykładzie Imperium Ryszarda Kapuścińskiego*, „Znaczenia. Kultura – Komunikacja – Społeczeństwo”, <http://www.e-znaczenia.pl/?p=653> (03. 01. 2014). O Heideggerowskim „zadomowianiu” Rosji przez Mariusza Wilka por. Monika Wiszniowska, „Wilczy notes” - literacki dom na Wyspach Sołowieckich, „Anthropos?” 2011, nr 16-17, <http://www.anthropos.us.edu.pl/anthropos9/texty/wiszniowska.htm> (02. 01. 2014).

z ich związku. Kochają się. Pozornie *bad photography*, rozbłocone pole-droga zajmuje pierwszy plan zdjęcia, za duży, obiekty - chałupy za daleko... Ale to przestrzenne błoto-pole-droga, rozjeżdżone, rozchodzące się, nieokreślone, to symbol. I Rosji na dzisiejszym szlaku kolei transsyberyjskiej, i znów drogi, po której podąża *Viatoris*. Pojawia się ona wciąż, w lesie, w mieście. Choć, tak jak powinno być w Rosji, wydaje się nie mieć końca, zawsze będąc otoczona Rosją, dla *Strannika* jednak koniec, cel ma mieć, nawet jeśli nie widać go wprost i ginie w bezkresie Rosji-natury-chaosu. Jakiś cel jednak jest, bo są jakieś drogowskazy, punkty zwrotne.

Czy to Moskwa? *Strannik* kroczy na tle Wasilijewskiego Soboru w rozpiętej kurtce, chwacko, z krokiem, postawą i twarzą otwartymi energią i uśmiechem. Wlepia swe obrazki z siedzącymi, czarnymi trójkątami i Okiem Opatrzności na przypadkowych ścianach niczym Schwitters Merz albo współczesny wlepkarz. Teraz powstaje bardzo dużo takich małych prac. Pojawiają się na ścianach odmalowanych kamienic, na plakacie z butelką na tle czerwonej gwiazdy i hasłem wzywającym do lodowatego odświeżenia. A *Strannik* wtedy, jak i gdy strzela z nagana nad rozlewiskami, jest trochę „szlachciurą”, tym tak nielubianym przez rosyjskich pisarzy, którzy Rosję jako fenomen w ogromnym wszak stopniu stworzyli⁴⁴. Jednak gdy napotkani na transsyberyjskim szlaku umundurowani i brodaci Kozacy, właśnie ci którzy pozwolili strzelać z nagana, wywołują pytanie „z jakiej Polski jesteś, z dumnej czy z kającej się?” *Strannik* odpowie, że z Polski dumnej samostanowiącej i zdolnej do absorpcji. Tak jak by Rosję właśnie przeżywał i przyjmował, nie zaś podbijał.

Kamienie i obrazy okazują się znajome. Przypominają Teremiski, Warszawę, dobrze im na syberyjskich chałupach i moskiewskich ścianach, ale najlepiej w towarzystwie ikon: „człowiek – pamięć i zapomnienie, ale ikony: prawda objawiona, mistyka, transcendencja, metafizyka - tego szukam”, mówi i pisze *Strannik-Viatoris*. A obranie kierunku na Wschód, jest dowodem na grę w *Viatoris*ie malarza z pisarzem wrażliwym nie tylko na naturę, ale i historię, i metafizykę, bo trop wyznacza Kapuściński, Wilk, Hesse, a obrazy i kamienie to znaki pozostawiane w tamtych miejscach, ale bardziej jeszcze we własnej pamięci, po to by korespondować z drogowskazami ustawionymi na niej wcześniej, może nie tylko przez człowieka. Na fotografii kamienie leżą razem z armatnimi kulami z Kamieńca i krucyfikсами, położone przed ikonami...

Taka Rosja, której naturę, siłę, rzeczywistość i mistykę się chłonie, wydobywa to, co w *Viatoris*ie stałe. I obrazy, malarskie znaki wklejane na ścianach chałup, darowane muzeum w Permie, pojawiające się na moskiewskich ulicach w przypadkowych miejscach, i kamienie położone przy ikonach, to ślady po sobie. To także sygnały trwa-

44 O tradycji postrzegania w Rosji polskiego „szlachciury” por. R. Kapuściński, *Rosyjska obsesja*, Dodatek do weekendowego wydania Rzeczpospolitej „Plus Minus”, 18 marca 2000 <http://kapuscinski.info/rosyjska-obsesja.html> (tekst recenzujący reportażową książkę Krystyna Kurczab-Redlich, *Pandrioszka*.

nia szlacheckiej nostalgii w kultywowaniu świata tyleż podbijanego, co wypełniającego myśli, uczucia i całego siebie. Spragnionego romantycznej prawdy - męskiej, artystycznej, wolnej, metafizycznej. To właśnie jej poszukiwanie i własna nostalgia są wywoływanymi drogowskazami-kamieniami na drodze zewsząd Rosją ogarnianej.

NIEMCY

Dlatego może Berlin początkowo budzi „obrzydzenie, to nie mój kierunek”. Bo Berlin nostalgii nie wywołuje, mimo że romantyzm, tak ważny dla drogi *Viatorisa*, zrodził się przecież z myśli niemieckich idealistycznych filozofów. To dlatego dużo jednak właściwszy adres niż początkowo przewidywana Bruksela.

Romantyzm dziś dla Niemców to tekst tylko, który skompromitowali sami w narodowo-socjalistycznym szaleństwie. Dlatego może wygodniej, by to był tylko tekst uruchamiający złe emocje, które mają wszyscy. Wszyscy bowiem możemy być faszystami i wszędzie wśród filozofów, kompozytorów, pisarzy pojawić się mogą na ziści Albert Leo Schlageter, Horst Wessel, Hans Thoma⁴⁵. *Viatoris* chyba nie uwierzył interpretatorom Kiefera i nie nawiązał dialogu z Arminiusiem, choć cykl *Wege der Weltweisheit: die Hermannsschlacht* w niektórych elementach „prymitywizującej” estetyki i historyczno-krytycznych aluzjach mógłby *Viatorisa* inspirować, tak jak i ważna dla obydwu artystów potrzeba kielznania energii. Jednak *der Wanderer* (bo tak nazywa się *Viatoris* w Berlinie) choć docenia dar katolicyzmu i rzymskiego prawa, które przysły z Zachodu, zbyt jest wojowniczy dla korzenia się przed siłą perfekcyjnie zorganizowaną. A z drugiej strony pamięć nie pozwala zapomnieć, że „Der Tod ist ein Meister aus Deutschland”⁴⁶. Dlatego *Der Wanderer* (raczej nie *der Pilger*) teraz chce „obrazy wieszać na karkach Niemców”, albo w ogóle nie chce, by je „Hans komentował”. Wszak „oni skazali nas na śmierć, unicestwienie, tyle od nich wycierpieliśmy”. Czy Niemcy pozostają więc niemi dla *Viatorisa*? Czy też będzie dla nich *Wandererem*, zrozumiałym nie poprzez Kiefera, ale przez Beuysa, który przeżył Rosję mrozu, wojny, natury i wędrownych Tatarów, nie znających granic, intencjonalnie ludzkich, bo ratujących umierającego, chociaż powinni widzieć w nim wroga⁴⁷. Może nieprzypadkowo Rosjanie są właścicielami hotelu, w którym zatrzymał się *der Wanderer*. I nie przypadkowo przypomina mu się rosyjski kapitan, który latał nad Berlin...

45 Por. Sabine Schütz, *Anselm Kiefer – Geschichte als Material: Arbeiten 1969-1983*, DuMont: Köln 1999, s. 360-361. Por. też *Anselm Kiefer. The Paths of World Wisdom: Hermann's Battle* <http://www.guggenheim-bilbao.es/en/works/the-paths-of-world-wisdom-hermanns-battle/> (30. 12. 2013).

46 Paul Celan, *Todesfuge*, lyrikline, <http://www.lyrikline.org/de/gedichte/todesfuge-66> (04. 01. 2014).

47 O Beuysie po polsku por. *Joseph Beuys – teksty komentarze, wywiady*, red. Jaromir Jedliński, Centrum Sztuki Współczesnej: Warszawa 1990.

Der Wanderer taszczy po Berlinie zrolowanych 38 pomalowanych papierowych płacht. Nie ma zdjęć nieokreślonej drogi z „cywilizowanego” miasta. Jest mur berliński, obrazy kamieni i kamienie same złożone przed nim, pojawiające się w mieście i przed Reichstagem. Składane i wlepiane zamiast nimi „zbombardowania Berlina”.

Jest w obrazach pamięć o szczelinie i trójkątnym otworze. Biała płaszczyzna z sercowatym otworem, szaro-błękitno-biała i czarna, przypomina drzewa lasu Teremisek albo Syberii. Choć też abstrakcyjną kompozycję *all-over*. Białoszara forma otoczona grubym czarnym konturem przypomina trochę dom z czarną plamą wejścia, albo górę z grotą. Za nią szerokie, nierówne, czerwone plamy tła. Zachodzące słońce? Ogień? Kontrast i gruba, fakturowa intensywność farby korespondują z barwną pstrokacizną tagów na murze. Namalowany kamień z rozszczepieniem, podłużna czarna szczeliną na szarobiałym tle pojawia się na metalowym płocie pokrytym *graffiti* i z białoczarną figurą stąpającej dziewczyny w skąpej sukience.

BEUYS

Ludzie dziarsko maszerują pod Reichstagem, patrzący przed siebie, wielu to turyści z aparatami. Czy Beuys dziś to dość wysoki, ale tyjący siwiejący okularnik w czarnym t-shircie, szarych spodniach i gumowych sandałach, który jako jeden z niewielu zatrzymał się (wraz z synami? jeden z nich nawet dotyka papieru...) i pochylił pucułowaną twarz nad kamieniami namalowanymi na płachtach pakowego papieru, przyłożonych kamieniami prawdziwymi?

Jednak Niemcy w innym miejscu leniwie siedzą nad Szprewą i nie zważają na rozciągającego obrazy *Wanderera*, wolą słońce, przyszyżoną trawę, asfaltowe alejki, bikini, półnagie ciało, pocałunki, seks... Choć katedra odwrócona tyłem jest ciemna i zimna, mimo słońca. Niemcy to zniechęcenie, brak przekonania i determinacji, które ogarniają *Viatorisa*. W Teremiskach był z przyjaciółmi i ludźmi pragnącymi go spotkać. Pił z nimi piwo i wódkę, rozmawiał. W Warszawie i Rosji sam, ale z rodziną, z Teremiskami świeżo w pamięci, z naturą, którą chłonał całym sobą. W Berlinie jest teraz osamotniony. Polacy przechodzili obojętnie obok obrazów w Warszawie, bo spieszyli się do pracy, w Rosji zaistniały wobec nieograniczonego niemal ogromu, Niemcy siedzą zadowoleni słońcem. *Viatoris* jako *der Wanderer* jest nieswój. A Niemcy to niemota albo niemoc i nieśmiałość.

„Dwa piwa przynoszą olśnienie”. Czy takie, że trzeba wracać? Oni nie są Innym. Oni są inni, a *Viatoris* wśród nich jest jak kamień. Może będzie trwał, może skruszeje jak kamienny *Erlkönig*, który runął na ziemię i leży w rzeźbie Beuysa, albo kamienie położone przy dębach sadzonych przez tego niemieckiego symbolistę i nomadę podczas Documenta w Kassel w 1982 roku. Albo okaże się częścią Beuysowych ruin *Końca XX wieku*, nad którymi *Wanderer* stanął w berlińskim muzeum sztuki współ-

czesnej - w Hamburger Bahnhof. Stanął tak jak tyjący Niemiec, Beuys *Wanderera*, który pochylił się nad jego kamieniami razem z rodziną. Może więc ostatecznie kamienie, wraz z plecakiem wędrowca wrzucone przez *Viatorisa* do rzeki, będą trwałe, przypominały, stawiały opór, zmieniały nurt razem z kamieniami Beuysa z Museum für Gegenwart? I budowały już nie tylko teraźniejszość, ale przyszłość?

Te wrzucone w wodę kamienie, może „kamień odrzucony”, a może pozostawiony właśnie dla oporu i budowania, symbolizuje najlepiej *Wanderera-Viatorisa* w Berlinie. Pozostaje on chyba z nadzieją, że kamienie nie burzą bombardując, ale wzbogacają organizację „nieopresyjnej” przestrzeni trwając dłużej niż spodziewałby się tego Beuys. Że jest w Berlinie *underground* i w nim ściana, na której nalepiony obraz z czarnym frasobliwym siedzącym „w biedzie, nie za biurkiem” na białym tle, z głową w dłoniach, poczuł się na swoim miejscu w towarzystwie psychodeliczno-„surowej”, rozgwieżdżonej, czarnej kuli z jednym okiem, ogarnianej przez niebieskie dłonie i zielono-różowe plamy. Może Beuysa nie było na trawniku nad Szprewą, ale przystanął pod Reichstagem, przeszedł wzdłuż muru, stanął twarzą wprost przed wklejonym Frasobliwym? Berlin wywołał Beuysa, by ten poznał i docenił drogowaskazy *Viatorisa*?

SARMACJA

Znamienne, że Paul Celan - autor słów o śmierci pochodzącej z Niemiec, rumuńskoniemiecki Żyd, urodził się w Czerniowcach na Bukowinie, tam gdzie dziś jest Ukraina⁴⁸. Ukraina bowiem, która w opowieści o podróży do Rosji i Berlina pojawiła się jako dygresja, rozrosła się w słowa, zdjęciach, obrazach i kamieniach w motyw ogarniający całość swym przesłaniem. Chaosem i gościnnością, twórczym i przygodowym wolnym duchem, swym pograniczem i zarazem poczuciem wspólnoty (które kiedyś Beuys tak cenił w Polsce, wysyłając w 1981 roku *Polentransport*) obfitym ucztowaniem, gościnnością, noclegiem na otwartym powietrzu w mokrym ubraniu, trójkątnym znakiem wklejonym na zrujnowanym magnackim pałacu w Podhorcach.

Tu *Viatoris* jest najbardziej u siebie, w swoim miejscu i czasie, jakby zamiast w Arkadii, to w romantycznej Sarmacji leżącej między Syberią a Berlinem. Wbrew ogłoszonemu jej końcowi (bo „w świecie, gdzie każdy chce być Zachodem, a mało kto Wschodem, Sarmacja z jej fundamentalnie antyzachodnim przesłaniem stała się kuriozalną, niekiedy miłą sercu, ale ogólnie rzecz biorąc, bezpowrotnie anachroniczną garderobą idei i obrazów, z których wstyd korzystać, żeby się nie ośmieszyć przed własnymi rodakami”⁴⁹).

48 Por. Paul Celan, Wikipedia, http://de.wikipedia.org/wiki/Paul_Celan (04. 01. 2014).

49 Jarosław Hrycak, *Koniec Sarmacji* [w:] *Sarmackie krajobrazy. Głosy z Litwy, Białorusi, Ukrainy, Niemiec i Polski*, red. Martin Pollack, Czarne: Wołowiec 2006, s. 218.

Po tej Sarmacji poruszał się wędrowny nomada, Tatar, który na Krymie znów dziś ukraińskim, uratował Beuysa - Niemca, który niósł śmierć. Żyjący w symbiozie z naturą i historią. Kultuwujący tradycję twórcą łuków, których współczesne tworzenie *Viatoris* podgląda zafascynowany i czyta traktat o strzelaniu z łuku. Albo, by wrócić z *Viatorisem* w świat literatury, Andrzej Stasiuk, który nie potrafił sobie „wyobrazić płaczącego Niemca”⁵⁰, choć chciał, potrafił natomiast podróżować po chaosie Ukrainy, Bukowiny i osiąść w Galicji, choć urodził się w Warszawie. Galicja to próba aneksji części Sarmacji w zniemczoną nazwę Halicza, a przecież Halicz podbijali polscy królowie wyruszający z Krakowa. Jak *Viatoris*. I do Krakowa wracający. Jak *Viatoris*.

KRAKÓW

I dygresją, i odpoczynkiem, i obrazem skupiającym drogi w jedną, niczym soczewce, jest właśnie Kraków, w Sarmację wchłaniający i Berlin (bo to wszak Urdeutsche Stadt Krakau tylko polską farbą pociągnięte, bo Veit Stoss to Wit Stwosz, Hans Dürer był nadwornym malarzem Zygmunta Starego i autorem wawelskiego fresku, kiedyś Goethe zatrzymał się w Krakowie) i austriackie panowanie (a urodzony w Austrii Martin Pollack zebrał współcześnie *Sarmackie krajobrazy*) i pamięć o Żydach (nowa pracownia Piotra jest już po tej stronie starej Wisły, na której jest Kazimierz z jego bóżnicami)...

W tym Krakowie najlepiej czują się olbrzymi czerwoni mężczyźni ze sterczącymi penisami i kobiety, pokraczne, „cieknące”, które na początku strach było malować... Ale przecież ostatecznie piękne białym, prześwieconym, delikatnym cieniem stojącym na dużej brązowej płachcie papieru obok swoich śmieci na słupie: Nigela Kennedy’ego, wyprzedaży dywanów, prezentacji drużyny Cracovii, kursów francuskiego, Armii, Tiltu... Tu może wreszcie zdarzyć się reakcja, rozmowa przy wyklejaniu na słupie na Stradomiu:

- Kiepski obraz namalowałeś, powinieneś za niego siedzieć.
- A ty leżeć, za takie gadanie...

Tu ją można i warto znieść, by trwać w drodze mając i świadomość metafizycznego celu, i kamiennych drogowskazów pamięci, i miejsca zadowolenia-odpoczynku, mimo świadomości, że często jest sam, obok... Może ten Kraków jest najlepszym znakiem bycia obok, ale bycia w oparciu o pamięć i trwania, tak jak trwają przydrożne kamienie i obok drogi stoją drogowskazy. Niejeden, ale zawsze w ważnych miejscach.





Kobieta i Mężczyzna. 2013 Kraków

PAMIĘĆ PRZYDROŻNA

Piotr, stojąc pod oknem pracowni, czyta listy nazwisk, które wyznaczają jego artystyczną tożsamość. I tożsamość jego malarskiej uczennicy Katarzyny Widmańskiej. Brzmiały jak biblijne genealogie... Albo polskie wypominki...

Jednak nie jest smutny. *Viatoris* jest słoneczny, uśmiechnięty, podgolony, siedzący na kamieniach i bawiący się z psem, шагающий po Moskwie, zaborczy, gwałtowny, czasem podobny do Kmicica-Olbrychskiego. Z jego ekspresyjnymi malowidłami domagającymi się reakcji, kamieniami rozrzuconymi, głazami, ciosami, ruinami, rozłożonymi, namalowanymi, wrzuconymi do rzeki to symbolista i romantyk. Pasuje do sarmackiej wolności i emocjonalności, ale też do wytykanej Sarmacji i Polsce anachroniczności, bo ona oznacza także historię, tę dziedzinę, w której kryje się dla romantyków prawda⁵¹. Jej poszukiwaniem, nieustannym, gwałtownym często, czasem nostalgicznym, nie kończącym się jest droga *Viatorisa* – przez rodzinę, malarstwo, pisanie, historię, Sarmację, Rosję, Niemcy, Ukrainę, słowa, obrazy, kamienie ...

Na Wschodzie rosyjskim artysta czuł się jak u siebie, mimo oporu „ciągniętych” ze sobą bliskich był „performatywnym romantykiem”. Z bagażem Rosji przeżywanej i przyjmowanej romantyki pojechał do Berlina. Odnalazł Beuysa. Ostatecznie jednak z drogi tej wyłoniły się i pozostały Ukraina i Kraków, dwie przestrzenie różnorodnej, pogranicznej, sarmackiej Rzeczypospolitej.

Zwrot performatywny w wykonaniu polskiego romantyka żyjącego wciąż na pograniczu między Wschodem i Zachodem, bardziej niż na granicy Zachodu, to krakowskie odnowienie Sarmaty w świecie współczesnym. „Nie gońcie za Europą, ona nie istnieje” – *Viatoris* cytuje Gombrowicza, a fotografie i obrazy, tak jak pozostająca łacińska, a nie rosyjska czy niemiecka nazwa artysty-podróżnika zdają się mówić, że istnieje w Krakowie polsko-łacińska, duchowo wschodnia i ukraińska, romantyczna Sarmacja dziś. To kraina uczuciowego Sarmaty, który wracając do swego matecznika⁵² z Syberii przez Berlin, napotkał Beuysa, dzięki któremu nie poddał się Niemcom, ale jak on postanowił wskazywać drogi symbolami, choć szlak tych dróg wyznacza samodzielnie, korzystając z własnej pamięci.

Z podróżowania między Wschodem i Zachodem pozostała więc romantyczna Sarmacja w Krakowie, trochę jak kamień będący przeszkodą dla wierzących w nowoczesny postęp i ekonomiczny dobrobyt, a może jak pamięć, wyrzut sumienia,

51 Marcin Król, *Romantyzm. Piekło i niebo Polaków*, Warszawa 1998, o romantycznej postawie, metodzie poznawczej i ekspresji związanymi ze stale niezaspokojonym poszukiwaniem absolutnej prawdy por. s. 94-125.

52 O Krakowie jako „*tusculum* szlacheckim” i „*service city*” polskiej szlachty w XIX wieku por. Jacek Purchla, *Matecznik Polski*, Znak: Kraków 1992, s. 43-69.

znak historii, która nie chce skruszeć. A może jako kamień mający być punktem zwrotu i obrania własnego, zupełnie oryginalnego kierunku niekończących się poszukiwań...

Droga *Viatorisa* to romantyczne poszukiwanie, które performatywny zwrot wchłonęło w siebie, tak jak wchłonęło współczesny świat. *Viatoris* na tej drodze, tak jak Polska, okracza modernistyczne totalitaryzmy oraz postmodernistyczne reakcje na nie i zwroty. Działa w atmosferze romantycznej wrażliwości i energii, radosnej, czasem buntowniczej, nerwowej, chaotycznej, gwałtownej, ale zawsze w napięciu twórczej. Ją symbolizują instynktowne pochłanianie natury, zachwyt malowania, radość wędrówki, junacki krok, gwałtowne przekraczanie, strumień słów. Jednak drogę poszukiwania prawdy, na której energia ta jest twórcza, wyznaczają kamienne drogowskazy emocjonalnej pamięci i metafizycznej wrażliwości, którą obrazy, kamienie, słowa, zdjęcia, myśli artyści kontynuują i pokazują kolejnym wędrowcom.



RAFAŁ SOLEWSKI

RAFAŁ SOLEWSKI – historyk sztuki, eseista. Studio-
wał teatrologię i historię sztuki na Uniwersytecie
Jagiellońskim, gdzie się doktoryzował. Habilitację
uzyskał na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu
Łódzkiego. Profesor na Wydziale Sztuki i Wydzia-
le Filologicznym Uniwersytetu Pedagogicznego w
Krakowie. Pracował w Cricotece i Międzynarodowym
Centrum Kultury w Krakowie. Autor książek: *Fran-
ciszek Mączyński (1874-1947) krakowski architekt*
(2005) oraz *Synteza i wypowiedź. Poezja i filozofia
w sztukach wizualnych na przełomie XX i XXI wieku*
(2007), a także artykułów publikowanych m.in. w
„Kwartalniku Filozoficznym”, „Art Inquiry”, „Estetyce
i Krytyce”, „Roczniku Krakowskim”, „Centropie”, „De-
kadzie Literackiej”.

VIATORIS